

Col Buchanan

# Zemsta Wędrowca

*Stands a Shadow*

Przekład

Karol Raszkiewicz



*Moim braciom*

*Człek dobry i człek zły  
Jednym wszak człkiem są,  
Stojąc jak cień  
między nocą  
a dniem.*

Zeziké

## Prolog

# Lśniąca droga

Było jak na morzu, równina traw rozciągająca się po skraj horyzontu i dalej, oczy pełne nieba, gdziekolwiek patrzyli. W mlecznej poświacie dnia bliźniacze księżyce wisiały samotnie i wysoko, mniejszy z nich blady i biały, większy bladoniebieski, otulone ciemnością, wyraźnie sferyczne - przypomnienie dla wszystkich obserwatorów obdarzonych wiedzą lub wyobraźnią, że świat Erēs jest także monstrualną kulą koziołkującą przez nicość i że oni obracają się wraz z nią.

- Dzięki Błaznowi, dzisiaj nie ma wiatru - zauważył Kosh, siedząc bez ruchu w siodle na szlachetnej krwi bojowym zelu. - Nie mam ochoty na kolejny pożar.

- Ja też nie - odparł Ash, oderwał wzrok od odległych księżyców i zamrugał, jakby wracał do siebie i świata ludzi. Powietrze było tego dnia gęste i gorące, migotało nad niską trawą rozpościerającą się między dwiema armiami. Fale gorąca sprawiały, że ciemny, połyskliwy masyw wrogich jeźdźców zawisł w powietrzu w nierealnej bliskości.

Ash cmoknął, kiedy jego zel znowu odrzucił łeb do tyłu, spłoszony. Był gorszym jeźdźcem niż Kosh, a jego zel był młody, dotychczas niesprawdzony. Ash nie nadał mu jeszcze imienia. Jego poprzedni wierzchowiec, stary Asa, padł z pękniętym sercem podczas ostatniej potyczki, na wschód od Car. Tamtego dnia odór spieczonego mięsa zawisł jak całun nad polem walki, a wrogowie Yashi płonęli żywcem w wielkiej, podsycanej wiatrem pożodze, którą Ash i jego towarzysze posłali z wichrem w ich szeregi. Później, z pokrytą sadzą, pobrużdżoną łzami twarzą, oplakiwał martwego zela, tak jak i towarzyszy, którzy polegli tego dnia.

Ash pochylił się i pogłaskał szyję zwierzęcia ręką w rękawicy. „Patrz na tych dwóch”, próbował przekazać za pośrednictwem myśli, spoglądając na nieruchomą postać Kosha i jego zaufanego wierzchowca. „Patrz, jak dumnie razem wyglądają”.

Młody zel stanął na tylnych nogach.

- Spokojnie, mały - uspokajał Ash, nadal głaszcząc szyję zwierzęcia, wygładzając włókna szorstkich włosów, czarnych jak smoła, przeplatanych pasmami bieli. Wreszcie zel zaczął osiadać, parsknięciami wyrzucał strach z płuc, uspokajał się.

Skóra zaskrzypiała, kiedy Ash wyprostował się w siodle. Kosh odkorkował obok niego skórzany bukłak i pociągnął długi łyk. Westchnął i wytarł usta.

- Zadowolilibym się czymś nieco mocniejszym - powiedział, ostentacyjnie nie częstując Asha. Cisnął bukłak z powrotem synowi, swojemu giermkowi, który stał obok niego bosy.

- Nadal masz o to żal? - zapytał Ash.

- Mogłeś trochę zostawić, tylko tyle mam ci do powiedzenia.

Ash odchrząknął, nachylił się między wierzchowcami, żeby splunąć na ziemię. Żdźbła krzesitraw zatrzeszczały i zaszeleściły, przyjmując niespodziewaną wilgoć. Tak samo było na całej równinie; w tle słyszeli nieustanny hałas - jakby surowy ryż spadał z wysoka na kamienie. To wydzielinę dwóch armii sprowokowały chór traw pod ich stopami.

Spojrzał na prawo, ponad głowę swojego syna i giermka, Lina, który stał, jak zwykle, cichy i uważny. Wzdłuż szeregu inne wierzchowce brykały podenerwowane, wstrzymywane przez jeźdźców. W przypadkowych podmuchach wiatru ziele wyczuwały zapach panter bojowych wroga, trzymany na smyczach w odległych szykach naprzeciwko w tym bezimiennym punkcie Morza Wiatru i Traw.

Wróg miał dziś liczebną przewagę nad Ludową Armią Rewolucyjną. Ale przecież zawsze miał liczebną przewagę. Mimo to nauczyli się, jak zwyciężać nieprzyjaciela uzależnionego od zrzedliwych poborowych i hierarchicznych sposobów prowadzenia wojny, wyłożonych w starożytnym Czcigodnym Traktacie o Sztuce Wojennej. Dzisiaj, kiedy starzy wiarusi czekali na rozpoczęcie boju, ich pewność siebie była oczywista. Wszyscy wiedzieli, że nadszedł czas, kości zostały rzucone; wszystko, co obie strony mogły wystawić, zostało poświęcone na rzecz ostatecznej konfrontacji.

Wzniósł się okrzyk, rozbrzmiał wzdłuż szeregów; generał Oshō, przywódca Lśniącej Drogi, galopował na kruczoczarnym zelu, Chancerze, wzdłuż szeregów Skrzydła, ludzi, którzy dzisiaj będą ostoją lewej flanki sił głównych. Wzniesiona prosto lanca chwiała się w jego ręce, czerwona flaga płynęła nad kurzem, który wzbijały kopyta wierzchowca. Na materiale wyszyty był wizerunek: jednooka Ninshi, protektorka wydziedziczonych. Flagą trzaskała i trzepotała jak płomień.

Oshō jechał z niewymuszonym wdziękiem człowieka odbywającego dla przyjemności poranną przejażdżkę, równie pewien siebie, jak pozostali weterani Skrzydła. Ich strategia była mądra, została przedstawiona przez generała Nisana, głównego wodza armii i wojennego bohatera rewolucji. Przyjęli ją przytłaczającą większością głosów, kiedy wieczorem wojsko zebrało się na wiec powszechny.

Siły główne ich armii mają odegrać rolę przynęty dla przeważających liczebnie wrogich Pulsów, z markowanymi ciosami na flanki, wymierzonymi, żeby uwikłać przewidywalne Skrzydło Łabędzia władcy. Tymczasem prawdziwe, zabójcze uderzenie zada ciężka kawaleria Skrzydła generała Shina, Czarne Gwiazdy, ukryte w wysokich trawach na południowym zachodzie, bezpośrednio za pozycją Lśniącą Drogę. Kiedy wszystkie Skrzydła nieprzyjaciela będą pochłonięte walką, zajadą ich szybko długim zakosem i w zamieszaniu wkroczą w nieprzyjacielskie szeregi od tyłu, licząc na pogrom, jaki widywali już tak wiele razy.

- Dziś jest ten dzień, bracia! - ryknął z pasją generał Oshō. - Dziś jest ten dzień!

Ludzie unosili lance i krzyczeli, kiedy przejeżdżał. Nawet Ash, niechętny wybuchom entuzjazmu, poczuł narastającą dumę, kiedy ludzie wiwatowali i unosili pięści w odpowiedzi. Był wśród nich jego syn.

Pióropusz kurzu uniósł się nad generałem, kiedy zatrzymał swego bojowego zela. Tanecznym krokiem odwrócił wierzchowca, żeby stanąć twarzą do odległych szeregów wroga. Na ich widok zel parsknął i machnął ogonem. Razem, Oshō i Chancer, czekali, aż zapadnie cisza.

- Na jaja Błazna, mam nadzieję, że się nie myli - zrzędził Kosh, skinieniem głowy wskazując charyzmatycznego przywódcę. - Czas, żebyśmy przyprowadzili tych chłopców do domu, do matek, nie sądzisz?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi.

Wokół nich daojosi ustawiali szeregi, batożyli zady zelów, krzyczeli na żołnierzy, by mocniej zwarli szyki, przypominali im rozkazy i podstawy przygotowań do walki.

- Słyszałem, że władcy proponowali szkatułkę diamentów każdemu generałowi, który postanowi wziąć nogi za pas.

Ash zmiotł muchę stepową z policzka.

- Phi. A kiedyż to nie próbowali nas kupić? Dziś to nie różnica.

- Ha! Ale dzisiaj jest ten dzień.

Obaj zarechotali, gardła mieli ochrypnięte od fajek i ognisk poprzedniej nocy.

To, co powiedział Ash, było prawdą. Na początku rewolucji, kiedy Rewolucyjna Armia Ludu była niewiele większa od rozwydrzonego oddziałku, brakowało jej pewności siebie, spójności i znaczniejszych zwycięstw, które mogliby nazwać swoimi, władcy proponowali bojownikom armii małą fortunę w nieoszlifowanych diamentach, gdyby przeszli na drugą stronę.

Niektórzy zdradzili i dołączyli do szeregów władców - w istocie było takich wielu.

Ale ci, którzy odrzucili propozycję i pozostali, by dalej walczyć mimo niespodziewanie fatalnej sytuacji, znaleźli siłę, wspólnie odmawiając zaprzeczenia się tym, którzy staliby się właścicielami i wyzyskaliby ich wszystkich. Na żołnierzy, z których wielu zdemoralizowały głód, okrutne straty i ciągła groźba niewoli albo śmierci, spłynął nowy duch, poczucie szlachetnego braterstwa. To był prawdziwy początek sprawy. Od tego czasu powoli, ale nieodwracalnie, zaczęli zmieniać bieg wydarzeń.

- Wydaje się, że położymy temu kres, jak sądzisz? - zapytał Kosh.

- W ten albo inny sposób - odparł Ash, spoglądając w dół, na syna.

Lin nie był tego świadom. Trzymał pionowo w rękach pęk zapasowych lanc, a na plecach miał zapasową tarczę z wikliny. Oczy czternastolatka były szeroko otwarte, pełne zdziwienia. Plamki odbitego światła słonecznego lśniły w czarnych źrenicach, białka podbiegnięte były krwią po nocnym pijaństwie. Chłopiec siedział do późna przy jednym z ognisk, żartował i chrypliwie wyśpiewywał wraz ze starszymi giermkami ich Skrzydła.

Inny niż ten zagłodzony urwis, który przywłókł się do ich obozu dwa lata wcześniej, po tym jak uciekł, żeby dołączyć do ojca jako giermek, myślał Ash. Bose stopy chłopca były poranione po podróży, które obawiałby się dorosły mężczyzna.

Po co? Z miłości i szacunku dla ojca, który nie mógł już dłużej na niego patrzeć.

Ash poczuł nagle zarzewie bólu w piersi; wszechogarniający wstyd. Zapragnął dotknąć syna, uspokoić go uściskiem dłoni, tak jak chwilę wcześniej uspokoił zela. Uniósł dłoń w rękawicy z gałki siodła i sięgnął.

Lin spojrzał w górę. Ash patrzył w dół, na gęste brwi i zadarty nos, który tak bardzo przywodził mu na myśl matkę chłopca i jej rodzinę, którą nauczył się tak bardzo gardzić. Rysy chłopca w najmniejszym stopniu nie były jego.

Ręka zatrzymała się w połowie drogi i przez kilka uderzeń serca obaj na nią patrzyli. Zawisła, jakby przedstawiała wszystko, co kiedykolwiek między nimi stało.

- Wody - mruknął Ash, chociaż nie chciało mu się pić. Chłopiec, bez komentarza, podniósł pękaty bukłak.

Ash upił łyk letniej stęchłej wody. Przeplukał usta, łyknął troszeczkę, resztę wypluł. Tam, gdzie upadła, krzesitrawa syknęła i zatrzeszczała. Zwrócił bukłak Linowi i zły na siebie wyprostował się w siodle.

- Nadchodzą - oznajmił Kosh.

- Widzę.

Wzdłuż całego frontu wroga zaczął się wznosić w powietrze pofalowany dywan kurzu. Yashi kłusowali naprzód, zachowując szyk; wysoko, na plecach jeźdźców trzęsły się

sztandary, łopotały kolory Skrzydeł i ich zmieniających położenie punktów dowodzenia. Zabrzmiały rogi; wiatrowiry zawodziły jak wzywanie zmarłych, dźwięki rozprzestrzeniały się powoli i rytmicznie nad szeregami Ludowej Armii Rewolucyjnej. Żel Asha parsknął, znowu się ożywił.

Tylko na tej flance siły władców liczyły co najmniej dwadzieścia tysięcy, głęboki tłum rozciągnięty na prawo, w stronę zamglonego w oddali centrum szyku bojowego. Ich czarne zbroje wchłaniały ostre światło dnia, na hełmach chwiały się długie pióra. Światło słońca iskrzyło się na tysiącach metalowych elementów, jaskrawy blask pośród kurzu wzniesionego przez zbliżającą się armię, gdy kopyta jej żelów miażdżyły krzesitrawę równiny na proch.

Przed nadeżdżającymi Yashi chmury ciem i much uniosły się nad niskimi trawami, a wraz z nimi tysiące ptaków. Przemknęły nad głowami żołnierzy Ludowej Armii Rewolucyjnej wielką, rozkrzyczaną falą łopoczących skrzydeł; tak liczną, że powietrze na chwilę ochłodziło się w ich cieniu.

Poniżej zele sapaly i przewracały oczami, kiedy spadał na nie grad piór i ptasie odchody. Lin uniosł nad głową wiklinową tarczę, żeby się osłonić. Inni, w szeregu, zrobili to samo, jakby chronili się przed nagłą chmurą pocisków. Słysząc było dowcipy, nawet śmiech weteranów, najrzadsze odgłosy tuż przed starciem.

Ash otarł starannie czoło i przyjrzał się zahartowanym żołnierzom Lśniącej Drogi, tego Skrzydła armii, w którym walczył przez ponad cztery lata; mając trzydzieści jeden lat, sam był już starym weteranem. Skrzydło liczyło sześć tysięcy piechoty na koniach. Nosili proste, skórzane mycki związane wokół uszu, białe kawaleryjskie chusty omotane wokół czarnych twarzy i drewniane gogle, chroniące oczy przed światłem słońca. Wiele z ich pancernych kaftanów dawno temu zostało pomalowanych w białe pasy, jak u żelów, z którymi żołnierze mieszkali i na których wojowali, oraz ozdobionych zębami wroga - amuletami szczęścia. Mrużąc oczy, patrząc nad głowami żołnierzy, Ash widział wielki półksiężyc armii, tego wielkiego konglomeratu Skrzydeł.

Zastanawiał się, ilu wróci do rodzin i starego życia, kiedy dzisiaj zwyciężą. Rewolucja, z upływem lat, stała się stylem życia, krwawym i okrutnym. Armia Ludu była domem i rodziną dla nich wszystkich. Jak będą sobie radzili, kiedy zrezygnują z wolności siodła, z więzi, które zadzierzgnęli między sobą, z euforii walki, kiedy wrócą do obejść i spokojnego, przyziemnego życia uzbrojeni w koszmary i nieobecne spojrzenie?

Domyślał się, że sam się o tym przekona. Jeśli teraz zwyciężą, jeśli Ash i Lin przeżyją, wróci z synem w północne góry, do wysoko położonej wioski Asha, do zagrody, do żony, której od lat nie widział. Spróbuje zapomnieć rzeczy, które widzieli i uczynili w imię



sprawy. Ale i on będzie tęsknił za takim życiem. Tak doskonale wiedział, że jest w tym lepszy, niż kiedykolwiek był jako żywiciel rodziny.

Ash czuł pas modlitewny owinięty ciasno wokół brzucha, jak lniany bandaż, a na nim wymalowane atramentem słowa przyciśnięte do spoconej skóry. W jego zwojach trzymał list od żony, dostarczony mu za ledwie przed tygodniem. Jej słowa wyrżnięte na cienkim płacie skóry błagały go znów o przebaczenie.

- Ojciec - powiedział syn, stojący u jego boku, kiedy zbliżał się nieprzyjaciel. Chłopiec trzymał w górze jedną z lanc, twarz miał śliską od potu. Ash wziął lancę, a wraz z nią tarczę. Po lewej syn Kosha zrobił to samo.

- Jesteś gotów? - Ash zapytał syna uprzejmym głosem.

Ale chłopiec ściągnął brwi. Nachylił się i splunął tak, jak czasem robił to ojciec.

- Dotrzymam pola, jeśli o to ci chodzi - oświadczył dojrzałe, ale głosem nadal niezmiennym przez wiek. Zabrzmiła w nim nuta gniewu wobec insynuacji, że mógłby uciec w ten właśnie dzień, tak jak uczynił to podczas swojej pierwszej bitwy, pokonany.

- Wiem, że dotrzymasz. Pytałem tylko, czy jesteś gotów.

Chłopiec poruszył szczęką. Spojrzenie mu złagodniało, zanim odwrócił wzrok.

- Trzymaj się z tyłu, blisko chłopaka Kosha. Nie podchodź do mnie, chyba że cię wezwę, słyszysz?

- Tak, ojciec - odparł Lin. Czekał, mrugał, patrząc na niego, jakby oczekiwał jeszcze czegoś.

Cienka skóra listu od żony chłodziła brzuch Asha.

- Cieszę się, że tu jesteś, synu - usłyszał swój głos, krtań kurczyła mu się wokół każdego słowa. - To znaczy, ze mną.

Lin spojrzał na niego rozpromieniony.

- Tak, ojciec.

Odwrócił się i powoli odszedł, Ash patrzył, jak idzie wraz z innymi giermkami przemykającymi się na tyły szyku. Dołączył do niego syn Kosha, klepnął chłopca w plecy; dowcipniś, jak ojciec.

Łagodny grzmot rozległ się w upale zalegającym równinę.

Yashi szarżowali.

Ash nasunął gogle na oczy i podciągnął chustę na twarz. Czuł pod sobą drzenie ziemi wibrujące w kościach i mięśniach zela. Spojrzał na generała Oshō, jak wszyscy żołnierze stojący w szyku. Generał nadal się nie ruszał.

- W górę serce - powiedział do Kosha.

Kosh podciągnął chustę. Zakłopotanie sprawiło, że nie spojrział na Asha. Tak czy inaczej, chyba już nigdy nie będą walczyć ramię przy ramieniu; towarzysze, bracia, zwariowani szaleńcy rewolucji.

- Twoje też, przyjacielu - nadeszła stłumiona odpowiedź Kosha.

Mocniej schwycili lejce zelów w zaciśnięte pięści, kiedy generał Oshō pochylił ostrze na nadciągającego wroga. Ash pochylił własną lancę.

Zel Oshō skoczył do przodu.

Żołnierze Lśniacej Drogi jak jeden mąż ruszyli za nim z okrzykiem.

## Rozdział 1

# Pod spojrzeniem Ninshi

Ash obudził się z jękiem, stwierdził, że leży drżący, zlany zimnym potem, pod rozgwieżdżonym niebem.

Mrugał, patrząc w ciemność. Zastanawiał się, gdzie jest, kim jest, doświadczał chwili delikatnego powinowactwa z wszechświatem.

I wtedy, wysoko nad głową, zobaczył smugę światła. Statek powietrzny. Jego rury pozostawiały ślad niebieskiego ognia na twarzy Kaptura Ninshi, której jedyne oko połyskiwało czerwienią, kiedy spoglądała na statek, na Asha, na resztę świata obracającego się pod nią.

Q'os, przypomniał sobie Ash. Nagle rozboleł go brzuch. Jestem w Q'os, po drugiej stronie oceanu, o rzut kamieniem od Jedwabnych Wiatrów, trzydzieści lat na wygnaniu.

Resztki snu rozwiały się, jak gnany wiatrem pył. Pozwolił im umknąć, zanikającym smakom i echem Honshu. Stracił coś niezastąpionego, ale tak było lepiej. Lepiej nie rozpamiętywać tych spraw na jawie.

Światło statku powietrznego zanikało powoli na kursie ku wschodniemu horyzontowi. Niknął w mglistym powietrzu nad miastem, od czasu do czasu przesłaniany ciemnym, strzelistym kształtem niebotycznej iglicy. W świetle gwiazd Ash widział swój oddech kłębiący się z otwartych ust.

Cholera, pomyślał, szczelniej otulając się peleryną wokół szyi. Znowu muszę się odlać.

Budził się już dwa razy w nocy z pękającym pęcherzem, drugi raz bez żadnego wyraźnego powodu. Może był to jakiś odległy krzyk z ulic na dole albo skurcz obolałych pleców, albo powiew zimnego wiatru, a może, po prostu, zakaszłał. W jego wieku wszystko go budziło, jeśli nie załał się kompletnie, zanim spróbował zasnąć.

Zrzędząc, stary Rōshun-skrzytobójca, odrzucił na bok pelerynę i stanął na bosych nogach. Stawy strzelały mu tak głośno, że można je było usłyszeć w nieruchomym powietrzu na dachu.

Była to płaska powierzchnia pokryta smołą posypaną żwirem, wbijającym się ostro w

podeszwy jego stóp. Trochę lepiej się na nim leżało, nawet jeśli za posłanie służyła zapasowa peleryna. Odwrócił się i popatrzył na wysoką betonową konstrukcję wznoszącą się pośrodku szarej, zalanej światłem gwiazd przestrzeni: betonowy odlew wielkiej dłoni z palcem wskazującym uniesionym w niebo. Ash potarł twarz, przeciągnął się i ponownie jęknął.

Nie skorzystał z rynny biegnącej wokół okalającego dach parapetu, ani z małych otworów odprowadzających wodę w rogach dachu, zatkanymi zielonymi algami. Nie chciał zdradzać swojej obecności komuś na ulicy, na dole.

Podszedł do południowego skraju dachu. Miasto Q'os rozciągało się wokół milczące, godzina policyjna obowiązywała nadal, po śmierci jedyne go syna Świętej matrony. Opuścił się na przylegający dach, pęcherz zapulsował w proteście. Ten dach też był płaski i pociągnięty smołą, ale wyrastały na nim trójkątne świetliki służące luksusowym apartamentom poniżej. Wszystkie, poza najbliższym, były czarne jak smoła.

Wdowa, pomyślał Ash. Znowu na nogach w środku nocy.

Stał tam, gdzie zwykle, i ulżył sobie, zaglądając do oświetlonego ciepłym światłem świecy apartamentu. Przez zakopcone szkło zobaczył damę w kremowej, wełnianej koszuli nocnej, siedzącą przy stole. Siwe włosy, zaczesane do tyłu, związane miała kokardą. Delikatne, pomarszczone dłonie trzymające nóż i widelec zawiesiła nad talerzykiem z jedzeniem, starannie przeżuając.

Ash już cztery dni trzymał straż na dachu i każdej nocy obserwował tę samotnie posilającą się kobietę, bez służących w zasięgu wzroku. Siedziała w chłodzie nocnych godzin przy końcu pustego stołu. Wpatrzona w głębię płomienia świecy, jadła. Nóż albo widelec od czasu do czasu uderzały w talerz, wydając ostry dźwięk, który z jakichś powodów kojarzył się Ashowi z samotnością.

Z ciekawości ułożył historyjkę dla tego nocnego ptaszka. Młoda, niegdyś uprzywilejowana kobieta, niezwykła piękność, wydana za człowieka o wysokim statusie. Ale bez dzieci - a jeśli były, dawno wyfrunęły z gniazda. Męża zaś, pana domu, zabrała choroba, być może w jego najlepszych latach. Zostały jej tylko wspomnienia i żalobny brak apetytu, nie licząc chwil, kiedy budzą ją marzenia o przeszłości.

A może ona też budzi się z powodu pęcherza, pomyślał Ash, chrząknął i uznał się za durnia.

Plusk na szkle uświadomił mu, że z ciekawości za bardzo się obrócił i teraz oblewa róg świetlika. Struga urwała się nagle, kiedy kobieta podniosła wzrok.

Ash wstrzymał oddech, znieruchomiał. Był całkowicie pewien, że w tym świetle nie mogła go zobaczyć; przez kapryśną chwilę prawie tego żałował.

Znowu popatrzyła na stół, jej uwagę ponownie zajął skąpy posiłek. Ash otrząsnął ostatnie krople, wytarł ręce w tunikę. W milczeniu uklonił się kobiecie na dobranoc i odwrócił się, żeby wrócić.

Właśnie wtedy migotanie płomienia świecy przykuło jego wzrok. Wielka ćma ognista, rozświetlona własnym, wewnętrznym żarem, kiwała się wokół świecy, jakby z uprzejmości. Płomień trzepotał pod delikatnymi dotknięciami. Ash i wdowa patrzyli jak zauroczeni, kiedy ogień usidlił stworzenie. Skrzydło przywarło do stopionego wosku na knocie. Zwinęło się, zatrzeszczało, zapłonęło; przy kolejnym poruszeniu w mgnieniu oka ogniem zajęło się ciało ćmy i drugie skrzydło, aż z owada został szamoczący się kształt, płonący żywcem na miniaturowym, trzaskającym stosie.

Ash odwrócił wzrok, miał teraz w ustach gorzki posmak. Nie potrafił zmusić się, żeby znowu popatrzeć. Wspiął się tak szybko, jak tylko potrafił, na ceglana ściankę, jakby uciekał przed nagłymi, niechcianymi wyobrażeniami, migoczącymi na skraju pola widzenia.

I tak nadeszły. Kiedy przetaczał się przez parapet, przez mgnienie oka widział młodego człowieka szarpiącego się na innym stosie. Swojego ucznia, młodego Nico.

Ash wessał powietrze jak po nagłym, mocnym uderzeniu. Podniósł wzrok na Świątynię Szeptów, wyniosły cień owinięty wstęgami okien rozświetlonych od wewnątrz. Była tam gdzieś, matrona oplakująca własną stratę; pewnie w Komorze Burz, na samym szczycie, błyskotliwie iluminowanym. Był tak oświetlony przez ostatnie cztery noce, kiedy Ash na niego patrzył.

Chuchnął w dłonie i zatarł je, szukając ciepła. Ostatnimi czasy zawsze doskwierało mu zimno. Spostrzegł, że lewa ręka mu drży, a prawa nie. Zacisnął pięść, jakby chciał ukryć drżenie przed sobą.

Po chwili usiadł na posłaniu i ułożył się wygodnie za lunetą sterczącą na trójnogu, wycelowaną wprost na Komorę Burz. Podniósł bukłak z ogniem Cheem, wyciągnął korek i wypił krótki łyk. Przeciw zimnu, powiedział do siebie. Żeby móc zasnąć. Cisnął bukłak obok miecza opartego o betonową dłoń i małej kuszy, z której zdjął podwójną cięciwę, żeby uchronić ją przed pogodą. Spojrzał przez lunetę. Uchwycił niewyraźny ruch sylwetki w szerokim oknie Komory Burz.

Myślał, ile jeszcze przyjdzie mu tu czekać, w zawieszeniu, wysoko nad miastem z dwoma milionami obcych ludzi, w samym sercu Imperium Mann. Na cierpliwości mu nie zbywało; większą część życia spędził, siedząc i czekając, żeby coś się stało, żeby nadarzyła się okazja. Było to główne zajęcie Rōshuna, kiedy nie ryzykował życia na ostatnich, gwałtownych etapach wendety.

Ale to czekanie wydało mu się inne. W końcu nie była to wendeta Rōshuna. Był tu odizolowany, bez wsparcia, nawet bez domu, do którego mógłby wrócić po dokonaniu aktu osobistej zemsty. I jego stan najwyraźniej się pogarszał.

Był zaskoczony, kiedy pojawiła się samotność, osiadła obok żaloby, poczucia winy. Przy płynęła tego pierwszego wieczoru, kiedy znalazł się sam w mieście Q'os; kiedy Baracha, Aleas i Serese odeszli, żeby wrócić do klasztoru Rōshunów w Cheem; kiedy wendeta na synu matrony została dopełniona, a jego uczeń zginął z jej rozkazu. To była długa noc. Owinięty w pelerynę, w najbezpieczniejszym punkcie, który potrafił znaleźć, obserwował Świątynię z dachu teatru, kiedy dopadła go czarna samotność.

Ash położył się i naciągnął pelerynę na zeszywniałe ciało. Oparł głowę o but i splótł palce na brzuchu pod szorstką tkaniną peleryny. Do tej pory, odkąd sprawował czuwanie, była to pierwsza pogodna noc. Bliźniacze księżycy zdążyły już zejść na zachód, a nad głową Wielkie Koło obracało się tak jak zawsze, powoli i płynnie, niczym przyływ. Po prawej, nisko na niebie, wisiał gwiazdozbiór Wielkiego Błazna. Stopa mędrca unosiła się tuż nad ziemią. Wyżej, bardziej na prawo, Kapturem Ninshi nieustannie przyglądał się wszystkiemu.

Ash stwierdził, że obserwuje gwiazdy tworzące twarz pod kapturem. Najczęściej gapił się w jedyne oko lśniące mocno rubinowym światłem, w Oko Ninshi. Ta gwiazda różniła się od wszystkich. Czasem zniknęła całkowicie z pola widzenia, podczas gdy jej towarzyszki płonęły nadal, by za kilka godzin powrócić, powoli jaśniejąc, aż stawała się taka jak przedtem.

Starzy widzący z Honshu twierdzili, że aby zobaczyć, jak Ninshi przymyka oko, trzeba się oczyścić ze swoich największych grzechów.

Ash patrzył w Oko bez mrugnięcia. Przyglądał się tak długo i dokładnie, że własne oczy zaczęły go piec i migotać, ale patrzył nadal, z nadzieją że gwiazda zniknie.

Nie zauważył, kiedy sięgnął po gliniany flakon z prochami, zwisający mu z szyi, i mocno go ścisnął.

## Rozdział 2

# Ché

Ognisko domowe, przyjaciele, krewni... to nic innego, jak tylko kolektywne zaprzeczenie słabych w odpowiedzi na podstawową prawdę naszego bytowania: że każdy z nas prowadzony jest impulsami własnej korzyści i niczym innym.

Oto dlaczego słabi nie cierpią oskarżeń o samolubność. Dlaczego zawsze miłują bliźniego i są życzliwi, kiedy to im odpowiada. Dlaczego z wielkim przekonaniem mówią o duchu sprawiedliwego społeczeństwa.

Ale pochwyćcie tych ludzi. Uciśnijcie ich. Głodźcie ich. Obedrzyjcie ich z myśli o solidarności, aż będą prawdziwie wystawieni na rzeczywistość.

Potem wybierzcie jednego. Powiedzcie mu, że może się uratować, jeśli zgładzi innego. Dajcie mu klingę.

Patrzcie, jak bierze nóż z waszej ręki i dokonuje czynu.

\*

Dyplomata Ché uniósł rękę do ust, żeby stłumić znudzone ziewnięcie, i przez chwilę słyszał, jak słowa z *Księgi Kłamstw* milkną w jego uszach. Akolitka stojąca najbliżej niego przyglądała mu się przez otwory w masce. Popatrzył na kobietę chłodno, nie mrugając, aż odwróciła wzrok.

Ché leniwie rozejrzał się po wielkiej, pozbawionej okien komorze wypełnionej dymem i gazowym światłem. Spojrzał w stronę sufitu, niewidocznego w ogromnej przestrzeni wznoszącej się na dziesiątki metrów nad nimi - tutaj, wewnątrz, miało się wrażenie, że tkwi się na dnie studni. Skupił uwagę na morzu ogolonych głów zgromadzonych w wigilię Augere el Man, setkach kapłańskich oficjarów Koła, słuchających z uwagą świętych słów Nihilisa, pierwszego Świętego patriarchy Mannu.

Ché nie wiedział, czy jeszcze wierzy w to nauczanie albo czy kiedykolwiek w istocie uznawał ideę wiary - czym była, jeśli nie widzeniem świata tak, jak chciało się go widzieć, poprzez osobiste doświadczenie, skłonności i opinie? Rzadko zbliżała człowieka do prawdy, chyba że przez przypadek albo samospelniające się proroctwo; częściej prowadziła do królestwa złudzeń albo końskich okularów fanatyka.

Ché wolał sobie przypomnieć pierwszy werset zabronionej satyry Chunaskiego, *Morscy Cyganie*: „Wiara jest jak dziura w zadku, bo każdy ma swoją”.

Założył ramiona na pierś i przesunął ciężar ciała na drugą nogę, opierając się o chłodną mozaikę na ścianie. To był długi dzień i nadal nie było widać końca. Chciał tylko jednego: zakończyć sprawę, pójść do domu, do swojego mieszkania i odpocząć w wygodnym własnym towarzystwie.

Ché szukał konkretnej twarzy człowieka, którego miał tego wieczoru pilnować. Zgromadzenie kapłanów wypełniało salę wyposażoną w pięć wąskich szeregów siedzeń: pięć dla każdego z miast Lanstrady, centrum kraju Mann, z Q'os w samym środku i dwa zewnętrzne dla regionów Markesh i Ghazni. Człowiek, którego szukał, Deajit, siedział między frakcjami z miasta Skul, z centrum kraju, kilka rzędów za pojedynczym krzesłem ustawionym na przodzie ich sektora, gdzie arcykapłan Skul, Du Chulane, spoczywał w samotnej ciszy twarzą do centralnego podium na pierwszym planie. Na chwilę stracił swojego człowieka z oczu, ale potem kapłan nachylił głowę, żeby szepnąć coś do ucha sąsiada, i Ché widział go przez chwilę. Powieki młodego kapłana były przymknięte, jakby przysypiał albo oddawał się głębokiej kontemplacji.

Ché westchnął, przyjął jeszcze bardziej niedbałą postawę. Dobrze pasował do tego miejsca, prowadził obserwacje z obrzeża komory, gdzie niżsi rangą kapłani stali między nielicznymi akolitami-strażnikami, a inni wchodzili i wychodzili przez drzwi z tyłu sali. Koło zbierało się tu co roku podczas tygodnia Augere. Zgromadzenie organizowano zawsze w nocy, w ukłonie starym zwyczajom mannijskim, kiedy nie było niczym więcej jak tajnym miejskim kultem, spiskiem przeciwko Q'ozyskiej dynastii. Zawsze trwały niemal do świtu.

Dudnienie przetaczającego się gromu; setki tupiących stóp, kazanie się skończyło. Oficjarowie łapali okazję, żeby wyjść i się odświeżyć. Inni pospiesznie wracali. Deajit pozostał na miejscu, kiedy nowy mówca wszedł na podium i przedstawił się jako oficjar podatkowy ze Skansk. Deajit wyprostował się na siedzeniu, jakby nagle go to zainteresowało.

Nowy mówca rozpoczął pełen pasji wykład dotyczący spadających zbiorów w Ghazni. Lata boomu, intensywnej uprawy i nadmiernie irygowanych pól wschodniego regionu skończyły się krachem produkcji. Aby utrzymać dochody, ciągnął mówca, trzeba w nadchodzącym roku podnieść podatki i obcinać, jak tylko się da, wydatki publiczne. To wystarczyło, żeby rozległ się kolejny chór tupiących stóp.

Ché stwierdził, że znowu, w roztargnieniu, drapie się po szyi, tuż pod prawym uchem, gdzie dudnił obcy, szybki puls. Był to gruczoł pulsacyjny, wszczepiony pod skórę, reagujący na taki sam gruczoł kolegi dyplomaty znajdującego się w innym miejscu komory. Już kilka



razy przyglądał się uważnie twarzom kapłanów i zastanawiał, który to mógłby być i czy w istocie jest tu ich więcej. Ale nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, poza podejściem do każdej osoby w sali, więc przestał się drapać i z całych sił starał się zignorować pulsowanie, chociaż nadal błędził wzrokiem pośród twarzy.

Zwrócił się do wewnątrz, pozwalając swobodnie płynąć myślom, żeby zabić czas.

Myślał o luksusowym nowym apartamencie w południowej dzielnicy świątynnej, przekazany mu niedawno po powrocie z misji w Cheem. Była to nagroda od Sekcji, jak się zdaje za ostatni pokaz lojalności. Myślał też o dwóch młodych kobietach, Perl i Shale, z którymi spotykał się przez ostatnich kilka miesięcy dla seksu i przyjemności płynącej z ich niezobowiązującego towarzystwa. Jak kot bawiący się kawałkiem sznurka, zastanawiał się, którą odwiedzi teraz, by spędzić wieczór pełen rozrywek.

Jego wzrok pochwycił ruch. To był Deajit, który wreszcie wstał z miejsca. Ché patrzył, nie odwracając głowy, jak młody kapłan idzie do drzwi na tyłach komory.

Odepchnął się od ściany i poszedł za nim.

\*

W bieganinie głównego korytarza rytm gruczołu pulsacyjnego Ché zwolnił i stał się prawie niewyczuwalny. Ché zauważył przed sobą Deajita. Kapłan raczył się kieliszkiem wina z jednego ze stołów bankietowych ustawionych w rzędach po obu stronach holu. Wzdłuż stołów stali służący i objaśniali wystawione na nich egzotyczne dania. Deajit nabrał na łyżeczkę mięsa homara, potem spróbował kęs galaretki z tuku mamuta śnieżnego. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Ché zatrzymał się i poszukał schronienia we wnęce z brązową statuą naturalnych rozmiarów przedstawiającą Nihilisa. Uderzająco skwaszona twarz Pierwszego Patriarchy zawisła nad nim; twarz sławniejsza teraz niż za jego życia. Ché wyjął mały flakonik z kieszeni szaty. Odkręcił wieczko i odwrócił flakonik do góry dnem, trzymając palec na otworze. Starannie zamknął flakonik i przeciągnął wilgotny palec wzdłuż warg. Przez sekundę ledwo wyczuwalny zapach trucizny uderzył go w nozdrza, a potem zanikł.

Deajit poszedł do jednego z bocznych pomieszczeń przy głównym korytarzu, nadal trzymając kieliszek w dłoni. Ché, przechodząc obok stołu, też schwycił kieliszek i wszedł za mnichem do środka.

Wzdłuż górnej połowy pomieszczenia biegła galeria widokowa. Ché zatrzymał się przy balustradzie, tak by widzieć Deajita kątem oka, potem spojrzał w dół, na odbywającą się poniżej mniejszą konferencję. Uczestniczyło w niej kilka tuzinów mnichów, większość była uderzająco młoda. Twarze mieli ożywione, słuchali człowieka, który przemawiał przed

wielką mozaikową mapą Imperium. Kapłan omawiał, zdaje się, oburęczne podejście do rządów.

Deajit sączył wino i słuchał wykładu prowadzonego poniżej. Kilku innych kapłanów zatrzymało się na galerii, patrzyli albo mamrotali po cichu między sobą. Ché został tam, gdzie był. Uważał, żeby nie tknąć własnego wina, a nawet żeby nie oblizać warg.

Oczy samowolnie oglądały szczegóły mapy, bo Ché był miłośnikiem takich dzieł.

Zauważył przewagę białego, który przedstawiał narody zdominowane przez Mann. Biel rozpościerała się na większej części znanego świata, jak natarcie glacialnego lodu. Potem przyjrzał się cieplejszym różom tych, którzy nadal się mu przeciwstawiali: lidze Wolnych Portów na południowym Midērēs, izolowanej i samotnej; Zanzaharowi i Kalifatowi Alhazii na wschodzie, jedynym dostawcom czarnego prochu z tajemniczych ziem Niebiańskich Wysp, plamkom górskich królestw w Górach Araderes i w Wysokim Pashu.

Wiedział, że wkrótce wybierze się do jednego z tych narodów w różu, gdzie będzie towarzyszył inwazji, by pomóc pokonać ludzi, których Imperium naznaczyło jako najgroźniejszego z wrogów. Ché podejrzewał, że miało to większy związek z ich zbożem i bogactwami mineralnymi niż z groźbą, jaką mieli stanowić, nie mówiąc o ich aroganckim nieposłuszeństwie wobec ideologii Mannu. Zawsze będzie to jednak szansa na ucieczkę od ograniczeń Q'os, jego fanatyzmu, paranoi, gry o władzę, która stanowiła krwiobieg imperialnej stolicy i małostkowych zleceń na morderstwo, które w niezwykle sposób stały się jego życiem.

Ché spojrział w okno na przeciwległej ścianie, na poziomie galerii widokowej. Wychodziło na północ, na śpiącą metropolię Q'os. Kilka statków powietrznych znajdowało się w zasięgu wzroku, ich rury napędowe zostawiały smugi ognia i dymu na rozgwieżdżonym niebie. Pod nimi leżało wyspiarskie miasto, wielki drzeworyt lśniących świateł i wykonane ludzką ręką wybrzeże wciśnięte w czarną kapę morza.

Ché śledził kontury dłoni wielkości wyspy, wreszcie jego uwaga spoczęła na Pierwszym Porcie - przestrzeni wodnej między kciukiem wyspy a jej palcem wskazującym, gdzie punkciki nocnych świateł lśniły w ciemności; flota, która powiezie go na wojnę, jak tylko rozkaz zostanie wydany.

- Jak uczył nas Nihilis - mówił orator na dole - i jak wypróbowaliśmy i dopracowaliśmy to przez lata naszej ekspansji, rządzić absolutnie, to rządzić z jednej strony za pomocą siły, z drugiej, za pomocą konsensu. Ludzie muszą uczestniczyć w podporządkowaniu samych siebie Mannowi. Muszą zrozumieć, że to najlepszy i najprawdziwszy sposób na życie.

Oto dlaczego, kiedy zakon na początku opanował Q'os podczas Najdłuższej Nocy, pozbył się dziewczyny-królowej i starych szlacheckich partii politycznych, ale utrzymał jego demokratyczne zgromadzenie. I dlatego obywatele środkowej części i Średniego Imperium głosują na najwyższego kapłana swojego miasta i niższych rangą zarządców swoich dystryktów w akcie, który nazywamy ręką współuczestnictwa; ręką pozwalającą ludziom na niewielki udział w zarządzaniu własnym życiem, a przynajmniej na jego pozór. To jest tajemnica naszego sukcesu, chociaż trudno ją nazwać tajemnicą. To jest to, co pozwala nam rządzić tak sprawnie.

Ché skrzywił się na te słowa usta. Wiedział, że potrzeba więcej niż dwuręczna metoda mannijska na utrzymanie władzy nad znanym światem. W końcu był dyplomata, częścią trzeciej ręki, ukrytej metody. Tak jak byli nią Elash, szpiegzy, szantażyści i spiskowcy od zamachów i kontrzamachów. Regulatorzy, tajna policja; ci którzy obserwowali tłum, szukając śladów odstępstwa albo organizacji, i twierdzili, że przestępstwem jest wszystko, co przeciwstawia się metodom Mann.

Zauważył, że Deajit także uśmiecha się, słuchając. Przez moment Ché poczuł z nim nikłą więź. Może on także jest uwikłany w trzecią rękę. Po raz pierwszy zastanowił się, co on zrobił, żeby zasłużyć sobie na taki los, bo jego przewodnik nic nie powiedział poza tym, co trzeba zrobić.

Ale wtedy Deajit odwrócił się i poszedł w stronę drzwi. Nadszedł czas.

Ché zrobił krok do przodu i kapłan otarł się o jego ramię. W mgnieniu oka schwycił go za nadgarstek i okręcił tak, że stanęli twarzami do siebie. Wyraz osłupienia pojawił się na tępej twarzy mnicha.

Bez ostrzeżenia Ché przyłożył wargi do warg Deajita, rozplaszczając je w mocnym pocałunku.

Kapłan odsunął się z gniewnym sapnięciem. Ze złością spojrzał na Ché. W nadgarstku, który nadal trzymał w dłoni, Ché wyczuł dreszcz przechodzący przez ciało mnicha.

- Nie wolno zdradzać zaufania przyjaciół - powiedział cicho Ché, tak jak mu kazano, i zwolnił uścisk. Jego własne serce biło szybko.

Deajit otarł usta wierzchem dłoni i wyszedł z sali, rzucając za siebie spojrzenie na Ché.

W korytarzu, na zewnątrz, nigdzie nie było widać Deajita.

Skoro tak, całkowicie wyrzucił kapłana z pamięci, jakby młody człowiek był już martwy.

\*

Bum, bum, bum.

Akolitka odsunęła pięść w rękawicy od masywnych żelaznych drzwi Komory Burz i odstąpiła, żeby zostawić Ché samego, kiedy drzwi otwierały się na oścież.

Naprzeciwko stał stary kapłan, którego Ché nie rozpoznawał. Słyszał, że poprzedni odźwierny został stracony, bo pomyłkowo pozwolił Rōshunowi wejść do Komory Burz, kiedy ostatnio wdarli się do wieży. Mówiono, że jego losem było długie czołganie się po Krokodylu, a potem powolne miażdżenie w Żelaznej Górze.

Po chwili wahania Ché przestąpił próg i wszedł do środka.

W Komorze Burz prawie nic się nie zmieniło od ostatniego razu, kiedy go tutaj wezwano. Zaledwie - ile? - miesiąc, dwa temu? Nie pamiętał. Stwierdził, że jego linearna pamięć uległa dziwnemu rozproszeniu, odkąd powrócił z misji dyplomatycznej przeciwko Rōshunom, jakby nie chciał już pamiętać porządku swojego powszedniego życia. Tego wieczoru komora była pusta, ale wszystkie lampy płonęły jasno i trzaskały w osłonach z zielonego szkła.

- Święta matrona wkrótce do ciebie przybędzie - oświadczył stary kapłan, skłonił się i odszedł do pomieszczenia obok drzwi wejściowych. Ché splótł ręce w rękawach szaty i czekał.

Gruzoł pulsacyjny zwolnił teraz rytm, dostosowując się do bicia serca Ché.

Przez okna otaczające okrągłą przestrzeń widział Świętą matronę Sasheen stojącą na zewnątrz, na balkonie, w otoczeniu niewielkiej grupy kapłanów; wysoka kobieta ubrana w niewyróżniającą się, prostą, białą szatę rozmawiała, patrząc ponad balustradą w czarne niebo nad Q'os. Głosy, stłumione przez grube szkło brzmiały jak szept.

Węgiel trzaskał na kamiennym kominku pośrodku pokoju, dym wciągany był w żelazny komin niknący w powale sypialń nad komorą. Obok kominka stała kolejna mapa Imperium, w istocie taka sama, jak podczas jego poprzedniej wizyty: karta przybita do drewnianej sztalugi, zadrukowana czarnym atramentem, nadal poznaczona prostymi pociągnięciami ołówka oznaczającymi proponowane ruchy floty podczas zbliżającej się inwazji na mercjańskie Wolne Porty. Półkole skórzanych foteli okalało kameralną przestrzeń; w innych miejscach stały inne fotele, długie ławy ze skrzyniami, pokryte narzutami z futra, i niskie stoliki z misami pełnymi owoców, płonące kadzidła, kałuże płynnych narkotyków.

To tutaj doszli, nagle pomyślał Ché. Tak daleko wdarli się Rōshuni, kiedy spróbowali ponownie. Właśnie tutaj, do Kirkusa, jej syna.

Ledwie mógł to sobie wyobrazić. Rōshuni, wedle wszelkich danych, kroczyli właśnie

przez ten pokój w poszukiwaniu ofiary, ich szlak znaczone trupami i rannymi wiódł aż do najniższego poziomu Świątyni Szeptów. Ché wątpił, czy nawet Shebec zaszedłby tak daleko - Shebec, jego stary, rōshuński mistrz, bardziej utalentowany niż inni, z wyjątkiem tego jednego.

Ash, pomyślał z intuicyjną pewnością. To musiał być Ash.

Ale potem Ché się zastanowił. Czy to w ogóle możliwe? Ash miałby dziś sześćdziesiątkę, o ile w ogóle żył. Czy w tym wieku udałoby mu się coś takiego?

Ktokolwiek to był, Ché nie mógł powstrzymać podziwu. Zawsze pociągały go operacje ryzykowne i wymagające śmiałości, na tę myśl poczuł, że na usta wypełza mu chytry uśmieszek. Świątynia Szeptów zdobyta przez armię szczurów, jakkolwiek na to patrzeć, i trzech Rōshunów wypełniających wendetę.

Bez ostrzeżenia głęboki śmiech zbulgotał mu w piersi, powstrzymał go tylko dzięki temu, że ugryzł się w policzek i poczekał, aż mu przejdzie. Odchrząknął i się opanował.

Mapa na sztaludze przyciągnęła jego wzrok.

Kolejna operacja wymagająca śmiałości - nie mniej niż morska inwazja na Khos. Ché jeszcze raz popatrzył przez okno na zgromadzonych kapłanów i podszedł do mapy, żeby dokładniej jej się przyjrzeć.

Odkąd ostatni raz ją widział, została zmodyfikowana za pomocą rozmaitych dodatków, chociaż podstawowe szczegóły pozostały te same. Dwie strzały zataczały łuk na południowy wschód, przez morze Midērēs i prowadziły wzdłuż wysp Wolnych Portów; dwie floty pozorujące, które odpłynęły przed tygodniem, żeby związać walką floty Wolnych Portów, z nadzieją, że wywabią eskadrony obrońców daleko od Khos. Obok, delikatnymi pociągnięciami ołówka, odnotowano rozmiary flot, czasy podróży i inne. Obfitość znaków zapytania.

Trzecia strzała biegła od stolicy Q'os, przez morze do położonej daleko na wschodzie wyspy Lagos, z jeszcze większą liczbą cyfr i zapytań wypisanych wzdłuż jej linii. Potem, z Lagos, czwarta strzała zjeżdżała w dół, do Khos - Pierwsza Flota Ekspedycyjna, inwazja na sam Khos.

Nieomal całkowicie zatopił się w studiowaniu szczegółów, kiedy zdał sobie sprawę - z nagłym przestrawieniem - że nie jest w pokoju sam.

Spojrzał na fotel, tak zakryty i głęboki, że nie dostrzegł istoty, która w nim siedziała: Kiry, matki Świętej matrony Mann. Stara wiedźma ręce złożyła na białej materii szaty. Ché wypuścił powietrze i przyjrzał jej się bliżej. Pod powiekami widać było błyski, dwoje srebrnych oczu.

Obserwowała go? Widziała, jak tłumi śmiech?

Ché poczuł, że włoski stają mu na ramionach. Był równie wstrząśnięty własną nieuwagą, jak jej przebiegłą obserwacją.

Kira Dul Dubois: jedna z uczestniczek Najdłuższej Nocy sprzed pięćdziesięciu lat. Plotkowano, że była kochanką samego Nihilisa, a nawet że była zamieszana w jego śmierć sześć lat po objęciu przez niego tronu jako Świętego patriarchy. To jakby znaleźć się w zasięgu wzroku srebrnego węża.

Powoli odsunął się od mapy z nadzieją, że jednocześnie usunął się z jej pola widzenia. Odchrząknął, ponownie stając pośrodku komory, nie patrząc już na starą kobietą.

W końcu szklane drzwi balkonowe rozsunęły się i kapłani zaczęli przechodzić przez komorę. Kilku, wychodząc, rzuciło ukradkowe spojrzenie w jego stronę; rozpoznał jednego z nich jako kapłana z sekcji handlowej, Frelase. Za nim szedł Bushrali we własnej osobie. Ché myślał, że dawno nie żyje, po tym jak nie udało mu się wykryć Rōshunów ukrywających się w mieście. Ale nie, po wielu manewrach politycznych, żeby uratować skórę, oto był, nadal żywy, a nawet nadal na czele Regulatorów. Więc może plotki były prawdziwe: że trzymał teczek z informacjami, którymi szantażował wszystkich arcykapłanów Q'os.

Niemniej, jak zauważył Ché, Bushraliemu nie udało się całkowicie uniknąć kary. Został wyposażony w naszyjnik Q'os, żelazną obrożę zaspawaną na szyi, z żelaznym łańcuchem, zakończonym małą kulą armatnią, którą trzymał pod ręką, kiedy przechodził obok. Będzie musiał nosić ten naszyjnik do końca życia.

Tylko Sasheen i jeden strażnik z ochrony osobistej pozostali na balkonie. Kobieta wyglądała na zamyśloną.

Ché poczuł na policzku przeciąg z otwartych drzwi, ale ledwie słyszał odgłosy miasta w dole, niezwykle cichego w ostatnich tygodniach wymuszonej żałoby. Sasheen odwróciła się i weszła do Komory Burz. Kciukiem i palcem wskazującym trzymała nasadę nosa, jakby dokuczał jej ból głowy. Strażnik pozostał na zewnątrz, powoli patrolował balkon. Kobieta zaś podeszła do stolika z parującymi misami i nachyliła się, żeby się zaciągnąć. Wyprostowała się z westchnieniem, twarz miała zaczerwienioną.

Oczy Sasheen rozbłysły na chwilę, kiedy zobaczyła, że czeka na nią dyplomata. Przeszła obok niego do kominka, wyciągnęła dłonie, łapiąc ciepło.

- Zrobione? - zapytała, stojąc do niego tyłem.

- Tak, matrono.

- Więc usiądź. Ogrzej się.

Nie czuł zimna, ale zrobił, co mu kazano; wybrał skórzane siedzisko przed

kominkiem. Siedział prosto, ręce miał splecione, oddychał głęboko, powstrzymując chętkę, żeby podrapać się po szyi. Po chwili Święta matrona odeszła od płonących węgla i usiadła obok niego, tak blisko, że stykali się kolanami.

Wyczuwał w jej oddechu zapach grzanego wina. Zdał sobie sprawę, że jest pijana.

Skóra fotela zaskrzypiała, kiedy założyła długie nogi jedną na drugą; szata rozeszła się wzdłuż nacięcia, ukazując miękki róż biodra. W porównaniu do jej zwyczajnego ubioru ta szata była wyjątkowo prosta, ale i tak bardziej skąpa niż powinna, bawełna opinała się na jej kształtach. Poniżej rąbka dostrzegł paznokcie bosych stóp pomalowane jaskrawą czerwienią.

- Bushrali powiedział, że nie przyjdą po mnie za zabicie ich ucznia.

- Rōshuni? - zapytał Ché.

Zmrużyła z irytacji oczy. „Nie igraj ze mną”.

Ché pokręcił głową.

- To nieprawdopodobne. Uczeń nie nosił pieczęci. Szukają wendety wyłącznie w imieniu tych, którzy mają pieczęć.

Rozważała jego słowa; spojrzała na śpiącą matkę, zanim przemówiła. Zauważył czerwone pręgi na jej szyi, schodziły w dół, pod kołnierz szaty. Wyglądały jak ślady gorąca pozostałe po Oczyszczeniu.

- Ale to będzie dla nich sprawa osobista - rzekła. - Publiczne upokorzenie. Mord na jednym z ich młodych.

Teraz o tym myśli, zastanowił się Ché. Długo po tym, jak się stało.

- Nie, oni nie rozumują w takich kategoriach. Mają własny kodeks. Wendeta to dla nich kwestia naturalnej sprawiedliwości, a przynajmniej prosta sprawa przyczyny i skutku. Mimo wszystko brzydzą się zemstą. Dążenie do wendety z powodów osobistych przeczyłoby pod każdym względem ich własnemu kredo, inaczej tego nie widzę.

- Rozumiem - powiedziała lekkim tonem, prawdopodobnie rozbawiona pomysłem, że istnieją takie zasady. - Bushrali powiedział mniej więcej to samo. Chciałam usłyszeć to także od ciebie: od kogoś, kto z nimi mieszkał i był jednym z nich.

Ché nie potrafił się powstrzymać, odwrócił więc na te słowa wzrok, chociaż wiedział, że zdradza nagle zakłopotanie. Mało nie podskoczył, kiedy poczuł, jak klepie go po nodze. Spojrzał w czekoladowe, ciemne oczy matrony i tym razem zobaczył w nich coś innego - łagodność.

Sasheen się uśmiechała.

- Guanaro! - zawołała przez pokój. - Pora na śniadanie.

Stary kapłan, który jej usługiwał, wyłonił się z bocznej komory przy drzwiach. Skinął

głową i wrócił do środka. Ché usłyszał szorstkie polecenia, stukot desek do krojenia, zamykanie i otwieranie drzwi kredensów.

- Może trochę krewetek piaskowych w maśle! - krzyknęła za nim Sasheen. Rozsiadła się i zapatrzyła w ogień na kominku. Dłonią niestrudzenie gładziła skórzane ramię fotela. - Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować - odezwała się cicho.

- Matrono?

- Dokonałeś wielkiej rzeczy, doprowadzając nas do siedziby Rōshunów. Dowiodłeś lojalności wobec mnie i zakonu. Dlatego zaprosiłam cię, żebyś został moim osobistym dyplomatą przy tym - machnęła ręką w stronę mapy - naszym planie. Rozumiesz?

Ché skinął głową, widział, że znowu mu się przygląda.

- Jadę na wojnę, na jedną z najbardziej ryzykownych wypraw, jakie przeprowadziliśmy. Kiedy tylko opuścę sanktuarium, będę tak samo narażona na niebezpieczeństwa jak wszyscy. Nie tylko ze strony wroga, również ze strony naszych ludzi. Generała Romano na przykład. Dać mu najmniejszą szansę, a gotów wyłupić mi oczy. A więc - znowu się uśmiechnęła, ulotnie, z napięciem, jakby coś wyznawała - potrzebuję wokół siebie takich, którym mogę powierzyć życie i będę pewna, że wypełnią moje rozkazy. Wykonają robotę bez skrupułów.

- Rozumiem - odparł Ché.

Wydawało się, że nie jest zbyt zadowolona z jego odpowiedzi. Odwróciła się, żeby przygotować sobie pałeczkę hazii z leżących na stoliku obok fotela.

- Wydałam ogólne rozkazy. Wyruszamy z flotą jutro rano, żeby połączyć się z Szóstą Armią w Lagos.

Ché poczuł w piersi lekki trzepot zniecierpliwienia. Przez chwilę patrzył na nią zimnym wzrokiem mordercy, słyszał w głowie chrypliwy głos jednego, ze swoich przewodników, który mówił, co ma zrobić, gdyby matrona okazała słabość albo podczas kampanii zagroziła jej niewola.

- Zatem ominie cię Augere - powiedział.

- Tak - oznajmiła Sasheen, szukając zapalki. - Godzina za godziną nudnej parady, która czyni ze mnie marionetkę.

Ché zwinnie wstał i podszedł do ognia, czując na sobie jej wzrok. Zapalił kawałek sitowia z glinianego garnka na piecu i przyniósł ogień Sasheen, która istotnie przyglądała mu się z rozbawionym zainteresowaniem.

Położyła palce na jego dłoni, żeby przytrzymać koniuszek sitowia. Jej okolone antymonowym proszkiem oczy zamigotały i spotkały się z jego spojrzeniem, jej wargi



łagodnie objęły koniec pałeczki hazii. Poczul pulsowanie w biodrach, w kroczu.

Przestań, durniu, napomniał się w duchu. Wiesz, jakie ma metody. Używa swoich wdzięków wobec tych, na których musi polegać.

Usadowił się wśród kłębow dymu hazii, tymczasem Sasheen odwróciła się w stronę drzwi do bocznej komory, skuszona zapewne zapachem smażonego masła.

- Jesteś głodny? - zapytała. - Zapomniałam cię zapytać.

Myśl o wspólnym z nią posiłku, tutaj, w tej komorze, na szczycie świata, nagle przepełniła go zakłopotaniem.

- Nie, dziękuję. Dopiero co jadłem.

Sasheen przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Popatrzyła na swoje bose nogi, potem znowu na jego twarz. Jej ręka na poręczy fotela przestała się poruszać; klapnęła raz, lekko, o skórę.

- Na pewno słyszałeś, że wreszcie złapaliśmy Luciana. Elash porwali go z dworu księcia Suneed w Ta'if.

- Tak, słyszałem.

Wstała, lekko szeleszcząc szatą, i po dywanie podeszła do innego fotela obok kominka. Wielki, okrągły szklany dzban stał samotnie na stole, prawie po brzegi wypełniony białym płynem. Rozległ się odgłos szkła zgrzytającego o szkło, kiedy ostrożnie odkręcała wieko. Podwinęła prawy rękaw do łokcia; nachyliła się i powąchała znajdującą się w dzbanie substancję.

- Mleko królów - powiedziała, nie odwracając wzroku.

Ché zamrugał. Jeszcze nigdy nie widział Mleka, wiedział tylko o istnieniu znanej z sił witalnych wydaliny królowej Cree z ziemi Wielkiej Cizy.

Bogactwo małego królestwa zawarte było w tym jednym dzbanie.

Nawet ze swojego miejsca, ponad słodyczą smażonego masła i piaskowych krewetek, czuł zapach płynu. Był nieprzyjemny, jakby zapach żółci. Sasheen ostrożnie zanurzyła rękę w białej cieczy. Schwyciła coś i zaczęła wyciągać... garść zmierzwionych włosów.

Skalp, pomyślał Ché... ale za skalpem wynurzała się reszta: czoło, dwoje zamkniętych oczu, nos, utrwalone w grymasie usta, ociekający podbródek, nierówno odrąbana szyja. Przytrzymała tę zjawę nad dzbanem, biały płyn ściekał z uciętej głowy i z jej ręki jak żywe srebro.

Była to odcięta głowa mężczyzny w średnim wieku, stwierdził Ché, kiedy mleko spłynęło. Ciemne włosy posiwiały na skroniach. Szerokie, pełne usta, długi nos, ostro zarysowane kości policzkowe i brwi.

Kiedy z głowy spłynęła ostatnia kropla, Sasheen przeniosła ją nad stół i postawiła na ciemnej powierzchni tiquowego drewna. Twarz drgnęła z bólu albo zaskoczenia. Ché zeszywniał na fotelu, szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w to coś przed nim. Matrona odsunęła się od głowy, która z mruganiem otworzyła oczy, podbiegnięte krwią i umęczone. Białe mleko spływało z kącików ust, oczy spostrzegły Sasheen i spojrzały na nią z nienawiścią.

- Witaj, Lucianie - powiedziała.

Głowa zamknęła usta, jakby przetykała kęs powietrza.

- Sasheen - wykrakała dziwnym, mokrym głosem, jakby wyrzucała z siebie to słowo.

Ché popatrzył na matronę, potem szybko zerknął na głowę. Zgadzało się, to był Lucian. Niegdyś słynny generał i kochanek Sasheen, jeden z pierwszych lagozyjskich nobilów, którzy wstąpili w mannijskie szeregi, kiedy wyspa po raz pierwszy została podbita przez Imperium. Potem zdradził Sasheen, stanął na czele rebelii, żeby odzyskać niepodległość.

Ché widział fragmenty jego poćwiartowanego trupa wiszące na placu Wolności. Stojący pod nimi żołnierze odganiaли głodne kruki. Myślał wtedy, że dla tego człowieka nadszedł koniec. Okazało się jednak, że Sasheen miała inne pomysły co do losu byłego kochanka.

Święta matrona odwróciła się plecami do głowy. Uśmiechnęła się do Ché i niespodziewanie figlarnie na niego spojrzała.

Uniosła dłoń do ust i zaczęła po kolei lizać palce. Ché przyglądał się, widział rumieniec wykwitający na jej skórze, oczy otwierające się jeszcze szerzej. Skończyła z zachłannym mlaśnięciem.

- Na całym szerokim świecie nic temu nie dorówna - powiedziała szeptem i zrobiła krok w stronę Ché, jakby czegoś pragnęła.

Ché ponownie ogarnęła chęć, żeby się roześmiać. Potem było jeszcze gorzej, poczuł ból rozpychający mu pierś, kiedy położyła mu dłoń na policzku i mocno przycisnęła usta do jego ust. Wysunęła język, rozdzielając mu wargi.

Tak łatwo byłoby ją zabić, pomyślał, tu i teraz, gdyby wargi nadal miał posmarowane jadem.

Smak królewskiego mleka niczym nie przypominał innych smaków, których zakosztował. Nie był słodki ani kwaśny, gorzki ani słony. Język go zapiekł, potem zdrętwiał, Sasheen nie przestawała go całować.

- Dziwka - zza jej pleców dobiegł dziwny, beczący głos Luciana.

I wtedy Ché uderzyła fala, jak oddech ognia rozkwitającego w żyłach i arteriach. W jednej chwili zmęczenie zniknęło, krew żywo zaczęła krążyć, opanowało go uczucie nieważkości, wypełniła go światłość, powietrze i pierwsze nieklamane iskry pożądania.

Sasheen przyciągnęła go z jękiem i spojrzała bez ogródek w dół, na jego krocze. Odsunęła się tanecznym krokiem, z uśmiechem zadowolenia.

Sapnął, nieomal całkowicie się zapomniał, rzucił się na oparcie fotela, jakby upadał.

Dwa pulsy, pomyślał nieprzytomnie. Mam w szyi dwa pulsy.

- Ach, śniadanie - powiedziała, kiedy wszedł stary kapłan, niosąc tacę z jedzeniem.

Ché chciał się ruszyć, ale zrezygnował. Przywarł do fotela, jakby w każdej chwili mógł się od niego oderwać i polecieć, odgłosy Sasheen przygotowującej się do posiłku dochodziły do niego z tyłu, jakby z dala.

- Co to jest? - warknęła. - Są takie małe, że ledwie je widzę.

- Krewetki piaskowe o tej porze roku zawsze są małe, matrono. Są jeszcze młode.

- Nie można było ich trochę podtuczyć? A co to jest? Wszędzie ślady brudu. Podejrzewam, że załoga kuchni też jest za młoda o tej porze roku, żeby oczyścić srebra.

- Wybacz, matrono. Nadal uczę nowicjuszy, żeby pracowali jak należy. Zapewniam cię, że to się nie powtórzy. Jeśli sobie życzysz, każę przygotować coś innego.

- Mam czekać jeszcze dłużej? Nie. Możesz odejść.

Ché patrzył na ponurą twarz Luciana wpatrującego się w niego oszalałym wzrokiem. Odchylił głowę w bok i spojrzał na prawo, gdzie nadal nieruchomo siedziała starucha Kira.

Teraz nie było wątpliwości, pod jej powiekami widział błyski - ptasie oczy patrzyły na niego z oddali, jakby przewiercając na wylot.

Ché zamknął oczy i odpłynął.

## Rozdział 3

# Bez skrzydeł

Ha, pomyślał Coya, kiedy powiew wiatru szarpnął postacią zwisającą między dwoma statkami powietrznymi i zakołysał nią jak wahadłem zegara.

- Zatrzymać się! - krzyknął przestraszony dyżurny pokładowy, wznosząc rękę pod adresem marynarzy uwieszonych u liny pomocniczej. Natychmiast przestali ciągnąć i znieruchomieli. Przyglądali się rozkołysanej postaci z niepewnością ludzi, którzy nigdy nie próbowali dokonać takiego wyczynu i wiedzieli, że jest możliwy tylko z opowieści.

Za burtą, w powietrznej zatoczce między dwoma statkami, chwiejąc się na rozpiętej linie, postać na drewnianym krześle otworzyła usta i krzyknęła.

- Nie śpieszcie się, panowie!

Coya uśmiechnął się mimo strachu o tego człowieka.

- Na pokład z nim, Seday, teraz, szybko - rozkazał energicznie dyżurnemu pokładowemu i chociaż wyglądał młodo, jak na swoje dwadzieścia siedem lat - mimo że garbił się nad laską - marynarze wzięli się do roboty z szacunkiem sumiennych synów wobec ojca i znów pociągnęli za linę.

Właśnie wtedy uderzył kolejny podmuch, silniejszy od poprzedniego, i znów wprawił postać na krześle w piruety. Coya słyszał wiatr napierający na wiszącą ponad głowami jedwabną powłokę; widział, jak oba statki powietrzne schodzą z ustalonych względem siebie pozycji. Rury manewrowe strzelały wzdłuż ich boków ogniem, na pospiesznie wydawane rozkazy kapitanów. Mimo to statki odpływały od siebie, a lina drgała na pokładzie khosyjskiego statku. Straciła luz i mężczyzna kołysał się coraz bardziej niebezpiecznie pod napiętą cumą. Coya nabrał gwałtownie powietrza, nachylił się, oparł na lasce, mocno ściskając rączkę z kości słoniowej.

Strata tego człowieka równała się właściwie przegraniu wojny.

- Teraz, szybko! - rozkazał ponownie, nie spuszczać wzroku z człowieka, za którego był odpowiedzialny.

Człowiek był już daleko za punktem znaczącym połowę liny i wreszcie zaczął zbliżać się do statku. Wyglądał spokojniej niż Coya, który tylko przyglądał się z pokładu. Jego stopy

dyndały nad kilkusetmetrową przepaścią ponad wzburzoną powierzchnią morza, odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się poszarpanej linii brzegowej Minos i zatoce, w której miasto Al-Minos osadzone było jak błyszcząca perła. Kiedy się zbliżył, Coya zobaczył jego długie czarne włosy rozwiewające się wokół poczerwieniałej od wiatru twarzy, dłonie z wieloma zwyczajnymi pierścieniami, ciężką kurtę z niedźwiedziej skóry okrywającą wielkie ciało.

Nagle Coya poczuł, że serce zaczęło mu bić mocniej w oczekiwaniu na wejście Lorda Protektora.

- Spokojnie, chłopaki! - huknął generał Creed, kiedy wciągnęli go niezgrabnie na pokład. I oto, nagle, był tutaj, przewyższał ich wszystkich wzrostem, udawał nieskrępowaną nonszalancję, ale Coya zobaczył w jego oczach tylko rozbawienie.

Marynarze oswobodzili generała z uprząży zabezpieczającej, on tymczasem poklepał paru po ramieniu, żeby zrobić dobre wrażenie. Podszedł do Coi i podał mu rękę.

Coya poczuł olejek do włosów i ten koszmarny ziołowy kozi ser, tak ceniony przez Khosyjczyków.

- Miałem nadzieję, że żartujecie, kiedy zaproponowaliście przesiadkę w locie - powiedział stary generał. - Mogliśmy się spotkać na ziemi, co?

Zanim Coya odpowiedział, spostrzegł, że patrzy na niego Marsh, jego osobisty ochroniarz. Marsh marszczył brew na widok marynarzy, którzy nadal się cisnęli, żeby lepiej zobaczyć żyjącą legendę z Bar-Khos. Przegnał ich bezceremonialnie w stronę reszty załogi zebranej po przeciwnej stronie pokładu.

- Zbyt niebezpiecznie - odparł Coya, kiedy wreszcie nikt ich nie słyszał. Marsh stanął blisko nich i przyglądał się wszystkim na pokładzie przez przyciemnione refraktory. Na soczewkach z tyłu głowy widać było, jak mruga.

- Ktoś dostał?

- Ostatniej nocy w Al-Minos. Delegat Ligi z Saliny, który składał oficjalną wizytę, miał pecha. Uduszono go we śnie. To osiem zabójstw w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Co pozwala sądzić, że banda dyplomatów grasuje teraz w granicach miasta.

Lord Protektor skinął głową z obojętnym wyrazem twarzy, nie dzieląc się swoimi myślami.

Razem patrzyli, jak zwijano linę transferową na pokład khosyjskiego statku powietrznego, który przywiózł generała z Bar-Khos. Statek odpalił rury, żeby podjąć patrolowanie wokół statku minozyjskiego, na którym teraz przebywał generał. W ciszy Coya przyglądał się jego profilowi, próbując ocenić jego obecny stan. Creed wyraźnie się postarzał, odkąd półtora roku wcześniej się spotkali. Siwizna na skroniach rozrosła się w srebrne smugi,

a zmarszczki wokół oczu były głębsze. Z tego, co Coya słyszał, wszystko to ze zmartwienia.

- Przy okazji, jak się miewasz? - zapytał Lorda Protektora. - Mam nadzieję, że podróż przebiegła gładko.

- Dość gładko. Żałuję tylko, że nasze spotkanie musi być takie krótkie.

- Tak - przytaknął Coya. - Khosyjska rada musi się denerwować za każdym razem, kiedy na dłuższy czas opuszczasz Tarczę. - Obaj uśmiechnęli się na te słowa, wiedzieli, że to prawda. Spojrzeli na siebie, padło niewypowiedziane pytanie, po co w ogóle Creed tutaj jest. - No ale dobrze, że przynajmniej na trochę możemy się spotkać. W kajucie kapitańskiej szykują dla nas posiłek. Jeśli chcesz, możemy usiąść sobie wygodnie i na jakiś czas schronić się przed wiatrem.

Creed odpowiedział spojrzeniem, które mówiło, że nie zwykł myśleć o osobistych wygodach. Obrzucił wzrokiem Marsha, tłumek marynarzy, który nadal się im przyglądał, i samego kapitana.

- Jestem za stary, żeby czaić się ze strachu przed paroma zabójcami, jeśli to cię niepokoi - rzekł. - Radujmy się świeżym powietrzem podczas rozmowy, zjemy potem. - Przerwał i popatrzył na Coyę, nachylonego i grubo opatulonego przed zimmem. - Oczywiście, jeśli dla ciebie nie byłoby lepiej... wejść do środka.

- Dobrze mi tu, gdzie i tobie, dziękuję - odparł rażno Coya i uprzejmie pochylił głowę. Ten ruch, jak wszystkie inne, sprawił, że go zabolalo. Coya, mimo że był względnie młody, kości miał połamane artretyzmem jak starzec. - Pozwól, proszę, że przynajmniej podejmę cię *chee*, kiedy będziemy rozmawiali.

Creed przyjął propozycję. Wkrótce kuchcik stał przed Marshem z dwoma parującymi skórzanymi kubkami *chee* w dłoniach. Chłopak miał szeroko otwarte usta ze zdziwienia, krążył wzrokiem między imponującą postacią Lorda Protektora a osobliwym okazem Marsha, który zanurzał w kubkach *goyum*, żeby sprawdzić *chee*. Pojedynczy wąs pływał w gorącym płynie, ale torebka wielkości pięści zachowywała ten sam, neutralny, szarobrazowy kolor. Usatysfakcjonowany Marsh pozwolił przekazać kubki w oczekujące na nie dłonie.

- Jak się miewa twoja śliczna żona? - zapytał Creed zza wznoszącego się kłębu pary.

- Dobrze. Przesyła ci błogosławieństwo.

Jakie to wielkoduszne, pomyślał Coya, pytać o moją żonę, kiedy nadal oplakuje własną.

- Nigdy mi nie opowiadałeś, jak ją poderwałeś. Pewnie szantaż?

- Nie był potrzebny. Szaleje za mną. A ja za nią.

- A więc miłość. Niech litość obojgu wam pomoże.

Dowcipna ironia Creeda sprawiła, że Coya zamrugał rozbawiony.

- Musisz przyjechać i pobyć u nas, kiedy okoliczności na to pozwolą. Spodoba ci się. Rechelle sprawia, że dom jest zawsze pełen życia i dzieci innych ludzi.

Przez chwilę Coya myślał, że powiedział za dużo. Ale Creed odpowiedział ciepło.

- Tak. Spodobałoby mi się.

Popijali *chee*, stojąc przy relingu. Patrzyli w dół, na panoramę ziemi i morza, linię wybrzeża Minos, która powoli przesuwała się, w miarę jak statek dryfował z wiatrem.

Miasto Al-Minos, największy z Wolnych Portów na Wyspach Mercjańskich, lśniło w popołudniowym słońcu. Wokół niego rozciągały się odnogi zatoki, białe plaże przyciemnione tłumami ludzi i chmurami czerwonych latawców unoszących się w górze. Miasto-port w tym tygodniu świętowało i nawet obecność Pierwszej Floty, przygotowującej się do bitwy, w niewielkim stopniu przyćmiewała radosnego ducha. Żona Coi była tam, gdzieś na dole, na zatłoczonych ulicach miasta, ze swoimi rodzicami i mnóstwem dzieci jego siostry - a może w tej chwili oglądali konnicę przelatującą plażą Uttico, robili zakłady zaoszczędzonymi bonami, zając się świeżymi *pijajami* z komunalnych kotłowni świątecznych.

Poczuł ukłucie żalu, że nie ma go dzisiaj z nimi. Coya nie mógł się doczekać, kiedy spędzi dzień z rodziną i zapomni o tym wszystkim, choćby na chwilę.

- Dzień Zeziké - oświadczył nagle Creed, jakby właśnie zauważył latawce i zatłoczone plaże. - Wiesz, mało nie zapomniałem.

Coya wzruszył ramionami.

- Jesteś Khosyjczykiem. Można się było spodziewać.

- I my czcimy tego człowieka. Tyle że nie tak gorliwie, jak wy, fanatycy, tutaj na zachodzie. - Mówił lekkim tonem, ale jednocześnie obserwował z oddali uroczystości z czymś niewypowiedzianym w wyrazie twarzy, być może z tęsknotą. Coya mógł sobie tylko wyobrazić, czym to było dla tego człowieka i reszty ludu Bar-Khos, ściśniętego za murami, nieustannie poddawane bombardowaniom i szturmom, żyjącego dzień i noc na skraju zagłady.

- Ja tylko utyskuję, Marsalasio. Już masz mnóstwo na głowie.

Generał wyprostował się i odchrząknął. Popatrzyli sobie z Coyą w oczy, jakby spotkały się dwa samotne szczyty.

- I na ciebie przyszły ciężkie czasy. Nie byle czego muszą się po tobie spodziewać, po waszym ludzie. Po żyjących potomkach wielkiego filozofa.

- Trudno to nazwać brzemieniem w porównaniu z innymi.

Coya zapragnął zmienić temat, bo czuł się skrępowany rozmową o swoich słynnych

przodkach, wywodzących się od duchowego ojca demokrasów. Przyglądał się licznym okrętom wojennym w porcie - przypomniały mu, chociaż nie trzeba było mu przypominać, mannijskie floty zmierzające w ich stronę.

- Rewolucja obchodzi dzisiaj sto dziesiątą rocznicę - powiedział Coya. - Sto dziesięć lat odkąd obaliliśmy Wysokiego Króla i nobilów, którzy myśleli, że zajmą jego miejsce. A jednak zastanawiam się czasem, kiedy jestem sam i nie czuję się tak pełen nadziei, jak powinienem, czy nasze zniszczone marzenie demokrasów potrwa długo.

- Wolne Porty na razie nie zostały pokonane.

- Daj spokój. Niedaleko nam do tego, Marsalasio. Trzymamy się cudem. Mannijczycy odcięli nasze drogi handlowe i jesteśmy bliscy głodu. Zanzahar pozostał naszą jedyną arterią i w konsekwencji wyczerpuje wszystkie nasze zasoby, jak tylko może. Bar-Khos ledwo utrzymuje front na wschodzie. Floty Ligi ledwo utrzymują front na morzu. I nasz wspólny opór sprawia, że z dnia na dzień stajemy się coraz większym zagrożeniem dla dominacji Imperium. Dzięki nam świat co rano budzi się ze świadomością, że można żyć inaczej niż Mann. Właśnie dlatego Imperium nienawidzi nas tak żarliwie. To dlatego nie ustanie, dopóki nas nie pokona albo samo się nie wykończy, a Mann daleko jest od upadku.

- To zdarzało się już wcześniej. Wielkim imperiom stawiano opór i rzucono je na kolana. To może zdarzyć się znowu.

- Tak, oczywiście. Ale nawet gdyby miało tak być, to zastanawiam się... czy ideały demokrasów przetrwają? Czy nie będziemy musieli zapłacić za zwycięstwo zbyt wiele? Czy wtedy nie za bardzo zasmakujemy w wojnie i żądzy odwetu?

- Po Latach Miecza znowu zaprowadziliśmy pokój. Możemy zrobić to ponownie.

- Zaprowadziliśmy pokój, bo nasze zwycięstwo samo było odwetem. Byliśmy zaspokojeni, bo nobile zostali pokonani. Ale nawet wtedy o twórcę demokrasów trzeba było zaciekle walczyć. Czasy przejściowe zawsze są niepewne, Marsalasio.

Creed słuchał z nieodgadnioną miną.

- Tęskniłem do naszych rozmów - wyznał niespodziewanie, a Coya mógł się tylko z nim zgodzić. Upił łyk *chee*, czuł że delikatne ruchy statku uspokajają go.

- Jakie nowiny słyszałeś? - zapytał Creed. - Jakież ruchy w Q'os?

Coya wypuścił gorące powietrze.

- Nasi agenci niczego na razie nie odkryli, jeśli chodzi o czas i miejsce inwazji. Wydaje się, że to najlepiej strzeżona tajemnica Imperium. Wiemy tylko tyle, co zobaczyli na własne oczy. Inwazyjna flota transportowa stoi zakotwiczona w porcie Q'os. Okręty wojenne, które już opuściły port, zostały ponownie zauważone przez nasz dalekosiężny zwiad lotniczy.



Nie ma już wątpliwości. Są na kursie do zachodnich Wolnych Portów. Dziś rano nadeszło kolejne zgłoszenie, że druga prawdopodobna flota zbliża się od północnego wschodu.

- Hm.

- Tak. Podobnie zareagowałem.

Generał postawił kubek na relingu, nadal trzymając go w dłoni.

- Coya, teraz potrzebne są nam posiłki Ligi. Kiedy widzę manewr mylący, wiem, z czym mam do czynienia. Jeśli flota inwazyjna wyląduje w Khos, będziemy musieli w pełni obsadzić nasze forty nabrzeżne. Teraz mogą się oprzeć najwyżej silnym wiatrom.

- Wasz delegat z Ligi utrzymuje jednak co innego, wiesz przecież. Macie obecnie wystarczającą liczbę żołnierzy, tak nas zapewnia.

- Ach. Czego się spodziewasz po Chaskarim? On jest Michinë. Wiesz, jak bardzo boją się zmiany status quo. Popatrz, jak związali mi ręce, zmusili nas, żebyśmy schowali się za Tarczą i mieli nadzieję, że imperialna Czwarta Armia po prostu zniknie. Nie inaczej jest ze wszystkimi Ochotnikami, których Liga przysłała, żeby nam pomagali przez wszystkie te lata. Żołnierze żyją wśród naszych ludzi. Ludzie widzą, jacy są, bez zwierzchników, bez schylania głowy przed władzą. Przypominają wszystkim w Khos, że są członkami Ligi równymi wszystkim, jako demokraci. Przypominają im, że Michinë są tutaj wyłącznie z polecenia obywateli; że są przywódcami, którym powierzono odpowiedzialność za przywództwo, a nie władcami. Nie zdziwi cię, że khosyjska rada przeciwstawia się moim wnioskom o więcej Ochotników. Dlatego proszę cię osobiście o przysługę: przysyłaj ich bez względu na wszystko.

- Marsalasio, ale co więcej mogę zrobić? Ręce mam związane konstytucją, wiesz przecież.

- Przysyłaj ich bez względu na wszystko. Będziemy się martwić o konsekwencje, kiedy burza przeminie.

- Generale. Wierz mi, z ogromną chęcią wysłałbym każdego Ochotnika, na którego moglibyśmy się zdobyć, i zrobiłbym to już teraz. Wszyscy tego byśmy chcieli. Khos to nasza tarcza i każdy obywatel Ligi wie o tym. Ale Liga nie może się mieszać w sprawy pobratymczych demokracji, a szczególnie nie na żądanie jednego człowieka, nawet jeśli jest nim Lord Protektor Khos we własnej osobie. Możemy wysłać posiłki tylko wtedy, kiedy zażąda ich od nas wasz delegat. Od ciebie zależy, czy wasza własna rada zmieni zdanie.

- Starałem się, cholera.

- Więc musisz się starać bardziej.

Creed popatrzył ze złością na kubek, który trzymał w dłoni.

- A co z waszymi ludźmi? Już wcześniej ingerowali w khosyjskie sprawy. Mogą to zrobić ponownie.

Coya zmarszczył brwi.

- Marsalasio, to było, zanim ja nastąpiłem. I nie powinniśmy o tym tutaj mówić. Przepraszam. Ani Liga, ani nikt inny nie może teraz więcej dla was zrobić. Poczekajmy, zobaczymy.

To był koniec rozmowy. Creed oddychał ciężko przez nos i patrzył na Coyę, natężając wolę, jak tylko potrafił. Coya wytrzymał jego wzrok, nie drgnął; ciało miał napięte, pulsujące. Generał Creed był jak strzała w locie. Kiedy się go blokowało, czuło się fizyczny wstrząs.

Lord Protektor mruknął coś, zacisnął pięści na relingu. Coya mógł mu tylko współczuć, ale wyczuwał, że nadal omijają cel spotkania, podstawowy powód, dla którego Creed tu przybył.

- Mogliśmy załatwić to listownie - zaczął. - Nie musiałeś fatygować się taki kawał drogi.

- Nie.

Zamilkli, szarpał nimi wiatr. Niech się najpierw uspokoi, postanowił Coya.

Statek skręcał na nawietrzną, zabierając z tym ruchem otaczający ich świat. Minos odplynęło na lewo, a ich oczy wypełnił wyrazisty kobalt morza. Daleko na wschodzie Coya widział fragment łańcucha wysp, niewiele więcej niż skalisty wzgórek rozciągający się na południowy wschód, w stronę Saliny. Wyobraził sobie luźny zbiór wysepek za Saliną sięgający aż do odległego Khos, do jego najbardziej wysuniętego na wschód punktu, ponad sześćset łaq od miejsca, w którym teraz byli; archipelag Wolnych Portów i demokrasów, „ludzi bez władców”.

Obok egalitarnych partycyposów Minos, Coros i Saliny, jeśli poświęcisz swój czas na podróż przez Wyspy Mercjańskie, natkniesz się na takie, na których wybiera się rady poprzez losowanie i uważa, że w ogóle nie powinno być prywatnej własności; albo oparte na administracyjnym matriarchacie według starej tradycji, z prostym wiejskim przemysłem i ostro kontrolowanymi taryfami celnymi; albo na enklawy wolności dla wszystkich, jak na Coraxa, z zażartymi indywidualistami żyjącymi w luźnych hordach i rozproszonych gminach. W Lidze reprezentowane było nawet potężne Khos, gdzie ostatni mercjańscy nobile, Michinë, jakoś uczepili się władzy po miażdżących dla nich latach rewolucji sprzed ponad stu lat - niemniej wspomagane wieloma koncesjami na rzecz ludu - oraz stuleciach oblężeń i inwazji, które uczyniły z Khosyjczyków naród z wzajemnością uzależniony od tych, którzy płacili za obronę i ją podtrzymywali.

Różne demokrasie Wolnych Portów, oparte o marzenie więźnia politycznego zmarłego przed stuleciami - filozofa, którego krew krążyła w żyłach Coi, teraz, gdy o nim myślał - jednomyślnie były tylko w tym, że podzielały wspólne ideały konstytucji Ligi, przynajmniej w założeniu, a czasem w działaniu, i że były częścią tego unikatowego eksperymentu, jaki stanowiła władza ludu. To, co stworzyli, nie było utopią. Nikt ani nic nie będzie perfekcyjne. Ale walczyli o wolny i sprawiedliwy styl życia, bez niewolnictwa i wyzysku, i na większości wysp zbliżyli się do tego celu.

A teraz te spekulacje na temat inwazji dzwoniły mu w głowie dzień i noc; brzęcząca, niezborna seria obaw i chwiejnych nadziei. Trudno było teraz myśleć o czymkolwiek innym. Nie dalej jak wczorajszej nocy Coya miał sen, który sprawił, że obudził się w panice, roztrzęsiony i spocony.

We śnie zobaczył imperialną stolicę Q'os jako dygocące monstrum, pulsujące w absolutnym sercu Mann. Wypływały z niego macki, w poprzek świata ludzi, w formie samospełniającej się wiary, sięgały głęboko w ludzkie umysły podczas snu, a jeszcze głębiej na jawie; szepty o tym, że życie jest brutalnym współzawodnictwem i niczym więcej, że ludzkie wartości można znaleźć tylko w wymiernych sukcesach takich jak status i materia, zdobyte albo przyznane, że człowiek zawsze musi wyzyskiwać człowieka, że ci, którzy mają być wolni, muszą niewolić. We śnie szepty płynęły bez końca, aż słuchacze nie mieli wyboru, musieli uwierzyć w te słowa i żyć według nich, i tak samo ich sąsiedzi, i sąsiedzi sąsiadów; potrzeba potworności pulsowała w nich wszystkich, a oni napełniali się jej obrzydliwą mocą, stawali się tymi słowami, czynili z nich realność - a monstrum przez cały czas obzerało się, a świat stawał się coraz bardziej szalony i jałowy.

Coya przez całe życie gardził tyranią Mann i bał się jej. A teraz ta nieuchronnie zbliżająca się inwazja, te mannijskie floty zmierzające prosto ku ludom Ligi z zamiarem podboju, wszystko to wywoływało w nim koszmary w najzimniejszych godzinach nocy.

- Jest inna sprawa, którą muszę z tobą omówić - oświadczył Creed, wydobywając się z własnych myśli. - Coś, o czym mogę rozmawiać tylko osobiście.

- Och?

- Jeśli się nie mylę i Mannijczycy napadną na Khos, a nie na Minos, prawo wojenne i cała związana z nim władza wpadną w moje ręce. Chcę, żebyście wy, ludzie Few, wiedzieli, że skorzystam z tej władzy tylko zgodnie z jej przeznaczeniem, w obronie Khos. Nic ponad to.

- Doprawdy, Marsalasio. Nie tutaj.

- No to gdzie? Czasu jest mało. Chcę, żeby ludzie Few wiedzieli, że nie knują planów

przyjęcia dyktatury.

Coya pokręcił głową.

- I tak nawet w myśli by mi nie powstało. Jak zawsze... - Coya zaciął się, otworzył usta.

Zwrócił uwagę na Marsha. Coś zmieniło się w postawie tego człowieka, jakaś nagła czujność, która pozostałaby niezauważona, gdyby Coya nie znał go prawie całe życie.

- Jestem pewien, że twoje słowa zostaną dobrze przyjęte - kontynuował, a Creed popatrzył w ślad za jego wzrokiem: obaj spoglądali na Marsha, na ręce ochroniarza, które teraz sięgały pod brązowy, skórzany płaszcz, po coś przy pasie. - Z naszej strony nie masz się czego obawiać, wierz mi. Jesteś wystarczająco mądry i nie pozwolisz, żeby taka władza zniszczyła cię całkowicie... Ponadto, za dobrze znasz konsekwencje, gdyby miało się to kiedykolwiek zdarzyć...

Coya zamrugał ze zdumienia, kiedy Marsh uniósł w dłoni pistolet i wycelował go w załogę.

Przeniknął go huk wystrzału. Gapił się zszokowany na swojego ochroniarza, który stał tam, jak jakiś pojedykowiec, z prawą nogą wysuniętą do przodu, z drugą ręką nadal pod płaszczem, szukającą czegoś u pasa. Chmurka dymu, u końca uniesionego pistoletu, rozwiewała się na wietrze. Coya spojrzął za linią strzału, zobaczył człowieka padającego tyłem na pokład, a wokół niego członków załogi, którzy krzyczeli zaskoczeni albo nurkowali w poszukiwaniu osłony. Zobaczył, że ofiarą był mnich, jeden z dwójki mnichów, którzy weszli na pokład, żeby pobłogosławić okazję do spotkania.

W pobliżu rozległ się kolejny wystrzał, tak głośny, że nieomal pękło mu serce. Creed, stojąc przy nim, krzyknął coś, jakieś odłamki przeleciały obok nich ze świstem.

Tuman czarnego dymu przepłynął tam, gdzie stali, przy relingu. Wystarczyło mu czasu, żeby dostrzec, jak drugi mnich skacze ku nim, z czymś okrągłym i czarnym w dłoni. Marsh wyciągnął drugi pistolet spod płaszcza i strzelił, zanim dym pochłonął ich całkowicie. Potem Coya leżał rozpostarty na pokładzie, a jakiś wielki ciężar wyciskał z niego wnętrzości.

Kiedy dym się rozproszył, Marsh nadal stał na swoim miejscu, ręce miał puste, nie licząc noża. Odwracał się, śledził mnicha, który skakał przez reling, szukając śmierci.

Coya sapnął, kiedy mnich zniknął za burtą.

- Nic ci nie jest? - upewnił się Creed i poklepał go, zanim pomógł mu wstać.

Coi wrócił głos.

- Ze mną chyba wszystko w porządku - powiedział, nachylając się niezdarnie po laskę.

- A co z tobą? - zapytał, opierając się o nią. Popatrzył na generała. - Zdaje się, że krwawisz z

czoła, o tutaj.

Creed pomacał się po głowie. Płytką raną podbiegała szkarłatem. Generał zmarszczył brwi i odwrócił się, żeby spojrzeć przez reling. Coya też był ciekaw.

Poniżej, daleko poniżej, biała kopuła dryfowała w dół, ku powierzchni morza. Kiedy wiatr zniósł ją w stronę wybrzeża, zobaczył wiszącego pod nią człowieka; przypalany pomarańczowy kolor był nie do pomylenia.

- Ci dyplomaci - rzekł Creed, kręcąc głową z widoczną fascynacją. - Z roku na rok stają się coraz bardziej szaleni.

## Rozdział 4

# Dom przy ulicy Tempo

Leżeli pokryci potem, płuca ciężko pracowały, ich własne krzyki nadal dźwięczały im w uszach; oboje spoczywali jak męczennicy na przemoczonym łóżku, ich ciała lśniły w świetle dnia przenikającym przez sfatygowane, stęchłe zasłony z galowych koronek, zaciągnięte w otwartym oknie.

Bahn mrugnął, żeby oczyścić oczy. W powietrzu nad łóżkiem tańczyły mole, jakby się bawiły, wypłoszone szaleństwem ostatniej godziny.

- Robimy za dużo hałasu - zamruczała, leżąc obok niego, ale bez szczególnego niepokoju w głosie, kiedy dziecięce krzyki zadźwięczały spod cienkich desek podłogi, a spoza jeszcze cieńszej ściany za ich głowami rozległy się głosy.

Bahn był w stanie tylko sapać i czekać, aż uspokoi się jego galopujące serce. Był rozpalony, skopał koc, który oplątał mu kostki. Otarł zarośniętą twarz i zdał sobie sprawę, że rano się nie ogolił.

Pokój był wielkości kredensu, z trójkątnym, spadzistym, belkowanym sufitem, za niskim, żeby mężczyzna mógł stanąć swobodnie wyprostowany. Cuchnął wilgocią, seksem i ostrym dymem z kadzielnicy stojącej pod otwartym oknem. W Bar-Khos tego rodzaju pokój na poddaszu nazywali grzędą. Stanowił lokum prostytutek i ulicznych kanciarzy albo tych, którzy ukrywali się przed prawem.

Bahn popatrzył na dziewczynę, która przyturlała się do jego boku i położyła mu rękę na brzuchu. Jej biała skóra była gładka jak papier. Małe piersi, poczerwieniałe tak jak twarz, rozpląszczyły się o jego tors, a on leżał i lubował się tym doznaniem oraz łagodnym śpiewnym głosem, grającym mu w uszach.

- Albo raczej ty robisz za dużo hałasu - stwierdziła z lagozyjskim akcentem, zsunęła rękę w dół, po jego brzuchu, i polakierowanymi paznokciami pogłaskała go po włosach łonowych.

- Ty też nie byłaś cicho - wydyszał, czując, jak pod jej paznokciami, sięgającymi teraz dalej, napina mu się moszna. Na słodką litość, znowu reagował. Nie było mu dość tej dziewczyny.

W roztargnieniu zastanawiał się, czy aby w te ostatnie dni i tygodnie nie opętał go cień; jeden z tych duchów szalonego impulsu, które chwytają życie i za pomocą nienasyconych żądz gnają je na oślep ku tragedii.

Gdybym tylko wierzył w takie rzeczy, myślał Bahn, jak zwykle racjonalnie. Wiedział, że tę słabość musi dźwigać samotnie. Myślał o Marlee, swojej żonie. Jak zwykle, poczuł w żołądku pierwsze drżenie poczucia winy, mdłości, które będą mu towarzyszyły przez resztę dnia. Westchnął ciężko.

Dziewczyna leżąca obok niego zdążyła już poznać ten dźwięk, odsunęła rękę i zostawiła go w spokoju. Położyła głowę na jego ramieniu, spojrzenie niebieskich oczu utkwiła w niskiej, pochyłej, belkowanej powale. Przyglądał się ściętym końcówkom jej włosów koloru miodu, kłujących go w skórę.

- Ledwo cię poznałem, kiedy przyszedłem po raz pierwszy - powiedział.

Podniosła wzrok, jej oczy nadal go hipnotyzowały.

- Twoje włosy - wyjaśnił, wskazując ruchem głowy irokeza biegnącego przez środek głowy, jak godowy grzebień jakiegoś ptaka z dżungli. Czuł ich zapach, zapach wosku, który je pokrywał i usztywniał. - Wyglądasz przez nie jak jeden z tych wędrownych tuchoni.

- Nie podobają ci się? Meqa mi je zrobiła. Sama jest półtuchoni, a przynajmniej tak mówi.

- Bardzo mi się podobają. Są bez wątpienia... egzotyczne. - Ale Bahn nie mógł odegnąć myśli o tym, jak zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy stała na rogu z innymi ulicznicami z Dzielnicy Fryzjerów w rzadkim deszczu, który przylepił jej krótkie kręcone włosy do głowy. - Po prostu pomyślałem, że takie, jakie były, pasują do twojego imienia.

- Nadal mam loczki - zamruczała, kręcąc lok palcami. Mrugając, rzuciła mu spojrzenie spod rzęs.

- Już starczy - powiedział.

- Jak to?

Przez chwilę nic nie mówił.

- Poleżmy trochę dłużej. Dwoje ludzi razem w pokoju. I tak zapłacę ci za twój czas.

Uśmiechnęła się i był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jakim go obdarzyła.

- Może tak być.

Dziewczyna leżała oparta o jego ramię. Ściągnęła wargi i dmuchnęła na lśniącego mola, żeby odegnąć go od twarzy. Podążyła za nim wzrokiem, Bahn stwierdził, że robi to samo, śledzi jego ruchy w chmurze wirujących punkcików wypełniających pokój.

Mól unosił się nad stosem złożonych ubrań wciśniętych między łóżko a ścianę. W

końcu zniknął między liśćmi jubby w potrzaskanej drewnianej donicy, z której wyrastał pojedynczy, późno rozkwitły niebieski kwiat. Lagozyjski zwyczaj - sadzić rośliny w donicach i przynosić je do domu, moda, która zakorzeniła się w mieście, odkąd zaczął się nieustający napływ uchodźców z Lagos; nawet Marlee zaczęła tak robić.

Na zewnątrz tłum przewalał się pod oknem, wrzeszcząc obrzydliwie. Przez dłuższą chwilę Bahn po prostu gapił się przez koronkowe zasłony, patrzył na kamienice czynszowe w budowie po drugiej stronie, podwórka i komunalne działki z warzywami, na dźwigi i rusztowania sterczące pod lazurową płytą nieba. Zza cienkiej jak prześcieradło ściany za nimi znowu rozległ się głos; Meqa targowała się o cenę z klientem. Od spodu, z parteru, coraz głośniejszy słychać było dzieci.

Tych piętnaścioro dzieci stanowiło plemię, rządziła nim wyłącznie ich matka, Rosa, właścicielka domu, która, jak się okazało, wcale nie była ich matką; była natomiast wdową w średnim wieku, miała dobre serce i nie potrafiła nie przyjąć pod dach bezdomnego, głodnego dziecka, które napotkała. Same dzieci ledwie dostrzegały mężczyzn, którzy o każdej porze wspinali się po trzeszczących schodach z tyłu domu. Bahn, który ostatnio złożył tu kilka wizyt, został przez nie zignorowany, po paru zaledwie spojrzaniach w jego stronę - dzieci były zbyt zajęte wrzaskami w błocie na podwórku, walką o robaki i rykami zadowolenia za każdym razem, kiedy udało im się złamać robaka na pół.

To wystarczało, żeby Bahn zaczynał myśleć o własnym synu i córeczce niemowlęciu, ale jednocześnie odganiał te myśli, szybko, zanim zdążyły nabrać na znaczeniu.

- Jest cicho - powiedziała dziewczyna.

Miała na myśli milczenie dział przy Tarczy, pół łąka na południe.

Bahn skinął głową. Mannijskie działa milczały już ponad tydzień. Mówiono, że w całym Imperium ogłoszono czas żałoby w związku ze śmiercią syna matrony. W odpowiedzi działa obrony Bar-Khosyjczyków poszły za ich przykładem, chociaż wyłącznie po to, żeby zaoszczędzić proch strzelniczy.

Mówił z tęsknotą w głosie.

- To tak, jak przed dziesięciu laty, przed oblężeniem i wojną. Po prostu normalne odgłosy powszedniego dnia w mieście. - Bahn ponownie westchnął. - Zastanawiam się, czy jeszcze tak będzie.

- Mówisz, jakbyś miał jakiś kłopot. - Zmrużyła oczy, patrząc na jego twarz. - Coś słyszałeś?

Przez chwilę Bahn czuł napięcie w piersi, mięśnie zacisnęły się mocno wokół serca. Oczami duszy zobaczył odległe iskry ognia, jakby płonące miasta.



- Nie - skłamał. - I nie mógłbym ci powiedzieć, gdybym słyszał. - Bahn ścisnął ją za ramię, oddychając głęboko, próbował zmniejszyć napięcie w piersi. - Mam za dużo spraw na głowie, to wszystko.

O nic już go nie pytała, po prostu położyła głowę przy jego bijącym sercu.

- Nie powinieneś się tak przejmować - zamruczała.

- Dlaczego to mówisz?

- Bo martwisz się jak stara kobieta. Za dużo myślenia. - Uniosła głowę, żeby dwa razy stuknąć go w ciemię.

Zmusił się do uśmiechu.

- Moja matka jest taka sama. Zawsze martwi się o to albo tamto.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

Bahn przyjrzał się jej całej, rozciągniętej obok niego; lekko zaczerwienione nozdrza od wciągania drossu; siniak na szyi pasujący do jego ściągniętych warg. Znowu był wobec niej brutalny.

Kiedy po raz ostatni tak lubieżnie ugryzłem Marlee? - zastanawiał się. Uświadomił sobie, że było to, zanim ich syn przyszedł na świat, kiedy oboje byli młodzi i beztroscy.

Przesunął palcem po gładkiej skórze jej ramienia.

Tak czy inaczej, będę miał poczucie winy, myślał.

Bez ostrzeżenia wtoczył się na nią. Przez chwilę w jej oczach widać było zaskoczenie, ale po chwili zniknęło, kiedy nachylił się i pocałował ją w szyję; zastąpiło je coś nieodgadnionego.

\*

Przegrywa, pomyślała Loczek, kiedy Bahn wyszedł i tupanie jego buciorów ucichło na schodach, na zewnątrz budynku. Loczek widywała to wcześniej, u żołnierzy tego miasta cierpiących na wstrząs obłączniczy, mężczyzn gotowych stracić samokontrolę i w amoku pędzić przez świat, niszcząc wszystko, na wszystkich warcząc, żeby znaleźć drogę ucieczki. Zauważyła, że tacy byli zawsze najbrutalniejsi, ale prawdę mówiąc, Bahn nie był dla niej taki zły, raczej bardzo namiętny, jakby po prostu chciał, podczas tych krótkich godzin z Loczką, zapomnieć całkowicie o sytuacji, w jakiej się znajdował.

Może przypadek samobójczy, raczej nie furiat.

Ale i tak nie podobał się jej strach w jego głosie, kiedy mówił o milczących działach. Jakby czekało go nieszczęście, jakby wszystkich czekało nieszczęście. Nie chciała słuchać takich rzeczy; niech dzieli te obawy ze swoją żoną, której imię ciągle wykrzykiwał w najgorętszych momentach.

Loczek wstała i wsunęła zapłatę do sakiewki z monetami ukrytej w donicy z jubbą. W sakiewce była garść srebrników i trochę więcej miedziaków. Nie za dużo jak na cały ten jej biznes. Przy coraz większych brakach w zaopatrzeniu miasta, prowadzących do coraz wyższych cen, które sprawiały, że Rosa musiała wymagać coraz większych składek na posiłki, z tygodnia na tydzień było jej coraz trudniej zarobić nawet tę małą sumę.

Loczek nalała wody z dzbanka do glinianej umywalki. Stała nago na ręczniku, który położyła na skrawku podłogi przed wieszakiem, i umyła się kostką mydła o zapachu jabłka. Dym kadzidła kłębił się wokół niej, przeganiając odór z pokoju. Mimo to powietrze nadal było ciężkie, niedole i smutki mężczyzn trwały w ciszy. Loczek nucila coś z zapamiętanego dzieciństwa, sprawiając, że pokój znów należał do niej.

Gęsia skórka wystąpiła jej na skórze, kiedy chłodny wietrzyk wpadł przez otwarte okno. Szybko się wytarła i sokiem z cytryny posmarowała nogi, nieustannie gryzione przez pchły. Obejrzała włosy w srebrze stłuczonego lustra opartego obok umywalki, potem wślizgnęła się w bawełnianą szatę, którą nosiła, kiedy nie pracowała. Nadał nucąc, znów założyła na szyję drewniany amulet; słuchała krzyków Rosy, przeganiającej dzieci z kuchni.

Rosa wynajmowała górne pokoje domu, żeby wyżywić i ubrać plemię niesfornych urwisów. Dawało to dziwne połączenie; ich świat swawolnej młodości i napadów złego humoru przesączał się nieodmiennie do góry, przez ciasne wstrętne sesje kobiet pracujących w maleńkich pokojkach, upiorne żywoty zatwardziałych ćpunów uzależnionych od drossu, łagodne szaleństwo miejskich pustelników i szarpaninę artystów, którzy mieszkali obok. Ale jakoś to funkcjonowało, może po prostu dlatego, że nie mieli wyboru i musieli sprawić, by działało. Rosa utrzymywała czynsz na najniższym poziomie, na jaki mogła sobie pozwolić, i robiła co mogła, żeby każdy czuł się częścią jej coraz liczniejszej rodziny. Wbrew wszelkim przewidywaniom w domu panowało ciepło, poczucie przynależności.

Loczek trzęsła się, ale nie z zimna. Ostrożnie podniosła z podłogi małe drewniane pudełko i usiadła, opierając się o poduszki. W środku leżał cenny zapas drossu, pylistego, szarego proszku, który trzymała w opakowaniu ze złożonego liścia grafu. Loczek usypała kreskę narkotyku na grzbiecie dłoni, włożyła opakowanie z powrotem do pudełka i postawiła je na łóżku. Do nosa włożyła kawałek trzciny używany przy takich okazjach i zrobiła głęboki mocny wdech, wchłaniając proszek za jednym zamachem.

Pociągnęła nosem, potarła go i z sapnięciem oparła się o poduszki. Tył przetyku już zaczął jej drętwieć. Palce u rąk i nóg zaczęły mrowić. Mrowienie rozeszło się, pozostawiając po sobie gorąco i przyjemność. Uczucie wędrowało przez kończyny, tułów, głowę... aż wreszcie, lekko, sięgnęło umysłu.

## Rozdział 5

# Dobre rzeczy się zdarzają

Tego ranka głowa pękała mu z bólu. Szedł między straganami kwitnącego rynku Q'os, żując liście dulce. Wyglądał tylko co chwilę spod mokrych fałd kaptura na lekki deszczyk, tak drobny, że płynął w powietrzu, nie zachowując kierunku.

W górze dzwony pobliskich świątyń wydzwaniały kolejną godzinę; brzmiały nieprzyjemnie dla ucha, za głośno po wielotygodniowym uspieniu. Z pobliskiej Serpentyny dobiegały poranne śpiewy pielgrzymów, którzy zmierzali tłumnie na plac Wolności, by świętować pierwszy dzień odłożonej uroczystości Augere el Mann. Najwyraźniej zniesiono już żałobę.

Ash nadal nie był pewien, co tu robi w biały dzień, ryzykując głowę dla kawałka świeżego chleba. Na widok tak wielu ludzi wypełniających ulice po prostu poczuł chętkę, której nie przeciwstawił się wewnętrzny przymus, więc był tutaj, przemieszczał się w tłumie kupujących, z twarzą obwiązaną szalem i kapturem zsuniętym nisko na oczy. Prowadził go zapach z najbliższej piekarni.

Kiszki grały mu marsza, kiedy stanął, czekając na swoją kolej, w zatłoczonym kramie piekarza. Z ołowianego nieba nadal padał deszcz, skapywał z daszka, bębnił mu o plecy. Ash rzucił okiem na mury i budynki otaczające rynek. Zatrzymał wzrok, żeby przyjrzeć się wejściom po obu jego stronach i dwóm auksyliarom, którzy przechadzali się wokół straganów, wymachując od niechcenia pałkami, i szukali powodu, żeby ich użyć.

Nie powinienem tutaj być w biały dzień, tłumaczył swojemu brzuchowi. To lekkomyślne nawet jak na mnie.

Otworzyła się przed nim luka i Ash wcisnął się w nią z mieszkem w ręku.

- Tak? - zapytał zza lady jeden z chłopaków w fartuchach.

- Trzy ziarniste bochenki. Największe, jakie macie. I coś, żeby je zanieść.

Chłopak wrzucił bochenki do torby z podwójnej siatki i wyciągnął ją do niego.

- Półtora marvela - poinformował. - I jeszcze ćwierć za torbę. To jest marvel i trzy czwarte.

Cena była paskarska, jej przyczyną, bez wątpienia, było święto i niezliczeni

pielgrzymi, ale wręczył dwa marvele i wyjął torbę z ręki młodziana.

- To będzie dodatkowa ćwierć.

- Za co?

- Za wydanie reszty.

Ktoś popchnął Asha od tyłu, ludzie próbowali podejść bliżej do lady. Odwzajemnił popchnięcie, nie patrząc, i odzyskał nieco przestrzeni.

- Chcesz, żebym dał ci ćwiartkę, żebyś mógł oddać mi ćwiartkę reszty?

- Nie ja ustalam reguły - powiedział niecierpliwie chłopak, patrząc już na kolejnego klienta.

Ash wydmuchał powietrze z płuc. Machnął na to wszystko ręką i przecisnął się do wyjścia, zanim cierpliwość całkiem go opuściła. Ruszył drogą, którą przyszedł, ale zobaczył dwóch auksyliarów zbliżających się stamtąd do niego. Odwrócił się więc i poszedł do drugiego wejścia, po przeciwnej stronie rynku. Jedyne, czego pragnął, to wrócić do odosobnienia na dachach, gdzie będzie mógł cieszyć się śniadaniem samotnie, wyłącznie w swoim towarzystwie.

- *Ken-dai!* - okrzyk zatrzymał go. - *Ho, ken-dai!*

Ash odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł ciemną twarz ponad głowami przechodniów, zaledwie kilkanaście kroków od miejsca, w którym stał. Człowiek z Honshu, tak jak on.

Mężczyzna spoglądał na niego z lektyki niesionej przez dwóch umięśnionych niewolników. Przy nosie trzymał, niczym biały kwiat, uperfumowaną chustę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna uniósł rękę w geście pozdrowienia. Ash rozejrzał się, podciągnął szal trochę wyżej, powyżej grzbietu nosa; przyglądał się, jak tamten zlązi na ziemię. Dwaj jego uzbrojeni ochroniarze już oczyszczali okolice, spychając ludzi z drogi.

- *Ken-dai!* - mężczyzna wykrzyknął ponownie w ich rodzimym narzeczu Honshu, tymczasem jeden z niosących lektykę rozłożył parasol nad jego głową.

Ash odpowiedział oschłym skinieniem głowy.

- Mądrze robisz, że podróżujesz w ten sposób. W mieście zatrzymano wielu naszych, na przesłuchanie.

Ash nic nie odpowiedział i na chwilę zapadła między nimi niezręczna cisza. Obcy, w podobnym wieku co Ash, ubrany był w piękne szaty z jedwabiu Honshu. Miał lekką nadwagę. Ash nie mógł nie spostrzec na jego palcach wielu błyszczących pierścieni ze złota wysadzanego brylantami. Być może był kupcem jedwabnym, którego jedwabne wiatry już dawno zagnały do Midèrès. A może nawet był wygnańcem politycznym, jak on sam.

- Co słyhać w starym kraju - zapytał kupiec z oczywistą nadzieją, że Ash będzie wiedział.

- Trudno powiedzieć - wyznał Ash. - Minęło wiele lat, odkąd tam byłem.

Skinięcie głową było znaczące.

- Tak, w tego rodzaju podróż można się wybrać raz w życiu. Nie wyobrażam sobie, jak radzą sobie z tym marynarze, pływają tam i z powrotem, ryzykują. - Pociągnął nosem pod ociekającym wodą parasolem, znów uniósł chustę. Ash spostrzegł tatuaż na jego lewym nadgarstku: koło z okiem w środku.

- Byłeś w Armii Ludu? - wyrzucił z siebie.

Kupiec spostrzegł, na co Ash patrzy, opuścił rękę, jakby poczuwał się do winy.

- I co z tego?

Ash popatrzył na bogaty strój, na klejnoty, na trzymającego parasol niewolnika z włosami prostymi od deszczu, na drugiego, stojącego z opuszczonym wzrokiem za lektyką, na dwóch uzbrojonych oprychów, którym obcy płacił za wykonywanie swoich poleceń.

- Nisko upadłeś - powiedział.

Brwi tamtego podniosły się wysoko ze zdziwienia, znów wyrównały się w gniewie. Popatrzył na jednego ze swoich strażników.

- Łap go! - rozkazał.

Ash już był w ruchu, przepychał się przez tłum w stronę wyjścia.

- Przyrowadź go tutaj! - usłyszał, jak tamten krzyczy, a potem pognał pustym przejściem między kramami. Kręcąc w ręku torbą z chlebem, zostawiał za sobą przeklinających go pieszych.

Zwolnił, kiedy zbliżył się do wyjścia; zatrzymał się, gdy stwierdził, że wpadł w pułapkę blokującej je Zapory na Złodziei - linii zakratowanych kołowrotów ze szczelinami na ćwiartki.

Szamotał się, szukając miejsca, kiedy jeden z ochroniarzy chwycił go przez blokujące przejście kraty. Chybił, potrząsnął kratą z bezsilną wściekłością.

Drugi ochroniarz wcisnął się do sąsiedniego przełazu, też zaczął gmerać w ubraniu, szukając monety, a drugą rękę przecisnął przez boczną kratkę, próbując chwycić za kaptur Asha.

Ash wrzucił w szczelinę całego marvela i jakoś się nie zdziwił, że moneta została zaakceptowana. Wyrwał się ochroniarzowi i przepchnął przez przełaz na Serpentyne.

Jak okiem sięgnąć, arteria wypełniona była wijącą się procesją pielgrzymów w czerwonych szatach. Po przeciwnej stronie drogi wznosiła się stara dzielnica dystryktu, z

krzywymi uliczkami i chylącymi się, ciężkimi budynkami z kamienia. Ash zanurkował głową naprzód w procesję, wymijał pielgrzymów, próbując przedostać się na drugą stronę. Migali wokół niego mężczyźni i kobiety chłuszczący w szale zakrwawione grzbiety i piersi; inni zawodzili, z poprzebijanymi policzkami, a na uniesionych twarzach malowała się ekstaza.

Przebił się przez nich, wbiegł w wąską uliczkę, lecz dwaj ochroniarze wyłonili się niedaleko za nim.

- Z drogi! - ryknął, przyspieszając. Pędził na łeb, na szyję obok miejscowych i turystów-pielgrzymów handrczących się o napitki i dziwki; próbował zgubić się w labiryncie przejść i małych placyków, wnętrznościach starej dzielnicy.

Tamci chłopcy byli szybcy. Nawet w wysokich butach i skórzanych zbrojach dotrzymywali mu kroku, tupotali po bruku uliczki, biegnąc jeden za drugim, ocierali się ramionami o ściany, ze świstem chwyтали powietrze w płuca, jakby mogli tak biec przez cały dzień.

Ash zastanawiał się, czy da radę jeszcze trochę przyspieszyć, ale wtedy zobaczył otwierające się przed nim przejście. Ukazało się rozwiązanie wymagające mniej wysiłku.

Sięgnął pod pelerynę, po miecz, dobył go, jak tylko uskoczył z alejki. Zatrzymał się po dwóch krokach i odwrócił na pięcie; drugą nogę wystawił do tyłu, przyjmując niską, rozciągniętą pozycję, z mieczem wystawionym przed siebie.

W ostatniej chwili poprawił nieznacznie położenie szpica i wtedy pierwszy ochroniarz wpadł prosto na ostrze, siłą uderzenia odpychając Asha o krok. Obaj stęknęli i wtedy drugi wbiegł na pierwszego, prosto na ostrze wystające temu ostatniemu z pleców.

Ash wyprostował się, nadal trzymając rękojeść miecza. Obaj mężczyźni się skrzywili. Ich skóry pokryte były potem. Próbowali się wyszarpnąć, kiedy Ash oglądał ich rany. Pierwszy popatrzył na niego, a potem w dół, na ostrze we własnym boku.

- Nie naruszyłem organów - powiedział do obu Ash. - Jak oczyścicie rany, powinniście przeżyć.

Bez ostrzeżenia wyszarpnął ostrze. Opadli na kolana, sięgając rękami do boków. Ludzie stojący blisko przyglądali się w zadziwieniu.

Ash otarł krew z miecza o plecy jednego z nich, podniósł torbę z chlebem i potruczał dalej.

\*

Ché szedł spacerkiem do domu, czuł się swobodnie, krok miał lekki, smak królewskiego mleka pozostawał na jego języku, ciało drżało mu od energii zwiniętej sprężyny.

Nowe, luksusowe mieszkanie usytuowane było w południowej części Dzielnicy Świątynnej, na obszarze otaczającym Świątynię Szeptów, gdzie pomniejsze iglice wznosiły się nad kapłańskimi rezydencjami, blokami mieszkalnymi i ozdobnymi domami rozrywek. Wracał w nieustającym deszczu, przysłuchując się ptakom śpiewającym w parkach i ogrodach na dachach domów. Zastanawiał się, w podniesionym nastroju, czy świętują powrót życia na miejskie ulice, bo tego dnia w powietrzu wisiało podniecenie pierwszego dnia Augere. Na ulicach dzieci przyglądały się odzianym w czerwone szaty pielgrzymom, przechodzącym w rozśpiewanych modlitewnie procesjach; gapily się z wybaluszonymi oczami na przedstawicieli licznych ras Imperium, ściągnięte tutaj w rekordowej liczbie na pięćdziesiątą rocznicę dojścia Mann do władzy.

W mieszkaniu była już Wąsata, na swój skrupulatny sposób sprzątała wielkie puste pokoje. Ché na widok tej kobiety poczuł przez chwilę czułość; po zaledwie kilku tygodniach stała się mile widzianym elementem wnoszącym stabilność do jego poszarpanego życia.

- Rano wyjeżdżam - oznajmił domowej niewolnicy, choć nie mogła go usłyszeć, gdyż kiedyś, w niewoli, gorącym olejem pozbawiono ją słuchu. - Wąsata - Machnął ręką, żeby przyciągnąć jej wzrok - teraz nie ma potrzeby. - Ale kobieta dalej polerowała półki, nie zwracając na niego uwagi.

Popatrzył na łupkową tabliczkę zwisającą jej na piersi; huśtała się, kiedy Wąsata nachylała się do przodu, razem z kredą przymocowaną na sznurku.

Do tej pory nie używał tabliczki, by komunikować się z tą kobietą, głównie dlatego, że Wąsata sama nie chciała jej używać; jakby wołała, żeby wisiała bezużytecznie, jak oskarżenie tych, którzy ją okaleczyli. Wolał do niej mówić, trwając przy nadziei, że między nimi może być porozumienie.

Poza tym lubił słyszeć słowa wypowiedane w cichym zazwyczaj mieszkaniu, nawet jeśli to były jego własne słowa.

Ché przeszedł do sypialni, patrzył na podwójne łoże z jedwabną, rdzawoczerwoną narzutą, dobraną ze smakiem, żeby pasowała do bladego złota tapety. Zdał sobie sprawę, że nadal jest zbyt podniecony królewskim mlekiem i wydarzeniami poprzedniego wieczoru, żeby zasnąć, więc zdjął szatę i przebrał się w luźną tunikę i spodnie, potem włożył i mocno zasznurował skórzane buty.

- Idę się przebiec! - krzyknął po drodze do drzwi.

\*

Ché biegł szeroką, trzypasmową aleją Serpenty. Biegł w zgodzie z rytmemi wielkiego miasta, miejscowi kapłani nawołujący przez megafony ze świątynnych iglic; krzyki

handlarzy sprzedających towary z wozów i ulicznych przekupniów; smętne pieśni brygad niewolników zajmujących się swoimi sprawami. Ludzie odwracali się, żeby popatrzeć, jak ich mija, albo żeby ustąpić mu drogi, przyciągnięci prostym spektaklem człowieka biegnącego ulicami. Pot i deszcz zraszały mu skórę. Stwierdził, że z każdym krokiem jego umysł oczyszcza się z obsesji, których ostatnio nie potrafił opanować. O taką jasność walczył zażarcie od paru dni. Kluczył między wozami i grupami ludzi, zwinny i wolny.

Jego zwykłą drogą był obwód ulic na wschód od mieszkania; teren upiększony zielenią parków. Skręcił w lewo przy teatrze Getti i pobiegł bulwarem wzdłuż Tonących Ogrodów, przez migoczące żelazne sztachety, patrząc na zielenie drzew i krzaków oraz kontrastujące szaty odzianych na czerwono pielgrzymów, rozproszonych między nimi. Na ulicy przyciągnęły jego wzrok płótna wielkości domu, przedstawiające Świętą matronę, i pomniejsze plakaty nowych restauracji, budownictwa mieszkaniowego, marek alkoholi i żywności; próbował zignorować ich proste przesłania, ale obrazy przelatywały obok i mimo wszystko działały na świadomość; białe uśmiechy, twarze szczęśliwe w dostatku.

Ulica Radości leżała na końcu bulwaru, a obok niej świątynia Sentiątek, jego matki. Ostatnio Ché ignorował matkę, nie był w stanie zdobyć się na odwiedzin. Nie chciał, by mu przypominało, co reprezentowała w jego życiu, ani jaką rolę pełniła w zakonie. Kiedy zobaczył wyłaniającą się przed nim wieżę Sentiatów, jej szkarłatne flagi uniesione dzisiaj wysoko, na znak, że ponownie została otwarta, dobry nastrój zaczął go opuszczać, zwolnił kroku.

Odwrócił się, zanim dobiegł do Ulicy Radości, i wkroczył do Tonących Ogrodów.

Szedł prostą brukowaną ścieżką między przystrzyżonymi trawnikami. W najgorętsze letnie dni czasami biegał w tych ogrodach pełnych lśniących stawów i załamanych cieni, żeby uniknąć parnego upału ulic. Dzisiaj jednak stwierdził, że przyjscie tutaj było pomyłką, bo pielgrzymi topili się na poważnie.

Ché przebiegł obok kamiennych stawów. Pielgrzymi klęczeli wzdłuż ich brzegów, z głowami zanurzonymi głęboko w wodzie. Od czasu do czasu bąbelki mąciły powierzchnię wody i niektórzy wykonywali niekontrolowane ruchy ramionami, żeby pozostać w zanurzeniu; bardziej zdecydowani ręce mieli skrępowane za plecami pasami ze skóry. Okrążył pomocników Selarusa - kapłanów, którzy zajmowali się leżącymi na brzuchach postaciami, wypompowywali wodę z płuc, wdychali powietrze w usta, policzkowali, żeby je ożywić. Jedna para wynosiła bezwładną postać.

Biegł coraz szybciej, oddychał z wysiłkiem. Z przodu była kongregacja tańczących pielgrzymów, tak gęsta, że nie widział sposobu, żeby się przez nią przedostać. Nie miał



ochoty się zatrzymywać.

Z dzikim uśmiechem opuścił głowę i w pełnym pędzie wbił się w tłum, uderzeniami barków odrzucał z drogi mężczyzn i kobiety. Jak wściekły byk przedzierał się przez masę pielgrzymów; ludzie padali na ziemię albo gonili go, gniewnie krzycząc.

\*

Kiedy wrócił do mieszkania, zdał sobie sprawę, że zapomniał wziąć ze sobą monety, żeby wejść z powrotem do budynku. Przeklinał i na próżno szarpał drzwi, ale wtedy drzwi otworzyły się od wewnątrz - wychodził jeden z sąsiadów. Ché wślizgnął się do środka.

Wbiegł na górę, wszedł do mieszkania. Wąsata właśnie przechodziła przez pokój, spojrzała więc na niego, marszcząc brwi na poczerwieniałej twarzy.

- W samą porę - powiedział, przechodząc obok. Ubranie ściągał po drodze do łazienki i źródła przenikliwego gwizdu. Wąsata pospieszyła za nim. Kiedy wszedł do zaparowanej łazienki, już gasiła płomyki gazu pod miedzianym kotłem zamkniętym ściśle dopasowanym wiekiem. Strumień pary strzelał z gwizdka umocowanego na wieku, szybko opadł, kiedy Wąsata odkręciła kurek u dołu kotła, żeby puścić gorącą wodę do wykładanej kafelkami wanny zagłębionej w podłodze.

Nagi, nadal w doskonałym nastroju, Ché uszczypnął ją w zadek, kiedy ją mijał. Uśmiechnął się szybko w odpowiedzi na grymas niezadowolenia na jej wąsatym obliczu.

- Jesteś dla mnie za dobra - rzucił, wchodząc do płytkiej wody w powoli wypełniającej się wannie. Położył się i westchnął, poziom wody łagodnie wznosił się wokół niego. Wąsata patrzyła na niego z pogardą.

Zamknął oczy, w wodzie jego ciało wydawało się lżejsze. Skóra paliła go przyjemnie; słyszał, jak kobieta zakasuje rękawy i klęka obok niego. Ché westchnął długo i głęboko, kiedy zaczęła go trzeć myjką z chropawej skóry rekina i nakładać jeden z balsamów, który wmusiła mu matka na kłopoty ze skórą. Wąsata metodycznie zajmowała się wysypką pokrywającą mu ciało. W pewnej chwili jęknął, ulga od nieustannego swędzenia była bliska seksualnej rozkoszy.

Życie ma swoje zalety, pomyślał leniwie Ché. Nie ostatnią jest gorąca kąpiel codziennie, gdyby tylko tego sobie życzył. I niemałą, w świecie, w którym większość ludzi jest szczęśliwa, jeśli może się umyć w umywalce z zimną wodą i zamiast mydła użyć liści copalu.

Robisz się miękki, pomyślał i zastanowił się, co powiedziałby o nim teraz jego stary mistrz, Rōshun Shebec, gdyby nadal żył i mógł go spotkać.

Wąsata oczyściła małe nacięcie na brwi, nie pytała o nic ani gestem, ani spojrzeniem.

Kiedy skończyła, splukała ręce i zostawiła go, żeby w samotności radował się kąpielą. Umysł nadal miał oczyszczony po biegu. Położył mokrą myjkę na twarzy, oddychał przez jej przylegające objęcie; nagle poczuł się zmęczony, to efekt królewskiego mleka wreszcie zanikał. Być może wypocił je z ciała.

Ché ziewnął, wiedział, że wkrótce zaśnie. Jego myśli dryfowały jak para w łazience, kawałek po kawałku, pozwolił sobie na kontemplowanie dziwactwa nocy, którą miał za sobą, i tego, co miało nadejść następnego ranka.

Wojna, pomyślał z niespodziewaną jasnością. Jutro jadę na wojnę.

\*

Kiedy po południu się obudził, na stole przy drzwiach czekał na niego list. Wąsatej nie było, wróciła do kwater niewolniczych w piwnicy.

Miał awersję do listów. Przynosiły tylko złe wiadomości albo przypomnienie o obowiązkach. Mimo to podniósł list i go otworzył.

*Mam nadzieję, że nowa maść skutkuje. Przyjdź i spotkaj się ze mną, synu. Tęsknię za tobą. Przyjdź, proszę.*

Matka. Smycz, na której go trzymają, żeby zapewnić jego lojalność wobec zakonu.

Ché przez dłuższą chwilę trzymał list, nie wiedząc, co z nim zrobić. W końcu otworzył szufladę stołu, wyjął czystą kartkę, rylec i atrament. Starannie napisał:

*Kochana Matko,*

*rano muszę wypłynąć z flotą. Nie, nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Będę o tobie myślał tak, jak zawsze myślę o tobie.*

*Twój syn*

Dmuchał na atrament, dopóki nie wyschnął, potem starannie złożył kartkę i nabazgrał instrukcje, żeby dostarczyć list matce w świątyni Sentiatów. Położył kartkę tak, żeby Wąsata ją zobaczyła.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wysłać zaproszenie do Perl albo Shale, albo nawet do nich obu. Ale te młode kobiety spodziewałyby się sporej dawki narkotyków na wieczór i chciałyby, żeby przyłączył się do ich słabostek. Nie miał ochoty odurzać się dziś wieczór, a właściwie w większość wieczorów; nie podobały mu się odmienne stany świadomości, w które czasem przenosił się jego umysł.

Nie, lepiej zostać na wieczór w domu, żeby rano być odświeżony. Ponadto trochę wewnętrznego spokoju będzie luksusem samym w sobie. Najlepiej wykorzystać to, ile się da, póki można.

Ché wygrzebał skórzany plecak i zaczął się pakować na rano, chciał to mieć za sobą, żeby należycie odpocząć. Spakował trochę ubrań, nie przywiązując większej wagi do tego, co robi, ale kiedy doszedł do biblioteczki, przerwał pakowanie i usiadł, żeby się zastanowić.

Praca Ché polegała na tym, żeby poznać świat najlepiej, jak tylko się da. Dlatego na półkach stało wiele książek podróźniczych, pamiętników, ksiąg z mapami i tekstów o religii i historii. To ta wiedza, jak czasem podejrzewał Ché, spoczywała u podstaw nieufności, którą nierzadko wyczuwał u swoich przewodników; ta obfitość nauki o innych kulturach i ideologiach, które były przeciwstawne do Mann. W końcu wziął tylko prace Slavo, sprawozdanie z podróży markeshiańskich - najprawdopodobniej wymyślone - na drugą stronę świata, do obcych ludów, które podróżnik tam odkrył. Sporo czasu minęło, odkąd Ché to przeczytał.

Po namyśle wrócił do swojego egzemplarza Pisma, leżącego na górze biblioteczki. W całości przeczytał je właściwie tylko raz, po powrocie do życia w Mann. Była to część jego reedukacji po spędzeniu tych wszystkich lat jako rōshuński uczeń w górach Cheem. Kapłan-spieg z Elash powoli przysposabiał go na nowo do obyczajów świętego ciała, zanim poinformował go, że ma zostać dyplomatą Sekcji.

Wziął cienki tomik i spakował go z niechęcią.

Wieczorem, kiedy już się ściemniało, a salon oświetlony był lampami gazowymi, Ché usiadł w fotelu, ubrany w czystą białą szatę, z przyjemnie pełnym żołądkiem i skromnym kieliszkiem seratiańskiego wina w dłoni. Zatopiony w myślach patrzył na ulicę.

Jego wcześniejszy nastrój dawno go opuścił. Teraz, kiedy już się spakował, czuł się cokolwiek przygnębiony. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać na rano, którego realność powoli do niego docierała. Życie dyplomaty pozwalało mu pozostawać we względnej, błogosławionej izolacji od siebie równych. Ale teraz, całymi tygodniami, będzie się od niego wymagać, żeby stał ramię przy ramieniu z kolegami-kapłanami, matroną i jej świętą donosicielami. Będzie musiał uważać na każdy krok, na każde słowo. Niełatwa sprawa, szczególnie teraz, kiedy myślami coraz bardziej przeciwstawiał się wszystkiemu, co go otaczało.

Od czasów Cheem i zdrady, której dopuścił się wobec Rōshunów, wrzący gniew narastał w Ché. Czuł go, kiedy na kilkanaście różnych sposobów w ciągu zwyczajnego dnia opuszczała go samokontrola, albo kiedy mówił rzeczy, których nie powinien, albo kiedy

prowokował ludzi u władzy udawaną arogancją, która naprawdę wcale nie była arogancją, ale nonszalanckim wzruszeniem ramion w duchu, brakiem zainteresowania. Wydawało się, jakby chciał, żeby zakwestionowano jego zachowanie, jakby chciał wreszcie rozmówić się szczerze z kapłanami, bez względu na konsekwencje. Może jakieś pragnienie śmierci, nabierające powoli rozpędu.

Ché wypił kolejny łyk wina, lubując się łagodną cierpkością na podniebieniu, doskonałym akompaniamentem do królika w pieprzu, którego smak jeszcze czuł. Słyszał, jak Wąsata zmywa w kuchni brudne garnki i talerze.

Wreszcie przestało padać, ludzie wychodzili na ulice, żeby radować się wieczornymi rozrywkami. Przez dłuższą chwilę Ché obserwował alfonsa prowadzącego swoje małe imperium na rogu ulicy. Facet przechadzał się i obnosił dumnie pod ulicznymi latarniami. Kiedy go to znudziło, przeniósł uwagę na grupę młodych ludzi siedzących na niskim murku za przystankiem tramwajowym. Podawali sobie pałeczki hazii, gadali, śmieli się, rozgrzewali się własnym towarzystwem. Byli chyba niewiele młodszy od Ché, ale on przyglądał się im okiem starca.

Z początku nie zauważył, jak Wąsata weszła do salonu, ramiona miała założone na piersi, czekała, aż zostanie zwolniona na noc. Kobieta chrząknęła, odwrócił się, zamrugał i spojrzał na jej zmęczoną, obwisłą twarz.

Ché nie miał pojęcia, jak naprawdę miała na imię. Niewolnikom bez kontraktu z reguły nie pozwalano na imiona, nie licząc tych, które wybierali dla nich ich panowie; dlatego ukuł dla niej pseudonim, kiedy wręczono mu klucze do mieszkania i zobaczył domową niewolnicę, która przyszła wraz z nimi, tę kobietę w średnim wieku, z blond meszkiem na twarzy i dzikimi niebieskimi oczami. Wiedział, że pochodzi z północnych plemion, ale tylko ze względu na kolor włosów i wykonany niebieskim atramentem tatuaż, który raz zauważył na jej ramieniu.

Niewiele ma z życia, myślał. Siedem dni w tygodniu na jego skinienie i tylko późne wieczory naprawdę dla siebie. A i to tylko wtedy, kiedy nie było na nią zapotrzebowania w pańskim łóżku.

Wyobrażał sobie, że poprzedni właściciele wykorzystali ją, bo była dość kobieca. Przez jakiś czas sam zabawiał się tym pomysłem, ale uznał, że jeśli chodzi o te sprawy, woli więcej konsensu.

Cienie za Wąsatą wisiały ciężkim welonem przesuwającym się nad mieszkaniem w gazowym świetle. Zakrywały zegar, na stojącym w oddali stole, tykający pojedynczymi tyknięciami, stopy materiałów źródłowych ułożonych pod ścianą, lakierowany globus świata,

który tak często był obracany, że znowu wymagał oliwienia. Ponadto niewiele więcej, nie licząc pustki, nagich ścian i dźwięków dochodzących z zewnątrz.

- Zostań trochę dłużej. - Ché usłyszał, jak mówi do kobiety, czyniąc ruch otwartymi dłońmi.

Jakby go nie zrozumiała, na chwilę czerwień podbiegła jej bladą twarz.

Nie po raz pierwszy pojawiło mu się w głowie podejrzenie, że być może Wąsata naprawdę potrafi czytać z warg, jak wielu niewolników po odebraniu słuchu - i że zachowała ten fakt dla siebie z nieznanym mu powodów.

- Nie, nie o to mi chodziło... - Pokręcił głową i odwrócił wzrok, potem spostrzegł planszę do ylang na stoliku stojącym przed nim. Wskazał na nią gestem. - Może zagrałabyś ze mną, jeśli potrafisz?

Objęła wzrokiem gest jego ręki, znów spojrzała mu w oczy. Na jej twarzy pojawił się smutek. Widział go jasno przez chwilę, zastanawiał się, skąd to uczucie wobec niego. Kobieta stała bez ruchu.

- Wina? - zapytał, podnosząc butelkę nad pustym kieliszkiem.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył spojrzenie ostrożnie zbliżającego się zwierzęcia.

Wąsata usiadła na stojącym naprzeciwko krześle, tabliczkę trzymała przy piersi. Potem schludnie złożyła dłonie na podolku. Przyglądał się jej, nalewając szczodłą porcję wina.

Grali w milczeniu, grube szyby tłumiły krzyki i śmiech z ulicy. Istotnie, potrafiła grać, chociaż na początku Ché dawał jej fory, chciał, żeby gra potrwała trochę dłużej. Godziła się na to, rzucając od czasu do czasu rozbawione spojrzenie spod gęstych brwi.

Za każdym razem, kiedy robiła ruch, trzymała tabliczkę przy piersi, żeby nie przeszkadzała, kiedy pochylała się nad planszą. Ché w końcu wskazał palcem na tabliczkę, chwytając jej spojrzenie.

- Zdejmij to, proszę.

Zamrugła.

Pokazał jeszcze raz i zrobił gest, jakby zdejmował coś przez głowę.

Popatrzyła na tabliczkę, przyglądała się jej przez chwilę. Potem ściągnęła ją niezgrabnym, pospiesznym ruchem i położyła przy nodze stołu.

- No, a co z resztą ubrania?

Patrzył na nią uważnie, ona patrzyła na niego. Czy na jej twarzy znowu pojawił się kolorek, napomknienie rumieńca?

Jego zaciekawienie tylko wzrosło.

Wąsata napiła się wina, przesunęła trzy kamienie, wykorzystując je do oskrzydlenia jednego z jego pionków Podniosła go pokrytymi stwardniałą skórą palcami i ustawiła obok innych zbitych kamieni.

- Rano wypływam - powiedział, patrząc jej z bliska w oczy. - Razem z flotą. Wypływamy na wojnę z niewiernymi. - Nic. Żadnej zmiany w jej wyrazie twarzy.

Ché nieostrożnie przesunął swoje czarne kamienie przeciwko jej białym skupionym w jednym miejscu, ściśniętym dla obrony na jednym kwadrancie planszy. Pozwolił sobie na kilka błędów, aż jego ofensywa utknęła, a ona rozpoczęła własną. Niezbyt długo zastanawiała się nad ruchami, jakby brała grę niezbyt serio. Zdawała się bardziej zainteresowana winem.

Ponownie napełnił jej kieliszek, poczekał, aż wypła prawie do końca. Kiedy ponownie uchwycił jej spojrzenie, oświadczył:

- Mój przewodnik powiedział, że mam zabić matronę. - Słowa głośno rozległy się w cichym mroku mieszkania.

Oczy dziko jej płonęły, kiedy na niego patrzyła. Ché wyczuwał, że w powietrzu między nimi nagle pojawiło się napięcie.

- To znaczy, gdyby uciekła z pola bitwy. Albo gdyby miała zostać pojmana. Zdaje się, że nie chcą do tego dopuścić. Musi zwyciężyć albo zginąć. Innego wyjścia nie ma.

Postawił kamień, podniósł kolejny, postawił go obok pierwszego. Trzeci ułożył za nimi.

- Najbardziej zastanawia mnie, kim są moi przewodnicy. Po tylu latach zastanawiam się, dla kogo naprawdę pracuję, skoro mogą rozkazać zabić matronę.

Twarz Wąsatej zbliżyła się nagle do niego.

- Cicho bądź! - powiedziała łamiącym się głosem, z nierówną intonacją. Ścisnęła dłońmi boki stołu.

Przez chwilę Ché był tak zaskoczony, że nic nie powiedział. Tylko przełknął z trudem ślinę.

- Co? - zapytał cicho i machnął ręką. - Myślisz, że podsłuchują przez ściany?

Podniosła wzrok z jego ust, jej pierś unosiła się i opadała szybko; cicho dyszała.

- Skrzywdzisz nas oboje takim gadaniem. Po co mówisz mi takie rzeczy? - Jej twarz była tak blisko, że czuł gorący oddech na swojej skórze.

- Bo myślałem, że nie możesz mnie zrozumieć - wyjaśnił powoli. - Udawałaś, odkąd się spotkaliśmy po raz pierwszy. Udawałaś, że nie potrafisz czytać z moich ust. - Utkwił w niej twarde, oskarżające spojrzenie.

- Nie jestem ci winna lojalności - odszczeknęła tym swoim dziwnym tonem. - Nie

jestem twoją żoną, żeby wysłuchiwać twoich żalów. I nie jestem twoją matką.

Nastrój Ché natychmiast przygasł. Jakby zgaszono lampę.

- Doskonale wiem, kim jesteś - warknął, a jego oczy same z siebie spojrzały na niewolniczą obrozę na jej szyi.

Uniosła wysoko brwi.

- O? A kimże to, jeśli nie niewolnicą pośród niewolników? - Jej wzrok błędził po ścianach mieszkania. - Dali ci ładniejszą klatkę niż pozostałym z nas, to wszystko.

Ché powoli nachylił planszę do ylanga, aż kamienie zaczęły się ześlizgiwać, jeden po drugim, stukotały i toczyły się po drewnianej podłodze, a gracze nie odrywali od siebie spojrzenia. Kiedy ostatni kamień zatrzymał się i wróciła cisza, Ché z trzaskiem rzucił koniec planszy na stół.

Wąsata odsunęła się, drżała.

- Pracujesz dla nich? - zapytał. - Składasz im raporty na mój temat?

- Komu? - zapytała obojętnie kobieta.

- Wyjdź - powiedział. - Wynoś się.

Wstała, podniosła tabliczkę. Bez słowa poszła do drzwi.

- Masz - warknął, kiedy spojrzała za siebie, zakorkował pustą do połowy butelkę wina i rzucił jej w ręce. Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy, ale potem się opanowała. Zabrała butelkę i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Ché rozparł się w fotelu, złapał się na tym, że gapi się na kamienie rozrzucone po podłodze - ułożyły się we wzór, którego nie potrafił odczytać.

## Rozdział 6

# Bastardy św. Charlosa

Grubas trzymający straż na szczycie schodów padł w jej ramiona z jękiem zaskoczenia. Przez chwilę zataczała się pod jego ciężarem, jak młoda żona prowadząca pijanego męża, potem pomogła ciału ułożyć się starannie i cicho na podeście.

Swan strząsnęła krew z noża, przez nieuwagę skrapiając wilgotną ścianę. Popatrzyła na wzór z kropelek, który stworzyła. Spodobał się jej kontrast karmazynu i żółtawego tynku.

- Co ty robisz? - zapytał Guan, zatrzymując się przy niej. - Jesteś na haju?

- Tylko troszeczkę. Nie martw się, bracie. To mnie trzyma w formie.

Oboje kapłanów razem zrobiło krok nad ciałem i zatrzymało się przed drzwiami. Dochodziło zza nich trajkotanie podniesionych głosów. Swan słyszała przytłumiony płacz dziecka.

- Ludzie, proszę, po kolei! Milan, widziałem, że pierwsza podniosłaś rękę.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli naprawdę odwołamy ten plan działania, to powinniśmy to zrobić z rozsądnych powodów, a nie dlatego, że boimy się tego, co nam uczynią.

- Ale Milan - odezwał się kolejny głos. - Podczas Augere? Zamordują nas na miejscu za zakłócanie świętego tygodnia.

- Kto więc będzie pracował w fabrykach i stalowniach wzdłuż Bałaganu? - odrzekła kobieta. - A może myślisz, że odpowiada im utrata zysków na czas szkolenia nowej siły roboczej?

- Pish! - krzyknął ktoś inny. - W kilka tygodni mogą zorganizować nową siłę roboczą do fabryk. Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że podczas Augere są bezbronni. Wszyscy ci pielgrzymi zebrani z całego Imperium. Wszyscy ci delegaci do Koła. W tym tygodniu cały świat ma świętować zjednoczenie Mann. Jedno wielkie szczęśliwe Imperium, a my wszyscy machamy flagami i czujemy się jego częścią, jak dobre owieczki, którymi mamy być według ich nauk. A tymczasem, za zamkniętymi drzwiami, robią ostatnie przygotowania, żeby jeszcze więcej z nas wycisnąć. Nie, wcale im się to nie spodoba, kiedy pokażemy się na ulicach. Jeśli jednak będą chcieli szybko się ułożyć, bez krwawej łaźni na oczach wszystkich,



będą musieli rozważyć nasze warunki.

- Chops, nie jesteśmy tutaj, żeby rozmawiać o rewolucji. A jeśli poczekają, aż pielgrzymi odejdą, a potem, dla sportu, spalą nas żywcem w Shay Madi, tak jak to robią z bezdomnymi, a potem napełnią fabryki tymi nieszczęśliwymi, którzy naprawdę są w niewoli?

- No to mamy przed sobą prawdziwe powstanie. Tak jak w czasach naszych ojców i matek, kiedy kapłanom po raz ostatni wydawało się, że mogą odebrać chleb od ust ludzi pracy. Musieli pozwolić nam zarabiać na życie. Nawet kapłani na to przystają. Poza tym przyprowadził nas tutaj strach przed tym, co możemy stracić. Przez wszystkie te lata powinniśmy stać razem, a nie staliśmy. I zawsze dlatego, że grozili, że sprowadzą niewolników, by nas zastąpić, albo nawet przeniosą fabryki gdzie indziej. Dłużej pracuję przy prasach, niż przebywam w domu. Tak samo moja żona i najstarszy syn. I mimo to ledwie starcza nam na ubranie i jedzenie, a co dopiero z zaległościami za czynsz albo pieniędzmi na lekarstwa, kiedy dzieci są chore. Musimy coś zrobić, na litość kushu.

Swan uśmiechnęła się; nie w związku z tymi słowami, ale z gładką inskrypcją wyrzeźbioną na nadprożu.

„Lepiej zapalić jedną świecę niż przeklinać ciemność”.

Jej brat stał obok niej i rozluźniał mięśnie karku. Wskazał coś w cieniu nad napisem. Były to wyryte dwie złączone dłonie, związane drutem kolczastym.

- Nazywają siebie bastardami świętego Charlosa.

- Świętego Charlosa? Nie słyszałam o nim.

- Bo nie mogłaś - odparł Guan. - Jego imię zostało zakazane dwadzieścia pięć lat przed naszymi narodzinami. Był kapłanem starej religii, kiedy miasto było jeszcze monarchią. Żył i pracował tutaj, w Bałaganie, wzdłuż wschodniego wybrzeża. Wszystkie swoje pieniądze rozdawał biednym. Pracował nad budową tych Domów Wytchnienia. Za to zapamiętali go jako świętego.

- Widzisz? Dlatego tak się cieszę, że mam mądrego brata. Inaczej sama musiałabym przeczytać wszystkie te nudne książki. No to powiedz, skoro jesteś taki mądry... Dlaczego ci poddani nazywają siebie bastardami?

- Charlos miał upodobanie do kobiet. Mówiono, że połowa dzieci w dzielnicy to jego potomstwo z nieprawego łoża.

Swan roześmiała się głośniej, niż wypadało. Brat patrzył na nią w zamyśleniu, ze ściągniętymi brwiami.

Głosy za drzwiami zastąpiła martwa cisza.

- To co? - zapytała.

- Ty pierwsza.

Pięćdziesiąt twarzy zwróciło się do drzwi, kiedy weszła Swan. Szeroko otworzyli oczy, widząc jej kapłańską szatę i ogoloną głowę; nawet niemowlę płaczące na kolanach matki spojrzało na nią, mrugając przez łzy.

Swan strzeliła głośno palcami i niemowlę przestało płakać, drgnęło przestraszone.

Pomieszczenie wypełnione było od ściany do ściany siedzącymi ludźmi, powietrze gęste od gorąca wielu ciał ściśniętych blisko siebie.

Jak oni mogą tak siedzieć, we własnym smrodzie?

- Szukamy Ganta - powiedział głośno jej brat. - Proszę go nam pokazać.

Nikt się nie ruszył. Mężczyzna stojący z przodu pokoju załamywał z przerażenia ręce.

- Ty jesteś Gant? - zapytała go Swan.

Popatrzył na innych, szukając pomocy, i Swan zauważyła, że kilku mężczyzn po bokach sięga pod kurtki po broń.

- Kto chce wiedzieć?

To był mężczyzna stojący przy oknie z zamkniętymi okiennicami, ręce miał skrzyżowane na krzepkiej piersi. Trzymał fajkę w zębach, na głowie miał szpiczastą czapkę zsuniętą na bakier.

- Ja chcę.

- A kto ty jesteś?

- Mówią do mnie Swan.

- Hm. Swan, mówią do mnie Gant. A to jest pokojowe zgromadzenie. Nie robimy tutaj niczego złego.

Jej brat parsknął.

- Powiedziałbym, że planowanie niepokojów wśród twoich braci, poddanych jest czymś doprawdy bardzo złym.

Krzesła zaczęły szurać o podłogę. Ludzie wstawali, cofali się pod ściany. Paru mężczyzn zajęło pozycje wokół nich.

- Nie chcemy kłopotów - powiedziała Swan, unosząc puste dłonie. Skinęła do Ganta. - Życzę zatem dobrego wieczoru. A raczej tego, co z niego pozostało.

Powoli, ostrożnie, oboje wycofali się z pokoju, wykonali zadanie. Swan po raz ostatni spojrzała na zdziwioną minę Ganta i zamknęła za sobą drzwi.

Jej brat natychmiast przełamał na pół pałeczkę wiążącą i użył jej do zapieczetowania drzwi i framugi. Zastukała klamka, ktoś próbował otworzyć drzwi.

Po drugiej stronie znów podniósł się hałas.

Swan z bratem zbiegli klatką schodową. Dom Wytchnienia był wysokim, wielopiętrowym budynkiem, z wieloma pokojami. Dawno temu mogło tu być hostalio albo jeden z sławnych burdeli tej dzielnicy. Ludzie zbiegali ze schodów i podestów, kiedy tylko zobaczyli, jak ich dwoje idzie do góry. Teraz, zza zamkniętych drzwi słychać było pomruki, nagle zdławiony płacz dzieci. Swan złamała w pół własną pałeczkę wiążącą i kiedy schodzili, pomagała Guanowi zamykać wejścia na wszystkie podesty, opieczętowując je po kolei.

Gdy to czynili, brat nie patrzył jej w oczy.

Na zewnątrz, na brukowanej ulicy, cuchnący wietrzyk wiał od wąskiego odcinka Accenine - jedynej rzeki na wyspie Q'os - rozchodząc się po krzywych, diabolicznych uliczkach slumsów, które składały się na Bałagan. Wyziwy z pobliskiej stalowni drapały ją w gardło, ciemne kominy wypluwały swoje emanacje w wieczorne niebo. Guan pracował szybko, pieczętował główne wejście, Swan nuciała w rytm wewnętrznej muzyki i obserwowała postacie uciekające na widok ich szat.

Przyglądała się odległej Świątyni Szeptów ponad linią horyzontu, wysokiej, osobiwie srebrnej, pomiędzy mniejszymi iglicami. Była jaskrawiej oświetlona niż poprzednio. Wiedziała, że do tej pory musiała się rozpocząć druga noc Koła; poczuła ulgę, że tego wieczoru nie muszą tam znowu być.

Znacznie bliżej, po przeciwnej stronie rwącej rzeki, forteca rodziny Lefall stała w blasku zogniskowanych lamp gazowych. Barki wypełniały się żołnierzami przy nabrzeżu: prywatni żołnierze generała Romano płynący do portu na jutrzejsze wyjście floty. Swan przypomniała sobie, że jeszcze musi się spakować i sprawdzić, czy niewolnica domowa wie, jak zatroszczyć się o jej zwierzęta.

Guan szturchnął ją w bok, natychmiast wróciła do pracy.

Wyjął pistolet i stanął na warcie, kiedy podniosła jedną z niezapalonych żagwi, które zostawili oparte o ścianę. Swan wycelowała w nią pistolet i wypaliła.

Prześlknięte olejem drewno zapaliło się i niebiesko-pomarańczowy płomień zatrzęszczał na wietrze. Teraz Swan szybko przemknęła z pochodnią wzdłuż domu, zostawiając szlak ognia, który błyskawicznie wspiał się do góry, na spryskaną przez nich olejem ścianę.

Okrażyła budynek, zostawiając brata tam, gdzie stał; przebiegła obok dwojga innych zapieczętowanych przez nich wcześniej drzwi. Zanim do niego wróciła, cała budowla objęta była płomieniami.

Walenie we frontowe drzwi. Ludzie próbują się wydostać.

- Przypomnij mi raz jeszcze: dlaczego nie zajęli się tym Regulatorzy?

- Dlatego, siostrze, że rodzina matrony ma na własność połowę tkalni lnu w Bałaganie. Trudno się dziwić, że chciała, żeby sprawa była załatwiona jak trzeba.

Odgłosy paniki zaczęły współzawodniczyć z rykiem płomieni. Otwierano okiennice w całym budynku, ludzie zwisali wśród kłębow dymu.

- Myślisz, że to zadziała?

- Może w końcu przestaną się na jakiś czas domagać praw. Kiedy słuchasz ich gadania, myślisz, że prawa wręczono wszystkim naraz i każdemu z osobna w momencie narodzin.

Ktoś wrzasnął i dymiące ciało z głuchym odgłosem upadło przed nimi na bruk. Więcej ludzi zaczęło skakać, trach, trach, trach, trzaskały łamane nogi.

Swan uskoczyła, kiedy zawartość czaszki rozbryznięła się na ulicę. Zafascynowana obserwowała krwawą scenę.

W pobliżu płakało dziecko. Spozregła je między poruszającymi się ciałami, nadal spoczywało w ramionach połamanej matki. Rozpoznała to samo niemowlę, które widziała w pokoju na górze.

- Szczęściarz z ciebie - powiedziała do niego Swan, nachylając się, żeby spojrzeć z bliska. I do brata: - One tak cicho płaczą, te ich dzieci. Zauważyłeś?

- Nie - odparł wśród wrzasków i ryku płomieni. - Chodźmy.

Skinęła głową, niemowlę płakało, kiedy odchodziła. Nie jej problem.

\*

Pedero obejrzał się za siebie, pukając do ciężkich drzwi z tiqu. Drżała mu ręka, kiedy ją opuszczał, pod pachami czuł wilgoć rozkwitającą w postaci plam na białych kapłańskich szatach.

W brzuchu czuł strach, tak intensywny, że zbierało mu się od tego na wymioty.

Weź się w garść, nakazał sobie kapłan-szpieg, głęboko zaczerpnął tchu, zrobił wydech i mocno zacisnął pięści.

Do pokoju wpuścił go akolita w cywilnym ubraniu. Pobieźnie go obszukał, przyjrzał się mu z niezadowoleniem.

- Poczekał tutaj - polecił mu i poszedł w głąb wielkiego pokoju, gdzie pod przeciwległą ścianą znajdowała się drewniana kabina; niewolnik domowy stał obok otwartych drzwi do kabiny, trzymając misę pełną gąbek.

Pedero próbował się uspokoić, stojąc przed ciężkim biurkiem. Reszta pomieszczenia zagracona była różnymi pudłami z teczkami, nadal czekającymi na rozpakowanie, tak jak w jego własnym gabinecie, w innym skrzydle budynku, w związku z doroczną

przeprowadzką zakonu Elash do nowych anonimowych kwater. Na biurku zwierzchnika, wśród dokumentów, leżało do połowy zjedzone śniadanie. Przez drzwi za biurkiem zobaczył ciężki kufer podróżny stojący na podłodze drugiego pokoju, ściśle opieczętowany skórzaną łątą i siecią z cienkiej jak włos nici.

- Streszczaj się! - z osobistej wygodki doszedł go ochryply głos Alaruma. - Wkrótce wyruszam do portu.

Pedero rozejrział się przestraszony, kiedy nagle usłyszał słowa mistrza szpiegów.

- Panie, mam dla ciebie raport. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli go przeczytasz.

- To ty, Pederó?

- Tak. Tak, to ja.

- Czy to nie może poczekać?

Pedero opuścił wzrok na sporządzony eleganckim pismem raport, który ścisnął w drżących rękach. Atrament rozlał się w niektórych miejscach od potu jego palców.

- Nie sądzę. To z jednej z naszych placówek nasłuchowych. Dotyczy dyplomaty o imieniu Ché. O ile wiem, towarzyszy Świętej matronie w jej kampanii.

Z otwartych drzwi wyłoniła się ręka.

Pedero podszedł ku niej i, nie patrząc, wetknął dokument w czekającą dłoń. Pochylił głowę, odsuwając się tyłem na właściwą odległość, z dłońmi złożonymi za plecami.

- On to powiedział? Do tej przeklętej niewolnicy? - usłyszał po chwili.

- Tak jest.

Ciąg wymamrotanych przekleństw. Alarum zazwyczaj nie był cholerykiem. Jednak odkąd ogłoszono, że ma towarzyszyć Świętej matronie jako jej osobisty doradca do spraw wywiadu, zrobił się zgryźliwy wobec wszystkich wokół.

- Pieczęć godzinna z ubiegłego wieczoru. Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

Pedero, kaszląc, łapał oddech.

- Wystąpiło pewne zamieszanie - zaczął, krzywiąc się - w papierkowej robocie.

- Chcesz powiedzieć, że trzymałeś to przez cały czas na twoim biurku i dopiero teraz pofatygowaleś się, żeby przeczytać?

Nie był w stanie zaprzeczyć. Już wcześniej próbował wymyślić, jak zepchnąć odpowiedzialność za własny błąd na niższe szczeble, ale umysł zdrętwiał mu z wielkiego strachu - siedział za własnym biurkiem z raportem w drżącej dłoni, z paniką w głowie, po tym, co przed chwilą przeczytał, przerażony wiedzą, która właśnie go zainfekowała, że nie może, ot tak, nie przeczytać tych słów i oszczędzić sobie losu, który najprawdopodobniej

niosły. „Podrzec draństwo na kawałki i spalić je”, myśli trajkotały w przyprawiającej o zawrót głowy chwili hysterii. Wstał nawet i odwrócił się do drzwi z tym zamiarem, ale dostrzegł, że Curzon siedzi za swoim biurkiem, po drugiej stronie pokoju, przygląda się badawczo znad okularów; taki co to wszystko rozpowie.

Rób, co do ciebie należy, powiedział sobie bezmyślnie Pederó w zimnej samotności chwili. Jak zwykle, jakby nic się nie stało.

Chwila szaleństwa, myślał teraz, stojąc tutaj, wobec rzeczywistości swojej decyzji. Podniósł wysoko głowę, jakby był gotów nadstawić karku.

- Obawiam się, że tak, mistrzu szpiegów. Rozumiesz, po przeprowadzce... wszyscy dopiero stajemy na nogi.

- Wymówki, Pederó? Za to powinienem cię wysłać do bloku bólu na tydzień, a ty powinieneś mi dziękować, że jestem taki pobłażliwy.

- Tak, mistrzu szpiegów.

Długie, znużone westchnienie. Trudno je było nazwać uspokajającym, gdy chodziło o tego człowieka.

- Powiedz. Przez ile par rąk przeszedł ten raport?

Po tych słowach krew odpłynęła mu z twarzy. Poczłł to, ten nagły chłód własnego ciała; jakby już nie żył. Popatrzył na akolitę i niewolnika domowego, ale unikali jego wzroku.

- Tego, który słuchał. I moje.

- Imię tego, który słuchał? Nie mogę go odczytać.

- Ul Mecharo.

- A niewolnicy?

- Jej numer jest w raporcie. U góry z lewej strony.

- Widzę.

Pederó usłyszał dziwny dźwięk dochodzący z kabiny. Zdał sobie sprawę, że to Alarum szczyka zębami - jego zwierzchnik miał ten zwyczaj, kiedy próbował wydobyć coś z pamięci.

- Znam tego młodego człowieka - mówił w zadumie przez ściany kabiny. - A przynajmniej znałem jego matkę, za młodu. Była wtedy Sentiatką, chyba nadal jest. Nie z tych dziewczyn o martwych oczach, które teraz można dostać. Nie, ta była ognista, miała pazurki. Ale musiałem przestać do niej chodzić, kiedy zaszła w ciążę. Nie mogłem znieść smaku jej...

- To stawia wielki znak zapytania co do stanu umysłu tego dyplomaty - Pederó próbował coś sklecić. - Takim gadaniem wydał na siebie wyrok śmierci, niech tylko Sekcja dostanie raport.

- Myślę raczej, Pederu, że wyrok śmierci na niego został podpisany z chwilą, kiedy przedstawiono mu szczegóły misji. Teraz wie za dużo. Musimy założyć, że Sekcja każe go zabić, w ten czy inny sposób, jak tylko wypełni zadanie.

Pederu przygryzł wargę, myślał, jak przycisnąć mistrza szpiegów jeszcze bardziej. Znał tego człowieka już od kilku lat. Alarum zawsze wymagał od swojego zespołu uczciwej dyskusji, co wynikało przede wszystkim z jego własnej, czasami brutalnej, szczerości; uważał to za niezbędny wymóg profesji, jeśli chciało się zachować trzeźwe spojrzenie.

Pederu spojrział na akolitę, potem na niewolnika, ale obaj wyglądali, jakby ich całe życie polegało na bezmyślnym gapieniu się w podłogę. Znowu zbliżył się o krok do kabiny, prawie się do niej przycisnął.

- Czy to prawda? - zwrócił się do zwierzchnika nieomal szeptem. - To znaczy, to co powiedział?

Odpowiedź Alaruma była głośna i niespodziewana.

- Zostawcie nas - rozkazał i wreszcie akolita i niewolnik spojrzeli na Pederu, potem obaj skierowali się do drzwi. - Naprawdę chciałbyś wiedzieć? - zapytał Alarum, kiedy wyszli.

- Tak czy inaczej czuję pętlę na szyi.

- Och? To co powiesz o mnie? Czy i ja nie przeczytałem tego raportu?

- Możesz już należeć do sprawy - powiedział odważnie Pederu. Rozumiał, że dawno przekroczył granicę bezpieczeństwa.

Z kabiny dobiegło ciche rżenie. Pederu uznał je za śmiech.

Dlaczego się śmieje? Czy w tym jest cokolwiek śmiesznego?

- Pewnie i moi zwierzchnicy - nadeszła wreszcie odpowiedź. - A na pewno przewodnicy z Sekcji tego dyplomaty.

Pederu musnął wilgotne wargi. Wstrzymał oddech. Doszło do niego, że myśli o cegiełce ziela hazii, która czekała na niego w jego prywatnej komnacie w Dzielnicy Świątynnej i obiecany sobie samemu długim wieczorem przyjemności z nowo nabytą niewolnicą seksualną. Zastanawiał się, czy w ogóle dojdzie żywy do domu.

Twardym wzrokiem popatrzył na dokument, który wyleciał z drzwi kabiny i opadł na podłogę.

- Schowaj to gdzieś w aktach. Nikomu nic nie mów. Czy to jasne?

W tym momencie poczuł taką wdzięczność, że miał ochotę rzucić się Alarumowi do stóp. Ulga, której doświadczył, była jak przypływ erotycznej rozkoszy.

- Oczywiście, mistrzu szpiegów - odparł Pederu, pośpiesznie się nachylił i podniósł kartkę z podłogi.

- Aha... Pederó?

Bezgłóśnie:

- Tak, mistrzu szpiegów?

- Jak ten dyplomata wygląda?

- Sądzę, że opis znajduje się w jego teczce.

- Przynieś mi ją.



## Rozdział 7

# Zabójca

W pierwszej chwili Ash nie zauważył nietoskrzydłych lecących w jego stronę, z daleka były bowiem zaledwie kropkami we mgle nad miastem.

Wykonywał serię ćwiczeń rozciągających pod ciepłym niebem poranka, rozluźniał mięśnie, pozbywał się bólów kolan i pleców, przygotowując się do tego, co miało nadejść, bo w głębi duszy wiedział, że dzisiaj, nareszcie, ona wyjdzie z wysokiego kruczego gniazda.

Uwagę skupił całkowicie na ruchach i dźwięku własnego oddechu, dobiegającego z głębi trzewi. Ash nie zwracał wiele uwagi na niebo, nie mówiąc o hałaśliwych ulicach na dole, chociaż wyległy na nie tysięczne chmary ludzi. Wiedział, że poranne światło, na pozór za ostre dla jego oczu, to początek kolejnego ataku bólu głowy. Miał nadzieję, że nie będzie to poważny atak.

Kiedy zrobił przysiad, żeby rozluźnić pośladki i mięśnie grzbietu, wreszcie je dostrzegł - formację nietoskrzydłych szybujących nisko nad dachami, w kierunku Dzielnicy Świątynnej, odległej o pół laqa. Pozostał w niskiej pozycji, kiedy jeden z nich poszybował dokładnie nad jego głową, tak blisko, że zanim przeleciał, Ash zobaczył jeźdźca wiszącego pod skrzydłem i usłyszał grzechot metalowej uprzęży. Zostało za nim zawirowanie powietrza, od którego zmrużył oczy.

Kątem oka uchwycił błysk bieli z lewej strony, gdzie naprzeciwko zachodniej strony teatru wznosił się budynek. Schylił się jeszcze niżej, zrobił zwód i przycisnął się do parapetu, szukając osłony. Powoli podniósł głowę, zaryzykował i spojrział.

Po odległym budynku szedł akolita, znad ramienia wystawała mu strzelba. Przechadzał się po dachu, od czasu do czasu nachylając się, żeby spojrzeć w dół, na ulice. Ash odwrócił się, rzucił okiem na pobliskie dachy po drugiej stronie teatru.

Na wielu, tych płaskich, zobaczył białe szaty wylaniające się w świetle dnia.

Przed nim, z piskiem, otworzyły się drzwi.

Ash zastygł.

Drzwi na dach teatru umiejscowione były w wielkiej, stojącej pośrodku, betonowej dłoni, po drugiej stronie od miejsca, w którym przykucnął. Ash spojrział na podstawę dłoni,

gdzie leżała jego zapasowa peleryna owinięta wokół broni.

Spozą dłoni wyszedł akolita. Stał plecami do Asha, w jednej ręce trzymał strzelbę wyposażoną w lunetę, a w drugiej pistolet. Biała szata zmieniła punkt podparcia, jakby miała się odwrócić.

Ash działał. Niewiele myśląc przerzucił się przez parapet.

Doznał krótkiego zawrotu głowy, zawisł na koniuszkach palców ze ściany budynku. Nogami kołysał w powietrzu nad znacznie niższymi dachami właściwego teatru i tysiącami głów chwiejących się na ulicach. Teraz odgłosy tłumu stały się głośniejsze, jak ocean pozbawiony harmonii, nierówny, rozbijający się sam o siebie.

Co ja tu robię? - myślał, trzymając się ze wszystkich sił chropawego, betonowego brzegu parapetu.

Z góry doszło go szuranie nóg. Podniósł wzrok i zobaczył patrzącego na niego akolitę. Przez maskę widać było tylko oczy. Wietrzyk szarpał brzegi jego peleryny, jej dziwne jedwabne wzory błyszczały w świetle dnia. Oczami duszy Ash znowu zobaczył płonący stos i akolitów w białych szatach zebranych wokół niego, przyglądających się, jak płonie Nico.

- Podaj mi rękę - Ash odezwał się do mężczyzny w handlowym i zwolnił cenny chwyt lewej dłoni, żeby wyciągnąć ją do niego. To nie była prośba, to był rozkaz.

Akolita zachwiał się niepewnie. Popatrzył na wyciągniętą rękę. Ash czuł, że palce drugiej dłoni zaczynają go palić, wiedział, że wkrótce całkowicie zdrętwieją. Jeszcze raz wyciągnął wolną rękę do akolity.

- Szybko!

Mężczyzna odłożył karabin, ale pistolet trzymał mocno, kiedy nachylał się po dłoń Asha. Ash udawał, że nie może sięgnąć ręką dalej. Akolita nachylił się, żeby ją złapać.

Ich dłonie zetknęły się i zwarły. Ash ze stęknieniem szarpnął z całej siły i pociągnął akolitę do przodu, wytrącając go z równowagi, tamten przewrócił się za parapet i spadł.

Usłyszał krzyk, kiedy akolita przelatywał obok niego. Potem nic.

Podciągnął się na parapet. Stał na nogach, rozejrzał się po okolicznych dachach. Żaden akolita nie patrzył w jego stronę. Zrobił długi, mocny wydech i spojrzął w tył, za parapet. Akolita leżał połamany w rynnie między dwoma dachami teatru.

- Ha! - krzyknął Ash.

\*

Wszedł w chaos Serpenty, kaptur nisko naciągnął na twarz. Szeroki bulwar i odchodzące od niego boczne ulice stanowiły scenę dla święta. W tłumie było już wielu pijanych, ludzie machali flagami z czerwoną ręką Mann, girlandami z białych i czerwonych

kwiatów kupowanych u licznych kwiaciarzy, którzy nagle pojawili się na wszystkich rogach ulic, obok kupców sprzedających gorące jedzenie, alkohol, narkotyki. Żołnierze torowali drogę, zmuszając wszystkich, żeby zeszli na chodniki. Wiedział, jakie to ma znaczenie; wiedział także, dlaczego nad dzielnicą latają nietoskrzydła i dlaczego tak sumiennie sprawdza się dachy.

Przepychał się przez tłum. Zawiniątko ze swoimi rzeczami trzymał pod pachą. Znalazł wolną przestrzeń w podcieniach obok przekupnia z ciepłą żywnością, kupił papierowy kubek z gorącą *chee* oraz naleśnik z wieprzowiną i pieprzem, z zadowoleniem złamał post. Wszędzie wokół niego krzyczały rozdokazywane dzieci.

Podszedł do niego stary, pokryty parchami pies, usiadł i patrzył na jedzenie, dyszał, a ślina zwisała mu z pyska.

- Do budy - powiedział do psa i rzucił mu jedną trzecią naleśnika, która mu została. Pies machnął ogonem i pożarł jedzenie w kilku kęsach. Popatrzył na niego, żeby dostać jeszcze, nadal wywijając ogonem.

Ash wytarł zatłuszczone ręce i pokazał psu, że są puste.

- Więcej nie ma - mruknął.

Pies się położył. Ash ignorował go, jak tylko mógł. Oparł się o ścianę, żeby ulżyć nogom. Czekał w podcieniach, omiatał wzrokiem kręty kanion Serpenty, wijący się w stronę placu Wolności i dalej, gdzie Świątynia Szeptów wznosiła się nad motłochem dachów i kominów. Podrapał się w rozwichrzoną brodę, przysłuchiwał się urywkom rozmów prowadzonych wokół niego. Ludzie mówili o okrętach inwazyjnych w porcie, przygotowujących się do postawienia żagli; o matronie wyruszającej na wojnę. Było mnóstwo pytań, dokąd płyną.

W południe gromki okrzyk bojowy wzniosł się w okolicach placu. Parę minut później dołączyły do niego wiwaty z bliższych odcinków Serpenty. Nad niezliczonymi głowami Ash dostrzegł procesję posuwającą się aleją. Malowane czerwone dłonie chwiałały się na szczytach misternie rzeźbionych kijów, pod nimi kapłani kołysali się w tym samym rytmie, odziani w białe szaty i maski-lustra z polerowanego srebra.

Odwrócił się plecami do ulicy i nachylił nisko nad zawiniątkiem z rzeczami. Pies mrugnął, patrzył, co czynią jego ręce; Ash wyciągnął kuszę i wygiął jej ramiona do tyłu, na pozycję gotową do strzału, zerkając przez ramię, czy nikt go nie obserwuje. Naciągnął podwójną cięciwę, położył jeden, a potem drugi beł na ich miejsca. Zapach tłuszczu wypełnił mu nozdrza.

Przez chwilę towarzyszyło mu uczucie „wani”: jakby ta chwila już kiedyś była.

Szybko jednak zniknęło.

Kiedy Ash stanął z kuszą ukrytą pod peleryną, straż przednia procesji przechodziła obok. Przyjrzał się balkonom po drugiej stronie ulicy wypełnionym uradowanymi rodzinami. Nad nimi, na kilku dachach rozstawieni byli akolici, patrzyli na rozgrywające się niżej sceny przez lunety swoich strzelb.

Ryk tłumu rozchodził się w jego stronę jak fala, dotrzymując kroku palankinowi, przesuwającemu się powoli wzdłuż ulicy, prawie niewidocznemu w chmurach czerwonych i białych płatków, które ludzie rzucali z balkonów i chodników. Mignęła mu Sasheen.

Żołnierze wysilali się, żeby powstrzymać tłumy prace naprzód, by lepiej zobaczyć Świętą matronę albo by wzrok matrony spoczął na nich.

Sasheen wyglądała tego dnia wspaniale. Stała w ogromnym, wysadzonym klejnotami, lśniącem palankinie w kształcie delfina, z ponadnaturalnej wielkości cuglami rozciągającymi się od jego pyska do balustrady, których trzymała się jedną ręką dla zachowania równowagi. Palankin niesiony był na barkach dwóch tuzinów nagich niewolników, chwiała się lekko w rytm ich kroków. Ciało zakute miała w wyprofilowanej białej zbroi, złota maska oddawała jej własne rysy. Trzymała w górze krótką połączoną włócznię.

Adoracja ze strony tłumu osiągnęła szczyty, kiedy postać matrony odwróciła zamaskowaną twarz, żeby na nie popatrzeć. Ludzie w oddaniu padali na kolana. Ash był świadkiem, jak kilku pielgrzymów zemdłało.

Kusza zadrżała mu w ręce, kiedy ją podniósł i wycelował w jej głowę.

Całe to oczekiwanie, długie, samotne czuwanie na dachu, wydawały się teraz mgnieniem oka. Wreszcie nadarzyła się mu szansa; szansa, żeby męka chłopca znalazła ukojenie w jego duszy. Ash próbował wyrównać cel, głęboko świadom, że właśnie przekracza granicę, spoza której nie ma powrotu. Potem nie będzie już Rōshunem. Choć odrzucił już tę rolę w słowach, ten czyn będzie jej prawdziwym końcem.

Niech tak będzie. I tak umrę.

Zagiął palec na spuście, śledził ją, kiedy przejeżdżała tuż obok niego.

Coś było nie tak. Promień słońca odbijał się przez chwilę od przestrzeni wokół niej. Ash zawahał się, zmrużył oczy i zobaczył, że Sasheen tkwi w kapsule z niewiarygodnie cienkiego szkła. W jednej chwili zorientował się, co to jest: egzotyczne wzmacniane szkło, tak pożądany produkt Zanzaharu, który przywożono aż z Niebiańskich Wysp. Nic nie może ich przebić poza materiałem wybuchowym.

Zdegustowany opuścił kuszę i ponownie szybko ją schował pod peleryną.

Zahuścił się na piętach. Ku jego zaskoczeniu serce mocno mu waliło. Patrzył

oszołomiony, jak matrona jedzie bez przeszkód dalej. W bezsilnej wściekłości ścisnął dłonią uchwyt kuszy.

Pies leżący obok zaskomlał. To przynagliło go do działania. W pośpiechu rozebrał kuszę na części i schował ją do zrolowanej peleryny, obok lunety i miecza. Popatrzył, jak Święta matrona posuwa się Serpentyną; wiedział, że nie może spuścić z niej oka, musi iść za nią, aż pojawi się jakaś okazja. Podniósł brzemień i ruszył.

Przepychał się przez tłumy, pies zaś został i tylko patrzył za nim.

\*

Ash wyczuł zapach soli od morza, tropiąc procesję krętą linią Serpentyny. Wiedział wreszcie, że zbliżają się do Pierwszego Portu. Tłum był tak gęsto upakowany wzdłuż chodników, że trudno mu było dotrzymać kroku nawet powolnemu rytmowi palankinu matrony. Było jak we śnie z dzieciństwa, kiedy próbował biec przez gęstwę nieustępliwych bambusów podczas nawałnicy. Kiedy stracił matronę całkowicie z oczu, warknął i przepchnął się przez grupę ludzi na mniej zatłoczoną stronę ulicy. Stamtąd inną trasą poszedł do portu.

Kiedy wyłonił się przy otwartych nabrzeżach, zatrzymał się i objął wzrokiem zakotwiczoną flotę. Wyglądała na mniejszą, niż kiedy widział ją po raz ostatni, w dniu, kiedy życzył Barasze i innym szczęśliwej drogi do domu. Chmary okrętów, które wcześniej stały w porcie, w większości odpłynęły, nie licząc kilku eskadr. Reszta to ciężkie transportowce, statki otoczone dziesiątkami łodzi wiosłowych, do ostatniej chwili przewożącymi zapasy i personel z nabrzeży. Pośrodku, nad wszystkim górował potężny kadłub imperialnego okrętu flagowego.

Stał, patrząc bezradnie, jak piesi niewolnicy niosą palankin Sasheen po trapie, na wielką barkę, która czekała na nich na wodzie. Reszta świty poszła za matroną, potem trap wciągnięto na pokład i długie pociągnięcia odepchnęły barkę od nabrzeża. Popychana wiosłami zaczęła płynąć w stronę okrętu flagowego.

Ludzie przeciskali się obok niego, ale Ash prawie nie czuł pchnięć. Nie ruszał się, w oczach miał widok barki zmierzającej na głębokie wody portu. Wzdłuż całego nabrzeża tłumy machały, żegnając swoją Świętą matronę, błogosławiąc jej nadchodzące zwycięstwo. Ash rozejrzał się nerwowo, szukał jakiegoś sposobu, żeby pójść za nią: pewnie mógłby skądś wydostać wolną łódź wiosłową albo znaleźć miejsce na jednej z łodzi pływających w tę i z powrotem między flotą a nabrzeżem.

Wiedział, że to wielkie szaleństwo, zrodzone z jego desperacji.

Spokojnie, powiedział do siebie w duchu. Uspokój się.

Ponownie przepychał się przez ścisk z tobołkiem i znalazł cichsze miejsce pod ceglana

ścianą magazynu. Patrzył na morze, miał nadzieję, że dozna olśnienia.

Tłum stopniowo rzednął, aż zostali głównie ludzie zajmujący się załadunkiem. Słońce stało wyżej na niebie, wiatr wiejący od wody łagodził skwar. Okręty floty pojedynczo albo parami kończyły załadunek i odchodziły na pełne morze, napędzane własnymi wiosłami albo ciągnięte na linach przez łodzie.

Okręt flagowy zaczął się oddalać, holowany ku wyjściu z portu przez własną flotyllę mniejszych statków. Ash zmusił się, żeby nie wstać.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się statkom nadal stojącym na kotwicy. Na pokładach wielu z nich nie było widać ruchu. Zwrócił uwagę na chaos wciąż widoczny na nabrzeżu. Nastroje były gorące, rozmaici kapitanowie i ich załogi kłócili się z kwatermistrzami, próbując zdobyć zapasy, których nadal im brakowało.

W tym tempie, myślał Ash, wiele z tych statków odpłynie, jak się ściemni. Oparł się, naciągnął niżej kaptur. Skrzyżował ręce i zamknął oczy.

Jesienne popołudnie przemijało bez pośpiechu, zaczynał się zmierzch.

\*

Była taka opowieść o Wielkim Błaznie, mędrцу Dao z Honshu, który potępił wszystkie dogmaty, ale sam został ubóstwiony po śmierci. Każdemu uczniowi Rōshunów opowiadano tę historię podczas szkolenia.

Wędrując po górach nad źródłem Rzeki Perfum, najnowsza wyznawczyni, wybrana kobieta Miri, zapytała go:

- Wielki mistrzu, jak zachować spokój?

Zamiast odpowiedzieć, Wielki Błazen rzucił patyk w rwący nurt i kazał wyznawcom obserwować, jak płynie z prądem.

- Ale ja nie jestem drewnianym patykiem - odpowiedziała gniewnie Miri. - Jak mam płynąć z prądem w tak naturalny sposób?

Wielki Błazen stuknął ją lekko w czoło.

- Pozwalając umysłowi zachować spokój.

Był to paradoks, który zrobił wrażenie na Ashu, kiedy po raz pierwszy usłyszał go jako Rōshun podczas treningu, bo wtedy bardzo potrzebował wybawcy. Rzucony na wygnanie, pozbawiony przyjaciół, rodziny, bez nadziei, że kiedykolwiek wróci do domu, rozpaczliwie potrzebował czegoś, co poskromiłoby beznadzieję w sercu i niekontrolowane myśli w głowie, które mówiły mu, żeby skończył życiem niewartym już przeżycia. I tak oto przyjął rōshuński system spokoju, i on go uratował.

Była też inna historia, którą opowiadał swoim wyznawcom sam Wielki Błazen, dla

nauki. Ash zapamiętał ją także z tamtych czasów.

Szaleniec siedzi w klatce ze ślepym tygrysem za towarzysza. Szaleniec, odkąd pamięta, chodzi z jednego końca klatki w drugi, okrążając tygrysa tak, jak tygrys jego, zwierzę zaś ryczy z głodu. Szaleniec, odkąd pamięta, uskakuje w bok przed jego atakami na oślep albo stoi cicho w rogu, patrząc, jak tygrys powoli chodzi wzdłuż krat. Nie ustaje w tych okrążeniach, tak silne są jego żądze.

Pewnego dnia szaleniec stwierdza, że już dłużej tak nie może. Przystaje chodzić. Odwraca się tyłem do tygrysa. Siada i czeka na śmierć.

Zasypia albo tak mu się wydaje - bo kiedy otwiera oczy, wszystko jest inaczej.

Kołyszą się otwarte drzwi do klatki. Nareszcie wzywa go wolność.

Szaleniec robi krok na zewnątrz. Widzi, że wszystko jest jednością, w tym miejscu zalanym światłem. Widzi, że pręty klatki przez cały ten czas dzieliły to, co widział, na wąskie pasy. Patrzy na tygrysa nadal krążącego po klatce. Widzi, że nadał mu imię i tożsamość i stworzył historię czasu, który spędzili razem. Widzi też, jak niedojrzały i mały, jak silny i szlachetny jest w istocie tygrys.

I wtedy człowiek wraca do klatki, do swojego szczerego towarzysza. Zwierzę i wtedy pragnie go pożreć; nadal boi się o przetrwanie.

Ale nie czyni mu krzywdy, bo to on jest panem.

Tak oto szaleniec odzyskał zdrowie psychiczne.

Ta metoda sprawiła, że Ash przestał być pewien siebie. Już nie wiedział, czy umiejętnie płynie z nurtem Dao, czy widzi jasny i obiektywny cel. Być może, pogrążony w żalu, zgubił Drogę.

Ale skąd ma to wiedzieć? Jak ma odróżnić właściwą metodę od niewłaściwej, kiedy wszystko wydaje mu się teraz równie ciemne i nieokreślone?

Po prostu oddychaj i dostosuj się do tego, powiedzieliby Chan, mnisi Dao. Więc Ash nabrał głęboko do płuc chłodnego, nocnego powietrza i wypuścił jednym, długim oddechem cały nacisk i zamieszanie, które się w nim zgromadziły. I tak jak nieruchomo siedział, zaraz wstał, gnał, jakby się palił, biegł przez ciemność po twardym bruku nabrzeża, na drewniane deski pomostu, aż na jego skraj, i skoczył, nabierając ze świstem tchu, i głową naprzód zanurkował w morze.

## Rozdział 8

# Wyłom

Procesja ludzi-chmur szła po bruku, ich czarne szaty powiewały na wietrze, w głos wyśpiewywali uroczyste słowa rytu śmierci. Od czasu do czasu zadźwięczała moneta wrzucona do ich żebraczych miseczek; wokół ich ogolonych głów rozwiewało się szare żrące kadzidło. W rękach najstarszego mnicha idącego na końcu procesji trzaskało drewniane aesło, składając się jak szczęki, wybijało powolny, równy rytm, wstrząsający zmysłami za każdym uderzeniem.

Bahn nic nie dał, kiedy przechodzili. Nie dlatego, że odmawiał im jałmużny. Po prostu nie był w stanie pobudzić się do tego stopnia, żeby to zrobić. Stał, jakby pogrzebany w samym sobie, na głębokości dziesięciu stóp, patrzył przez kolczaste krzaki szeptanych myśli. Był zmęczony. Przyzwyczał się już do tego stanu.

Pragnął tylko jednego: odsunąć od siebie popołudniowe obowiązki, złapać riksę do domu, w północnej dzielnicy, wejść do łóżka, naciągnąć koce na głowę i odciąć się od świata aż do rana.

Ten bezwład nękał go już od tygodnia. Co noc musiał walczyć, żeby zasnąć, w głowie kręciło mu się od trosk i myśli. Ale teraz, bez względu na sen - trzy godziny przewracania się w łóżku czy dziesięć godzin całkowitego zapomnienia - i tak budził się wypompowany z życia.

Mógł tylko patrzeć w ponurym milczeniu, jak mnisi idą ulicą między szeregami widzów składających im wyrazy szacunku; za nimi podążali bladzi żałobnicy. Młody mężczyzna niósł pod pachą dzbanuszek z prochami, obok niego jego jeszcze młodsza żona, która ledwie szła bez wsparcia.

Bahn musiał pójść dalej, choćby po to, żeby pobudzić zmysły. Nie chciał okazać braku szacunku, przechodząc pośpiesznie przed nimi wszystkimi, więc cofnął się na jakiś czas za żałobników, próbując nie ziewać, kiedy przyglądał się z tyłu ich smutkowi.

\*

Zmierzał na południe, przez tętniącą życiem Dzielnicę Fryzjerów, w której urodził się i wychował razem z dwoma braćmi. Widać stąd było Górę Prawdy - wznoszące się łagodnie



od zachodu, nad dachami wzgórze z zieloną koroną parku na spłaszczonym szczycie i białym budynkiem Ministerstwa Wojny, gdzie Bahn prawie codziennie składał raporty swojemu zwierzchnikowi, generałowi Creedowi.

Ale nie dzisiaj. Podczas przerwy w walkach generał skorzystał z okazji i poleciał do Minos z osobistą misją dyplomatyczną, a przynajmniej tak raczył to objaśnić, kiedy Bahn wyraził zainteresowanie. Bahn miał nadzieję, że generał wkrótce wróci. Codziennym uciążliwym obowiązkiem stało się odpowiadanie na wiele listów od rady Michinè, w których domagano się odpowiedzi, kiedy Lord Protektor wróci, dlaczego nie ubiegał się o ich zgodę, zanim opuścił Bar-Khos i Tarczę na tak długo.

Bahn zaczął za każdym razem używać tej samej, stereotypowej odpowiedzi. Po prostu korzystał ze starannie sformułowanego tekstu, który zawsze trzymał na biurku.

Minął długą kolejkę uchodźców i mieszkańców czekających na rację chleba ze sponsorowanych przez radę piekarni. Dało mu to do myślenia, czy nie powinien kupić sobie trochę żywności, żeby zyskać energię. Ostatnio Bahn także jadał mniej, często oddawał swoją część szczupłych porcji Marlee i dzieciom. Jednak kiedy szedł przez plac Domokrażców, kramy z jedzeniem na małym bazarze były prawie puste, a te niewielkie ilości jedzenia, które wystawiono na sprzedaż, kosztowały tyle, że nie znalazłby usprawiedliwienia dla rozrzutności z tymi paroma monetami w kieszeni. Lepiej wziąć trochę chleba i fasoli z któregoś z namiotów z kantyną, kiedy nadarzy się okazja.

Zatrzymał się u wylotu Drogi Wysokiego Króla, najdłuższej arterii Bar-Khos, prowadzącej ze wschodu na zachód wzdłuż wybrzeża, przez całą długość miasta. Droga Wysokiego Króla przecinała ujście Lanszlaku, biegnącego w stronę odległego południowego kontynentu cienkiego przesmyku, nad którym stały wysunięte mury Tarczy. Droga wychodziła tutaj także na Wszystkich Błaznów, dzielnicę położoną najbliżej Tarczy, i jedyny cywilny obszar na samym przesmyku, wypełniony po brzegi uchodźcami. Za nim przebiegał kanał, który przecinał Lanszlak i łączył oba porty, a jeszcze dalej linia budowy nowego muru, przytłoczona Murem Tyrilla, stromym i ogromnym jak urwisko. Jego wielkość można było ocenić, patrząc na kropeczki Czerwonej Gwardii patrolującej wieńczące go blanki.

Bahn niechętnie poszedł w jego stronę.

\*

Ziemia niczyja między murami była to ubita przestrzeń z wyłożonymi deskami chodnikami i opadającymi namiotami; obramowana po obu stronach murami nadmorskimi, a z przodu i z tyłu wyższymi murami Tarczy, tak że zamknięta nimi przestrzeń miała akustykę i oświetlenie głębokiego jaru. Chaos miejskiego życia zastąpiony był uporządkowaną

dyscypliną i surowymi nastrojami mężczyzn walczących codziennie na blankach i pod murem.

Tutaj, między dwoma najbardziej wysuniętymi murami Tarczy, stała garnizonem cała armia. Kiedy Bahn przeszedł przez bramę z posterunkiem w przedostatnim murze, znalazł się w głównym obozie wojskowym tej wojny. Z przodu stał Mur Kharnosta, jedyna rzecz, która oddzielała go od Czwartej Armii Imperium po drugiej stronie.

Pełna chartassa ciężkiej piechoty ćwiczyła w szyku, w skwarze południa. Sierzanci wyrzaskiwali rozkazy, żołnierze umiejętnie wykonywali manewry. Patrzył, jak falanga mężczyzn zatrzymała się z przytupem, a pierwsze szeregi pochyliły lśniące ostrza włóczni nazywanych „charta” i razem wydali okrzyk. Czerwona Gwardia i Ochotnicy Ligi chodzili między namiotami. Specjalni trzymali się obok wież o otwartych bokach sterzających nad wejściami do tuneli pod Murem Kharnosta, gdzie saperzy oblężnicy pracowali w ciemnej ziemi, a Specjalni walczyli, kiedy przyszła potrzeba.

Przed namiotami z kantyną grupa Szarych Kurtek i Ochotników rozebrana do pasa grała w krzyż. Był tam pułkownik Halahan, stał w prostym szarym mundurze, palił fajkę i od czasu do czasu porykiwał na żołnierzy ze swojej brygady. Wszyscy byli internacjonalami z zagranicy: Nathalczycy, Pathianie, Tilianie i inni, z dalszych stron. Naprzeciwko Halahana jego odpowiednik od Wolnych Ochotników dodawał ducha swoim ludziom, wyśmiewając ich błędy.

Ochotnikami byli bojownicy z Minos i innych wysp demokrasów. Nie ukrywali niczego, gestykulowali, przeklinali swojego dowódcę w sposób, który nieodmiennie zaskakiwał Bahna, ilekroć się z tym spotkał; taka bezpośredniość nigdy nie byłaby tolerowana w sztywnej hierarchii armii khosyjskiej. Tak jak Szare Kurtki, z którymi współzawodniczyli, ci ludzie nie mieli zwierzchników, nie licząc takich, których najbardziej szanowali. Mogli nawet, podnosząc ręce, zdymisjonować albo zastąpić swoich oficerów, kiedy ci stracili ich szacunek.

Halahan uniósł dłoń na widok Bahna i Bahn odpowiedział skinieniem głowy pod adresem starego, nathalezjańskiego weterana.

- Pułkowniku Halahan! - zawołał na powitanie. - Dobrze wyglądasz.

- Jesteś cholernym łgarzem, Bahn! - odrzyknął weteran. W tej chwili jeden z jego ludzi dostał i rozłożył się przed nim na ziemi. Halahan wszedł między swoich ludzi i, powarkując, przerwał walkę.

Bahn znalazł się w cieniu Muru Kharnosta na długo, zanim pod nim stanął. Działa na szczycie fortyfikacji milczały, ale strzelcy wyborowi strzelali stamtąd od czasu do czasu.

Tego popołudnia Bahn przyszedł obejrzeć wyłom w Murze Kharnosta, odcinek, który zawalił się w ubiegłym miesiącu, kiedy Imperialni go podminowali. Ciężkie walki trwały tam przez tydzień, zanim obrońcy zdołali zatkać wyłom.

Tam właśnie poszedł Bahn, do kredowej mieszaniny gruzu wypełniającej rozbity fragment ogromnego szanca. Zanim nawet tam dotarł, widział, że to prowizorka. Ludzie i zele trudzili się, żeby podciągnąć bloki ciętego kamienia i zbudować cienki mur osłonowy, zakrywający luźne wypełnienie. Niemniej mówiło się, że szaniec został w tym miejscu osłabiony już na stałe.

Bahn pomyślał, że minęło już trochę czasu, odkąd wszedł na Mur Kharnosta, żeby popatrzeć na drugą stronę. Armaty rzadko bywały takie wstrzemięźliwe, a powietrze wolne od przelatujących pocisków. Postanowił rzucić okiem.

Poczuł pot na czole, zanim wspiął się na sam szczyt. To zbroja: nie zdołał się nauczyć, jak należycie ją nosić. Na górnym parapecie położył dłoń na blankach i odsunął hełm do tyłu, żeby otrzeć czoło. Dwaj żołnierze Czerwonej Gwardii popatrzyli na niego i wrócili do gry w rasha; ich porucznik w ogóle nie zwrócił na niego uwagi, był zajęty obserwowaniem rozciągającego się w dole przesmyku.

Bahn też spojrzął za parapet. Zobaczył ciemne linie ziemnych szanców i działa oblężnicze, nadal otulone słomą i naoliwionym płótnem, co stanowiło ich nocną osłonę. Tu i tam widać było poruszające się białe kształty, a od czasu do czasu kłęb dymu po strzale któregoś z ich snajperów.

Za ich liniami rozpościerał się ogromny obóz Imperialnej Czwartej Armii, jak zadymione, śpiące miasto. Powinniśmy ich zapytać, czy lubią grę w krzyż, pomyślał. Moglibyśmy zakończyć całą wojnę tu i teraz i ujść z życiem.

Poniżej, po khosyjskiej stronie, gra w krzyż już się kończyła. Widział, jak Halahan idzie, kulejąc, ku murowi, jakby chciał się na niego wspiąć. Bahn nie miał wielkiej ochoty rozmawiać z nim ani z kimkolwiek innym.

Poszedł dalej, w stronę wyłomu, nieświadomie trzymając się nisko za parapetem, czuł się obnażony w każdej owiewanej wiatrem luce między zębami blanków i w występującej od czasu do czasu ziejącej pustce, gdzie fragment blanków całkowicie się zapadł. Ale poza nim nikt nie szedł zgięty ani nie okazywał niepokoju o przypadkowy strzał z przeciwnej strony. Bahn zmusił się, żeby wyprostować grzbiet i iść w sposób bardziej odpowiadający oficerskiej godności.

Zatrzymał się przy całkowicie zrujnowanych blankach, gdzie mur się zapadł, a kamienie sterczały nierówno. Wpatrywał się w dół, w załatany wyłom.

Gruz i ziemia plombujące dziurę wypełniały połowę jej szerokości. Zostały udeptane, przykryte luźnymi deskami. W poprzek dziury ułożono prymitywną barykadę z kamiennych bloków dla osłony, chociaż nikogo teraz tu nie było. Sam wyłom nie był już widoczny od mannijskiej strony Tarczy. Naprzeciwko niego usypane było wielkie ziemne zbocze, tak samo jak wzdłuż całego muru. Jak stwierdzili, była to jedyna osłona zdolna wytrzymać nieustanne bombardowanie artyleryjskie.

Ale wyłom i tak było widać z miejsca, w którym stał Bahn, nie mógł oderwać od niego wzroku. Patrzył na zawalony odcinek muru, jakby spoglądał w głąb siebie, wyczuwał jakieś pokrewieństwo z rumowiskiem kamieni.

Myślał o notatce, która nadeszła od minozyjskiego wywiadu w ubiegłym tygodniu. Sugerowano w niej możliwość bliskiej inwazji na Khos. Obowiązek kazał mu zachować tę informację dla siebie; w końcu było to tylko przypuszczenie co do planów nieprzyjaciela. Trzymał w niewiedzy nawet Marlee, nie chcąc, żeby niepotrzebnie się martwiła. I tak wiedziała, że z nim jest coś nie tak, spostrzegła, że ostatnio stał się przybity. A potem działała po mannijskiej stronie zamilkły, jak przypuszczano, w związku z imperialną żalobą. Bahnowi wydawało się raczej, że nabierają tchu przed zbliżającym się atakiem.

Zdjął hełm, położył go obok, na ocalałych blankach z kawałkiem metalu. W umocnienia była tu wbudowana cysterna wypełniona deszczówką. Wypił kilka łyków z kubka przymocowanego do niej na łańcuchu. Zaspokojony oparł się o kamienie i zagubiony w gonitwie myśli spojrzął na Lanszlak.

Burza z piorunami rozciągała zasłony deszczu w poprzek odległego końca przesmyku i nad skorupami wzgórz po jego obu stronach: na samym koniuszku południowego kontynentu i na ziemi Pathii, która dziesięć lat temu wpadła w ręce Mann. Wiatr rozwiewał mu włosy, a na niebie, wysoko, bez celu, krążyły ptaki.

Uchylił się, kiedy niedaleko niego z jękiem od kamienia odbiła się kula. Bahn odwrócił się, żeby zobaczyć, w co uderzyła, i ujrzał Halahana, który stał tam, trzymając stopę chorej nogi opartą o gruzy rozbitego parapetu. Jedną rękę położył na wzniesionym kolanie, drugą przytrzymał glinianą fajkę w kąciku ust. Chłodno przyglądał się obłóczkowi pyłu unoszącemu się obok jego buta.

Nathalezjański weteran nachylił się, splunął na kredowy ślad po kuli, jakby gasił płomień, i odezwał się do Bahna, nie odwracając się do niego.

- Myślisz o małym numerku?

Bahn zamrugał, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Przed chwilą byłeś taki zamyślony. Zastanawiałem się, czy nie myślisz o jakiejś

laseczce.

Bahn wstał, przeczesał palcami włosy i z powrotem włożył hełm. Przez cały czas uważał, żeby nie wychylić się zza osłony blanków.

- Chodzisz ciszej niż górski lew - powiedział do - Nathalczyka, zanim zdał sobie sprawę, co mówi.

Halahan okazał się na tyle uprzejmy, że nie spojrzął na metalowy aparat z zawiasami obejmujący sporą część jego nogi, po prostu popatrzył Bahnowi w oczy. Czarny humor błyszczał w oczach Halahana lśniącego oślepiającym, ciemnym błękitem wieczornego nieba. Bahn zawsze lubił nathalezjańskiego dowódcę brygady Szarych Kurtek, szanował jego manery pozbawione przebiegłości czy zarozumiałstwa - inne niż u wielu znanych mu oficerów tej armii.

Pułkownik był kiedyś kapłanem, przynajmniej takie chodziły słuchy, ale teraz trudno było znaleźć w nim coś z duchownego. W jego charakterze było natomiast coś ogorzałego od wiatru, coś awanturniczego.

- Myślałem o tej flocie z Q'os - wyznał Bahn. - Zastanawiałem się, czy wkrótce wypłynie, a jeśli, to dokąd.

- Myślałeś, czy aby nie przyplynie tutaj.

- Oczywiście, a ty nie?

Halahan śmiał się, widać to było tylko po jego oczach.

- Stary już wrócił? - zapytał.

Ach, pomyślał Bahn.

- Nie. Rada ciągle suszy mi o to głowę.

- Wyobrażam sobie. Niedobrze z nimi, skoro Lord Protektor wybiera się osobiście, żeby poprosić Ligę o posiłki.

- Myślisz, że po to tam pojechał?

- Oczywiście, między innymi. Co więcej może zrobić? Rada wolałaby wsadzić głowę w piasek. Z tego, co słyszałem, mają po prostu nadzieję, że Mannijczycy uderzą na Minos, a nie na nas.

Bahn wzruszył ramionami, ale pod naramiennikami nie było tego widać.

- Może jednak mają rację. Minos też może być celem. Kiedy my tu rozmawiamy, oni dostają mocno w kość.

- Tak, czytam raporty. Imperialni dyplomaci wznecają chaos w Al-Minos. Druga Flota została związana walką przez pokaźne formacje wroga. - Halahan mówił tak, jakby w to nie wierzył. - I jest tak źle, że Trzecia Flota wypłynęła z naszych wód na pomoc. Praktyczne.

Jeśli chce się ominąć flotę inwazyjną z Lagos i nie zaangażować się w boje.

Halahan pociągnął fajkę, wiatr zarzucił mu na twarz jego długie siwe włosy. Nie wyglądało na to, że mówi o możliwej klęsce i śmierci. Bahn często myślał o ludziach, którzy żyli wojną, jakby to było zwyczajne życie. Jakoś udawało im się odsuwać myśli o najgorszym losie, który może ich spotkać. Prześlizgiwali się przez życie i podczas pokoju, i podczas wojny.

Zazdrościł ludziom dysponującym takimi cechami. Bahn nigdy nie przestawał się bać o przyszłość i o wojnę. I na pewno nie prześlizgiwał się przez życie. Stąpał ukradkiem, rozglądając się na lewo i prawo, zawsze w obawie, że wykona fałszywy krok albo wypowie niewłaściwe słowo. Może powinien nabrać większego upodobania do picia, jak wielu jego kolegów oficerów. Albo do ziela hazii, jak Halahan, który pali na okrągło. Nawet teraz czuł ten zapach w przypadkowych porywach wiatru.

Eskadra statków powietrznych zataczała koła nad miastem, wysoko nad kupieckimi balonami uwiązanymi do wież, wyżej nawet niż krążące nad ulicami ptaki. Bahnowi śniło się pewnej nocy, że razem z rodziną znalazł się na pokładzie jednego z tych wspaniałych latających pojazdów i leciał w stronę wschodzącego słońca, w poszukiwaniu azyłu.

- Wiesz przecież, że wszyscy oni mają prywatne statki zacumowane w zachodnim porcie. Szybkie słupy z załogami w stanie pogotowia, na wypadek gdyby Tarcza kiedyś padła.

Bahn kiwnął w roztargnieniu głową. Słuchał, jak wiatr śwista mu w uszach.

- A jednak - powiedział wreszcie słabym głosem, na granicy załamania. - To może być manewr mylący, nie sądzisz? Ich prawdziwym celem może być Minos.

Halahan przez jakiś czas przyglądał mu się uważnie, humor zniknął z jego oczu.

Położył Bahnowi rękę na ramieniu.

- Synu, lepiej uporządkuj to sobie w głowie - poradził cicho. - Oni idą wprost na nas.

## Rozdział 9

# W towarzystwie szczurów

Okręt sunął szybko południowo-wschodnim kursem, żagle wypełnione miał wiatrem, jego dziób przecinał doliny i szczyty fal. Ché stał przy relingu, słona mgiełka z sykiem przelatywała nad pokładem, okręt jęczał pod nim, wiozł ich przez Serce Świata.

W oczach innych wyglądał, jakby tylko wdychał morskie powietrze podczas jednego z dni ich jazdy na wschód. Dla Ché była to forma medytacji, jego umysł skupił się na przepływie oddechu i zmysłach. Metoda była tak przyjemna, że uśmiezek, którego nie był świadom, wygiął kąciki jego warg.

Nie śmiał robić niczego więcej. Nie tutaj, nie w obecności tylu równych sobie. Usiąść na głównym pokładzie w pozycji daoistycznego mnicha albo Rōshuna - na klęczkach, z wyprostowanymi plecami - byłoby wyzwaniem dla nich wszystkich. Robiono by uwagi. Jeden z Monbarri coś by mu powiedział, jakieś groźby zamaskowane pod postacią zręcznego pytania o podwójnym znaczeniu.

Ché chwiał się na piętach w rytm łagodnego kołysania statku, widział sterówkę wznoszącą się na śródokręciu, legion małych flag sygnałowych trzepoczących nad nią. Za nim pokład rufowy wznosił się na trzy poziomy. Tam kryły się okazałe kabiny Świętej matrony i jej dwóch generałów. Sasheen stała tam teraz, na najwyższym pokładzie, wdychała morskie powietrze, tak jak Ché, ale siedziała w głębokim wiklinowym fotelu, otulona w ciężkie futro chroniące ją przed kąśliwym wiatrem, otoczona białymi parawanami osłaniającymi jej miejsce wypoczynku. Między parawanami widać było arcygenerała Sparusa i młodego Romano, siedzących u jej boku, zatopionych w rozmowie, obsługiwanych przez niewolników. Matrona nie patrzyła na nich, kiedy do niej mówili. Obserwowała statek powietrzny przelatujący nad ich głowami, jeden z jej latających okrętów strzegących floty inwazyjnej; zespołu statków rozciągniętych jak okiem sięgnąć.

Raczej wyczuł, niż zobaczył, że z tyłu ktoś się zbliża.

- Nie myśl o tym - usłyszał cichy męski głos. - I tak zawsze jest gorzej, niż możesz sobie wyobrazić.

Ché poczuł przez chwilę irytację, odwrócił głowę i zobaczył Guana, młodzieńca z

sektę Mortarusa, który zaokrętował się ze swoją siostrą jako członek orszaku podróżnego Sasheen. Kapłan stał przytłoczony ogromem masztów i żagli przesłaniających połowę nieba.

- A co to takiego? - zapytał ironicznie Ché.

- Inwazja. Nigdy nie byłeś na wojnie, prawda?

Ché po prostu pokręcił głową.

- Byłem tam z siostrą, ostatnim razem, kiedy najechaliśmy Wolne Porty. Nie był to piękny widok.

- Byłeś w Coros? Wyglądasz bardzo młodo.

- Tak. Byliśmy młodzi. Nasz ojciec był dowódcą Pięćdziesiątej Piątej Lekkiej. Zabrał nas ze sobą, bo tak wyobrażał sobie nasze kształcenie. Owszem, uczyliśmy się. Nauczyliśmy się, co ostrze pocisku może zrobić z integralnością jego czaszki.

Mówi o ojcu, zorientował się Ché. Była to rzadkość, żeby kapłan mówił o ojcu; jeśli nawet go znał.

Spostrzegł, że Guan czeka na jego pytania, ale nic nie powiedział. Chciał tylko, żeby zostawiono go samego.

To Guan przełamał milczenie.

- Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Więc nie jesteś sam. Ludzie na tym statku też nie wiedzą, w co się ładują. Nie planujemy najazdu na jakieś północne plemiona. Albo na powstańczą armię Lagos, jeśli o to chodzi. To są Nikozyjczycy, najlepsza chartassa we wszystkich Wolnych Portach. Odparli więcej inwazji niż wszystkie narody z południa razem wzięte.

Ché nie był dzisiaj w nastroju do wysłuchiwanie strasznych opowieści wojennych. Ten człowiek chciał się po prostu pokazać, żeby sięgnąć grzędę wyżej niż Ché.

- Rozumiem. Należy się bać tych ludzi.

Guan patrzył na Ché, a Ché patrzył w morze.

- Zastanawiam się, Ché, czy ostatnio coś wydupczyłeś. Wydajesz się trochę spięty. - I Guan nagle się uśmiechnął, jakby to, co powiedział, sprawiło mu przyjemność. - A może sama matrona ci dała?

Ché pozwolił sobie na grymas niezadowolenia.

- Guan, jesteś głupcem albo wariatem. Chyba ten trening Mortarusa zaprowadził cię za blisko kultu śmierci.

Guan beztrzęsio wzruszył ramionami. A więc głupiec, pomyślał Ché.

- Widzę, że nie zaprzeczasz.



Ché odwrócił się od niego, nie chciał dać się wciągnąć w rozmowę. Jeszcze raz pomyślał, czy Guan i jego siostra nie są naprawdę Regulatorami w przebraniu i czy Guan nie udaje tylko, że jest nieostrożnym durniem. Rzeczywiście, był zaskoczony, jak bardzo ten człowiek chciał się z nim zaprzyjaźnić; zastanawiał się, czy nie kazano mu obserwować Ché podczas długiej podróży na Khos.

Guan westchnął, jakby pozbywał się frustracji.

- Jadłeś już?

- Nie jestem głodny.

- No, to później. Moglibyśmy wypić drinka i jeszcze raz zagrać w karty. O ile pamiętam, to twoja kolej na przegraną.

- Może - odparł Ché.

Czekał, aż usłyszał, że Guan odchodzi, potem stopniowo się odprężył.

Z równymi często tak było. Nawet chwila pogaduszek wyglądała na spór nad rozlanym mlekiem. Bo jakże inaczej? Wychowano ich ze świadomością trzech najważniejszych w życiu spraw: ich własna wartość, prawo do zaspokajania wszelkich zachcianek i żarłoczna żądza rywalizacji. Zawsze będą szukać sposobów, żeby go pokonać, żeby nim manipulować; po jakimś czasie stawało się to nudne.

Ceną, oczywiście, było wyobcowanie, ale Ché znalazł jeszcze gorszą alternatywę: wyobcowanie się od swojego prawdziwego ja. Czuł się zagubiony, kiedy za długo przebywał z tymi ludźmi, osłabiony w swoich sprzecznych przekonaniach.

Guan mylił się co do jednego. Ludzie na pokładzie wiedzieli, co ich czeka. Wyczuwał to wszędzie wokół siebie, napięcie w powietrzu, ciszę.

Wzrok Ché znów powędrował w stronę matrony, nadal przysłuchiwała się słowom obu generałów. Niebezpiecznie było zabrać Romano na tę ekspedycję. Młody generał był największym rywalem w walce o tron Sasheen; dlatego, jak sądził Ché, wołała tolerować jego towarzystwo podczas wyprawy, w obawie, że podczas jej nieobecności w stolicy powstaną problemy. Ale i tutaj należało się go obawiać, bo wraz z nim przybył jego wkład w siły inwazyjne, jego prywatna kompania wojskowa w sile szesnastu tysięcy ludzi. Gdyby do czegoś doszło, będą lojalni wobec tych, którzy im płacą, Romano i jego rodziny, a nie wobec Świętej matrony we własnej osobie.

Tego rodzaju dynamika może wywołać napięcia podczas długiej podróży. Sasheen i Romano nie znosili się przez okrągłą dobę, nawet kiedy na pozór uprzejmie rozmawiali. Ché zastanawiał się, ile czasu minie, zanim rzucą się sobie do gardeł i zanim on zostanie w to wciągnięty.

Próbował pozbyć się wszystkich tych nonsensów z głowy za pomocą oddychania i powrócić do poprzedniego, spokojnego stanu. Nie dało rady. Jego łagodny nastrój został zniszczony.

Ché przecisnął się między marynarzami, żołnierzami piechoty morskiej i kapłanami na otwartym pokładzie, zmierzając do przedniego luku. Po drodze minął kompanię akolitów ćwiczącą nago w świetle słońca, poważnych młodych ludzi w większości w jego wieku, a między nimi garstkę weteranów. Na zmianę robili sparringi albo rozgrzewali się, czekając na swoją kolej.

- Uważaj - warknął jeden z nich, kiedy cofając się, wpadł na Ché.

Przez chwilę Ché miał ochotę złapać go za ramię i złamać je.

- Odwal się - odwarknął, nie zwalniając kroku.

Zanim Ché zszedł po schodach, zauważył, że Sasheen patrzy na niego ze swojego wysoko położonego punktu obserwacyjnego. Uniosła w toaście flaszkę wina, a on skłonił pod jej adresem głowę i szybko zszedł.

\*

Czerń dławiła Asha dzień i noc. Leżał w zęzie statku, grubego, zataczającego się transportowca, na który zakradł się, kiedy flota wychodziła z portu w Q'os. Czerń i otulina z powietrza tak stęchłego, że trudno nim było oddychać, i niekończące się bombardowanie dźwiękami: piasek i luźny żwir balastu przesuwany po kadłubie; trzaski i huki kadłuba, taplające się w ciemności szczury - wszystko to zmówiło się, żeby go wytrącić z równowagi.

Ash znalazł miejsce nad kałużą wody, na szerokiej na kilka stóp drewnianej powierzchni w pobliżu zęzy rufowej. Wcisnął się tam razem z mieczem. Żył jak szczur pod pokładem, i chociaż nie mógł widzieć wschodów i zachodów słońca, rozpoznawał świt po dudnieniu stóp nad głową, kiedy następowała zmiana wachty, i noc po wrzaskliwym śmiechu i piosenkach.

Jak wstydlivy padlinożerca wykładał się w środku nocy, żeby znaleźć wodę i odpadki żywności, które trzymały go przy życiu. Pełzał w ciszy przez czarne przestrzenie statku, kiedy większość załogi spała. Po powrocie z takich wypraw siadał na swojej wąskiej półce i jadł, a tym, co zostało, karmił małą kolonię szczurów, które mieszkały z nim na dole, pomrukując do nich cicho w ciemności. Wkrótce zaprzestały prób zjedzenia go we śnie. Niektóre nawet zaczęły na niego wlażyć i tulić się, szukając ciepła.

Towarzyszące mu zazwyczaj bóle głowy ustały, prawdopodobnie w związku z brakiem światła słonecznego, co dobrze się składało, bo prawie skończył mu się zapas liści dulce. Natomiast nieustannie drżał z wilgoci, która zakradała mu się do piersi. Oddech zrobił

się krótki i wymuszony. Obawiał się, że złapie zapalenie płuc.

Myślał o śmierci w tej czarnej norze, wyobrażał sobie swojego trupa pływającego z jednej strony na drugą w stęchłej wodzie zęzy, szczury używające sobie na nim, aż zostaną same kości, które opadną luźno na balast. Od czasu do czasu próbował osuszyć ubranie - skórzane spodnie podszyte bawełną, tunikę bez rękawów - wyżymając je i rozwieszając na zakolu kadłuba, ale podobnie jak buty nie chciały wyschnąć. Pewnej nocy podjął ryzyko i udało mu się ukraść ciężką impregnowaną pelerynę jednemu ze śpiących na górze członków załogi. Owinął nią swoje nagie ciało i miał nadzieję, że to wystarczy.

Od czasu do czasu łapał się na tym, że myśli, dokąd zmierza flota. Przypominał sobie mapę widzianą w Komnacie Burz, kiedy wdarli się tam z Aleksem. Były na niej jakieś opisy ruchów floty. Ale nie przyjrzał się jej dokładnie, i choćby nie wiem jak się starał, nie potrafił teraz wyobrazić sobie szczegółów.

Przede wszystkim zastanawiał się jednak, kiedy flota dopłynie do lądu. Nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma tutaj, na dole w zęzie, która stała się jego osobistym nieszczęściem.

Ash miał sześćdziesiąt dwa lata, dawno przekroczył średnią długość życia Rōshuna nadal pracującego w terenie. Lata bez wątplenia zebrały swoje żniwo; ciało miał ostatnimi czasy wychudzone i napięte. Łamało go w stawach od artretyzmu, a mięśnie skarżyły się, ilekroć za szybko się poruszał albo zbyt wiele od nich wymagał. Leczenie zabierało więcej czasu; nawet teraz niewielka rana od noża na nodze, ślad po wendecie, nadal jątrzyła się do tego stopnia, że codziennie musiał wyciskać z niej ropę i obmywać ją morską wodą.

Na swój sposób Ash nie narzekał na zamknięcie w tej ciemnej dziurze, do której wpelzł. W głębi duszy uważał, że na to zasługuje, że z chęcią wycierpiałby bezterminową samotność, gdyby miało to przywrócić życie Nico. Pod impregnowaną peleryną czuł zimno małego glinianego flakonika, spoczywającego martwo na jego piersi.

## Rozdział 10

# Kwestia dyplomacji

- Święta matrona prosi o nieco twojego czasu - zagruchał Guan, stojący ze swoją siostrą. Oboje patrzyli na niego arogancko, spod w półprzymkniętych powiek.

Ché nieco mocniej schwycił się drzwi do kabiny, zachwiali się od gwałtowniejszego ruchu statku. Cały okręt flagowy jęczał i narzekał na uderzenia wzburzonego morza. Siostra przyglądała mu się uważnie, odpowiedział jej spojrzeniem. Twarz miała ostrą i szczupłą, jak jej brat, wąskie wargi niespodziewanie rozchodziły się z jednej strony.

Podniósł palec wskazujący. Chwileczkę.

Zamknął trzymaną w ręku *Księgę Kłamstw*, upewniwszy się najpierw, że ją zobaczyli, potem położył ją na starannie zasłanej koi, w widocznym dla wszystkich miejscu. Wyszedł na korytarz i poszedł za nimi.

Był zadowolony, że ma okazję rozprostować nogi, chociaż dręczyły go złe przecucia jak zwykle, kiedy wzywała go matrona. Rzadko wychodził w ciągu kilku ostatnich dni, pogoda była zbyt podła, żeby łązić po pokładzie. Dzisiaj była jeszcze gorsza. Statek przechylał się tak gwałtownie z burty na burtę, że utrzymywali równowagę, trzymając się ścian korytarza.

Jedno po drugim wyszli na pokład główny, zgięli się pod uderzeniami wiatru. Poryw wichru zmiotł siostrę Guana na bok. Zatoczyła się i brat przyciągnął ją za rękaw z powrotem do siebie. Fala uderzyła w kadłub i zalala pokład spienioną, syczącą wodą, zbijając z nóg kilku marynarzy w sztormiakach.

Troje kapłanów otarło twarze z wody i jedno za drugim podeszło do schodów prowadzących zygzakiem na pokład rufowy; zaczęli się po nich wspinać.

- Morze dzisiaj trochę wzburzone! - krzyknęła do niego z góry Swan, siostra Guana.

Guan też się odwrócił, twarz miał spokojną.

Od kilku dni nie rozmawiał z Ché. Może w końcu zrozumiał aluzję, żeby go zostawił.

Ale i tak w jego oczach coś było, jakaś uraza. Takiej reakcji Ché się nie spodziewał, jeśli bliźniaki naprawdę były Regulatorami w przebraniu. Może po prostu zaczynała go ogarniać paranoja.

Dlatego nie mam przyjaciół, pomyślał.

Przy drzwiach do kabiny generała Romano minęli dwóch akolitów stojących na straży. Chronili się, jak tylko mogli, pod maleńkim gankiem. Ze środka, mimo zgiełku czynionego przez nawałnicę i fale, słychać było podniesiony głos Romano przebijający się przez śmiech jego ludzi. Jak wielu, młody generał pił i zażywał narkotyki, odkąd zła pogoda zmusiła go do zamknięcia się w kajucie.

Na najwyższym piętrze, u drzwi do prywatnych kabin Sasheen, stanęli wszyscy troje na ganku, a gwardia honorowa sprawdziła, czy nie mają broni. Siostrę przeszukano na końcu. Ché zauważył, że kiedy dokładnie ją obmacywano, jej brat przyglądał się temu ze ściągniętymi brwiami. Zignorowała jednak jego wzrok, spojrzała natomiast na Ché, jej rysy łagodnił delikatny uśmiech.

Śliczna, pomyślał i bez cienia taktu spojrzął w dół, na jej ciało, do którego przylgnęła mokra szata.

- Czysta - powiedział akolita, kiedy skończył, jego partner zapukał do drzwi.

Heleas, osobista opiekunka Sasheen, wezwała ich gestem do salonu, w którym kapłani ze świty podpierali ściany, powściągliwie milcząc. Heleas zaprowadziła całą trójkę pod drzwi do prywatnej kajuty Sasheen. Zapukała łagodnie, otworzyła je i weszła, nie czekając na odpowiedź.

Ché wyczuł to w chwili, gdy wszedł do kajuty. W powietrzu unosił się gniew. Sasheen siedziała w wielkim fotelu pod tylną ścianą kajuty. Futro miała zarzucone na zwyczajne ubranie. Jej pierś szybko falowała. Ché zauważył pod ścianą potłuczony kieliszek i krople czerwonego wina między kawałkami szkła, spływające raz w tę, raz w drugą stronę, wraz z podłogą, przechylającą się z boku na bok.

Wokół Świętej matrony zgromadzili się ludzie z jej wewnętrznego kręgu. Był jej stary przyjaciel Sool, który siedział u jej boku, na wyściełanym stołku, lekko odwrócony, tak że mógł patrzeć przez bulaj na wzburzone morze i wiszące nad nim chmury, Klint, lekarz, jak zwykle czerwony na twarzy, w roztargnieniu pociągał się za jeden ze swoich kolczyków. Alarum, o którym Ché coś tam wiedział, że jest mistrzem szpiegów w Elash, uprzejmie skinął głową, baczenie mu się przyglądając. Wreszcie, generał Sparus, Mały Orzeł, stojący pośrodku pokoju, jakby dopiero co przestał chodzić, jedno oko przysłonięte miał przepaską, drugim wwiercał się w Ché.

Ché zignorował go i rozejrzał się po pokoju. Szybkie spojrzenie ogarnęło dzban z królewskim mlekiem, stojący w obejmach na stole za Sasheen, zatrzymało się na dwóch członkach ochrony osobistej, kulących się w szatach z kapturami na zewnątrz, na balkonie.

- Dyplomato - odezwała się Sasheen, smutno wyginając usta. Była podpiita, nie mógł tego nie zauważyć, chociaż wskazywały na to tylko jej poczerwieniałe policzki i nos, bo mówiła nie bełkocząc. - Mam dla ciebie zadanie.

Ché skłonił głowę.

- Matrono - powiedział z fałszywym spokojem.

- Jesteś mi potrzebny, żeby przesłać wiadomość dla generała Romano. Tak szybko, jak tylko potrafisz.

Ché stłumił rodzący się uśmiezek. I tak to się zaczyna, pomyślał.

- Jaki jest ton tej wiadomości, matrono?

- Tylko ostrzeżenie - zadudnił arcygenerał Sparus, spoglądając na Sasheen. - Jego katamicki kochanek powinien wystarczyć.

- Uczyń z niego przykład - poleciła gardłowym głosem Sasheen. - Odpowiednio dobrany. Rozumiesz?

Kolejne skinienie głowy.

- Czy to wszystko?

Sasheen uszczypnęła się w nasadę nosa, nie odpowiedziała.

- Możesz odejść - rzekł Sool.

Kapłani bliźniaki towarzyszyli mu w drodze na zewnątrz. Ché zawahał się na ganku. Popatrzył na Guana i już miał się do niego zwrócić, kiedy zmienił zamiar i odezwał się do jego siostry.

- Wiadomo cokolwiek, o co chodzi?

Wydawała się rozbawiona jego bezpośredniością. Brat wiercił się obok niej, patrzył na dwóch strażników za nimi.

- Romano zniesławił Świętą matronę - odpowiedział Guan, zanim zdołała się odezwać. - W swoich komnatach, pijany wraz ze swiłą.

- W jaki sposób?

Swan nachyliła się do niego, z jej kolczyków kapąła woda.

- Jej syn. Znieważył pamięć jej syna.

Ché z irytacją wypuścił powietrze z ust. Teraz zrozumiał.

\*

Tego popołudnia po raz pierwszy zobaczyli Lagos, feralną wyspę umarłych.

Pogoda wreszcie się ustabilizowała, jakby na tę okazję chciała uderzyć w uroczystą strunę, chociaż w istocie stało się tak, bo wpłynęli na zawietrzną wyspy. Skierowali się na południe, do portu Chir, razem z resztą floty, która skupiła się wokół nich. Wzdłuż linii

wybrzeża wznosiły się białe klify i zielone zbocza pokryte szarymi plamkami, słynnymi lagozyjskimi kozami długowłosymi.

Miało się wrażenie, że cała tysiącosobowa załoga statku flagowego stłoczyła się przy relingach. Ché przyglądał się matronie stojącej na przednim pokładzie w towarzystwie dwóch generałów i ich świt.

Uważnie obserwował tę trójkę, był ciekaw, jak muszą się czuć, patrząc na zielone Lagos, powstańczą wyspę. Dobrze znana sprawa: cała ludność wydana została na pastwę ognia. Szósta Armia, która stacjonowała tu do tej pory i teraz miała stać się częścią Sił Ekspedycyjnych, pod wodzą arcygenerała Sparusa stłumiła ostatecznie rebelię. I to Sasheen osobiście wydała rozkaz, by wybić większość obywateli w odwecie za pomoc niesioną przez nich powstańcom, nawet wbrew oprostowaniu rozkazu przez wielu, których przerażała utrata takich zysków za niewolników.

Czyniąc to, matrona wpisała swoje imię na karty historii. Nigdy nie zostanie zapomniana za ten akt ludobójstwa.

Teraz jednak, widząc Lagos po raz pierwszy, Sasheen, stojąca przy relingu, ograniczyła się do sztywnej ceremonii. Tymczasem zgromadzeni wokół niej kapłani świty byli więcej niż dumni, że odzyskali tę wysoce cenioną własność.

W Q'os gazety były pełne opowieści o „pacyfikacji” wyspy, o tym że ziemia była teraz otwarta na imigrantów z całego Imperium. Pomniejszano prawdziwe rozmiary rzezi, której poddani zostali Lagozyjczycy, i zrzucano na nich winę, kiedy wspominali o podpaleniach i czystkach, pokazując, jakie były początki rebelii: protesty ostatnich lagozyjskich szlachciców, którzy nie mogli znieść, że mannijscy panowie przejmowali dzierzawioną ziemię.

Tylko jeden szczegół mówił coś o przeżyciach Sasheen. Obok siebie, na relingu, postawiła żyjącą głowę Luciana - po raz pierwszy postanowiła pokazać ją publicznie. Matrona trzymała rękę na jego włosach, żeby nie spadł, a przywódca powstania mógł popatrzeć na swoją spustoszoną ojczyznę, zachowując niezgłębioną ciszę.

\*

Ze statków floty najbardziej wysuniętych do przodu odezwały się rogi. Wreszcie zbliżali się do portu w Chir, jednego z największych cudów świata. Niebawem okrążyli skalisty przylądek i Ché z otwartymi ustami mógł obejrzeć legendarne Oreos, wznoszący się przed nim na niewiarygodną wysokość kolosalny łuk spinający naturalny przesmyk, wyjście z portu Chir. Pod nim kłębiła się mgła.

Miasto portowe Chir, niegdyś bogate dzięki handlowi wełną i solonym mięsem z

Zanzaharu, ongiś centrum lagozyjskiej cywilizacji, rozpostarte było wokół skalistej zatoczki tworzącej największy na Midèrēs naturalny port. Miasto wzniosło Oreos nad wejściem do portu, największą budowlę na świecie. Odlana z żelaza, przypominała klingę zgiętą w łuk, której ostrze przecina wiatr na dwoje, pomalowana na białą błyszcząca jaskrawo pod niebem, które wreszcie się rozchmurzyło i odsłoniło słońce.

Ché jeszcze nigdy nie był w Lagos ani w porcie Chir, chociaż dużo czytał zarówno o nich, jak i o arcydziele inżynierii, na które teraz patrzył. Mgła pochodziła z wody morskiej pompowanej ruchem fal w konstrukcję łuku. Wydostawała się z niej przez niezliczone dysze ułożone od spodniej strony, żeby tworzyły najłżejszą mgiełkę.

W niektóre dni pod mglistym łukiem Oreos można było zobaczyć wstęgę kolorów. Często się zdarzało, że w mgle i na lustrze wody widać było pięć, a nawet sześć tęczy. „Łapacz tęczy”, tak często, z uczuciem, nazywają Oreos ludzie z Lagos. Albo nazywaliby, gdyby jeszcze tutaj mieszkali.

Ché zobaczył jedną tęczę, łuk intensywnych kolorów, jak drugie Oreos, a za nim, zabarwione kolorami miasto, rozpostarte nad brzegami portu, w którym już stały na kotwicy imperialne okręty. Osłonił oczy dłonią i, mrugając, spojrzął na szczyt Oreos. Zobaczył tam maleńkie postacie ubranych na białą kapłanów zgromadzonych przy balustradzie, oglądających z wysoka panoramę miasta.

Ché mógł tak patrzeć długo, ale właśnie zauważył ruch na przednim pokładzie. Był to Topo, katamita Romano. Podszedł do generała i kobiety, która siedziała mu na kolanach, i wdał się w gorączkową wymianę zdań.

Topo odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę schodów.

Ché rzucił ostatnie spojrzenie na zbliżające się Oreos i odepchnął się od relingu. Śledził młodzieńca, który wracał sam do kajuty Romano. Czerwony na twarzy przepchnął się do drzwi obok strażników, Ché odczekał chwilę, żeby się przekonać, że nikt nie dołączy do Topo, i przystąpił do swojego zadania.

\*

Przez tylny balkon wszedł po cichu do kajuty Romano. Tymczasem wszyscy, włączając strażników, stali przy burcie od strony lądu, oglądając panoramę portu.

W kajucie słychać było plusk wody z łazienki. Ché nożem poderżnął gardło członkowi ochrony osobistej.

Odsunął się o krok i mężczyzna upadł na dywan.

- Kto tam? - doszedł go głos z łazienki.

Ché stał nieruchomo przez chwilę, ochroniarz bulgotał krwią u jego stóp.



Nasłuchiwał, aż po drugiej stronie drzwi ponownie usłyszał łagodny plusk wody. Z garotą zwisającą z jednej dłoni lekko uchylił drzwi. Para otoczyła jego ogoloną głowę.

Zajrzał do środka i zobaczył mężczyznę leżącego w drewnianej wannie. Mruczał do siebie, powieki miał zaciśnięte. Ché wślizgnął się do środka, nachylił się nad głową tamtego i oburącz schwycił garotę. Popatrzył w dół, na młodego kochanka Romano. Na bladym, szczupłym ciele widoczne były świeże blizny i pokryte strupami sińce rozmiaru ukąszeń.

Ché zobaczył wielki garniec z brązu, na gorącą wodę, stojący na piecu u podstawy wanny. Wiedział, co musi zrobić.

Młodzieniec drgnął i gwałtownie otworzył oczy, kiedy Ché zapętlił garotę wokół jego szyi i mocno pociągnął za uchwyty z korka.

Oczy - brązowe, zauważył Ché - prawie wyszły z orbit, a w szklistych źrenicach pojawił się cień, sam Ché, nachylony, ogromny. Młodzieniec parsknął, rzęził, próbując złapać powietrze, twarz mu nabrzmiwała. Rękami drapał garotę zapętloną wokół gardła. Nogami tłukł w wodę, która wylewała się falami z wanny i rozpryskiwała wokół sandałów Ché nie zwalniał nacisku. Nie myślał o niczym, ale, o dziwo, czuł narastający gniew.

Wreszcie Topo przestał się rzucać, opadł bezwładnie w uspokajającą się wodę. Ché trzymał go jeszcze przez chwilę, potem sapnął i zwolnił ucisk garoty.

Dysząc, kopnięciem otworzył drzwi pieca pod grzejnikiem i wrzucił polano z drewnianego pojemnika obok. Potem dodał tyle drewna, ile się tylko zmieściło. Otworzył wieko garnca, w środku podgrzewała się woda. Szybko wyciągnął ciało z wanny, ręce ślizgały mu się po mokrej skórze. Ché był silny, jak na swój skromny wzrost, a jednak wrzucenie martwego Topo do wielkiego garnca sprawiło mu trudność. Wyparta woda wypłynęła, mógł więc nałożyć i zamknąć wieko.

Zanim skończył, ogień huczał w palenisku. Wyobraził sobie dym kłębiący się wysoko nad kominem; miał nadzieję, że nie spowoduje to szybszego powrotu Romano. Wyszedł z łazienki, nasłuchiwał kroków.

Za nim, z brązowego grzejnika na wodę, rozległy się odgłosy uderzeń. Ché się zatrzymał.

Kolejne uderzenie z wnętrza garnca.

On tam jeszcze żyje.

Zawahał się, przez chwilę targaly nim wątpliwości. Spojrzał za siebie, przez drzwi, walczył z impulsem, żeby wpaść do środka, otworzyć wieko i wyciągnąć chłopaka. Odepchnął tę myśl. Za długo już tu był.

Gdy Ché przechodził przez główną kajutę, słaby krzyk dopadł go przy otwartym

oknie. Był wstrząśnięty, ręce mu drżały, kiedy wychodził przez okno na balkon, przeklinał się za niedbalstwo.

Krzyk z łazienki przybrał na sile, potem zagłuszył go przenikliwy świst pary, który niespodziewanie wydobył się z gwizdka.

\*

W wieczornym chaosie portu w Chir Ché czekał w kolejce przed zatłoczonymi wrotami. Niecierpliwił się, żeby zejść ze statku i obejrzeć niektóre z atrakcji starego miasta portowego.

Po drugiej stronie wrót doki wypełnione były niewolnikami ładującymi świeże zapasy na oczekujące statki i chmarą nowo przybyłych imigrantów z różnych stron imperium, przyciągniętych do wyspy, dogodnie teraz opróżnionej, niespodziewanym runem na ziemię. Między nimi wszystkim dudniącym krokiem wmaszerowywały na pokłady transportowców ponure, zdyscyplinowane kolumny Szóstej Armii. Szykowały się do odpłynięcia o świcie, kiedy świeżo połączona armia i flota Sił Ekspedycyjnych ruszy na Khos.

Zdał sobie sprawę z kłopotów, kiedy usłyszał wyraźny krzyk skierowany w stronę pokładu rufowego. Instynktownie odwrócił się w stronę kwatery Sasheen i zobaczył, że drzwi do kajuty matrony są otwarte, a jej gwardii honorowej nigdzie nie widać.

Ché zaklął po cichu, pobiegł do schodów i otwartych drzwi. Minął bliźnięta, Guana i Swan, stojące u szczytu schodów z zupełnie obojętnymi minami.

W środku gwardziści walczyli z grupą kapłanów próbujących rozpaczliwie chronić Romano. Generał szalał jak pozbawiony rozumu, jego ślina syczała w kierunku Świętej matrony, która siedziała na fotelu, z dwoma członkami ochrony osobistej po bokach i przyglądała się furii Romano z uśmiechem samozadowolenia. Ché szeroko otworzył oczy, widząc błysk ostrza w dłoni młodego generała. Jakiś kapłan krzyknął i próbował schwycić ostrze. Z tyłu, cudacznie, odcięta głowa Luciana stała chwiejnie na stole i przyglądała się scenie z maniakałnym wyrazem złośliwej satysfakcji.

Za Ché rozbrzmiały kroki, arcygenerał Sparus wmaszerował do kajuty. Niespiesznym wzrokiem objął Ché i całe zajście.

- Zabiję cię za to! - krzyczał Romano. - Nie powiedziałem niczego, czego nie powiedziałbym ci w twarz! Twój syn był tchórzem, a ty, ty jesteś... - Jeden z towarzyszących mu kapłanów syknął i zamknął mu usta dłonią. Romano wrywał się, ale drugi kapłan zrobił to samo. Generał miał dwie dłonie na ustach.

Ché odsunął się, kiedy gwardziści wypychali szamocącą się grupę z kajuty. Arcygenerał Sparus popatrzył bez wyrazu na wywlekanego na zewnątrz Romano i zamknął za

nim drzwi.

Tupot i przekleństwa na schodach. Zapadła cisza.

- Nie chciał tego powiedzieć - na kolanach przed matroną błagał niemłody kapłan. - Jest pijany i zropaczony po stracie. Odjęło mu rozum na jakiś czas, to wszystko.

Sasheen błysnęła oczami do osobistego opiekuna Heelasa.

- Precz - rozkazał Heelas klęczącemu kapłanowi, po czym podniósł go, szarpiąc za szatę, i wypchnął w ślad za jego panem.

Mokre parsknięcie dobiegło od odciętej głowy na stole. Lucian próbował się roześmiać.

- A ty - powiedział Heelas, przechodząc przez kajutę - jazda do dzbana, człowieczku. - Uniósł oburącz głowę i wstawił do królewskiego mleka.

Mijały chwile, nikt się nie odzywał. Patrzyli na Sasheen, która już się nie uśmiechała, wzrok wbijała z gniewem w drzwi, przez które dopiero co wyszedł Romano. Zerknęła na Ché. Z wdzięcznością skinęła głową; popatrzyła na pozostałych kapłanów nadal zebranych w kajucie.

- Mam wystarczający powód, czego świadkami byli wszyscy tutaj, żeby stracić go natychmiast i mieć usprawiedliwienie.

- Matrono - odezwał się Sool, nachylając się blisko. - On się wkrótce uspokoi i zrozumie, co zrobił. Sprawa się skończy, o ile pozwolisz, żeby się skończyła tutaj. Zrozumie przesłaną mu wiadomość. Podporządkuje się.

- Inaczej będzie wojna domowa - dodał arcygenerał Sparus. - W Q'os, kiedy tylko jego rodzina się dowie, i tutaj, we flocie, kiedy jego żołnierze zwietrzą sprawę. Jedna trzecia Sił Ekspedycyjnych może się zwrócić przeciwko nam.

Sasheen drapała paznokciami oparcia fotela.

- Nie zapomnę tych słów - rzuciła surowo. - Nigdy nie zapomnę tego, co mi powiedział o moim synu. Prosto w twarz.

\*

Szczury biegały wokół niego w absolutnej ciemności. Ash zignorował je, nastawiał uszy na wszelkie dźwięki z góry. Każdy krok był dla niego nieopisaną historią.

To był dwudziesty pierwszy dzień w tej cuchnącej zęzie, przynajmniej według jego własnych obliczeń. Kilka godzin wcześniej słyszał grzmiący łoskot rzucanej kotwicy i przez belki kadłuba poczuł spowodowane przez nią drgania. Natychmiast poczuł nagłą chęć, żeby wyleźć ze swojej dziury i przejść przez statek, na najwyższy pokład, zobaczyć, gdzie flota zakotwiczyła. I sprawdzić, czy może na dobre zejść na ląd.

Zapanował jednak nad tym pragnieniem. Wiedział, że trzeba poczekać, aż cisza na pokładzie obwieści zapadnięcie nocy. Wtedy wykradnie się na zewnątrz, żeby zaryzykować i dokładnie się rozejrzeć.

Głęboko w noc, kiedy na górze naprawdę było cicho, Ash zdecydował, że wreszcie jest dość bezpiecznie, by wykonać ruch. Ubrany, z mieczem w dłoni, wyszedł z zęzy najciszej, jak potrafił, i ostrożnie przekradł się przez wnętrze statku.

Pokład główny był dla niego najbardziej niebezpiecznym miejscem, Ash nisko przykucnął, kiedy wreszcie się na nim znalazł, i sprawdzał stanowiska marynarzy nocnej wachty na dziobie i rufie. Wessał do płuc powietrze i prawie jęknął na głos, takie było świeże. Chmury przesłaniały większość gwiazd, ale od masztów i zwiniętych żagli odbijało się przyćmione światło.

Rozejrzał się, zamrugał na widok świateł portowego miasta przeświecających między masztami floty. Kiedy odwrócił się w stronę morza, szeroko otworzył oczy, żeby dobrze się przyjrzeć niesamowitemu łukowi, który stał oparty o oba brzegi wejścia do portu. Igrały pod nim chmury ledwie widocznej mgiełki.

Oreos. Ash rozpoznał natychmiast. Wiedział, że są w Chir, na Lagos, wyspie umarłych.

Zatem to Khos. Nie było innego powodu, żeby flota inwazyjna popłynęła tak daleko na zachód, chyba że planowali bezwzględną wojnę przeciwko Alhazii, ryzykując utratę dostaw prochu strzelniczego. Nie, zatrzymali się tutaj, żeby zabrać posiłki w ludziach, zanim popłyną dalej, w stronę ojczyzny Nico, jego matki i jego ludu.

Ash zwiesił głowę, długo stał w bezruchu.

## Rozdział 11

# Stary kraj

Statek znowu kołysał się na wzburzonym morzu.

Woda zęży moczyła mu nogi, przelewając się z burty na burtę, sprawiała, że szczury przebiegały po nim, w rytm trzasków i huków nadwerężonego kadłuba.

Ash leżał w ciemności, poza czasem i miejscem. W umyśle formowały mu się słowa, jakby wypowiadał je na głos.

Rozmawiał ze zmarłym uczniem.

*Nie rozumiem, mówił Nico. Kiedyś powiedziałaś mi, że Rōshuni nie uznają osobistej zemsty. Że to sprzeczne z ich kodeksem.*

*Tak, Nico. Powiedziałem.*

*Ale jesteś tutaj.*

*Ale jestem tutaj.*

*Więc już nie jesteś Rōshunem?*

Uchylił się od odpowiedzi. W tej chwili nie miał ochoty o tym rozprawiać.

*Wiesz, że mnie nie wskrzesisz, powiedział Nico. Nawet jeśli ją zabijesz, mnie i tak nie będzie.*

- Wiem o tym, chłopcze - Ash odpowiedział na głos, w czarną, rozbrzmiewającą echem przestrzeń, zrzucając z siebie szczury.

Nico zamilkł na jakiś czas. Ash kołysał się wraz z gwałtownymi ruchami statku, zaparł się rękami i nogami, próbował się wyciszyć.

*Powiedz, mistrzu Ash, znów odezwał się głos Nico. Co robisz, zanim zostalesz Rōshunem?*

*Co robiłem?*

*Tak.*

*Byłem żołnierzem. Rewolucjonistą.*

*Nigdy nie chciałeś podążać inną drogą? Być, na przykład, farmerem? Pijanym wiejskim oberżystą?*

*Oczywiście.*

*To kim?*

*Jestem zmęczony, Nico. Zadajesz zbyt wiele pytań.*

*Tylko dlatego, że tak mało o tobie wiem.*

Nagły ostry przechył statku przycisnął Asha do kadłuba. Ledwie to zauważył. Wypluł morską wodę, otarł twarz do sucha, popatrzył ze złością w ciemność.

*Zanim zostałem żołnierzem, przez jakiś czas hodowałem psy myśliwskie. Z żoną i synem mieszkaliśmy w naszej chałupce. Próbowałem być dobrym mężem, to wszystko.*

*A byłeś?*

Ash parsknął.

*Byłem lepszym żołnierzem, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się być dobrym mężem i ojcem. Byłem dobry w zabijaniu. I zmuszaniu innych do zabijania.*

*Jesteś dla siebie za surowy. Wiem, że jesteś kimś znacznie więcej niż zabójcą. Masz dobre serce.*

- Nie znasz mnie, chłopcze - sapnął Ash. - Nie wolno ci mówić mi takich rzeczy ani teraz, ani kiedykolwiek.

Zamarzająca woda znowu załaza mu głowę, cisnęła go w terażniejszość. Ash rzucał się przez chwilę, nadymał i wciągał policzki, walcząc o oddech. Przywarł do występu, na którym leżał, usłyszał, jak szczury piszczą z przerażenia. Minęło trochę czasu, zanim znów się położył, ciężko dysząc.

Zastanawiał się, czy Nico nadal z nim jest.

- Chłopcze - wychrypiał.

W ciemności słychać było odgłos ręcznych pomp, wyciągających wodę z zęz na pokład. Trudno było rozmawiać w takim hałasie.

*Jestem tutaj, jestem tutaj.*

- Powiedz coś. Cokolwiek. Oderwij mnie od tego, co się dzieje.

*Ja? Chciałem być żołnierzem, jak ojciec. Chociaż przez dłuższy czas marzyłem, żeby zostać aktorem. Wędrować po wyspach, występować, żeby zarobić na życie.*

Ash usiadł, próbował mocniej wcisnąć się w rozkołysany kadłub.

- Nie wiedziałem - wyznał.

*Nie wiedziałeś. Nigdy mnie nie pytałeś.*

Woda w zęzie biła teraz jak fale. Szczury piszczały jeszcze głośniejsze.

- Powinieneś wyjechać, Nico. Tam, w Q'os! - krzyknął Ash, strącając wodę z twarzy.

- Kiedy wróciłeś tamtego wieczoru i powiedziałeś mi o swoich wątpliwościach. Powinieneś mnie zostawić!

*Wiem, odparł Nico. Ale nie mogłem.*

- Dlaczego?

Nastąpiła chwila pełnej zadumy ciszy, potem, pośród hałasu, wyraźnie usłyszał cichy głos.

*Bo mnie potrzebowałeś.*

\*

Był sztorm, i to groźny. Kadłub huczał od gwałtownych uderzeń wody, trzeszczał i jęczał, kiedy dziób unosił się nad grzywami fal i opadał z dygotem w coraz głębsze rowy. Kąśliwa woda morska lała się do zęzy przez szczeliny między deskami na górze. Buty i ubranie miał przemoknięte na wskroś. Pelerynę, z zatkniętym za nią mieczem, związał mocno w pasie.

Uszy bolały go od ryku burzy. Przez te hałasy słyszał, jak na górze ludzie biegają i krzyczą ogarnięci paniką.

Próbował przywrzeć do kadłuba, ale na nic się to zdało. Wkrótce kręcił się razem z piszczącymi szczurami w wodzie zęzy, która sięgała mu brzucha.

Ash zrozumiał, jak rozpaczliwa jest sytuacja, kiedy usłyszał szczury tupiące po ścianach, do góry, żeby opuścić zęzę. Może powinien pójść za ich przykładem, ale nie był szczurem i nie udałoby mu się przemknąć niezauważonym. Przywierał zatem do burt, kiedy mógł, i pływał, kiedy nie mógł. Wymiotował od tego koszmarnego kołysania i od słonej wody, którą musiał połykać. Jak w koszmarze, czuł, że woda wznosi się stopniowo do poziomu piersi. Wreszcie nie mógł już wytrzymać. Zaczął z trudem posuwać się w stronę schodów.

Skończyło się gwałtowniej, niż się spodziewał.

Statek raptownie zadrżał, jakby w coś uderzył. Zbiło go z nóg, ogarnęła go rozkołysana woda.

Ash szamotał się, próbował się wyprostować i wtedy z góry rozległ się chwytający za serce trzask rozdieranego drewna i grzmot, jakby wodospadu zbliżającego się z rykiem w jego stronę. W pierwszej chwili, na samym początku, wstrząsnęło to nim do głębi - a potem włąz pękł i woda morska zaczęła się wdzierać do środka. Spiętrzona wirująca fala zmyła go na sam tył zęzy.

Rąbnął o kadłub, z charkotem walczył o oddech. Wymachiwał ramionami, nogami szukał zaczepienia. Udało mu się wyprostować, próbował dotrzeć do schodów. To było beznadziejne. Cały ciężar morza pchał go do tyłu, rozpląszczał o kadłub z taką siłą, że pozostawała mu tylko walka o zaczerpnięcie tchu.

Belkowanie statku zaczęło jęczeć na różne nuty. Statek jednocześnie zanurkował na dziób i przewrócił się na burtę.

Tonął.

Ash zaczerpnął powietrza w szczelinie między wzburzoną wodą a pędzącymi w jego stronę deskami. Woda była lodowato zimna, wysysała mu siłę z mięśni. Wbrew sobie doznał hiperwentylacji, nałykał się i wody, i powietrza.

Uderzył głową o deski. Prąd wody był jak praca na niego kamienna płyta. Będzie musiał zaczekać, aż statek zostanie zalany, zanim zdoła wypłynąć przez luk.

Nie było mu łatwo przyjąć takie założenie, kiedy podnosząca się woda wreszcie go zatopiła.

Nawet pod jej powierzchnią słyszał rozdzierające dźwięki wydawane przez statek. Ash trzymał się kurczowo cennych resztek powietrza i kopnięciami odpychał się w stronę luku.

Ciśnienie wzrastało mu w uszach. Wiedział, że statek znalazł się pod powierzchnią wody i opada na dno. Coraz pospieszniej przebierał rękami po deskach, szukając luku. Przez wieczność chwycił się drewna, nie mogąc znaleźć wyjścia. Znow ten ucisk paniki.

Szukał po omacku, w pustce, brnął przez nią. Coś podpłynęło, odepchnął to. Ciało, już martwe.

Płynął tam, gdzie, jak sądził, powinien być sufit. Ocierały się o niego przedmioty, worki, mięso na pieczeń, które tam wisiało. Przecisnął się między nimi, stwierdził, że rękami chwycił za stopnie; podciągnął się do góry, przez kolejny otwór.

Pamięć podpowiadała mu, że jest teraz w korytarzu kambuza, a stopnie po drugiej stronie prowadzą na górny pokład. Płynął z całych sił, w uszach mu pulsowało od narastającego ciśnienia, które otulało go jak kamienna skóra. Płuca mu płonęły. Kolejne ciało przepłynęło przed nim, je także odepchnął na bok. Tym razem poruszyło się - ręce wystrzeliły ku niemu, schwyciły go, walcząc o życie. Tu, na dole, był jeszcze ktoś żywy.

Ash wyrwał się z objęć. Sięgnął ręką, schwycił za twarz - gumowe wargi, nos, szczeciniaste rzęsy, włosy. Schwycił włosy w garść i odepchnął się mocno stopami. Minęła wieczność, zanim zaciągnął szamocącego się majtka na koniec korytarza. Dotarł do schodów, sprawdził dotykiem, nie było wątpliwości, że to one.

Ostatnim kopnięciem Ash wydostał ich z tonącego statku.

Lekko uchylił powieki, zignorował piekący ból spowodowany morską wodą. Spoglądał w nieskończoną ciemność, jakby patrzył w śmierć.

Nie był w stanie rozróżnić, gdzie jest góra, bo nie było tu światła ani ciężenia. Usta



próbowały mu się otworzyć, łaknąc powietrza. Zaciśnął szczęki, pierś pulsowała mu białym gorącym.

To tam, pomyślał w ułamku sekundy. To tam!

Błysk w oddali. Nie myśląc, skręcił w tę stronę.

Znowu błysk, aż zmrużył oczy; jaskrawy, ale zniknął tak szybko, że pozostała mu tylko poświata w oczach. To było daleko.

Machając nogami, ostatkiem sił popłynął w tamtą stronę.

Płuca mu pękały, kiedy wychynał na powierzchnię, a gardło z chrypieniem raz zaczerpnęło powietrza, potem znowu zanurzył się pod powierzchnię, ciągnięty ciężarem marynarza. Wyplął na wierzch, walczył, żeby się na niej utrzymać.

Była noc, smagały go fale i deszcz. Ash przyciągnął ciało bliżej, ale marynarz był martwy. Kiedy błyskawica rozdarła ciemność, spojrzał na twarz patrzącą spokojnie w niebo.

Zamknął marynarzowi oczy i puścił go do morza.

Fala uniosła Asha. Przez chwilę widział jak na dłoni, co się przed nim znajdowało: linię białych urwisk, ciemne zatoczki, kilka bladych plaż, ogień płonący na szczycie wzgórza - i flotę rozciągniętą wzdłuż wybrzeża, rozproszoną przez burzliwe morze. Statki szukały schronienia w zatoce, ale kilka wiatr zwiął z kursu i zdawało się, że właśnie dryfowały na oddalone skały.

Nieomal wszystkie siły opuściły Asha, próbował dopłynąć do brzegu, do plaży, którą widział przed sobą. Ale po zaledwie kilku ruchach musiał się zatrzymać, dysząc, walczył o oddech, był zbyt zmęczony, żeby płynąć dalej. Głowa opadła mu pod powierzchnię wody. Ocknął się.

Wokół niego, na morzu, pływały szczątki. Zarzucił ramię na przewrócony taboret, ledwie znalazł w sobie energię, żeby się na niego wspiąć. Fala znów go uniosła. Odwrócił głowę, żeby zobaczyć nadpływające grzywacze.

Wiedział, że została mu tylko jedna szansa.

Puścił stołek i zaczął płynąć, kiedy z rykiem nadpłynęła kolejna fala. Przez chwilę myślał, że za wolno się porusza, żeby go z sobą zabrała, ale potem poczuł, że jego ciało się unosi i kilkoma ostatnimi ruchami przyspieszył.

Fala chwyciła go za nogi i podniosła je do góry. Wyprostował przed siebie ramiona, uniósł podbródek nad wodę, kiedy fala urosła, zwinęła się i zabrała go z sobą do brzegu.

Jechał na niej przez całą drogę, twarz rozciągniętą miał grymasem, krew śpiewała mu w żyłach z podniecenia.

Fala rzuciła go na mokry piasek i z sykiem cofnęła się do morza, zostawiając go.

Dyszał, odkaslnął, żeby oczyścić płuca.

Żył.

\*

Kapitan Jute, komendant nabrzeżnego fortu, patrzył z blanków przez niesiony z burzą zacinający deszcz i czekał, aż kolejny błysk oświetli morze.

- Jesteś pewien? - ponownie zapytał swojego zastępcę, sierżanta Bosona, niezaradnego draba, któremu Jute nie mógł zaufać w niczym, co nie dotyczyłoby własnej skóry podkomendnego.

- Pewne jak to, że po dniu następuje noc. Oni tam na pewno są. Lepiej się stąd zwijajmy, i to szybko.

Nad ich głowami rozległ się głośny grzmot, błyskawica uderzyła we wzburzoną zatokę. Kapitan pochylił się, otarł deszcz z oczu. Poczul strach w żołądku, kiedy to zobaczył: statki, setki statków kołyszące się na falach. Płynęły w stronę plaż.

- Słodki, łaskawy Błaźnie - wystękał i schwycił za kamienie blanków, żeby ustać na nogach. Inwazja, pomyślał i nagle zakręciło mu się w głowie. Cholerna inwazja, na całego!

- Kapitanie? - przez wywołaną wstrząsem mgłę dotarł do niego głos Bosona.

Kiwnął głową, starał się jasno myśleć. Odwrócił się do sierżanta, nie mógł na to poradzić, że głos mu trochę drżał.

- W porządku - powiedział - Zapalić ogień sygnałowy, puścić ptaka w powietrze. Chłopaki, nie mamy wiele czasu.

- Przy tej pogodzie mogą nie zobaczyć ognia, kapitanie. Lepiej, żebyśmy poszli do fortu Olsona i tam przekazali wiadomość.

- Wykonać! - ryknął kapitan Jute.

Odwrócił się w stronę Struganej Zatoki, która była mniejszą, osłoniętą zatoczką w samej Zatoce Perłowej. Na stokach drugiej strony tego naturalnego portu, tak późno w nocy, w domkach osady rybackiej było ciemno. Jute modlił się, żeby ktoś we wsi zauważył ogień sygnałowy, co pozwoliłoby im wycofać się na czas.

W kolejnym rozbłysku kapitan zobaczył, że łodzie już wylądowały na plaży pod fortem i ciemne postacie pomknęły przez wydmy w stronę wzgórza, na którym stał fort.

Słodka Łasko, pomyślał. Jest ich za dużo. Przez cały czas prosiłem o więcej żołnierzy do obsady fortu, a teraz, cholera, jest już za późno.

- Nie damy rady powstrzymać tak wielu - powiedział sierżant Boson, który wrócił, po przekazaniu rozkazów żołnierzom. Jute popatrzył na niego, przynajmniej raz spodobało mu się to, co sierżant mówi. - Musimy się ewakuować teraz, kapitanie, albo zaraz rozpocznie się

oblężenie, którego nie wytrzymamy. Wiesz przecież, co robią z jeńcami?

Jute szeroko otwartymi oczami popatrzył na swoich ludzi. Uzbrowili się w płonące pochodnie z pieca na wartowni, dodawali paliwa do ognia sygnałowego na żelaznym dysku stojącym na blankach. Nasączone spirytusem drewno paliło się dobrze mimo deszczu i wiatru. Od czasu do czasu ogień buchał wysoko.

- Czy wysłano już ptaki?

- Dopiero co.

- A kłody? Je też musimy spalić.

- Są w ogniu, kapitanie.

- Bardzo dobrze - pochwalił Jute i rzucił ostatnie spojrzenie na postaci, zbliżające się do fortu. Zobaczył, że to komandosi z twarzami uczernionymi do nocnej roboty. - No to wynośmy się stąd, do wszystkich diabłów.

Ale kiedy odwrócił się, żeby odejść, sierżanta i żołnierzy już nie było.

- Wy nieudolne sukinsyny - mruknął pod nosem i pobiegł za nimi.

\*

Kiedy Ash oprzytomniał, nadal leżał na plaży, tam gdzie rzuciła go fala. Kryształki piasku przylepiły mu się do warg i twarzy. Chyba na chwilę stracił przytomność. Sztorm nadal szalał, morze obmywało mu nogi.

Ciało Asha, jak martwe, leżało rozpostarte na piasku - bezwładne, niepodlegające woli, trzęsło się z zimna i szoku. Gardło miał obolałe od połkniętej wody morskiej. Nastawił otwarte usta na deszcz, żeby złapać parę kropel na język.

Powoli, niejasno zaczęło mu świtać, że umrze z zimna, jeśli tu zostanie.

Jęknął i podniósł się na kolana. Wstawanie było skomplikowanym procesem. Uruchamiał mięsień po mięśniu, aż wreszcie stanął na chwiejnych kończynach. Nogi mu drżały, w każdej chwili mogły się ugiąć.

Jeśli nogi cię nie słuchają, idź, posługując się siłą woli, wyrecytował w myśli i, potykając się, poszedł przed siebie. Z wyczerpania w kącikach oczu widział tęczowe gwiazdki.

\*

Wzdłuż plaży leżeli rozrzućeni inni rozbitkowie: marynarze, żołnierze i ciury obozowe. Chodzili w tę i z powrotem, jak otepiali, stopami znaczyli w piasku poplątane, zawile ślady. Byli wystawieni na wiatr i koszmarny deszcz, który siekł tak gęsto, że Ashowi wydawało się, iż znowu oddycha wodą. Otarł twarz ręką, zamrugnął, żeby lepiej widzieć. Po jego prawej ludzie skupili się wśród wydm, inni szli w stronę zatoki.

Ponownie otarł deszcz z oczu. Kolory tęczy rozszerzały się w ograniczający widzenie tunel. Wiedział, że wlecze się w stronę wydmy, żeby poszukać jakiegoś miejsca, gdzie będzie mógł się położyć i uchronić przed wiatrem. Nad głową niebo rozbłysło. Pod stopami zobaczył stok wydmy, podziobany uderzeniami deszczu.

Z przodu jakaś kobieta krzyknęła gniewnie, inni dołączyli do niej. Wrzask, śmiech mężczyzn. Wiatr mieszał i niósł dalej dźwięki, Ash zaczął wachać. Nos uchwycił uporczywy zapach dymu z palącego się drewna.

Ognisko!

Na czworakach wdrapał się po stoku wydmy, dyszał nierówno, jak pies. Na szczycie się wyprostował. Zmrużył oczy, przyglądał się temu, co było na dole: grupa mężczyzn, krótka, lśniąca stal w dłoniach i napastowana kobieta przed ogniskiem.

Nadzieja na ciepłe schronienie w jednej chwili ożywiła Asha. Skupił się na tym, co zobaczył, rozpoznał niemłodą kobietę, rozczochną, arogancką; krzyczała na mężczyzn i odganiała ich kawałkiem drewna z plaży. Mężczyźni - pomyślał, że to marynarze - chyba tylko się z nią bawili.

- Ho! - krzyknął Ash, wszystkie twarze odwróciły się, żeby popatrzeć na niego.

Znowu błysnęło. Uznał, że to dobry moment, by wyciągnąć klingę z pochwy.

Marynarze zaczęli nagle spoglądać na siebie nerwowo i odsunęli się od kobiety.

Uciekajcie, dranie. Brakuje mi na to sił.

Czekali, żeby zobaczyć, co zrobi. Ash wykonał krok w dół wydmy, nie był zdziwiony, że nogi się pod nim ugięły. Udało mu się szybko przestawić do przodu drugą stopę i zamienić upadek w coś, co przypominało bieg w dół. Nurkując, wyciągnął przed siebie ostrze, żeby zachować równowagę.

Kiedy upadł przed ogniskiem, z ulgą zobaczył plecy uciekających w noc marynarzy. Silnie dygotał. Kolejny podmuch przytłumił ognisko, sprawiając, że żar rozbłysnął jaskrawo. Kiedy wiatr opadł, płomienie zatrzeszczały z większą siłą. Gorąco rozgrzewało duszę Asha.

- Ty - wychrypiał do kobiety. - Masz wodę?

Kobieta zignorowała go. Kiedy usiadł, zajęła się dziewczynami, sadzała je wokół ogniska pod kawałkiem płótna. Było ich razem pięć, mówiła do nich szorstko, rzeczowo, jakby była dla nich starszą ciocią. Zadowolona, owinęła głowę i ramiona szalem i podeszła do niego. Zobaczył w jej ręku flaszkę, podała mu ją szerokim gestem.

Przyjrzała się kolorowi jego skóry.

- Tylko rhulikę - powiedziała, usiadła obok i poprawiła sobie spódnicę. - Dobra na rozpałkę i do ogrzania brzucha. Pij, stary wędrowcze. Tylko tyle mogę ci dać.

Wolałby słodką wodę, ale i tak wypił. Zęby zaklekotały mu o drewniany dziobek. Za jednym zamachem wypił wszystko. Alkohol zapłonął mu w brzuchu, rozesłał macki gorąca do wszystkich zmęczonych kończyn.

Fłaszka wypadła z bezwładnych palców Asha. Uderzenie alkoholu dołożyło się do ciężaru zmęczenia.

Błede rysy kobiety falowały blisko jego twarzy, jej usta szybko się poruszały, coś mówiła.

Ash z jękiem przewrócił się do przodu, zapadł w nicość.

## Rozdział 12

# Obrazy pamięci

Odgłos jego własnych kroków dźwięczał przed Bahnem, kiedy pospiesznie szedł korytarzami Ministerstwa Wojny, podkute ćwiekami buciory niezbyt trzymały się wypolerowanej marmurowej posadzki. Poślizgnął się niezgrabnie, skręcając za róg, odzyskał równowagę i podszedł, dudniąc butami do drzwi generalskiego gabinetu. Zabrakło mu tchu, nie powiedział stojącym tam na baczność gwardzistom, żeby się usunęli.

Obaj popatrzyli na jego rozgorączkowaną twarz, na ręce, którymi dawał im znak, żeby się odsunęli, i doszli do wniosku, że nie bardzo ma ochotę się zatrzymać - a nawet, że nie zdoła zrobić tego w porę - i zgrabnie ustąpili mu z drogi.

Bahn wpadł przez ciężkie dębowe drzwi, dramatycznie dysząc.

- Wylądowali! - oświadczył w głąb drugiego pokoju.

Generał Creed stał w świetle wczesnego poranka przy wielkich oknach w przeciwległej ścianie, zwrócony twarzą do sztalugi, nad którą zawisała jego ręka z pędzlem. Schylił lekko głowę, ale nic nie powiedział.

- Generale - spróbował powtórnie Bahn. - Oni... - Ale pędzel musnął kartkę raz, drugi raz, trzeci i Bahn się załamał.

Creed dokładnie sprawdził efekt maźnięć, pokiwał głową i odłożył pędzel.

Odwrócił się i objął Bahna płonącym spojrzeniem.

- Gdzie? - zahuczał silnym głosem, wziął szmatkę i zaczął w nią wycierać ręce.

Teraz, kiedy kazano mu mówić, Bahn stwierdził, że słowa utknęły mu w gardle.

- Tutaj - zdołał wykrztusić. - W Zatoce Perłowej.

- Kiedy?

- Zeszłej nocy. Zaczęły się zlatywać pierwsze ptaki z fortów nad zatoką.

- Liczby?

Bahn pokręcił głową.

- Jak do tej pory sprzeczne. Flota nadal się rozładowuje. Ale sądząc po jej rozmiarach, co najmniej czterdzieści tysięcy zdolnych do walki.

- Akolici?

- Tak. A, generale, matrona osobiście im przewodzi. Niektórzy nasi zwiadowcy zauważyli jej sztandar powiewający nad okrętem flagowym. Raportują również, że widzieli na plaży sztandar arcygenerała Sparusa.

Generał Creed rzucił poczerńiałą szmatkę na biurko i usiadł w skórzanym fotelu. Odchylił się do tyłu i położył nogi w buciorach na polakierowanym blacie biurka, skrzyżował długie nogi, luźno złączył dłonie, kręcił kciukami, zachowując twardy jak krzemienny klif wyraz twarzy.

Dobrze to przyjmuje, pomyślał Bahn, któremu żołądek nadal się skręcał.

Zawsze uważał, że opanowanie to najlepsza z cech przywódcy. Teraz sprawiało, że czuł się jak wystraszony młodzik.

- Może śmierć syna uczyniła ją nieostrożną - zastanawiał się Creed. Bahn nie odpowiedział, bo generał tylko myślał na głos.

Ciało Bahna chciało się ruszać, działać. Z nerwową niecierpliwością patrzył w okno, nad głową generała. Widać było stąd Lanszlak i Tarczę, widział nawet obóz Czwartej Armii Imperialnej, wyrównaną szachownicę rozpostartą w poprzek przesmyku.

Przerwa w walkach nabierała teraz sensu. To było coś więcej niż tylko żałoba po synu matrony; czekali na przybycie sił inwazyjnych, młota na ich kowadło, z Bar-Khos pomiędzy nimi. Bahn zastanawiał się, ile czasu minie, zanim ponowią ataki na mury wszystkimi siłami, którymi dysponują.

Myśląc o zbliżającej się walce, zwrócił wzrok na sztalugi i płótno pod oknem, na wizję pokoju, którą przedstawiał obraz. Wykonany został w minimalistycznym zamorskim stylu, ulubionym przez generała Creeda. Zamiast portretować widok za oknem, przedstawił scenę z pamięci; łagodne zbocza porośnięte winoroślą, wznoszące się ku odległym góróm.

Bahnowi przypomniła się inna żałoba, inna strata, kobieta, której ducha generał chciał oddać, malując te sceny ciągle od nowa. Generał Creed był żonaty trzydzieści jeden lat, kiedy Bahn dołączył do jego sztabu jako młodszy adiutant. Tylko raz spotkał żonę generała, Rose, tutaj, w ministerstwie, pełniąc funkcję w sztabie; małą kobietę, dumnie się noszącą, łagodną w mowie. Krótco wspomniła o ich winnicy na południowych zboczach Alapolasów i o tym, jak chciałaby, żeby generał przyjechał do domu i częściej ją odwiedzał. Wyglądała na samotną i nie na swoim miejscu w sali do pomniejszych zadań w ministerstwie. Bahn stał u jej boku, aż udało mu się uzyskać od niej wstydlivy uśmiezek. Potem przedstawił własną żonę, która zajęła jego miejsce. Obie kobiety porozumiewały się jak stare znajome.

Bahn oderwał wzrok od obrazu i zobaczył, że przesywające, niebieskie spojrzenie generała utkwione jest w jego oczach. Generał wskazał mu krzesło, Bahn podszedł więc i

usiadł.

- Gollanse! - ryknął generał.

W drzwiach, ciągle otwartych po wejściu Bahna, pojawił się stary woźny generała.

- Zwołaj zebranie sztabu, dobrze? Chcę, żeby za godzinę wszyscy tu byli.

- Tak, panie - odparł zwięźle stary.

- Czy rada została już powiadomiona? - zwrócił się do Bahna.

- Wysłano gońca.

- A Liga, jak dotąd nie.

Generał skinął do Gollanse'a.

- Wyślij szybkiego skuda do Minos. Ptaki łącznikowe też. Powiadom ich, że ostatnie akcje floty imperialnej to dywersja. Ich prawdziwe uderzenie skierowane jest tutaj, na Khos. Będziemy potrzebowali wszystkich Ochotników, jakich zdołają nam przysłać.

- Tak, panie. Czy to wszystko?

- Tak i zabierz się do tego szybko, nie zamarudź przy biszkopcie i *chee*.

Stary uniósł brew, ale nic nie powiedział. Szurając nogami, wyszedł z gabinetu.

Generał Creed odchylił głowę do tyłu, kalkulował.

- Zatoka Perłowa. To sto czterdzieści laqów do Bar-Khos. Pierwszych trzydzieści laqów to trudny teren, aż dojdzie się do Reach. Będą musieli zdobyć Tume, nie mogą zostawić go za plecami. Ale będą mocno naciskać. Trzydzieści dni, może dwa tygodnie, zanim zobaczymy stąd ich wysunięte oddziały. Za krótko, żeby zdążyły posiłki z Ligi.

Trzydzieści dni, w tym czasie mogę wysłać Marleen z dziećmi daleko od Khos, pomyślał Bahn.

- Możemy się też spodziewać wznowienia akcji przeciwko murom. Będą nas teraz naciskać ze wszystkich stron, z nadzieją, że złamią nas na pół.

- Generale... - powiedział Bahn, szukał odpowiednich słów. - Co możemy zrobić?

Creed zdjął nogi z biurka. Położył dłonie na blacie, wstał, górował wzrostem nad Bahnem, spojrzenie mu tańczyło.

- Zrobić? Musimy zmobilizować każdego, kogo zdołamy, i tak szybko, jak tylko się da. Każdego mężczyznę, który jest w stanie maszerować i walczyć.

- Chcesz spotkać Mannijczyków w polu?

- A co? Wolałbyś, żebyśmy zamknęli bramy, usiedli w kucki i czekali za murami na ich przybycie?

Tak, Bahn na pewno by tak zrobił. Mniejsze mury miejskie zapewniłyby im przynajmniej jakąś przewagę nad nadciągającą armią imperialną. Ale to była krótkowzroczna



strategia i Bahn odrzucił ją, ledwo o niej pomyślał. On zastanawiał się tylko, jak uchronić rodzinę, nie było w tym rozmachu. To dlatego byłby ze mnie marny przywódca, pomyślał.

Generał jakby czytał mu w myślach.

- Bahn, mniejsze mury to nie Tarcza. Nie wytrzymają długo ostrzału z nowoczesnych dział, a jestem całkiem pewien, że przywiozą parę takich.

Bahn pokiwał głową, potarł dłonią kark.

- Tymczasem wyrzną i spalą nam pod tyłkiem całe Khos. Jeśli będziemy siedzieli i czekali na nich, nie zostanie nic, co można by obronić poza miastem.

- Ale w polu - wyrzucił z siebie Bahn. - Jak może nam się udać pokonanie takiej armii?

- Nie musimy ich pokonać, Bahn. Wszystko, co musimy zrobić, to kupić sobie trochę czasu.

Bahn przez chwilę masował zmęczone oczy. Wydawało się, że rozmawia z tym człowiekiem w obcym języku.

- Ale generale - powiedział, kiedy Creed zaczął przechadzać się przed nim w tę i z powrotem. - Nawet jeśli zmobilizujemy całą, jaką się nam uda, khosyjską rezerwę, nawet jeśli będziemy gonić resztkami, możemy wystawić w polu sześć, siedem tysięcy. Nasze zapasy prochu strzelniczego poszły do marynarki wojennej i na obronę murów. Mamy mało armat polowych. Nie mamy nawet dział, które mogłyby dorównać ich działom, nie mówiąc o żołnierzach.

Generał zatrzymał się przed oknami, ręce trzymał założone z tyłu. W świetle jego czarne włosy nabierały niemal niebieskiego połysku.

Bahn nie mógł rozróżnić: patrzy na swój obraz czy na milczące mury Tarczy.

- To, co zrobili, to poważny cios dla nas, gwarantuję ci. Nie podejrzewałbym matrony o taką wyobraźnię. Dla Sparusa sprawa jest zbyt ryzykowna, żeby o niej pomyślał. Może więc stary Mokabi wrócił z emerytury. Wyczuwam w tym jego rękę.

Creed przerwał, skłonił głowę w stronę okna: w tej właśnie chwili, kiedy wymienił imię emerytowanego arcygenerała - tego samego człowieka, który poprowadził Czwartą Armię Imperialną pod mury Bar-Khos - od strony Tarczy rozległ się huk.

Potem kolejny, i jeszcze jeden, aż szyby zaczęły drżeć od wstrząsów.

Mannijskie działa znowu zaczęły ostrzeliwać Tarczę.

## Rozdział 13

# Przyczótek

Kiedy obudził się późno, następnego dnia, kobieta trzymała przed nim dzbanek z *chee*. Ash z trudem usiadł, pierś miał ściśniętą i obolałą. Zbite kawałki piasku odpadały mu z jednej strony twarzy, kiedy długo i mocno kaszlał w dłoń. Przy każdym wstrząsie łzawiły mu z bólu oczy.

Przez łzy zobaczył, że burza w nocy przeszła, chociaż od morza nadal wiał silny wiatr. Podmuchy wysuszyły mu ubranie i skórę, przynajmniej te części, na których nie leżał, a z małego ogniska obok nawiewało gorąco.

Kiedy Ashowi kaszel przeszedł na dłużej, niepewnie upił łyk parującej *chee* i stwierdził, że nastrój mu się poprawia.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała kobieta, siedząc na piasku obok niego. - To było w samą porę. - Wyciągnęła do niego dłoń. - Pani Cheer.

Ash uściśnął jej rękę. Miała uścisk mężczyzny, nie brakowało mu siły. Na chwilę w powietrzu między nimi uniosła się kurtyna dymu, popatrzył przez nią na jej twarz pod ciemną strzechą włosów. Najbardziej przypominała mu matkę żony, Anisę, rzadki przypadek atrakcyjności, która zdawała się rosnąć z wiekiem i pozycją.

A potem dym się rozwiął i Ash zobaczył starą, zawiniętą bliznę, przecinającą jej górną wargę, jak zajęcza warga, mimo że biegła w górę twarzy i w poprzek lewego oka.

- Ash - rzekł, nadal zafascynowany jej wyglądem.

Zmarszczyła usta w uśmiechu.

- Miło mi - odparła i chyba rzeczywiście było jej miło.

Za nią młode kobiety, których bronila poprzedniego wieczoru, grzebały w skrzyniach na ubrania. Wyglądało na to, że stroją się na nadchodzący dzień.

Pani Cheer uniosła spódnicę powyżej kostek i z westchnieniem wysunęła nogi w pończochach w stronę ognia.

- Ładny bałagan z tym lądowaniem - powiedziała, wskazując skinieniem głowy zatokę.

- Gdzie jesteśmy? - Ash zapytał sponad brzegu kubka.

- Na Khos. W miejscu zwanym Zatoką Perłową.

A więc miał rację. Teraz nie ma wątpliwości, że armia pójdzie na Bar-Khos, żeby spróbować zdobyć miasto od tyłu. Przypomniawszy sobie, że matka chłopca mieszkała gdzieś w pobliżu.

Zatrzymał te myśli dla siebie, dopijał *chee*. Wspaniałe uczucie gorąca w brzuchu sprawiło, że zdał sobie sprawę, jak długo nie miał już w ustach gorącego napoju albo posiłku. Pani Cheer spojrzała na niego z boku, przyglądała się ciemnej tonacji jego skóry.

- Kim jesteś, najemnikiem? Jesteś trochę za stary na tę robotę, nie sądzisz?

- Ochroniarzem - odpowiedział, nie myśląc.

- O? A twój pracodawca?

Ash skinął głową w kierunku morza.

Szybko zamrugała, zastanawiając się, co miał na myśli, i stwierdziła:

- Więc spadłeś nam z nieba, można powiedzieć. Nasz człowiek nie umiał pływać, chociaż uważał to za zbyt błahą rzecz, żeby o niej wspominać, dopóki nie znalazł się po szyję w wodzie. Moim dziewczynom potrzebna jest ochrona, jak zapewne zauważyłeś.

Oboje popatrzyli na dziewczyny, o których mówiła. Nad ogniem migały mu przed oczami. Ubierały się. Galeria gładkich łydek i bioder, rozkołysanych ciężkich piersi, malowanych właśnie ust i para ciemnych, pomalowanych kholem oczu patrząca na niego.

Ash odwrócił wzrok i odchrząknął.

Prostytutki, uświadomił sobie, lecz poczuł otępienie. Przybyły, żeby towarzyszyć wojsku podczas kampanii.

Ash popijał *chee* i zastanawiał się nad jej ofertą. Potrzebny będzie czas, żeby się rozeznac i znaleźć dojście do matrony. Wiedział, że to potrwa całe dni, może dłużej. Tymczasem musi trzymać się armii.

Ash potrafił poznać podarunek losu, jeśli mu się nadarzał.

- Płaca? - zapytał, chociaż to pytanie było tylko na pokaz.

- Och, mamy pieniądze. Mogę ci płacić według cennika wojennego, dziesięć marveli dziennie, na dodatek posiłki, kiedy znowu staniemy na nogi.

- Piętnaście - powiedział, znowu, żeby zachować pozory.

- Zgoda. - Obdarzyła go wdzięcznym skinieniem głowy. - I jeszcze raz dziękuję. Naprawdę. To był akt odwagi przyjść nam z pomocą w twoim stanie.

- Chodziło mi raczej o twoje ognisko - wyznał, ale ona tylko się uśmiechnęła, jakby żartował.

Ash zostawił je, żeby dokończyły przygotowania. Przemoczone buciory zatknął obok ogniska i poszedł popływać, żeby się umyć i rozbudzić.

W świetle dnia plaża wydawała się jeszcze bardziej wymarła. Między postrzępionym olinowaniem i wodorostami leżały rozsiane w kupach szczątki, również ciał, poranne kraby wspinały się na ich pobielającą skórę. W powietrzu krzyczały ptaki, sprzeczały się o ochłapy na piasku. Ash zobaczył, że plaża wygina się do wewnątrz, w zatokę. Stała w niej, zakotwiczona na wzburzonym morzu, flota inwazyjna, niewiele pomniejszona mimo ciągów, jakie spuścił jej sztorm. Zobaczył tratwy i łodzie przewożące zapasy i ludzi. Ponad chwiejącymi się nadburciami wystawały nawet armaty.

Sily inwazyjne pokrzyżowały jego plany. Armia imperialna umacniała przyczółek na białych piaskach i wydmach za nimi. Dym unosił się z ponad tysiąca z górą ognisk, a ziemia roiła się od postaci, aż po pierwsze pastwiska na stokach, między płowymi wzgórzami. Na grzbiecie, po drugiej stronie zatoki, leżały osmalone ruiny wioski, smętny kontrast dla tłącego się fortu po przeciwnej stronie przyczółka.

Ash szukał jakiegoś znaku Sasheen i prawie natychmiast dostrzegł sztandar wojskowy z czarnym krukiem na białym tle, łopocący na plaży między kilkoma innymi. Ale jakkolwiek by się starał, nie mógł dostrzec matrony pomiędzy tak wieloma ludźmi.

Wszystko po kolei, pomyślał.

Szedł między rozbitkami zbierającymi co się dało ze szczątków wyrzuconych przez sztorm. Rozebrał się na brzegu, wszedł do morza, fale omywały pianą jego uda. Oskrobując się, zauważył siniaki na ramionach, czarne odciski palców tam, gdzie złapał go marynarz na tonącym statku.

Zanurkował i płynął przez dłuższą chwilę, łagodząc napięcie mięśni. Co jakiś czas spoglądał ponad plażą na łopocący sztandar Sasheen i mrużąc oczy, wypatrywał jej samej.

\*

Wiatr podrywał z sykiem wysychające ziarnka piasku z wydm. Matrona szła z przymrużonymi jak szczeliny oczami. Przed nią ochrona osobista robiła jej drogę wśród tłumu żołnierzy i cywilów, za nią ciągnęli adiutanci połowi, wspinając się pod górę, na wydmy i schodząc w zagłębienia między nimi, w długim szeregu spranych do białości szat, w procesji ciągnącej się aż od kłębiącej się plaży.

Nie teraz, myślał zirytowany arcygenerał Sparus. Nie mam teraz na to czasu.

Ze swego stanowiska na szczycie wydmy przyglądał się, jak nadchodzi. Siedział na krześle polowym pośród najbliższych mu oficerów. Wszyscy byli ubrani tak jak on - w prostą imperialną zbroję z utwardzonej skóry, na skroniach wyraźnie widoczne były tatuaże

wskazujące na ranę. W luźnym kręgu wokół niego kucali na piasku. Płócienny daszek trzepotał kilka stóp nad ich głowami, na ziemi leżały rozłożone mapy wyspy Khos. Toczyły się po nich ziarnka piasku.

- Ostatni punkt - kontynuował, zwracając się do swoich ludzi. Spieszył się, żeby skończyć, zanim nadejdzie matrona. - Znamy naszego wroga. Wiemy, że generał Creed to urodzony wojownik, słynący z tego, że agresywnie rzuca się do gardła. I wiemy, że ta cecha, brawura, była przez lata powściągana przez radę Michinè. Teraz jednak to się zmieniło. Nasza obecność tutaj sprawi, że Creedowi powierzona zostanie pełnia władzy, jako Lordowi Protektorowi. Możemy z tego wnioskować, że zaatakuje nas wszystkim, co zdoła zmobilizować. W istocie, musimy mieć na to nadzieję. Jeśli to zrobi, możemy wygrać tę kampanię, zanim nawet dotrzemy do Bar-Khos.

Oficerowie pokiwali głowami. Wiedzieli o tym już wcześniej, ale zdawali też sobie sprawę, że należało to powiedzieć jeszcze raz.

Zaczęli się podnosić, kiedy Sparus powstał z krzesła, żeby przyjąć Sasheen. Wszyscy pochylili się pod chroniącym ich niskim, trzepoczącym daszkiem, jak złamani wiekiem starcy.

Sparus musiał przyznać, że dobrze wyglądała w białej zbroi. Nosila ją jak weteran. Kiedy patrzył, jak teraz nadchodzi, pewnym siebie, rozluźnionym krokiem, musiał sobie przypominać, że to jej pierwsza kampania w polu, że po raz pierwszy dowodzi wojskiem. To był wpływ jej matki: Kira uparła się, żeby wyćwiczyć Sasheen w sztukach wojennych. Ale dzięki niech będą kushowi, że tej starej wiedzy tutaj nie ma. Kira zdominowałaby córkę na swój szyderczy sposób, i to kiedy potrzebowali matrony u szczytu jej możliwości. Jeszcze gorzej, kampanie polowe to wewnętrzna sprawa między oficerami a wodzami armii. Ludzie skupieni wokół Sasheen zobaczyliby, jak jest w istocie: jak matka chce, żeby Sasheen była matroną, bardziej niż pragnie tego córka.

Stary generał poczuł, jak jego irytacja rozwiewa się na myśl o tym wszystkim; z tej kobiety był zadowolony, żyła tak, jak ją kształtowano od urodzenia, ale czasami chyba nie miała do tego serca.

Podchodząc do jego stanowiska, Sasheen posłała mu szeroki uśmiech.

- Jak sobie dajemy radę? - wydyszała przez wiatr, głosem na skraju podniecenia i Sparus zobaczył, że choć raz nie jest pijana, spojrzenia nie mącił jej alkohol ani narkotyki, ale oczy jej błyszczały. Sasheen chyba podobało się to ich przedsięwzięcie, mimo że lewą rękę nosiła na temblaku.

- Proszę - powiedział Sparus, podchodząc, żeby podać jej pomocne ramię. - Usiądź.

Co się stało?

- To tylko złamana ręka, Sparusie - skarciła go, ale dość chętnie przyjęła zwolnione przez niego krzesło. - I na pewno nie jedyna po ostatniej nocy.

- Tak. Oby najgorszym z wszystkiego były tylko połamane kości.

Sparus stał pochyłony, a matrona odwróciła głowę, żeby przyjrzeć się trawiastym stokom ponad wydmami, z tyłu za nimi. Fort na wzgórzach jeszcze się tlił, w nocy zajęli go szturmem komandosi Hanno i lekkomyślnie podpalili. Na innym wierzchołku wzgórza wznosiły się dymiące ruiny wioski - robota Psów, harcowników weteranów ze wschodniego Ghazni. Pod wioską akolici budowali palisadę, która miała na noc otoczyć punkt dowodzenia matrony.

Odwróciła się do Sparusa i generał wreszcie znowu usiadł, przykucając na piasku obok niej. Oficerowie zrobili to samo.

- Jak źle jest? - zapytała.

Generał trzymał gałązkę z drewna dryfowego. Użył jej jako wskaźnika do mapy.

- Zdaje się, że wylądowaliśmy jakieś kilkanaście laqów od zamierzonego celu. Wydaje się nam, że jesteśmy tutaj, w Struganej Zatoce. Z tej pozycji podejścia na ląd są bardziej strome. Jeśli chcemy trzymać się naszego planu, będziemy musieli przycisnąć wojsko mocniej, niż zamierzaliśmy.

- Ale co z naszymi stratami?

Sparus przesunął ręką po łysej głowie i podrapał się w kark.

- Ostatniej nocy straciliśmy co najmniej trzydzieści statków, wśród nich jeden z prochem. To znaczy, że mamy o jedną trzecią prochu strzelniczego mniej, niż się spodziewaliśmy. Ale to nie jest najgorsze. Straciliśmy większość ciężkiej kawalerii, zatonąła albo zwiąło ją z kursu; jeszcze nie wiemy. I cztery transportowce piechoty pomocniczej.

Nagły poryw wiatru rozdarł z rykiem powietrze, wszyscy odwrócili głowy, żeby uchronić się przed kąsającym piaskiem. Sparus czekał, z zamkniętym jedynym okiem, aż się uspokoi.

- Czekamy też, aż pojawi się nasze wsparcie powietrzne. Po tym sztormie nie wiadomo, czy w ogóle się pojawi.

Sasheen rozparła się i zachichotała pod nosem. Zupełnie nie zgadzało się to z tonem jej słów.

- Sparusie, mówisz tak, jakbyśmy już byli skazani na klęskę. A jednak popatrz na nas. Jesteśmy tutaj, siedzimy na khosyjskich piaskach, za nami armia i naród czekający na własny upadek.

Sparus zamrugał, zatrzymał swoje myśli dla siebie. Nie miał zwyczaju patrzeć na jasną stronę. To nie przynosi niczego dobrego.

Poza tym miał dziś w pamięci katastrofę w Coros. Dziewięć lat minęło, odkąd stał na mercjańskiej ziemi, ale wspomnienie nadal go bolało. Chartassa Wolnych Portów przeryzująca się przez siły imperialne, dwa razy liczebniejsze. Ich szyki rozrywały kartacze, granaty i ogień broni palnej, a jednak nie zatrzymali się, dopóki nie rozrąbali sił inwazyjnych Imperium na dwoje i nie rozproszyli ich.

Sparus był wtedy tylko jednym z pomniejszych generałów; podobnie jak Creed, dowodzący małym kontyngentem straszliwych khosyjskich chartass. Wyspy demokrasów odniosły tamtego dnia zwycięstwo i niech diabli wezmą Sparusa, jeśli miałby jeszcze raz pozwolić, żeby dotknęło go takie nieszczęście. Dać się pokonać dwa razy to byłoby niewybaczalne; lepiej wbić sobie nóż w serce. Sparus był teraz arcygenerałem, Creed Lordem Protektorem. Pokonanie Creeda tutaj, na Khos, przypieczętowałoby reputację Sparusa jako najlepszego generała swoich czasów.

Sparus wygra tę kampanię, którą tak bardzo nie chciał dowodzić, dokona tego jednak nie za pomocą pełnego nadziei samozadowolenia, ale przewagą własnej logistyki i mocy. Tym razem dysponują armią wystarczająco liczebną, żeby wykonać postawione przed nimi zadanie, i do tego armią weteranów, a nie nerwowych rekrutów. A on był starszy, mądrzejszy i stał się znacznie lepszym generałem. Uczył się na własnych błędach. To wskutek jego nalegań imperialna ciężka piechota stworzyła własne falangi ciężkich pikinierów, zdolne - miał nadzieję - porwać się na potężną chartassę.

Ale i tak myślał: strata tak wielu żelów bojowych w czasie sztormu była ciężkim ciosem dla kampanii, i to zanim naprawdę się zaczęła.

- Tak jest zawsze - zwrócił się do zebranych, chociaż słowa kierował głównie do Sasheen. - Zawsze starannie obmyślasz plan, a on rozpada się na strzępy w chwili, gdy zetknie się z rzeczywistością. To dlatego przygotowujemy się na najgorsze. I jak zawsze będziemy musieli obejść się tym, co mamy.

Sasheen zmrużyła obwiedzione antymonowym proszkiem oczy.

- Na pewno są i dobre nowiny? Coś, żeby podnieść morale armii?

Sparus na chwilę odwrócił wzrok, by popatrzeć na długi odcinek białej plaży za wydmami. Panował tam chaos. Na wpół oszalałe zele dostały amoku, z wlokącą się za nimi uprzężą skakały na rozsiane pudła z wyposażeniem, przeganiały ludzi stojących im na drodze. Oddziały piechoty błąkały się, próbując znaleźć swoich dowódców; maruderzy nadal schodzili się z całego wybrzeża, potykając się na piasku jak ślepcy. Sparus nigdy jeszcze nie

widział takiego zamętu na przyczółku.

Ale i tak mogło być znacznie gorzej.

- Dobre nowiny? - usłyszał, jak zwraca się do nich wszystkich. Rzucił patyk na wiatr.

- Nadal żyjemy, prawda?



## Rozdział 14

# Zasadzka

Spotkanie sztabu generalnego skończyło się zaledwie pół godziny wcześniej. Creed, popijając ciepławe mleko z kubka, liczył minuty na swoim cennym zegarze wodnym, kiedy po raz drugi tego poranka drzwi otworzyły się z hukiem i wkroczyli Michinè ze swoim sprawiedliwym gniewem, swoimi łańcuchami ze złota i diamentów podzwaniającymi na szeleszczącym jedwabiu.

Na czele tłumu stali Chonas i Sinese, ich umalowane twarze kontrastowały z zapalem w oczach. Na widok generała Creeda siedzącego za biurkiem z kubkiem mleka w dłoni Sinese stracił samokontrolę.

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknął przez biurko minister obrony, machając laską, jakby chciał go uderzyć.

Creed postawił kubek na biurku i ruchem ręki zwolnił strażników przy drzwiach.

- Mogę i zrobię - oznajmił spokojnym głosem i bez mrugnięcia odparł jego rozsierdzone spojrzenie.

Chonas, pierwszy minister, podszedł z tyłu i poklepał Sinesego po ramieniu. Ten przez chwilę wściekle patrzył na premiera, potem opuścił laskę i wycofał się, ciężko oddychając.

- Generale - powiedział Chonas, siadając na jednym z krzeseł stojących przed biurkiem Creeda. Ludzie za nim zamrugali ze zdziwienia, bo nie było to miejsce, w którym Michinè mógłby siadać przed prostakiem, nawet jeśli był on Lordem Protektorem. Creed też to dostrzegł. Skinął głową spokojnemu starcowi przed nim, człowiekowi, którego znał ponad dwadzieścia lat i szanował, mimo wszelkich różnic w zapatrywaniach.

- Jak przed chwilą uprzejmie wyjaśnił minister Sinese, nie możesz przeprowadzić swojego planu. Przyszliśmy, żeby natychmiast odwołać twoje rozkazy.

- Z jakiej mocy?

- Z mocy rady! - wyrzucił z siebie Sinese, znów zbliżając się o krok. - A może zapomniałeś, człowieku, o swojej pozycji?

Te słowa były dla Creeda jak policzek, wystarczyły, żeby poczuł przyływ krwi do

głowy. Pozostali Michinè zachowali pewną siebie postawę i cały czas z zimną furią wpatrywali się w Creeda. Wszyscy naraz. Poczuli potencjał przemocy w tej grupie.

Aha, pomyślał cierpko. Więc wreszcie zdjęli rękawiczki.

Creed rozsiadł się i od niechcienia otworzył jedną z szuflad biurka. Leżał w niej pistolet, naładowany, gotowy do strzału.

- Na wypadek gdybyście nie zauważyli - powiedział do wszystkich, kiedy szyby znowu zadrżały od huku armat na Tarczy - napadła na nas imperialna armia Mann. Kiedy my tu się sprzecamy, obce wojska stoją na khosyjskiej ziemi. Według słów Konkordancji, jako Lord Protektor Khos, jestem teraz głównodowodzącym obrony tej wyspy. - Rzucił twarde spojrzenie Sinese. - Nawet ponad tobą, ministrze. Tak brzmi zapis z prawa wojennego.

- Rozumiem - odparł ten kpiąco. - Więc teraz masz ochotę zabawić się w króla, na tym polega twoja gra?

Creed zacisnął zęby, żeby powstrzymać przypływ złości.

- Sądzę, ministrze, że to ty zapominasz, gdzie jest twoje miejsce.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Proszę - powiedział Chonas, unosząc rękę, żeby ich uspokoić.

Creed nie spuszczał wściekłego wzroku z Sinesego.

- Nie stoisz teraz w izbie rady - rzekł. - Stoisz w moim biurze i radzę ci okazać trochę uprzejmości albo każę cię wyprowadzić z budynku pod strażą.

Zgromadzeni Michinè wybuchnęli oburzeniem.

- Panowie! - wrzasnął Chonas, przekrzykując wybuchy gniewu. - Proszę! Zachowajmy jakiś porządek. Marsalasio, my dwaj znamy się już od wielu lat. Mam do ciebie głęboki szacunek, chociaż wcześniej nigdy ci chyba o tym nie mówiłem. Codziennie ludzie dziękują Losowi, który obdarzył nas tak zdolnym generałem w tak trudnych czasach. Kiedy to mówię, zwracam się do ciebie zarówno jako przyjaciel, jak i pierwszy minister, więc proszę, posłuchaj. Nie możesz wyjść i spotkać ich w polu. Dysponują przewagą większą niż sześć do jednego, nie mówiąc już o przewadze w armatach. Zrobią z ciebie sieczkę.

Creed westchnął.

- Zawsze myślisz o liczbach, stary przyjacielu. Na tym polega twój problem, problem was wszystkich. Myślicie, że to wyłącznie kwestia zasobów i tego, gdzie je najwydajniej wykorzystać. Ale zapominacie, kim jesteśmy, co mamy.

- Myślisz, że sama chartassa nas uratuje - przerwał Chonas. - To miałeś na myśli, prawda? Słynna khosyjska chartassa, straszliwa i szanowana przez wielu naszych wrogów. Pathianie nazywają ją Wielkim Zabójcą. Klęska, jak się o tym dowiedzieli Imperialni na

Coros. - Chonas pokręcił ze smutkiem głową. - Nie, Marsalasio. To ty się mylisz. Mogę być zmęczonym starym politykiem. Nasza wola walki może być silna. Ale i tak liczb nie można zniweczyć jakimś butnym gestem wyzwania. Tak. Chartassa to przerażający widok na polu walki. I oni zginą, wszyscy. I Khos będzie dla nas stracone na dobre.

- Jaki mamy wybór? - warknął Creed. - Niech gwałcą i niewolą każde miasto na Khos, a my będziemy się kulić za murami? Chcesz, żebyśmy tak zrobili?

- Nie, Marsalasio. Gdybyśmy dysponowali realną alternatywą, nie chciałbym, żebyśmy to robili. Ale wobec takiej właśnie koszarnej sytuacji stanęliśmy. Nawet w tej chwili Imperialna Czwarta Armia zbiera się od pathiańskiej strony Tarczy, żeby dokonać generalnego ataku na mury. Posłuchaj ich dział! Posłuchaj! Słyszałeś taki grzmot od pierwszego roku oblężenia? Pójdą na mury z wszystkim, czym teraz dysponują, i tym razem nie zaprzestaną, a tymczasem ty zabierzesz połowę ludzi w pole na jakąś lekkomyślną, samobójczą wyprawę.

- Generał Tanserine, jeden z najlepszych taktyków we wszystkich Wolnych Portach będzie dowodzić obroną. I wystarczy mu ludzi do naszego powrotu.

- A jeśli nie wrócicie?

- Wtedy będziecie musieli ich powstrzymać, aż napłynie więcej Ochotników z Ligi.

- A jak to zrobimy bez rezerw, które z sobą zabierzesz? Nie. Stawimy opór tutaj, w Bar-Khos. To, co uda nam się zaoszczędzić, pójdzie na ufortyfikowanie i obronę Tume. Okopimy się i będziemy czekać.

Creed poruszył szczękami.

- Jeśli się okopimy, możemy wszyscy zginąć, zanim zdążą przybyć posiłki. Jeśli będziemy z nimi walczyć, przynajmniej kupimy sobie trochę czasu. Słodka Litości, człowieku! Tu jest matrona we własnej osobie: nie rozumiesz, jaka to dla nas okazja?

Chonas pochylił głowę, jakby już nie słuchał. Jak na dany znak spośród zgromadzonych Michinë wystąpił jakiś człowiek i podszedł do biurka. Ubrany był w sztywne, wybielone szaty profesjonalisty miejskiego.

- Generale Creed - oświadczył. - Jeśli wolno mi zwrócić twoją uwagę na artykuł czterdziesty trzeci Konkordancji: „Obrona Tarczy musi zawsze pozostawać nadrzędną w kwestii przydziału zapasów na operacje ofensywne lub defensywne”.

- Kim jest ten człowiek?

- Adwokatem - wyjaśnił Chonas. - Uznaliśmy, że może zdoła rzucić trochę światła na nasze różnice zapatrywań, o ile jakieś by się ostały.

- Adwokat?

- Ten człowiek mówi, że możemy nie dać ci prochu strzelniczego do tych twoich dział, które chcesz zabrać w pole. To jest zapisane w prawie wojennym.

Creedowi na chwilę odebrało mowę.

- Chcecie, żebyśmy stawili im czoło bez dział?

- Mamy raczej nadzieję, że bez dział w ogóle nie wyjdziecie.

Pierwszy minister spojrzał na Creeda spod krzaczastych brwi. Pochylił się bliżej, zaczął mówić cichym głosem.

- Znam cię, Marsalasio. Masz już dość. Siedzisz w fotelu za Tarczą i przez cały ten czas nic nie robisz. Chcesz im sprawić manto za to, co nam uczynili, za ludzi, których zabili, za twojego ojca, który zginął, walcząc przeciwko nim za granicą. Widzisz to jako ostatnią szansę, żeby spotkać się z nimi na udeptanej ziemi i zwyciężyć. Ale to wielkie szaleństwo. Błagam cię, żebyś to teraz zrozumiał.

Generał Creed rozparł się w fotelu. Prawda zawarta w słowach pierwszego ministra rozbroiła go.

Nie był człowiekiem podatnym na zwątpienie, ale przez chwilę rozważał pogląd, czy istotnie nie myli się co do tego wszystkiego; czy Chonas nie ma aby racji, że on, Creed, doprowadzi wszystkich do upadku. Przed paroma godzinami usłyszał o inwazji, wszyscy wokół niego nieomal potracili głowy, a jego nagły rozwój wojennych wypadków nappełnił entuzjazmem, dał mu szansę do walki.

Michinè wpatrywali się w niego z wściekłością, on tymczasem przyglądał im się po kolei.

Dotarło do niego, że to nie tylko obawa naładowała ich nagłą wrogością do niego. Był pierwszym Lordem Protektorem od czterdziestu lat, który uzyskał pełnię praw związanych z tym stanowiskiem w świetle Konkordancji - liczącej sto lat ugody między rządzącymi Michinè a ich dowódcą wojskowym. Teraz szale, bez ostrzeżenia, zmieniły położenie. Odkąd najeźdźcy stanęli na khosyjskiej ziemi, Creed może robić z armią co chce, nie bacząc na to, co Michinè mieliby do powiedzenia. Można było przewidzieć, że dobrze urodzeni nie zniosą takiego biegu wypadków, nagłego, kolektywnego zsunęcia się o szczebel w wielkim porządku działania. I oto byli teraz tutaj, przyszli, żeby położyć kres jego pomysłom, zanim będzie miał szansę użyć jak trzeba swojej nowej władzy.

Myślał o tym czasie, kiedy go powstrzymywali, nie pozwalali stanąć twarzą w twarz z wrogiem, bardziej zatroskani utrzymaniem status quo niż przełamaniem oblężenia. Popatrzył na Chonasa, na jego niecierpliwe spojrzenie skrywane pod zwisającymi brwiami.

Prawda, pierwszy minister może być dobrym człowiekiem. Ale kiedy dochodzi do

sporu, jest jednym z nich.

Creed powoli wstał. Był większy niż ci, którzy stali przed nim, nie wzrostem, ale zwalistą sylwetką i zdolnością do działania.

- Nie będę stał obok i nic nie robił, kiedy dobrzy ludzie giną od miecza. Rozkazów nie odwołam. Wymarsz rano.

Podniósł rękę, żeby ich uciszyć, i miał chwilę satysfakcji, kiedy wszyscy naraz zamknęli usta.

- Gollanse! - krzyknął.

Jego postarzały woźny przeszedł, powłócząc nogami, obok grupki Michinè. Prowadził człowieka ubranego w szaty miejskiego profesjonalisty. Pod ramieniem miał skórzaną torbę i okulary na bezbarwnej, inteligentnej, mądrej twarzy.

- Ministrowie, to jest mój adwokat, Charson Fay. Jeśli są jakieś kwestie prawne związane z moimi rozkazami, proszę zwracać się bezpośrednio do niego. Stworzy dossier i wszyscy będziemy mogli się spotkać na otwartej sesji sądu po moim powrocie.

Generał zamknął szufladę z pistoletem i obszedł biurko.

- A teraz, zechciejcie wybaczyć. Muszę przygotować armię do wymarszu. Życzę wszystkim dobrego dnia.

Creed wyszedł z gabinetu. Pomruk niechęci zabrzmiał jak muzyka w jego uszach.

\*

- Czy to prawda? - ktoś krzyknął do Bahna, który wchodził w tłum stojący za bramą Ministerstwa Wojny. Za nimi, na Stadionie Walk huczały rogi, wzywając żołnierzy do akcji, słabe zawrośnięcie wśród wstrząsów wywoływanych przez odległe działa. Chyba wszystkie psy w mieście szczekały.

- Bahn, najechali na nas? - znowu odezwał się ten głos, kiedy przepychał się przez tłum. Zobaczył, że to Koolas, wojenny chattero.

Bahn przepchnął się obok niego, nic nie mówiąc, ale Koolas dorównał mu kroku i poszli do ścieżki prowadzącej w dół z góry Prawdy. Wojenny chattero pociał się mimo chłodnego wiatru od morza, był za ciężki, żeby wejść bez trudu na szczyt. Wielki brzuch trząsał mu się pod koszulą, przy tempie nadanym przez Bahna. A i tak Koolas miał dość energii, żeby roześmiać się z niedowierzaniem podczas przechadzki i odsuwać z twarzy czarne loki, w strąkach tak mokrych, jakby padał deszcz.

- A więc to prawda!

Bahn nasrożył się, ale trzymał język za zębami. Koolas zarabiał na życie, pisząc informacje wojenne dla domów wydawniczych miasta i obwoływaczy z wieżyczek

zawodzenia na bazarach. Wiedział, że nowina rozejdzie się po mieście z szybkością pożaru.

Pomyślał, że to nieistotne, kiedy schodzili ze wzgórza ku Alei Kłamstw. Rogi obwieszczały wezwanie do broni, słyszeli je wszyscy. Nastrój na ulicach wydawał się już bliski paniki. Obywatele wrzeszczeli na siebie po drodze do domów albo miejscowych tawern. Matki zabierały dzieci z ulicy. Na domiar wszystkiego zobaczył Czerwoną Gwardię śpieszącą na Stadion Walk. Starzy emerytowani weterani, Molari, też tam szli, niosąc zakurzone tarcze i długie chartassy owinięte naoliwionym płótnem.

- No, nie bądź taki - powiedział do niego raczej przyjaźnie Koolas. - Oni już wiedzą, że mamy kłopoty. Ja szukam tylko paru detali, żeby nie popuścili wodzy wyobraźni. Z czym mamy do czynienia? To tylko rajd czy pełna inwazja?

Bahn podniósł rękę, żeby zatrzymać przejeżdżającą riksę. Rikszarz przejechał obok, nie zatrzymując się, choć nie miał pasażerów. Bahn zaklął pod nosem i rozejrzał się za inną. Wreszcie udało mu się jakąś zatrzymać.

- Aleja Olsona - rzucił szybko do rikszarza i zanim wsiadł, popełnił ten błąd, że obejrzał się na Koolasa. Tylko raz.

- Na jaja Błazna - krzyknął Koolas, widząc wyraz jego oczu. - Aż tak źle? - Wyglądał na przerażonego i Bahn przypomniał sobie, że Koolas jest kimś więcej niż zwyczajnym chattero węszącym za opowieścią, że jest też Khosyjczykiem, urodzonym i wychowanym w tym mieście, że ma przyjaciół i rodzinę, o którą się martwi.

Bahn przygarbił się pod zbroją.

- Chwileczkę - powiedział do rikszarza i podszedł bliżej do Koolasa.

- Z tego, co nam obecnie wiadomo, to inwazja.

- Ilu? Która armia?

- Raporty mówią, że to Szósta Armia z Lagos z auksyliarami z Q'os.

Koolas się wyprostował.

- Ilu? - naciskał.

Bahn odwrócił się, jakby miał odejść, ale się zatrzymał.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że powołujemy każdego, kogo możemy. Opróżniamy więzienia i obozy karne dla weteranów. Nawet Oczy.

- Co? Ci mordercy i wariaci?

- Zgadza się, każdy, kto jest w stanie unieść tarczę.

- A rada? Co oni na to? Dopiero co widziałem, jak delegacja wchodziła do ministerstwa.

- Czy to ma znaczenie? Zostaliśmy najechani. Wydarzenia wymknęły nam się spod

kontroli.

Koolas z zalem potarł twarz.

- Właśnie. Jestem pewien, że Creed im to jasno powiedział. To człowiek przewrażliwiony jak rzadko który.

Bahn nachmurzył się i odszedł, zanim chattero zadał mu kolejne pytanie. Wszedł do rikszy i skinął głową do Koolasa, kiedy rikszarz przejeżdżał obok niego.

Zaproponował rikszarzowi dodatkowych pięć miedziaków, żeby przyspieszył, rozsiadł się i próbował się uspokoić, kiedy riksza wymijała korki na ulicach.

Daleko na północy miasta, w małej uliczce wysadzonej drzewami wiśni o zbrązowiałych jesiennie liściach, Bahn wysiadł, podziękował rikszarzowi i wszedł do domu, który od siedmiu już lat był jego domem rodzinnym. W pokojach panował chłód, spokój. Zapach kadzidła nadal wisiał w powietrzu, dochodził z małego ołtarzyka Miri, Wielkiego Ucznia, który przyniósł Dao i nauczanie Wielkiego Błazna nad Midèrēs.

Syn Bahna, Juno, powinien dzisiaj być w szkole. Usłyszał, jak na górze zaczyna płakać córeczka, niemowlę.

Znalazł Marlee na tylnym podwórku, spulchniała glebę na małej działce warzywnej, jakby nieświadoma odległych rogów, ale jej ruchy były szybkie i nerwowe.

- Hej - powiedział do żony, obejmując ją z tyłu w pasie. Marlee wyprostowała się, opierając się o niego, ciało miała spięte. - Nie słyszysz jej? - zapytał.

- Oczywiście, że słyszę. Znowu ząbkuje.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie, jeszcze nam zostało trochę oleju od matki. Ale nie mam odwagi dać jej więcej. - Marlee odwróciła się i spojrzała na niego. Uśmiech jej zgasł. - Co to jest Bahn? Po co te alarmy?

Westchnął.

- Mam mało czasu. Powinienem być teraz na stadionie, pomagać w przygotowaniach.

- Przygotowaniach?

Ścisnął ją za ramię, nie był w stanie mówić.

- Och, Bahn - jęknęła, a oczy zalśniły jej łzami. - Wylądowali tutaj?

Sztywno skinął głową.

Buczenie rogów w domu było nawet głośniejsze. Oboje nie mogli znaleźć słów. Marlee popatrzyła pod nogi, głęboko odetchnęła i znów podniosła wzrok.

- Pójdę ją uspokoić - rzekła szybko. - Potem mi powiesz, jak naprawdę jest źle.

Sięgnął, żeby zatrzymać żonę.

- Ja pójdę - oświadczył ze smutnym uśmiechem i poszedł, żeby uspokoić córeczkę.



## Rozdział 15

# Zaciąg

Była dzieckiem - chyba miała cztery lata - kiedy jej matka zmarła, dając życie młodszej siostrze, Annalese. Była tak mała, że teraz ledwie przypominała sobie te wydarzenia, czy to był dzień, czy noc, lato czy zima, szybko czy wolno; nie pamiętała nawet, kto przy tym był, a kogo nie było.

Loczek pamiętała naprawdę tylko tych kilka chwil przed końcem i te chwile były tak świeże w jej pamięci, że wspomnianie ich wywoływało rumieniec płynący z rozdygotanego serca.

Matka, blada jak księżyc, wykończona, wykrwawiona na łożu boleści, z nieobecnym wzrokiem wbitym w sufit. Ciemne loki przylepione do błyszczącej skóry. Pierś ledwie się unosząca, coraz słabszy rytm oddechu. Jej sutki, ciemne i twarde na piersiach poznaczonych rozstępami, pulchnych od mleka, drewniany amulet wiszący między nimi, delfin wycięty z niewysuszonego drewna. Noworodek drący się w pokoju za otwartymi drzwiami. Na koniec matka ledwie była świadoma tego, że Loczek schwyciła ją na rękę i wylewała łzy na jej rozciągnięte, wykrwawione ciało. Ich spojrzenia spotkały się tylko raz. Matka przez chwilę świadomie patrzyła na córkę. Schwyciła Loczka za małą dłoń, aż ją zabolalo, i spojrzała na nią tak, jakby chciała przekazać jej coś ważnego w ostatniej chwili na tym świecie.

Używaj życia, córko, jej oczy zdawały się mówić do Loczka, tak to widziała po latach. Podążaj tylko własną drogą!

A potem zasnęła, a potem umarła, a potem poszła do piachu.

Lata, które nastąpiły, także zatarty się w pamięci Loczka, jakby jakiś całun zapomnienia pokrył świat. Pozostały tylko fragmenty.

Jej ojciec, milczący i mściwy, nie ten człowiek, którym był niegdyś, zatracił się w pracy, jako miejscowy lekarz. Dom bez radości i szczęścia. Skrzywienie stóp na deskach podłogi; wszyscy cicho stąpają. A poza ograniczeniami rodzinnego smutku żołnierze przechodzący przez wieś; kapłani Manna wykrzykujący kazania, potępiający starą wiarę; pogłoski o wojnie i buncie, jak grzmot w oddali.

Kiedy skończyła trzynaście lat, jej ciotka i młodsze siostry celebrowały dojscie Loczka

do pełnoletności.

To ciotka, poszeptująca i mądra, i delikatnie piękna objaśniła Loczkowi pączkujące w jej ciele miesięczne cykle, nauczyła je wszystkie, jak to będzie, kiedy pewnego dnia staną się kobietami. W ten uroczysty wieczór podarowała Loczkowi zwyczajny kawałek drewna. Wyjaśniła, że to sęk z wywróconej wierzby.

- Wyrzeźb go dziś wieczór - powiedziała - kiedy będziesz sama. Zakończ przed snem.

- Co mam wyrzeźbić? - zapytała zdziwiona Loczek.

- Co tylko chcesz, córko siostry. To, co ogrzewa ci serce.

Kiedy inni poszli do łóżek, usiadła na puszystym dywanie przed kominkiem, troszeczkę pijana od cydru jabłkowego, którego po raz pierwszy pozwolono jej skosztować, i najmniejszym nożykiem ojca oraz pumeksem zaczęła rzeźbić kawałek drewna tak, żeby wyglądał jak najlepiej. Godziny przemknęły, ogień przygasał, aż zostały tylko popioły żarzące się wspomnieniem gorąca.

Obudziła się, tam gdzie zasnęła, przed kominkiem. Nadal była noc. Ciocia podniosła ją i wzięła w ramiona. Otuloną kocem zaniósła ją do łóżka. Siostry Loczka smacznie spały na innej pryczy.

- Co wyrzeźbiłaś? - wyszeptła ciotka, wsuwając Loczka pod pledy. Loczek otworzyła piąstkę, żeby jej pokazać.

Na dłoni leżała mała, prosta figurynka rozmiaru jej kciuka, kobieta o pulchnych, pełnych kształtach. Niewiele miała rozpoznawalnych szczegółów, zaledwie niejasne zarysy postaci. Piersi były duże, brzuch wydęty.

Ciotka uśmiechnęła się, pocałowała Loczka w czoło.

- Twojej matce spodobałoby się - powiedziała. - To zaiste świetny sprzymierzeniec. No to noś ją ze sobą zawsze i niech cię broni, kiedy tylko będziesz potrzebowała pomocy.

Loczek zasnęła, wiedziała, że tę noc zapamięta na całe życie.

Później, w środku zimy, kiedy noce były chłodniejsze, ojciec zaczął odwiedzać Loczka, kiedy po drugiej stronie pokoju jej siostry udawały, że śpią.

Tak oto jej świat ponownie się zmienił.

Dla Loczka była to zima gorzkich snów i ciemności, napiętnowana dalszymi stratami w ich życiu, a nie ostatnią z nich była strata ojca.

Wiosną następnego roku znalazły go zwisającego za szyję z belek wędzarni. Stały tam wszystkie trzy, patrzyły na powoli kręcące się ciało ubrane w stare, ładne ubranie weselne, ze świeżo wyczyszczonymi butami, z włosami schludnie zaczesanymi na łysinę.

Na jego piersi wisiał amulet w kształcie delfina, kiedyś wyrzeźbiony i noszony przez

ich matkę.

\*

Tego ranka, kiedy przyszedli żołnierze, Loczka nie było w domu, zbierała dzwoneczki na łąkach nad miastem Hart, dokąd zabrała ich ciotka, żeby zamieszkały z nią po śmierci ojca.

Miała nadzieję, że za pomocą tego niebieskiego ziela uchroni się przed ewentualną ciążą, bo już wtedy potajemnie spotykała się z mężczyzną z miasta, żonatym woźnicą ponad dwa razy od niej starszym. Tamtego ranka zawędrowała daleko, przemierzyła wzgórza w swoich poszukiwaniach, spędzała ciche godziny, powoli napełniając kieszenie.

Dopiero kiedy wracała, zauważyła przed sobą dym, wypełniający niebo jak chmura. Podkasła sukienkę i pobiegła przez szczyt ostatniego pagórka, wydała stłumiony okrzyk, nie dowierzając temu, co zobaczyła.

Miasto płonęło. Otaczały je białe plamki żołnierzy, posuwające się w stronę centrum.

Krzyki mieszkańców trzepotały na wietrze, jak głosy ptaków.

Loczek pomyślała o ciotce i siostrach, które tam były. Pomyślała o ich twarzach, kiedy żołnierze i płomień zbliżały się do nich. Złamała się w pół z bólu, chciało się jej wymiotować.

Cały dzień ukrywała się w trawach, odgłosy śmierci mieszkańców słyszała nawet, kiedy przyciskała ręce do uszu. Z czasem wstydu i poczucia winy zrobiło się za dużo, próbowała więc wstać, jakby chciała pójść im z pomocą. Ale za każdym razem zamierała, nie była w stanie zrobić kroku. Szlochała, aż wreszcie nie mogła już szlochać, a potem zdrętwiała i umilkła.

Żołnierze odeszli wraz ze zmierzchem, odmaszerowali, a ich wozy wypełnione były łupami wysoko ponad brzegi. Miasto, które zostawili, było dymiącym pustkowiem.

Loczek odczekała jeszcze godzinę, zanim zdołała zebrać się i pójść w dół, ku ruinom.

Oślepiąca łzami, zdławiona zalem, nie potrafiła znaleźć rodziny w dogasającym stosie, który wcześniej był jej domem.

\*

Potem prowadziła życie dzikiego zwierza, wędrowała bez celu między stosami i ruinami ojczystego kraju. Przez ten czas zdążyła popaść w lekkie szaleństwo. Jej poczucie czasu zamieniło się w jedną wieczną chwilę.

Pewnego dnia Loczek szła plażą, kiedy zobaczyła przed sobą mężczyznę, wielkiego, z gęstą brodą. Zachowała dość zdrowego rozsądku, żeby rzucić się płasko na ziemię.

Jak się jednak okazało, za późno. Mężczyzna podszedł do miejsca, w którym leżała z twarzą wciśniętą w twarde trawy wydmy.

- W porządku - powiedział. - Nie zrobię ci krzywdy, dziewczyno.

Podniosła wzrok na zmęczoną, starą, ogorzałą twarz. Jego głos brzmiał dziwnie, ale to dlatego, że od tak dawna nie słyszała głosu człowieka.

- Chodź ze mną - powiedział mężczyzna, wyciągając dłoń. - Musimy już odpływać.

Loczek wstała, odwróciła się, żeby uciec.

Idź z nim.

Natychmiast się zatrzymała.

- W porządku - powtórzył, biorąc ją łagodnie za rękę. - Chodź już, musimy stąd odpływać.

Zaprowadził ją do zatoczki, na małą kamienistą plażę. Łódź rybacka chwiała się na falach. Mężczyźni i kobiety brodzili przez wodę, żeby wdrapać się na pokład.

- Jeszcze jedna! - krzyknął do kogoś na łodzi i kilka głów odwróciło się, żeby się jej przyjrzeć. Zobaczyła ludzi o poczerwieniałych oczach, potarganych włosach, zapadłych twarzach. Nikt się nie odzywał, kiedy pomagali jej wejść na pokład. Loczek znalazła miejsce między tobołkami, usiadła i skuliła się, podciągając kolana do piersi.

- Czy to wszyscy? - zapytał mężczyzna.

- Tak, szyprze - odpowiedział inny. - A teraz, do cholery, zabierajmy się stąd, póki możemy.

Dwóch mężczyzn pociągnęło za wiosła, powoli przemieszczając łódź z fal zatoczki na grzywacze otwartego morza. Żagiel był rozwinięty, załopotał, łapiąc wiatr od lądu. Po jakimś czasie śmigali przez wzburzone morze. Wszyscy utkwili wzrok w odległej wyspie, która została za nimi.

- Ten dureń Lucian i jego buntownicy - wyrzucił z siebie mały, łysy mężczyzna, rozglądając się czarnymi oczami. - Sprowadził to na nas, niech jego dusza będzie przeklęta. Niech twoja dusza będzie przeklęta! - ryknął, potrząsając pięścią w stronę lądu.

Reszta siedziała w milczeniu. Patrzyli na ziemię ojczystą znikającą w oddali.

Stary szyper wydał komendę. Młody chłopak przy sterze odwrócił łódź tak, że słońce znalazło się za nimi.

Łysy uspokajał się stopniowo, mamrotał coraz ciszej, aż umilkł. Szlochał przez jakiś czas. Inni mężczyźni odwracali z zakłopotaniem wzrok. Jedna z kobiet też zaczęła płakać, ale Loczek tylko patrzyła za burtę, nadal była odrętwiała.

- Jesteś szczęściarą, dziewczyno, że tak ci się udało na nas natrafić - powiedział łysy. Teraz oczy miał już suche. Przeniósł się, żeby usiąść obok niej. Loczek odsunęła się, żeby jej nie dotknął. - Może twój sojusznik zatroszczył się o ciebie, hę? - I zaśmiał się ironicznie ze

swojego szyderstwa.

- Zostaw dziewczynę - warknął stary szyper. Mężczyzna nachmurzył się, ale ją zostawił.

Loczek słyszała, jak kobiety obok niej rozmawiają między sobą.

- Dokąd płyniemy? - zapytała najmłodsza.

- Do Wolnych Portów - odparła najstarsza. - Nadal są wolne. I nie tak wrogo nastawione do uchodźców jak Zanzahar.

Uchodźcy. Loczek wypróbowała słowo na języku. Więc tym teraz jest. Pomyślała, że świat jest mały, cokolwiek by to miało znaczyć.

Spojrzała na wyspę Lagos, teraz była zaledwie smugą na horyzoncie. W rękę ścisnęła kawałek drewna, swojego sojusznika, pocierała go kciukiem, kiedy chudy wietrzyk owiał jej ciało, przenikając aż do serca.

\*

- Dość tego. Nie chcę, żeby dzieci cię słyszały - powiedziała Rosa teatralnym szeptem i pobiegła do drzwi kuchennych, zamknęła je i wróciła do składanych na stole dziecięcych ubrań.

- Co? - krzyknęła Loczek. Siedziała naprzeciwko niej i patrzyła, jak ta pracuje. Zirytowana spojrzała przez otwarte okno, gdzie na tylnym podwórku paru półdzikich urwisów odgrywało dla zabawy scenę rabunku w mieście.

Ruchy Rosy były sztywne, pełne złości. Stół chwiał się za każdym razem, kiedy kładła na nim coś cięższego, jego nogi klekotały o drewnianą podłogę, obnażając jej zdenerwowanie. Były same. Śniadanie podano już dawno, wkrótce po świcie, i wszyscy lokatorzy zjedli swoje małe porcje kleiku przy dźwięku dział z niedalekiego Lanszlaku, co podsycalo ich rozmowy o inwazji i wojnie. Nawet teraz, po drugiej stronie pokoju z cichym oskarżeniem wobec Loczka przykucnął wielki stół. Przyglądała mu się z niesmakiem, zwłaszcza brudnej ceracie, której nigdy nie zdejmowano, nawet na czas posiłków, używanym miskom, talerzom i sztuccom zostawionym przez lokatorów. Dziś rano była kolej Loczka, żeby po nich posprzątać. Ale chociaż się starała, nie była w stanie się do tego zabrać.

- Powtarzam tylko to, co słyszałam - powiedziała.

- Hm, czy wiemy o tym, czy nie wiemy, niczego to nie zmieni. Wkrótce będzie jasne, czy te potwory przedrą się przez mury i wpadną po nas. Do tego czasu, proszę, przestań. Daj nam żyć w spokoju, póki możemy.

Loczek wyrwała luźną nitkę ze swojej lnianej bluzki i powstrzymała język. Nie było to łatwe, bo krew nadal żywo w niej krążyła po ostatniej nocy.

- Prawie się zdecydowałam, żeby zgłosić się na ochotnika.

Kobieta ryknęła śmiechem.

- Och Loczku, ależ ty mnie rozśmieszasz!

Loczek poczuła, że twarz jej czerwienieje.

- Co? Nie mam zamiaru walczyć. Ale potrzebują ludzi do innych spraw. Kucharzy i...  
w ogóle.

Rosa przestała się śmiać i wrzuciła złożoną koszulę nocną do kosza na podłodze. Wzięła ostatnią ze świeżo upranych, głośno oddychała.

- Nie wiem, co dzisiaj w ciebie wstąpiło, dziewczyno. Lepiej nic takiego nie mów dzieciom. Bo ci utnę język, naprawdę. Takim gadaniem złamiesz biedactwom serca.

Drzwi do kuchni otworzyły się gwałtownie, wbiegli Misha i Neese.

- Jazda, jazda! - krzyknęła znów Rosa. - Naniesiecie wszędzie błota! - Ale dziewczynki miały tyle odwagi, że przez chwilę ją ignorowały. Zatrzymały się przed Loczkiem, szeroko otworzyły oczy i usta, udając zdziwienie, i wrzasnęły chórem na widok jej sterczących włosów.

- Jazda! - krzyknęła Rosa. Znów wybiegły na dwór, wrzeszcząc po drodze.

- Bardzo śmieszne, dziewczyny! - zawołała za nimi Loczek.

W drzwiach stanęła Pea. Ciekło jej z nosa, w ustach trzymała kciuk. Była nowa w tym domu i jeszcze się nie nauczyła, co znaczą powarkiwania Rosy.

Dziewczynka trzymała rękę na brzuszku.

- Jestem głodna - powiedziała.

- Będziesz musiała poczekać - odparła Rosa. - A teraz biegnij, mała.

Kiedy dziewczynka wyszła, Rosa westchnęła i otarła czoło grzbietem dłoni. Stała, obramowana światłem padającym z okna, z drugą ręką na biodrze, i spoglądała na dzieci na podwórku z czułą troską w oczach.

Loczek wiedziała, że spotkało ją błogosławieństwo. Kiedy wiele miesięcy temu przybyła do miasta Bar-Khos, spostrzegła znak na drzwiach i zapukała, szukając mieszkania. Stała w używanym ubraniu podarowanym przez ochotników z obozu dla uchodźców, zagubiona w tak wielkim mieście, bez najmniejszego pojęcia, jak ma zarobić na życie. I wtedy drzwi nagle się otworzyły i stanęła przed nią Rosa, z tymi swoimi zmęczonymi, łagodnymi oczami.

Teraz, jakby ziściły się jej nocne koszmary, Mannijczycy nadeszli, żeby ponownie zniszczyć jej świat.

- To jest... - zaczęła. - Chcę zrobić cokolwiek.

Rosa odwróciła głowę, przez chwilę przyglądała się jej z sympatią.

- Dziewczyno, nawet teraz możesz zrobić dla mnie coś pożytecznego.

- Och?

Skinęła głową w stronę stołu z brudnymi talerzami, na twarzy malowała się jej przebiegłość.

Loczek przyłożyła dłonie do policzków, wypuściła z desperacją powietrze.

\*

Okiennice były otwarte, więc na tle armatniego łoskotu Loczek słyszała słabe dźwięki wykrzykiwanych rozkazów i stłumione dudnienie wielkiej liczby maszerujących stóp. Siedziała na łóżku z małym pudełkiem na kolanach. Na otwartym wieczku leżała do połowy rozpakowana paczka drossu. Odgłosy dobiegające z zewnątrz sprawiły jednak, że odłożyła je i podeszła do okna.

Nic nie było widać, nie licząc domów po drugiej stronie, ręcznego wózka pchanego ulicą przez starego łachmaniarza i kilkorga dzieci, które w milczeniu przebiegły obok niego. W zasięgu wzroku nie było ulicznych dziewczyn. Najprawdopodobniej stały w Alei Kłamstw, próbując wyrwać dla siebie szybki numer z żołnierzami zmierzającymi z miasta na tereny defiladowe za północnymi murami.

Loczek poczuła przez chwilę ulgę, że nie musi już pracować na ulicy. Nie była dumna z tego, że tak łatwo weszła w tę rolę, ani że była tak popularna wśród klientów kręcących się w okolicy. Niemniej w ciągu zaledwie kilku miesięcy pracy zdołała zyskać stałą liczbę godnych zaufania klientów, w sam raz, żeby umawiać się z nimi w jej pokoju i liczyć za to więcej.

Przypomniała sobie, że wieczorem zabawiała tego starego zbereźnika Bostaniego, który śmierdział smołą, piwem i zjełczalym potem, a jego świńskie oczka pozostawały martwe, nawet kiedy sprawiała mu przyjemność. Loczek przyjęła zwyczaj, żeby nie myśleć o tych sprawach w czasie, który miała dla siebie. Wróciła do łóżka i znowu położyła otwarte pudełko na kolanach, patrząc na nie bez mrugnięcia okiem.

Szary pył był kolejną rzeczą, z której raczej nie była dumna. Do tego towaru także szybko się przyzwyczaiła. Znalazła w nim coś, co pozwalało jej przetrwać długie dni i jeszcze dłuższe samotne noce. Uzależniona od drossu prostytutka, myślała o sobie. Ciotka i siostry byłyby zrozpaczone, gdyby wiedziały, co z siebie zrobiła. A matka, a sojusznik...

Loczek odwróciła wzrok od pudełka z drossem, oczy nagle jej zaślniły.

Zastanawiała się, po co w ogóle przybyła do Bar-Khos. Do miasta portowego Al-Khos było bliżej niż tutaj. Ale coś kazało jej iść boso i samotnie, łapać okazje w drodze na południe

wyspy, często unikając kłopotów dzięki szczęściu albo uprzejmości obcych.

Loczek nie wiedziała dlaczego, ale jakaś jej część chciała przybyć do Bar-Khos i legendarnej Tarczy - tego miasta nieustannie obleganego, które przeciwstawiało się i dzielnie trzymało przeciwko wojskom Mannu; które nadal się opierało nawet teraz, kiedy armia imperialna zgromadziła siły na wschodnim wybrzeżu z zamiarem dokonania podboju.

Polubiła Khosyjczyków i ich obyczaje. Z początku z nieufnością podeszła do pomocy, której udzielili jej grupie uchodźców, nowo przybyłych w łodzi z Lagos. Wkrótce jednak Loczek zrozumiała, że wielkoduszność jest stałą cechą charakteru tych ludzi, podobnie jak pokora, przy wszystkich sprzecznościach niesionych przez ich dumę i odwagę.

Jako ludzie bywali podatni na melancholię, ale przy tym byli też romantyczni, nawet żołnierze mogli być poetami i kochankami z równą łatwością, jak pijakami i samobójcami. Kochali wolność, ale cenili współpracę i interes społeczny. Ponad wszystko wynosili rodzinę i proste, spokojne życie.

O tych, którzy dysponowali władzą i bogactwem, takich jak ich nobilowie Michinè, mówiono ze swego rodzaju gorzkim współczuciem, jakby wymalowani ludzie dysponujący wpływami cierpieli duchem, wypaczeni własnymi żądzami panowania nad resztą.

Z rozmów z innymi uchodźcami mieszkającymi w tym rejonie, tymi, którzy podróżowali przez Wyspy Mercjańskie i dobrze je poznali, Loczek dowiedziała się, że to samo dotyczyło wszystkich ludzi z Wolnych Portów - jeśli tylko ich - gdzie ludność mieszkała w ogóle bez nobilów. Nadal wydawało się jej to trudne do zrozumienia.

Loczek znowu popatrzyła na dross na kolanach. Przy śniadaniu jeden z lokatorów powiedział, że imperialni najeźdźcy to Szósta Armia. Ci sami żołnierze, którzy spustoszyli Lagos.

Loczek pomyślała o płonącym mieście, o bladym niebie przyciemnionym dymem. O krzykach bliskich zagubionych we wrzawie czynionej przez innych. Łza spłynęła jej po policzku. Siedziała dłuższy czas, drżała, bolało ją serce, mokrą ręką przykrywała rozpaloną twarz.

Kiedy wreszcie z piersi wyrwało się jej łkanie, usiadła prosto i pokręciła głową, przywołując się do porządku. Pociągnęła nosem i przesunęła ręką po policzku, jakby odgarniała pajęczynę.

Podniosła wzrok na swoją małą świątynię Oreosa, rodziło się w niej postanowienie.

- Cholera - rzuciła.

\*

Wnętrze Stadionu Walk było większe, niż sobie wyobrażała na podstawie jego fasady



z kolumn i rzeźbionego kamienia.

Stojąc w głównym wejściu, przyciśnięta do ściany, żeby nie zawadzać żołnierzom przebiegającym obok niej w obie strony, zobaczyła scenę ledwie hamowanego chaosu. Setki mężczyzn zajmowało piaszczystą arenę amfiteatru, gdzie w Dzień Błazna odbywały się wyścigi zelów, a w pozostałe dni ćwiczone rekrutów.

Zobaczyła Czerwoną Gwardię, Specjalnych, Szare Kurtki i Wolnych Ochotników. Wielu starszych mężczyzn odzianych było w cywilne ubrania. Niektórzy nosili brudne łachy, z nóg zdjęto im kajdany. Między nimi w tę i z powrotem biegali żołnierze przygięci pod ciężarem ekwipunku, który składali w stosy rozsiane po arenie. Wyglądało to tak, jakby nie było w tym żadnego porządku. Ale ci, którzy wywrzaskiwali rozkazy, zdawali się orientować w sytuacji.

Loczek przycisnęła się jeszcze mocniej do kamiennej ściany, kiedy obok przemaszerowała w szyku kompania Czerwonej Gwardii. Niektórzy żołnierze dowcipkowali i gwizdali, kiedy ją mijali, mimo że nosiła proste chłopięce ubranie, które miała na sobie, kiedy przybyła do miasta. Opuściła głowę, szybko przeszła obok nich i uciekła pod szerokie arkady, które biegły pod trybunami.

Zel, którego żołnierze próbowali zaprząć do wozu, stawał dęba pod arkadami. Kopyta trzaskały o bruk. Kowale wykuwali miecze i ostrza dzid; żołnierze przepychali się obok. Nie zwracali na nią uwagi albo przeganiali ją przekleństwami. Loczek poczuła, że z zakłopotania zaczyna się czerwienić.

Zatrzymała młodego człowieka o bystrym uśmiechu i zapytała, gdzie znajdzie biuro rekrutacyjne.

Z początku pomyślał, że żartuje, ale nachmurzyła się i zmienił nastawienie.

- Na prawo - powiedział, obrzucił ją spojrzeniem i machnął niedbale ręką. - Przez te drzwi. Potem drugie na lewo.

Loczek poszła za jego wskazówkami pełnym krzątanim korytarzem i znalazła się w latrynie. Rząd odzianych w zbroje mężczyzn stał przy rowku i oddawał mocz. W jednej chwili kilkanaście twarzy zaczęło ją przywoływać w ciasnym, śmierdzącym pomieszczeniu. Gwizdali, jakby chcieli rozerwać jej bębni w uszach. Zignorowała sygnały, które jej dawali; uniosła tylko brew i wyszła z piętrowym przekleństwem na ustach.

Loczek była zdenerwowana, zrobiło się jej gorąco, wreszcie stanęła przed drzwiami do biura rekrutacyjnego. Okazało się, że był to najbardziej zatłoczony pokój ze wszystkich, które do tej pory widziała. Prześlizgnęła się obok wychodzących w pośpiechu żołnierzy i stanęła na środku, gdzie znajdowało się ciężkie biurko zavalone papierami. Siedział za nim

mężczyzna, który wyglądał, jakby właśnie doznał ataku serca. Loczek nie widziała jeszcze tak poczerwieniałej twarzy. Pot sływał z niego ciurkiem.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyczał do mężczyzny nachylającego się nad nim z boku, głos miał ochryply i przyduszony. - Jeśli mogą maszerować, to pójdą!

Poczekala, az nabierze tchu, i podeszła.

- Przepraszam - spróbowała, nachyliła się nad biurkiem, żeby ją lepiej słyszał, położyła ostrożnie dłonie, żeby nie stracić papierów, rylca czy kałamarza. - Przepraszam - powiedziała głośnie.

Oficer zwrócił na nią okrągłe oczy. Patrzyła, jak zatacza nimi ósemkę.

- Co znowu? - warknął. - Chcesz pocałować kochasia na do widzenia?

Ręce, które trzymała na biurku, zacisnęły się w twarde piastki.

- Przyszłam, żeby się zaciągnąć - wyjaśniła.

Mężczyzna otworzył usta i tak już został. Wokół niego zaczęła się rozchodzić cisza, aż cały pokój umilkł, wszyscy patrzyli na nią.

- Idź do domu, dziewczyno - odparł, machając na nią lekceważąco ręką. - Wierz mi, nie potrzeba nam więcej dziwek obozowych.

Loczek, niewiele myśląc, chwyciła kałamarz. Rzuciła w niego i dopiero, kiedy odbił mu się od czoła, uświadomiła sobie, co zrobiła.

- Ty mała dziwko! - wrzasnął i złapał się zszokowany za głowę. Podniosła rylce i zamachnęła się, żeby dokończyć dzieła.

Ale wtedy jakaś ręka złapała ją od tyłu za ramię i wyłuskała narzędzie z dłoni.

Wściekła, odwróciła się na pięcie, żeby zobaczyć, kto to zrobił. Stał przed nią wysoki mężczyzna w czarnej zbroi, z licznymi bliznami na twarzy i szyi.

- Niedobra dziewczyna - powiedział z głębin czarnej brody. - Mało mu nie wybiłaś oka.

- Próbowałam - wycedziła zadyszana.

Roześmiał się i wszyscy wokół niego też zaczęli chichotać.

- Naprawdę chcesz się zaciągnąć?

- To jest biuro rekrutacyjne, prawda?

Mężczyzna spojrział na oficera za biurkiem, potem przez chwilę przyglądał się Loczkowi.

- Umiesz zszywać rany?

Pomyślała o ojcu lekarzu, o jego ranie na głowie, którą kiedyś musiała zszyć, o tym, jak do niej mówił podczas tej operacji i jak jej drżały palce.

- Całkiem nieźle - zapewniła. - Znam też parę lekarstw, domowej roboty, ludowych.  
Zioła i maści.

- O szczegółach powiesz Hoochowi, o tam. Nasi medycy mogą mieć z ciebie jakiś  
użytek. Przy okazji, jestem major Bolt.

Uśmiechnęła się, otworzyła usta, żeby mu podziękować.

- Nie dziękuj, dziewczyno - powiedział, podnosząc wielką rękę. - Przyjdzie czas,  
kiedy będziesz mnie przeklinać, ale, do cholery, nie dziękuj.

## Rozdział 16

# Oczy

Ludzie z rzadka pamiętali, jak kiedyś nazywano stary fort na wzgórzu. Mówili na niego po prostu Oczy. Nazwa odnosiła się do brudnych twarzy, które ciągle widziano, jak przyciskają się do gęsto zakratowanych okien, jak patrzą, z rozpaczą w oczach, ze swojego odosobnienia na mijający ich świat.

Oczy już dawno nie były fortem. Stały na wzgórzu, w Dzielnicy Odłogów. Złowieszczy był pod wschodnim murem, wychodzący na okoliczne domy i warsztaty. Ostatnio wykorzystywany był tylko do przetrzymywania weteranów wojennych, żołnierzy, którzy doznali takiego szoku obłączniczego, że stali się niebezpieczni dla siebie, a nawet dla innych. Dotyczyło to szczególnie Specjalnych, tych którzy walczyli w tunelach pod Tarczą.

Czasem, kiedy atmosfera w mieście stawała się napięta, więźniowie wykrzykiwali do Czerwonej Gwardii stacjonującej na szczycie wschodniego muru dowcipy i sprośności albo wrzeszczeli do mieszkańców okolicznej dzielnicy, zwyczajnych ludzi zajmujących się swoimi sprawami, zbyt uprzejmych, żeby podnieść wzrok na wariatów ze wzgórza.

Tego wieczoru Bahn nie słyszał, czy ktoś krzyczy z okien, bo tłumnie zebrana Czerwona Gwardia robiła taki hałas pod więziennymi wrotami z kutego żelaza, że nie było słychać niczego poza ich wrzaskami. Po przeciwnej stronie stała grupa strażników więziennych ubranych w grube, skórzane fartuchy, uzbrojonych w pałki. Odkrzykiwali im przez bramę z równym zapalem.

- Co tu się dzieje? - Bahn ryknął do porucznika dowodzącego towarzyszącym mu plutonem.

- Naczelnik więzienia rozkazał im, żeby nas nie wpuszczali - odkrzyknął oficer, przykładając zwiniętą dłoń do ucha Bahna.

- Wie, po to tu jesteście?

- Oczywiście. Właśnie dlatego naczelnik próbuje nas zatrzymać.

- W porządku - powiedział Bahn. - Powiedz swoim ludziom, żeby dali spokój.

Kiedy hałas zaczął przycichać, odwrócił się w stronę strażników więziennych.

- Jestem adiutantem generała Creeda, jego rozkazy są jasne. A teraz otwórzcie bramy i

odsuńcie się.

Zobaczył ruch wśród strażników, dwóch rozstąpiło się, a pomiędzy nich wyszedł siwowłosa mężczyzna i stanął naprzeciwko niego.

- Jestem naczelnik Plais - poinformował go - i z ramienia rady odpowiadam za tę instytucję. Powtarzam, co już powiedziałem twojemu koledze oficerowi. W tych murach nie ma ludzi zdolnych do walki. Inaczej by tu nie przebywali.

- Naczelniku - rzekł Bahn, podchodząc do bramy. - Właśnie teraz czterdziestotysięczna armia Mannu stoi na brzegach Zatoki Perłowej. I jak pewnie słyszysz, nawet w tej chwili Czwarta Armia wali w Tarczę, przygotowując się do ataku na pełną skalę. Potrzebny nam każdy zdolny do walki człowiek, bez względu na to, jakie popełnił przestępstwa, bez względu na stan jego umysłu.

- Ale ci ludzie są zaburzeni! Nawet niebezpieczni!

- Tak czy inaczej, rozkaz został wydany. Teraz otwieraj bramę.

Przez chwilę nikt się nie ruszał.

- Otwierać! - niecierpliwie warknął Bahn. Patrzył na strażników więziennych za bramą, wreszcie jeden z nich zrobił krok naprzód, reszta podążyła za nim i brama otworzyła się ze zgrzytem. Bahn i Czerwona Gwardia weszli na podwórzec. Naczelnik stał z miną wyrażającą protest.

- Rada o tym usłyszy! - krzyknął, ale Bahn ominął go i poszedł w stronę wejścia do budynku.

- Nie wątpię, że usłyszy - rzucił przez ramię.

\*

Dostęp do cel był z długiego korytarza przedzielonego serią żelaznych bram zbrązowiałych od rdzy, która opadała płatkami, kiedy zatrzaskiwano i zamykano za nimi bramę. Na wyciszonym poziomie piwnicy ściany pokrywała wilgoć; źródłem światła była wyłącznie latarnia olejowa niesiona przez jednego ze strażników.

- Ale ten człowiek jest maniakiem - mówił chrypliwym głosem naczelnik.

- Wiem, kim jest. Walczyliśmy ramię przy ramieniu w pierwszych latach oblężenia.

- Ale skazano go za morderstwo i zadawanie tortur. Bardziej prawdopodobne, że zabije ciebie niż wroga! Zwariowałaś?

- To jedyny człowiek, z którym tu jeszcze nie rozmawiałem. Muszę chociaż zamienić z nim parę słów.

Ciemność napierała na nich ze wszystkich stron. Zdawała się iść za maleńkim portem światła, kiedy wspólnie, milcząc, kroczyli korytarzem. Jedynym dźwiękiem było szuranie

stóp na kamiennej podłodze. Było z nimi czterech strażników w skórzanych fartuchach i rękawicach sięgających pach. Z rąk zwisały im grube pałki. Milczeli, wpatrywali się przed siebie. Jakby gotowali się na konfrontację.

Bahn szedł za nimi, nie podobała mu się ciasnota tego miejsca. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby zamknięto tu jego. Godzina i rzucałby się na ściany, żeby go wypuszczono.

Drzwi do celi zrobione były z solidnych, hartowanych w ogniu belek tiqu połączonych żelazem. Jeden ze strażników podszedł do nich i otworzył judasz.

Bahn nachylił się, żeby zajrzeć do środka.

Zobaczył świecę rozpalającą aureolę ciepła pośrodku małej sklepionej celi. W jej świetle siedział wielki, nagi mężczyzna przykuty za szyję do ściany, o którą się opierał. Jedną nogę wyciągnął przed siebie, drugą miał zgiętą, bezwładne ramię opierał o kolano. Twarz miał zakopconą, szarą, oczy żarzyły się od nieskrywanej wrogości, gdy patrzył na zerkających przez judasz.

Bull, pomyślał Bahn. Skąd ja wiedziałem, że tak skończysz?

Odsunął się. Dwóch strażników otworzyło na oścież drzwi, zawiasy zaprotestowały ze zgrzytem.

- Stań poza zasięgiem łańcucha - poradził Bahnowi strażnik z latarnią. - Kilka miesięcy temu oślepił jednego z naszych ludzi. Kciukami.

Schylił się, z pałką w gotowości. Bahn wszedł do celi i zatrzymał się obok niego, kostkami dotykał luźnego łańcucha leżącego na podłodze. Hełm trzymał pod pachą; chciał wyglądać okazale w zbroi i czerwonej pelerynie.

Więzień położył rękę na obroży, wstał w nagiej chwale, ukazując siatkę blizn na spiętej umięśnionej piersi. Zarzucił fragment łańcucha na ramię, żeby zrównoważyć jego ciężar. Był to dziwny gest, jakby poprawiał piękną urzędową szatę.

Postarzałeś się, pomyślał Bahn, przyglądając się ciężko poobijanej twarzy więźnia i cofniętej linii włosów na skroniach z wytatuowaną parą rogów.

Bahn istotnie walczył wraz z nim w pierwszych latach wojny, zanim Bulla wybrano do ciężkiej piechoty chartass. Był szalony nawet wtedy - niebezpieczny, wybuchowy. Walka sprawiała mu radość większą niż komukolwiek, kogo Bahn w życiu poznał. Nie zdziwiło go, że Bull wreszcie stracił samokontrolę, ten jeden raz za dużo i wobec zupełnie niewłaściwej osoby - swojego oficera, którego nieomal zabił jednym uderzeniem i przez nieuwagę nazwał go właściwym imieniem.

Wynikły z tego dwa lata za palisadą i zwolnienie z wojska. Potem Bahn niezbyt

uważnie śledził jego rosnącą popularność jako czempiona walk w klatkach. Mówiono, że jednego z najlepszych na Khos.

A potem nadszedł dzień, kiedy Bahn, wraz z innymi, dowiedział się o zamordowaniu Adrianosa. Adrianos, bohater rajdu na Nomarl, ostatni z dowódców, który poprowadził zwycięską ofensywę przeciwko Czwartej Armii. Bohatera miasta znaleziono w kilku kawałkach w jego pięknym apartamencie tuż obok Wielkiego Bazaru. Był zakneblowany, związany, torturowano go. Niektóre fragmenty ciała zostały obdarte ze skóry.

Obok trupa siedział nagi Bull, pokryty krwią.

- Cześć, bracie - powiedział szeptem Bahn.

Bull zrobił krok w jego stronę.

- Bahn? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak.

Bull podszedł bliżej, łańcuch spadł mu z ramienia i się napiął. Strażnik stojący obok Bahna poruszył się zaniepokojony, wążąc w dłoni pałkę. Bull jakby go nie widział. Był skupiony na Bahnie. Potężne ręce trzymał na brzuchu, kostki palców miał obrzmiałe, zniekształcone, skórę niedawno poszarpaną, zakrwawioną.

- Co cię tu sprowadza, hę? Zgubiłeś drogę?

Głos miał ochryply, jakby od bardzo dawna go nie używał.

- Mów - warknął. - Wątpię, żebyś przyszedł z towarzyską wizytą. O co chodzi?

Nagle, słuchając śpiewnej intonacji w głosie tego człowieka, patrząc w jego ciemne oczy nad wystającymi kośćmi policzkowymi, Bahn wrócił do dni z początków wojny, kiedy krył się za parapetem, a Bull z uśmiechem klepał go po plecach, żeby powstrzymać kaszel, i cieszył się z tego, ten zwariowany, zajadły sukinsyn.

- Mannijczycy wylądowali z całym wojskiem w Zatoce Perłowej.

Bull zmrużył oczy i wystawił głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Przyszedłem po weteranów. Żeby sprawdzić, czy któryś nadaje się do szeregów.

- A więc kolejny sędzia - wyrzucił z siebie Bull i zaczął się odwracać.

- Co? Uważasz, że niesprawiedliwie cię osądzono?

Łańcuch napiął się mocno, Bull stanął nad Bahnem, który stłumił chęć, żeby cofnąć się o krok.

- Uspokój się - powiedział strażnik, dźgając Bulla pałką w nagą pierś.

Ale Bull zignorował go, wpatrywał się w Bahna.

- Nie, chyba nie. Ale Adrianosa też nie. Rozumiesz? Kiedy ja go sądziłem.

- Staniesz z nami w szeregu, żeby walczyć za swój lud?

- Mój lud? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. Za lud z Bar-Khos, za takich jak twój ojciec. I za lud twojej matki z Windrush.

Nagle na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, jak cięcie nożem. Bahn zauważył, że Bullowi brakuje dwóch przednich zębów. Pozostałe wyglądały na spróchniałe.

- Nikomu nie jestem winien lojalność, a już najmniej ludziom z Bar-Khos.

- Będziesz walczył razem z nami?

- Czy to ułaskawienie? To mi proponujesz?

- Tak. Jeśli będzie potrzebne.

- I wystarczy, że zabiję paru Mannijczyków w imieniu „mojego ludu”, tak? Przyjmiecie zabójcę w swoje szeregi, nawet jeśli jest nim zimnokrwisty, zażarty morderca, czy tak ma być, Bahn?

Bahn przez dłuższą chwilę kiwał się w zbroi, czuł się zmęczony; czuł że nie powinno go tu być.

- Wierz mi, Bull - powiedział bez ogródek staremu towarzyszowi. - Tam, dokąd idziemy, ludzie tacy jak ty będą nam bardzo potrzebni.



## Rozdział 17

# Wolna przedsiębiorczość

Pani Cheer była najwyraźniej kobietą kutą na cztery nogi. W ciągu jednego dnia, korzystając z zamieszania i gorących emocji panujących na przyczółku, załatwiła sobie wóz i muła, kupę zapasów i tyle wygod domowych, ile trzeba, żeby na wydmach, od strony morza, stworzyć mały obóz dla siebie i swoich kobiet.

Do wieczora, po obu stronach wozu, wzniesiony został daszek, a piasek pod nim przykryto matami i plecioną trawą. Były stołki do siedzenia, a pod kociołkiem z wodą i garnkiem z potrawką paliło się ognisko. Pani Cheer sprokurowała dla nich wszystkich nawet trzy namioty, które kazała rozbić Ashowi niedaleko od wozu, ale na tyle daleko, żeby zachować trochę prywatności.

Kobiety, wreszcie wypoczęte, muskały się na oczach mężczyzn otaczających obóz, sprzeczały się między sobą, kiedy pani nie słyszała. Kilka, od niechcienia, poflirtowało z Ashem, żartując z koloru jego skóry i jędrności jego starego ciała. Chichotał zadowolony, odpłacając się pięknym za nadobne.

Usłyszał, że to miejsce nosi nazwę Struganej Zatoki i jest to szeroki liman w szerszym obszarze Zatoki Perłowej, usytuowanej na wschodnim wybrzeżu Khos. Było to dość ładne miejsce, ze wzgórzami od zachodu, wysokimi szczytami górskimi od północy i południa i ze skalistą, pełną mew wyspą dalej, w większej zatoce. To miejsce na wiele sposobów przypominało Ashowi północne Honshu, chociaż całość psuł trochę smród wojska stacjonującego na przyczółku, a bliżej nich zwarty tłum tysięcy ciurów, ludzi takich jak pani Cheer, towarzyszących siłom inwazyjnym przez całą drogę do Khos, z nadzieją na zarobek.

Flota stała na kotwicy w czystych, głębokich wodach, tuż za przybrzeżnym szelfem. Statki kołysały się w ciasnym szyku i nawet z tej odległości widać było, że uszkodził je sztorm. Brakowało im drzewców i masztów albo zwisały złamane, omotane żaglami. Niektóre kadłuby za bardzo przechylały się na burtę. Praca prawie nie ustawała wraz ze zmierzchem. Wyglądało na to, że trzeba jeszcze wylądować mnóstwo rzeczy, zanim armia będzie mogła ruszyć rano w pochód.

Ash odpoczywał, gdy tylko mógł. Dziś nasilił mu się kaszel. Co jakiś czas ręce i nogi

trzęsły mu się, jakby od wewnętrznego chłodu, chociaż ubranie miał na szczęście wreszcie suche. Otulał się szczelnie impregnowaną peleryną i z rzadka oddalał się od ogniska.

Pani Cheer od czasu do czasu rzucała mu jedno ze swoich przenikliwych spojrzeń. Jęczał pod nosem, wstawał, obchodził obóz. Trzymając na pokaz rękę na rękojeści miecza, robił groźne miny do żołnierzy i obozujących wokół ich małej oazy perfum, pończoch i dziewczęcego śmiechu.

Kiedy słońce wreszcie zaszło, pani Cheer głośnym klaskaniem w dłonie i wypraktykowanymi słowami zachęty zagnała dziewczyny do roboty. Nie były jedynymi prostytutkami na plaży - daleko do tego - ale i tak wkrótce długa kolejka żołnierzy czekających na swoją kolej ustawiła się przy ich obozie. Byli pijani i hałaśliwi, na tej zamorskiej plaży, daleko od domu. Ash utrzymywał porządek w samym obozie, kiedy dziewczyny na zmianę prowadziły klientów do namiotów, żeby ubić szybki interes.

Tego wieczoru żołnierze nie sprawiali większych problemów. Było już późno, kiedy krzyki dziewczyn, że chcą odpocząć, stały się tak głośne, iż pani Cheer przyjęła je do wiadomości i oznajmiła, że interes zamyka się na noc. Paru pijanych żołnierzy nadal czekało na swoją kolej, ale ich narzekania szybko ucichły pod groźnym spojrzeniem pani Cheer i stojącego przy niej twardego, milczącego cudzoziemca.

Dziewczyny, zamiast iść spać, zaczęły szykować małą ucztę.

Ash był zmęczony po długim dniu. Przeprosił i niechętnie porzucił ciepło ogniska. Znalazł miejsce na szczycie pobliskiej wydmy i skulił się, otulony płaszczem, żeby mieć je na oku, a jednocześnie zachować samotność. Miecz leżał obok niego. Ash przyglądał się światłom odległego obozu matrony i ukształtowaniu oświetlonego światłem księżyców terenu wokół niego. Obserwował ruchy pomiędzy licznymi ogniskami, które z tej odległości wyglądały jak błyszczące punkty. Żałował, że nie ma z sobą lunety, że nie ma choćby młodszych oczu.

Znowu zakaszłał, splunął flegmą, otarł usta. Chmury płynęły z północy, powolne i ciężkie. Pewnie znów zwiastują deszcz. Zasłonią woskowe księżyce i sprawią, że na ziemi zapanują ciemności.

Dobra noc na tę sprawę, pomyślał.

- Widzisz tam coś interesującego?

Wyczuł jej piżmowe perfumy, zanim jeszcze usiadła na piasku i rozprostowała długą suknię na nogach, które ułożyła na chropawej trawie morskiej. Ash popatrzył na panią Cheer, kiedy podawała mu flaszkę rhuliki.

Skinął wdzięcznie głową i upił długi łyk, żeby się rozgrzać.

- Ostrożnie. To ostatnia.

Oddał flaszkę z lekkim uśmiechem.

- Dziękuję. Sporo czasu minęło, odkąd piłem coś porządnego.

Za nimi piski i śmiech kobiet rozbrzmiewały w ich małej, oświetlonej ogniskiem dziurze w wydmach. Wiatr bawił się końcówkami włosów pani Cheer. Mocniej naciągnęła szal na głowę.

- Powiedz jeszcze raz, co robił twój poprzedni pracodawca?

Ash postukał paznokciem flaszkę, którą trzymała w dłoni.

- Alkohol?

- Wiózł tutaj małą fortunę w alkoholu, ale prawie nie pozwolił mi go tknąć.

Ash pomyślał, że to marne kłamstwo. Nie wiedział, czy mu uwierzyła. Pani Cheer odwróciła wzrok, w oczach tańczyły jej światła ognisk. Wiatr niósł śpiew i śmiechy. Ludzie na wydmach świętowali w wesołym nastroju.

Ponad tym wszystkim słyszeli rytmiczny przybój.

- Jesteśmy z dala od domu - powiedziała do niego ponuro.

Ash powoli pokiwał głową.

Odwróciła się, żeby znowu na niego spojrzeć.

- Chyba trochę dalej niż inni. Tęsknisz czasem... chodzi mi o Honshu?

- Tak. Czasem.

Zobaczył, że kłębowisko chmur zbliża się właśnie do księżyców. Wkrótce będzie ciemno, w sam raz, żeby zacząć akcję.

- Wiesz, masz smutne oczy, najsmutniejsze, jakie widziałam. A w swoim czasie widziałam wiele par smutnych oczu.

Ash zmarszczył czoło, nachmurzył się. Czuł, że musi wstać i odejść od tej kobiety i jej wypytywać. Ale tylko zmienił pozycję, żeby osłonić się przed zimnem. Stwierdził, że mu się to podoba i zostanie tam, gdzie jest.

Przyglądała się jego wyrazowi twarzy, czekała, aż coś powie. Ale on nie znajdował dla niej słów.

- Hm, czuję, że wzywa mnie łóżko. Czas, żeby i dziewczyny trochę odpoczęły. - Wstała i strząsnęła piasek ze spódnicy. - Nie jesteś zmęczony? - zapytała, a on usłyszał żar w jej głosie, niewypowiedzianą propozycję.

Wzrokiem błądził po krzywiznach jej ciała pod ubraniem. Bardzo żałował, że nie może się zgodzić.

- Chyba zostanę jeszcze trochę, przypilnuję obozu.

Ukryła rozczarowanie, opuszczając wzrok na piasek.

- To ta blizna, prawda?

- Wcale nie - odparł. - Naprawdę jestem zmęczony.

Skinęła głową, nie uwierzyła mu.

- A więc dobranoć - powiedziała, odwracając się, i zeszła po wydmie.

Odczekał pełną godzinę, żeby się upewnić, że dziewczyny i pani Cheer smacznie zasnęły. Niektóre ogniska płonęły jeszcze między wydmami, grupki ludzi rozmawiały, iskry wzbijały się w górę z dymem. Na plaży brygady robocze trzymały się całą noc nad zapasami nieustannie przywożonymi na brzeg.

To było ryzyko zostawić te kobiety bez ochrony. Ale musiał to zrobić.

Ash zdjął ciężką pelerynę, podniósł miecz i zanurzył się w noc.

## Rozdział 18

# Poddawajcie się i bądźcie wolni

- Muszę iść - powiedział Bahn do żony, kiedy uwiązał do siodła ostatnią część wyposażenia.

Marlee sztywno kiwnęła głową. Za nią, w wieczornych cieniach, pustą ulicą, utykając, przeszedł mężczyzna o kulach. Tam gdzie kiedyś miał stopę, wisiał kawałek skóry. Mężczyzna się spieszył, jakby ścigały go dźwięki rogów na wieżach, zawodzące nad całym miastem, żeby obwieścić wymarsz ostatnich żołnierzy.

- Słuchaj, zapamiętaj, co ci powiedziałem. Przekaż wiadomość Reese. Niech wie, że może przyjść i zostać tu z tobą. Powiedz, że jest mi przykro, że jej nie odwiedziłem. - Bahn nagle przeczesał palcami włosy. Przypominał sobie, kiedy ostatni raz widział swoją szwagierkę; cichym głosem mówiła, jak jej syn opuścił miasto.

- Słodka litości, nawet nie poszedłem zapytać jej o Nico. Ile to już czasu minęło?

- Nic się nie stało - uspokajała go żona. - Powiem Reese. Ona zrozumie.

Jej słowa go nie uspokoiły. Bahn czuł szczególny rodzaj odpowiedzialności za Reese i jej syna, odkąd jego brat, Cole, opuścił ich.

Zacisnął skórzany pasek ostatnim, mocnym pociągnięciem, włożył w to całą swoją frustrację, i zanim odwrócił się do żony, głęboko zaczerpnął tchu.

- Czas iść.

Marlee beznamiętnie skinęła głową. Była opanowana ze względu na ich oboje.

Przez ostatnie tygodnie czuł się niezręcznie w towarzystwie żony. Stwierdził, że jej obecność wzbudza jego poczucie winy i każe myśleć o tej dziewczynie, o Loczku. To sprawiało, że czuł się skrępowany pod wzrokiem żony, jakby umiała go przejrzeć.

Teraz twardo patrzył jej w oczy, nie spuszczał wzroku. Marlee zarzuciła mu rękę na szyję, on chwycił w dłonie jej szczupłą talię. Zetknęli się nosami.

- Kocham cię - powiedział.

- I ja ciebie kocham, mój słodki mężu.

Oczy jej załśniły, zbliżały się łzy.

Trzymał ją mocno przy sobie, miażdżąc o zbroję. Nie chciał jej puścić.

Nie zasługuję na tę kobietę, pomyślał gorzko.

Dzieci już spały, w domu. Bahn ucałował śpiącą córeczkę w czoło, zamienił kilka słów z synem, który z zapuchniętymi oczami leżał w łóżku.

Nie mógł się otrząsnąć po tym, co widział na ulicach podczas pośpiesznego powrotu do domu. Ludzie ustawiali się wzdłuż głównych ulic, kiedy kolumny żołnierzy i starych Molnari maszerowały w stronę północnych bram, wiwatowali przechodzącym, wciskali im w ręce amulety szczęścia, paczki z jedzeniem i butelki z alkoholem. Niektóre kobiety, a nawet starzy mężczyźni, płakali na ich widok, poruszeni zdeterminowaną postawą żołnierzy i świadomością, ku czemu maszerują.

Uda się nam, pomyślał Bahn, bo i jego emocje wzbily się wysoko, wraz z kolektywnym nastrojem tłumu. Jeśli staniemy razem, to nam się uda.

Ale potem, przepychając się bocznymi ulicami, żeby szybciej znaleźć się na miejscu, mijał mnóstwo ludzi spieszących ze swoim dobytkiem w stronę portów, z nadzieją, że znajdą bezpieczny transport z wyspy. Patrzył na nich, żywiąc w sercu coś na kształt zawiści.

Na ścianach namalowane były, jakby krwią, świeże graffiti. „Ciało jest mocne. Poddajcie się i bądźcie wolni?”. Praca mannijskich agitatorów, wyłaniających się w mieście teraz, kiedy było naprawdę narażone na niebezpieczeństwo, a większość jego sił odchodziła.

Stojąc z Marlee w ramionach, Bahn ponownie poczuł chęć, żeby złapać żonę, potrząsnąć nią i powiedzieć: „Na litość, zabierz dzieci i znajdź stąd jakąś drogę na zewnątrz!” Ale te słowa zostawił tylko dla siebie, bo nie byłby w stanie ich wypowiedzieć. Nie do Marlee, jego podpory, nie do kobiety, której ojciec padł w pierwszym dniu oblężenia, broniąc miasta. Powiedziałyby nie, absolutnie nie i myślałyby o nim gorzej jako o mężu, jako o mężczyźnie.

- Uważaj na nie - tylko na tyle się zdobył, otoczony miękką gęstwą jej włosów.

- Oczywiście - wydyszała. - I obiecuj, że będziesz uważał.

- Będę.

I mimo tych słów otuchy całowali się długo, mocno, z rozpaczą, jakby już nigdy mieli się nie spotkać.

\*

Ash stał na wciąż tłącym się szczycie wzgórza, wśród popiołów i szczątków, które były kiedyś małą rybacką wioską, i patrzył na rząd odciętych penisów leżących w mroku, jak porzucona przez dzieci układanka z patyków.

Obok leżały zwęglone trupy mężczyzn, skręcone pośród ruin zapadniętej stajni. Ash dostrzegł mniejsze ciała pomiędzy nimi: dzieci i niemowląt.

Po kobietach nie było śladu.

Nie po raz pierwszy w długim życiu uderzało Asha, że śmierć cuchnie tak samo, bez względu na to, czy to człowiek, żel czy pies. Widział już takie rzeczy, w czasach Rewolucyjnej Armii Ludu. Długotrwała wojna w jego ojczyźnie wypaliła współczucie z serc wielu mężczyzn. Przyjaciołom mieszało się w głowach od poczucia straty albo po prostu robili się gruboskórni i zahartowani jak on. Tymczasem ci ludzie już byli skażeni okrucieństwem i hulali bez skrępowania wśród krajobrazu wojny, gdzie zwyczajne zasady przyzwoitości nie obowiązywały.

Miał złamane serce, kiedy po raz pierwszy zobaczył takie okrucieństwo; ból przypominający niemal zawód miłosny po zdradzie ukochanej, ale znacznie od niego gorszy; jak wielkie kłamstwo w sercu świata, nagle obnażone wstrząsającą wiwisekcją.

- To nie twoja wojna - powiedział na głos Ash w nocnych ciemnościach.

Prawie spodziewał się, że usłyszy napominający głos Nico. Tu, w ruinach leżeli Khosyjczycy. Całemu krajowi, włączając rodzinę chłopca, grozi niewola albo ten sam los, co poległym.

Nic nie docierało do Asha, żaden głos sumienia czy bezcielesnego ducha, tylko niejasne, niepokojące uczucie, że sam jest tego częścią, jak każdy inny, bez względu na to, czy wybrał którąś ze stron.

\*

Krótkotrwała luka w chmurach zamknęła się nad jego głową, ogarnęły go nieprzeniknione ciemności. Ze schowanym w pochwie mieczem, twarzą i rękami poczernionymi sadzą Ash odwrócił się plecami do tego, co leżało w ciemności.

Przytknął palec do zatkanego nosa i się wysmarkał, potem przeszedł między ruinami na skraj wzgórza, położył się na brzuchu, na chropawej trawie, i popatrzył w dół na żarzące się namioty obozu matrony.

Było je widać ze względu na palące się w środku lampy. Stały na wzniesieniu, szerokim i płaskim na szczycie. Otaczała je palisada z zaostrzonych, pochylonych na zewnątrz pali, a u spodu, wokół stanowiska przebiegała czarna linia rowu. Za palami ubrani na białe wartownicy stali w odstępach sześciu kroków. Za ich plecami, na pustej przestrzeni między namiotami, trzaskało ognisko. Płomienie oświetlały łopoczącą flagę matrony.

Ash sięgnął wzrokiem szerzej i przyjrzał się znacznie większemu obozowi, który rozciągał się wokół palisady matrony z jakimś tysiącem, albo więcej, akolitów. Ci z kolei otoczeni byli pasmem ciemności. Ash wysiłał się, żeby zobaczyć podwójną linię pikiet, bo wiedział, że są rozstawione tam, poza zasięgiem światła. Nie widział ich; tylko ogniska mrugały wzdłuż wydm - główne siły armii rozciągnięte były szeroko i daleko.

Znów przeniósł uwagę na imperialną klauzurę. Sądząc po jej wyglądzie, wejście znajdowało się po zachodniej stronie palisady, ale z tej odległości nie mógł się dokładnie przyjrzeć. Będzie musiał zejść na dół.

\*

Przez najbliższe pół godziny Ash schodził ku najdalej wysuniętemu perymetrowi; szedł okrężną drogą. Raz się zatrzymał, żeby upić wody ze strumyka płynącego rozpadliną w zboczu wzgórza. Zatrzymał się znowu, kiedy zszedł na płaski teren na zachodzie i wyczuł, że zbliża się do pierwszej linii wartowników, pikiet, których nie mógł dojrzeć z góry.

Począł, dopóki się nie zorientował, jak są rozstawione stráže. Wartownicy zewnętrznego pierścienia stali w dużych odstępach. Czuł ich, zapach potu i czosnku. Słyszał też odchrząkiwanie, szelest płaszcza owijanego ściślej wokół ciała dla osłony przed chłodem.

Kiedy uznał, że wie, gdzie stoją dwaj najbliżsi, popęzł naprzód pomiędzy nimi. Nie było to trudne.

Przed nim znajdowała się wewnętrzna linia pikiet. Widział sylwetki na tle wielu ognisk. Stały w odstępach jakichś piętnastu stóp. Z doświadczenia wiedział, że postawiono ich za daleko. Byli tu zbyt narażeni na ryzyko, w podświetlonej od tyłu ciemności byli widoczni, ale sami nic nie mogli zobaczyć.

W sercu obozu stała klauzura matrony. Zwoje drutu kolczastego rozwinięto między słupkami palisady. Z jego stanowiska nie było widać rowu biegnącego spodem, najprawdopodobniej wypełnionego kolcami, które miały się wbijać w nieostrożne stopy. Wreszcie lepiej obejrzał wejście do klauzury. Było zasłonięte drewnianym ekranem. Kiedy się przyglądał, ekran odciągnięto na bok, żeby wpuścić akolitę.

Ash musiał podjąć decyzję: czy to ma być zwiad, czy próba osiągnięcia Sasheen. Zobaczył już dość, żeby wiedzieć, że ma tylko jedną drogę, by wejść do klauzury.

Położył się na chłodnej trawie i oparł podbródek na rękach. Próbował ogarnąć całość sprawy. Nadarzała się okazja, ale ryzykowna. I nie można było się rozeznąć, jakie procedury stosowali strażnicy przy wejściu do klauzury... nie stąd.

Chodźmy i sprawdźmy.

Ash wybrał strażnika, który stał najbliżej niego, samotną postać, od czasu do czasu popijającą z flaszki. Oceniał rozmiary akolity i pomyślał, że da sobie radę.

Przez kolejne pół godziny, w ciemnościach nocy, Ash pełzł w stronę postaci. To była ciężka praca przesuwając bezszelestnie ręce i nogi kawałeczek po kawałeczku. Wymagało to całkowitego skupienia. Przez cały czas nadwerżona klatka piersiowa paliła go od płytkiego oddechu.



Sześć stóp od wartownika zamarł, kiedy obok kaszel rozerwał ciszę. Ashowi też zachciało się kaszleć. Pierś skręcała mu się w konwulsjach. Przytknął dłoń do ust i walczył z impulsem, aż minął. Zobaczył, że akolita odwraca głowę w jego stronę.

Leżał przyciśnięty do trawy, prawie nie oddychał, oczy miał zamknięte.

Minęły długie chwile, wystarczyły, żeby przelatujący moskit usiadł mu na pomazanym sadzą policzku. Poczł swędzenie, ale był tak perfekcyjnie nieruchomy, że po chwili owad odleciał i nie ukąsił go.

Spojrzał spod rzęs i stwierdził, że akolita patrzy w inną stronę. Znow zaczął się przemieszczać. Jak kot podczas polowania, unosił i opuszczał kończyny z miarową powolnością, cał po calu zmniejszał odległość. Zanim dotarł na miejsce, pot wystąpił mu na skórę.

Leżał przy butach tamtego.

Strażnik w białej szacie zaczął pociągać nosem, rozglądał się. Wyczuwał pot Asha.

Ash skoczył w górę i wbił kciuki w gardło tamtego. Akolita zakrztusił się, próbował wydać dźwięk, ręką złapał Asha za twarz. Ash wcisnął kciuki jeszcze mocniej, aż spod maski ofiary zobaczył biały błysk oczu.

Kiedy strażnik zwiotczał, Ash położył go na ziemi. Nie zwalniał ucisku kciuków dopóty, dopóki nie upewnił się, że strażnik nie żyje.

- Cuno? - odezwał się głos z ciemności, z lewej strony.

Ash zamarł, ręce nadal trzymał na szyi akolity. Wyczuł zapach alkoholu rozchodzący się z flaszki, którą upuścił wartownik.

Przelknął powietrze i wymusił z siebie beknięcie.

- Tak - powiedział w handlowym i czekał na okrzyk alarmowy.

- Nic - znowu doszedł go głos. - Wydawało mi się, że coś usłyszałem.

Ash się śpieszył. Jego ofiara była większa, niż mu się wydawało. Zbroja i szata akolity, które włożył na siebie, były na niego za duże.

Nie, pomyślał. To on był teraz mniejszy. Stracił na wadze podczas podróży.

Naciągnął pelerynę na obszerną zbroję. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby ukryć zły rozmiar i wygięty miecz. Potem założył maskę na twarz. Zakrywała również włosy, jak hełm. Zerknął na wykrzywioną twarz, obnażoną po zdjęciu maski: mężczyzna w średnim wieku, z ogoloną głową, wystającą zuchwą i twardymi rysami twarzy. Nachylił się i zamknął akolicie wychodzące z orbit oczu.

O tej godzinie w obozie panowała cisza, większość akolitów spała, ale z najobszerniejszego, najjaśniejszego oświetlonego namiotu w klauzurze matrony dochodził śmiech i

muzyka. Obóz składał się z regularnych kwadratów. Ash szedł alejkami dzielącymi małe namioty i wygasające ogniska. Ignorował przechodzących od czasu do czasu akolitów albo kuczał przy ogniu.

Kiedy zbliżył się do wyniesienia z klauzurą, głosy przybrały na sile. Usłyszał ostry krzyk wyrażający przyjemność i dźwięk dzwoneczka.

Przed nim akolita zbliżał się do palisady, obok niego kulał zamaskowany zwiadowca. Zatrzymali się przed drewnianym ekranem i drutem przeciągniętym w poprzek wejścia. Ash nieco przyspieszył kroku, powtarzał w myśli kilka słów, podchodził już do wejścia.

I wtedy serce zabiło mu żywiej, bo zobaczył, jak akolita zatrzymał się, żeby pokazać strażnikom za ekranem dłoń z uciętym małym palcem.

Ash przeklął i zwolnił kroku. Przyglądał się, jak odsuwają ekran na bok, żeby ich przepuścić.

Gdyby teraz podbiegł, zdążyłby przeskoczyć, zanim znowu zamkną.

I co dalej? Przebić się przez stu ludzi?

Poczuł, że pierś mu się ściska, chwilę potem spod maski wydobył się atak kaszlu. Zatrzymał się, schylił wół, zobaczył, że strażnicy przy wejściu odwracają się, żeby mu się przyjrzeć, zanim ekran całkowicie się zasunie.

Ash wyprostował się i odszedł od wejścia, wiedział bowiem, jak podejrzanie musiał dla nich wyglądać. Miał ochotę iść szybko. Ale szedł powoli, równym krokiem; w każdej chwili mogli go zatrzymać.

- Ty, tam! - dobiegł go głos z ciemności.

\*

Ché podniósł wzrok, usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

To Sasheen go wzywała. Leżała na łożu, zupełnie naga, nie licząc szarego gipsu na złamanej ręce. Ale natychmiast skupiła się znowu na młodej kobiecie, która klęczała przed nią na futrzanym dywanie, liżąc jej ciężkie piersi. Matrona pogłaskała ogoloną głowę młodej adiutantki i wyszeptła coś do niej. Przy nosie dziewczyny trzymała małą miseczkę z narkotykiem.

Klint, lekarz, chodził po namiocie z dzwonkiem w jednym ręku i butelką wina w drugim. Dzwonił głośno za każdym razem, kiedy słyszał jak jęczy z rozkoszy jedna z wijących się postaci, które starannie omijał, przez cały czas wyspiewując święte słowa. Zatrzymał się przed wnęką w ścianie namiotu, tą gdzie na piedestale stała głowa Luciana. Głowa smutno zamrugła, kiedy Klint potrząsnął jej dzwonkiem przed nosem i z uśmiechem krzyknął:

- Uwolnij siebie i wszystkie swoje żądze!

Sasheen śmiała się, podbechtywała go. Tej nocy była w świetnym nastroju. Tak jak wszyscy. Pierwsza Armia Ekspedycyjna wreszcie wylądowała, żyli, radowali się.

Krzyk przeszył zadymioną atmosferę namiotu. Paru kapłanów w odległym kącie zabawiało się ze świeżo schwytaną niewolnicą - ich pierwszym kąskiem na Khos. Jeden z nich wrzasnął, zadarł szatę na ramiona i rzucił się na kobietę.

Ché siedział na fotelu, w jednej z nisz. Przetarł oczy. Zastanawiał się, kiedy matrona zwolni go na resztę nocy. Nigdy nie należał do „passionestas” zakonu. Obnażali go nie tylko fizycznie, wymagali, żeby przestał mieć się na baczności w obecności kolegów-kapłanów. Mimo wszystko, wbrew sobie, był coraz bardziej podniecony.

Podłoga wokół niego była teraz jak basen ze szczepionymi ciałami, atmosfera była tak nasyczona narkotykami, że trudno mu było się skupić. Słuchał rżących oddechów, patrzył na lśniące oleiście, splątane kończyny, błyski oczu, róż języków, zęby, uśmiechy i dąsy, genitalia.

Wszyscy czczą boskie ciało, pomyślał kwaśno.

Wszyscy obecni należeli do wewnętrznego kręgu i świty Sasheen. Dwaj generałowie patrzyli na siebie jak walczące psy, każdy z nich pieścił niewolnicę i częstował się suszonymi owocami i winem.

Heelas, osobisty opiekun Sasheen, klęczał przed jednym ze swoich młodych ogierów. Alarum, mistrz szpiegów, nadskakiwał gronu uzdolnionych słuchaczy, w tym Soolowi.

Kapłani wokół tych postaci tworzyli zewnętrzne kręgi dworu Sasheen. Byli to ludzie o niższym statusie, którzy nieustannie próbowali wspiąć się wyżej. Na samym skraju znajdowali się adiutanci i pieczeniarze matrony. Wśród nich bliźniaki, Guan i Swan, brat i siostra, figlujący wspólnie z jedną kobietą.

Wokół wszystkich pełniła straż gwardia honorowa Sasheen. Rękawice bojowe mieli schowane w futerałach, ramiona niedbale skrzyżowane, oczy ukryte za przyciemnionymi goglami.

A kto strzeże strzeżonych? - zastanawiał się z roztargnieniem i przyglądał się kapłanom, którzy też siedzieli w kątach namiotu, w małych wnękach, cicho rozmawiali albo patrzyli spokojnie; niektórzy za starzy na ten sport albo zbyt zmęczeni, albo nazbyt znudzeni. Trzech kapłanów z Monbarri, fanatyków Mann, siedziało we wnęce naprzeciwko niego. Największy, który usadowił się pośrodku, nosił przysłaniającą blizny maskę bez szczeliny na usta. Skórę miał wyżartą kwasami podczas składania deklaracji intencji, co było skrajnością nawet wśród inkwizytorów Monbarri.

Przyglądał się Ché z przeciwnej strony namiotu.

Ché, od niechcienia, odpowiedział spojrzeniem człowiekowi bez twarzy. Ciała napierały coraz bliżej, zbliżały się do niego jak przyływ. Czyjaś głowa otarła mu się o wojskowe buty, kiedy para kochanków opadła obok niego. Oparł podeszwę o łysą głowę i popchnął. Odtoczyli się od niego. Jednocześnie uchwycił spojrzenie Swan, patrzącą na niego z oddali.

Skinął jej głową. Uśmiechnęła się. Ta chwila porozumienia rozgrzała go, przez plecy przebiegł mu dreszcz.

Monbarri nadal patrzył na niego z drugiej strony namiotu.

Ché stwierdził, że musi ochłonąć. Wstał, kiedy tylko tak pomyślał. Zatrzymał się, żeby uchwycić spojrzenie Swan, zachęcić, żeby za nim poszła, potem odwrócił się i skierował się ku wyjściu. Monbarri patrzył, jak wychodzi.

Na zewnątrz nabrał głęboko świeżego powietrza do płuc. Wartownicy nie zwrócili na niego uwagi - ot, jeszcze jeden kaptan ze świty Sasheen. Ché popatrzył na prawo, gdzie wysoko pod nocne niebo buchał płomień ogniska. Dwaj akolici wrzucali w nie kolejną pustą skrzynkę po winie, jedną z wielu, które kapłani zdążyli opróżnić.

Ché pomyślał, że można było się tego spodziewać. Po udanym przebyciu morza i uratowaniu przeważającej części floty matrona i jej sztab musieli pozbyć się napięcia. Ché przyglądał się im tej nocy, świętującym, obżerającym się. Stało się dla niego jasne, że do chwili, kiedy dotarli do stałego lądu z prawie nietkniętą armią, żaden z nich nie był całkowicie pewien, czy to możliwe.

Odszedł trochę dalej od hałaśliwego namiotu. Czekał z nadzieją, że wyjdzie z niego Swan. Lekki wietrzyk wiał w dolinie, niosąc z sobą napomknienie nadchodzącej dopiero zimy. Będą musieli się spieszyć, jeśli chcą zdobyć Bar-Khos, zanim spadnie pierwszy śnieg.

Jakiś akolita eskortował zwiadowcę przez wejście w palisadzie, zmęczonego purdasa w średnim wieku, brudnego, wyraźnie powłóczącego nogą. Jego psa wilczarza nigdzie nie było widać. Ché zmrużył oczy. Za posłańcem i zwiadowcą do wejścia zbliżał się drugi akolita, ale zatrzymał się, kiedy zamykano bramę i zgiął się w pół w ataku kaszlu. Teraz odchodził w zupełnie innym kierunku.

Dziwne, pomyślał Ché.

- Wy, tam! - krzyknął do wartowników przy wejściu. Odwrócili się, żeby sprawdzić, kto woła.

Kolejny wrzask wzbił się pod niebiosa. Przypominał Ché krzyk dochodzący z ogrzewacza do wody i gwizd, który go wreszcie zagłuszył.

Ché przez jakiś czas patrzył za odchodzącym akolitą.

- Nic takiego! - krzyknął do wartowników.

Obejrzał się na próg namiotu. Swan nie wyszła, żeby do niego dołączyć.

Ché poszedł sam do swojego namiotu.

## Rozdział 19

# Stara bieda

Asha obudziło szturchanie okutym butem w zębra.

Otworzył oczy, zaczerwienione, bo dopiero nad ranem udało mu się znaleźć trochę czasu na sen. Poczuł, że przyciska się do niego jakieś ciepłe ciało.

Zsunął koc z twarzy i zamrugał. Nachylała się nad nim gniewna twarz imperialnego żołnierza.

- Wstawaj, stary.

Ash jęknął i znowu nakrył głowę kocem. Bucior szturchnął go mocniej.

Mruknął i zaczął się gramolić, w rękę trzymał miecz w pochwie.

- Co? - warknął, zyskując cenną sekundę, żeby zorientować się w sytuacji.

Otaczało go trzech żołnierzy. Inni budzili ludzi na wydmach i przyciskali ich pytaniami. Ash trochę się odprężył. Nie wiedzieli, kogo szukają, przynajmniej po wyglądzie.

Mimo to, żołnierze patrzyli, z jaką wprawą trzyma miecz, i nie zdejmowali dłoni z gałek własnych mieczy.

- Kapitanie Sanson! - krzyknął człowiek, który przyjaźnie szturchnął Asha czubkiem buta. Podszedł do nich inny żołnierz. Spojrzał tylko na starego wędrowca i zmrużył oczy.

- Lubisz nocne przechadzki, stary?

- Czy to zaproszenie?

Kapitan zeszywniał. Kątem oka Ash zobaczył, że żołnierze wloką jakiegoś człowieka, który wydał im się podejrzany.

- On jest ze mną - odezwał się głos z dołu. Wszyscy odwrócili się w stronę pani Cheer, wyłaniającej się spod koca. Otrzeptała z boków piasek i stanęła w grubej nocnej koszuli.

Kapitan Sanson popatrzył na nią chłodno.

- W jakim charakterze, proszę pani?

- Jest moim ochroniarzem - wyjaśniła, biorąc Asha pod pachę. - A coś pan sobie myślał?

- Kiedy go pani zatrudniła?

Zatrzepotała rzęsami pod adresem Asha.

- Dwa lata temu. Jeśli to pana obchodzi. A w ogóle, co to ma znaczyć?

Kapitan Sanson przez chwilę nie zwracał na nią uwagi. Jeszcze raz, z powątpiewaniem, popatrzył na Asha, potem na namioty, w których jeszcze spały dziewczyny. Ukłonił się pani Cheer.

- Przepraszam - zmieszał się. - Możliwe, że ostatniej nocy byli tu zwiadowcy wroga. Dla bezpieczeństwa przeczesujemy plażę. To wszystko. - Machnięciem ręki kazał innym, żeby poszli za nim.

- Dziękuję - powiedział Ash, kiedy nie można było ich już usłyszeć.

Pani Cheer drżąc na chłodnym porannym wietrze, puściła jego ramię.

- Spłacam dług, to wszystko. Ash, czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

- Słyszałaś, co mówił. Zwiadowcy wroga.

Na chwilę odwróciła wzrok, potem utkwiała w nim twarde spojrzenie.

- Zauważyłam, że nie było cię prawie przez całą noc. Potem przyszłam i dołączyłam do ciebie.

Ash zacisnął usta, wpatrywał się w piasek pod nogami.

Ostatniej nocy, kiedy wreszcie wrócił z nieudanej wyprawy, padł wyczerpany obok wygasłego ogniska w ich małym obozie. Jakiś czas później, na wpół rozbudzony, stwierdził, że ma na sobie koc, a pani Cheer przyciska do niego swoje miękkie ciało.

- Więc rób tak dalej - warknęła teraz do niego, była naprawdę zła. Odeszła kilka kroków, zanim na niego natarta. - Nie obchodzi mnie, czy ostatniej nocy kradłeś, czy robiłeś coś gorszego. Ale nie potrzebuję ochroniarza, co do którego nie mogę liczyć, że znajdzie go na miejscu, kiedy będzie potrzebny. Ani kłamcy, którego tajemnic nie potrafię zgłębić. Spłaciłam dług wobec ciebie. Poczęstuj się gorącym jedzeniem, kiedy inni się obudzą, potem dam ci monety. I bez względu na to, jak mi się podobasz, Ash - o ile to twoje prawdziwe imię - myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziesz sobie po śniadaniu.

Zrozumiał, że straciła do niego zaufanie. Ta kobieta pamiętała zdrady, których kiedyś doświadczyła.

Wrócił pamięcią do wczesnych godzin porannych. Długich pocałunków pod kocem, chmur na niebie, powolnej, czulej pasji. Była pierwszą od paru lat kobietą, z którą Ash spał. Dzięki niej zrozumiał, jak bardzo mu brakowało intymności, odrzucenia na krótko samotnego życia.

Wiedział, że nie zmieni zdania, ale nisko pochylił głowę.

- Będziecie bezpieczne... ty i dziewczyny?

- Na pewno znajdziemy jakiś głodny miecz do wynajęcia gdzieś na tej przeklętej plaży. Będzie dobrze.

Znowu skłonił głowę i zaskoczył ją pocałunkiem w usta. Blizna na jej wargach powodowała u niego dziwne, ale podniecające doznanie.

- Życzę ci szczęścia, dziwny starcze z Honshu - powiedziała, kiedy odchodził.

\*

Ché wyszedł z latryny. Nie czuł się wypoczęty po ostatniej nocy, ale cieszył się, że nie ma kaca, jak wielu ludzi, których minął w obozie. Mieli blade twarze i przekrwione oczy.

W wietrzny dzień powiew, który Ché czuł na twarzy, był chłodny i odświeżający. Włosy na głowie zaczęły mu odrastać, szczecina ocierała się o kaptur; teraz, na Khos, Ché przestał golić głowę, przygotowywał się na ewentualną misję wśród miejscowej ludności, jakiej mogliby od niego zażądać. Przyjemnie było znowu mieć trochę włosów.

Na pustym placu przed namiotem matrony mistrz szpiegów przytracał zwijane łóżko do siodła zela.

- Na przejażdżkę? - Ché przystanął i spojrzał na mistrza szpiegów, który tego ranka wyglądał, ni mniej ni więcej, jak tutejszy wieśniak bandyta. Kapłan odziany był w zwyczajne cywilne ubranie: obrzeżone futrem spodnie jeździeckie, kurtę z zielonej wełny, bandanę zawiązaną na tysej głowie. Usunął z twarzy kolczyki i zastąpił je jednym złotym kółkiem w prawym uchu. Dwa długie zakrzywione noże wystawały mu z grubego skórzanego pasa.

Alarum spojrzał na Ché, trzymając jedną nogę w strzemieniu. Podskoczył kilka razy i przerzucił drugą nogę nad siodłem, poprawił się, a zel parsknął i cofnął się o krok.

- Kapłan Ché - powiedział, ściągając wodze ręką w rękawicy. Za jego wierzchowcem stały, jeden za drugim, dwa kolejne zele obładowane zapasami. - Tak, sporo roboty w terenie - potwierdził, trochę zadyszany, trochę podniecony.

- Sam?

- Wierz mi, tak wolę. Znacznie bezpieczniej.

Zel uspokoił się pod jeźdźcem, Alarum położył dłonie na jabłku siodła, patrzył na Ché z dziwnym, badawczym wyrazem twarzy.

- Powiedz, Ché, czy przypadkiem twoja matka wspominała kiedy o mnie?

- Wspominała o wielu mężczyznach, nie prowadzę kartoteki.

Alarum w mgnieniu oka zebrał myśli.

- To tylko... znałem ją kiedyś. Dawno temu, zanim się urodziłeś. Kiedy znowu się z nią spotkasz, musisz jej powiedzieć, że pytałem o nią z uczuciem.

Ché skinął obojętnie głową. Czuł się skrupowany, kiedy była mowa o jego matce i jak



zawsze w chwilach złego samopoczucia, zaczął się drapać po jednym z miejsc zajętych przez wysypkę.

- Te twoje problemy ze skórą - zauważył Alarum. - Powinieneś do mnie przyjść, kiedy wrócę. Mam maści, które mogą pomóc.

- Dziękuję, ale już coś mam. - Poklepał zela po boku i odsunął się. - Dobrej jazdy.

Alarum podniósł rękę i zmusił zela do truchtu, za sobą wiodł dodatkowe wierzchowce. Ché patrzył przez chwilę, jak odjeżdża, potem znów odwrócił się twarzą do wiatru.

We własnym małym namiocie włożył z powrotem pęczek liści grafu do otwartego plecaka, potem popatrzył na pryczę połową pod ścianą, stołek i prostą umywalkę.

Stał, przez chwilę nic nie robił. Coś go niepokoiło.

Przeszukał wzrokiem namiot, przedmiot po przedmiocie. Wreszcie jego wzrok padł na egzemplarz *Księgi Kłamstw*. Leżał na łóżku, okładką do góry. Zostawił go okładką do dołu.

Otworzył oprawną w skórę książkę i pobieżnie ją przekartkował. Kawałek papieru wyslizgnął się i upadł u jego stóp.

Obejrzał się przez ramię, nachylił się i podniósł.

„Za dużo wiesz, przyjacielu”.

Nie znał tego charakteru pisma. Podpisu nie było. Ché zmiął kartkę, postał, wyjrzał na zewnątrz. Wrócił na pryczę, usiadł z kartką w zaciśniętej dłoni, zastanawiał się.

W końcu wepchnął sobie notatkę do ust i zaczął przeżuwać.

\*

Tego ranka Pierwszy Korpus Ekspedycyjny wyruszył na wojnę.

Za nim, na brudnych piaskach przyczółka pozostał kontyngent żołnierzy, kupców i niewolników tragarzy, obarczony zadaniem sprowadzenia reszty zapasów i przetransportowania ich do maszerującej armii. Potem flota miała odpłynąć w stronę bezpiecznego Lagos. Tutaj była zbyt narażona na niebezpieczeństwo bez odpowiedniej ochrony okrętów wojennych, a bliższe porty w południowej części kontynentu były zbyt ryzykowne, kiedy mercjańskie konwoje przemieszczały się ważnymi szlakami handlowymi tam i z powrotem do Zanzaharu. Przynajmniej armia dostała wreszcie jakąś osłonę z powietrza, bo trzy imperialne latające okręty w końcu dowlokły się i dołączyły do niej. Pozostałe nadal były zaginione.

Dla większości Korpusu Ekspedycyjnego wymarsz zaczął się powoli. Wszyscy, włączając w to ciurów obozowych, zbierali się cały ranek, zanim wyruszyli. Trzeba było zaprząć do wozów zwierzęta pociągowe i skłonić je do pracy w terenie, który, jak się zdawało, nie był pokryty drogami; stada żywca i zelów musiały być zagnane na szerokie dno

doliny.

Przed strażą przednią lekka kawaleria harcowała po okolicy, szukając kontyngentów wroga i celów cywilnych, żeby je palić i plądrować. Była to lekka praca, bo rejon wyżynny wschodniego Khos był słabo zaludniony i słabo broniony, a ci, którzy tu mieszkali, najczęściej ukrywali się w skalistych twierdzach regionu. Dalej, w głębi łądu, grasowali elitarni zwiadowcy purdasi, z psami wilczarzami u boku. Działali jak zwykle skrycie, żeby ich nie wykryto. Obserwowali drogę przez góry, którą musiała przebyć armia, żeby dotrzeć do Tumbledowns i Rzeki Cynamonowej, a stamtąd w dół do Reach.

Z głównych sił Korpusu Ekspedycyjnego rozpostarł się wachlarz harcowników, tworząc ruchome skrzydła chroniące wolniejsze wojska, poruszające się w kolumnach. Lekka jazda, predasa, szła w awangardzie wojska. Byli to jeźdźcy różnych nacji, z wszystkich zakątków Imperium, odziani w jaskrawe peleryny i skórzane zbroje. Tarcze i hełmy zwisały im z pleców. Posuwając się naprzód, wydeptywali nierówną ścieżkę w trawach i wrzosach. Za nimi z kolei szli predore, ciężka piechota, jądro armii, większość z nich miała jaśniejszą cerę z Q'os i Lanstrady. Towarzyszyły im wozy z wiązkami pik owiniętych naoliwionym płótnem. Za nimi szli akolici, śpiewając cicho podczas marszu. Parę tysięcy głosów nadawało dziwną harmonię tupotowi tysięcy stóp; rytm pasował do kołysania jadącego pośród nich palankinu z matroną.

W ubitym błocie na samym końcu kolumny chaotycznie podążali głośni kowale z przenośnymi piecami, rozczochrani łowcy z głębi łądu, poganiacze ze swymi stadami, uzbrojeni w pistolety ranczerzy na zelach, sprzedawcy mięsa i rzeźnicy, handlarze niewolnikami i niewolnicy-tragarze, szwacze, cieśle, kupcy ryzykanci, prywatne kompanie wojskowe, uzdrowiciele, chirurdzy, zawodowi szabrownicy, poeci, prostytutki, astrologi, historycy... wszyscy, których można by się spodziewać w ogonie armii imperialnej, idącej na podbój.

I ten ogromny bezwład tłumu został wprawiony w ruch i uporczywie utrzymywany przez kolejne trzy dni, kiedy pochód pełzył w górę, ku urwistym pagórkom wschodniego Khos, kierując się wszelkimi znakami, które pozostawili purdasi.

Wojsko obozowało w miejscach wybranych w ciągu dnia przez zwiadowców. Żołnierze wznosili namiociki i rozpalali ogniska, na które z trudem znajdowali rzadkie w okolicy drewno. Akolici rozstawiali większe namioty obozu matrony, który potem otaczali słupami, wieszonymi ze sobą na ciężkich wozach. Ciury obozowe musieli się zadowalać tym, co mieli albo co znaleźli.

W nocy na wyżynach panował kąśliwy chłód i Ash najczęściej kulił się pod peleryną

pozbawiony luksusu ogniska, bo ta niewielka liczba powalonych drzew, które można było znaleźć, chuderlawych żółtych sosen, zazwyczaj była wcześniej zbierana, na potrzeby wojska. Za żywność płacił monetami, które dała mu pani Cheer. Była to bardzo szczodra zapłata za całą pracę, którą dla niej wykonał. To, co mu było potrzebne, kupował u drobnych sprzedawców żywności towarzyszących wojsku. Ceny były, oczywiście, wygórowane. Wkrótce musiał szukać głęboko w schowanej sakiewce, zawieszanej między skórzanymi spodniami.

Zrzędziłby bardziej, gdyby nie widział, że żołnierze wyzyskiwani są tak samo. Podobnie jak Ash musieli kupować żywność z własnego żołdu i nabywali ją albo hurtowo, u kupców ryzykantów z taboru, albo od niezliczonych przekupniów, którzy roili się wokół nich w czas posiłku, jak muchy wokół padliny.

Ash dziwował się armii, która nie żywi własnych żołnierzy. Zastanawiał się, jak to w ogóle działa, dopóki nie podsłuchał rozmowy żołnierza ze znudzoną prostytutką. Mężczyzna próbował jej zapłacić zgniłymi jabłkami. Wyjaśnił, że żołd ma za niski, żeby utrzymać się podczas marszu, więc był już zadłużony u swojego dowódcy. Kiedy tylko splądrują miasto albo wygrają bitwę, znowu stanie na nogi, bo łup i niewolnicy byli dzieleni między żołnierzy, kiedy oficerowie dostali już swój udział.

Ash wreszcie zrozumiał, że to chęć zysku prowadziła wielu żołnierzy naprzód, tak samo jak ciury obozowe, bo nieliczni z nich, z którymi zamienił kilka słów, mówili mniej więcej to samo: trudne długi u właścicieli ziemskich i lichwiarzy, niemożność znalezienia innej pracy niż sezonowa w rejonach zapchanych niewolnikami. Byli zdesperowani; w desperacji sprzedali to, co im zostało, i zapłacili, żeby tutaj tłumnie przybyć.

Podczas długich marszów przez wzgórza Ash szedł głównie samotnie. Trzymał się pierwotnej opowieści o ochroniarzu, którego pracodawca utonął podczas sztormu. Ale rzadko musiał z niej korzystać. Najczęściej kręcił się po taborze jak chciał, zawsze uważając, żeby trzymać się z dala od pani Cheer i jej dziewcząt, co w takim tłumie nie było trudne. Zobaczył je tylko raz, w pierwszym dniu marszu. Pani Cheer wynajęła nowego człowieka, smukłego młodzieńca w brązowej wełnianej pelerynie, który używał miecza do rąbania drzew.

Ash trzymał się na uboczu, rozmawiał rzadko, często słuchał. Przez cały czas jego oczy łaknęły widoku Sasheen.

## Rozdział 20

# Prom Juno

Osiedle Prom Juno leżało na południu od lasu Windrush, owianej mitami puszczy rozciągającej się w centralnym regionie Khos. W miesiącach letnich konary drzew kołysały się od gorącego asago, który nawiewał od południa piaski z pustyni Alhazii. W zimniejsze pory roku co jakiś czas wpadał ze świstem shone, wiał przez całą szerokość Midèrès z północnego kontynentu; mówiono, że ten wiatr przynosi depresję i szaleństwo tym, których napotka na swojej drodze.

Od wschodu wielki pas Windrush ograniczała w naturalny sposób potężna Chilos, święta rzeka Khos. Chilos, znana ze swoich właściwości oczyszczania umysłu i ducha, słynęła również z tego, że nigdy nie zamarzała, nawet w środku zimy. Wypływała z gorących źródeł Jeziora Simmer, gdzie znajdowało się starożytne pływające miasto Tume, i jej wody, sunąc powoli na południe, w stronę Zatoki Szkwałów, nie od razu się ochładzały.

Bliźniacze osiedle Prom Juno, rozłożyło się wzdłuż obu brzegów rozszerzającego się odcinka rzeki, jak wzajemne, odwrócone odbicie. Na zachodnim brzegu widać było fort i obóz elitarnej rezerwy Khos, „Hoo”, nazwanej tak od okrzyku bojowego, liczącej razem dwa tysiące ciężkiej piechoty. Obok niej rozciągał się kompleks świątynny z kamiennymi basenami i dzwonami z brązu wydzwaniającymi godziny głębokim tonem, który niósł się po gładkich wodach rzeki. Niezliczone obozowiska rozbito pomiędzy świątyniami. Tysiące wiernych zmywały występki w wezbranym nurcie.

Dla kontrastu na wschodnim brzegu pełno było zakopconych tawern, targowisk na zele, sklepów na kółkach; był to punkt tranzytowy dla podróżnych i kupieckich karawan, miejsce poświęcone handlowi. To tutaj, na wschodnim brzegu, armia khosyjska rozbiła obóz na noc, układając się do snu na skraju cywilnego osiedla. Płaskodenne promy nadal krążyły w ciemności, przewożąc przez rzekę ludzi i wyposażenie.

Jak wielu żołnierzy nagi Bull zanurzył się po pas w wodzie i z zagrzebanymi w piaszczystej łasze stopami oskrobywał się do czysta. Ludzie wokół pokrzykiwali wesoło, bo woda była chłodna, chociaż nie tak zimna, jak można by się spodziewać. Kilku mnichów wojskowych myło się osobno, w pobożnym milczeniu, cisi ludzie-chmury Dao, którzy

pobłogosławią ich przed bitwą w imię Wielkiego Błazna. Bull ochlapał garścią wody gołą pierś i patrzył, jak spływają po nim maleńkie iskierki błękitu. Kiedy padały z pluskiem w wolno przesuwaną się lustro, piana rozjaśniała się takim samym niezwykłym światłem, po czym gasła. Był to dziwny efekt Łez Calhalee, legendarnej postaci z Jeziora Simmer na północy, z którego wody rzeki czerpały nie tylko ciepło, ale także te urzekające niesamowite właściwości.

Stał już kiedyś, jako chłopiec, w nurtach tej rzeki, kiedy ojciec, na nalegania matki, przywiózł tutaj jego i młodszego brata. Wtedy, jak i teraz, Bull poczuł się pobudzony oczyszczającymi wodami świętej rzeki, ale nic więcej. Być może jej właściwości duchowe były tylko bzdurą; albo może to, co skaziło jego duszę, siedziało zbyt głęboko, żeby zostało zmyte przy małej wierze.

Na północy, po drugiej stronie rzeki, widać było las, ścianę drzew, czarnych i spokojnych pod gwiazdami. Od linii drzew dochodziło ostre stukanie, jakby wielkie ptaki wykuwały dziury w pniach. Były to sygnały alarmowe Contrarè, niezależnych, leśnych łowców zbieraczy, a czasem zbójców. Bull wyobrażał sobie, jak stoją tam z wyzywającymi minami, w ubraniach z plecionej kory i przyglądają im się ostrożnie.

Matka była kiedyś jedną z Contrarè, zanim poślubiła ojca, handlarza skór z Bar-Khos, i przeprowadziła się z nim do miasta, żeby założyć rodzinę. Bull niewiele wiedział o jej ludzkiej historii, nie licząc historyjek, które opowiadała mu, siedząc przy jego łóżku, piosenek, które śpiewała, kiedy go kąpała, i tych nielicznych przesądów, które przyniosła z poprzedniego życia w lesie - na przykład znaku ochronnego, który czyniła, gdy zagrzmiało i błysnęło. Ale w akcencie pozostało mu coś z intonacji matki, skórę miał szczególnie smagłą, oczy wąskie, wystające kości policzkowe. Kiedy był chłopcem, ludzie wiedzieli, skąd pochodzi - że jest korożercą - i wielu traktowało go z tego względu jak psa.

Te trudne, bolesne czasy młodości przypominały mu się teraz, kiedy odwrócił się i zobaczył, że żołnierze unikają nurtu płynącego od miejsca, w którym stał. Teraz robili to nie dlatego, że był brudnym korożercą. Ale dlatego, że był mordercą, zabójcą ich bohatera, Adrianosa.

Bullowi to nie przeszkadzało, a przynajmniej tak sobie wmawiał. Od wczesnego dzieciństwa wściekał się na dowcipy i okrutną obojętność rówieśników. Zębami i pazurami walczył o zyskanie respektu tych Khosyńczyków, najpierw jako uliczny chuligan, potem jako żołnierz Czerwonej Gwardii. Teraz przynajmniej nie patrzyli na niego z góry. Tak, teraz się go bali.

Ponadto wreszcie był wolny i tylko to miało dla Bulla znaczenie. Prawdę mówiąc, w

ciasnocie tej podziemnej celi mało nie zwariował. Ale był tutaj, stał po biodra w rzece Chilos, gwiazdy chwiały się na jej powierzchni, Łzy Calhalee rozbłyskiwały wokół niego, a mocny zapach puszczy niósł się w nocnym powietrzu. Jeśli to miały być ostatnie dni życia, Bull nie mógł chcieć więcej.

Polął twarz ostatnią garścią wody i otrząsnął ręce, żeby je osuszyć. Zdeformowane kostki, zniszczone po latach walk w klatce, głośno trzasnęły. Przez dłuższą chwilę nie odwracał wzroku od odległego lasu. Nigdy nie dotarł dalej niż do punktów handlowych wzdłuż jego brzegu, ale las był częścią jego duszy. To była jego spuścizna.

Co cię zatrzymuje? - zadawał sobie pytanie i nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

\*

Żołnierze z jego szeregu chartassy siedzieli wokół, rozmawiali, podawali sobie bukłak z winem. Bull nie odzywał się do nich, bo wiedział, że będą na niego zważać. Rzeczywiście, kiedy stanął w ciepłe ognia, rękami trąc skórę do sucha, przestali rozmawiać, nikt nie patrzył w jego stronę.

Bull nachmurzył się i odszedł do stojącego nieopodal wozu, wziął tobolek z ekwipunkiem pod jedno ramię i zarzucił plecak na drugie. Z dala od ciepła i światła ogniska szybko się ubrał, ale zbroję, opartą o krótki miecz w pochwie, zostawił obok wozu. Owinął się płaszczem i usiadł oparty plecami o koło wozu, potem zaczął grzebać w plecaku, aż znalazł fiolkę z olejkiem matki. Wziął trochę na palec i posmarował nim dziąsła, bo tylne zęby znowu zaczęły się chwiać. Przez cały czas patrzył na ludzi skulonych przy ognisku.

Boją się, pomyślał. Wiedzą, że idą na rzeź.

Myślał o bitwie, która czekała ich na końcu marszu, i w głębi duszy też czuł przed nią strach. To uczucie przyprawiło go o dreszczyk emocji; poczuł, że żyje.

Wyciągnął z pochwy nowy miecz i obejrzał filigrany wzdłuż błyszczącej stali klingi. To była stal sharricka, wykuta tutaj, na Khos, najlepsza nad Midèrès. Zadowolił się pociągnięciem ostrza cieńszą stroną oselki.

W świetle pobliskiego ogniska zobaczył przechodzącego generała Creeda, który rozmawiał z pułkownikiem Szarych Kurtek. Kilka kroków za nimi szedł Bahn, zadumany, tak jak tamtego dnia, kiedy Bull spotkał go po raz pierwszy, lata temu, na zimnym polu manewrowym między murami, kiedy pierwsze mury Tarczy już padły, trzeciemu niewiele brakowało, ludzie byli zdruzgotani, a ich morale niższe niż kiedykolwiek przedtem albo potem.

Bahn zauważył go i szorstko skinął głową, ale Bull zanotował w pamięci, że nie zatrzymał się, nie zamienił z nim paru słów.

Patrzył chłodnym wzrokiem, jak Bahn niknie w cieniu za ogniskiem.

Za odchodzącymi postaciami nadszedł młody Wicks, potykał się, idąc w jego stronę, żłowiąc wino ze zwiotczałego bukłaka. Potknął się i upadł na trawę; podniósł się, jakby nic się nie stało. Też był sam, ale z własnego wyboru.

Spostrzegł w cieniu Bulla i zwałił się na ziemię obok niego.

- Hej, koleś - wydyszał, podając mu wino.

Bull pokręcił głową. Nie ufał sobie po alkoholu, odkąd poszedł do domu Adrianosa i zarębał go jak jelenia.

Wicks z przesadną starannością usadowił się obok niego, oparł plecy o koło wozu.

- Cały ten cholerny marsz - wymamrotał, masując sobie stopę. - Podeszwy mnie zabijają.

- To jest nic. Masz szczęście, że nie pedałowaliśmy mocniej. - Mówiąc to, Bull poczuł ból we własnych stopach i grzbiecie, wiedział, że zanim przejdzie, będzie jeszcze gorzej. Po roku w celi był w nędznej kondycji, mimo że próbował ją utrzymać.

- Nic, a ja mam stopy w strzępach.

Z oddali Bull już drugi raz usłyszał ryk mężczyzn.

- Co się dzieje? Tam walczą?

- Tak. Znowu się do tego wzięli, Szarzy i Ochotnicy. Tym razem dwaj mistrzowie walki na gołe pięści.

Wicks przypatrywał mu się wielkimi oczami, błyszczącymi w świetle ognia. Bull widział, że jest znudzony. Chłopakowi potrzebna była psota, żeby miał na jakiś czas zajęcie. Przypomniało to Bullowi o własnej niezmożonej nudzie.

Westchnął i wziął od młodzieńca bukłak z winem; pozwolił sobie na jeden głębszy łyk i odrzucił skórę.

- Wiesz, kiedyś widziałem, jak walczysz. Zostałeś wtedy mistrzem Bar-Khos.

- Mam nadzieję, że to na mnie postawiłeś.

- Żałuję, że nie. Ale myślałem, że jesteś jednym z wielu zawodników, tak jak inni. Kosztowałeś mnie tamtego wieczoru pełną sakiewkę skradzionych monet. Ale było warto, żeby tylko obejrzeć walkę. Myślałem, że na koniec zamierzałeś go zabić.

- Zamierzałem. Tylko mnie powstrzymali.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty. We własnej osobie, naprzeciwko mnie. Największy zapaśnik na całym Khos. Niewiarygodne.

Bull przeciągnął oselkę wzdłuż ostrza klingi, nie zwracał już uwagi na chłopaka. Dużo czasu minęło, odkąd obcy okazywali mu podziw. Kiedyś lubował się taką nagrodą, czuł się

ważny, że tak wielu ludzi go szanuje.

- Znowu o nas rozmawiają - powiedział od niechcienia Wicks, wskazując skinieniem głowy ognisko.

Mężczyźni skupieni wokół ognia wymieniali słowa ściszonymi głosami.

Stary Russo, weteran Coros, rzucił w ich stronę jednookie spojrzenie.

Jego oskarżycielski wzrok sprawił, że Bull zgrzytnął zepsutymi zębami.

- Znalazłeś już sobie dziwkę?

- Nie - przyznał Bull. - Żadna mnie nie zechce tknąć.

- Pewnie myślą, że udusisz je na miejscu. - Wicks roześmiał się pijackim śmiechem na samą myśl o tym.

- Nie śmieję się ze mnie, chłopcze. Wyłupię ci oczy, jak będziesz się ze mnie śmiał.

Chłopak jakby na chwilę wytrzeźwiał, uśmiech znikł mu z twarzy. Położył się na plecach i beknął.

- Chłopie, nie potrafisz przyjąć żartu. Masz problem.

Bull natychmiast poczuł się skarcony. Wiedział, że młody człowiek ma rację.

Nie mógł nic poradzić, lubił tego chłopaka. Wicks przypominał mu młodszego brata: brakowało mu odpowiedzialności i nie bał się nikogo. Jak do tej pory Wicks był jednym z nielicznych, którzy potrafili podejść do Bulla podczas marszu, żeby z nim porozmawiać. Złodziej, który bawi się w żołnierza. Tak powiedział o sobie Bullowi, pokazując mu piętno na nadgarstku. Powiedział, że zwolniono go z obozu karnego w dniu, w którym wojsko wyruszało z Bar-Khos.

Bull popatrzył na bukłak w jego ręce i powiedział:

- Myślałem, że jesteś spłukany. Znowu kradniesz?

- Poszedłem popływać - odpowiedział Wicks. - Aż po głowę. Jeśli pójdziesz, kiedy słońce jeszcze stoi na niebie, zobaczysz monety leżące na dnie rzeki.

- Ty durniu - warknął Bull. - Kradzież ofiar składanych przez ludzi przynosi pecha. Chcesz sprowadzić na siebie przekleństwo?

Wicks machnął ręką.

- Jaka to różnica? Wrzucają monety i więcej ich nie widzą.

Nie było sensu mu tego wyjaśniać. Chłopak po prostu nie wiedział, co to tradycja czy wiara.

Znowu ryk z gardzieli w nocy. To przyspieszyło decyzję.

Bull powoli wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytał go nagle zainteresowany Wicks.



- Podjąć wyzwanie do walki - odparł, odrzucając pelerynę. - Chcesz pójść?

- Poczekaj chwileczkę - poprosił Wicks i bezskutecznie próbował wstać. W końcu Bull musiał mu pomóc. - Musimy ustalić pulę. Stawiam na ciebie.

- Wicks - rzucił Bull z uśmiechem, który przeciął mu twarz od ucha do ucha. Nagle uśmiech znikł. - Myślisz, że naprawdę ktoś postawi przeciwko mnie?

\*

Bahnowi chodziło się teraz trochę lżej. Bóle w łydkach i plecach, od całodziennej jazdy konnej, nie były już takie nieznosne, jak wcześniej wieczorami podczas morderczego marszu. Wreszcie znów przyzwyczał się do siodła. W obecnym tempie robili dziennie prawie dwadzieścia laqów. Generał Creed nie mógł już bardziej forsować wojska, bo czekało ich jeszcze wiele dni marszu. Lord Protektor chciał, żeby żołnierze byli zdolni do walki, kiedy dojdzie do bitwy.

Przed Bahnem generał i Halahan szli ramię w ramię. Tego wieczoru byli w doskonałym nastroju, dotarli do Promu Juno zgodnie z planem i do armii dołączyły dwa tysiące Hoo. Nastroje żołnierzy zdawały się także wyjątkowo ożywione. Przeszli Chilos, teraz czekał ich marsz przez Reach, na nieuniknione spotkanie z nieprzyjacielem. Tego wieczoru prawda o ich położeniu zaczynała docierać do ludzi. Potrzebna im była rozrywka.

Gdy szli, Bahn wyczuł ziele hazii w fajce Halahana. Tego wieczoru sam chętnie pociągnąłby z laseczki hazii. Kiedy już przeszli Chilos, i jego zaczynało ogarniać poczucie zimnej rzeczywistości.

- Według naszych zwiadowców podchodzą pod Iglicę - mówił idący przed nim Creed.  
- Potem będzie Rzeka Cynamonowa, jak można się spodziewać. Za dzień, dwa wejdą do Cichej Doliny. Tam ich zajmiemy walką, zanim dotrą do Tume. Jeśli nam się nie powiedzie, możemy odstąpić do Tume i się przegrupować.

- Vanichios chętnie cię zobaczy - powiedział, zaciągając się Halahan, a Creed rzucił mu nieprzyjemne spojrzenie.

Bahn przypomniał sobie to imię. Były zaszłości między generałem i Principari Tume, ale nie bardzo pamiętał, o co poszło. Coś z pojedynkiem.

- Rezerwy z Al-Khos - Halahan mówił spod szerokiego randa słomianego kapelusza. - Wiemy, kiedy dotrą do Tume?

Chroma noga sprawiała, że tego wieczoru kulał bardziej niż zazwyczaj. Powiedział, że to spadająca temperatura daje się kolanu we znaki.

- Jeśli dobrze się starają, to do tej pory powinni być w połowie drogi. Oczywiście, o ile ten dureń Kincheko przestał się zastanawiać.

- Myślisz, że przestał?

Creed pokręcił głową.

- Kto wie, jak to z nim jest? Może zwlekać dzień, dwa tylko po to, żeby okazać pogardę dla moich rozkazów.

- Większym durniem był ten, kto go uczynił Principari Al-Khos.

- Tak, dobra krew Michinë jest gęstsza od wina.

Oddział Specjalnych, który właśnie zszedł z promu, przemaszerował obok objuczony plecakami i bronią. Po kolei kiwali głowami, przechodząc obok generała nierównym szeregiem. Jeden z nich znał Bahna, starego przyjaciela jego brata Colego.

Zaskoczył go gorącymi uściskami i życzeniami szczęścia, po czym pobiegł dalej, żeby dołączyć do oddziału.

- Co tu się dzieje? - Creed zatrzymał się, przyglądając się tłumowi żołnierzy zebranemu na polanie nad rzeką. Byli to głównie Ochotnicy i Szare Kurtki, wiwatowali i potracali się, patrząc na dwóch rozebranych do pasa mężczyzn załatwiających porachunki.

Pododdział Czerwonych Kurtek, pod dowództwem oficera na zelu, próbował ich rozdzielić, ale niektórzy Ochotnicy przeganiali dowódcę, szydzili z niego, płoszyli zela, machając rękami. Zwierzę stanęło dęba i omal nie wyrzuciło jeźdźca z siodła. Inni Ochotnicy podeszli, żeby rozładować sytuację. Bahn zobaczył, że generał zmrużył oczy.

- Popatrz na nich. Przy pierwszej okazji zawsze łamią dyscyplinę. To dlatego Khosyjczycy mają najlepszą chartasę, a oni nie.

Stojący obok niego Halahan zachichotał.

- Oni tylko się zabawiają, póki mogą.

- Zabawiają się? To nie zabawa jest im potrzebna, pułkowniku.

- Och, daj spokój, z nadejściem ranka znowu wymarsz, będą łagodni jak kociaki.

Creed parsknął.

Poszli dalej, generał pokazywał się żołnierzom i osobiście sprawdzał, jak im się powodzi. Porozmawiał z kilkoma stajennymi w zagrodach, w których trzymano zele wojenne, z kwatermistrzem, którego wytrącały z równowagi dowożone promem zapasy. Zatrzymał się nawet przy jednym z latających okrętów, które wylądowały na nocleg; pytał załogę, czy czego nie potrzebują, starając się ukryć zdenerwowanie, bo brakowało latających okrętów do eskortowania armii; były zaledwie trzy i garstka małych skudów, których ledwie starczało do patrolowania nieba.

Wśród Hoo, żołnierzy elitarnej chartassy, Creed wyszukał Nidemesa, pułkownika, który wraz z nim walczył na Coros. Creed chwilę porozmawiał z tym niewysokim,

milkiwym człowiekiem. Tymczasem Halahan, paląc fajkę, opierał się o kolano i gawędził z paroma żołnierzami, samymi weteranami. Bahn spostrzegł za płomieniami ogniska pokrytych szramami żołnierzy o twardych spojrzeniach, siedzieli otuleni purpurowymi pelerynami, nic nie mówili.

- Martwi się - powiedział Creed do Halahana, kiedy poszli dalej. - Chce znać plan naszego natarcia.

- Co mu powiedziałeś?

- Prawdę. Że nadal nad tym myślę.

Halahan zachichotał ironicznie. Nagle z irytacją odezwał się Bahn.

- Ci ludzie stoją naprzeciwko czterdziestotysięcznej armii - usłyszał własne słowa. - A ty się śmiejesz, bo jeszcze nie ma planu.

Halahan wyciągnął fajkę z ust i obrzucił go drwiącym spojrzeniem.

- Ale ja tam z nimi będę, prawda?

Bahn ze złością zamknął usta.

- Co cię trapi, Bahn? - zapytał generał. - Wyrzuć to z siebie, człowieku.

Bahn zniżył głos.

- Po prostu wydaje mi się, generale, że maszerujemy ku pewnej klęsce i że wy dwaj jesteście z tego całkiem zadowoleni.

Creed ruszył, tym razem szedł szybszym krokiem. Obaj poszli za nim.

- Nic nigdy nie jest pewne, Bahn - warknął przez ramię Creed.

- Nie jest. Ale zawsze należy rozważyć szanse.

- Phi. Szanse? Straciliśmy je dawno.

Głos miał ochrypliwy z gniewu i Bahn nie chciał go dalej naciskać. Wszystko zostało już powiedziane i zrobione, a on nadal pokładał w tym człowieku nadzieję.

W końcu Bahn walczył na Tarczy w tamtych pierwszych dniach wojny. Generał Forias był wtedy nadal Lordem Protektorem Khos. Ten niedołączony nobil otrzymał stanowisko dzięki powiązaniom rodzinnym. Zanim jeszcze zaczęło się oblężenie, kiedy Mannijczycy zajęli Pathię na południu i uchodźcy zaczęli napływać do Bar-Khos, to właśnie generał Creed, a nie niezdecydowany Forias, kazał otworzyć bramy, żeby znaleźli za nimi schronienie.

Forias dowodził obroną miasta przez pierwszy rok oblężenia i Khosyjczycy cofali się, a mury padały jeden po drugim. Stary Forias nie był zupełnie do niczego jako Lord Protektor: rozkazał, żeby usypano ziemne wały przy ocalałych murach dla osłony przed nieustannym ogniem artylerii, a czasem nawet walczył ramię w ramię ze swoimi żołnierzami, ryzykując życie tak jak oni. Jednak brakowało mu charyzmy i odwagi, których najbardziej było potrzeba

w tych dniach pikującego morale. Po prostu nie był przywódcą wojennym zdolnym natchnąć ludzi nadzieją. Organizowano przeciwko niemu publiczne protesty. Powszechnie wzywano do rezygnacji. Ale stary Forias, wspierany przez radę Michinë, odmawiał ustąpienia ze stanowiska.

Kiedy nadeszła wiadomość, że Imperialni najechali także odległe Coros, usiłując otworzyć drugi front przeciwko Wolnym Portom, Michinë zgodzili się na wykonanie symbolicznego gestu pod adresem prowadzonej przez Ligę rozpaczliwej obrony wyspy. Wysłano tam generała Creeda na czele małego kontyngentu chartassy. Podczas jego nieobecności, kiedy oblężenie znalazło się w impasie, Lord Protektor Forias wycofał się do swojej prywatnej rezydencji, twierdząc, że jest chory, a potem zabił się albo umarł we śnie, w zależności od tego, komu się uwierzy.

Kłęska zawisła nad miastem jak mgła.

Creed zmienił jednak wszystko. Tydzień po pogrzebie starego Foriasa wrócił, odniósłszy niespodziewane zwycięstwo na Coros. Teraz okrzyknięto go bohaterem i wielu widziało w nim swojego najbardziej prawdopodobnego zbawcę. Ludność miasta wyszła na ulice z żądaniem, żeby to on został nowym Lordem Protektorem. Wreszcie Michinë pozostał niewielki wybór i musieli przyznać im rację.

Tak oto Creed zabrał się do odwracania tego, co wcześniej uznano za naturalny bieg wypadków wojennych. Przypuszczał śmiało kontrataki na armię imperialną, stworzył sieć tuneli bojowych pod murami, żeby zapobiec wysadzeniu ich w powietrze, wzbudził nadzieję w żołnierzach i cywilach, dając im osobisty przykład. Stopniowo postępy Imperialnych zwolniły tempo i oblężenie zmieniło się w trwający latami opór, o którego prowadzeniu wcześniej nikt nawet nie ośmielił się pomyśleć.

Teraz Bahn i inni mieli nadzieję, że ten człowiek dokona nowego cudu.

- Generale!

Odwrócili się w chwili, gdy już podchodzili do namiotu dowództwa. Dwóch khosyjskich konnych zwiadowców zbliżało się z cywilnym jeźdźcem między nimi. Mężczyzna miał bandanę na głowie i złoty kolczyk w uchu. Zatrzymali się przed Creedem, z nozdrzy parskających zeli wydobywały się niknące obłoczki pary.

- Mannijski ambasador, generale - obwieścił jeden z jeźdźców. - Chce z tobą rozmawiać. Już go przeszukaliśmy, czy nie ma broni.

Wszyscy trzej przyglądali się cywilowi, który siedział zgarbiony w siodle. Miał w sobie coś ze zbójcy.

- Witaj, Niedźwiedzia Kurto - powiedział ze smutnym uśmiechem.

\*

- No, daj spokój, musisz nam powiedzieć coś więcej!

- Odczep się, dobrze? To żenujące.

Loczek roześmiała się razem z innymi w ciepłym namiocie medycznym. Siedzieli wokół stołu chirurgicznego, trzymając w ręku karty. Przed nimi leżały monety, a ich blade twarze błyszczały w świetle latarni zwisającej z sufitu.

Andolson siedział z tyłu i grał na gitarze, zawodząc od czasu do czasu sprośnie i śmiesznie o upadłych królach Pathii. Kris stała obok stolika, przed nią znajdowały się flaszki z winem i skórzane kubki. Z butelki z lekarstwem ostrożnie dolewała do kubków po parę kropli sansedu. Reszta medyków głównie oddawała się pogwarkom, machała w pijanym widzie rękami nad stołem, wdychała gęste kłęby dymu hazii wypełniającego namiot.

Młody Coop niepewnym krokiem wyszedł na dwór, żeby wymiotować.

- Cholerne marnowanie dobrego wina! - wrzasnął za nim Milos.

Byli dziwną zgrają, ci medycy z Operacji Specjalnych, do których dołączyła Loczek. Wielu miało wymalowane symbole i słowa na skórzanych kurtkach: daoistyczny krąg jedności, albo cytaty z wszelkiego rodzaju źródeł, nawet mannijskich. Włosy czasem długie, czasem krótkie, blizny na twarzach, charaktery porywcze, nastroje nieprzewidywalne. Od dawna przyzwyczajeni do pracy w systemie tuneli pod Tarczą, byli dziką i uciążliwą grupą indywidualistów. Przyłgnęli do Loczka równie łatwo, jak ona do nich.

Kris robiła kolejną rundę wokół stołu ze swoim doprawianym napitkiem.

- Może jeszcze, madame?

- Dziękuję - powiedziała Loczek, przyjęła podany jej kubek i z uprzejmości upiła łyk. Wino było mocne, ale i tak wyczuła w nim odrobinę sansedu, płynnego drossu, z reguły używanego jako środek przeciwbólowy dla rannych. - Gdybym wiedziała, że dostanę ten towar za darmo, dawno już bym się zaciągnęła.

- To dlatego stary Jonsol się zaciągnął - zakpił Milos. - Zgadza się, Jonsol?

Jonsol pożądliwie łypał na nią zza stołu. Ten siwowłosy mężczyzna pożądliwie spoglądał na wszystkie niewiasty wokół siebie i Loczek nachmurzyła się, ale nie całkiem na serio. Jonsol odchylił się do tyłu i zawył w stronę płóciennego dachu jak bezdomny pies.

Loczek miała szczęście od samego początku, bo poprzedziła ją historia jej wybuchu w biurze werbunkowym. Korpus medyków przy oddziałach specjalnych uznał, że jest temperamentną dziwką, z którą lepiej nie zadzierać, a ona nie widziała powodu, żeby pozbawiać ich tego złudzenia.

- Wchodzę - warknął głośno Jonsol i dorzucił parę miedziaków. W tym rozdaniu

pozostali tylko on i Loczek, ostatnia karta leżała odkryta na stole pomiędzy nimi. Król czerwieny.

Loczek odkryła i wyłożyła trzy karty, które trzymała w ręce. Było jeszcze więcej śmiechu, kiedy zrozumiano, że ponownie wygrała. Loczek przyjęła do wiadomości pochwały i przekleństwa, po czym zgarnęła do siebie mały stosik monet.

- Jesteś głupcem, Jonsol. Ciągłe się w to pchasz.

- Ona to szczaw, ale umie grać, muszę to przyznać.

Prawda, umiała uczciwie grać. Ale w istocie, tego wieczoru, dla samej przyjemności, Loczek oszukiwała. Za każdym razem, kiedy przychodziła jej kolej na rozdawanie, Loczek korzystała z jednej z wielu sztuczek przy tasowaniu. Jej dawny kochanek pokazał jej kiedyś, jak ustawiać rozdanie, żeby wychodziło na jej korzyść. Istotnie, tak dobrze jej z tym szło, że chyba tylko jedna osoba mogła ją przyłapać. Była to Kris, która tylko patrzyła z pełnym zrozumieniem rozbawieniem w oczach.

Wszyscy podnieśli wzrok, kiedy rozsunęło się wejście do namiotu i Koolas, wojenny chattero, wszedł do środka.

- Pozwolicie, że do was dołączę - sapnął.

Przesadne jęki rozległy się w całym namiocie.

- Dziś wieczór w całym obozie, w stu miejscach grają w rasha - zaszczębiotał Milos. -

A ty zawsze przyjdiesz do nas.

- No cóż - odparł Koolas, kiedy znalazł sobie wolne miejsce przy stole. - To dlatego, że wy, medycy, macie dobre prochy.

Wokół wybuchły gwizdy i krzyki. Kris skłoniła się przed nim i zaczęła przygotowywać mu napój z wina i sansedu, tymczasem Andolson rozpoczął nową pieśń, improwizując do niej słowa. Zawodził o tłustym wojennym chattero, który tak kochał bitwy, że jeździł tylko po to, żeby je obejrzeć.

- Poza tym - zawołał Koolas - myślę o ułożeniu historii o was wszystkich. O medykach. O niedocenianych bohaterach, którzy pośród rzezi ratują kogo mogą albo kradną biżuterię tych, których uratować nie mogą.

Rozległy się gwizdy, Milos ryknął.

- Raczej o niedocenianych durniach!

- No dobrze, jeśli prawdą jest to, czego chcą wydawnictwa, to o tym napiszę. Dzięki - dodał, kiedy Kris przyniosła napój.

Zaczęli na niego krzyczeć, gdy wszedł major Bolt.

- Popularny jest dziś wieczór - mruknął Milos, gdy w namiocie zapadła cisza, a Kris

schowała za siebie butelkę z sansedem.

- Spocznij - powiedział do wszystkich Bolt. - Przyszedłem, żeby sprawdzić, co u was słychać. Czy czegoś nie potrzebujecie.

- U nas wszystko w porządku, majorze, po prostu w porządku - wyjaśnił ospale Andolson spoza jitary.

Bolt przyjrzał się każdemu z nich z osobna. Na chwilę zatrzymał wzrok na Kris, na jej rękach schowanych za plecami.

- No to róbcie tak dalej.

Odwracając się do wyjścia, spojrzął z ukosa na Loczka i kiwnął na nią głową.

Zignorowała komentarze i wyszła za nim, za klapę namiotu.

Na zewnątrz, na świeżym powietrzu, Loczek doznała dziwnego uczucia przejścia. Nagle znowu stała w obozie wojennym i powoli wracała jej pamięć tego, co robią i co nadal ich czeka. Gdzieś tam była armia imperialna.

Zadrzała, na skórze pojawiła się jej gęsia skórka, założyła ramię na piersi.

- Jak się czujesz? - zapytał Bolt. - Chyba nieźle się dopasowałam.

- To dobrzy ludzie - odparła, rzucając mu przelotne spojrzenie. Zawsze się denerwowała w towarzystwie tego człowieka, bo nigdy nie wiedziała, co myśli.

- Masz - powiedział i wręczył jej coś. Spojrzała i zobaczyła zawiniątko z liśćmi grafu w jego wyciągniętej ręce. - Dostrzegłem znaki - stwierdził, patrząc na jej nozdrza, które były teraz mniej zaczerwienione, odkąd opuściła miasto i skończył się jej zapas drossu. - To tylko trochę muscado. Pomaga złagodzić objawy.

- Dobrze się czuję - zapewniła. - Naprawdę.

- Weź - powtórzył i wzięła. Wsunęła złożone liście do kieszeni. - Będiesz z nich zadowolona, jak dojdzie do działań i zacznie nam brakować tych butelek z sansedem.

Spojrzała w jego szare oczy.

- Dziękuję.

Bolt twardo na nią patrzył.

- Lepiej wróć do środka.

Po chwili skinął głową, wyraz twarzy nadal miał nieodgadniony. Odwrócił się i odszedł bez słowa.

\*

Zebrali się w ciepłe namiotu dowodzenia, ogrzewanego czarnym żelaznym piecykiem przykucniętym w rogu. Jego komin wystawał przez dach. Pośrodku namiotu stał zwykły kwadratowy stół przykryty mapami i zapiskami dotyczącymi marszu. Bahn szybko je usunął,

żeby nie leżały w widocznym miejscu. Creed ulżył sobie, rozpierając się w wiklinowym krześle. Halahan usiadł na skraju stołu, aparat na nodze mu poskrzypywał. Widać było, że nathalijski pułkownik tłumy gniew.

\*

Po paru chwilach pozwolono wejść mannijskiemu ambasadorowi. Strażnicy rozebrali go i przeszukali otwory w ciele. Miał kilkudniowy zarost i, przykrywając nagość, owinął się pożyczoną czerwoną peleryną, co sprawiało, że wyglądał na obszarpanego żebraka. To było tylko złudzenie. Głowę trzymał wysoko, jakby mało go obchodziło, że stoi w sercu obozu wroga.

- Wygląda na to, że nasi szpiedzy mieli rację - stwierdził z czysto q'osiańskim akcentem. - Ale trudno mi uwierzyć. Musicie tu mieć mniej niż dziesięć tysięcy, o ile nawet tyle macie.

Creed podniósł rękę do podbródka. Zerkał na Halahana.

- Przedstaw swoją sprawę, ambasadorze - zażądał Halahan, zdjął kapelusz i położył go na stole. Mówił otwarcie wrogim tonem.

- Ależ. Mów do mnie, Alarumie. Mogę usiąść? - Ostatnie słowa skierował do Creeda.

Generał uniósł rękę na znak zgody i Mannijczyk z długim westchnieniem usiadł na krześle.

- To była trudna jazda - wyznał. - Może byśmy razem coś zjedli i napili się trochę wina podczas rozmowy?

Creed pochylił się do przodu, aż fotel mocno zaskrzypiał.

- Po co tu przyjechałeś, fanatyku?

Alarum pochylił głowę w bok, ciemnymi oczami przypatrywał się generałowi.

- Przysłała mnie matrona, żebym przedstawił wam warunki.

- Chce się poddać?

Alarum uśmiechnął się przelotnie, z napięciem.

- Widzisz, jeszcze nie jest za późno. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, możemy ustalić poglądy w inny sposób.

- Tak - parsknął Halahan. - Możecie spakować swoje armie i wrócić do domu.

- Daj spokój - odparł ambasador. - Wiesz równie dobrze jak ja, jaka wiązałyby się z tym reputacja. Nie możemy się po prostu wycofać. Ale możemy zaproponować wam życie waszego ludu, jeśli tylko poddacie nam teraz Khos i zgodzicie się być dominium Mann.

- Co, otworzyć przed wami nasze bramy, jak Serat, żebyście zdziesiątkowali ludność, a resztę wzięli do niewoli? - Halahan był rozdrażniony. Bahn zobaczył, że twarz mu



poczerwieniała. - Przebyłeś taki kawał drogi, żeby to powiedzieć?

- Jeśli tego nie zrobicie, zabijemy wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci z Bar-Khos. To nie jest czcza pogróżka.

Halahan wstał z zaciśniętymi pięściami. Creed uniósł rękę, żeby go powstrzymać, patrzył twardo na ambasadora.

- Ale najpierw musicie nas pokonać - przypomniał mu łagodnym tonem.

- Generale, za mną stoi czterdzieści tysięcy wojowników.

- Tak. Zgadza się. I są z dala od domu. Flota odpłynęła. Ich zapasy są ograniczone do tego, co mają teraz i co zdołają splądrować w okolicy. Jeśli się nie pospieszą, zacznie się zima i uwięzi ich tutaj bez schronienia i dostatecznego zaopatrzenia w żywność. Macie bardzo niepewną pozycję, ambasadorze. Inaczej nie byłoby cię tutaj.

Alarum w odpowiedzi powoli wstał, peleryna luźno z niego zwisała. Popatrzył na Halahana, który zrobił krok w jego stronę. Bahn poczuł, że nagle wzrosło napięcie. Nie myśląc, schwycił za rękojeść miecza.

- Jeśli wolno - rzekł Alarum, z łagodnym, ostrożnym uśmiechem. - Święta matrona przysyła wam podarunek, na wypadek gdybyście nie zobaczyli sensu w jej propozycji.

Creed skinął głową i jeden ze strażników u wejścia wystąpił, trzymając coś w dłoni. Wręczył to Bahnowi, który stał najbliżej.

Bahn popatrzył na sztylet w pochwie, który trzymał w ręce. Było to zagięte ostrze nie większe od jego kciuka, a pochwa udekorowana była kunsztownie złotem i diamentami, zaopatrzona w sznur do zawieszania na szyi.

- Co to jest? - zapytał.

Podniósł wzrok w chwili, gdy Halahan mocno uderzył ambasadora w twarz. Alarum przewrócił się o krzesło.

Halahan kopnął go w ciemię, kiedy ten usiłował wstać.

- Kto ci dał do tego prawo? Kto ci dał prawo, żebyś kazał innym płaszczyć się przed tobą albo ginąć?

- Pułkowniku - parsknął Creed. - Halahan!

W końcu pułkownik cofnął się, ciężko dysząc. Nie potrafił oderwać wzroku od Alaruma, który z trudem gramolił się na nogi. Ambasadorowi krwawiły wargi. Zarzucił na siebie szatę, żeby ukryć nagość.

Patrzył z wściekłością na Halahana, ocierając usta rogiem szaty.

- Prawo? Prawo naturalne, a jakie inne? Czy muszę wam to tłumaczyć jak dzieciom? Cóż leży w naturze człowieka, jeśli nie dążenie do władzy za wszelką cenę? Silni robią to, co

chę. Słabi muszą znosić to, co zawsze znoszą. Nie wiń nas, czcicieli Mann, bo takie jest życie. Wiń waszą Matkę Świat. Wiń wasze Dao.

Creed podparł się rękami o poręcz krzesła i powoli wstał. Stał naprzeciwko niego.

- Ambasadorze, w Wolnych Portach żywimy pewne przekonanie. Przekonanie, że zaburzenie równowagi siły prowadzi wyłącznie do deprawacji, więc siła musi zawsze spływać w dół, szczególnie do tych, którzy jej podlegają. Ta idea pochodzi od Zeziké. Sadzę, że wy, Mannijczycy nie czytujecie często naszego znanego filozofa, co?

Alarum przechylił głowę, nic nie mówił.

- Będę z tobą szczery. Nie zawsze się z nim zgadzam. Ale czasem robił świetne uwagi, szczególnie na temat takich pojęć, jak te, które przedstawiłeś. O ile dobrze przypominam sobie jego słowa, mówił, że natura ludzka jest w równym stopniu wynikiem naszego środowiska i tego, co płynie w naszych żyłach. I że nasze środowisko jest w równym stopniu wynikiem naszego stosunku do niego, jak obrotów ziemi i nieba.

Nachylił się do przodu, dokładnie przyglądał się wyrazowi twarzy ambasadora.

- Pewnie ci się ta idea nie podoba? Ale przecież wy, z Mann, chcecie ukształtować cały świat według waszych wyobrażeń. Po co, pytam? Powiem ci, po co. Bo znacie prawdę równie dobrze, jak znał ją Zeziké. Wiecie, że dla uzyskania władzy absolutnej musicie kontrolować te wybory, które pozwalają ludziom kształtować środowisko. Nie jest tak?

Alarum oddychał już spokojnie. Znów otarł wargi, popatrzył na krew plamiącą materiał szaty.

- Generale, mówisz o ideałach - odparł. - Puste słowa o tym i owym. Ja mówię o czymś znacznie bliższym rzeczywistości. Mówię o sile, która w końcu nie potrzebuje obrony. Siła zawsze mówi sama za siebie. Zawsze podporządkowuje sobie to, co słabsze, bez względu na wasze poglądy.

- Tak, istotnie, to stara śpiewka, ujarzmianie. Ale tak samo jest z morderstwem. I gwałtem. I kradzieżą. Z rzeczami, którymi ucziwi ludzie pogardzają i wyrzucają je ze swojego życia, jeśli tylko mogą. Bo wierzą, że człowiek jest zdolny do lepszych postępów.

Patrzyli na siebie, mrugając, jakby stali po dwóch stronach przepaści. Bahn z trudem dostrzegł gniew wrzący pod obojętną fasadą generała, tak dobrze potrafił go ukryć.

- A teraz, ambasadorze, bądź łaskaw zejść mi z oczu! - ryknął Creed.

Alarum zareagował na odprawę eleganckim ukłonem. Był nieco rozbawiony, kiedy wartownicy wyciągali go brutalnie z namiotu.

- Nie rozumiem - odezwał się wreszcie Bahn. Znowu przyglądał się sztyletowi trzymanemu w ręku.

Creed nie zwrócił na niego uwagi. Zaciskając zęby, stał i wpatrywał się w powiewające wejście do namiotu.

- Ten sztylet - powiedział Halahan, ocierając sobie usta - to ceremonialne ostrze Mann.

- Do czego służy?

- Do odbierania sobie życia.

## Rozdział 21

# Spalenie Iglicy

W piątym dniu marszu Imperialny Korpus Ekspedycyjny zszedł do regionu znanego jako Tumbledowns. Przed nim płynęły rwące prądy topniejącej Rzeki Cynamonowej.

Na północy, na tle bladego nieba, wznosiły się czarne, zwieńczone lodem wysokie góry. Na zachodzie Tumbledowns rozciągało się aż po horyzont. Dalej leżały żyzne uprawy ryżu, sady i winnice, otaczające Windrush aż do płaskiej, zachodniej połowy wyspy, zamieszkaney przez większość populacji, gdzie pola pszenicy kołysały się na wietrze, aż po morze Sargassi.

Armia skręciła na południowy zachód, na drogę wzdłuż Rzeki Cynamonowej, która doprowadziła ją do Cichej Doliny i ziem Reach, a stamtąd do starożytnego miasta Tume. Pływające miasto prawdopodobnie obsadził do tej pory silny garnizon. Wszyscy wiedzieli, że trzeba się będzie z nim rozprawić, zanim wojsko ruszy na południe, do Bar-Khos.

To właśnie tutaj, nad Rzeką Cynamonową, żadne bitwy wojska trafiły na swoje pierwsze khosyjskie miasto. Przewodnicy powiedzieli, że nazywa się Iglica, a Imperialni nie musieli pytać dlaczego. Było to miasto na wzgórzu, usytuowane na wysokiej, skalnej skarpie, sterczącej nad Doliną Cynamonową. Otaczał je wijący się mur, który wznosił się i opadał wokół szczytu wzgórza, na którym stały pobielane miejskie budynki. Mnogie iglice z bladego granitu sterczały jak skamieniałe dzidy.

Do wieczoru artyleryjska kanonada rozbiła bramy miasta i piechota imperialna wlała się przez nie na kręte ulice. Przytłoczeni liczbą obrońcy nie zaprzestali walki. Byli to głównie miejscy żołnierze Principari z niewielką domieszką cywilów, którzy rzucali kamienie z dachów albo bronili barykad blokujących główne ulice. Większość mieszkańców uciekała na zachód, nękana przez imperialnych harcówników.

Przez dłuższy czas khosyjski statek latający śmiało szybował nad piekłem plądrowania. Próbował nawet wylądować między wieżyczkami cytadeli, ale trzy ciężkie imperialne statki powietrzne szybko przepędziły go ze sceny.

O bladym zmierzchu Ché zsiadł z zela przed namiotem dowodzenia Sasheen, która siedziała niedbale na krześle polowym obok arcygenerała Sparusa. Wokół nich spoczywali

członkowie jej świty, jedli owoce wyszabrowane w sadach pokrywających dolinę na południowy wschód od miasta. Ich twarze błyszcząły w płomieniach strzelających z miasta w ciemniejące niebo.

Obok Sasheen stało puste krzesło polowe. Kiedy Ché zbliżył się, zobaczył, że spoczywa na nim głowa Luciana; widok, w tym otoczeniu, był groteskowy, niemal komiczny.

Sasheen uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że nadchodzi.

- Widziałeś coś interesującego podczas przejażdżki?

Ché objechał podnóże skały, na której płonąła Iglica, żeby na krótko uwolnić się od ich towarzystwa. Przebył całą krętą drogę pod górę, wiodącą do bram miasta, wokół których kręciła się imperialna piechota, i zatrzymały go stosy trupów złożonych tuż za wyłamanymi wrotami, odór śmierci unoszący się w powietrzu, krzyki i wrzaski, które nadal było słychać w mieście.

Postanowił wrócić, po drodze minął Romano. Młody generał i jego koteria jechali, żeby zabawić się w mieście.

- Zdaje się, że uratowano kilka spichrzów - oznajmił matronie. - Właśnie wyjeżdżają wozy.

Siedzący obok Sasheen Sparus z zadowoleniem kiwnął głową. Dodatkowe zboże musiało być skarbem dla generała dowodzącego armią tej wielkości.

- Usiądź, proszę - powiedziała Sasheen. - Wyglądasz na zmęczonego. - Odwróciła się do jednego ze swoich adiutantów, który pospiesznie zwolnił krzesło.

Ché niechętnie usiadł na nim, czekał tylko, żeby wrócić do swojego namiotu i swoich książek. Gorąco płonącego miasta było dotykalne nawet tutaj. Wśród członków świty byli Sool i trzej inkwizytorzy Monbarri, a także bliźniaki, Guan i Swan, chociaż żadne na niego nie spojrzęło. Guan stał, patrzył na Iglicę i poruszał bezgłośnie wargami. Nabożnie ścisnął w rękach piłkę najeżoną szpikulcami. Za nim siedziała Swan, głaskała brązowego szczeniaka, który leżał jej na kolanach.

Ché zauważył, że tego wieczoru nie było wina. Wreszcie zapanował poważny nastrój, jakby widok płonącego miasta nagle wtrącił ich wszystkich w trans.

Z pobliskiego krzesła rozległo się niespodziewane krakanie. To był Lucian, czoło miał zmarszczone z bólu, albo z powodu cierpień które przeżywał.

- Gdzie. Jesteśmy? - wybełkotał powoli. W jego szklistych oczach odbijał się ogień.

- Mówiłam ci - odpowiedziała niecierpliwie Sasheen, jak do dziecka. - Jesteśmy na Khos. A tam, na wzgórzu, to Iglica.

- Więc. Nie. Lagos.

Sasheen zachichotała, w uszach Ché zabrzmiało to obrzydliwie.

- Lagos nie ma, Lucianie. Postarałeś się o to, pamiętasz?

Głowa wychrypiła coś niezrozumiałego, a Ché odwrócił wzrok.

Nadjeżdżał konny, za sobą prowadził drugiego zela dźwigającego coś długiego, owiniętego w płótno. Kiedy Ché podjechał bliżej, rozpoznał Alaruma. Wąską twarz ocieniał mu kielkujący zarost. Wstrzymując wierzchowca, mistrz szpiegów pozdrowił ich uniesioną ręką.

- Mielicie dużo roboty - powiedział, rzucając okiem na płonące miasto. Twarz miał z jednej strony posiniaczoną, na wardze, tam gdzie była przecięta, utworzył się strup.

- Ty też, sądząc po wyglądzie - zauważył Sparus. - Przedstawiłeś warunki?

Alarum skinął głową i powoli zsiadł z siodła. Zachwiał się, stając.

- Samemu Creedowi?

- Oczywiście. No, tak. Jego odpowiedź nikogo nie zdziwi.

Sasheen nadal niedbale siedziała.

- On ci to zrobił?

- Nie. To Halahan, z Szarych Kurtek. Drażniłem ich, na ile mi tylko starczyło śmiałości. Ich nastroje stały się... - machnął ręką, szukając właściwego słowa - ...przejrzyste.

- I? - zapytał Sparus.

- Najpierw pić. To była długa i męcząca droga. Nie zatrzymywałem się od wielu godzin.

- Później. Teraz mów.

Alarum uniósł brwi, zmęczonym ruchem położył ramię na siodle.

- Creed jest pewien siebie. Nie pytajcie dlaczego, bo armię ma małą, tak jak nas informowano. Powiedziałbym, że zamierza spotkać się z nami w polu.

Sparus przysłuchiwał się każdemu słowu z napiętą uwagą.

- Stan jego zdrowia?

- Wyglądał rześko. Zdolny do walki.

- A co z moim podarunkiem? - wtrąciła Sasheen. - Jak go przyjął?

Mistrz szpiegów uśmiechnął się, chociaż wyglądało to zaledwie jak drgnienie.

- Och, przyjęli to dobrze. Najpierw trochę mnie pobili, potem zrobili mi wykład na temat wszystkich naszych występków. Creed dał mi to w charakterze odpowiedzi.

Alarum podszedł do jucznego zela, jakby nogi miał z drewna, i odwiązał długi pakunek przytroczony do boków zwierzęcia.

Rozwinął go na trawie przed nimi. Ché przyglądał się razem z innymi.

To była charta, słynna włócznia mercjańskiej chartassy.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Sasheen i Sparus po prostu patrzyli.

Rozległ się suchy kaszel. To był Lucian, kaszłał tak długo, aż zaczęło to przypominać śmiech.

Sparus nie zwrócił na niego uwagi. Lucian nie ustawał, śmiał się dziwnie, aż Sasheen rzuciła się na byłego kochanka, poczerwieniała na twarzy, i kopnęła krzesło. Głowa, która na nim leżała, potoczyła się parę stóp po trawie. Zatrzymała się, mrugając oczami zwróconymi ku niebu. Brązowy liść przylgnął jej do policzka.

- Odstawić go, gdzie jego miejsce - rozkazała, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Ché wykorzystał okazję, żeby wstać. Zrobił krok nad chartą i zatrzymał się przy głowie. Schwycił ją za włosy i podniósł. Była cięższa, niż się spodziewał. Zaniósł ją do namiotu, odchylił zasłony w wejściu i wszedł do cienistego wnętrza.

Podszedł do wnęki z tyłu, gdzie na piedestale stał słoje królewskiego mleka. Ostrożnie postawił głowę na piedestale i odkręcił przykrywą słoja.

Podniósł głowę tak, że ich spojrzenia się spotkały. Oczy Luciana były żółtawe.

- Jak się czujesz? - zapytał go Ché.

Lucian skupił wzrok na jego twarzy.

- Zmęczony - powiedział. - Nie. Mogę. Spać.

- Może właśnie śpisz. Może to wszystko to tylko koszmar.

Lucian zamrugał, jakby powoli wracała mu przytomność.

- Zakończ. Mój. Wstyd.

Ché westchnął, nachmurzył się, ale się nie ruszył.

- Błagam. Cię. - wykrakał Lucian.

Ché wyciągnął rękę i zdjął liść z policzka Luciana. Ciało było chłodne w dotyku. Ostrożnie umieścił głowę w słoju królewskiego mleka. Lucian przypatrywał mu się, zanurzając się pod powierzchnię.

Ché stał przez chwilę, patrzył, jak kilka bąbelków wzniosło się ku powierzchni. Powoli, z lubością, oblizwał koniuszki palców, czuł drzenie nagłego przyływu, przenikała go witalność.

Odwrócił się, zostawił słoje tam, gdzie jego miejsce, zanurzony w cieniu.

\*

Ash siedział samotnie w nocy, patrzył przed siebie, na namioty taboru i na obóz armii imperialnej rozbity obok ruin nadal płonącej Iglicy.

Żołnierze tej nocy zachowywali się hałaśliwie, byli pijani przeprowadzoną za dnia akcją i łupami, które zdobyli podczas plądrowania. Już zaczęli wymieniać dobra z prostytutkami i kupcami z taboru; dotyczyło to również niewolników, prowadzonych w milczących szeregach do handlarzy żywym towarem i ich okratowanych wozów.

Ash rozmyślał o oporze stawionym przez miasto. Wydawał mu się bezsensowny, bo przecież nie mieli szans wobec dział armii imperialnej. A jednak mały kontyngent żołnierzy obsadził mury miejskie i walczył, póki ostatni z nich mógł utrzymać się na nogach.

Może po prostu mieli nadzieję spowolnić postępy najeźdźców o dzień, dwa. Może za cenę własnej śmierci kupili czas dla innych; dla miejskiego ludu uciekającego na zachód; dla kłosyjskiej armii, o której już rozgłaszano, że maszeruje w szybkim tempie na spotkanie z nimi.

Kiedyś miasta Rewolucji Ludowej robiły tak samo, przynajmniej niektóre. Próbowaly powstrzymać nadciągające siły panów, podczas gdy Armia Rewolucyjna gotowała się do ostatecznej bitwy na Morzu Wiatru i Traw, jednak w końcu ich poświęcenie, ich długa wojna podjazdowa poszły na marne.

- Na marne - powiedział na głos Ash, potrząsając tykwą na myśl o słowach, które wypowiedział.

Zgrzytnął po pijacku zębami, zadrżał i się wyprostował. Obok, w skalistym łożysku, wartko płynęły czarne w nocy wody strumienia. Siostry Straty i Tęsknoty były w pełni. Wisiały obrzękłe od krwi nad płonącym miastem. Zły omen, pomyślał.

Ash żywił głęboki podziw dla osiągnięć Wolnych Portów. Dalece przewyższały wszystko, o czym marzyli ludzie w Honshu. Ale jakaś jego część wiedziała, że wcześniej czy później nadejdzie ten dzień. Był aż nazbyt świadom, jak krucha jest wolność; samotny płomyk ochraniający dziecięcymi rączkami, w świecie, w którym ciemność żerowała na jasności.

W głowie mu pulsowało, ścisnął ją z warknięciem. Kiedy plądrowano miasto, bóle wróciły, a wraz z nimi drzenie rąk. Ash zapłacił małą fortunę w monetach za flaszkę ognia Cheem, zanim wrócił na trawiasty brzeg strumyka. Chciał sobie kupić ciepło i przytłumić ból.

Upił kolejny długi łyk, patrzył na gwiazdy nad pośledniejszą konstelacją ognisk w dolinie. Oko Ninshi świeciło jasno i czerwono pod kapturem. Nie mrugało.

Myślał o Nico w taką noc jak ta, wysoko, u podnóży wzgórz Cheem. Myślał, jak upijali się razem przy ognisku.

Znowu się napił.



## Rozdział 22

# Cicha Dolina

Tego ranka Ché obudził się wcześniej. Przycupnął w namiocie i posmarował wysypkę na ramionach maścią rumiankową od matki. Nie spał dobrze - zbyt wiele miał w głowie. - Ze sztywną szyją popatrzył zza płachty w wejściu do namiotu, spragniony wątłego światła świtu i widoku na dolinę przyprószoną śniegiem, który kilkakrotnie spadł tej nocy.

Przy takiej pogodzie przygotowanie do wymarszu zajmie wieczność wojsku i ciurom obozowym. Na dworze ostry wiatr szarpał płócienne namioty obozowiska. W powietrzu unosiły się liście i śmieci. Zele były nerwowe, przepychały się w zagrodach, próbując znaleźć ciepłe i osłonięte miejsce w środku stadka. Z rzadka ludzie brodzili w śniegu do latryn, przytrzymując na głowach kapelusze i kaptury.

Przez otwarte wejście do namiotu zobaczył, jak obok przechodzą Swan i Guan. Guan spojrział bez wyrazu, był teraz spokojny. Ale Swan zajrzała do niego i przelotnie się uśmiechnęła.

Ché postawił słoik z maścią na łóżku i opuścił rękawy. Usiadł, przez chwilę się zastanawiał.

Sprawdził, czy ma nóż w pochwie na kostce u nogi, wstał i wyszedł. Zobaczył, że bliźniaki wchodzą do jednej z zagród dla zeli. Ich namiot stał niedaleko jego namiotu. Kiedy do niego doszedł, zajrzał do środka.

Rozejrzał się po wysprzątanym wnętrzu i przyskoczył do plecaków opartych o prycze. W pierwszym znalazł cywilne ubranie mocno przewiązane szpagatem, egzemplarz *Księgi Kłamstw* gęsto zapisany notatkami i dziennik z rysunkami i opisami Khos. Odsunął się, kiedy na dnie znalazł małą drewnianą szkatułkę z truciznami, taką samą jak jego.

Spojrzał za siebie, żeby się upewnić, że jest sam. Szybko przeszukał drugi plecak. Wyciągnął płócienną torbę z małą fiolką. Był w niej gęsty, złoty płyn. Wyciągnął korek i ostrożnie powąchał.

Ścisnął fiolkę w dłoni i szybko wyszedł.

\*

Nadal byli w zagrodzie, kiedy do nich podszedł. Wycierali grzbiety zelów garściami

trawy. Guan mruknął coś do siostry, kiedy zobaczył nadchodzącego Ché. Uśmiechnęła się i znów spoważniała.

- Wiem, kim jesteście - warknął Ché, wciskając Guanowi fiolkę w dłoń. Guan spojrzał na fiolkę, potem na siostrę.

Z głośnym śmiechem złapała w garść grzywę swojego zela i wskoczyła na jego nagi grzbiet. Chwilę później Guan zrobił to samo.

- Jedź z nami na spacer - powiedziała Swan do Ché i zanim zdążył odpowiedzieć, wbiła pięty w boki zwierzęcia i ruszyła, jednym susem przeskakując przez płot zagrody. Brat poszedł w jej ślady.

Ché wydał gardłowy pomruk. Schwycił za grzywę najbliższego zela i wskoczył mu na grzbiet; pognął go naprzód. Zel skoczył przez płot zagrody z podwójnym stukotem kopyt. Gonił za bliźniakami, które wyjechały pędem za palisadę i otaczający ją obóz akolitów. Bryły śniegu wylatywały spod kopyt wierzchowców, jak rozpraszane pędem ptaki.

Teren za obozem nadawał się do jazdy, ale wiatr był tak silny, że rozmazywał mu łzy na policzkach. Na pół oślepiiony, z nisko opuszczoną głową, poganiał piętami zela. Doganiał ich, kiedy wjeżdżali do małego lasu. Kaptur mu spadł, obnażając głowę. Schylił się jeszcze niżej, kluczył między sękatymi pniami, czuł jak liście i gałązki drapią mu twarz.

Bliźniaki jadące z przodu przeskoczyły przez źródło, skręciły i pojechały wzdłuż brzegu strumienia. Ché zatoczył koło w lewo, żeby ich odciąć. Też zmusił zela do skoku nad strugą i zbliżył się do nich w pełnym galopie.

Uda mu płonęły, kiedy zrównał ze Swan. Smagnęła go ułamaną gałęzią i roześmiała się, kiedy odepchnął ją ręką.

Z lewej strony podjechał Guan, wymachując nad nim gałęzią trzymaną w ręce. Przygotowywał się, żeby go uderzyć. Ché uchylił się i poczuł, jak gałąź przelatuje mu tuż nad szczecina na głowie.

Mocno pociągnął zela za grzywę, zwierzę zatrzymało się, stając dęba. Przebiegło kilka kroków i zatrzymało się, z nozdrzy buchała mu para. Ché stanął, nie ruszał się. Bliźniaki zatoczyły powoli koło, zbliżając się do niego. Poruszały się na niezależnych orbitach, żeby znaleźć się po jego dwóch stronach.

Ché tylko patrzył, raz na jedno, raz na drugie, i czekał.

Wreszcie podjechały razem i zatrzymały się przed nim. W krępującej ciszy zele pochyliły pyski do ziemi i zaczęły skubać długą trawę wystającą ze śniegu.

- Sok z dzikiego drzewa - powiedział Ché, wskazując głową na Guana. - Tłumi odruchy gruczołu pulsacyjnego.

Jego słowa wywołały tylko rozbawienie na ich twarzach.

- Daj spokój - odparła Swan w imieniu brata. - Myślałeś, że jesteś jedynym dyplomata uczestniczącym w tej kampanii?

- Tak mi kłamliwie powiedziano, a ja uwierzyłem - odparł kwaśno. - Czy matrona o tym wie?

- Oczywiście, że wie - potwierdził Guan.

- Jakie macie rozkazy?

Cisza; wiatr świszczwał mu w uszach.

- Jesteśmy tutaj jako wsparcie, nic więcej - rzekł Guan, a Swan rzuciła bratu ponure spojrzenie.

Ché odchylił się do tyłu. Siedząc na zelu, przyglądał im się po kolei. Starał się oddychać spokojnie, oczyścić umysł.

Nie pytają mnie o moje rozkazy, pomyślał.

- Wiecie, jakim zadaniem mnie obdarzono - wyjął na głos.

Guan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Swan kopnęła swojego zela, żeby pojechał naprzód, i odepchnęła brata w bok.

- Zdaje się, że praca ci ciąży, Ché - powiedziała Swan. - Czy nie daje ci zasnąć w nocy? Rzucasz się i wiercisz?

Przyglądał się jej wnikliwie, widział, że jej ładne zazwyczaj rysy twarzy uleciały teraz z wiatrem, zastąpiła je ściągnięta maska pogardy.

- Wykonujemy rozkazy - nie ustępowała. - Będzie z korzyścią dla ciebie, jeśli zaczniesz robić tak samo.

- Co? Wątpicie, że je wykonam, jeśli będzie się tego ode mnie wymagać, o to chodzi?

- Nie wyglądasz na pewnego siebie. Co sądzisz, Guan?

Brat, który o czymś myślał, powiedział:

- Może brakuje mu oddania. Może nie wkłada już w to serca.

- Dowiodłem swojej lojalności - odparł z żarem Ché. Pożałował tych słów, ledwie je wymówił.

- Och, proszę - jęknęła Swan. - Jakby Sekcja kiedykolwiek stawiała na lojalność. Powinieneś wiedzieć, o czym wiedzą wszyscy, co się dzieje, kiedy dyplomata zbłądzi, wykonując misję. Twoja matka jest Sentiatką, prawda? Hm, zniknięcia dziwki nikt nie zauważy.

Ché zamrugał, była to jedyna oznaka świadcząca o tym, że nagle wezbrał w nim gniew. Wściekłość ożywiła go, sprawiła, że się skoncentrował.

Nachylił się do niej, przymrużone oczy miał jak szparki.

- Jeśli po mnie przyjdziecie - powiedział wprost - was pierwszych wyznaczę do szlachtowania.

Odwrócił zela i truchtem odjechał. Chciał znaleźć się jak najdalej od nich.

\*

Tego poranka wczesne słońce wzniosło się nad równiną pobielanej pustki, na której ludzie zaczęli się wyłaniać z przygniecionych śniegiem namiotów, jak armia zmarłych, wstająca z zamrzniętej ziemi.

Ash widział swój oddech - rozwiewał go wiatr. Skulił się pod zimnymi ukąszeniami powiewów i pomyślał: „Cholernie wcześniej jak na śnieg”.

Ból głowy zmniejszył się do tępego pulsowania, ale kac po poprzednim wieczorze nie ustąpił. Powoli poszedł w stronę obozu. Usłyszał krzyki smutku zmieszane ze zwyczajną dzienną krzątaniną. Nocą kilku zmarło - głównie starsi i ci, którzy już byli chorzy. Ludzie trudzili się, żeby wykopać groby w zamrzniętej ziemi.

W kantynie prowadzonej przez męża i stadko żon kupił sobie na śniadanie pastę wątrobianą, podplomyk i kubek *chee*. Zapasy mieli zgromadzone z tyłu wozu podpierającego daszek, pod którym gotowali. Rzeka Cynamonowa częściowo zamrzła przez noc i ludzie wokół niego mamrotali o nagłej zmianie pogody. Martwili się, że to coś więcej niż krótkie ochłodzenie, że być może nadeszła wczesna zima.

Długo trwało, zanim armia była gotowa do wymarszu.

Pierwsi wyjechali harcownicy i lekka kawaleria. Już ich nie było, zanim zebrała się reszta wojska. Dyszące parą kompanie, jedna po drugiej, wychodziły na biegnącą dnem Doliny Cynamonowej drogę. Pozostawał po nich zdeptyany na błoto śnieg. Dalej ruszyła Święta matrona z akolitami, chroniona osłoną kawalerii. Zanim tabor wreszcie zaczął się ruszać, wojsko wyciągnęło się w cienką kolumnę pod chmurami tak ciemnymi, że w każdej chwili groziły śniegiem. Cena ubrania wzrosła trzykrotnie w ciągu godziny. Podążając drogą, doszli wreszcie do Cichej Doliny, która skierowała ich na zachód, w stronę Tume i zalewiska Reach. Dolina, w najszerszym miejscu, miała pięć laqów, wzgórze i góry na południe od niej były ledwie widoczne z płaskiej równiny pełnej uprawnych pól i opuszczonych gospodarstw. Rzeka Cynamonowa rozszerzała się, meandrując jej środkiem. Było cicho, zgodnie z nazwą, słychać było tylko poszum wiatru wywołujący poczucie samotności i ogromu.

Późnym popołudniem procesja zaczęła się zbijać w tłum, ci z tyłu wpadali na idących na przodzie. Wojsko z jakiegoś powodu stanęło. Wkrótce, wzdłuż kolumny, rozeszły się plotki, że dostrzeżono armię khosyjską.

Pierwszy Korpus Ekspedycyjny zaczął przygotowywać się do bitwy.

Grupie rancherów pozwolono oddalić się od stad. Pogalopowali naprzód, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Przytrzymywali runda kapeluszy i, pokrzykując, dla animuszu popędzali ziele. Reszta taboru ustawiła się w wielkie koło, którego granice zakreślały wozy. Ludzie zbroili się w co kto miał. W pół godziny ceny oręża skoczyły pięciokrotnie. Zapanowało napięcie.

Wkrótce wrócili ranczerzy, zatrzymała ich żadna wiadomości cizba. Owszem, pokazała się armia, ale tak niewielka, że nie warto się tym przejmować.

Ciury obozowe zaczęły w podnieceniu trajkotać.

- Kiedy dojdzie do starcia? - ktoś się dopytywał.

- Jutro rano - odparł jeden z ranczerów. - Dziś wieczór odpoczną i przygotowują się, zaatakują o pierwszym brzasku.

- A jeśli nas pierwszych napadną? - zza pleców tłumu dobiegł spokojny głos Asha.

Roześmieli się, myśląc, że to żart.

Nastroje uspokoiły się, kiedy ludzie się dowiedzieli, na czym stoją. Większość zaczęła rozmawiać o zyskach. Pole bitwy po walce może być miejscem bogatego połowu. Z pożądaniem w oczach usiedli więc wokół ognisk. Czekali.

## Rozdział 23

# Niedźwiedzia Kurta

- Sporo ich - od niechcienia zauważył Halahan. Dym z fajki wydobywał się spod runda jego słomianego kapelusza.

Po generale Creedzie nie było widać, żeby słuchał. Stał w chłodnym zmierzchu na punkcie obserwacyjnym nad doliną, długie włosy wisiały mu nieruchomo nad kołnierzem futra, oczy wpatrywały się w odległy obóz Imperialnych, w roziskrzone setki ognisk.

Bahn i inni oficerowie sztabu czekali w milczeniu, kolory dnia powoli blakły. Wczesne gwiazdy już przebijały się pomiędzy chmurami, których pokrywa zmniejszyła się w ciągu ostatniej godziny i nie zapowiadała opadów śniegu.

Armia imperialna rozłożyła się na noc wzdłuż odcinka drogi wokół wioski o nazwie Chey-Wes. Jak okiem sięgnąć, zajmowali drogę i okalające ją płaskie dno doliny, ograniczone od północy nurtem Rzeki Cynamonowej i jeziorem Hermetes, a od południa cienką wstążką wysokiego gruntu, jedną z kilku, które biegły prostopadle do środka doliny, jak żebra wieloryba.

- Wokół głównych sił nie ma umocnień ziemnych - powiedział Halahan, unosząc złamaną gałąź, którą się podpierał, żeby dźgnąć nią w kierunku odległego obozu. Ociupinka śniegu spadła z jej końca. - Sądzą, że liczba zapewnia im bezpieczeństwo.

Bahn wysłuchiwał tych uwag w milczeniu. Drżał i nie wstydził się, że to coś więcej niż tylko chłód zbroi. Odwrócił wzrok od straszego widoku sił inwazyjnych i spojrzał za siebie, na zachodzące słońce. Długo rozkoszował się tą chwilą, jakby miała być ostatnią. W coraz słabszym blasku armia khosyjska rozbijała na noc własny obóz, niewielki, chroniony fałdą ziemi, tą, na której stali oficerowie. Daleko z tyłu Bahn rozpoznawał światełka Tume odbijające się w jeziorze Simmer.

Oficerowie czekali, aż Creed coś powie, wyda rozkaz, ale on nadal był głęboko zatopiony w myślach, napinał mięśnie szczęk, ze skupienia zgrzytając zębami.

Bahn, jako adiutant Creeda, znał zalety wszystkich tych mężczyzn, kątem oka przyglądał się każdemu z nich po kolei. Generał Nidemes, dowódca Hoo, jego stary rywal, generał Reveres z Czerwonej Gwardii, dwaj siwowłosi weterani, którzy mogliby być braćmi,

tak byli podobni z twarzy. Pułkownik Choi z Wolnych Ochotników, Coraxianin z urodzenia. Major Bolt, dowódca Operacji Specjalnych armii lądowej. Pułkownik Mandalay z Lansjerów, armijnego kontyngentu kawalerii. I Halahan, który stał bliżej Creeda niż pozostali.

Wszyscy nosili na szyjach sobie gogle, bezcenny element wyposażenia wykonany z soczewek odlewanych na Niebiańskich Wyspach. Wszyscy mieli na zbrojach peleryny, brudne po trzech dniach forsownego marszu. Mocno się nimi otulali. Nikt nie wyglądał na zadowolonego, że tu jest. Poza Halahanem.

- Bracia, jest nas sześć tysięcy - oświadczył Creed, odwracając się tyłem do armii imperialnej. - Razem wzięwszy, stoimy przed sześciokrotnie liczebniejszym przeciwnikiem. Mogę wam teraz powiedzieć, czego dowiedzieliśmy się od schwytanych zwiadowców, z których wielu jest weteranami kampanii na Lagos i w Wysokim Pashu. Są dwa tysiące mannijskich akolitów. Co do kawalerii, liczby nie są jasne. Sądzymy, że podczas podróży stracili wiele zelów. Mają okazały kontyngent luczników i strzelców z karabinami. Do tego, oczywiście, należy dodać artylerię. Mają dziesięć ciężkich dział na jedno nasze.

- Proszę o opinie.

Generał Reveres z Czerwonej Gwardii odchrząknął i jako pierwszy zabrał głos.

- Okopimy się tutaj i wydamy bój powstrzymujący. Nie pokonamy ich w otwartej bitwie, skoro mają tyle armat.

- Z równym powodzeniem mogliśmy zostać w Bar-Khos - zakpił generał Nidemes.

- Nie zgadzasz się? - zapytał Creed.

Nidemes patrzył twardo, bez mrugnięcia.

- Absolutnie. Powinniśmy zaatakować ich o pierwszym brzasku. Zupełnie się nas nie spodziewają. Jeśli będziemy mieli szczęście, możemy trafić na nieprzygotowane stanowiska artylerii.

- Nadal mają czterdzieści tysięcy ludzi zdolnych do walki, z którymi trzeba się będzie zetrzeć.

Na Nidemesie nie zrobiło to wrażenia.

- No to co? Na Coros też ich było więcej.

Generał Creed nosił na zbroi ciężką niedźwiedzią skórę. Mocniej się w nią owinął i w milczeniu skrzyżował ramiona.

- Zgadzam się z Reveresem - powiedział Choi, brodaty, jasnowłosy pułkownik Wolnych Ochotników. - Powinniśmy się tutaj okopać i powstrzymywać ich tak długo, jak tylko się da. Sam powiedziałeś, że naszym zadaniem jest zyskanie na czasie.

- Pułkownika Halahan? - Creed zagadnął starego przyjaciela.

Pułkownik odpowiedział wilczym uśmiechem.

- Generale, wiesz, jak widzę nasze działania.

Creed znów zamilkł, myślał.

- Wiesz, jak zabiłem tego niedźwiedzia? - nagle zapytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i rozłożył futro, żeby je pokazać. - Gonił mnie, kiedy przeszukiwałem pułapki na ryby, które ojciec założył w strumieniu. Byłem chłopcem, miałem z sobą nóż do patroszenia, małe cacko, jakieś dwa razy większe niż to. - Spojrzał w dół, na zagięty sztylet, wiszący mu na piersi, mannijskie ostrze ceremonialne, które zabrał z sobą, z sobie tylko wiadomych powodów.

- Nie muszę wam mówić, że mało nie zemdlałem ze strachu. Prawdę mówiąc, przez całą wieczność nie byłem w stanie się ruszyć. Ale kiedy serce znów zaczęło mi bić i zobaczyłem, że niedźwiedź włamuje się do pułapek, bardziej przestraszyłem się tego, co zrobi ojciec, jak się dowie, że stałem i nic nie robiłem. Więc rzuciłem się na niedźwiedzia, próbowałem go wypłoszyć, jeśli możecie sobie to wyobrazić. To była chyba najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. I wtedy złapał mnie zębami za ramię i próbował je wyrwać. Ale miałem przecież nóż w ręku. Broniełem się nim. Potem, pamiętam, że leżałem na ziemi i krew ze mnie tryskała, a niedźwiedzia nie było. Dopełzłem do gospodarstwa, uratowali mi rękę. A następnego dnia ojciec poszedł wzgórzami za niedźwiedziem i znalazł go o kilka laqów od połamanych pułapek. Wykrwawił się na śmierć od ran kłutych na szyi. Było mi przykro, kiedy to usłyszałem. Ale byłem też dumny.

Creed przechylił głowę w bok i popatrzył na nich.

- I tak postąpimy tutaj, z najeźdźcami - oświadczył. - Zbliżymy się i rzucimy się im do gardeł, kiedy będą próbowali wytłuc z nas życie.

- Sir? - powiedział zaskoczony Bolt.

- Zaatakujemy. Zaatakujemy dziś wieczorem, kiedy będą jeszcze kulić się w swoich namiotach i czekać na słońce.

Wokół Bahna oficerowie zaczęli przestępować z nogi na nogę. Bahn poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Pułkowniku Mandalay!

Oficer kawalerii stanął na baczność.

- Sir.

- Twoi żołnierze mają podejść pod pozycje nieprzyjaciela. Jak tylko zostaniecie zauważeni, szarżujcie na obóz, rozumiano?

- Generale - odparł po chwili Mandalay.



- Nie zwlekajcie. Idźcie prosto przez obóz, aż dopadniecie taborów. Zniszczcie, ile się da, kiedy tam dojdziecie. Szukajcie przede wszystkim wozów z prochem. Kwatermistrz wyposaży was do tego zadania w bomby zapalające. A jeśli się uda, rozegnajcie także to, co zostanie z ich zeli.

Ciężka sprawa, pomyślał Bahn. Skóra na twarzy Mandalaya się napięła.

- Majorze Bolt. Specjalni pójda tuż za szarżą kawaleryjską. Nieprzyjaciel będzie zaalarmowany, zanim dotrzecie do obozu. Musimy mieć nadzieję, że nadal będzie tam panować zamieszanie. Twoim zadaniem jest utrzymanie tego zamieszania i powstrzymanie ich przed łatwym sformowaniem szeregów dopóty, dopóki nie uderzy główny korpus piechoty.

Bolt pokiwał głową, miał kamienny wyraz twarzy. Doskonale, pomyślał Bahn, jak na człowieka, który właśnie dostał samobójczą misję.

- Chciałbym pozostawić swoich medyków z siłami głównymi - poprosił Bolt. Nie powiedział dlaczego.

Creed wyraził zgodę.

- Nidemes. Reveres.

Obaj generałowie czekali w postawie na baczność.

- Główne siły pójda za tymi działaniami w formacji klina. Generale Nidemes, jeśli pozwolisz, chciałbym, żeby Hoo zajęli centrum. Generale Reveres, chartassa Czerwonej Gwardii zajmie pozycje na skrzydłach. Przelamiemy się przez ich linie i pójdziemy prosto do imperialnego sztandaru. To jest gardło, do którego musimy się rzucić. Idziemy po matronę w jej własnej osobie. Pułkownik Halahan, mamy raporty o pozycjach moździerzy na grzbiecie wzdłuż południowego skrzydła. Ty i kompania twoich Szarych Kurtek zostaniecie zrzućni za liniami Imperialnych. Zdobądźcie ten grzbiet za wszelką cenę, powtarzam, za wszelką cenę. Wysoko położone miejsca musimy mieć dla siebie.

Generał Creed, Lord Protektor Khos, patrzył na swoich oficerów z napiętą uwagą. To, co powiedział, było jak najlepsza, podnosząca nastroje mowa przed bitwą, gdyby kiedyś jaką wygłosił. Nie był z tych, którzy zepsuliby wrażenie gładkimi słowami o zwycięstwie i obowiązku, gdy prosił ludzi, żeby oddali życie pod jego dowództwem.

- Pytania?

Bahn czekał, czy ktoś jeszcze zabierze głos.

- Nasze działa - powiedział wreszcie. Język miał suchy jak wiór. - Co z naszymi działami?

- Niewielki będzie z nich użytek, jak tylko zacznie się bitwa. I będą narażone na

niebezpieczeństwo. Lepiej, jak wyślemy je do Tume wraz z resztą bagaży. Coś jeszcze?

Nadal nikt się nie odzywał. Halahan, stojąc u boku generała, z cichym rozbawieniem obserwował skrzępowane milczenie. Przygarbił się lekko nad kawałkiem drewna, o który się opierał; wykorzystał swój ciężar, żeby wkręcić koniuszek głęboko w śnieg. Pochylił głowę na bok.

- Tak, generale - rzekł, wydmuchując dym z fajki, wreszcie zwyczajne ziele. - Tak sobie myślałem, po co nosisz ten cholerny mannijski nóż na szyi. To wszystko.

- Po co? - odparł Creed z błyskiem w oku. - Bo, pułkowniku, jeśli dotrzemy do samej matrony, mam zamiar poderznąć nim to jej cholerne gardło.

## Rozdział 24

# Szczęk oręza

Asha obudziło dudnienie ziemi. Natychmiast rozpoznał ten dźwięk.

Stary Rōshun zerwał się ze schowanym w pochwie mieczem w dłoni i przyjrzał się stojącym w kolisku wozom. Jeźdźcy przedzierający się przez noc. Ostrzegawcze okrzyki rozbrzmiewające za nimi.

Jakiś zel przeskoczył przez dyszel wozu, wyrzucił pecyny śniegu spod kopyt, kiedy stanął na ziemi i odzyskał równowagę. Jeździec ostro ściągnął cugle i Ash zobaczył, że trzyma coś w ręce, coś z płonącym lontem. Rzucił słoik na wóz, który natychmiast stanął w płomieniach.

Czyjś krzyk przeciął noc. Większa liczba jeźdźców wjechała pędem w tabor, rzucając bomby zapalające do każdego wozu, który spostrzegli. Ludzie wrzeszczeli, szukali ukrycia. Jeźdźcy ścinali ich w biegu.

To moja szansa.

Ash poparzył na północ, gdzie namioty obozu matrony świeciły wewnętrznym światłem.

Pobiegł truchtem.

\*

Cholernie głupia pora na latanie. Powietrze w górze było tak zimne, że pokryło lodem wszystko w małej latającej łodzi. Jedwabny pokrowiec u góry, szerokie skrzydełka kontrolne wzdłuż burt, wszystko lśniło jak biały krochmal, a drzewce z tiq i olinowanie wiążące drewniany kadłub z gazową torbą pokryte były zamarznąłą w kryształ wilgocią. Co gorsza, nie można było liczyć na światło, bo pokryte śniegiem dno doliny ogarniała ciemność za każdym razem, kiedy chmura przysłaniała ubywające księżycy, ograniczając widoczność prawie do zera. Dla Halahana przygoda była dzięki temu jeszcze bardziej podniecająca.

- Zimna noc! - powiedział do sierżanta sztabowego, przekrzykując szum silników sterujących.

Żołnierz kulił się wśród innych w samym środku wąskiego pokładu, jak najdalej od relingu. Sierżant sztabowy Jay, nathalski kolega weteran, uśmiechnął się tylko żałośnie,

znowu zamknął oczy i bezgłośnie kontynuował modlitwę.

Halahan niedbale gryzł ustnik niezapalanej fajki i przyglądał się swoim Szarym Kurtkom. Strzelby trzymali pionowo w skrzyżowanych ramionach i drżeli pod kurtkami, ich oczy błyszczały biało w mroku. Kilku przekazywało z rąk do rąk flaszkę z alkoholem, ale nikt się nie odzywał, nie licząc rzadkich szeptów. Wiedział, że wszyscy są dobrzy w boju. Żołnierze, na których może liczyć, wygnańcy z podbitego kraju.

Nad ich głowami popatrzył na odległe ognie imperialnej armii i nieco mocniej przygryzł ustnik.

Jego ojczyzna, Nathal, padła przed laty, przedtem pół życia spędził jako kaznodzieja nauk Erēs, jedności wszystkiego. Teraz Nathal stał się tylko kolejną kolonią Mann, jego lud był wyzyskiwany i uciskany bardziej niż kiedykolwiek przez własnych nathalskich nobilów.

Halahan pomasaował chorą nogę, w której odezwało się pulsowanie z zimna, a może od wspomnień. Zadano mu tę ranę, kiedy Imperialna Czwarta Armia najechała jego ojczyznę. To nieszczęście sprawiło, że odłożył na bok kazania i, o ironio, stanął do walki ramię w ramię z królową Hano i jej wojskami. W przedostatniej bitwie tamtej wojny, nad brzegami Toin, nogę zdruzgotała mu rykoszetująca kula armatnia. Zostawiono go, żeby umarł, kiedy wojsko zostało wyparte. Sam się wyczołgał w ciemności i uratowała go łaskawość miejscowej kobiety z lasu.

Później, kiedy na kraj napadła cała moc okupacyjna Mannu, jego wiara była ostatnią rzeczą, którą stracił.

Halahan przesunął nogę, mrugając z bólu.

Popatrzył na pilota za kołem sterowym. Był opatulony w skóry i szal, nosił zwyczajne gogle lotnicze. Pociągał dźwignię obok steru, strzelając krótkimi seriami z silników sterujących umieszczonych wzdłuż boków kadłuba. Tymczasem inny członek załogi wspinał się po oblodzonym olinowaniu i zmagał się z zamarznąłą pokrywą przepustnicy w samej powłoce. Próbował wypuścić powietrze z jednego z pęcherzy balastowych, żeby obniżyć dziób. Na tym małym statku powietrznym nazywanym powszechnie skudem, pracowało jeszcze dwóch ludzi. Jeden, nieruchomy jak kamień, siedział za obrotową armatką. Obok niego, na oku, ulokowała się kobieta w sowich goglach. Prowadziła pilota po kursie. Milczała, dawała tylko znaki wolną ręką.

Pułkownik patrzył na jej rękawicę żarzącą się w ciemnościach niesamowitym błękitem. Pewnie została zaimpregnowana barwnikiem uzyskiwanym z wodorostów z jeziora Simmer. Odpowiedzią na każdy sygnał był ogień z silników albo skrzypienie lin przy korygowaniu położenia wioseł manewrowych.

Poklepał sierżanta Jaya po ramieniu i poszedł na dziób, przepychając się przez ciżbę. Żadne z dwójga członków załogi nie zwróciło na niego uwagi, oboje z najwyższą uwagą patrzyli nad przednim relingiem. Śmierdzieli potem, ale przecież wszyscy na pokładzie śmierdzieli potem, włączając w to Halahana. Gorsze były wiatry z ich rozluźnionych brzuchów.

Poczują nas, zanim nas zobaczą, pomyślał ironicznie Halahan.

Światła obozu imperialnego przed łodzią powietrzną były coraz bliżej. Dotarły do niego krzyki, ludzie ryczeli z zaskoczenia albo ze strachu. Niski łoskot oznajmiał, że khosyjska kawaleria szarżuje przez ich obóz.

Skud szybko tracił wysokość, zbliżając się do pozycji wroga. Podczas spadku nabierał szybkości. Halahan odwrócił się na szczudle, żeby popatrzeć do tyłu, ponad głowami swoich żołnierzy. Za łodzią zobaczył nieregularne błyski światła na tle nocnego nieba. Któryś ze skudów wystrzelił krótką serię, żeby zostać na kursie, dokładnie za nimi. Razem siedem oddziałów, w każdym po dziesięciu z Szarych Kurtek. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby zdobyć grzbiet i go utrzymać.

Pilot strzelał ogniem z silników jeszcze przez chwilę, ale kobieta na oku podniosła dłoń i zacisnęła ją w pięść.

Pilot wyłączył silniki, w ciszy dryfowali w dół.

Teraz przelatywali nad skrajem obozu. Po lewej Halahan zobaczył drogę wyłaniającą się spod ubitego śniegu, odległą gospodę dla podróżnych, otaczające ją chałupy z rozświetlonymi oknami i niezliczone światła obozu rozjaśniające równinę. Ziemię pokrywały ruchliwe cienie: Specjalni, w czteroosobowych drużynach, biegnący w stronę linii nieprzyjaciela.

Chmura odsłoniła księżyc, ponownie oświetlając sceny na ziemi. Zatrzeszczały rozpórki, działonowy obserwował niebo przed sobą, szukając mannijskich latających okrętów. Łód zatrzeszczał na napiętych linach. Wiejący wysoko wiatr spychał ich lekko w bok, pilot patrzył przez mrok na jarzącą się rękawicę na oku, ale kobieta trzymała ją nieruchomo, nadal zacisniętą w pięść.

To było tu. Grzbiet, wyniosłość terenu wzdłuż południowego skrzydła imperialnego obozowiska, ze zboczami obsypanymi z rzadka mizernymi drzewkami. Skud nadlatywał skośnym kursem, który miał ich przenieść nad najbardziej na zachód wysuniętym krańcem grzbietu, który zmieniał się tam w strome, nieporośnięte drzewami urwisko. Dokładnie pod nimi przemieszczali się żołnierze, wstawali, chwyтали za broń, ale wyglądało na to, że skupieni są na starciach w głównym obozie.

Skud zszedł teraz nisko. Wierzchołki drzew ocierały się o dno kadłuba. Halahan patrzył za burtę, oczekiwanie burzyło mu krew.

Jedna minuta, zasygnalizowało oko.

Szare Kurtki Halahana zgromadziły się przy relingu, obok zwiniętych drabinek sznurowych. Dziób wyrównał i skud zaczął zwalniać. Ale wiatr nadal znosił ich w bok. Halahan spostrzegł kilka wpatrzonych w niego twarzy, ale ich strwożone krzyki niknęły w ogólnym zamieszaniu. Łódź powietrzna przeleciała nad zamrzniętym strumieniem, potem pokrywa śniegu zrobiła się nierówna i popękana, białe kałuże lodu kryły się między kępami bagiennej trawy, aż do podstawy wybrzuszenia. Tutaj nie było nikogo.

Kobieta odwróciła się do ludzi na pokładzie, oczy ukryte miała za sowimi goglami. Dźgnęła kciukiem w dół.

Szare Kurtki natychmiast zrzuciły za burty drabinki sznurowe i zaczęły schodzić. Pierwszy wysiadł z łodzi sierżant Jay. Halahan poprawił kapelusz i zszedł za nim, drabinka chwiała się pod jego buciorami.

Wylądował po kostki w wodzie, stopy przebiły cienki pancierz lodu.

Cudownie, pomyślał. Teraz, przez całą noc, będę miał mokre nogi.

Było tu ciemniej, bo oba księżycy schowały się za wyniosłością gruntu. Wszędzie wokół, w wodę, chlupały kule. Halahan ukucnął między bagiennymi trawami, a jego ludzie rozsypali się w tyralierę i zaczęli odpowiadać ogniem.

Skud, pozbawiony ciężaru ładunku, gwałtownie podleciał do góry. Kilka Szarych Kurtek musiało skakać z końców drabinek. Nadlatywała druga łódź, coraz więcej Szarych Kurtek schodziło po drabinkach. Halahan zobaczył trzecią łódź przelatującą nad strumieniem. Kule ze szczytu wyniesienia pędziły w kierunku dryfujących skudów, zostawiały krótki, ognisty ślad, jak powidok pod powiekami.

- Strzelcy! - krzyknął sierżant Jay, przytrzymując ręką hełm. - Miałem nadzieję, że będą tylko łucznicy!

Pierwsze skudy odpały silniki na pełną moc i zaczęły się wznosić, kierując się w prawo. Ich obrotowe armatki pluły ogniem i kartaczami w obrońców grzbietu. Halahan zobaczył lecące kawały drewna; postrzępiona żółta sosna na zboczu złamała się wpół. Poczekał, aż rozładuje się trzecia łódź latająca; wiedział, że nie ma czasu, by czekać na innych. Dał znak drugiemu i trzeciemu oddziałowi, żeby zaatakował wybrzuszenie. Pierwszy oddział krył ogniem ich natarcie.

Spojrzał na drugą stronę strumienia. Imperialni zbierali się i zmieniali pozycje. Nadlatywały pospiesznie pozostałe łodzie, ich silniki buchały ogniem, Szare Kurtki na

pokładzie strzelały w dół z relingów do zbliżających się żołnierzy.

Sierżant Jay popatrzył na Halahana, kiedy obok nich z brzękiem przebiegły oddziały szturmowe ze strzelbami na plecach i obnażonymi krótkimi mieczami w dłoniach. Kilku było uzbrojonych w pistolety albo miniaturowe kusze. Pod ogniem armat, rozchlapując wodę, biegli w stronę zbocza.

Jay skinął do niego głową.

- Chcę cię zobaczyć na szczycie - rozkazał Halahan. Żołnierz wyciągnął miecz i pobiegł za tamtymi.

Halahan życzył mu szczęścia.

\*

- Pospiesz się, człowieku - warknął Sparus na adiutanta, który wybiegł z namiotu arcygenerała z dwoma niewolnikami pędzącymi za nim. Każdy z nich niósł kawałek zbroi głównodowodzącego.

Sparus stał w bieliźnie, prawie nie zwracał uwagi na chłód, przyglądał się uważnie chaosowi rozprzestrzeniającemu się w obozie na dole.

Khosijska kawaleria szalała teraz w taborach. Kilka chwil wcześniej wyłonili się z ciemności nocy jak armia duchów, kiedy większość żołnierzy Korpusu Ekspedycyjnego spała w swoich namiocikach albo wstawała, zbyt oszołomiona, żeby zareagować. Gdyby kawalerzyści zarzynali się tam, byłoby źle. Ale oni tylko wywołali piekielny zamęt, przerznięli się przez obóz, tworzący wąską i długą linię między jeziorem a odległym grzbietem, i teraz w słabo bronionym taborze płomienie strzelały z płonących wozów.

Khosijscy harcownicy, którzy przyszli za kawalerią, walczyli w samym obozie. Byli dobrzy, kimkolwiek byli, i Sparus widział, jak grupki postaci walczyły pośród jego zaskoczonych żołnierzy, unikając wysepek porządku, gdzie oficerowie, rycząc na żołnierzy, ustawili ich w jakieś formacje.

- Czy to wypad? - zapytał młody kapłan, który zatrzymał się przy nim. Oczy miał opuchnięte od snu. To był Ché, osobisty dyplomata Sasheen.

- Nie - odparł Sparus i popatrzył na zachód, na dno doliny, gdzie w świetle księżyców błyszczała szczecina włóczy. Dyplomata podążył za jego wzrokiem, przyglądał się bez słowa.

- Czy matrona już wstała? - Sparus zapytał jednego ze swoich adiutantów, którzy pomagali mu nałożyć zbroję.

- Dopiero co - odparł znękany adiutant. - Wzięła wywar na sen. Mówią, że mocny.

- Romano?

Adiutant już miał odpowiedzieć, kiedy z namiotu Romano rozległ się ryk. Wszyscy odwrócili się w porę, żeby zobaczyć, jak w śniegu ląduje wyrzucony ze środka akolita. Za nim wyszedł Romano, nagi, z wściekłością w oczach, ścisnął w dłoni krótki miecz. Młody generał potknął się na śniegu i wyprostował. Zobaczył, że Sparus zapina kirys.

- Teraz, w nocy? - krzyknął do niego. - Powiedz mi, że śnię, na litość!

- Śniesz - odparł Sparus. - Wszyscy śnimy.

Romano potarł oko i zaklął.

- Gdzie moja zbroja? - ryknął i, potykając się, wrócił do namiotu.

Arcygenerał Sparus dociągnął ostatni rzemień kirysu i wyrwał z ręki niewolnika nagolennik. Znowu przyjrzał się obozowi; oślepiały go jaskrawe płomienie.

Zaatakowali nas, i to w nocy, myślał w milczeniu.

Stojący obok dyplomata odezwał się, nie spuszczać z oka nadciągającej chartassy.

- Ci Khosyjczycy mają jaja - oświadczył, jakby czytał generałowi w myślach.

\*

Kiedy pułkownik Halahan dotarł na szczyt wybrzuszenia, czekał go tam rozpaczliwy widok. Postawiono tu imperialną piechotę i strzelców, żeby bronili załóg mózdzierzy. Teraz brali udział w walce.

Z ciemności wybiegł na niego imperialny żołnierz, rycząc z zapalem. Halahan wyszarpnął pistolet z bandolieru, odciągnął kurek, który miał przekłuć nabój z wodą i prochem, i wycelował tamtemu między oczy. Pociągnął spust i zobaczył przez chmurę dymu, jak żołnierz pada plecami na ziemię, bez połowy czaszki.

Nie myśląc, przeładował pistolet, złamał go wpół, żeby wyjąć zużyty nabój, zastąpił go innym i zatrzasnął ponownie broń.

Dostrzegł kolejnego żołnierza nadbiegającego z lewej, gdzie Szare Kurtki zwały się w boju wręcz. Halahan znowu wystrzelił i nie chybił.

Pułkownik obserwował przebieg walki, doszedł do wniosku, że nadal szyki są zbyt splątane, żeby obwieścić zwycięstwo. Za nim, u stóp zbocza, oddziały straży tylnej dały ognia do Imperialnych biegnących na nich przez strumień. Bez obaw popatrzył nad ośnieżoną równiną na zachód. Zobaczył błyski stali skoncentrowane wokół maleńkiego jądra migotliwych pochodni. Khosyjska chartassa szła, żeby związać Imperialnych walką.

Znowu przeładował ten sam pistolet, chociaż cztery inne tkwiły w ciepłe za bandolierem. Stał i czekał, starczyło mu czasu, żeby nawet wśród koszmaru walki odczuć dumę z żołnierzy, których miał pod swoją komendą. Ich gniew widać było po sposobie, w jaki walczyli. To była dla nich sprawa osobista. Mieli rachunki do wyrównania, rodziny do



pomszczenia, wspomnienia, które chcieli wypuścić z siebie po ostrzu klingi.

Sprawy odwracały się teraz na ich korzyść. Zobaczył tę decydującą chwilę. Nie odczuł ani ulgi, ani zaskoczenia, czekając, aż nastąpi koniec. Ogarniała go zwyczajna niecierpliwość.

Kiedy rozprawiono się z kilkoma pozostającymi jeszcze przy życiu Imperialnymi, przeszedł między swoimi Szarymi Kurtkami; patrzył, jak do akcji włączają się medycy, żeby zająć się rannymi. Jakiś żołnierz przeklinał i drapał się po oślepionych oczach, przytrzymywany przez towarzyszy broni. Inny stracił rękę; gapił się groźnie na odciętą kończynę leżącą w zdeptanym śniegu, jakby to była żona, która opuściła go z innym.

Gdzie indziej dwóch pathiańskich braci oprawiało nożami rannego imperialnego żołnierza. Robili sobie z tego zabawę, wydobywając jęki z jego ust. Halahan ich nie powstrzymał.

Wyjął zapalną i zapalił fajkę.

Grzbiet należał do nich.

Teraz muszą go tylko utrzymać.

\*

Plomienie strzelały z rykiem w ciemne niebo. Jakiś jeździec rzucił się na Asha z nastawioną lancą. Ash, nie myśląc, podniósł miecz i rozciął lancę na dwoje. Jeździec zawrócił zela i pojechał w głąb taboru.

Ash odbiegł ku płonącym wozom na skraju obozowiska, ale stwierdził, że drogę zablokowała mu nagle grupa ciurów obozowych, którzy byli niedaleko i widzieli jego szybką akcję z mieczem. Zebrali się wokół z nożami i własnej roboty maczugami, najwyraźniej zdecydowani, by pozostać w jego towarzystwie. Ash z trudem uwolnił się ze ścisku. Ryczał i wymachiwał płazem miecza, żeby utorować sobie drogę.

- Z powrotem! - krzyczał na nich, czując, że szanse na dopadnięcie Sasheen maleją z każdą chwilą.

Nie dało rady. Nadal gromadzili się wokół niego.

Ash jednym ciosem zmiażdżył jakiemuś człowiekowi nos i przewrócił go na ziemię. Innego kopnął w rzepekę i mimo hałasu usłyszał, jak trzasnęła. Zszokowani ludzie się rozstąpili.

Dyszał nad dwoma leżącymi na brzuchu ludźmi, widział ciemną krew na brejowatej ziemi. Unosili ręce, próbując odeprzeć kolejne ataki.

Gniew mu mijał, zastępował go wstyd.

Nie mam na to czasu, myślał gorączkowo.

Tłum rozstąpił się przed nim, kiedy pobiegł naprzód.

Nie oglądał się za siebie.

## Rozdział 25

# Na grani

Maszerowali granią. Oddział imperialnej piechoty ze szcepionymi ze sobą tarczami i dobytymi krótkimi mieczami. Zawodowi żołnierze. Ghazni, sądząc z piór chwiejących się na hełmach.

- Trzymać pozycję! - krzyknął Halahan w kierunku swoich Szarych Kurtek, ustawionych w dwóch szeregach wzdłuż przewężenia na grani. Pierwszy szereg osłaniał drugi pożyczonymi tarczami. Halahan nie miał najmniejszych wątpliwości, czy wytrzymają napór. Chciał im tylko przypomnieć, że czuwa i że nie są sami.

To był pierwszy zorganizowany kontratak od momentu, gdy Szare Kurtki zdobyły pozycję nad imperialnym obozem. Tu i ówdzie na zboczach porośniętych mizernymi żółtymi sosnami leżały powykręcane ciała imperialnych żołnierzy, którzy padli podczas początkowych chaotycznych prób odzyskania grani. Później zadowalali się okazjonalnym ostrzeliwaniem pozycji z dział, strzelb, łuków, kusz, od czasu do czasu posyłając granat. Jego własne oddziały rozłożyły się na zachodniej płaszczyźnie grani, tworząc wąski obronny pierścień, i również ostrzeliwali przeciwnika, osłaniając się ciałami poległych i tarczami.

Na środku grani tkwiły moździerze, które Szare Kurtki przejęły podczas ataku. Żołnierze obchodzili się z pociskami delikatnie, niemal czule, jakby to były noworodki. Troskliwie odwijali z wodoodpornych pakietów ładunki, które wyglądałyby jak zwykłe kule strzeleckie w powiększeniu, gdyby nie krótkie lonty wystające z otwartych kartonowych łusek.

Nasączali lonty wodą z manierek, pośpiesznie wrzucali do luf i wskakiwali za wiklinowe umocnienia pozostawione przez imperialną załogę. W chwilę później, gdy ładunek spadał na kolec umieszczony na dnie lufy, następował zapłon czarnego prochu w nagłym kontakcie z wilgotnym powietrzem, rozlegał się huk i z lufy wylatywał odbezpieczony pocisk - zwykły duży granat.

Halahan obserwował ich przez chwilę, a potem odwrócił wzrok. Miał inne, ważniejsze sprawy na głowie, na przykład nieprzyjacielski oddział maszerujący granią.

- Pal! - krzyknął sierżant sztabowy Jay. Pocisk trafił pierwszy szereg nacierającej

piechoty. I skosił połowę Ghaznich. Następne szeregi zaczęły się potykać o rannych i poległych.

Puste miejsca szybko się zapełniły. Imperialni oficerowie zaczęli wykrzykiwać rozkazy, pierwszy szereg znowu stanął w szyku i oddział zaczął przeć do przodu. Kolejna salwa z broni palnej, kolejni żołnierze padli na ziemię. Ale szli dalej. Gdy znaleźli się kilka metrów od przeciwnika, wydali grzmiący okrzyk i ruszyli biegiem. Oba oddziały starły się z brzękiem broni i trzaskiem tarcz. Halahan obserwował potyczkę zza chmury fajkowego dymu. Impet uderzenia oszołomił niektórych żołnierzy, którzy tkwili jak kołki z otwartymi ustami i w najlepszym wypadku moczyli się w spodnie. Niektóre żółtodzioby potrafiły nawet rzucić broń i błagać o litość, rozsądek i zmiłowanie. Patrzył właśnie, jak ginie dwóch nowych, obezwładnionych strachem lub desperacją. Potem trzech. Potem czterech.

Nie przejmował się zanadto i spokojnie obserwował, jak sanitariusze biegli im na pomoc. Zawsze tak było na początku. Co do tych, którzy zginą i zostanie po nich tylko płacz najbliższych - nie miał czasu na sentymenty. Na to przyjdzie czas później. Na dnie butelki.

Padł piąty obrońca. Z kikuta ramienia buchała krew. Linia obrony wygięła się pod naporem.

- Sierzancie! Połowa pierwszego plutonu ma wesprzeć drugi!

Sierżant Jay popędził wzdłuż linii Szarych Kurtek przycupniętych na południowej krawędzi grani, postukując w ramię każdego z żołnierzy. Wstali, dobyli mieczy, złapali tarcze, jeśli były pod ręką, i popędzili do bitwy. Linia obrony prawie się przerwała, ale posiłki nadeszły w samą porę i naprostowały ją z powrotem.

Halahan ruszył spacerkiem w kierunku północnej krawędzi. Rozlokowane tam Szare Kurtki ostrzeliwały przeciwnika z wysuniętych pozycji. Pociski szumiały w powietrzu i trafiały w ziemię tępymi uderzeniami. Nie zwracał na nie uwagi.

W niebo strzeliła flara. Gwizdząc jak fajerwerk i ciągnąc za sobą smugę dymu, oświetliła potyczkę zielonkawym blaskiem. W jej świetle dostrzegł wojennego ptaka unoszącego się wysoko nad wschodnią częścią obozu. Ścigał go powietrzny statek, ostrzeliwując z dziobowego działa.

Grań ciągnęła się z zachodu na wschód nad całym imperialnym obozem, stanowiąc doskonały punkt obserwacyjny. Widać było, że tam w dole źle się dzieje. Rozciągająca się poniżej formacja Khosyjczyków była zbyt długa i wąska: ogromna, mroczna chmura lśniących prostokątów otoczona setkami pochodni i tysiącami przeciwników. Tu i ówdzie załamywała się do wewnątrz, gdzieniegdzie linia była już przerwana. Widział, jak daleko z prawej front kolumny zatrzymał się w marszu. Jak tak dalej pójdzie, nie wytrzymają nawet

pół godziny. Spojrzał zezem w tamtą stronę, oceniając odległość między kolumną a jego pozycjami. Wezwał do siebie kaprała plutonu obsługującego moździerz.

- Curtz - powiedział, wskazując walczących Khosyjczyków i Mannijczyków - to są szeregi wrogów, ścierających się z naszą chartassą. Czy twoje moździerz tam doniosą?

Wysoki chudzielec ocenił odległość, a potem wystawił twarz na wiatr, badając jego siłę. Był sierżantem artylerii w armii pathijskiej i znał się na swojej robocie.

- Tak jest, pułkowniku. Damy radę. Ale trzeba będzie bardzo uważać.

- W takim razie wydaj komendę. Celuj w szeregi tuż przed naszą chartassą.

Po chwili padły rozkazy. Curtz sam oddał pierwszy strzał. Ustawił moździerz i zapisał współrzędne. Potem zmoczył lont, wsunął nabój do lufy i przykucnął. Jego ludzie uciekli za najbliższą osłonę. Huknęło i nabój śmignął w powietrze. Curtz czekał, wpatrując się w równinę w dole. Po długiej chwili wśród mrocznej masy nacierających żołnierzy buchnęły płomienie, nieopodal khosjańskiego frontu. Mistrzowski strzał.

Kapral odwrócił się do Halahana.

- Lepiej nie dam rady.

Halahan zagryzł ustnik fajki.

- Ogień ciągły! - warknął.

\*

Obozowisko matrony było niemal opustoszałe, gdy Ash do niego dotarł. Ruszył za kolumną odzianych na biało akolitów, maszerującą ku imperialnemu sztandarowi, który łopotał w pobliżu linii frontu. Czoło kolumny znaczył kruczy sztandar Sasheen. Na drodze Asha wyrósł jasno oświetlony obóz medyczny. Zmierzały tam całe szeregi sanitariuszy z noszami. W śniegu za głównym namiotem układano zwłoki. Nigdzie nie było widać wartowników.

Ash śmiało podszedł do zwłok jakiegoś akolity i zerwał z niego biały płaszcz, a potem maskę. Spojrzał z ukosa na chirurga pracującego w oświetlonym namiocie. Właśnie odcinał kończynę jakiemuś nieszczęśnikowi, który bredził w delirium.

Ruszył w ślad za matroną, kierując się szczęką broni.

\*

W końcu zaczęli ponosić ciężkie straty. Bahn też dostał strzałę. Przeszyła przedramię i pewnie trafiła w ścięgna, bo nie mógł zacisnąć dłoni w pięść. Paliło go żywym ogniem, więc zaciskał zęby, starając się dotrzymać kroku generałowi Creedowi. W milczeniu znosił zabiegi sanitariuszki.

Nie wszystko było stracone, bo znowu parli do przodu. Szare Kurtki Halahana

ostrzeliwały z grani imperialne wojska i przerzedziły je na tyle, że pierwsza chartassa zaczęła się przez nie przedzierać. Creedowi poprawił się humor, jakby niebo wysłuchało jego modlitw. Wpatrywał się w chartassę, jak gdyby chciał ją pchnąć do przodu siłą woli.

- Nie ruszaj ręką! - skarciła go sanitariuszka, dezynfekując ranę alkoholem. Spojrzał zamglonymi z bólu oczyma na młodą dziewczynę w czarnym skórzanym uniformie Oddziałów Specjalnych i dopiero teraz zobaczył, że zajmuje się nim śliczna, szczupła i krucha kobieta, a właściwie jeszcze dziewczyna. Wysunęła język z kącika ust, skupiając się na pracy. Rozczochrane włosy o barwie miodu płasko przylegały do głowy.

Przez chwilę jej nie poznawał. Nie tutaj. Nie w ty miejscu.

- Loczek? - zachrypiął zaskoczony. - To ty, dziewczyno?

Na moment spojrzała mu w oczy, a potem wróciła do swego zajęcia.

- Zastanawiałam się, czy mnie poznasz - odpowiedziała zdyszana.

- Na miłość Błazna, co ty tu robisz?

- Opatruję ci rękę, żebyś się nie wykrwawił na śmierć.

- Dajesz sobie jakoś radę?

Przerwała i popatrzyła na niego.

- Nie - odpowiedziała, przecząco kręcąc głową. Wyciągnęła z torby bandaż. - A ty?

Widać było, że jest blada ze strachu. W jej oczach zastygła desperacja, jakby widziała rzeczy, których przysięgła sobie już nigdy w życiu nie oglądać.

Przypomniał sobie, że pochodziła z Lagos i była świadkiem zbrodni popełnionych tam przez Mannijczyków. Pomyślał z niezwykłą intensywnością: ci dranie z Mannu... jeśli na świecie w ogóle jest sprawiedliwość, wygramy i pokonamy tę armię, a potem skreścimy sztywny kark tej całej świętej matronie.

Zwłoki leżały im na drodze. Przeszli je i ruszyli dalej. Loczek przycisnęła do rany zwitek bandaża.

- Przytrzymaj na chwilę - dodała i znowu zajrzała do torby. Wyciągnęła kolejny bandaż i owinęła nim jego rękę. - Już możesz puścić.

Bahn sięgnął po manierkę z wodą. Wyciągnął zatyczkę zębami, złapał ją tą samą ręką, w której trzymał naczynie, i pociągnął łyk chłodnej wody. Powoli tracił poczucie czasu. Jak długo już trwa ta walka?

- Napijesz się? - spytał Loczek.

Otworzyła usta, żeby wlać w nie trochę płynu. Skończyła mocować bandaż, wzięła od niego zatyczkę, zamknęła manierkę i przewiesiła ją sobie przez ramię.

- Potrzebuję jej bardziej niż ty. Dla rannych - wyjaśniła.

Nie zdążył nic odpowiedzieć. Creed wypatrzył coś w oddali i przyspieszył kroku, żeby przyjrzeć się temu dokładniej ponad czubkami pik przedniej chartassy.

Bahn powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem i z trudem uwierzył własnym oczom. Na wprost nich powiewał sztandar matrony. Sasheen ruszyła do boju.

Słodkie Dao, może jeszcze ją dopadniemy.

Poczuł iskrę nadziei, patrząc jak pociski z moździerza sieją zamęt w szeregach wroga.

Oby tylko Halahan utrzymał się na tej grani.

\*

- Pułkowniku!

- Widzę ich, sierżancie.

Mannijczycy podchodzili do ataku drugą stroną grani, od południa, z dala od bitwy. Spodziewał się tego od pewnego czasu. Wystawił tam kilkunastu swoich ludzi przykucniętych za niskim okopem ze śniegu i piachu. Właśnie zaczęli ostrzeliwać przeciwników wspinających się po zboczu. Odpowiedział im huraganowy ogień. Jeden z żołnierzy wyprostował się, a potem upadł do tyłu. Obrońcom udało się oddać jeszcze jedną salwę, a potem wyciągnęli miecze, by odeprzeć szarżę. Na całej grani toczyły się podobne starcia. Ludzie walczyli o każdy okop. Na wschodniej flance, przy samym przewężeniu, resztki Szarych Kurtek, stojąc w dwóch szeregach, cięła mieczami, ścierając się z napierającym tłumem Ghaznich. Ludzie Halahana byli wyczerpani i cofali się krok za krokiem. Na północy największa część oddziału broniła się przed piechotą wspinającą się na zbocze. Z tyłu, na środku grani, obsługa moździerzy ostrzeliwała pole bitwy, uwijając się jak w ukropie. Liczba pocisków malała z każdą chwilą. Trzeba mieć ich na oku, pomyślał.

Jakiś Mannijczyk przerwał linię obrony od południa, gdzie właśnie rozpoczął się kolejny atak. Halahan położył go strzałem w pierś z pistoletu. Przeladował broń, nie spuszczać oka z wygiętych rozpaczliwie linii obrony. Wypatrywał najsłabszych, najbardziej obciążonych miejsc; oceniał napięcia, szacował możliwości przerwania frontu, dostrzegał silniejsze punkty jak rzemieślnik patrzący na swoje dzieło.

Obrona niebezpiecznie osłabła. Dwóch kolejnych imperialnych żołnierzy przerwało szeregi Szarych Kurtek od południa. Pułkownik oddał strzał do jednego z nich, wyszarpnął drugi pistolet zza pasa, odwiódł kurek i wystrzelił. Za chwilę przerwał linię, potem wezmą nas w otoczenie i wykończą.

- Sierżancie Jay! Pięciu z obsługi moździerzy ma wesprzeć ludzi na przewężeniu. Poślij następnych pięciu na południe.

Tylko tyle mógł zrobić; jeśli odeśle więcej ludzi z obsługi dział, ostrzał linii frontu

będzie zbyt słaby. Oparł się na zdrowej nodze i ponownie zapalił fajkę. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś będzie mu dane spokojnie zapalić, pomyślał. Miał nadzieję, że tak, bo tytoń zrobił się gorzki. Ciekawe, jak nastrój człowieka potrafi wpływać na smak.

Mruknął niechętnie pod nosem. Wygląda na to, że los i tym razem nie da mu posmakować zwycięstwa nad tymi ludźmi.

Sierżant Jay, stojący od północnej strony zbocza, zawołał coś do niego. Halahan odwrócił się i zobaczył, jak cesarscy przerywają cały front. Sierżant, tnąc na prawo i lewo swym krzywym nathalezjańskim tulwarem, wykrzykiwał przez ramię komendy. Halahan wycelował i wystrzelił, posyłając na ziemię jednego z napastników. Odwrócił się instynktownie, odwiódł kurek, wymierzył w żołnierza nadbiegającego ku niemu ze wzniesionym mieczem i pociągnął za spust. Skałka szczęknęła, opadając na krzesiwo, ale nic poza tym. Halahan był za stary, żeby znieruchomieć ze zdziwienia. Uchylił się przed dzikim ciosem miecza i wbił lufę w gardło napastnika.

Widział, jak pada, ale myślami był już przy południowej linii obrony. Właśnie się załamywała.

- Trzymać pozycję! - ryknął, zagryzając ustnik fajki i walcząc z instynktem, który kazał mu biec na pomoc swoim ludziom. Wystrzelił z piątego pistoletu w stronę imperialnego piechura, który zaatakował przerzedzoną załogę moździerzy. Odrzucił broń i wyciągnął ostatni pistolet.

A więc tak to się kończy, pomyślał ponuro. Przynajmniej choć raz podjęliśmy walkę.

- Pułkowniku!

Zdyszany sierżant stał na północnej flance. Wszyscy jego ludzie dyszeli tak samo, pot unosił się nad ich ciałami. Opuścili miecze i patrzyli w dół zbocza. Jakimś cudem udało im się odeprzeć atak.

Halahan odwrócił się od rozpaczliwej szamotaniny na południu i ruszył w ich stronę.

Po zboczu, omijając drzewa, parły w górę ubrane na czarno postaci, przebijając się wśród pozostałych cesarskich żołnierzy. Ludzie ze specjalnych oddziałów. Wszyscy, co do jednego.

Halahan przez chwilę nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia.

Kilkanaście rąk wyciągnęło się, by pomóc nowo przybyłym wdrapać się na grań. Z nocnego mroku wychyliły się twarze, brudne, zacięte, z szeroko rozwartymi oczyma. Było ich okkoło czterdzieścioro, większość rannych.

- Miło was widzieć - powiedział Halahan, pomagając jakiejś kobiecie wspiąć się na grzbiet.



- Też się cieszę - wysapała.
- Jacyś oficerowie?
- Wszyscy nie żyją - odparła.

Jak zwykle u Specjalnych, oficerowie prowadzili oddział do ataku. Halahan ogarnął nowo przybyłych spojrzeniem.

- Migiem. Zdolni do walki wzmocnią obronę. Mamy utrzymać tę pozycję, jak długo się da.

Wszyscy ruszyli do szeregu. W jednej chwili linie obrony zwały się i wzmocniły, ataki przeciwnika zostały odparte, z wyjątkiem nieustannej presji na przewężeniu. Przynajmniej przestali się cofać.

Na całej linii obrony układano zwłoki wzdłuż prowizorycznych okopów, by ją wzmocnić.

- Dobra robota, sierzancie.
- Dziękuję - odparł dawny kowal, przykładając szmatkę do rozcięcia na czole.
- Niech ci, którzy muszą, zejdą z linii i odpoczną. Zajmijcie się rannymi, puście w obieg manierki z wodą.

Sierzant skinął głową, popatrując na Specjalnych, którzy dołączyli do jego ludzi. Pochylił się ku Halahanowi i powiedział cicho:

- Wiesz, że jeśli znowu zaatakują, i tak będzie nas za mało?
- Wiem. Ale zatrzymajmy to dla siebie, dobrze?

\*

Dopiero teraz, gdy Loczek znalazła się we względnie bezpiecznym miejscu, wśród oddziałów Khosyjskich i miała dość czasu, by się trochę rozejrzeć, pomyśleć i dopuścić do głosu emocje, poczuła, jak dławi ją przerażenie. Nie chodziło o obłąd bitewny, o przemoc ani o zagrożenie życia. Najgorsza była bliskość mannijskich żołnierzy, którzy znaleźli się o krok, po drugiej stronie chartassy, a niektórzy nawet szaleli w szeregach samej formacji. Ci sami ludzie patroszyli jej ziomków jak świnię i spustoszyli cały kraj. Wstydziała się strachu, jaki w niej budzili; nierozumnego, pierwotnego jak lęk przed ciemnością. To było obrzydliwe.

Pośpiesznie zawiązała temblak, przytrzymujący ramię Bahna. Dobrze było stać blisko niego i widzieć w tej zawierusze znajomą twarz. Widać było, że on też się boi.

- Dziękuję - powiedział, dotykając temblaka.
- Niech ktoś się porządnie zajmie tą raną, najszybciej jak się da - odpowiedziała.

Popatrzyli na siebie i przemknęło między nimi coś niewypowiedzianego. Bahn już otwierał usta, żeby się odezwać, ale nagle jego oczy uciekły w bok i wtedy ona także to

sposzregła - oddziałek imperialnych żołnierzy tuż za linią obrony. Jeden z nich zamachnął się i rzucił granat w ich kierunku. Ktoś krzyknął ostrzegawczo. Bahn rzucił się na nią, otoczył ją zdrowym ramieniem, usłyszała huk, który na moment odebrał jej przytomność, omyła ją fala zimnego powietrza, a potem ogarnął żar wybuchu.

Leżała na plecach, bez tchu, a Bahn przygniatał ją całym ciężarem.

- Nic mi nie jest - szepnęła. - Wszystko w porządku.

Miał zamknięte oczy. Nie czuła oddechu. Zepchnęła go z siebie. Bezwładnie przewrócił się na plecy. W lewym policzku ziała dziura, a z ucha płynęła krew. Obok leżał ktoś inny, patrząc w niebo martwymi oczyma.

- Bahn! - krzyknęła, szukając pulsu. Trudno było go znaleźć, ale w końcu poczuła słaby rytm. Zaczęła szukać torby, kiedy nadszedł sam generał Creed. Przyboczna straż z trudem za nim nadążała.

- Żyje? - zapytał.

- Ledwie co! - odkrzyknęła.

Generał na moment odwrócił wzrok w stronę wołającego go oficera, a potem spojrzał na Bahna rozciągniętego bez ruchu na ziemi.

- Zajmij się nim dobrze, słyszysz?

Skinęła głową. Creed rzucił ostatnie spojrzenie swojemu adiutantowi, a potem ruszył w stronę oficera.

\*

- Matrono - tłumaczył kapitan gwardii honorowej - powinniśmy wycofać się na bezpieczniejsze pozycje. Jesteś tu całkiem odsłonięta.

Miał rację. Sasheen znalazła się w samym środku imperialnych szeregów, i nie bez powodu.

- Kapitanie. Kiedy wygramy tę bitwę, nie życzę sobie, by mówiono, że tkwiłam na tyłach i patrzyłam, jak się bijecie. Jesteście moją strażą przyboczną. Macie mnie chronić.

Ché z zainteresowaniem przysłuchiwał się ich rozmowie. Stali na niewielkim pustym placu pomiędzy licznymi oddziałami czekającymi, by włączyć się do bitwy. Przed nimi wrzała walka.

Khosyjczycy zbliżali się coraz bardziej.

Przed chwilą wezwała do siebie arcygenerała Sparusa. Właśnie się zbliżał, pieszo, w otoczeniu sztabu.

- Nie potrafisz ich zatrzymać, arcygenerale? - zirytowała się Sasheen, lustrując bitwę z wysokości swojego zela. - Myślałam, że już po nich.

Sparus spojrział na nią przekrwionymi z niewyspania oczami.

- Mało brakowało, matrono. Tylko, że zaczęli ostrzeliwać nasze oddziały z moździerzy ulokowanych na grani od południa.

Wskazał jej to miejsce.

- Ostrzeliwują naszą linię frontu i ich oddziały posuwają się przez to do przodu.

- Zatem odzyskajcie grań i kończmy z tym.

Po mistrzowsku ukrył irytację.

- Dokładamy starań, matrono. Wkrótce znów będzie nasza.

Odesłała go machnięciem ręki. Skłonił głowę na pożegnanie.

Ché odwrócił się od tego wszystkiego. Z tyłu niecierpliwie czekali piechurzy, rwąc się do walki. Pewnie też chcieli z tym wszystkim jak najszybciej skończyć. Marznięli w swoich zbrojach, stojąc na lodowatej ziemi. Wielu pewnie miało kaca, a wszyscy byli półprzytomni po brutalnej nocnej pobudce.

Jako Rōshun, a potem dyplomata, Ché przeszedł dobrą szkołę, która nauczyła go koncentrować się na najważniejszych szczegółach. Właśnie coś przyciągnęło jego uwagę. Między szeregami wojska dostrzegł samotnego akolite, który zmierzał w kierunku oddziału matrony. Ché dopiero po chwili uświadomił sobie, co przykuło jego wzrok. Mężczyzna miał pod szatą skórzane spodnie. Dłoń dyplomaty spoczęła na rękojeści noża.

\*

Ash był już blisko.

Widział matronę siedzącą na grzbiecie siwego zela, z twarzą ukrytą za złotą maską. Otaczał ją tłum akolitów w białych szatach i oddział konnych gwardzistów. Nad nimi powiewał sztandar. Ash zmrużył oczy i ruszył w ich kierunku, wzdłuż szeregu żołnierzy czekających na swoją kolej. Mijał porzucony ekwipunek obozowy i namioty, opuszczone w pośpiechu i wdeptane w ziemię. Przekroczył dogasające ognisko; głównie wciąż jeszcze żarzyły się w rozrzuconym popiele. Zacisnął palce na rękojeści miecza, dochodząc do zewnętrznego pierścienia akolitów otaczających matronę. Z boku, za plecami Sasheen, stał jakiś młody akolita i obserwował go uważnie.

Ash się zatrzymał. Młody człowiek dobył ostrza i ruszył mu na spotkanie.

\*

Gdy Khosyjczycy zbliżyli się do pozycji matrony, imperialna lekka piechota - Osiemdziesiąta Pierwsza Predasa, mniej otrząskany w boju oddział, świeżo z garnizonu na dalekiej Północy, którego trzeźwych, choć znużonych żołnierzy ulokowano w środku frontu obok najbardziej doświadczonych akolitów - uznała, że ponosi zbyt duże straty z powodu

ostrzału z moździerzy i granatników, i postanowiła usunąć się na bezpieczniejsze pozycje.

Właściwie wycofali się, kiedy najsilniejszy i najwaleczniejszy z nich, Cunnse z północnych plemion, który zaciągnął się wyłącznie dla zysku, odrzucił tarczę, miecz i zaczął się przepychać przez mocno przeredzone szeregi, wykrzykując, że dosyć już tego i niech inni idą na rzeź. W chwilę później ruszyła za nim cała reszta i razem popędzili ku tylnym liniom, gdzie znajdowało się stanowisko matrony. Ich śladem poszły inne oddziały, ogłuszone i oszołomione wybuchami pocisków, które opadały z grani na ich szeregi jak ulewny deszcz.

Ché poczuł, jak popycha go nagle wezbrana fala ludzkich ciał. Przewrócił się w błoto, nie wypuszczając miecza z dłoni.

Kiedy wstał, zobaczył, jak nawała żołnierzy przepływa obok pozycji Sasheen, a akolici i konni gwardziści starają się ją zatrzymać i skierować z powrotem na front. Miecze brzęczały, ciała padały na ziemię. Martwy żołnierz jest przecież lepszy od dezentera.

Odwrócił wzrok. W skłębionym tłumie nie sposób było dostrzec napastnika.

Co ja wyprawiam? - spytał się w duchu.

Były przecież ważniejsze sprawy. Khasyjczycy błyskawicznie zbliżali się do oddziałku przerażonej matrony, siedzącej na tańczącym ze strachu siwym zelu, którego ogon ufarbowano na czarno.

Ché odepchnął z drogi jakiegoś uciekiniera i wyszarpnął zza pasa pistolet załadowany zatrutą kulą.

Czekał na kolejne posunięcie Sasheen.

\*

Bahn oprzytomniał z jękiem. Jakiś brodaty żołnierz taszczył go na plecach, a zatroskana kobieta poprawiała bandażę.

- Marlee? - wychrypiał.

Ale to była Loczek, a nie jego żona. Podsunęła mu pod nos sole trzeźwiące. Zaskoczyło ją, że otworzył oczy. Wargi drgnęły jej nerwowo.

- Nie ruszaj się - poleciła cicho. - Możesz mieć wstrząs mózgu.

Spojrzał na pokrytą sińcami i skrzepłą krwią twarz żołnierza. Ten skinął głową i dalej ciągnął jego bezwładne ciało.

Bahn niczego sobie nie przypominał. W jednej chwili Loczek opatrywała jego ranę, a potem.... czarna pustka.

- Co się stało? - zacharczał.

- Nic takiego - odrzekła. - Wyliziesz się.

- Trafili mnie?

- Doświadczony cię wybuch. Masz szczęście, że zostałeś w jednym kawałku.

Popatrzył na siebie, upewniając się, że nie brakuje mu niczego. Wokół wciąż huczała bitwa. Cała armia parła do przodu.

- Postaw mnie na nogi - polecił i resztką sił wyciągnął rękę.

Loczek zmarszczyła brwi, a potem ujęła jego rękę i wraz z żołnierzem podparli go, by mógł stanąć. Zrobiło mu się niedobrze.

- To znaczy, że bitwa trwa dalej - upewnił się.

- Ano tak - mruknął żołnierz. - Niestety.

## Rozdział 26

# Kontakt

Nie poznawał sam siebie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w akcji trapiło go tyle myśli. Na tej zmarzniętej równinie zupełnie opuścił go spokój. Akolita, który chciał go zaatakować, zniknął w zamieszaniu. Sasheen była już blisko i Ash ogarnął lodowaty gniew.

Unosiły się w nim wspomnienia, jak zwłoki na falach, ohydne i splamione krwią.

Widział Nica za kratami więzienia w Bar-Khos, w dniu kiedy się poznali. Chłopak był przerażony, oczy miał czerwone od płaczu za matką, Reese, która była gotowa zrobić wszystko, by go uratować. Ash przysiągł jej wtedy, że zaopiekuje się chłopakiem, nawet jeśli będzie musiał oddać za niego życie.

Widział Nica na płonącym stosie na środku areny w Q'os, widział, jak ciało jego ucznia opuszcza ostatni oddech; jak opada jego głowa i ogniste macki obejmują ciało.

Gniew Asha był perfekcyjny. Przepychał się przez tłum dezertersów, roztrzaskując ich na boki, i parł przed siebie. Nie zatrzymując się, przedostał się przez krąg akolitów otaczających matronę i jej konnych gwardzistów. Ich bojowe zele stały twardo, a tłum omijał parujące ciała zwierząt. Ash też musiał się zatrzymać, gdy jeden z gwardzistów zwrócił wierzchowca w jego stronę, zagradzając przejście.

Wysoko na niebie zakwitła flara, oświetlając przelotny obłok. Ash uchylił się przed opadającym mieczem żołnierza, który pochylił się w siodle. Zamrugał, oślepiiony blaskiem, wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem zrzucił gwardzistę z siodła.

Postawił mu stopę na szyi i oparł się na niej całym ciężarem ciała. Za nimi powstała luka i Ash błyskawicznie w nią wskoczył.

\*

Napierający Khosyjczycy śpiewali rytmiczną pieśń. Deszcz strzał zasypał sztandar matrony. Nieopodal arcygenerał Sparus wykrzykiwał do oficerów rozkazy, by utrzymać front i przywrócić spójność armii, która zaczęła rozpadać się na jednostki balansujące niebezpiecznie na granicy indywidualizmu i dezercji. Ché spoglądał w kierunku matrony, której pozycja znalazła się niebezpiecznie blisko atakujących Khosyjczyków oraz wybuchających pocisków z moździerz, które zmierzały ku niej jak kroki olbrzyma.

Próbowała się wycofywać, choć Sparus krzyczał, by została na miejscu.

Więc jednak doszło do tego. Ché ogarnęła nagła bojaźń na myśl o tym, co mógłby teraz zrobić. Ręka z pistoletem opadła bezwładnie. Zabić Świętą matronę; zrzucić ją ze szczytu imperialnej władzy jednym jedynym strzałem w głowę... na samą myśl zaschło mu w gardle. Rysy twarzy zastygły w surową maskę.

Przecież zabijałeś z jej rozkazu ludzi, gdy tylko miała taki kaprys. To niewielka różnica, powtarzał w myślach. Oblizął wargi i rozejrzał się w poszukiwaniu Swan i Guana. Był prawie pewny, że mają rozkaz zabić go, kiedy kampania dobiegnie końca. Notatka pozostawiona w *Księdze Kłamstw* mówiła prawdę. Za dużo wiedział.

Zatem nie ma na co czekać. Lepiej się ukryć, niech myślą, że poległeś. Co cię tu czeka, poza bólem i cierpieniem? Tylko matka go tu trzymała. Zresztą, ledwie ją pamiętał, podobnie jak ona jego. Najpierw, wiele lat temu wysłano go do Cheem, żeby został Rōshunem. Ku chwale Mannu pozbawiono go wszystkiego, oprócz tej płataniny wątków pustego życia, jakiego nigdy dla siebie nie chciał i nigdy by sam nie wybrał.

Uniósł pistolet w dłoni, która nawet nie drgnęła. Podparł ją drugą ręką i zaczął celować w stronę matrony, czekając, aż pomiędzy konnymi gwardzistami powstanie wolna przestrzeń.

W niebo strzeliła flara, oświetlając migotliwym blaskiem ludzi, którzy mijali go w pędzie, zasłaniając cel.

Zaparł się w ziemię. Na moment dostrzegł sylwetkę Sasheen szarpiącej wodze zela, ale po chwili przesłoniły ją tarcze gwardzistów, którzy otaczali ją coraz ściślej pierścieniem. Za chwilę zaczną się wycofywać.

Psiakrew, zaklął w duchu.

Nie da rady jej trafić.

Nagle jeden z gwardzistów zawrócił zela, zamachnął się mieczem i ciął nim jakiegoś piechura. Pochylił się w ślad za uderzeniem i odsłonił głowę Sasheen.

Pistolet Ché splunął ogniem i wypalił.

\*

Ash skoczył ku Sasheen, która nagle opadła na tył siodła. Siwy zel zarżał i stanął dęba, zbliżając się do Asha. Jeźdźcy zaczęli przepychać się w ich stronę, wykrzykując bezładnie.

Patrzył, jak matrona spada na ziemię, pod kopyta zela i leży w błocie i kałuży krwi tryskającej z szyi. Gwardziści otoczyli ją pierścieniem tarcz, ale widać było, że dygocą jak przestraszone dzieci. Krzyknął, jakby ktoś pozbawił go przyrzeczonej nagrody, i poderwał się

na nogi. Miecz dyndał mu u pasa, jakby o nim zapomniał. Kątem oka dostrzegł gwardzistę, który wznosił ostrze nad jego głowę. Mimo to, wpatrywał się jak urzeczony w nieruchomy kształt, który jeszcze niedawno był Świętą matroną Mannu.

Była martwa albo właśnie konała. I nic poza tym się już nie liczyło.

Ash tkwił bez ruchu.

Miecz świsnął i opadł.



## Rozdział 27

# Zbrojny odwrót

Ché wsunął pistolet za pas i zaczął się przepychać przez tłum uciekinierów w stronę Sasheen. Na moment dostrzegł jej nieruchome ciało leżące w błocie. Ktoś zdjął jej maskę. Z rany na szyi tryskał strumień krwi.

Nieopodal leżał jakiś samotny akolita rozciągnięty na ziemi jak długi. Pod rozchylonym płaszczem widać było skórzane spodnie. Ché zdarł mu maskę z twarzy, wydał zdziwiony okrzyk i cofnął się o krok.

Ash! - szepnął w myślach, gdy rozpoznał starego, ciemnoskórego cudzoziemca.

Rōshun. Akurat tutaj. Ze wszystkich miejsc na świecie.

Od natłoku myśli Ché zakręciło się w głowie. Z opuchlizny na czole mężczyzny sączyła się krew. To znaczy, że jeszcze żył. Ché rozejrzał się wokoło. Wszędzie maski i obce twarze.

Ukląkł i wymierzył cudzoziemcowi policzek. Ash otworzył na moment oczy, ale zaraz je zamknął. Ché podniósł go i przerzucił sobie przez ramię. Był lekki jak piórko. Sama skóra i kości. Ché złapał za wodze zela, który kręcił się w pobliżu bez jeźdźca, przerzucił starca przez siodło. Zwierzę o mało co mu się nie wyrwało, kiedy schylił się po leżący na ziemi miecz. Przyciągnął go do siebie, wsunął się na siodło za Ashem, spiął zela i ruszył kłusem.

\*

Przez chwilę ważyły się losy bitwy. Może gdyby armia imperialna niczego się nie nauczyła przez pięćdziesiąt lat lądowych walk - albo gdyby pięciuset akolitów Sparusa nie stanęło na drodze nacierającym Khosyjczykom albo nie wytrzymało ich naporu - albo gdyby jeszcze jeden szeregowiec krzyknął ze strachu przed śmiercią - Pierwszy Korpus Ekspedycyjny zostałby rozbity w pył.

Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego Mannijczycy wzięli się w garść i podjęli walkę. Jak to zwykle dzieje się w takich przypadkach, wstyd z powodu nadchodzącej klęski dodał sił żołnierzom, którzy natarli na przeciwników jak powodziowa fala.

Szeregi Khosyjczyków ugięły się pod impetem ataku.

\*

- Spadła na ziemię, sir. Widziałem to na własne oczy.

Kapitan Czerwonej Gwardii pochylał się lekko, mówiąc te słowa. Przyciskał do brzucha zakrwawioną rękę.

- Doskonale - odparł generał Creed. - A teraz idź poszukać medyka.

Oficer zacisnął zęby - może zresztą chciał się po prostu uśmiechnąć - potrząsnął swoją chartą i wrócił do szeregu na prawej flance, rzednącego w oczach, podobnie jak reszta formacji. Bahna mało obchodziła wiadomość o śmierci matrony, podobnie jak rzeź całej armii, której był świadkiem. Półprzytomny, walczył z zawrotami głowy. Nie słyszał na ucho, z którego wciąż sączyła się krew.

- To czwarty znak, Bahn! - warknął generał Creed, wrywając go z zamyślenia.

Bahn w odpowiedzi tylko zamrugał.

Generał założył ręce za plecami i przyglądał się krwawej łaźni wokół nich.

- Ostro atakowali, co?

- Jak to Khosyjczycy, sir - odparł w końcu Bahn. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

Creed uważnie popatrzył na swego adiutanta. Oczy miał opuchnięte z wyczerpania.

- Osiągnęliśmy wszystko, co było można. Czas się stąd zabierać. Jak myślisz?

- Jak to, generale?

- Co, wolałbyś zostać jeszcze trochę?

Próbował pokręcić głową, ale poczuł się od tego jeszcze gorzej.

- Za nic. Ani minuty dłużej - wykrztusił.

Creed zwrócił się w stronę jednego z gwardzistów.

- Wyślij posłańca po generała Reveresa.

- Reveres nie żyje, sir - odpowiedział żołnierz.

- Co takiego? Kiedy?

- Trudno powiedzieć, sir.

- To po Nidemesa!

Generał Nidemes przykuśtykał do nich dopiero po dłuższej chwili. Ledwo było go widać w mroku. Stracił hełm, a rozczochrane siwiejące włosy przypominały wronie gniazdo.

- Nidemes, wycofujemy się. Robimy w tył zwrot i ruszamy w stronę jeziora, najszybciej jak się da.

Generał z widoczną ulgą pośpieszył wydać rozkazy.

- Do jeziora? - spytał Bahn.

Oddech Creeda unosił się w zimnym powietrzu, tworząc obłok pary.

- Jestem pewny, że zanim tam dotrzemy, sam zrozumiesz o co chodzi, Bahn.

\*

- Kierują się w stronę jeziora - stwierdził sierżant Jay.

Halahan też to zauważył. Resztki armii zawróciły, wzmocniły flanki i ruszyły w stronę jeziora położonego na północ od pola bitwy.

- Czas najwyższy, psiakrew - mruknął pod nosem. Odwrócił się do niedobitków swojego oddziału. Imperialne moździerze zostawiono w spokoju - trzy rozgrzały się tak mocno, że nie sposób było z nich strzelać, a czwarty wybuchnął. Jakimś cudem eksplodował tylko proch nośny, a nie sam granat. Żołnierze popijali alkohol z manierek i wyglądali jak ludzie niewierzący we własne szczęście, które pozwoliło im ująć cało z morderczego pojedynku ślepców. Strzelcom broniącym szanca też skończyły się naboje. Wszyscy byli krańcowo wyczerpani i nerwowo obserwowali przegrupowujący się oddział cesarskich, który zajął pozycje na przewężeniu grani i pod jednym ze zboczy. Dobrze wiedzieli, że następna szarża ich wykończy.

Pułkownik Halahan nabrał powietrza i huknął:

- Niech ktoś odpali flarę! Wycofujemy się!

Poderwali się natychmiast, mobilizując resztki sił.

- Tylko najpierw zniszczmy te moździerze, dobrze?

Halahan rozejrzał się po zasłanym trupami poboju.

Trzeba będzie zostawić poległych. Potarł zapalną i zapalił fajkę. Zaciągnął się i pobierał wszystkie bezcenne pistolety porzucane naokoło. Potem stanął obok sierżanta i patrzył na flarę, która zapłonęła żółtym blaskiem, zatoczyła łuk i opadła na ziemię.

Wysoko nad nią powietrzne statki ostrzeliwały się nawzajem z dział.

- Módlmy się, żeby nasze skudy czekały na nas tam w górze - mruknął sierżant Jay. Stali obok siebie bez słowa, wpatrując się z nadzieją w mroczne niebo.

\*

Ché zatrzymał zela przed namiotem bliźniąt i zeskoczył, pozostawiając Asha przerzuconego przez siodło. Pośpiesznie zanurkował do środka, nie chcąc, żeby ktoś go zauważył. Plecaki Guana i Swan leżały na ziemi obok pryczy. Przeszukał je, znalazł flakon z sokiem dzikodrzewa i wybiegł na zewnątrz. Podprowadził zela do swojego namiotu i wszedł do środka po plecak. Spakował książki i dołożył je do węzła cywilnych ubrań, które miał ze sobą. Zostawił *Księgę Kłamstw* na pryczy, tytułową stroną do dołu.

- Jak im idzie?

W wejściu zamajaczyła czyjaś sylwetka. Kapłan.

Ché wstał powoli, zaciskając w dłoni podróżny worek.

Postać podniosła dłoń do ust i odgryzła kęs jakiegoś jedzenia. W powietrzu rozszedł się słodki, narkotyczny aromat owocu parmadio.

- Trudno powiedzieć - odparł. To był Alarum, mistrz szpiegów. - Nie znam się na wojnie.

Szpieg stał nieruchomo, z kocem zarzuconym na ramiona. Ché spojrzał na jego prawą rękę, była rozluźniona, ale obok niej błyskała pochwa sztyletu zatkniętego za pasem. Ché dobrze wiedział, że ten człowiek potrafi być niebezpieczny.

- Kiedy zobaczyłem, jak pędzisz w stronę obozu, zacząłem się niepokoić, że przegraliśmy. Wybierasz się gdzieś? - spytał, wskazując worek w dłoni Ché.

Ché bez ostrzeżenia cisnął mu pakunek prosto w twarz i natychmiast skoczył w ślad za nim.

Wymierzył Alarumowi cios w brzuch, który sprawił, że mężczyzna zgiął się we dwoje i stracił oddech. Ché założył mu dźwignię na szyję, wyciągnął sztylet zza pasa, przyłożył mu ostrze do szyi i odciągnął go od wejścia do namiotu.

- Czekaj! - syknął tamten przez zaciśnięte zęby.

Zaczęli się siłować. Alarum, silniejszy niż można by się spodziewać po takim chudzielcu, chwycił przegub Ché, broniąc się przed poderżnięciem gardła. W ferworze walki trafił nogą w pryczę, która przewróciła się na ziemię.

- Czekaj! - wykrztusił szeptem, tocząc pianę z ust. Szarpnął rękaw i obnażył rękę, pokazując Ché łuskowatą skórę na jego ramieniu. Uchwyt młodego człowieka nieco zelżał.

- Być może płynie w nas ta sama skażona krew, Ché - wycharczał Alarum. - Może jestem twoim ojcem!

Ché puścił go. Mistrz szpiegów z trudem chwycił powietrze, przyciskając dłoń do gardła.

- Matka sypiała z wieloma mężczyznami. To żaden dowód.

- To prawda. Ale warto wziąć to pod uwagę, prawda?

Ché wbił nóż w ziemię. Ostrze zawibrowało.

- To ty zostawiłeś tę kartkę w *Księdze!* - wykrzyknął zaskoczony.

- Tak, i cieszę się, że potraktowałeś ją poważnie. To dobrze. Gdybyś tu został, zabiliby cię. Zrobię co w mojej mocy dla twojej matki, choć pewnie niewiele będę mógł.

- Będiesz mógł jej pomóc?

- Zobaczymy. Może się uda, jeśli się pośpieszę.

Ché zawahał się rozdarty sprzecznymi emocjami. Popatrzył na szpiega, zajrzał w

ciemne, pełne żaru oczy w pociągłej twarzy. Ciekawe, czy powiedział prawdę.

Jacyś kapłani przebiegli obok namiotu. Z daleka słychać było czyjś krzyk.

- Czekaj! - zawołał Alarum, gdy Ché odwrócił się jak fryga, zostawiwszy go na środku namiotu, obok przewróconej pryczy. Ché, targany wątpliwościami, wyszedł na zewnątrz.

- Chodź, staruszk - powiedział do nieprzytomnego Asha, wskakując na siodło z plecakiem. Skinął głową w stronę Alaruma, który wychylił się z namiotu, wyraźnie nie znajdując słów.

Ścisnął łydki, smagnął zela po szyi wodzami i ruszył galopem. Alarum i akolici stojący na straży przy wejściu do obozu patrzyli, jak odjeżdża.

\*

Gwardzista schylił się instynktownie, gdy coś gwizdnęło w powietrzu blisko nich. Tym razem Bahn nawet nie drgnął.

- Zwiadowcy sprawdzili wszystko przed atakiem - tłumaczył Creed Koolasowi, korespondentowi wojennemu, czyli chattero. - Wytrzyma, jeśli będziemy ostrożni.

Jezioro pokrywała warstwa lodu. Dziwnie było tak patrzeć na białą, śnieżną przestrzeń, kiedy z tyłu wciąż wrzała bitwa.

- Jeśli dobrze poszło, kawaleria Mandalaya rozpędziła ich zele. Trochę potrwa, zanim ruszą za nami w pościg.

Creed z grupą oficerów stali na języku łądu, który wcinał się w jezioro na trzydzieści metrów albo więcej. Resztki armii - głównie lekka i ciężka piechota - po trochu zbierały się na tym niewielkim półwyspie. Na rozkaz oficerów odłożyli na bok tarcze i hełmy i pozdejmowali ciężkie zbroje, a potem wkroczyli na lód, idąc szeroką tyralierą, żeby równo rozłożyć ciężar. Sanitariusze nieśli rannych na noszach. Lód, wciąż jeszcze dość cienki, skrzypiał im pod nogami, ale jakoś wytrzymywał.

Armia powoli wyparowywała z pola bitwy. Przez tłum żołnierzy wchodzących na lód Bahn ledwie dojrzał tylną straż u podstawy półwyspu. Utworzyli tam pojedynczą chartasę i walczyli samotnie, powstrzymując napór imperialnych napastników. Byli tam głównie Hoo i Czerwona Gwardia, większość z ciężkimi ranami. Wszyscy zgłosili się na ochotnika.

Bahn spoglądał na nich z ciężkim sercem.

Oddałby wszystko, żeby wrócić do Bar-Khos i znaleźć się w domowym azylu, z Marlee i dziećmi. Widział ich w wyobraźni. Padało, więc na kominku płonął ogień. Marlee przypiekała słodkie grzanki nad płomieniem, a Juno, ich syn, bawił się modelami statków. Mała Ariałe wpatrywała się w niego z uwagą. On sam, Bahn, siedział wygodnie w głębokim

fotelu i rozkoszował się domowym spokojem.

Generał Nidemes podszedł w towarzystwie pułkownika Barklee, jednego z oficerów jego Czerwonej Gwardii. Pułkownik trzymał nad nimi tarczę, dla ochrony przed pociskami, które wciąż świstały w powietrzu.

- Czas się stąd zabierać - mruknął Nidemes do Creeda. Oczy generała lśniły w mroku.

- Pozdejmowaliście tylnej straży łańcuszki z identyfikatorami?

- Tak jest - odparł Barklee, podnosząc zawiniątko, w którym brzęczały metalowe wisiorki. - Znajdziemy jakiś sposób, żeby im za to odpłacić - oświadczył Creed.

Chattero Koolas przysłuchiwał się temu w milczeniu.

Bahn znowu popatrzył na tylną straż. Cofali się krok za krokiem. Po raz kolejny przypadło mu w udziale stać z boku i patrzeć z daleka na szaleńczą odwagę ludzi, którzy oddawali życie za innych. Nie wiedzieć czemu, od chwili kiedy znów stanął na nogi, opuścił go strach, jakby zrzucił z siebie ciężki płaszcz i zapomniał, że kiedykolwiek miał go na sobie. Dopiero teraz jasno uświadomił sobie, po co tu jest, i po co są tu żołnierze z tylnej straży, którzy poświęcają się dla swojego narodu.

- Zostaję - powiedział do Creeda, gdy generał odwracał się w stronę jeziora.

Dowódca popatrzył na niego zdziwiony.

- A co to znowu?

- Zostaję - powtórzył, zdejmując łańcuszek z szyi. - Zostaję z nimi.

Rzucił wisiorek Barkleemu. Creed zmarszczył czoło i posłał mu badawcze spojrzenie.

- Jesteś w szoku, Bahn - oświadczył. - Sam nie wiesz, co mówisz. Wygraliśmy bitwę, psiakrew! Nawet jeśli teraz wygląda to inaczej, to wygraliśmy!

- Utrzymaj Bar-Khos za wszelką cenę, generale - odpowiedział Bahn. - Tylko w ten sposób możesz odpłacić tym ludziom.

Zanim Creed zdążył odpowiedzieć, jego adiutant odwrócił się i odszedł.

- Bahn! - zawołał za nim Creed. - Bahn! - powtórzył rozkazująco.

Ale Bahn zrobił jeszcze parę kroków i zniknął w tłumie żołnierzy.

## Rozdział 28

# Tume

Wśród wzgórz ciągnących się na południu Milczącej Doliny panowała cisza. Błady świt wstawał powoli za zasłoną chmur. Brudne łąty śniegu wciąż leżały wśród pożółkłych traw, kołyszących się i wzdychających na wietrze, którego podmuchy lizały niewielką dolinkę, gdzie rozbili obóz.

A więc to jest Khos, pomyślał Ché, jakby dopiero teraz, w samotności, z dala od towarzystwa Mannijczyków i ich rozkazów docenił uroki miejscowego krajobrazu.

Siedział na mokrej ziemi, opierając się o plecak. Zdjął kolczyk z brwi i włożył wygodne, proste wełniane spodnie oraz grubą bawełnianą koszulę, której rękawy obszyto muszlami. Płaszcz, którym się owinął, nie najgorzej chronił przed wiatrem. Nie zdjął na noc pasa z amunicją, pistoletem i sztyletem. Czuwał przez cały czas, nadsluchując odgłosów ewentualnego pościgu.

Teraz, bladym świtem, obserwował jastrzębia, który szybował nad zboczem dolinki, utrzymując równowagę delikatnymi ruchami czubków skrzydeł. Wyciągnął nogi, niemal dotykając niewielkiego ogniska, które dymiło i trzaskało iskrami w kręgu kamieni. Wątle płomyki dawały niewiele ciepła, ale sprawiły, że poczuł się raźniej.

Jastrząb błyskawicznie zanurkował, składając skrzydła. Zniknął wśród traw, a po chwili wzniósł się znowu, z pustymi szponami. Pewnie jest jeszcze młody, domyślił się Ché. Dopiero uczy się zabijać.

Zaraz spróbuje znowu.

Ogień strzelił iskrami. Popatrzył na dwie świeże gałęzie, które przed chwilą położył na żar. Lśniły czerwienią od spodu. Od czasu do czasu wyskakiwał stamtąd płomyk, lizał je po wierzchu i gasł. Ché przymrużył ciężkie ze zmęczenia powieki.

Stary Rōshun pochrapywał po przeciwnej stronie ogniska. Widać było, że dokucza mu coś w klatce piersiowej, bo oddychał ciężko i płytko. Właśnie zakasłał i poruszył się pod płaszczem, którym Ché okrył go jak kocem.

Uniósł głowę i otworzył zmętniałe szare oczy. Rzucił młodemu człowiekowi długie spojrzenie i zamrugał, gdy go rozpoznał.

- Ché - zachrypiał.

- Spokojnie - odpowiedział Ché, kiedy starzec złapał się za głowę, a potem próbował wstać. - Chyba masz wstrząs mózgu. Przez całą noc uważałem, żebyś za głęboko nie zasnął.

Ash usiadł ostrożnie. Zbadał palcami opuchliznę na głowie i świeżo założone szwy.

- To wyjaśnia, dlaczego czuję się jak nieboszczyk - wycharczał, delikatnie obmacując czaszkę.

Ché rzucił mu manierkę z wodą. Stary Rōshun pociągnął długi, solidny łyk. Zakrztusił się, a potem wyciągnął szyję, rozglądając się po zboczach wokół obozowiska. Znowu napił się wody. Mlasnął i przez chwilę zapatrzył się na manierkę, którą postawił między nogami. Kiedy znowu podniósł głowę, spoglądał nieco przytomniej.

- Była bitwa - powiedział. - Jak się skończyła?

Ché nieznacznie wzruszył ramionami.

- Korpus Ekspedycyjny ruszył do ataku. Kiedy odjeżdżałem, wrogowie wycofywali się przez zamarzniete jezioro.

- Sasheen. Nie żyje?

- Mam nadzieję. Postrzeliłem ją w szyję. Ciekaw jestem tylko, dlaczego ty chciałeś ją zabić.

Ash szukał czegoś w fałdach tuniki. W końcu wyciągnął skórzany kapciuch, wsunął palce do środka i przekonał się, że jest pusty. Z niesmakiem wrzucił pusty woreczek do ognia.

Zakasał długo, boleśnie, zaciskając powieki z bólu. W końcu wypluł w płomienie skrawek flegmy, który przez chwilę syczał na ogniu. Ash zwiesił głowę.

- Przez twojego chłopaka, prawda? Tego ucznia, który spłonął na stosie w Q'os?

- Tak, przez mojego ucznia - odparł mrukliwie.

- Ale nie miał na szyi pieczęci.

- Nie miał.

A więc ten stary wędrowiec ma jednak jakieś ludzkie uczucia, pomyślał Ché. Spojrzał na niego w blasku wschodzącego słońca. Ash postarzał się od czasu, kiedy Ché widział go po raz ostatni wiele lat temu, w Cheem. Był teraz dużo chudszy. Kości twarzy rysowały się ostro pod ciemną skórą, cienką jak papier i pokrytą zmarszczkami. Białka zapadniętych oczu nieco żółkły. Wyglądał, jakby był o krok od śmierci.

- Co ja tu robię? - spytał Ash. - To wszystko jest bez sensu.

- Przed chwilą zadawałem sobie to samo pytanie.

Wędrowiec uniósł głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Ché. Zawiesił wzrok na kikutach małych palców. Skrzywił się.



- Co ty tu robisz, Ché? - zapytał. - Jesteś jednym z nich?

Ché odwrócił się od niego.

- Ché?

Gdy milczenie się przedłużało, stary człowiek wyraźnie nabral podejrzeń.

- Odszedłeś z Sato bez słowa - zaczął.

Ché poszukał wzrokiem jastrzębia, który dalej szybował po niebie. Miał ochotę przyznać się do wszystkiego, powiedzieć temu starcowi, jaką rolę odegrał w zniszczeniu zakonu Rōshunów. Ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Zresztą, tamten i tak zaczął łączyć fakty.

- Należałeś do nich przez cały czas. Do Imperium. Ale jakim cudem? Przecież Wróż by to w tobie zobaczył. - Ash wyprostował się, choć sprawiło mu to ból.

- Ché, kim ty jesteś? Co ty zrobiłeś?

- Jestem dyplomatą - warknął Ché w odpowiedzi. - Dyplomatą, który żyje, bo nie dano mu innego wyboru. Co zrobiłem? Właśnie uratowałem ci życie.

Ché starał się uspokoić, gdy ciemnowłosa mężczyzna przyglądał mu się nieufnie. Znowu wezbrały w nim emocje. A więc to koniec, powiedział ze smutkiem wiekowy Wróż, kiedy siedzieli wraz z Ché, patrząc na pożar klasztoru Rōshunów. Wszyscy ludzie, których poznał w ciągu spędzonych tam lat, jego przyjaciele, bliscy jak rodzina, zginęli albo właśnie konali w płomieniach. Zabij mnie, Ché, powiedział Wróż. Zrób to teraz. Wolę to, niż zginąć z rąk kogoś obcego.

Ché przełknął ślinę. Popatrzył na Asha poprzez mizerny ogienek. Dobrze wiedział, że stary Rōshun jest ostatnim żyjącym zakonnikiem i nawet o tym nie wie.

Świadomość tego paliła go jak wstrętny sekret.

- Wiedzą, że Rōshuni są w Cheem - stwierdził w końcu Ash, spoglądając na niego oskarżycielsko, ze złością.

Ché nie podjął tematu.

Starzec odsunął płaszcz i rzucił się na niego, ale upadł na ziemię, zanim zdążył go dosięgnąć. Ché tkwił bez ruchu. Patrzył, jak stary zakonnik próbuje podnieść się z ziemi i opada na nią bezsilnie. Wstał i odciągnął go z powrotem na legowisko. Znowu przykrył jego rozdygotane ciało płaszczem. Ash spoglądał w chmury, a jego pierś unosiła się i opadała, gdy gorączkowo oddychał. Przejęty tym wszystkim Ché chciał się w końcu odezwać, opowiedzieć o tym, co utracił, ale nagle zamarł z otwartymi ustami.

Stary Rōshun się śmiał. Gorzkim, niewesołym śmiechem.

- A więc wszystko stracone - chichotał.

Ché z zaciekawieniem przechylił głowę. Obserwował, jak z twarzy wędrowca znika uśmiech. Znowu Ash spowaźniał.

- Pewnie chciałbyś mnie zabić - odezwał się Ché.

Ash odpowiedział mu twardym spojrzeniem.

- Jak tylko będę miał dość siły.

Odwrócił wzrok. Młody jastrząb właśnie odlatywał w stronę odległego zbocza, trzepocąc skrzydłami. Trzymał coś w szponach. Jakiś kształt, który walczył o życie.

Ché oparł się wygodnie i zamknął oczy.

\*

W pierwszych promieniach świtu Bull obserwował imperialnych żołnierzy, którzy przeczesywali pole bitwy w poszukiwaniu niedobitków. Szli parami, a kiedy natknęli się na jednego ze swoich, wzywali sanitariuszy z noszami. Kiedy natrafili na Khosjańczyka, sprawdzali, czy przypadkiem nie jest oficerem, a potem zakłuwali włóczniami.

Dwójka takich porządkowych zatrzymała się w pobliżu miejsca, gdzie leżał. Patrzyli na rannego Czerwonego Gwardzistę, który podniósł rękę nad stosem zwłok. Jeden z cesarskich kopnął wyciągniętą dłoń i stanął na niej. Drugi dźgnął dwakroć, spoglądając na trupy wzrokiem równie pustym jak niebo nad ich głowami.

Bull odwrócił się, zmęczony i pozbawiony wszelkiej nadziei. Przez całą noc leżał przygnieciony potężnym cielskiem jakiegoś wojownika z Północy. Krew tryskająca z ran umierającego olbrzyma parowała w lodowatym powietrzu, ogrzewając ciało Bulla, więc nie zmarzył, lecz prawie się udusił od nacisku na pęknięty półpancerz. Każdy oddech był walką o życie i dowodem niezmożonej siły woli. Bull dał prawdziwy popis szermierki, żeby pokonać tego olbrzyma w ogniu bitwy. Walczyli jak dwaj zapaśnicy, jakby byli sami na ringu. Bull dostał niezły wycisk. Wiedział, że ma małe szanse na wygraną, ale zaryzykował dzielnie, choć nogi się pod nim uginały ze zmęczenia. Idealnie wyliczony sztych podciął ścięgna olbrzyma z Północy, a Bull przez chwilę radował się zwycięstwem, zanim olbrzym skoczył i porwał go w objęcia, a potem swoim ciężarem pociągnął go na ziemię i uwięził pod sobą.

Krew zakrzepła mu na prawym policzku. Chyba kość była strzaskana. Nie mógł otworzyć prawego oka ani ruszyć lewą ręką. Ze wszystkich sił starał się zepchnąć z siebie niedawnego przeciwnika. Co za koszmar, pomyślał, patrząc w nocne niebo, słuchając coraz cichszego brzęku oręża, wiedząc, że zostawili go samego.

Wszędzie naokoło leżeli polegli i ranni, którzy powoli zamarzali na śmierć. Ktoś załamał się i płakał. Inni jęczeli z bólu i szoku po utracie kończyn. Jakiś dzieciuch wołał matkę, zapomniawszy o wstydzie, a potem zaczął wyć, że nie chce umierać. Głosy łkały,

charczały, szeptały modlitwy po khosjańsku i po mannijsku, bez różnicy. Ktoś rozmawiał z żoną ciężkim, północnym akcentem. Mówił jej, że niedługo wróci, że ją kocha i przeproszał, że ją zdradził. Ktoś inny wołał towarzyszy broni, którzy dawno odeszli albo leżeli martwi, bo nikt mu nie odpowiadał. W pewnym momencie potężny wojownik zadygotał i oprzytomniał. Splunął krwią, a potem rozejrzał się naokoło. Wargi mu drżały. Chciał wstać, ale mu się nie udało. Poczuł, że Bull, który pod nim leżał, wciąż oddycha. Zapytał gardłowym handlowym, ile czasu zostało jeszcze do świtu.

Zaczęli rozmawiać.

Powiedział, że nazywa się Ersha i jest najemnikiem z plemienia Sengetti, którego ziemię znajdują się daleko, na mroźnych stepach Północy. Po pewnym czasie znowu stracił przytomność. Zaczął padać śnieg, w środku tej długiej nocy, okrywając ich powykręcane ciała białą płachtą, całunem utkanym przez Matkę Świata.

Teraz, o szarym świcie, Ersha jęknął i westchnął, jakby przez cały ten czas wstrzymywał oddech. Przez noc zastygli razem w jedną bryłę zaschniętej krwi i odrętwiałych mięśni. Olbrzym po raz drugi zapał się, by oderwać się od Bulla, ale po chwili westchnął i opadł bez siły, niemal zgniatając go ciężarem potężnego cielska.

- Khosyjczycy twardzi. Kiepskie z was łóżka - poskarżył się w uproszczonym handlowym.

- A z was marne kołdry - odciął się Bull.

Świszczący odgłos. Pewnie śmiech.

Bull skrzywił się, gdy dygot wielkiego cielska przygniótł jeszcze mocniej jego pęknięty półpancerz. Przez chwilę milczeli. Wojownik też miał kłopoty z oddychaniem.

W końcu Bull odezwał się znowu, żeby nie myśleć o bólu.

- Powiedz mi, czy wasze kobiety wbijają sobie tam kolczyki z drogimi kamieniami?

Ersha przekręcił brodatą twarz i spojrzał na niego. Miał spiłowane na ostro zęby.

- To prawda. Q'osianki też tak zaczęły robić, ale dużo później po nas.

- Muszą być dobre w łóżku.

- Daj spokój - wykrztusił wojownik. - Nie przypominaj mi o żonach. Chyba nie chcesz, żeby mi stanął.

Bull z trudem powstrzymał ponury śmiech.

- Prawda jest taka, że już ci stoi.

- Żartujesz.

- Niestety nie.

Znowu zapadła cisza.

- To dziwne - odezwał się cicho wojownik - że stoi, chociaż krew ze mnie płynie przez całą noc.

- Ano, dziwne.

- Niezłe było to cięcie w nogę, tak przy okazji. - Wojownik już drugi raz pogratulował mu sztychu.

Bull odpowiedział tymi samymi słowy, co przedtem.

- Odsłoniłeś się. Musisz poćwiczyć obronę na dole.

- Bo jestem wysoki. Też pewnie to znasz.

- Dokładnie.

Chmury nad ich głowami pojaśniały. Poruszały się niemal niezauważalnie, chociaż im dłużej Bull się w nie wpatrywał, tym większe miał wrażenie, że to on się porusza, razem z całym światem, który rozciąga się pod nim.

W oddali czyjś głos urwał się wpół krzyku.

- Powinieneś się cieszyć, Bull. Co lepsze? Umrzeć tu, obok twojej połamanej charty, czy gnić w celi przez resztę życia?

- Żaden honor tak umierać, przygwożdżonym przez czyjś wzwód.

- Nie rób tego - zarechotał tamten. - Strasznie mnie boli, jak się śmieję.

Bull skrzywił się, kiedy leżące na nim cielsko znowu się zatrzęsło.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, za co cię wsadzili.

Bull mlasnął wyschniętymi wargami. W gardle paliło go z pragnienia.

- Zabiłem człowieka - wyznał. - Bohatera Bar-Khos.

- Bohatera? Co on ci zrobił, ten bohater?

- Wykorzystał mojego młodszego brata. A potem złamał mu serce.

- Aha, teraz rozumiem.

Przez chwilę słuchał oddechu Ershy, który stawał się coraz płytszy. Wojownik siłą woli próbował zachować przytomność.

Bull tylko raz spotkał Adrianosa, bohatera wypadu na Nomarl. Dwa lata temu, kiedy tłumy przyszły patrzeć, jak Bull walczy z czempionem z Al-Khos. Polubił tego człowieka i jego błyskotliwy dowcip, nawet podziwiał go za sukcesy w walce z wojskami Imperium.

Młodszy brat Bulla również podziwiał Adrianosa, kiedy zaciągnął się do Oddziałów Specjalnych i znalazł się pod jego komendą. W zeszłym roku, mając zaledwie dwadzieścia cztery lata, zginął w bójce w tawernie, kiedy rzucił się na grupę przyjaciół Adrianosa, którzy przyszli i zaczęli wychwalać pod niebiosa jego zalety. Śmierć brata była szokiem dla Bulla, ale jeszcze bardziej wstrząsnęła nim przyczyna bijatyki i nagłej niechęci brata do Adrianosa.

Na samą myśl znowu wezbrał w nim gniew.

Przekręcił głowę na bok i zaczął głęboko oddychać, by odzyskać spokój. Choć właściwie nikt tu nie widział jego łez, poza trupami, które zaścielały pole niczym upiorny dywan, jak okiem sięgnąć. Miał nadzieję, że Wicks się uratował i nie leży gdzieś tam, pomiędzy poległymi.

Przed oczyma stanęła para butów. Zamrugał szybko i spojrzał w górę, na żołnierzy opartych na włóczniach. Przyglądali mu się.

- Tu jest następny - powiedział niższy z tej pary, uniósł włócznię i wymierzył zakrwawione ostrze w szyję Bulla. Ten nawet nie drgnął. Czekał z otwartymi oczyma, marząc tylko, by koniec nadszedł jak najszybciej.

- Nie - zacharczał Ersha. Przekręcił głowę i popatrzył na nich. - On jest mój.

Żołnierze spojrzeli na niego, sprawdzając, czy długo pociągnie.

- Taki mamy rozkaz - powiedział niższy. - Żadnych niewolników. Zabijać wszystkich, z wyjątkiem oficerów.

- W dupie mam wasze rozkazy - warknął wojownik. - On jest mój, słyszycie?

- Twój? Będziesz miał szczęście, jak dożyjesz do wieczora.

Ersha szukał czegoś u swego boku. Zaklął, a potem szarpnął. Z dłoni zwisał mu kawałek czarnego sznurka.

Charcząc, założył naszyjnik Bullowi przez głowę. Na kamieniu był wyryty jakiś znak.

- Mój - powtórzył przez zaciśnięte zęby.

\*

Ché i Ash zamienili ledwie kilka słów, wędrując przez niewysokie wzgórza, które otaczały Milczącą Dolinę. Starali się jak najbardziej oddalić od pola bitwy, więc zamiast jechać wzdłuż doliny, skierowali się na ukos, na zachód. Wzgórza od południowej strony były znacznie wyższe, a za nimi ciągnęły się strome góry o ośnieżonych szczytach. Widzieli je pomiędzy drzewami, jadąc przez wąwozy i porośnięte szalwią zbocza.

Obaj odwrócili płaszcze na lewą szarą stronę, by nie rzucały się w oczy. Wędrowiec był wciąż mocno osłabiony. Często prosił o postój i wymiotował wśród obłoków pary, jakie tworzył jego oddech. Nie mieli nic do jedzenia. Ché zbierał jagody, ale Ash nawet ich nie próbował, wiedząc, że zaraz je zwróci. Miał wszystkie objawy wstrząsu mózgu i Ché doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien go ze sobą ciągnąć. Ale nocowanie na tym mrozie jeszcze bardziej by mu zaszkodziło. Zresztą Ash nie wyglądał, jakby miał przeżyć podróż. Późnym popołudniem zatrzymali się na wysokiej grani, mrużąc oczy w porywach lodowatego wichru, i spojrzeli w dół na szeroką równinę zwaną Rubieżą. Żyzna ziemia

pobielala od sniegu i mrozu. Wśród pól majaczyły ciemne prostokąty farm i wiosek, pomiędzy brzoźowymi, sosnowymi i tęgowymi zagajnikami. Tu i ówdzie widać było kolumny dymu nad płonącymi polami, z których nie zebrano niedojrzałych zbóż. Drogami wędrowały rodziny, na wozach, pośród stad bydła, uciekając ze swojej ziemi.

Powietrze było niezwykle przejrzyste. Z przełęczy można było bez trudu dostrzec Kipiące Jezioro, leżące o dziesięć laqów na północny zachód; miasto Tume, zbudowane na jeziorze wydawało się unosić nad jego wodami, jak czarny kamień wyrastający z serca wód. Drogą ciągnęły szeregi mężczyzn; cofająca się khosjańska armia.

- Kierują się do Tume - stwierdził Ché.

Wyteżył wzrok, obserwując ogromne jezioro i położone na wyspie miasto. Nad cytadelą pojawiła się czarna kropka. Powietrzny statek. Podniósł wzrok na niebo: chmury były coraz cięższe i ciemniejsze. Niedługo znowu spadnie śnieg. Popatrzył na Asha w nadziei, że stary Rōshun coś mu doradzi. Ale wędrowiec siedział nieruchomo, a głowa trzęsła mu się z niewyspania.

- Niedługo pojawi się tu Sparus z całym wojskiem - mruknął Ché pod nosem, jakby do siebie. Potem dodał głośniejsz, tak żeby Ash go usłyszał:

- Nie mamy wyboru.

Pociągnął wodze swego zela i ruszyli w stronę miasta.

\*

- Na litość - stwierdziła Kris, poprawiając torbę lekarską na plecach. - Zaraz mi nogi odpadną.

Loczek popatrzyła na starszą kobietę. Nie miała nawet tyle siły, żeby jej odpowiedzieć. Ją również bolały nogi, szczególnie teraz, na twardych deskach pontonowego mostu prowadzącego do Tume.

Maszerowały w tłumie rannych, obolałych żołnierzy, którzy kuleli, ciągnęli nogi po ziemi i pomagali sobie nawzajem podczas wędrówki. Podobnie jak Loczek, wszyscy byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Twarze bez wyrazu pokrywało błoto i krew, poza miejscami, które w czasie bitwy okrywały hełmy. W oczach mieli pustkę, jakby przez całą noc wpatrywali się w huczące ogniem palenisko. Loczek czuła przepotężną więź z tymi twardymi wojakami. Przeszli razem przez piekło. Czuła, że przestała być cywilem, że zachowuje się jak jedna z nich.

Pod prąd armii przeciskały się grupki dostatnio wyglądających mieszkańców Tume, którzy uciekali z miasta wraz z dobytkiem. Nerwowo popatrywali na żołnierzy, nie widząc w nich wybawców, tylko zwiastuny klęski. Loczek wcale nie była pewna, czy aby nie mają

racji. Mocniej owinęła się płaszczem, bo zaczął padać śnieg. Mokra włosy oblepiły jej głowę, a uszy paliły ją od zimna. Szczerze żałowała, że jej płaszcz nie ma kaptura. Otarła twarz dłonią i zmrużonymi oczyma wpatrywała się w plecy żołnierza maszerującego przed nią. Dygotał na całym ciele, bo zgubił gdzieś płaszcz. Przyciskał ramiona do ciała, by zatrzymać uciekające ciepło. Głowę miał owiniętą zakrwawionym bandażem.

Dalej, od czoła długiego szeregu znużonych żołnierzy, wznosiła się warowna brama z otwartymi dźwierzami. Za nią rozciągało się Tume. Tylko cytadelę zbudowano na stałym lądzie: jej mury i wieże wspierały się na skale, wznoszącej się ponad dachy. Cała reszta miasta, drewniana tak samo jak most, unosiła się na wielkich tratwach zrobionych z roślin, które Kris nazywała po prostu jeziorostami. Rośliny te filtrowały wodę w poszukiwaniu minerałów i substancji odżywczych, dzięki czemu była kryształowo czysta, jak w górskiej sadzawce. Loczek widziała z mostu muliste dno jeziora i podwodne skały porośnięte algami i roślinnością.

Przy samej powierzchni kręciły się ławice rybek, skubiących luźne gałązki wielkich, pływających wodorostów.

Zrozumiała w końcu, skąd nazwa tego jeziora. Gdzieniedzie w wodzie pojawiały się bąble powietrza, szczególnie w pobliżu południowego brzegu, gdzie cała powierzchnia wody szumiała i kipiała, tworząc mglisty opar unoszący się w chłodnym powietrzu.

- Jeśli zejdiesz w tamtej okolicy nad brzeg i wykopiesz dziurę w piasku, to woda, która napłynie, będzie tak gorąca, że mogłabyś w niej ugotować sobie śniadanie - powiedziała Kris, kiedy spostrzegła jej zainteresowanie.

Loczek potaknęła resztką sił. W głowie jej się nie mieściło, że można myśleć o jedzeniu, kiedy w powietrzu unosi się tak intensywny zapach zgniłych jaj. Zauważyła, że niektórzy żołnierze spoglądają na odległy, wschodni brzeg jeziora. Nie wiedziała dlaczego, bo szeregi mieszkańców miasta zasłaniały jej widok.

- Posłuchaj - poradziła Kris. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł ponad powierzchnią wody stłumione odgłosy wystrzałów.

Mieszkańcy Tume też je usłyszeli. Nad ich kolumną rozległ się pomruk, a potem okrzyki przerażenia. Niektórzy zaczęli zawracać, by schronić się w bezpiecznym mieście. Inni, przeciwnie, zwiększyli tempo, by szybciej znaleźć się na stałym lądzie.

Armia maszerowała niewzruszenie, myśląc tylko o schronieniu i ciepłym posiłku.

## Rozdział 29

# Płonące mosty

Podobno żółw miał trzysta lat, tyle samo co cytadela, która przez cały czas była jego domem. W swoim długim, pełnym zadumy życiu zaznał głodu i dostatku, pokoju i wojny, poznał nawet rewolucję. Patrzył, jak ród władców Tume starzeje się i umiera pośród tych kamiennych ścian, pokolenie za pokoleniem. Widział krwawe porody, wspaniałe bale i bankiety, gorące kłótnie, zemsty, zdrady, śmiertelne choroby, aż w końcu sam stał się żyjącą historią, ogniwem łączącym ród z dawno zmarłymi przodkami i pokoleniami, które dopiero miały nadejść.

Mało go jednak obchodziło to szlachetne dziedzictwo, gdy opierał się o blat, stojąc przy stole na tylnych nogach i wyciągając długą, skórzastą szyję po jabłko leżące w misie. Nie dbał o tłum żołnierzy, którzy układali się do snu pod ścianami wielkiej sali zamkowej.

Był tak flegmatyczny, że nie przestraszył się nawet pary rękawic, która z trzaskiem upadła obok miski, ani mężczyzny, który przeszedł obok stołu zamaszystym krokiem. Żółw ściągnął jabłko na podłogę i zaczął je chrupać, nie patrząc w ślad za postacią, która podeszła do żołnierzy skupionych wokół ognia płonącego w ogromnym kominku.

Potężna sylwetka mężczyzny w płaszczu ze skóry niedźwiedzia wydawała się jeszcze większa, bo targał nim gniew.

- Gdzie są te cholerne posiłki? - krzyczał generał Creed w stronę Principarięgo miasta Tume, a jego głos odbijał się echem od kopuły sali. - Gdzie są rezerwiści z Al-Khos? - huczał tym głośniej, widząc, że jakiś mężczyzna odwrócił się od kominka w jego stronę.

Vanichios odrobinę szerzej otworzył oczy, ocienione niebieską aksamitną czapką. Na twarzy nie miał ani śladu farby, której zwykle używali Michinë.

Principari skinieniem głowy odesłał otaczających go mężczyzn w szarych płaszczach doradców. Założył ręce za plecami i spoglądał na zbliżającego się Creeda. Diamentowa biżuteria rzucała ogień na lśniące jedwabne szaty.

Creed zatrzymał się, sapiąc z irytacji. Zaskoczyło go, gdy Vanichios wyciągnął dłoń i ucałował go w oba policzki, jakby wciąż byli przyjaciółmi. Principari delikatnie pachniał czarnym bzem i mydłem.



- Generale - powiedział opanowanym głosem, spoglądając z troską na jego oplakany wygląd. - Chodź, musimy porozmawiać.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził go do alkowy, do której nie wpuszczono żołnierzy. Jego żona Carine nadzorowała tam grupkę służących, pakujących obrazy i cenne książki pyszniące się na półkach.

- Carine - rzekł cicho Vanichios. - Proszę cię, zostaw to wszystko. Przygotuj się wraz z dziećmi do podróży.

Carine odgarnęła z twarzy siwe włosy i popatrzyła na Creeda, gdy mąż jej go przedstawiał.

- Witaj, generale - odezwała się i skinęła głową. - Rozgość się, musisz być bardzo znużony.

W jej głosie nie było urazy, tylko sama uprzejmość. Creed poczuł falę wstydu, że pokrzykiwał tak głośno i że wdarł się tu w cuchnącej zbroi z żołnierzami, którzy zrobili z tego pałacu swoją kwaterę. Skłonił tylko głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Szczerze mówiąc, spodziewał się chłodniejszego przyjęcia w pałacu Principariego, człowieka, który niegdyś był jego przyjacielem, gdy obaj służyli jako oficerowie w Czerwonej Straży. Nie rozmawiali ze sobą od piętnastu lat, od dnia pojedynku, po którym Creed poślubił kobietę, o którą walczyli.

Vanichios poprosił żonę, żeby zostawiła ich samych. Blizna po pojedynku wciąż przecinała prawy policzek twarzy ściągniętej bezsennością i troską. Creed zrozumiał, że od tego czasu wiele wody upłynęło w rzece i że wdarł się z gniewem do domu człowieka, który już nie żywił do niego urazy - do domu rodziny, która stanęła w obliczu wojny. Widział, jak Vanichios i Carine wymienili spojrzenia, zrozumiał, jaka więź ich łączyła.

Zatęsknił za inną kobietą. Za swoją żoną.

- Rezerwy - mruknął znacznie ciszej, gdy Vanichios gestem wskazał mu krzesło i sam usiadł naprzeciwko. - Dlaczego ich tu nie ma?

- Bo wciąż są o cztery dni forsownego marszu od nas - powiadomił go Principari, poprawiając się na krześle i zarzucając skraj szaty na kolana. - Wyszli z Al-Khos dopiero wczoraj.

- Co takiego?! - wykrzyknął Creed.

- Wygląda na to, że Kinheko nie chciał ich nam posłać.

Creed złapał się za głowę, jakby przeszył ją nagły ból.

Przez kilka chwil walczył o panowanie nad sobą, starając się pogodzić z nowiną.

- Łeb mu za to każę ściąć.

- Nie, bo ja będę pierwszy - odpowiedział Vanichios i Creed dopiero wtedy spostrzegł, jak wielki gniew płonie za fasadą eleganckich manier.

Generał wyprostował się na krześle. Zbroja zaskrzypiała, podobnie jak wiekowe skórzane obicie mebla. Wbił w Vanichiosa przenikliwe spojrzenie.

- Nie damy rady utrzymać miasta. Nie mamy ciężkich dział, które rezerwy miały tu dostarczyć.

Spojrzenie Vanichiosa było równie ciężkie i poważne. Niemal niezauważalnie skinął głową.

- Mamy armaty, które nam przysłałeś - stwierdził.

- To połowe armatki, na nic się zdadzą podczas oblężenia. Chciałem je tylko trzymać z dala od łap Mannijczyków.

Widać było, że Vanichios doskonale sobie z tego zdawał sprawę.

Creed sapnął z bezsilnego gniewu i rozejrzał się dookoła. Powiódł wzrokiem za kolumną dymu z kominka, wznoszącego się ku kopule i umykającego przez otwory w suficie; i po smugach, które wirowały w powietrzu. Na górze rosły drzewa o ciemnofioletowych liściach. Powrastały w ściany i rozpościerały gałęzie nad wielką salą. Jego ludzie siedzieli i leżeli pod ich parasolem na zasłanej porzuconymi przedmiotami podłodze. Napływali wciąż nowi, padając na ziemię, by się choć trochę przespać.

- Cztery dni opóźnienia - powtórzył, nie patrząc na Vanichiosa. - Dlaczego się w końcu zdecydował?

- Bo go postraszyłem pojedyńkiem, jeśli ich nie wyśle.

- Ha! - wykrzyknął Creed. - To znaczy, że jest dużo gorszym szermierzem od ciebie.

Uśmiechnęli się mimo zmartwień. Vanichios nawet dotknął blizny na policzku z komicznym wyrazem oburzenia. Wybuchnęli śmiechem, ściągając na siebie spojrzenia żołnierzy rozlokowanych w sali.

- Dobrze cię widzieć w zdrowiu i w jednym kawałku - powiedział serdecznie Vanichios. - Naprawdę tak myślę. Za długo odkładaliśmy to spotkanie, a teraz... - Machnął ręką. - Teraz siedzimy w tym po szyję i nie ma już czasu na odnowienie przyjaźni.

Creed otarł z policzka łzę śmiechu. Nagle uświadomił sobie, jak cieszy się z tego spotkania. Z tego, że znowu ze sobą rozmawiają. Wojna bywa koszmarna, ale za to czyści bzdurne urazy jak nic innego na świecie. Uświadomił sobie, jaki to uczciwy, dobry człowiek, życzliwy dla wszystkich, których los potraktował gorzej niż jego, nawet dla tych, w których on, Creed, dostrzegał tylko samą podłość. Pewnie dlatego, że Vanichios był najmłodszym z czterech braci w surowej, hierarchicznej rodzinie Michinè. Przeżył ojca i braci, aż w końcu

został jednak władcą Tume, choć wcale nie miał na to ochoty. Creed doskonale o tym wiedział. Widać było jednak, że świetnie sprawdza się w tej roli. Pasowała do niego.

Vanichios przysunął się do niego bliżej i powiedział miękki głosem:

- Przesłałem kondolencje. Mam nadzieję, że dotarły na czas.

- Tak - odparł Creed, mrugając oczyma. - Dziękuję za te słowa.

Pamiętał, jak to było. List dotarł po pogrzebie żony. Odsunął go na bok, kiedy był w rozpacz, a potem gdzieś go zapodział.

- Płakałem, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci - rzucił odważnie Vanichios, a potem odwrócił głowę, jakby nie chciał słyszeć odpowiedzi. On także gorąco kochał Rose.

Creed poklepał oparcie krzesła, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nigdy nie umiał się zachować w takich sytuacjach.

Na podłodze pod krzesłem utworzyła się sadzawka z mokrego śniegu, który przyniósł na płaszczu. Krople spadały w nią z głośnym pluskiem.

- Depczą nam po piętach, stary druhu - powiedział. - Musimy zaraz spalić most, żeby się tu nie wdarli.

Vanichios oparł podbródek na splecionych dłoniach. Kolejne nikił skinienie głowy, zaciśnięte wargi.

- To ich zatrzyma na parę dni, zanim nie zbudują nowego. A potem... - Creed pokręcił głową, myśląc intensywnie. Ta umiejętność zawsze była dla niego najlepszym oparciem.

- Trzeba ewakuować całe miasto - postanowił. - I to od razu.

Lewą powiekę Principariego ściągnął nerwowy tik.

- Naprawdę myślisz, że jest aż tak źle? Jeśli wierzyć plotkom, matrona nie żyje.

- To tylko plotki. Nie mamy żadnej pewności. Niezależnie od wszystkiego, będą chcieli zająć Tume, zanim ruszą na Bar-Khos. W przeciwnym razie mieliby nas za plecami, a to za duże ryzyko.

Vanichios wziął głęboki oddech.

- Marsalasio, ta cytadela stoi tu od setek lat. Mam pięciuset gwardzistów. To dobrzy żołnierze, będą twardo walczyć.

- Tą cytadelę zbudowano w innych czasach. Może się oprzeć armiom z balistami i taranami. Ale nie imperialnym działom, które rozbiją bramy w parę godzin. Sam o tym dobrze wiesz, przyjacielu.

- Nie o to chodzi - odparł Principari. - Moja rodzina mieszka w Tume od dziewięciu pokoleń. Nie mogę tak po prostu opuścić miasta.

- Jeśli tego nie zrobisz, zginiesz.

Zapanowała pełna napięcia cisza.

- Nie powinienem się wtedy zgodzić, żeby zabrali nasze armaty - zamyślił się Vanichios. - Gdybym je zatrzymał, nie mielibyśmy teraz kłopotów.

- Być może wtedy padłaby Tarcza. Teraz nie ma co gdybać.

- Tarcza może i tak upaść. Nawet teraz jest pod mocnym ostrzałem. Generał Tanserine z trudem utrzymuje Mur Kharnosta.

Tym razem Creed musiał się skrzywić. Tanserine był najlepszym generałem obrony spośród całego korpusu. Jeśli on bronił się z trudem, to atak musiał być naprawdę potężny.

Drzwi do sali otworzyły się z rozmachem, wpuszczając powiew zimnego wiatru i deszczu ze śniegiem. Lodowaty powiew musnął go w szyję. Żołnierze zaczęli kląć i krzyczeć, żeby zamknięto drzwi. Przez tę chwilę, gdy nowo przybyli walczyli z wiatrem, słychać było odległy pomruk dział. To żałosne resztki armijnej artylerii ostrzeliwały brzeg.

- Trzeba się śpieszyć - stwierdził Creed, choć wcale nie miał ochoty ruszać się z miejsca.

- Racja - zgodził się Vanichios, ale i on nawet nie drgnął.

Zmęczony do granic możliwości Creed rozejrzał się za Bahnem, ale zaraz przypomniał sobie, że adiutant go opuścił. I że najprawdopodobniej nie żyje.

Potarł twarz i oczy i na moment odgrodził się do świata. Żałoba po poległych czekała na swoją chwilę gdzieś w zakamarkach jego umysłu; ale czuł też ulgę, że jego plan zadziałał, że jakimś cudem powiódł ich do bitwy i część udało mu się wyprowadzić bez szwanku. Myśl ta była tak potężna, że dłonie mu zadygotały a w oczach błysnęła emocja.

- Dobrze się czujesz, Marsalasio?

- Jestem tylko zmęczony.

Przez chwilę czuł się zagubiony. Nagle postarzały.

- Wojna jest dla młodych - stwierdził Vanichios. - I dla fanatyków samouwielbienia, którzy chcą podbić cały świat.

- To prawda.

- Pluj na nich - odparł Principari, a w jego wzroku załśniła dzika duma.

To spojrzenie sprawiło, że Creed cofnął się w czasie o piętnaście lat, poczuł dławienie w gardle i falę serdecznego bólu w sercu.

Pojął, że jego stary druh gotuje się na śmierć.

\*

Ash naciągnął płaszcz na głowę, choć tkanina drażniła zszytą opuchniętą ranę. Starał się nie kasłać, bo sprawiało mu to ból. Znużony zel dreptał posłusznie po drewnianych

pomostach Tume. Rytmiczne kołysanie wprawiło jeźdźca w półsen, w którym wszystko wydawało się nierealne i niespójne.

Dyplomata szedł przodem, trzymając wodze w odzianej w rękawiczkę dłoni. Wokół niego kłębił się tłum. Ludzie, z całym swoim dobytkiem, ciągnęli w stronę kanału równoległego do głównej ulicy. Na jezioro spuszczone łodzie wszelkiego rodzaju. Zanurzały się coraz głębiej pod ciężarem ludzi i przedmiotów. Z murów cytadeli rozbrzmiewał alarm grany na rogu, w kościołach rozdzwoniły się dzwony, potęgując atmosferę niepokoju i pośpiechu.

Ash nigdy w życiu nie czuł się tak zmęczony. Jak we śnie obserwował samotnego chłopca, cztero- czy pięcioletka, który stał na ulicy zalany łzami, przerażony, że zostawiono go samego. Ash chciał się do niego odezwać, kiedy się mijali, ale w ustach miał tak sucho, że tylko kilka razy zakasłał. Kiedy się obejrzał, drobną figurkę przesłonił oddział żołnierzy, którzy próbowali utrzymać choćby odrobinę ładu i porządku.

- Opuszczają miasto! - krzyknął Ché. - Wszyscy!

Ash tylko popatrzył na niego z ukosa. Odetchnął płytko i znowu zakasłał w dłoń, boleśnie, jakby miał wypluć płuca.

- Dobra. Słyszę - odparł Ché.

Skręcili w boczną ulicę i znaleźli się między czynszowymi kamienicami z ciemnego drewna. Żel szedł wąskim pomostem. Po obu stronach kłębiły się brązowe jeziorosty. Z bliska przypominały zwyczajne wodorosty o płaskich, splątanych liściach z mnóstwem pęcherzyków powietrza pomiędzy nimi. Ludzie skracali sobie drogę, idąc po ich śliskich gałęziach i wyciągając na boki ręce dla równowagi.

Przeszli przez kilka kanałów, kierując się coraz dalej, aż dotarli do zachodniego brzegu wyspy, gdzie domy były dostatniejsze, trzypiętrowe, otoczone ogrodami. Wszystkie bramy były pozamykane, okna zasłonięte okiennicami, nigdzie żadnych świateł. Ulica była jak wymieciona, aż po skrzyżowanie z szeroką aleją biegnącą z południa na północ. Dalej, przez zasłonę śniegu z deszczem, widać było połączenie jeziorostów schodzących ku wodom Kipiącego Jeziora jak brązowa, oleista plaża. Ciemna linia odległych drzew była ledwie widoczna w zapadającym zmroku.

Ché zaczął majstrować przy jakichś zamkniętych drzwiach, podczas gdy Ash obserwował łodzie odpływające z wyspy, choć nie zastanawiał się, co to oznaczało.

Dyplomata zaklął i zatarł ręce, by je rozgrzać. Rzucił Ashowi spojrzenie, jakby czekając na krytyczną uwagę. Ash patrzył na kamienicę i zastanawiał się, czy śni, czy nie. Dom był piękny, w khosjańskim stylu, z prawdziwymi szybami w oknach i dachem w

kształcie dzwonu; wystające, rzeźbione belki tworzyły ozdobne rzygacze; na każdym rogu stały cysterny na deszczówkę.

Brama otwarła się ze skrzyknięciem i Ché wprowadził ich do środka. Wiatr smagnał Asha w twarz, pobudzając go do życia. Ché właśnie otwierał drzwi frontowe prowadzące w ciemność.

Ash postanowił zsiść z zela, ale ciało nie chciało go słuchać. Upadł ciężko na ziemię i po prostu leżał, z trudem dysząc. Ché mruknął coś na temat upartych starych wędrowców, złapał go pod ramiona i zaciągnął do środka.

\*

- Tam - powiedział Halahan, patrząc przez lornetkę. - Po prawej. Widać ramię.

Hoon wyteżył wzrok, wpatrując się w celownik sztucera, opartego o balustradę mostu. Było już prawie ciemno i wciąż padał deszcz ze śniegiem. Wzdłuż pomostu powoli poruszał się szereg drewnianych oblężniczych tarcz, popychanych przez imperialnych komandosów, którzy się za nimi kryli. Hoon niemal niezauważalnie przesunął broń.

- Jest - powiedział. Wypuścił oddech i pociągnął za spust.

Sztucer wypalił z hukiem, od którego normalnie Halahanowi dzwoniłoby w uszach przez parę dni; teraz prawie nie zwrócił uwagi na odgłos. Był, jak to się mówi, „ostrzelany”. Obserwował szereg przez lornetkę, która tylko nieznacznie dygotała w zmarzniętych dłoniach. Na ramieniu komandosa maszerującego z prawej strony szeregu wykwitła czarna plama, a żołnierz zniknął z widoku.

- Zaliczony - stwierdził, wciągając w płuca smród strzelniczego prochu. Hoon złamał sztucer, wyjął zużytą łuskę i dołożył do torby. Dmuchnął na łożę, by zapewnić sobie szczęście, i sięgnął do pasa po świeży nabój.

Kłęczeli na balkonie w prawej wieżycze bramy wejściowej wiodącej do Tume. Jego ludzie byli znużeni, choć udało im się ukraść parę godzin snu po tym, jak skudy przetransportowały ich do miasta.

Halahan rozkazał, by puścić wśród ludzi manierki z trunkiem, żeby się nie pospali, i upewnił się, czy dostali dość jedzenia.

Na górze, na samym szczycie strażnicy jedno z połowych działek błysnęło i wystrzeliło granat w stronę mostu. Łańcuchy puściły i śmignęły po deskach, ciągnąc za sobą barierkę, która bezwładnie chlupnęła do wody.

Halahan nie odrywał lornetki od oczu, obserwując kilka tarcz oblężniczych, które zamaryły na środku mostu. Służyły jako osłony snajperów; od czasu do czasu pojawiała się nad nimi chmura dymu, a dopiero w chwilę później rozlegał się strzał, jakby w innej,

absurdalnej rzeczywistości. Uczucie to nie opuściło go nawet wtedy, gdy jeden ze snajperów trafił w kamienne blanki, osłaniające oddział. Młody Cyril niedawno dostał kulkę i leżał martwy, z dziurą wielkości monety na czole. Pozostali klęczeli na murze, nie zwracając uwagi na zmarłego, i z ponurym spokojem nieustannie ostrzeliwali wroga, poruszającego się po moście, uważając, by nie wychylać głów zza osłony.

- Ruszajcie się - mruknął ich dowódca, przenosząc wzrok na scenę rozgrywającą się o wiele bliżej. Straż miejska Tume - żołnierze odziani w brązowe płaszcze - maszerowali na spotkanie napastników w nierównym szeregu, także kryjąc się za tarczami. Pokonali już prawie połowę drogi i znaleźli się pod ciężkim ogniem zza nieprzyjacielskich tarcz i w zasięgu snajperów rozlokowanych na brzegu. Droga za nimi była usłana trupami i rannymi. Ale żywi uparcie toczyli po deskach ogromne gliniane walce - kanistry z olejem, odciągając ciała z ich drogi.

W pewnym momencie mur tarcz przestał się poruszać. Żołnierze, którzy się za nim kryli, wyciągali z pochew miecze i nakładali strzały na cięciwy.

Halahan przeniósł lornetkę na oddziały nieprzyjaciela i wyregulował ostrość.

Poruszenie w szeregach. Komandosi wyskoczyli zza osłon, pędząc po drewnianym pomoście w stronę Straży. Naliczył cztery oddziały, które poruszały się w luźnym szyku, korzystając z wątlej osłony, jaką dawały relingi.

Jeden z nich padł pod ogniem strzelców wyborowych z lewej wieżyczki. Jego ludzie też ostrzeliwali biegnących. Działko na górze odbiło i wystrzeliło, a z mostu posypały się drzazgi. Komandosi uparcie biegli naprzód pod ogniem.

Przesunął lornetkę na szeregi Straży Miejskiej. Jeden z sierżantów odwrócił się i machnął ręką w stronę żołnierzy, którzy toczyli walce z olejem. Najbliższy był wciąż jeszcze o rzut kamieniem od niego; żołnierz zatrzymał się i spojrzał w tył, na kolegów. Sierżant krzyknął rozkaz. Żołnierz wyciągnął miecz i odciął wlot do kanistra. Olej rozlał się po deskach.

- Jeszcze nie teraz, barany - warknął Halahan, widząc, że reszta żołnierzy poszła za przykładem pierwszego. Zagryzł ustnik wygasłej fajki i patrzył, jak jego najgorsze obawy stają się rzeczywistością.

Przed tarczami straży miejskiej wybuchnął granat. Żołnierze przykucnęli w chmurze dymu. Sierżant wyszedł naprzód, znowu machnął ręką i coś krzyknął. Jeden z łuczników wycelował w nadbiegających komandosów. Strażnicy zajęli miejsca za tarczami. Kolejna eksplozja, tym razem za murem tarcz. Wybuch wyrzucił ludzi na prawo i lewo. Płonący odłamek pofrunął, wirując, w stronę najbliższego żołnierza opróżniającego kanister. Ten stał

bezradnie i gapił się, gdy rozżarzony metal podskakiwał w kałuży oleju, który natychmiast zapłonął. Płomienie w jednej chwili objęły pomost, najpierw niebieskie, a potem czerwone i żółte, coraz większe i dziksze. Żołnierz odwrócił się w końcu i ruszył biegiem, ale ogień był szybszy. Płonąca postać przeskoczyła barierę i, wymachując rękoma, wpadła do kryształowo czystej wody.

Halahan zagryzł ustnik, patrząc, jak płonący sandał unosi się na powierzchni, a jego właściciel znika w głębinie.

- Na litość - westchnął Hoon, prostując się nad sztucерem. Halahan opuścił swoją cenną lornetkę i popatrzył na most bez jej pomocy. Deski płonęły, przynajmniej po jednej stronie. Płonące postaci z krzykiem zeskakiwały do wody. Straż Miejska odparowała atak komandosów, z trudem dotrzymując im placu. Za nimi szalały płomienie.

- Pół mostu - warczał Halahan, czując na twarzy żar płomieni. Wiatr niósł smród płonącego oleju i jeziorostów. Jego żołnierze patrzyli, jak odwraca się i pośpiesznie rusza ku schodom.

- Pół tego pieprzonego mostu!

\*

- To wszystko dla jej dobra, tłumaczył Klint - jej osobisty lekarz - tym swoim niezwykle kojącym głosem. Jeśli poruszy choć jednym mięśniem szyi, może zginąć. Więc Sasheen leżała w łóżku z drewnianym stelażem unieruchamiającym głowę i ramiona, bezwładna, słaba, rozgorączkowana, czując się, jakby wystawili ją na pośmiewisko.

Ktoś ją postrzelił, wyjaśnił lekarz. Ołowiana kula pękła przy uderzeniu w zbroję ochraniającą jej szyję. Większość przeszła na wylot, ale lekarz musiał wyjąć niewielki odłamek, który utkwiał w ciele. Zastosował środki gojące i przeciwdziałające zakażeniu krwi, i to wszystko, co mógł zrobić.

- Przeżyję? - spytała wtedy cichym szeptem.

Klint położył jej na ramieniu spoconą dłoń. Prawie nie poczuła jego dotyku.

- Może, jeśli zdarzy się cud - powiedział ponuro. A potem uśmiechnął się i poprosił o pozwolenie na dokonanie tego cudu. Wytłumaczył, co zamierza zrobić.

W chwilę później wrócił z flakonem pełnym królewskiego mleka. Delikatnie usunął bandaż z jej szyi i wlał w ranę kilka kropel. Adiutanci przytrzymywali ją, by się nie szarpnęła z bólu.

Teraz, w przewiewnym namiocie, którego klapy łopotały na wietrze, słuchała, jak kapłani i generałowie wyklócają się, wrzeszcząc na cały głos. Była spokojna i silna, bo mleko płynęło w jej żyłach. Kłócili się, co należy z nią zrobić i gdzie poprowadzić ofensywę. Nie



dbała o to, co mówili. Przez moment wpatrywała się w płomienie na trójnogach, tańczące i liżące ich powierzchnię. Smugi dymu chwiały się pod sufitem namiotu, a potem wysnuwały na zewnątrz przez otwory wentylacyjne. Myślała o Q'os, o domu i o synu, którego utraciła tak niedawno. Ale głosy mężczyzn stawały się coraz bardziej natrętne, odzywając się kakofonią w jej głowie.

- Spokój! - rozkazała. Ledwie poznała własny, skrzekliwy głos.

Mimo to ucichli.

- Matrono - odezwała się jej stara przyjaciółka Sool, pośpiesznie podchodząc do łóżka.

- Nie mów nic, proszę. Lekarz ci zabronił.

- Sama się zamknij - zgasiła ją Sasheen. - Nic innego mi nie pozostało, tylko mowa.

Sool zawahała się, skłoniła i cofnęła o kilka kroków.

Sasheen poprosiła o wodę. Pielęgniarka Heelas wlała kilka kropel w jej spieczone usta.

- Zwyciężyliśmy? - spytała szeptem.

Stary kapłan skinął głową, ale w oczach miał troskę.

Odezwała się najgłośniejszą, jak mogła.

- Arcygenerale - zwróciła się do Sparusa, który stał z hełmem pod pachą naprzeciwko młodego Romano. Obaj byli czerwoni ze złości. Odwrócili się do niej.

- Jak sytuacja na froncie?

- Matrono - zaczął Sparus z ukłonem. - Creed schronił się w Tume. Ewakuuj mieszkańców. Spalił połowę mostu, ale druga połowa jest w naszych rękach, nietknięta. O świcie zaczniemy odbudowę. Nasza lekka kawaleria i harcownicy właśnie otaczają Kipiące Jezioro. Upadek miasta jest tylko kwestią czasu.

- Więc o co wam chodziło?

Sparus wbił wzrok w ziemię i zacisnął wargi.

- Generale Romano?

Młody człowiek zeszywniał. Popatrzył na nią jak wilk na ranną ofiarę. Zauważyła, że się nie skłonił, i w jednej chwili powróciła cała pogarda, jaką dla niego żywiła.

- Matrono.

- Mów śmiało.

- Nie wiemy, ile czasu potrwa zdobycie Tume. Według miejscowych przewodników w tym roku może być wczesna zima. Jeśli nie podbijemy Bar-Khos przed nadejściem śniegów, możemy ponieść duże straty.

- Więc?

- Możemy połowę armii uderzyć na Bar-Khos. Nikt nam w tym nie przeszkodzi.

- Arcygenerale?

Sparus wciąż nie patrzył jej w oczy. Zamiast niego odezwał się Klint, lekarz.

- Nie możemy wyruszyć ze względu na twój stan, pani. Każde szarpnięcie wozu na drodze mogłoby cię zabić.

Zamrugła, spoglądając na jego zaczerwienioną twarz. Przeniosła wzrok na Romano.

- Rozumiem - powiedziała, widząc, w jakiej znalazła się matni.

Romano chciał przeć w stronę Bar-Khos, żeby zdobyć sławę, która umocni jego pretensje do tronu. Jeśli zamiast niego wyśle tam Sparusa, to zostanie na łasce i niełasce tego młodzika w otoczeniu opłacanych przez niego totumfackich.

Stałam się przeszkodą w realizacji naszych planów, uświadomiła sobie. Potoczyła wzrokiem po przygnębionych twarzach. Nikt nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Zrozumiała, jak żałosa jest teraz dla nich boska władczyni Świętego Imperium, unieruchomiona w łóżku, otoczona zatroskanymi lekarzami.

Wbiła paznokcie w pościel, próbując się podnieść.

Sool doskoczyła do niej i mocno pchnęła ją z powrotem.

- Dość tego! - zasyczała. Sasheen przez chwilę jej się opierała, ale szybko straciła resztkę sił i opadła na materac. Jej nozdrza drgały, gdy z wysiłkiem wciągała powietrze. Znowu ogarnęło ją poczucie bezsilności, tak silne, że poczuła mdłości. W ciszy rozległo się jej głębokie westchnienie. Ani chwili ulgi, pomyślała. Nawet teraz, w trakcie kampanii, zawsze musi walczyć, by utrzymać swoją pozycję. Na tę myśl jej ciało nagle stało się ciężkie, jakby przygniotło je brzemień tych kilku lat u władzy. Pewnie królewskie mleko przestało działać.

- Nie możemy dzielić armii - zaskrzeczała. - Trzeba trzymać się razem. Przynajmniej do chwili zdobycia Tume.

Romano na te słowa skrzywił się niemiłosiernie. Ale Sparus skłonił się nisko, podobnie jak reszta.

Sasheen zamknęła oczy i na moment odpłynęła.

- Matrono - odezwał się czyjś odległy głos.

Rozejrzała się i wyczuła, że minęło sporo czasu.

- Zostawcie mnie samą - szepnęła, ale po chwili zobaczyła, że nikogo już nie ma, tylko Klint grzeje dłonie nad piecykiem. W namiocie pojawiły się bliźnięta, Swan i Guan. Zbliżyły się do jej łóżka.

- Matrono - powtórzył Guan. Twarz miał mokrą od deszczu, przeczesał palcami włosy, jakby chciał je wysuszyć. - Jest coś, co powinnaś wiedzieć. Twój dyplomata

zdezzerterował.

- Ché?

Kilka kropel wody spadło z jego podbródka, gdy przytaknął.

- To niemożliwe.

- Widziano, jak opuszczał obóz po ataku na ciebie - wyjaśniła Swan.

Sasheen była zbyt zmęczona, by się tym zajmować.

- Mylicie się - szepnęła. - On jest lojalny. Udowodnił to.

- Nie ma go tu, Święta matrono.

Obok dyplomatów pojawił się Klint, ale zignorowali go i oboje wpatrywali się w Sasheen.

Nie rozumiała, o co im chodzi. Błądziła wzrokiem po suficie namiotu, który falował w porywach gwałtownego wiatru; ten ruch budził smutek i gniew zarazem.

- Czyńcie swoją powinność - mruknęła w końcu i zamknęła oczy.

## Rozdział 30

# Rozgrywka w badugi

Asha obudził atak kaszlu. W pokoju było ciemno. Z początku nie przypominał sobie, gdzie jest. Wymacał dłonią miękkie, eleganckie prześcieradło.

- Spokojnie - powiedział czyjś głos. Zwrócił się w tamtą stronę, dysząc z wysiłku. Jakaś postać wstała z fotela, rysując się na tle ciemnego okna. Podeszła do niego, trzymając coś w dłoni.

Ash podciągnął się i usiadł, opierając się na miękkich poduszkach. Przyjął podaną mu manierkę, zakasłał, pociągając łyk chłodnej, kojącej wody, a potem przechylił naczynie i napił się jeszcze.

- Dziękuję - zacharczał do Ché, który wrócił na swoje miejsce pod oknem.

Ash bardzo ostrożnie przerzucił nogi przez krawędź łóżka, stawiając je na zimnej kamiennej posadzce. Kręciło mu się w głowie i było mu niedobrze. Czaszkę rozlupywał tępy ból w miejscu, gdzie powstał guz. Ash wcale nie czuł się wypoczęty.

- Gdzie jesteśmy? - spytał, kiedy udało mu się wziąć kilka urywanych oddechów.

Ché odwrócił się w jego stronę.

- Utkwiliśmy w mieście, którego mieszkańcy robią wszystko, żeby z niego uciec - odparł i zwrócił się z powrotem do okna.

Ash wstał i przeciągnął się, aż mu strzeliło w kręgosłupie. Począł, aż przestanie mu się kręcić w głowie. Z oddali słychać było strzały, a wiatr przyniósł zapach spalenizny. Jęknął i podszedł do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Śnieg z deszczem przestał wreszcie padać, a wiatr przepędził część chmur; na niebie od czasu do czasu widać było pojedyncze gwiazdy. W ich nikłym świetle dostrzegł cienką smugę dymu unoszącą się wysoko nad miastem.

Ash popatrzył na flotyllę łodzi, która kierowała się na zachód, zostawiając za sobą niesamowity niebieski kilwater.

- A nasze szanse wyrwania się stąd maleją z każdą odpływającą łodzią - uzupełnił Ché.

Ash oparł się o ramę okna. Każdy oddech palił go jak ogniem, ale powietrze, w którym unosił się ledwie zauważalny aromat siarki, przynosiło mu trochę ulgi. Zmrużył oczy,

wpatrując się w słabo widoczny brzeg jeziora. Na całej jego długości błyskały jasne ogniki płonących pochodni. Było ich mnóstwo, na południu i na północy. Nocne niebo rozjaśniały tam płonące budynki. Widział, jak pochodnie przenoszą się coraz dalej i dalej w kierunku zachodniego brzegu, na skraj lasu Windrush.

- Choć w zasadzie wszystkie brzegi jeziora opanował już nieprzyjaciel - uzupełnił.

Niezgrabnie - bo jego zdolność koordynacji niemal zanikła - przyciągnął sobie krzesło z drugiego końca pokoju, objając je o krawędź łóżka. Wszystkie odgłosy wydawały się nienaturalnie hałaśliwe w tym pustym domu. Usiadł przy oknie z manierką wody, pociągając łyk za łykiem. Obaj zapatrzyli się w noc.

- Jedź, jeśli chcesz - powiedział do mrocznej postaci naprzeciwko.

Mimo ciemności widział, jak Ché lustruje go chłodnym spojrzeniem.

- Nie chcę pozbawiać cię zemsty.

Ash rzucił mu na kolana manierkę i obserwował błysk jego oczu.

Ché wyprostował naczynie, bo woda zaczęła kapać na podłogę.

- Wydaje ci się - warknął Ash - że zapłaciłeś za wszystkie swoje przewiny tym, że wyciągnąłeś mnie z kłopotów? Mylisz się, Ché. I nie rób sobie żartów z naszych porachunków, bo mnie one nie bawią.

Ché znowu odwrócił się w stronę okna.

- Rób jak uważasz, starcze - westchnął.

Leniwie podrapał się w szyję, a Ash przypomniał sobie czasy, gdy ten młodzik był uczniem Rōshunów w Sato; mały, przejęty dzieciak o smutnych oczach, zawsze gotów do śmiechu, którego kaskady przypominały trzepot skrzydeł spłoszonego stada ptaków.

- Byłeś jednym z nas - stwierdził oskarżycielsko.

- Też tak myślałem.

- Ale opuściłeś nas dla Mannijczyków.

Usta Ché rozciągnęły się w niewesołym uśmiechu.

- Zawsze należałem do Mann - odpowiedział w zadumie. - Tylko że wtedy o tym nie wiedziałem.

- Jak to?

Młody człowiek podrapał się jeszcze mocniej, nawet tego nie zauważając.

Ash delikatnie ujął jego dłoń i poczuł, jak tamten drży pod dotykiem. Spokojnie odsunął ją od szyi. Czuł pod palcami mocny puls.

- Ché?

Dyplomata na moment zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zaczął snuć opowieść, jakby

relacjonował losy kogoś obcego, głosem wypranym z emocji.

- Zakon Mannijczyków zna różne sposoby manipulowania ludzkimi umysłami, Ashu. Mną też się zajęli, gdy byłem małym chłopcem. Wyrobili we mnie przekonanie, że jestem kimś innym, a potem posłali, żebym uczył się na Rōshuna. Uwierz mi, nie oszukałem was. Byłem szczerze przekonany, że naprawdę chcę być waszym uczniem. Dopiero, gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat, ogarnęła mnie fala moich prawdziwych wspomnień, tak jak zaplanowali to treserzy. Zrozumiałem, jaką misję mi powierzono. A teraz zabierz tą rękę, starcze, zanim strącę ją siłą.

Ash odsunął dłoń i oparł się na fotelu, nie kryjąc zaskoczenia.

- Wydałeś na śmierć całe Sato - przypomniał mu.

Młody człowiek był tylko cieniem w fotelu; białka jego oczu lśniły, gdy wpatrywał się w jezioro.

- Zrobiłem to, by chronić matkę. Żeby nie zrobili jej krzywdy. Nie miałem innego wyjścia, rozumiesz?

- Nie miałeś wyjścia?

- Nie.

- A co się teraz z nią stanie, Ché? Nie skrzywdzą jej? Przecież zdezerterowałeś.

Oczy młodego człowieka załśniły.

Ash pożałował swoich słów, ale zanim zdążył naprawić błąd, targnął nim atak kaszlu. Pochylił się i splunął na podłogę. Ché podał mu znowu manierkę. Ash napił się trochę, a potem Ché podniósł coś i rzucił mu na kolana pół bochenka czerstwego chleba, owiniętego w papier. Ash pochłonął go w mgnienia oka, czując, jak kiszki grają mu marsza. Coś się w nim wtedy zmieniło: zniknął gniew na tego młodego człowieka, zniknęło poczucie zdrady. Przeżuł ostatni kęs, popił wodą i przez chwilę siedział bez ruchu, nie wiedząc, co powiedzieć. Po nocnym niebie przemknęło stado ptaków wypłoszonych z gniazd strzałami, które wydawały się stąd równie niewinne jak fajerwerki. Ptaki nawoływały się przenikliwymi głosami. Na ulicy zawtórował im jakiś mężczyzna, wykrzykując z niepokojem czyjeś imię.

- Jeśli będzie trzeba, popłyniemy na drugi brzeg - stwierdził Ash.

Ché zlustrował go spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem.

- Przy tej pogodzie? Wyglądasz tak, jakby jedna zimna kąpiel miała cię wykończyć, a co dopiero pływanie.

- Daj mi dzień, dwa i wtedy porozmawiamy. Poza tym woda w tym jeziorze wcale nie jest taka zimna.

- I co wtedy zrobisz, jeśli nam się uda?

Ash przesunął spojrzeniem po pochodniach, które wędrowały na zachód. Po długiej chwili wypuścił powietrze z płuc.

- Muszę ostrzec moich ludzi, Ché. To jest teraz najważniejsze.

Poczuł ciężar glinianego flakonu na szyi. Odezwały się wyrzuty sumienia.

- Ale najpierw odwiedzę pewną matkę w sprawie jej syna.

\*

Ché poznał kiedyś pewną sztukę, dzięki której potrafił zasnąć w każdych warunkach. Przykładał głowę do poduszki, odprężał się i koncentrował na oddechu. Po chwili zapadał w wytęskniony stan zapomnienia.

Ale wtedy był młody i żył chwilą, jak wszyscy młodzi. Nie interesowało go to, co było, ani to, co dopiero nadejdzie. Nie trapiły go niespokojne myśli dorosłego człowieka ani przymusy, które w ciszy sypialni odzywały się z tym większą siłą. Zасыпianie stało się wtedy aktem silnej woli, a nie kwestią odprężenia; walką, a nie stanem rozluźnienia, który zniknął przy każdym napięciu woli.

Tak więc, pomimo ogromnego znużenia, przewracał się na łóżku przez długie godziny dzielące go od świtu, ledwie zmrużywszy oko. Ciągle myślał o matce w Khos i o cieniach z garotami, skradającymi się ku niej nocą. Myślał też o dzieciństwie spędzonym w czterech ścianach świątyni Sentiata, o samotnych zabawach bez rówieśników, o nieskończone nudnych mannijskich naukach i o Czyszkach, które nauczyły go twardości. Ale przede wszystkim myślał o tym, że nawet teraz nie uwolnił się od tego wszystkiego. Doskonale wiedział, że zakon nigdy nie pozwoliłby dyplomacie na dezercję i nie pozostawił go przy życiu.

Sasheen naśle na niego bliźnięta. Pewnie już ruszyły jego śladem. W pewnym momencie usłyszał, jak Ash w sąsiedniej sypialni przewrócił coś na podłogę. Słyszał skrzypienie desek, gdy stary wędrowiec schodził po schodach, potem brzęk naczyń w kuchni. I powracające kroki, a potem trzask zamykanych drzwi sypialni.

Rōshun był tylko jedną z wielu trosk, które go trapiły. W końcu zrezygnował z prób zaśnięcia, jęknął i wstał z łóżka, przecierając dłońmi twarz, by oprzytomnieć.

W sąsiednim pokoju Ash opatulony kocami ciężko oddychał we śnie. Obok łóżka stała pusta butelka po winie i słoik czegoś, co pachniało jak miód. Wędrowiec zakasłał kilka razy, podrapał się pod kocem, ale się nie obudził.

Ché narzucił na śpiącego swój koc. Pogrzebał w torbie, którą zostawił na stoliku w swojej sypialni, i wyjął flakon soku z dzikodrzewa. Próbował sobie przypomnieć, ile trzeba wziąć, żeby zahamować pracę gruczołu tętniczego. Nigdy wcześniej tego nie stosował, a

wiedział, że łatwo można przedawkować i wywołać reakcję samobójczą, którą w normalnych warunkach uruchamiała tylko siła woli.

Kapnął kilka kropel na język i schował flakon z powrotem do torby. Wsunął ją pod łóżko, żeby nikt jej nie zauważył. Sok był niesmaczny i gorzki. Sprawdził, czy ma nabity pistolet, i wsunął go w olstry. Płaszcz był dalej mokry, więc spojrzał w nocne niebo. Gwiazdy błyskały między nielicznymi chmurami. Otworzył okno i wywiesił płaszcz na zewnątrz, by wysechł.

Sok piekł go w język, gdy schodził na parter i wymykał się za bramę. Zatrzymał się na mokrym pomoście, przysłuchując się wymianie ognia na wschodzie.

Popatrzył w przeciwnym kierunku. Za dwoma szeregami domów zobaczył czarną połąć wody. Skierował się w tamtą stronę, przecinając szeroką ulicę. Po chwili kroczył już po śliskich jeziorostach. W końcu zatrzymał się nad samą wodą.

Na odległych brzegach migotały ogniska. Na wodzie unosiły się tratwy, płynąc w stronę ujścia Chilos i Suck, w nadziei, że będzie tam bezpiecznie. Powinienem być na jednej z nich, pomyślał ponuro. Powinienem znaleźć się jak najdalej stąd.

Odwrócił się niechętnie. Spojrzał na odległe światła, posłuchał odgłosów miasta. Ciekawe, kiedy po niego przyjdą.

\*

Staruszka przykucnęła na brzegu pływającej wyspy, po kostki w wodzie. Podciągnęła spódnicę do ud, odcięła nożem pasmo jeziorostów i wrzuciła je do wiadra.

Strzały na chwilę ucichły i od tamtej strony słychać było tylko trzeszczenie mostu. Nagle nieopodal rozległ się cichy plusk, a potem kapanie wody. Kobieta przerwała pracę i podniosła wzrok, przytrzymując się kosza, by nie stracić równowagi.

- Kto tu? - zapytała łamiącym się ze starości głosem.

Nikt się nie odezwał, ale wyczuwała obecność kogoś, kto ją obserwował.

Wstała, ściskając w dłoni nóż. Znowu plusk. I ściekanie wody.

- Kto tu? - powtórzyła i cofnęła się o kilka kroków, wychodząc z wody.

- To ja, mamó, twoja córka - rozległ się z bliska kobiecy głos. Staruszka podskoczyła ze strachu.

- Co takiego? Ja nie mam dzieci. Kim jesteś?

Fala wody musnęła jej palce. Omiótł ją czyjś aromatyczny oddech.

- Przestań się z nią droczyć, nie widzisz, że jest ślepa? - szepnęła jakiś mężczyzna. - Swan, pomóż mi z tym ubraniem, zanim zamarznię na śmierć, dobrze?

- Ślepa czy nie, jest świadkiem.



Serce staruszki zamarło, gdy poczuła na szyi zimne ostrze. Nawet nie drgnęła. Jej bezużyteczne oczy poruszały się nieświadomie.

- Ślepa, bezdietna staruszka - zadrwił kobiecy głos.

- Swan!

Płonący ból rozdarł jej gardło. Zakasłała głęboko, dławiąc się wilgocią, podniosła rękę do szyi i poczuła gorąco przelewające się przez palce. Kolana się pod nią ugięły i upadła na jeziorosty, zanurzając rękę w wodzie. Bezgłośnie poruszała ustami, jak ryba chwytająca powietrze.

- Powinna mi podziękować - brzmiały ostatnie słowa, jakie usłyszała w życiu.

\*

Setki ludzi tłoczyły się na ulicach i kłębiły wzdłuż nabrzeży Wielkiego Kanału, walcząc o miejsca na nielicznych łódkach przygotowanych do odpłynięcia i na promach, których załogi miały dość odwagi, by wrócić po kolejnych pasażerów.

Ché widział całe rodziny desperatów wsiadających na prowizoryczne tratwy z jeziorostów, na których położono drzwi od domów: kobiety piastowały w ramionach niemowlęta, dzieci ścisnęły w objęciach kosze i garnki, psy na uwięzi zanosły się jazgotem, a wiekowi dziadkowie mruzcili modlitwy.

Armia Khosyjczyków rozłożyła się na nocleg w cytadeli w sercu miasta i na pobliskich uliczkach. Straż Miejska Tume z trudem utrzymywała porządek wśród pijanych, znużonych wojaków, którzy sikali pod ścianami domów, pluskali się jak dzieci w publicznych cysternach albo spółkowali z prostytutkami na tyle zdesperowanymi, że zostały w mieście, by zarobić trochę grosza. Przeszedł przez jakiegoś czerwonego gwardzistę chrapiącego na środku pomostu. Przez chwilę przyglądał się walce między dwoma oddziałami, toczącej się pod markizą jakiegoś sklepu. Jeden z walczących upadł z nożem wbitym w udo.

Pewnie zawsze tak jest po bitwie, pomyślał. Ludzie tacy jak on, bezgranicznie zmęczeni, ale zarazem pełni energii, bo przeżyli. Wcale nie przypominali tych zwartych oddziałów z poprzedniej nocy, których jedność wywarła na nim tak piorunujące wrażenie.

Kiedy wędrował jakimś zaułkiem, ktoś otworzył drzwi i nieznajoma para wyszła na pomost z zadymionego pomieszczenia. Wewnątrz brzmiała muzyka i czyjś śmiech. Ché zatrzymał się, by spojrzeć na szyld zawieszony nad drzwiami. Nad portretem rozczochranej dziewczynki z rybą w zębach pysznił się napis: Tawerna Calhalee. Pamiętał to imię z lektur. Calhalee. Matka założycielka Tume, której dwanaścioro przymierających głodem dzieci dało początek wielkim klanom miasta.

Wszedł do środka. Drewniane schody prowadziły w dół, do długiej piwnicy, w której

ledwie mieściło się parę setek żołnierzy. Wszyscy byli pijani na umór i próbowali przekrzyczeć zespół grający na scenie. W wilgotnym powietrzu czuć było zapach potu, choć dym hazii i smolnika unosił się w powietrzu wielkimi kłębam. Ché ledwie słyszał własne myśli i bardzo mu to odpowiadało. Podeszedł do baru pod lewą ścianą. Zebrali się tam oficerowie, siedzący na wysokich stołkach albo oparci o ladę, w towarzystwie sporej grupy prostytutek. Pośliznął się, popatrzył w kałużę ciemnego płynu i spostrzegł, że tę część podłogi pokrywa grube szkło. W warstwie jeziorostów wycięto głęboką studnię. Między własnymi butami widział niesamowite, niebieskawe odbłyski głęboko w dole, na powierzchni wody.

Instynkt szulera kazał mu przepychać się dalej, aż pod tylną ścianę, gdzie natrafił na owalny stół, przy którym grano w pokera badugi. Po tej stronie sali było ciszej; gracze w skupieniu wpatrywali się w karty.

Przez chwilę obserwował grę. Rozgrywka toczyła się między dwiema osobami: mężczyzną w purpurowej szacie ludu Hoo i krótko ostrzyżoną dziewczyną w czarnym skórzanym uniformie oddziałów specjalnych. Wszystkie krzesła były zajęte, ale jeden z graczy pochrapywał z głową odchylną do tyłu. Ché jednym palcem dziobnął go w ramię, a tamten spadł na bok z krzesła. Tu i ówdzie rozległy się chichoty, gdy zasiadł na jego miejscu z wprawą dżokeja sadowiącego się w siodle. Gracze wyłożyli karty; dziewczyna w skórze pożegnała spojrzeniem swoje monety, zgarniane ze środka stołu.

- Jaki limit? - zapytał siedzących obok.

- Nasze dusze - odezwał się jakiś bas.

Należał do opasłego cywila, dzierżącego w dłoni kubek z winem. Przed nim stał talerz z szaszłykiem. Mężczyzna oblizwał zatłuszczone palce, kiedy Ché skinął mu głową.

- Wysoka stawka - odparł i wyjął z kieszeni mieszek z pieniędzmi. Położył kilka monet na dłoni, a potem zrobił z nich stosik na blacie. Były tutejsze: srebrniki i orły. Dostał je w pakiecie awaryjnym.

Rozdano karty, a potem każdy z graczy dodał miedziaka do puli. Ché rzucił okiem na siedzącą obok dziewczynę. Zamknęła na moment oczy, ale kiedy stary wiarus po jej prawej spojrzał na swoje karty i rzucił je z niesmakiem na stół, sprawdziła szybko, co dostała. Wydęła wargi.

Trochę za młoda jak na oddziały specjalne, pomyślał Ché, zanim spostrzegł opaskę sanitariuszki na ramieniu.

Dziewczyna z powagą wyjęła srebrną monetę i dołożyła do puli. Mężczyzna z lewej spojrzał na nią z ukosa i odłożył karty. Rozgrywka szła dalej. Kiedy przyszła kolej na grubasa, dołożył równowartość jej stawki, a potem zapisał coś w notesie.

Spojrzała na Ché wielkimi, rozszerzonymi od narkotyku oczyma.

- Grasz czy się gapisz? - spytała.

- Jedno i drugie po trochu - odpowiedział, a potem spojrzał na swoje dwie karty. Trójreki czarny mnich i biały wędrowiec. Rozważył swoje położenie. Nie musiał koniecznie wygrywać. Wystarczyło mu, że zasiadł w znajomym otoczeniu, za stołem i mógł na chwilę o wszystkim zapomnieć. Kierując się kaprysem, dołożył tę samą stawkę co dziewczyna, a potem podniósł ją, dorzucając dwa srebrniki. Ciekaw był, jak zareaguje.

Dziewczyna znowu przymknęła oczy i poprawiła się na krześle, czekając na swoją kolej.

- Twój akcent. Nie jesteś z Khos, prawda? - spytał grubas, popijając wino.

- Bywałem tu i ówdzie - odparł niezobowiązująco Ché.

Grubas wytarł dłoń w wełnianą tunikę i wyciągnął ją do niego.

- Koolas - przedstawił się.

- Ché.

Wymienili uścisk dłoni. Ché zastanawiał się, czy tamten próbuje go w ten sposób rozszyfrować.

- Co cię tu sprowadza, przyjacielu?

- Sprawy handlowe - odpowiedział. - A ciebie?

- Mnie? Jestem korespondentem wojennym, a poza tym piszę własne teksty.

- Koolas? - spytał zaskoczony Ché. - Ten sam, który napisał *Pierwszych i ostatnich*?

Chattero uśmiechnął się z dumą.

- We własnej osobie - odparł. - Jesteś nieźle odczytany, przyjacielu. Nakład nie był aż tak duży.

Ché skromnie skłonił głowę.

Rozdający rzucił na blat cztery odkryte karty. Ché dostrzegł czerwonego wędrowca, zanim spojrzał na resztę. Dwie z nich również były czerwone.

Dziewczyna znowu pierwsza postawiła zakład; tym razem znacznie podbiła stawkę, dorzucając do puli pięć brzęczących srebrników.

Ché usiadł wygodniej i próbował ją rozszyfrować. Jaka spokojna, pomyślał. Chyba nie blefuje. Możliwe że coś ma, może nawet badugi.

Czekali na Koolasa, który zezując lewym okiem, przyglądał się kartom na ręku i na stole. Spojrzał na dziewczynę.

- Pas - powiedział w końcu, rzucając karty na blat.

Ché dobrze się bawił. Wiedział, że pewnie przegra, ale sięgnął do stosika monet,

pobawił się nimi przez chwilę, słuchając ich brzęku. Dziewczyna udawała, że nie zwraca na niego uwagi. Wykorzystał tę chwilę, by spojrzeć w jej dekolt ściśnięty skórzanym uniformem.

Nie da się z nią zblefować, stwierdził i z niejakim żalem odłożył swoje dwie karty. Wskazał na pulę. Wszystko twoje, mówił ten gest. Dziewczyna z twarzą bez wyrazu zgarnęła wygraną. Spojrzała na niego spod oka, a w kąciku jej ust zaigrał cień uśmiechu.

Cholera, blefowała, uświadomił sobie z irytacją. Ta suka ograła nas wszystkich.

Odchylił się na krześle i ryknął śmiechem. Świetnie się z tym czuł, tym bardziej że prawie nie było go słyhać w ogólnym rozgwarze. Kiedy w końcu przestał, poczuł się jeszcze lepiej. Rozdano na nowo karty. Pochwycił spojrzenie jednej z barmanek i poprosił o wodę i dobre wino. To, które przyniosła było nie najgorsze, ale woda smakowała, jakby zaczerpnięto ją prosto z jeziora.

- Jak idzie ewakuacja? - spytał Koolas.

- Nie powinieneś przypadkiem sam tego doglądać, panie korespondencie?

- Dość już widziałem, dziękuję ci uprzejmie - padła spokojna odpowiedź.

Ché spasował kilka razy, bo dostawał karty niewarte nawet blefu. Najpierw chciał zaobserwować przebieg gry i style swoich przeciwników, zanim się za nich na serio weźmie.

Przy barze wybuchła bójka. Jakiś mężczyzna stanął na ladzie, wymachując fiutem ku uciesze swoich kolegów. Ktoś przewrócił stół, rozlewając alkohol na podłogę. Bębny zaczęły znowu dudnić, śpiewaczka jęczała namiętnie w nieskazitelnym starokhosjańskim, z intonacją bliską alhazyjskiego. Ché odwrócił się, by na nią popatrzeć.

Była ubrana w czarną, obcisłą, satynową suknię. Fryzurę przytrzymywały spinki z lakierowanego drewna. Kontury oczu podkreśliła czarnym tuszem. Śpiewając, kołysała biodrami, a jej ruchy przyciągały spojrzenia wszystkich mężczyzn i kobiet. Wpatrywali się w nią jak urzeczeni: mężczyźni pragnęli jej, kobiety pragnęły być takie jak ona. Spokojnie odpowiadała spojrzeniem, oplatając głowę dłońmi, i dalej wiła się w oparach dymu.

- Calhalee!

Ché odwrócił się z powrotem do graczy.

- Co takiego? - spytał dziewczyny.

- Calhalee. Podobno jest właścicielką - krzyknęła, by dosłyszał ją w hałasie. Zauważył, że mówiła z mocnym akcentem z Lagos.

- Dobra jest - odpowiedział, zaglądając jej w oczy.

Wino poszło mu do głowy. Pochylił się nad stołem i wyciągnął dłoń.

- Ché.

- Nie jestem głucha - odpowiedziała. Przez chwilę taksowała go wzrokiem, zanim

przyjęła podaną dłoń. - Loczek.

Kiedy ich ciała zetknęły się ze sobą, poczuł pulsowanie krwi i spostrzegł, że rozchyliła wargi. Mocniej ścisnął jej dłoń i nagle jej zapragnął.

## Rozdział 31

# Pożądanie

- Generale Creed, rozruchy w zachodniej dzielnicy.

To kapral Bere, który nadjechał na spienionym zelu. Dopiero co wrócił, posłany z rozkazami do kapitana Ashtana, który bronił zachodniego brzegu na czele oddziałów Czerwonej Gwardii.

- Kto je wywołał?

- Jacyś spanikowani cywile. Uznali, że nasze ostrzeżenia przed lądowaniem przy ujściu Suck i Chilos są bez sensu. Wydaje im się, że bez trudu dopłyną tam na tratwach.

Creed popatrzył na kaprala w perłowym świetle poranka. Bere był brudny, jak zresztą wszyscy. Zgubił hełm, włosy miał splątane i zjeżone, zbroję okrywały strzępy szkarłatnego płaszcza. Ale stał prosto i oczy mu błyszczały. Dobrze się sprawdzał w trudnych sytuacjach.

Creed przypomniał sobie, że to jego nowy adiutant. Niechętnie przyjmował to do wiadomości, bo to znaczyło, że Bahn leży martwy gdzieś pod Chey-Wes. Na razie wołał nie dopuszczać do siebie tej myśli.

- Co proponujesz, kapralu?

Bere wyraźnie się zdziwił, że ktoś pyta go o zdanie.

- Nie wiem, generale. Może powinniśmy wysłać więcej ludzi, żeby ich powstrzymać.

Creed zastanowił się nad jego słowami.

- Przecież to wolni ludzie - zdecydował w końcu. - Jeśli chcą ryzykować, dajmy im wolną drogę.

Kapral skinął głową i z powrotem wskoczył na siodło. Gwardziści Creeda zrobili mu przejście, gdy pognał zwierzę do galopu, roztrącając żołnierzy włączących się po pomostach. Creed stanął na środku mostu przerzuconego nad szerokim Głównym Kanalem. Poklepał dłonią barierkę i z twarzą bez wyrazu przyglądał się zamieszaniu. Z dachu pobliskiego magazynu odlatywał właśnie przeciążony statek powietrzny, unosząc rannych i cywilów.

Mieszkańcy miasta byli coraz bardziej zdesperowani, kiedy spostrzegli, że nowy dzień nie przyniósł żadnej zmiany. Wszyscy pragnęli tylko jednego: znaleźć się daleko stąd. Ale dwie rzeki wypływające z jeziora, Chilos i Suck, zostały zablokowane przez wojska

Imperium, które ostrzeliwały z obu brzegów wszystkie zbliżające się łodzie. Godzinę wcześniej kapitan Trench z powietrznego statku „Sokół” zaraportował, że wody Chilos są czerwone od krwi.

Nie wierzą, że ich obronimy, uświadomił sobie Creed, obserwując pandemonium rozgrywające się nad kanałem.

Nie mógł ich za to winić. Do Tume dowlokła się znużona armia, która poniosła ciężkie straty z rąk wroga, deptającego jej po piętach. Sądząc z wyglądu, nie utrzymaliby nawet jednego mostu, a co dopiero miasta. Bez ciężkich dział było to raczej niemożliwe.

Zimny wiatr przeczesał mu włosy. Odchylił głowę do tyłu i wciągnął w płuca woń gnijących jeziorostów, wyróżniającą się wśród zapachów tego miasta. Zawsze lubił Tume. Dawno temu często odwiedzał swego kamrata Vanichiosa, z którym chodził na dziwki, uprawiał hazard i pił, jak przystało na bezżennych oficerów. Z przyjemnością korzystał z wszelkich luksusów dostępnych synowi Principariego.

Za Głównym Kanałem wznosiły się mury cytadeli, starożytnej fortecy wieńczącej skalistą wysepkę. Otaczała ją fosa pełniąca funkcję kanału. Nie kołysała się na nim ani jedna łódka, bo Vanichios poprzedniej nocy odesłał z pałacu rodzinę i wszystkich cywilów.

Nie udało mu się przetłumaczyć, żeby sam również się ewakuował. Twardo upierał się, by zostać i bronić miasta. Nawet teraz resztki jego Straży ściągały do cytadeli wozy z zaopatrzeniem, przygotowując się do nadchodzącego oblężenia. Z balist i miotaczy ustawionych na murach cytadeli ściągano płócienne osłony. Choć Vanichios emanował pewnością siebie, jego strażnicy tłumnie dezercerowali pod osłoną nocy. Zaledwie połowa została, by bronić miasta. Principari klął i wyzywał dezercerów od tchórzzy i psów. Z płonącymi oczyma błagał Creeda, by ten nie ewakuował armii z Tume, tylko został u jego boku i bronił miasta. Generała na chwilę porwał zapał jego starego przyjaciela. Drażniło go, że znowu musi uciekać przed wojskami Imperium. Ale chłodny, zdrowy rozsądek powrócił, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Tume było jak pusty grób czekający na zwłoki. Obrona miasta kosztowałaby życie tych, którzy przeżyli bitwę, bo rezerwiści z Al-Khos byli wciąż o trzy dni drogi ze swymi ciężkimi działami. Za daleko, by czyniło to jakkolwiek różnicę. Co gorsza, żołnierze broniący bram miasta donieśli, że cesarscy zaczęli odbudowywać na pół zniszczony most pod ostrzałem obrońców. Według ich obliczeń odbudowa potrwa zaledwie dzień, jeśli tamci będą pracować pełną parą, nie licząc się ze stratami. Creed nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Kiedy wejdą do miasta, zaczną się walki uliczne. Nikt nie wie, jak długo obrońcy pozostaną spójną armią, zanim regularna wojna zmieni się w serię pojedynków, a jego armia

rozproszy się w oczach.

Nie. Nigdy na coś takiego nie pozwoli.

Generał obserwował kanał i promy, którym udało się wrócić z ostatniego kursu. Wysokie łodzie były oblepione marynarzami, którzy piłowali i przybijali deski, budując osłony zamocowane do relingów i mostków.

Pułkownik Barklee z Czerwonej Straży przechadzał się między nimi, przeskakując z łodzi na łódź, i oglądał dziury po wystrzałach. Był jedynym oficerem, który znał się na żeglowniu. Promy muszą być jak najlepiej osłonięte. Kiedy statki powietrzne zabiorą pozostałych rannych i cywilów, trzeba będzie ewakuować główne siły armii. Niektórzy odlecą skudami i statkami powietrznymi. Reszta będzie musiała popłynąć na promach do ujścia Chilos w nadziei, że uda się tam przerwać linię obrony i spłynąć z prądem aż do Promu Juno, gdzie Creed postanowił się bronić.

Mieli szczęście, że w dalszym ciągu kontrolowali niebo. Imperialne wojenne ptaki wycofano po kilku początkowych potyczkach. Nie sposób było jednak zgadnąć, jak długo jeszcze to potrwa. Creed chciał, by wszyscy opuścili miasto do następnego poranka, zanim cesarscy skończą naprawiać most. Ci, którzy pozostaną, będą zdani sami na siebie.

\*

Loczkowi spodobał się ten facet. Otaczała go atmosfera samotności, jakby nie miał żadnych korzeni i był głęboko zraniony, choć radził sobie z tym nieźle. Hardy był, a jego szczery śmiech udzielał się otoczeniu.

Kim jesteś? - zastanawiała się, obserwując go przy grze. Nie wyglądał na Khosyjczyka. Włosy miał ostrzyżone krótko, po wojskowemu, ale widać było, że są jasne. Oczy miał za to ciemne i inteligentne. Mocno zarysowane brwi. Kwadratowa, przystojna twarz. Drobne dłonie. Poza tym Loczek od pewnego czasu odczuwała potrzebę męskiego towarzystwa. Szczególnie w nocy, kiedy budziła się na zimnej posadzce magazynu, gdzie nocowała wraz z rannymi, których krzyki wyrzywały ją z sennych koszmarów. Wciąż miała przed oczyma twarze młodych ludzi błagających, by ją uratowała. W nocy rannymi zajmowali się wolontariusze i mnisi z miasta. Kris spała jak nieżywa, podobnie jak Andolson ze swym jitem. Natrafili na niego po wkroczeniu do Tume. Powiedział, że Milos i młody Coop zginęli, a reszta sanitariuszy rozproszyła się po różnych pułkach.

W głębi magazynu znowu krzyknął ktoś trapiiony bitewnymi koszmarami. Loczek cicho wstała i ruszyła ku wyjściu, by oderwać się od własnych myśli. Od ulicznego sprzedawcy kupiła zwitek drossu owiniętego w liście graf. Zabrała go ze sobą i skierowała się w stronę, z której napływały dźwięki muzyki.



Znalazłszy się w Tawernie Calhalee, zasiadła do badugi. Szary proszek krążył w jej żyłach; zajmowała się na poły grą, a na poły obserwacją otaczających ją mężczyzn: młodych i przystojnych albo energicznych weteranów.

Zaliczyła Ché do pierwszej kategorii, kiedy tylko zasiadł naprzeciwko i błysnął swoim uroczym uśmiechem. Od razu wiedziała, że będzie jej. Dobrze grał, więcej zgarnął, niż stracił, ale widać było, że niespecjalnie mu zależy. Powoli wciągnęła się w rozgrywkę. Zajęła się kartami i pulą, zatracając się w grze tak, jak zatraciłaby się z mężczyzną w łóżku, coraz bardziej pijana z każdym łykiem gorzkiego keratchu, który przyniosła jej barmanka.

Nad ranem badugi było już tylko walką o przetrwanie. W tawernie zrobiło się ciszej, gdy pijani żołnierze zaspokoili głód i poszli spać. Kilku kucharzy, włącznie z samą Calhalee, roznosiło gorące posiłki, nie chcąc za to pieniędzy. Ponownie napełniono oliwne lampy, choć przez szklaną podłogę napływało teraz światło poranka, znacząc błękitnymi rozbłyskami sufit i ściany. Jedni gracze odchodzili, inni się przysiadali, ale ci najważniejsi pozostali: tusty korespondent wojenny Koolas i ten Ché, który był tu chyba z podobną misją jak ona: żeby się upić i o wszystkim zapomnieć, bo nie wylewał za kołnierz.

Myśli w jej głowie przepływały powoli i leniwie, jak mijające godziny. Alkohol oszołomił ją zupełnie. Wprawdzie rozmawiała z Ché i innymi graczami, żartowała i śmiała się z ich dowcipów, ale przez cały czas jakaś obezwładniona strachem cząstka jej umysłu tkwiła na polu bitwy pod Chey-Wes, gdzie naokoło ludzie cięli się nawzajem mieczami w walce na śmierć i życie.

- Powiedz mi - zagadnęła Koolasa - czego brak tym Mannijczykom, że chcą opanować cały świat?

Korespondent grał i jednocześnie pisał coś w notesie. Drgnął i podniósł głowę.

- Włosów? - odpowiedział po prostu i znowu zagłębił się w notatki.

- Jest u nas w Lagos taka legenda - nie ustępowała. - O Canososie. Według niej, kiedy czas będzie dobiegał końca, kłamstwa zostaną uznane za prawdę, a prawdą będzie się otwarcie gardzić. Martwe dusze zaczną rządzić światem, zmieniając go na swój obraz i podobieństwo. Tylko nieliczni stawiają im opór.

Koolas obojętnie skinął głową.

- Chyba ją słyszałem. Lagos zginie, tonąc we własnych łzach, prawda?

Loczek znała tę część opowieści. Zaczerwieniła się, choć korespondent rzucił jej pośpieszne spojrzenie i przeprosił.

- Wybacz. Nie chciałem... - ucichł nagle skrępowany.

- W Górnym Pash też jest taka legenda - przerwał mu Ché niewyraźnym pijackim

pomrukiem. Wciąż tulił do siebie bukłak z keratchem, który dała mu na spróbowanie.

- O wielkim głodzie, który zwróci ludzi przeciwko całemu światu. W końcu Erēs pochłonie ludzkość. Za wyjątkiem tych, którzy oparli się pokusie.

- Mam nadzieję, że tak się stanie - odpowiedziała, słysząc nienawiść we własnym głosie. Zaskoczyła ją własna zjadliwość. - Mam nadzieję, że znikną z tego świata, co do jednego.

Ché przyglądał jej się z dziwną miną, zmrużywszy jedno oko.

- Tak myślałem, że cię tu spotkam.

Loczek podniosła wzrok na Kris, która stanęła nad nią, trzymając w dłoni kubek z jakimś napitkiem.

- Kris. Przyłącz się do nas.

Pokręciła głową.

- Mnie to nie bawi. Rozglądam się tylko, żeby wiedzieć, gdzie kto jest.

Loczek sięgnęła po bukłak z keratchem, wyjmując go z rąk Ché.

- Wiadomo już, kiedy się ewakuujemy?

- Jutro rano. Bolt mi właśnie powiedział. Potrzebuje ochotników, żeby zostali aż do chwili, gdy odpłyną ostatnie łodzie.

Patrzyła, jak Loczek pociąga głęboki łyk.

- Nie przesadzaj. Na ulicach panuje szaleństwo.

- Kris, albo to, albo będę wrzeszczeć na cały głos przez następną godzinę.

- Rozumiem, ale uważaj na siebie. Nie chodź sama po ulicy.

- Obiecuję - odparła Loczek, zamierzając dotrzymać słowa.

Kris popatrzyła na nią, a potem na Ché.

- Do zobaczenia.

\*

- Hoon, ty baranie, schyl głowę! - ryknął Halahan, gdy kolejna kula wybuchła na blankach, zasypując ich pyłem i kawałkami muru. Hoonowi jakimś cudem nic się nie stało, choć podobnie jak jego kolega był dosłownie zasypany kurzem. Halahan otrząpywał ich, jakby się palili.

Kolejna kula trafiła w fasadę strażnicy. Odpowiedzieli ogniem, trafiając w ziemię przed nieprzyjacielską artylerią, ponad częściowo zniszczonym miastem. Imperialni snajperzy zasypywali ich kulami. Ledwie można było oddychać w kurzu i pyle opadającym na balkony. Halahana bolały uszy od hałasu.

Czuł się tak samo jak podczas obrony Tarczy w pierwszych dniach wojny. Ludzie

kulili się najniżej, jak mogli pośród gruzu na posadzce, przeładowując broń albo czyszcząc bębrenki. Jakiś sanitariusz uciskał ranę w boku żołnierza; kilka Szarych Kurtek leżało z tyłu na ziemi. Byli martwi, choć oczy wciąż mieli otwarte. Halahan schylił się i ruszył na drugą stronę do sierżanta Jaya, który krył się w otworze strzelniczym, obserwując most i drugi brzeg przez lornetkę Halahana.

Chyba wyczuł jego nadejście, bo odwrócił się i krzyknął mu do ucha bez zbędnych ceregieli:

- Teraz dopiero się zaczniesz!

Halahan przyjął lornetkę i ustawił ostrość, żeby przyjrzeć się ciężkiemu działu, które pluło dymem na przeciwległym brzegu. Armia Imperium rzuciła przeciw nim trzy baterie ciężkich dział o większym zasięgu niż ich małe polowe działko.

Oddał lornetkę sierżantowi i popatrzył na most. Bliższy, spalony fragment był do połowy zanurzony w wodzie i wyglądał jak długa, smolista wstęga. Połączenie jeziorostów, na której wspierał się most, zanurzyła się pod powierzchnię, a tam, gdzie podniosła się wyżej, nietknięta, ciągnął się szereg mannijskich tarcz oblężniczych, które osłaniały snajperów i saperów, pracujących za ich szeregami. Co chwilę zza osłony wybiegały sylwetki dźwigające pęki jeziorostów i żerdzie; rzucały swoje brzemie na ruiny mostu i pędem wracały pod osłonę.

Niewolnicy. Kchosyjczy, sądząc z wyglądu. Z początku Szare Kurtki nie chciały do nich strzelać, ale Halahan zacisnął zęby i wydał rozkaz. Jego wielonarodowy oddział z ponurymi minami celował do tych nieszczęśników, a oni patrzyli na to wstrząśnięci, bez słowa. Niewolnicy padali jak szmaciane lalki, ale było ich nieskończenie wielu. Stopniowo odbudowywali zrujnowany most.

Kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem. Część muru po lewej zawała się razem z kamienną podsadzką. Hoon z kilkoma innymi snajperami musieli skakać, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Halahan spojrzał na lewy balkon, gdzie z plutonem strzelców rozlokował się jego lagoski zastępca, kapitan Hull. Oni również kryli się za murem, pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela.

- Nie! - krzyknął ktoś, patrząc, jak galeryjka powoli zapada się pod stopami jego towarzyszy.

- Uciekajcie! - zawołał inny żołnierz przez zwiniętą w trąbkę dłoń, ale już było za późno. Najpierw odpadła zewnętrzna część muru. Ludzie spadali wraz z kawałkami gruzu. Zobaczył jeszcze, jak kapitan Hull w białej chuście gestem ręki nakazuje reszcie wycofać się na klatkę schodową - i wtedy z hukiem zawała się cała galeria wraz z oddziałem. Hull też

był pomiędzy nimi.

Na tamtym brzegu rozległy się okrzyki. To Imperium cieszyło się ze zwycięstwa. Halahan zamknął oczy. Powoli przetarł pokrytą zarostem twarz sztywnymi z zimna dłońmi. Nie spał od dwóch nocy. Warknął, odwrócił się tyłem od tej sceny i próbował zmusić znużony, wściekły umysł do myślenia. Ludzie patrzyli na niego gotowi, by rzucić się do biegu na pierwsze jego słowo.

Skinął głową.

Szare Kurtki chwyciły broń, narzędzia i pognały w dół po schodach.

Na ulicy kule gwizdały i rykoszetowały od ścian strażnicy. Ludzie rozbiegli się, zajmując rezerwowe pozycje strzeleckie w sąsiednich budynkach. Ulic broniła Czerwona Gwardia, kryjąc się za prowizorycznymi barykadami.

Przebiegając przez bramę, Halahan spostrzegł sierżanta Jaya.

- Wycofujemy się na rezerwowe pozycje! - krzyknął do niego.

- Wiadomo, kiedy nas zluzują?

Przeskoczyli przez zwały gruzu. Sierżant przytrzymał słomiany kapelusz.

- Rozkazy się nie zmieniły, sierżancie. Utrzymać pozycję do rana.

Odpowiedziało mu spojrzenie z ukosa.

- Wiem, stary druhu - odparł. - Szkoda słów.

## Rozdział 32

# Spotkanie dyplomatów

Ché, pijany na umór, zapomniał, że gra w badugi.

To przez tę dziewczynę, Loczek, i jej śliczną twarzyczkę. Od czasu do czasu odzywała się do niego przy grze albo śmiała się z jego żartów, ale przeważnie częstowała go keratchem z wielkiego bukłaka. Udawała, że o niego nie dba. Ché pił, aż odgłosy tawerny zlały się w odległy, nierealny pomruk i coraz głębiej zapadał się w siebie.

W pewnym momencie Koolas i reszta graczy przestali z niego podrwiwać, żeby oprzytomniał i wrócił do życia. Po prostu przenieśli go razem z krzesłem pod ścianę, robiąc miejsce dla innych.

- Spadajcie - warknął, ale nie zwrócili na to uwagi.

Serce tłukło się w nim jak oszalałe. Chyba nigdy w życiu nie wypił tyle naraz. Przez jakiś czas siedział nieruchomo, czując, jak coś próbuje oderwać się od jego szyi. Machnął ręką, ale pulsowanie nie ustawało.

Zdaje się, że posadzili go przy pustym stole. Przed nim stał kubek z wodą. Wypił ją z wdzięcznością. Czuł, że pochyła się na bok, jakby błędnik dostosowywał się do krzywego świata. Czyjeś ramię przywróciło mu pion. To ta dziewczyna, która znowu usiadła obok niego.

- Chodź ze mną - usłyszał własny głos, szepczący jej do ucha.

- Niby dlaczego? - przekomarzała się z nim.

Próbował skupić się na odpowiedzi.

- Bo bardzo tego chcę - zaczął.

Dotknęła kolaniem jego nogi.

- Możemy wynająć tu pokój - zaproponowała. - Zamówić jedzenie. Sądząc po wyglądzie, pewnie by ci się przydało.

Pomogła mu wstać. Tkwił w miejscu, kołysząc się lekko, kiedy odeszła na chwilę. Wróciła, uśmiechnięta.

- Tędy - powiedziała i poprowadziła go na schody oświetlone pojedynczą, migocącą lampką.

Ktoś z tyłu zagwizdał i krzyknął jakąś zachętę.

Ché odwrócił się, ale nie zauważył, kto to był. Nie zauważył też dwóch postaci, mężczyzny i kobiety w cywilnej odzieży, z filcowymi kapeluszami na ogolonych głowach, którzy wbili w niego twarde spojrzenia.

\*

Arcygenerał Sparus obserwował przez lornetkę parę powietrznych statków startujących z samego serca Tume. Żołnierze Czerwonej Gwardii stali przy relingach, a ich płaszcze powiewały na wietrze, gdy pojazdy z godnością wznosiły się w niebo. Z trzaskiem złożył lornetkę i oddał ją najbliższemu oficerowi, którym był kapitan Skayid. A więc to prawda: Creed ewakuuje z Tume także armię.

Sparus wiedział, że Lord Protektor będzie jednym z ostatnich opuszczających miasto na wyspie i dlatego tak mocno naciskał na odbudowę mostu. Za nic nie chciał pozwolić, by tamten znowu wymknął mu się z rąk. Pragnął go dostać żywego. Marzył, by oddać go w ręce swoich najlepszych specjalistów. Złamałoby go, jak każdego, narkotykami i igraszkami z jego umysłem, starannie dawkowanym bólem, aż stałby się wrakiem człowieka, gotowym zrobić wszystko, co mu się rozkaże...

Stało się to jego ulubioną fantazją od zakończenia bitwy i ucieczki zatrzymanych. Lord Protektor, w łańcuchach, wyrzekający się głośno wszystkiego, czym niegdyś był, obwożony przez Sparusa po ulicach Bar-Khos, żeby wszyscy Khosyjczycy zobaczyli, co zostało z ich wielkiego wodza. Może nawet Creed dołączyłby do odciętej głowy Luciana jako kolejne żywe trofeum. Należy mu się, pomyślał Sparus. Powstanie w Lagos po jego zdławieniu okazało się beznadziejnym, skazanym na porażkę zrywem głupców. Niedługo opór stawiany przez Khos i Wolne Porty także stanie się bezsensowny, a bitwy pod Coros, Chey-Wes i Tarczą zostaną zapamiętane jako ostatnie chwile zacofanych narodów, które na próżno sprzeciwiały się nowemu porządkowi świata.

Sparus w to nie wątpił, bo podobne sytuacje stale się powtarzały. Wprawdzie naukowcy spierali się o zwycięzców, pisząc podręczniki historii, ale on wiedział, że chodzi o coś o wiele głębszego. Zwycięstwa tworzą historie i ludzką pamięć, potwierdzając, że racja stoi po stronie zwycięzców, a pokonani są w błędzie. Zwycięstwo ma w sobie moc, podczas gdy klęska... klęska to tylko pusty strąk, który należy odrzucić po wybraniu ziaren - nadziei na przyszłe triumfy.

Kiedy Mann podbije w końcu Wolne Porty i ziemie Alhazii, położy kres walce epok i walce poglądów. Zwycięstwo będzie dowodem, że prawda stoi po stronie Imperium.

Ale niezależnie od wszystkiego, on musi najpierw wyrównać rachunki z tym

człowiekiem, z tym całym Lordem Protektorem, który już dwa razy wystrychnął go na dudka, najpierw nieoczekiwanym nocnym atakiem, a potem niespodziewaną ucieczką z pola walki. Sparus doskonale wiedział, jak należy się do tego zabrać.

- Pułkowniku Kunse - powiedział. Tamten stanął na baczność, podobnie jak reszta oficerów. - Przygotuj komandosów do nocnego ataku. Niech zbudują tratwy, żeby przeprowadzić się przez jezioro. Przed zmrokiem podwój wysiłki na moście. Zapłać Ochotnikom złotem, jeśli będzie trzeba. Chcę, żeby był gotowy dzisiaj, a nie jutro, słyszysz?

Spojrzał na zachód swoim jedynym okiem, nad ciężką artylerią Imperium, rozlokowaną na całym południowym brzegu. Kolejny khosjański statek powietrzny właśnie nadlatywał nad jezioro.

- I zróbcie coś z tymi statkami, dobrze? Powinniśmy podjąć walkę na niebie, nie oddawać go Khosyjczykom, pozwalając im na ucieczkę.

- Ale nasze ptaki są jeszcze w naprawie, arcygenerale.

- Nie obchodzi mnie to, pułkowniku. Jeśli są zdolne do lotu, niech startują.

Sparus wymagał niemożliwego, ale miał to gdzieś. Takie jest prawo generałów.

- Dziś w nocy zajmiemy miasto i Creeda, jeśli nadzoruje ewakuację.

Kilka twarzy rozjaśniło się uśmiechem, gdy dostrzegli ironię.

Tak jest, potaknął Sparus w duchu. Niech Khosyjczycy posmakują własnego lekarstwa.

\*

Szczęk drewnianych talerzy wyrwał Ché z pijackiego snu. Zauważył, że ktoś ustawił jedzenie na małym drewnianym stoliku i że są razem z Loczkiem w dwuosobowym pokoju. Pod ścianą stało starannie zasłane łóżko. Na oknie, za jego plecami, wisiały aksamitne zasłony, podłogę przykrywał pluszowy dywan. Było tu czysto, ale cuchnęło wilgocią i pleśnią.

Przez zamknięte drzwi dobiegł go pomruk śmiechu z sali na dole. Siedział i wbijał wzrok w jedzenie, czekając, aż świat przestanie powoli wirować. Na moment zapomniał, kim jest siedząca obok niego dziewczyna. Nie przeszkadzało jej to, że stykali się nogami, więc coś między nimi było, choć nie mógł sobie przypomnieć co. W drugiej dłoni trzymał dymiący zwitek hazii. Przytknął go do ust i zadygotał. Zaciągnął się, czując, jak mikroskopijne ziarenka rośliny drapią go w gardło.

- Wypuść dym, idioto - powiedziała dziewczyna i odebrała mu zwitek. Policzki miała wypchane jedzeniem. Siedział, z płucami pełnymi dymu i beczynnie wpatrywał się w migotliwy płomyk świecy stojącej na stole.

Wypuścił w końcu powietrze i popatrzył na nią.

- Jaka ty jesteś piękna - rzekł.

Uśmiechnęła się uprzejmie, jakby słyszała te słowa setki razy, i z powrotem zabrała się do jedzenia.

- Ty też coś zjedz - poradziła. - Dobrze ci to zrobi.

Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Szyja pulsowała. Zrozumiał, że to coś więcej niż ból głowy. Kiedy ja brałem ten sok z dzikodrzewa? - przypomniał sobie nagle.

- Idą już po mnie - zabelkotał, próbując wstać na nogi. Język odmówił mu posłuszeństwa.

- Idą po nas wszystkich - usłyszał jej odpowiedź.

Jego ręka bezsilnie zsunęła się ze stołu. Opadł z powrotem na krzesło. Nie był w stanie usiąść prosto. Pochylił się i oparł czoło o chłodny blat, a potem przekręcił głowę i dotknął go policzkiem. Z kącika ust pociekła mu ślina.

Bukłak z winem wciąż był na jego kolanach. Uznał, że kolejny łyk dobrze mu zrobi. Wyprostował się. Krzesło zaskrzypiało, a on pracowicie zaczął podnosić bukłak do ust.

Zanim przełknął, poczuł, że dziewczyna wymierzyła mu ostrego kuksańca w żebra.

Potoczył mętnym wzrokiem wokół i spostrzegł, że ktoś stanął przy stole, a ktoś inny właśnie zamyka drzwi. Obcy byli w cywilnych ubraniach okrytych cienkimi rozpiętymi płaszczami. Spod obu płaszczów wyglądały lufy pistoletów wycelowane w jego serce.

Natychmiast się wyprostował.

- Możemy usiąść? - spytał Guan i przysunął sobie krzesło. Swan poszła jego śladem. Przez chwilę przyglądała się jedzeniu, potem wzięła pasztecik i wrzuciła sobie do ust. Loczek siedziała jak skamieniała. Swan rzuciła jej spojrzenie ciemnych oczu.

- Co to za ślicznotka? - spytała z urazą.

Ché nie miał pojęcia, dlaczego kiedyś pociągała go ta kobieta.

Nie odpowiedział, bo Guan wbijał w niego lodowate spojrzenie.

- Na twoim miejscu zostawiłbym ten pistolet w spokoju - powiedział. - Jeszcze sekunda a pociągnę za spust.

Ché odsunął dłoń od drewnianej rękojeści pistoletu, który miał za pasem.

- Rączki na stół - polecił Guan.

Ché położył przed sobą bukłak, opierając dłonie po obu jego stronach.

- Ty też - zwrócił się zabójca do dziewczyny.

Ché nie mógł skupić spojrzenia na twarzy dyplomaty. W półmroku przypominała drwiącą maskę, z cieniami zamiast oczu i krzywą kreską w miejscu ust. Czuć było wodą z



jeziora. Ché musnął spojrzeniem oparte na blacie dłonie Loczka. Dygotały. Zamrugał, przeniósł wzrok na twarz mężczyzny.

- Powiesz coś w końcu czy nie? - podrzucił Guan. - Opowiedz na przykład, dlaczego nas zdradziłeś.

Widać było, że cisza go drażni. Ché uniósł kącik ust w drwiącym grymasie. Guan spojrzął na siostrę. Wzruszyła ramionami i zjadła kolejny pasztecik.

Guan podniósł lufę nad blatem, celując w twarz Ché. Swan wytarła usta, przełknęła ostatni kęs i wstała. Podeszła do drzwi z pistoletem w dłoni i stanęła przy nich. Skinęła głową.

Ché podniósł palec, prosząc o jedną chwilę. Guan się zawahał. Ché obserwował koniec lufy przez migocący płomień świecy. Pochylił się do przodu.

Potem wydał usta i dmuchnął.

Struga keratchu z jego ust strzeliła nad płomieniem i jako chmura ognia z rykiem ogarnęła dyplomatę. Pistolet wystrzelił z hukiem. Guan przewrócił się na plecy w płonącym ubraniu, a Ché skoczył na równe nogi i pchnął stół w jego stronę.

Przez moment stał, odzyskując równowagę, a potem odwrócił się do okna. Zrobiło mu się niedobrze od dymu. Zerwał zasłony i chciał otworzyć okiennice.

Nawet nie drgnęły.

Swan klęczała nad bratem, próbując ugasić płomień.

Ché złapał nieruchomą, spanikowaną Loczek za nadgarstek. Opierała się, kiedy pociągnął ją do okna. Udało jej się wyrwać rękę.

- Ciebie też zabijają! - warknął, potem odwrócił się do okna i uderzył w okiennice ramieniem.

Ustały łatwiej, niż przypuszczał. Wypadł przez okno, lądując na plecach na nabrzeżu z miękkich jeziorostów. Loczek upadła na niego i oboje zaczęli się staczać ze stromego nabrzeża do jeziora. Zatrzymali się nad samą wodą i pomogli sobie nawzajem wstać. Ché osłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

Z okna padł strzał. Nawet nie zauważyli, w co trafił.

- Co to za ludzie? - panikowała Loczek. - Nic nie rozumiem!

- Tędy - odpowiedział Ché i ruszył nierównym kłusem w stronę najbliższego pomostu.

Na ulicach nie było już ani jednego cywila. Biegli najszybciej, jak mogli, ale Ché wciąż przechylał się na jedną stronę, więc Loczek musiała utrzymywać go w pionie. Oboje dostali zadyszki, ale biegli dalej. Przez chwilę miał wrażenie, że puls na szyi nieco zwalnia, ale potem znowu przyspieszył. Oznaczało to, że para dyplomatów depcze im po piętach.

- Dokąd biegniemy? - pytała Loczek, teraz już bardziej zirytowana niż przestraszona.

Ale Ché nie miał czasu odpowiadać, bo wymiotował, biegnąc po pomocy. Raz po raz wsadzał sobie palec w gardło, żeby wywołać odruch, i próbował pozbyć się alkoholu z organizmu.

- Trzeba szukać pomocy - krzyknęła, otaczając go ramieniem. Trzymała się na nogach dużo pewniej niż on. - Szukajmy straży!

- Żadnych żołnierzy - warknął Ché, czując smród zółci we własnym oddechu. Biegł dalej w kierunku zachodniej dzielnicy. Próbował w biegu załadować pistolet, ale nie mógł wsunąć naboju do lufy. Loczek zakłęła, zabrała mu broń i załadowała, oglądając się za siebie.

- Widać ich - powiedziała zdyszana.

Obejrzał się. Mało co widział w powodzi niewyraźnych kształtów i barw. Spojrzał zezem, żeby zogniskować spojrzenie, i dostrzegł Swan po lewej stronie pomostu, a Guana po prawej. Kryli się pod fasadami domów, trzymając pistolety w opuszczonych dłoniach. Ubranie Guana wisiało w strzępach, na pół spalone. Swan wskazała palcem na drugą stronę ulicy. Jej brat skinął głową, zagłębił się w jakiś zaułek i zniknął z widoku.

Ché ocenił, że są blisko domu, bo ulica wyglądała znajomo. Nie pozwalając Guanowi, by ich oskrzydlił, skręcił w wąską uliczkę po prawej. Przebiegli kawałek, a potem skręcili w lewo, dalej kierując się na zachód. Odwrócił się i wycelował w stronę Swan, która na moment wyjrzała zza rogu, ale nie pokazała się więcej.

- Ruszamy - powiedział i pobiegł wzdłuż słomianych mat, zasłaniających tylne ogrody posiadłości. Odwrócił się znowu i na ślepo wycelował w Swan. Odskoczyła na bok, gdy wypalił.

W oddali pojawił się patrol Czerwonej Gwardii i ruszył w kierunku wystrzału. Loczek podbiegła do nich, zanim Ché zdążył ją zatrzymać. Został z tyłu, gdy tłumaczyła coś żołnierzom, wskazując na napastników. Żołnierze dostrzegli Swan i tyralierą ruszyli w jej stronę.

Ché pociągnął Loczek za rękaw i ruchem głowy polecił, by poszła za nim.

Zmęczeni, powoli truchtali ulicą. Ché rozglądał się na prawo i lewo, wypatrując Guana i znajomego domu. Coś załopotało na wietrze. Jego płaszcz, który wywiesił z okna do suszenia.

Przeskoczyli słomiany płot za domem. Ché przewrócił się i potoczył po drewnianych drzazgach. Loczek pomogła mu wstać. Poprowadził ją przez ogród, potem naokoło domu i do wejścia.

- Proszę - powiedział, czując bijący puls na szyi. Weszli do środka. Zamknął za nimi

drzwi i zasunął skobel. Dom wyglądał tak samo jak przedtem, gdy z niego wychodził. Wspiął się na schody, wyciągnął plecak i znalazł flakon z sokiem dzikodrzewa. Dziewczyna stanęła w drzwiach i patrzyła, jak strąca kroplę płynu na język. Podeszedł do okna. Stanął z boku i wyjrzał.

Na ulicy nie było nikogo.

Ostrożnie wciągnął płaszcz, który wysechł na pieprz. Potem wciągnął Loczek do pokoju, zamknął również i te drzwi. Usiadł na łóżku i przeładował pistolet. Zatrzasnął go i czekał. Z pokoju obok dobiegało głośne chrapanie.

Szyja pulsowała coraz słabiej. Z początku nie był tego pewny, ale po dłuższej chwili przekonał się, że naprawdę tak jest.

W końcu westchnął z ulgą.

- Jesteśmy bezpieczni - westchnął i z jękiem upadł na łóżko. Ciągłe kręciło mu się w głowie.

- Jesteś pewny?

Skinął głową.

- Powiesz mi, kto to był?

- Starzy znajomi - rzucił. - Jestem im winien pieniądze.

- Jesteś złodziejem, czy co?

Ché wstał niezgrabnie, podeszedł do okna i znowu wyjrzał, ale ulica była pusta. Kiedy odwrócił się do niej, właśnie otwierała drzwi, żeby wyjść. Postawił trzy kroki i znalazł się przy niej. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy złapał ją za przegub dłoni.

- Poczekaj - chciał powiedzieć, ale zanim się zorientował, oparli się o zamknięte drzwi, szepieni w mocnym uścisku.

Potem zaczęli się całować i obejmować, w porywie namiętności zapominając o całym świecie.

## Rozdział 33

# Wąskie gardło

Jakiś żołnierz upadł, kiedy Halahan przebiegał obok. Umarł, zanim dotknął ziemi. Dowódca wspiął się na ruiny magazynu i zatrzymał obok sierżanta Jaya, przycupniętego za przewróconym wozem. Łucznicy po obu stronach zasypywali się nawzajem ulewą strzał, nad barykadą dzielącą ulicę w poprzek. Na moment wychylił się nad wóz, dostrzegł jasne rozbłyśki wybuchów i dosłyszał kanonadę.

W ruinach warowni zamajaczyły pochylone, biegnące postaci. Za nimi, na pośpiesznie odbudowanym moście, pod osłoną obłęzniczych tarcz gromadziły się inne, szykując się do drugiej fali szturm.

- Gdzie on jest! Posłałeś następnego kuriera? - krzyknął Jayowi prosto w ucho. Sierżant skinął głową, a potem popatrzył przez wyłom w barykadzie, ponurym spojrzeniem lustrując roje imperialnych żołnierzy, przeprawiających się po moście. Wybuch zmusił sierżanta, by się uchylił; to granaty oczyszczały pole przed szturm.

Halahan popatrzył w górę, na otaczające ich domy. Strzelcy i łucznicy ostrzeliwali przeciwnika, nie oszczędzając naboju. W nocnym powietrzu nad jeziorem ryczały działa. To statki powietrzne ostrzeliwały naziemne pozycje przeciwnika. - W końcu padły stanowiska w zrujnowanych budynkach po obu stronach strażnicy. Niedawno dostali meldunki, że wróg próbuje oskrzydlić drugą linię obrony. Halahan podejrzewał komandosów, którzy w ukryciu podpłynęli z pozycji na moście albo nawet na brzegu. Atakowali cały południowy brzeg wyspy, sądząc po odgłosach strzałów.

Skrzywił się na widok Czerwonej Gwardii i Oddziałów Specjalnych cofających się wzdłuż bocznej uliczki, której mieli bronić. Stojący obok łucznik zastrzelił imperialnego żołnierza wspinającego się na przeciwległą ścianę barykady. Ale za nim wdzierali się inni, wyjąc jak dzikie psy. Przewrócony wóz trząsał się pod ich ciężarem. Czerwona Gwardia po obu stronach napierała, raz po raz dżgając chartassami. Czyjaś obłąkana twarz zwróciła się ku niemu zza barykady, zanim napastnik przewrócił się na plecy i zniknął.

Odwrócił się, zaklął i popatrzył za siebie. W tym momencie zobaczył potężną, ciemną sylwetkę Creeda zmierzającego wprost ku niemu w otoczeniu gwardzistów. Halahan wybiegł

mu na spotkanie. Twarz generała była czerwona z wściekłości.

- Atakują cały południowy brzeg, na tratwach i bez nich. Jak długo dacie radę się tu utrzymać? - huknął, przekrzykując hałas.

- Utrzymać? Wyglądamy, jakbyśmy utrzymywali tę pozycję?

- Mamy w mieście jeszcze dwa tysiące ludzi, pułkownika. Musisz dać im czas na ewakuację.

- Wiem, co jest grane, generale. Ale słowo honoru, że dłużej już nie damy rady.

Creed spojrział w górę, jak wszyscy, bo niebo rozdarła eksplozja. To statek powietrzny rozpadł się na kawałki w rozbłyskach ognia.

- Dobra! - krzyknął Creed. - Wycofujcie się w ordynku, ale spowalniajcie ich, ile tylko się da. Mam dla was wszystkich łódź.

- Słowo honoru, generale?

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem, obaj gniewni, obaj gotowi, by wrzeszczeć na siebie bez powodu, byle tylko dać ujście frustracji. Po chwili Creed złagodniał i wyciągnął do Halahana dłoń. Ten ujął ją i mocno potrząsnął.

- Zatem do zobaczenia - powiedział.

\*

Zanim jeszcze Principari Vanichios się odezwał, wiadomo było, co powie.

Mimo to Creed wygłosił swoją kwestię:

- Teraz albo nigdy, przyjacielu. Musimy się zbierać.

Michinè oparł dłonie na blankach i zapatrzył się na południe, ponad miastem. Z punktu obserwacyjnego na szczycie najwyższej wieży cytadeli widać było jak na dłoni całe Tume. Na ulicach od południowej strony słychać było wystrzały. Kilka domów płonęło, a smugi ognia chwiały się w powiewach południowego wiatru jak chorągwie. Żołnierze wycofywali się bezładnie, kierując się w stronę Głównego Kanału, gdzie czekały ostatnie promy.

- Dasz radę wyprowadzić ludzi na czas? - spytał Vanichios.

- Nie - odparł z żalem Creed. - Niektórzy zostali odcięci na południowym zachodzie.

Nie wyrwiemy ich stamtąd na czas.

- A reszta? Masz dla nich miejsce?

- Improwizujemy. Wciąż trzymam łódź dla ciebie i dla twoich ludzi, jeśli zechcesz.

Umknął spojrzeniem. W jego oczach odbijały się płomienie.

Nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia.

Creed przez chwilę zastanawiał się, czy nie otoczyć Vanichiosa potężnymi ramionami

i nie wyciągnąć go siłą z posiadłości jego przodków. Tylko że w ten sposób pozbawiłby go godności. Przecież to był Michinè. Dla nich godność była wszystkim.

Na wschodzie toczyła się walka powietrzna. Widać było płomienie ognia liżące burty powietrznych statków i wielkie kadłuby, zderzające się ze sobą.

- Nie sądziłem, że będę aż tak się bał - powiedział cicho Vanichios.

Creed się skrzywił. Czuł się jak ostatni łajdak, zostawiając go tu samego.

- Żegnaj, bracie - mruknął w końcu i położył mu dłoń na ramieniu.

Kiedy odchodził, Vanichios odwrócił wzrok.

\*

Ash dygotał pod kocem, a przed oczami tańczyły mu barwne plamy. Dawno zaciągnął zasłony w pokoju, ale światło księżyca prześwitujące przez szpary męczyło go, nawet gdy zamknął oczy, więc schował głowę pod tkaninę. Kasłał i odpluwał w gorączce. Miał wrażenie, że łóżko wiruje razem z nim.

Wydawało mu się, że odległe strzały to tylko trzask nasion kukurydzy pękających w ogniu. Na pół śnił, na pół majaczył, że jest w karczmie w swej rodzinnej wiosce Asa. Było ciepło, bo na kominku buzował ogień. Teeki doglądał czarnego kociołka nad paleniskiem, kukurydza strzelała o pokrywkę i napełniała zadymiony pokój smakowitym aromatem.

Ash siedział samotnie w kącie i obserwował swego przyrodniego wuja z coraz głębszą nienawiścią. Tkwił tam przez cały wieczór, upijając się po cichu jak wszyscy bywalcy tego baru, którzy zalewali robaka ryżowym winem. Ale jego troski jakoś nie chciały utonąć w alkoholu. Nie miał ochoty wracać do młodej żony i dzieci, do wszystkich obowiązków, które się z nimi wiązały. Kolejny z ich hodowlanych psów zdechł tego ranka na trzęsawkę. Ash nie miał pojęcia, skąd wziąć pieniądze na kupno następnego. Nie wspominając o spłacie długów, które zaciągnęli jeszcze wcześniej.

Im więcej pił, tym bardziej miał ochotę uciec i zostawić to wszystko za sobą. Nie o takim życiu marzył, kiedy dorastał na rodzinnej farmie i patrzył, jak rodzice zapracowują się polu, żeby pokryć długi i zapłacić podatki. Od dziecka chciał wędrować na własną rękę, zarabiać na życie jako żołnierz albo żeglarz, byle tylko nie grzebać w ziemi.

Tylko że potem się zakochał, ożenił i ustatkował. Wszystko zmieniło się jak w mgnieniu oka i nagle znalazł się w identycznej sytuacji jak jego ojciec, z takim samym życiowym brzemieniem. Ponuro patrzył na wuja swojej żony. Lokai był sołtysem kilkunastu wiosek na obrzeżach Gór Łupkowych, poborcą podatków w królewskim uniformie, powołanym na stanowisko przez urzędnika księcia Kengi-Nan. W dodatku dorabiał sobie jako lichwiarz, pożyczając chłopom na morderczy procent pieniądze, które przedtem ściągnął od

nich w formie podatków.

Teoretycznie dobrze jest mieć w rodzinie kogoś takiego.

Tylko że wuj miał obsesję na punkcie bogactwa i władzy, jaką dawało nad ludźmi, i nieustannie chciał je pomnażać. Więzy krwi były dla niego niczym, gdy szło o pieniądze.

Tego wieczoru Lokai świetnie się bawił. W trakcie pogawędki ze swymi podwładnymi zniżył się nawet do tego, by pochwycić spojrzenie Asha. Trzymając fajkę w kąciku ust, odchylił głowę, by spojrzeć na niego z góry. Choć sala była zadymiona, Ash doskonale widział, że wuj się z niego w duchu naśmiewa.

Nie miał pojęcia, dlaczego wtedy coś w nim pękło. Może pod wpływem pijackiej intuicji? Wydawało mu się, że w tych drwiących oczach czai się coś, co uzasadnia jego reakcję, choć jeszcze nie wiedział, co to takiego.

Widział, jak oczy mężczyzny się rozszerzają, gdy poderwał się z miejsca i pijackim krokiem ruszył w jego stronę. Belkotał tak, że sam nie całkiem rozumiał, co mówi. Wuj niezgrabnie wygramolił się zza stołu. Jego podwładni także się podnieśli.

Stół się przewrócił, Lokai potoczył się razem z nim na podłogę, alkohol bryznął na podłogę, na jego twarzy pojawiła się krwawa plama, a Asha zabolowały kostki prawej dłoni, gdy stanął nad leżącym na podłodze mężczyzną, rycząc na cały głos niewyraźne przekleństwa. Ktoś z tyłu przytrzymał go za ramiona. Szarpał się z ludźmi, aż się zadyszał i uspokoił. Oddychał ciężko, patrząc z góry na starszego mężczyznę.

- Zdaje ci się, że jesteś wielki kozak? - zadrwił wuj z podłogi, przyciskając dłoń do zakrwawionego nosa. - Myślisz, że jesteś kimś, bo pobraliście się z moją ładniutką siostrzenicą? Bo wżeniłeś się w lepszą rodzinę?

Odepchnął dłonie swoich pomagierów i, zataczając się, stanął na nogi.

- Dureń z ciebie i tyle - warknął. - Twoja własna żona zrobiła z ciebie durnia jakich mało!

W gospodzie zapadła cisza. Słowa wuja były tak dziwne, że dopiero po dłuższej chwili do niego dotarły.

- Co to ma znaczyć? - usłyszał własny gruby głos.

Tamten zaczął się rozkręcać.

- A jak ci się zdaje? W tym samym roku, w którym wzięliście ślub, potrzebowaliście pieniędzy na te wasze cholerne psy. Myślisz, że dałem wam pożyczkę za darmo? Nieźle się z nią zabawiłem w ramach odsetek.

Przerwał, rozejrzał się po twarzach ludzi, którzy gapili się na niego z otwartymi ustami.

- Tak było, a wy nawet nie próbujcie mnie pouczać.

Nabrał powietrza, żeby mówić dalej.

Ash poczuł, że ścisną w lewej dłoni cynowy kubek, z którego przedtem pił. Rzucił się na Lokaia bez ostrzeżenia, bez trudu wyrrywając się trzymającym go mężczyznom, i zamachnął się kubkiem z całej siły. Ogarnął go ślepy gniew.

Kiedy go odciągnęli, wuj leżał na podłodze z twarzą wgniecioną do środka, jak miska. Z dziury na środku płynęła krew. Lewa noga mężczyzny kopnęła deski podłogi, westchnął i zmarł na ich oczach.

- Zabił naszego sołtysa - mruknął jakiś głos.

Ash uciekł w ciemną noc.

Podniósł wzrok i zorientował się, że patrzy w kwadrat księżycowego światła.

To było okno, zasłonięte cienką tkaniną.

W fotelu siedziała jakaś postać, skubiąc palcami oparcie.

- Ché?

Postać pochyliła się do przodu. Ash usłyszał skrzypienie drewna.

- Pewnie ciężko ci było, kiedy dowiedziałeś się o synu.

Nico.

Ash poczuł dziwne ssanie w żołądku, jak lęk przed skokiem z wysokości. Poczuł, że nie może mówić.

- Przepraszam - odezwał się Nico. - Nie chciałem być natrętny.

Ash oparł się o wezglowie łóżka, czując wilgoć poduszki tam, gdzie leżała jego głowa. Wspomnienie zacierało się powoli, choć wciąż czuł zapach prażonej kukurydzy.

- Gorzej było, gdy go straciłem - wykrztusił, czując jak krew pulsuje mu w gardle.

- Tęsknisz za nim.

- Myślę o nim codziennie. O tobie też.

- Co takiego myślisz?

- O tobie czy o nim?

- O nim.

- Ach - westchnął wzburzony.

Miał ochotę się napić, ale przypomniał sobie, że już osuszył tę butelkę wina, którą znalazł w kuchni.

- Przypominam sobie jego oczy, identyczne jak u jego matki. Myślę o tym, jak oddał przyjacielowi jedzenie, kiedy cierpieliśmy głód na szlaku. Myślę o tym, jak oglądał się za dziewczynami, chociaż jeszcze nie rozumiał dlaczego. Myślę... - przerwał, żeby nie



powiedzieć czegoś niestosownego. - Myślę o jego śmierci - przyznał szeptem.

Zobaczył wszystko na nowo, jakby znowu był tam, na Morzu Wiatru i Traw. Widział, jak nad polem bitwy unoszą się kłęby pyłu z hubotraw. Ciężkie Skrzydło generała Shina wysunęło się zza linii Świetlistego Szlaku, zdradzając Rewolucyjną Armię Ludową za fortunę w diamentach, kiedy byli o krok od zwycięstwa. Jakiś jeździec doścignął jego syna i ściał go jednym uderzeniem. Kopyta stratowały ciało, jakby było bezwładnym workiem szmat.

- Co się dzieje? - odezwał się Nico w ciszy.

Ash zacisnęła palce na pościeli, żeby się czegoś przytrzymać.

- Ukrywasz coś przede mną, nawet teraz?

Nie, pomyślał Ash. Chcę to ukryć przed sobą samym.

Popatrzył na cień swego dawnego ucznia, siedzący po drugiej stronie pokoju.

- Nie kochałem go - wykrztusił. - Przynajmniej przez jakiś czas. Wydawało mi się, że nie kocham go jak własnego syna.

- Myślałeś, że nie jest twój.

Ash mocniej chwycił tkaninę. Pomyślał, że nie warto tłumić wspomnień o tym, jak traktował tego chłopca. Nie zatrze ich w żaden sposób, musi nauczyć się żyć z tym wstydem.

- Po tym, co powiedział wuj mojej żony, byłem niedobry dla Lina.

Niedobry, pomyślał z przekąsem.

Nieprawda, był dla chłopca po prostu podły i okrutny. Przez tych kilka lat, które spędzili razem przed jego śmiercią, Ash traktował syna z zimną obojętnością, która dawała mu dziką satysfakcję.

- Przepraszam, Nico - powiedział.

- Za co?

- Za to, że dla ciebie też czasem byłem niedobry. Za to, że zachowywałem się, jakbyś mnie nic nie obchodził. Nie jestem dobry w tych sprawach.

Postać obserwowała go w milczeniu.

- Proszę cię, daj mi spokój. Jestem zmęczony - poprosił.

Położył się, powoli naciągnął koc na głowę i poczekał, aż Nico odejdzie.

\*

Promy zbliżały się do ujścia Chilos długim szeregiem, niesione coraz szybszym prądem wypływającej z jeziora rzeki; popędzane wiosłami, które pluskały, zagłębiając się w czarnej wodzie. Z ich kadłubów dochodziło bicie w bębny, spokojne i równomierne, nadające rytm wiosłarzom, którzy trudzili się, by zwiększyć szybkość łodzi.

Halahan stał w osłoniętej obudowie sterowce na rufie jednego z promów, obok

generała Creeda, który wyglądał przez otwór w drewnianej ścianie, odgradzającej ich od świata. Za nimi inni oficerowie kołysali się łagodnie w rytm przechyłów statku. Cuchnęli potem i prawie się nie odzywali. Koolas, korespondent wojenny, wcisnął się w kąt gdzieś z tyłu. Kapitan, kobieta w średnim wieku, z identyczną fajką jak Halahan, sama sterowała, rzucając spojrzenia przez otwór w osłonie. Na oczach miała pożyczone od kogoś sówie szkła. W sterówce panowało ponure milczenie. Wszyscy się bali, że się nie przedrą.

Kapitan mocno przekręciła koło sterowe. Łódź skręciła leniwie, mocno obciążona tłumem mężczyzn na pokładzie i wewnątrz kadłuba.

- Zaczyna się - mruknęła, gdy znaleźli się u wyjścia rzeki, i trzy razy zastukała obcasem w deski. Ktoś z dołu wykrzyknął rozkaz. Rytm bębnow przyspieszył. Wiosła poruszyły się jeszcze szybciej. Halahan słuchał pierwszych wystrzałów trafiających w drewnianą obudowę.

Zapłonęła flara i zrobiło się jasno jak w dzień. Rozległa się kanonada. W powietrzu śmigały strzały. Niektóre płonęły. Snajperzy na pokładzie odpowiedzieli ogniem. Jego Szare Kurty, piechota i łucznicy. Halahan podszedł do osłony z lewej strony sterówki i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć do tyłu. Za nimi płynął długi sznur promów. Spienione wody Chilos lśniły błękitnym ogniem. Każdy z promów ciągnął za sobą flotyllę prowizorycznych tratw, z kiepskimi osłonami, skleconymi z tego, co akurat było pod ręką. Płynący na nich żołnierze spadali już do wody, stanowiąc łatwy cel dla snajperów rozlokowanych po obu brzegach.

- Strach to Wielki Niszczyciel - zanucił ktoś, przekrzykując strzelaninę.

To był Koolas, Halahan widział jego twarz w świetle flar, które wpadało przez otwory w osłonach. Śpiewał modlitwę do Litościwego Losu.

Przyda się, pomyślał Halahan, obserwując ciemny zarys działa na wschodnim brzegu i kanonierów, którzy je rychtowali.

- Nie żałuj niczego, bądź jak liść na wietrze.

Spostrzegł, że wstrzymuje oddech, i popatrzył na Creeda, żeby zobaczyć, jak on to znosi. Generał wpatrywał się w rzekę przed nimi. Twarz miał ściągniętą grymasem, jakby chciał coś podrzeć na strzępy. Lewą rękę zacisnął w pięść.

Właśnie mijali lufy dział.

- Bądź jak puste wiadro w czas ulewy.

Halahan czekał na strzał. Starał się nie myśleć o ludziach stłoczonych pod pokładem i o tym, co się z nimi stanie, jeśli prom zacznie tonąć.

Strzelcy z pokładu odpowiadali szaleńczym ogniem na strzelaninę z brzegu. W końcu nie było już słyhać pojedynczych strzałów, tylko jeden ogłuszający huk.

- Jak strumień, który zawsze prowadzi do źródła.

W końcu minęli działa. Halahan odetchnął i zakołysał się na obolałych stopach. Popatrzył za siebie.

Drugi prom miał mniej szczęścia. Fontanna spienionej białej wody trysnęła spod lewej burty i opadła niczym deszcz syczących kropel. Łódź przechyliła się na bok, nabierając wody. Na pokładzie rozległy się krzyki. Ludzie zeskakiwali z tratw i próbowali kryć się w wodzie.

Strzały na górnym pokładzie ucichły. Przepłynęli przez wąskie gardło, ale z tyłu słyszeć było następne wystrzały z działa.

Brzegi były puste i ciemne, do chwili, gdy kolejna flara nie zapłonęła na niebie.

Za nimi spływały ciała poległych.

- Zapłacą mi za to - warknął Creed w przestrzeń. - Kincheko i pozostali Michinë.  
Zapłacą mi za to.

Zacisnął dłoń na lewym ramieniu, jakby nagle przeszył go ból, i zgrzytnął zębami z bezsilnego gniewu.

## Rozdział 34

# Przebudzenie w Tume

Ash się obudził. Od tygodni nie czuł się tak dobrze. Płuca były mniej ściśnięte i udało mu się wziąć głęboki oddech, nie prowokując ataku kaszlu. Dotknął guza na czaszce i skrzywił się z bólu.

Tume, powiedział w myślach. Jestem w Tume.

Pęcherz o mało mu nie pękł. Trzeba wstać, pomyślał i pośpiesznie podniósł się z łóżka. Bose stopy zaplaskwały na zimnych deskach podłogi. Sięgnął pod łóżko, wyciągnął nocnik i usiadł, żeby się odlać. Podrapał się pod pachami i ziewnął.

Przypomniało mu się, że w kuchni jest puszka mielonego *chee*. Przez chwilę stał, kołyszając się na boki, bo trochę zakręciło mu się w głowie. Był słaby jak kocię.

Podszedł do okna z nocnikiem w ręku. Rozsunął zasłony i skrzywił się, bo światło raziło go w oczy. Na pół oślepiiony podniósł skobel i otworzył okno. Do pokoju wpadło świeże powietrze, zimne i cuchnące kwasem. Wziął głęboki oddech, czując, jak oczyszczają się zatoki. Znowu ziewnął szeroko. W kościach mu strzeliło, gdy się przeciągnął, nagi na środku pokoju.

Kiedy otworzył oczy, spostrzegł jakiś ruch na ulicy. Obok domu przechodził właśnie mannijski żołnierz, zbierając na brzegu jeziorosty.

Ash przycisnął się do ściany, żeby zniknąć z widoku. Odliczył cztery uderzenia serca, zanim zaryzykował ponowny rzut oka na zewnątrz. Żołnierza już nie było.

Ash skoczył do sąsiednich drzwi.

- Co jest! - krzyknął Ché, podskakując na łóżku.

Ash wyjrzał na zewnątrz przez szparę w zasłonach. Oddział imperialnych żołnierzy maszerował ulicą z kuszami na ramionach. Nieco dalej inni żołnierze plądrowali domy; cenne przedmioty przenosili na wozy, a wszystko pozostałe niszczyli i łamali. Kolumny dymu wznosiły się do nieba w całym mieście.

- W końcu doszedłeś do siebie - mruknął Ché z łóżka.

Ash odwrócił się w jego stronę. Obok chłopaka leżała naga dziewczyna. Usiadła i przetarła zaspane oczy. Ché był blady, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Chciałbyś mi coś powiedzieć, Ché?

- Na przykład co?

- Na przykład, dlaczego żołnierze imperium spacerują pod naszym domem?

Ché wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Po chwili zbladł jeszcze bardziej.

- Tak się świetnie bawiłeś, że nie zauważyłeś, jak miasto się poddało.

Dyplomata podrapał szczecinę na głowie.

- Byłem pijany - powiedział obronnym tonem. Potem położył dłoń na brzuchu. Odbiło mu się. - Ty też zdrowo spałeś.

Ash w ostatniej chwili podsunął mu nocnik. Ché zwymiotował hałaśliwie, podnosząc go do ust. Splunął, zorientował się, co to za naczynie, zakrztusił się i ruszył ku drzwiom, trzymając je w ręku.

Odgłosy wymiotowania cichły, w miarę gdy schodził na dół.

Dziewczyna przyglądała się Ashowi przekrwionymi oczyma. Nie kryła ciekawości. Pewnie pierwszy raz w życiu widziała nagiego czarnoskórego człowieka.

- Dzień dobry - skłonił się jej uprzejmie i poszedł się ubrać.

\*

- Nie mogę w to uwierzyć - syczała Loczek, wpełzając pod łóżko, żeby wyciągnąć but.

- Muszę sprawdzić, co tam się dzieje. Niech to kusz! - zaklęła, wyłaniając się z butem w ręce. Co będzie, jak wszyscy już odpłynęli?

Ubierali się pośpiesznie. Ché spoglądał na nią, a ona na niego.

Nagle zdał sobie sprawę, że pewnie już nigdy jej nie zobaczy. Pomyślał, że to okropne. Byli tacy samotni, zanim się spotkali. Choć prawie jej nie znał, czuł się przy niej na tyle bezpiecznie, że pilnował się nieco mniej niż zwykle i przez chwilę prawie był sobą - skorym do śmiechu, delikatnym i uczuciowym. Pierwszy raz w życiu bardziej dbał o cudzą przyjemność niż o własną. Była niesamowita i chciał ją lepiej poznać.

- Ta noc - zaczął pośpiesznie, widząc, że rusza w stronę drzwi. Zatrzymała się bez tchu i odwróciła do niego. - Ta noc... - powtórzył, a potem zająknął się, nie mogąc znaleźć słów. Lekko pokręcił głową. - Dziękuję - powiedział tylko.

Dotknęła dłonią jego twarzy.

- Nie ma za co. Było miło.

- Zaczekaj! - zawołał za nią, gdy przekroczyła próg. Złapał plecak. Coś prysnęło mu spod nóg, ale nie zwrócił na to uwagi, biegnąc za dziewczyną. Wciąż bolała go głowa z przepicia.

Zanim zwłóknął się ze schodów, była już przy frontowych drzwiach.

- Loczek, zaczekaj! Zastanów się! Twoich ludzi pewnie już tu nie ma.

- Nie wiesz tego - odparła z dłońią na klamce. - Może jeszcze są w cytadeli. Muszę się upewnić.

Mocno przycisnął jej dłoń.

- Słyszelibyśmy odgłosy walki, gdyby cytadela nadal się broniła - odparł logicznie.

Zignorowała go, uparcie szarpiąc drzwi, które on blokował. Zakłęła, ale widać było, że chce jej się płakać.

- To wszystko twoja wina! - syczała, zaciskając pięści.

- Moja wina? Gdybyś mnie tak nie spoiła, na pewno byśmy zauważyli, co się dzieje.

- Ja cię spoiłam? Co ty...

- Cisza! - krzyknął Ash, schodząc na dół z mieczem w dłoni. Rzucił krótkie spojrzenie na Ché i skoczył do kuchni.

Ktoś właśnie otwierał bramę wejściową.

Loczek popatrzyła na niego z przestraszeniem.

Bez słowa pociągnął ją do kuchni. Stary wędrowiec właśnie wychodził przez otwarte okno. Ché podsadził Loczka, by poszła jego śladem. Jeszcze się nie uspokoiła, więc trzepnęła go po ręku.

Kiedy gramolił się za nimi, poczuł, jak drży framuga. Ktoś właśnie wyłamał frontowe drzwi. Przykucnęli w ogrodzie za domem, słuchając tupotu butów w budynku i strzałów gdzieś od południa.

- Mówiłam ci - szepnęła Loczek. - Jeszcze trwają walki.

Nie zwracając na nią uwagi, Ché załadował pistolet. Ash dał znak ruchem ręki i ruszył do tylnego wyjścia. Poszli za nim.

Oddział imperialnej piechoty właśnie włamywał się do domu na zachodnim końcu ulicy. Na środku pomostu stał wóz zaprzężony w zela. Jakiś żołnierz oparł się o niego, paląc cheroot. Z tyłu stało kilku związanych cywilów. Wszyscy byli młodzi i zwiesili głowy z rezygnacją. Ash poczekał, aż żołnierz spojrzy w inną stronę, a potem poprowadził Ché i Loczka w przeciwnym kierunku. Przycisnął się do płotu i zaryzykował spojrzenie w przecnicę prowadzącą na północ. Skręcił tam.

Dziewczyna odwróciła się i ruszyła na południe, w kierunku strzelaniny.

- Loczek! - zasyczał Ché.

Nawet się nie obejrzała.

- Loczek! - powtórzył. Niepokój w jego głosie sprawił, że jednak się odwróciła i skinęła ręką, by szli za nią. Ché spojrział na wędrowca, który w odpowiedzi wzruszył tylko

ramionami. Ruszyli śladem dziewczyny.

- Ech, wy, dyplomaci - sapnął stary człowiek. - Nie myślałem, że macie takie miękkie serca.

\*

Biegła tak szybko, że gdy ją w końcu doścignęli, Ché miał znowu mdłości, a Ash zadyszkę. Przebiegli wzdłuż szeregu czynszówek, dużych drewnianych budynków oddzielonych od siebie wąskimi uliczkami. Na drugim końcu ulicy pojawił się oddział Imperium, ale żołnierze pobiegli w drugą stronę, nie patrząc w ich kierunku.

Na skrzyżowaniu z aleją przyczaili się na chwilę, słuchając pojedynczych wystrzałów. Jakiś Czerwony Gwardzista przebiegł obok nich. Loczek już miała go zawołać, gdy Ché zatkał jej usta dłonią. Szarpnęła się ze złością i chciała zakląć, kiedy w ślad za żołnierzem przemknęła trójka przeciwników.

- Patrzcie - szepnął Ash.

Po przeciwnej stronie ulicy, po prawo, z cienia drzew wokół kamiennej cysterny wychynęła jakaś postać i ostrożnie wyszła na światło dzienne. Żołnierz z oddziałów specjalnych, uczerniony sadzą. Spojrzał w głąb ulicy, gdzie skierował się pościg, i ruszył w przeciwną stronę, mijając ich kryjówkę. Tym razem Ché się spóźnił.

- Hej! - krzyknęła Loczek, zanim zdążył ją uciszyć.

Mężczyzna odwrócił się jak fryga, ale opuścił nóż, kiedy Loczek pomachała ręką i zobaczył jej uniform. Podbiegł do nich i przycupnął obok dziewczyny. Zlustrował ich spokojnym, zrównoważonym wzrokiem. Na brudnej szyi i rękach ciemniały plamy zaschniętej krwi. Na pewno nie jego własnej, pomyślał Ché.

Komandos ze szczególną uwagą przyglądał się Ashowi.

- Dzień dobry - ukłonił się wędrowiec.

Mężczyzna w odpowiedzi krótko skinął głową.

- Co się dzieje? - spytała Loczek bez ceregieli. - Dlaczego miasto poddało się tak szybko?

Tamten znowu spojrzał na Ché i Asha, a potem przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Nie będę pytał, dlaczego tego nie zauważyliście.

Nachmurzyła się.

- W nocy, podczas ewakuacji, zdążyli odbudować most. Komandos przeszli przez wodę.

- Ilu ewakuowano?

- Z armii? Prawie wszystkich, łącznie z Creedem. Mam wrażenie, że zostaliśmy tylko

my, oddziały, które odcięto od armii tu, na południowym zachodzie.

- Macie jakiś plan? Albo drogę ucieczki? - spytał Ché.

Mężczyzna splunął na deski, a potem spojrział na niego, mrużąc oczy.

- Kiedy straciliśmy pozycję na południu, dotarła do nas wiadomość, że dziś w nocy po nas przylecą, o północy. Powietrzne statki.

- Gdzie?

- Na południowo-zachodnim cyplu wyspy jest port jachtowy. Mamy czekać na dachu jednego z magazynów. Właśnie próbuję się tam dostać.

- Za dnia? - Ash był równie opanowany jak ich rozmówca.

- Myślę, że się przemknę, jeśli będę uważał. Macie może wodę?

Ché podał mu manierkę.

- Dzięki - odpowiedział komandos, ocierając usta. Skinął głową. - Powodzenia - pożegnał ich, oddał manierkę, rozejrzał się i bez słowa ruszył przed siebie.

Loczek wstała, chcąc iść jego śladem, ale Ché złapał ją za przegub i przytrzymał.

- Chyba słyszałaś, co mówił? - zirytowała się. - Musimy dotrzeć do tego portu.

Dopiero Ash przemówił jej do rozumu.

- Myślisz, że damy radę przekraść się tam w trójkę za dnia, niezauważenie?

Powiedział, że przylecą o północy. Poczekajmy, aż się ściemni, to może nam się uda.

- On ma rację - potwierdził Ché.

Loczek przestała się wrywać, więc ją puścił.

- Kim jesteś? - spytała nieoczekiwanie Asha.

Kiedy nie odpowiedział, popatrzyła na Ché.

- To długa historia - odparł. - Chodźmy.

\*

Ash wbiegł tylnymi drzwiami do jednej z czynszówek, rozglądając się na wszystkie strony. Popędzili za nim. Wbiegli na ostatnie, trzecie piętro. Ash otworzył drzwi i wszedł do małego mieszkania. Obejrzał sufity wszystkich trzech pokoiów, podczas gdy Ché i Loczek stali na straży. Potem wyszedł z powrotem na korytarz, wciąż wpatrując się w sufit.

Zatrzymał się przy oknie. Uchylił okiennice, wyjrzał na zewnątrz, a potem wskoczył na parapet. Patrzyli, jak podskakuje, chwytając za okap i próbuje się podciągnąć. Nie dał rady.

- Pomóście mi - sapnął, wisząc na zewnątrz okna.

Ché wsunął pistolet za pas, splótł dłonie w siodełko i go podsadził. Wędrowiec mruknął i znalazł się na górze.

- Teraz ty - powiedział Ché do Loczka, pomógł jej, a potem podciągnął się sam.



Na pochyłym dachu Ash właśnie obluźowywał dachówki i odkładał je na bok. Ché zatrzymał się i zlustrował ulice wokół budynku.

Kiedy znowu się odwrócił, Ash zniknął, a na jego miejscu w dachu ziała dziura. Ché wsadził do niej głowę i rozejrzał się po niskim stryszku. Oddał Ashowi plecak, pomógł Loczkowi zsunąć się na dół, a potem zszedł sam. Ostrożnie postawił stopy na drewnianej belce otynkowanego sufitu, pomiędzy plecionkami ze słomy, którymi wypełniono puste miejsca.

Przytrzymał się za nos, żeby nie kichnąć.

- W sufitach nie ma klap na strych. Żadnego dostępu z dołu. Podoba mi się twój pomysł.

- Podaj mi dachówki - poprosił Ash. Ułożył je na belkach, tworząc prowizoryczne siedziska. Przycupnęli na nich w milczeniu, patrząc, jak drobinki siana tańczą w promieniach światła. Podzielili się po równo resztką wody. Żadne z nich nie zabrało ze sobą jedzenia.

Ché oparł głowę na rękach i zaczął się nad sobą użalać. Miał coraz większego kaca, choć wydawało się to niemożliwe. Pomyślał, że chyba zaraz umrze.

- Jeśli w dalszym ciągu chcesz mnie zabić, starcze, proponuję, żebyś teraz spróbował - stwierdził.

Zdziwił się, widząc uśmiech na twarzy wędrowca.

- Co to było, keratch?

- Zostałem zmuszony - wyjaśnił, skinąwszy głową.

- Sam się prosiłeś - warknęła Loczek.

Ash zacmokał wargami, jakby karciał dwójkę dzieci.

- Podobno w starokhosjańskim keratch oznacza poważne uszkodzenie głowy.

- Absolutna racja - potwierdził Ché.

Wędrowiec popatrzył uważnie na Loczka siedzącą w smudze światła.

- Jesteś chyba trochę za młoda na takie rzeczy.

- Mam siedemnaście lat - odparła rzeczowo. - Dorosłam do tego i owego, nie sądzisz?

Nie spierał się.

- Nazywam się Ash - powiedział, wyciągając do niej rękę.

Potrząsnęła nią z wahaniem.

Wstał i wystawił głowę przez dziurę w dachu, wspierając się na jej krawędziach. Na dole Ché grzebał w plecaku w poszukiwaniu szczoteczki. Polał ją resztką wody i zaczął czyścić zęby.

- Jak się czujesz? - spytał Loczka, nie wyjmując szczoteczki z ust, w nadziei że

przełamię jej niechęć.

- Też bym sobie wyczyściła zęby.

- Nie ma sprawy, możesz myć po mnie, jeśli się nie brzydzisz.

Spojrzał na Asha.

- Widać coś ciekawego, wędrowcze?

Ash nie odpowiedział. Wpatrywał się w coś na horyzoncie.

Ché splunął, oddał szczoteczkę Loczkowi, a potem podszedł do Asha i też wyjrzał przez dziurę. Powiódł za jego wzrokiem poprzez smugi dymu, w kierunku cytadeli wznoszącej się w samym sercu pożarów.

- Powiedz, co tam widzisz - odezwał się Ash.

- Na cytadeli powiewa flaga.

- Jaka flaga?

Ché wyteńczył wzrok. Widoczność była doskonała, przy bezchmurnej pogodzie. Przeszył go dreszcz.

- Mówiłeś, że umarła - stwierdził sucho wędrowiec.

Ché spojrzał w dół, sprawdzając, czy Loczek ich słucha. Zagryzł wargę, przestąpił z nogi na nogę na belkach. Zastanawiał się przez chwilę.

- Może to jakiś podstęp - szepnął. - Może nie chcą jeszcze ogłaszać, że nie żyje. A może po prostu jest umierająca.

Pokręcił głową.

Rōshun mruknął coś pod nosem. W dalszym ciągu wpatrywał się w odległą flagę na szczycie cytadeli: czarny kruk na białym łopoczącym na wietrze sztandarze wyglądał jak wyzwanie rzucone światu.

## Rozdział 35

# Jeńcy

Jama była głęboka na dziesięć stóp i przykryta kratą z drewnianych belek. Z jej ohydneho błotnisteo dna niebo wyglądało jak świetlisty krąg. Czasami pojawiał się na nim ptak zmagający się z niewidocznym dla nich wiatrem. Wyciągali szyje, żeby ten krąg zobaczyć. Z dołu nie mieli nic innego do oglądania, poza samymi sobą.

To był trzeci dzień ich niewoli. Każdy z nich miał na sobie brudne jednoczęściowe ubranie z żółtej delikatnie tkaney wełny, z zapinaną na guziki klapą, którą można było odpiąć, żeby sobie ulżyć. Skuto im ręce i nogi. Wszyscy mieli sińce, rany i wewnętrzne obrażenia.

Bull wypłuł na ziemię potężny łyk wody i oglądał zepsuty ząb, który wyjął sobie z ust.

- Masz - szepnął i podał bukłak z wodą swojemu staremu towarzyszowi broni.

Bahn w pierwszej chwili nie zareagował. Wpatrywał się w przeciwległą ścianę jamy, a nawet gdzieś dalej; w jego umorusanej twarzy odcinały się tylko zaczerwienione oczy i fioletowawa opuchlizna na policzku, gdzie skóra była zaogniona od rany. Jedna jego ręka spoczywała na wyprostowanej nodze i paskudnie drżała. Drugą obejmował burczący brzuch. Wszyscy byli niedożywieni i głodni.

Bahn narzekał kiedyś, że nie słyszy na prawe ucho, więc Bull szturchnął go, a wtedy poruszył powoli głową i spojrzał na bukłak, a potem na Bulla. W końcu odwrócił się i na powrót wbił wzrok w ścianę.

Bulla ogarniały podobne do mdłości fale osłabienia. Rzucił bukłak z wodą sierżantowi sztabowemu, Chilanosowi, który też się nie odezwał, a jedynie spojrzał na niego z błyskiem wdzięczności w oczach. Kiedy skończył, bukłak powędrował do następnego. Ta letnia woda była jedynym luksusem, jaki mieli; każdy łyk smakował niczym wyborne wino.

Już od trzech dni ich niewielka grupa była pozbawiona wszystkiego, co istotne. Nie pozwolono im rozmawiać, choć i tak robili to ukradkiem, kiedy nuda przytępiła krawędzie ich strachu. Nie mogli nawet spokojnie spać. Strażnicy rzucali kamykami w każdego, który zamknął oczy. Nocami przychodzili sikać na nich, gdy wycieńczeni przycupnęli na ziemi.

Przez jakiś czas Bull wpatrywał wśród przystających często nad nimi żołnierzy ogromnego barbarzyńcy, który go uratował. Miał ochotę zawołać do niego: „Patrz, po co

mnie ocaliłeś!” Nigdy go jednak nie zobaczył i zrozumiał, że zapewne umarł od ran.

Od czasu do czasu oddział imperialnych zabijaków schodził po drabinie do jamy; kierując się chyba tylko kaprysem, wybierali jednego z nich i okładali swoimi drewnianymi pałkami. Początkowo jeńcy próbowali protestować. Jednak za każdym razem skutkowało to jeszcze brutalniejszym biciem, aż nawet Bull nie mógł już tego znieść, i uznali, że rozsądniej będzie po prostu siedzieć i słuchać.

By pomóc im przetrwać, Bull w najcięższych chwilach sięgał po humor: kiedy jeden z nich czołgał się skatowany po ziemi; kiedy inny stał nad wiadrem i sikał krwią.

Po trzech takich dniach świat zaczął stawać się dziwnie przezroczysty, jakby Bull mógł sięgnąć przezeń do czegoś innego i nierzeczywistego. Smród jamy zrobił się nieznośny, gdyż do załatwiania potrzeb mieli tylko jedno wiadro, które opróżniano każdego ranka. Bull radził sobie z tym lepiej niż pozostali. W końcu dawno już przywykł do trudów niewoli. W niemal dosłownym sensie stał się dla nich skałą na wzburzonym morzu.

Nawet teraz, kiedy słysząc jakiś szcęk w górze, Bull zmrużył oczy i starał się coś dostrzec przez zamykającą jamę drewnianą kratownicę, brudne twarze zwróciły się ku niemu, szukając pocieszenia.

Strażnicy odwiązywali drzwi do jamy. Otworzyli je z rozmachem i spuścili na dół drabinę.

Postanowił, że tym razem będzie walczył, jeśli to jego wybiorą na ofiarę.

Czterej żołnierze z ciężkimi pałkami zeszli na dół i przyglądali się mężczyznom, którzy, mrugając, patrzyli na nich z ziemi. Najstarszy zobaczył wpatzonego w ścianę Bahna.

- Na górę! - warknął.

Bahn nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Pozostali żołnierze chwycili Bahna i podnieśli go siłą, aż zabrzęczały łańcuchy. Kiedy gwałtownie zamrugał, narzucili mu worek na głowę i powlekli do drabiny.

Bull z trudem wstał z podłogi, opierając się plecami o ziemną ścianę.

- Dokąd go zabieracie? - wychrypiał.

- Żadnego gadania! - wrzasnął starszy żołnierz i zamachnął się na Bulla pałką. Bull chwycił go zakutymi w kajdany rękoma i uderzył czołem w twarz. Poczł się usatysfakcjonowany widokiem płynącej krwi i resztę zniósł tak, jak zwykle, kiedy się na niego rzucili. Słuchał głuchych uderzeń i starał się wytrzymać na stojąco, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, jakby wrócił do czasów, kiedy brał udział w walkach, przyciśnięty do muru bez żadnej obrony.

W końcu jednak upadł. Przewrócił się na ziemię i wyszczerzył do nich w krwawym

uśmiechu, kiedy wyciągali po drabinie Bahna, który dał im się przepchnąć przez otwór w kracie bezwolny jak worek ziemniaków.

Chilanos otworzył usta i zaczął śpiewać, zaraz po tym, gdy zatrzasnęli drzwi do jamy i zablokowali je. To była *Pieśń Zapomnianych*, znajome słowa rozbrzmiewały z głębi jamy donośnie i buntowniczo.

Szczękając łańcuchami, Bull podniósł się na kolana.

- Powiedz im to, czego będą chcieli! - krzyknął. - Słyszysz mnie, Bahn? Powiedz im wszystko, o co cię zapytają!

\*

Sparus był głęboko nieszczęśliwy, kiedy schodził po spiralnych schodach, wijących się w głąb skały, na której stała cytadela.

Creed uciekł; co do tego nie mogło już być wątpliwości. Tyle powiedział Principari Tume, drwiąc z niego nawet wówczas, gdy Michinë leżał, umierając od ran.

A do tego ostatnie wieści o tym, że stan matrony się pogorszył.

Sparus czuł, jak wszystko wokół niego zaczyna się rozłazić; ta idiotyczna inwazja, którą sobie wymyślił jego poprzednik Mokabi. Nawet zdobycie Tume miało teraz dla niego niewielkie znaczenie. Jeśli od razu nie ruszą dalej na Bar-Khos, sytuacja może się rozwinąć tragicznie dla nich... dla niego.

Bardziej niż kiedykolwiek dotychczas żałował, że nie odmówił dowodzenia tą ekspedycją. Tyle lat w kurzu zagranicznych kampanii, mozolnego pięcia się po śliskich szczeblach kariery, żeby osiągnąć to, co niegdyś uważał za niemożliwe - pozycję arcygenerała Mann. A teraz ta inwazja na Khos, chaotyczna awantura, od której wyniku może zależeć reputacja, na jaką pracował przez całe życie. W jaki sposób napiszą o nim w kronikach i księgach historycznych, jeśli wszystko pójdzie źle?

Sama myśl o tym doprowadzała go do wściekłości.

Głęboko pod cytadelą znajdował się Zagłębiony Pałac, kompleks wielkich komnat jasno oświetlonych kryształowymi lampami zwieszającymi się z niezliczonych kandelabrow. Otoczony był szerokimi oknami z grubego szkła, przy których prężyli się na baczność gwardziści Sasheen. Za nimi połyskiwały przejrzyste wody jeziora, ocienione przez pływające w górze trzciniowe tratwy miasta, a przez szczeliny kanałów przesączały się wachlarze światła. Z każdego okna można było zobaczyć w oddali ławice ryb śmigających tu i tam w promieniach słońca. Z mrocznego dna jeziora unosiły się pęcherzyki powietrza; niektóre z nich pękały na powierzchni, inne podskakiwały i przyczepiały się do spodu tratw.

- Ach, arcygenerale. Na słówko, jeśli można. - To był Klint, który podszedł i stanął tuż

przed nim.

- O co chodzi, lekarzu? - spytał go ze zniecierpliwieniem.

Klint zaprosił go do pustej komnaty, wygodnego salonu z sofami i starymi portretami na ścianach. Mężczyzna oblizał wargi i rozejrzał się niespokojnie, jakby upewniając się, że nikt nie podsłuchuje.

- Jestem przekonany, że Święta matrona została otruta - oznajmił nerwowym szeptem.

- Otruta? Jak?

- Jej rana. Sądzę, że pocisk był pokryty toksyną.

- Jesteś pewien?

- Można to wyczuć w ranie, jeśli masz nos wyczulony na takie rzeczy. Do tego objawy... Początkowo sądziłem, że to było zatrucie krwi. - Pokręcił głową. - Teraz widzę, że to coś więcej. Wygląda na zarodniki czarnostopca.

Sparus przymknął oczy na chwilę. Oto i ona, pomyślał, katastrofa, na którą czekałeś.

- Nie sądziłem, że Khosjańczycy stosują takie rzeczy - powiedział i poczuł mdlący zapach, gdy Klint przysunął się bliżej.

- Nie stosują. Tylko Elash wytwarza takie toksyny. I tylko nasi dyplomaci ich używają.

Arcygenerał Sparus zmrużył oczy i przyglądał mu się badawczo.

- Sugerujesz, że jeden z naszych ludzi jej to zrobił?

Wystudiowane wzruszenie ramionami.

- Jestem tylko lekarzem, nikim więcej. Mogę jedynie informować o moich obserwacjach.

Sparus potarł brudnymi palcami grzbiet nosa. To nie miało sensu.

- Możesz ją uratować?

Lekarz spojrzał na swoje stopy.

- Trudno powiedzieć. Leczę ją królewskim mlekiem, ale samo mleko... cały nasz zapas to słój z głową Luciana, a ona się irytuje, kiedy je zużywam.

- Mniejsza o tego głupca, Luciana. Używaj go tyle, ile potrzebujesz. Masz na to moje pozwolenie.

- Dziękuję. Ale mimo wszystko... Mleko jest stare, zużyte i niezbyt dobre do czegokolwiek poza konserwowaniem. Potrzebujemy świeżej dostawy, a nawet jeśli... Widzisz, dyplomaci stosują czarnostopiec, ponieważ królewskie mleko prawie na niego nie działa. Nazywają to „królewskim zmartwieniem”.

Sparus poczuł się urażony tym, że lekarz traktuje go z góry, zakładając jego

ignorancję. Pohamował jednak narastającą frustrację, skupiając się na najbardziej palącym problemie.

- A jeżeli będziesz miał świeżą dostawę mleka?

Klint pokręcił ze smutkiem głową.

- Przypuszczam, że moglibyśmy wysłać latający statek do Zanzaharu albo Bairatu. Ale wątpię, żebyśmy zdążyli. Jej stan bardzo szybko się pogarsza.

- Mówiłeś jej o tym?

- Nie. Uważam, że na razie powinna wypoczywać.

- Lekarzu... jeśli ona jest umierająca, powinna o tym wiedzieć.

- Tak. Ale może najlepiej będzie, jeśli jeszcze jej o tym nie powiemy.

Zgodził się, dostrzegając sensowność takiego rozwiązania.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Tak, oczywiście. Ale będziesz musiał przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Klint poprowadził go do królewskiej komnaty. Minęli kapłankę Sool, która sprawiała wrażenie zagubionej, tutaj, w głębi skały. W przedsionku lekarz podał Sparusowi jedwabną maskę, aby założył ją na usta i nos. Czuł ją było miętą i czymś jeszcze ostrzejszym.

- Czy to zaraźliwe? - spytał Sparus przez maskę.

- Wiadomo, że bywa. Szczególnie gdy zacznie działać. Z takimi rzeczami zawsze lepiej zachować ostrożność. - Klint podał mu parę rękawiczek z owczych jelit.

W głównej sypialni Sasheen leżała na łożu; wymięta pościel okrywała jej drżące ciało, a komnatę rozjaśniało tylko błękitne migotliwe światło z jeziora wpadające przez wygięte w łuk okno. Sasheen miała gorączkę i dyszała ciężko. Pot lśnił na jej rozpalonej twarzy, podobnie jak ramiona i dłonie. W powietrzu unosiła się silna woń żółci.

- Matrono - odezwał się Sparus, stając przy jej łożu.

Sasheen zamrugała, przez chwilę wyraźnie zdezorientowana. Z trudem skupiła na nim wzrok.

- Sparus - wychrypiała i próbowała się poruszyć, lecz poddała się po pierwszym wysiłku. - Powiedzieli mi, że nie powinnam nikogo dotykać. Podobno tak osłabiona mogłabym coś złapać.

Sparus zawahał się, po czym położył dłoń na jej dłoni. Nawet przez owcze jelito chroniące jego rękę czuł, jak jest rozpalona. Jej skóra miała lekko niebieskawy odcień, podobnie jak wargi. Opatrunek na szyi pokrywały żółte plamy.

Doktor krzątał się wokół niej. Przez rękawiczki sprawdził jej puls i obejrzał zmiany na ciele. Kiedy odgarnął całkowicie pościel, Sparus zobaczył, że jej stopy są czarne.

Wielkie nieba, pomyślał zaskoczony, zdając sobie sprawę, jak poważny jest jej stan.

- Co masz do zameldowania, generale?

Odchrząknął pod maską.

- Wciąż natrafiamy na ogniska oporu na południowym zachodzie miasta. Właśnie w tej chwili powinniśmy się z nimi rozprawiać.

- A Romano?

- Narzeka, że nie pozwolono mu wejść do miasta razem z jego ludźmi.

- Naprawdę? - szepnęła i nawet w takim stanie widać było, że kipi z wściekłości. Odetchnęła ciężko, kilka razy nabierając powietrza, by podsycić gniew - Niech narzeka. Nie zaryzykuję wpuszczenia go do Tume z ludźmi. On wie, że jestem osłabiona. Wprost prosiłabym się o zamach.

Sparus pochylił głowę, zachowując swoje myśli dla siebie. Trudno mu było na nią patrzeć. W myślach już rozpatrywał najbardziej prawdopodobne scenariusze. Romano, z poparciem swej rodziny, jest najsilniejszym kandydatem na następnego patriarchę Mann. Jeśli Sasheen nie wyzdrowieje, jeśli umrze w Tume, Romano ogłosi się patriarchą, nie przejmując się następcą, którego ona może wskazać. Będzie chciał osobiście dowodzić Korpusem Ekspedycyjnym dla chwały, jaką da mu zdobycie Bar-Khos.

Niech dowodzi, postanowił Sparus, o ile on dzięki temu będzie mógł wrócić do Khos z nieskalaną reputacją. Ale nie miał pewności, czy teraz to będzie możliwe. Romano przeprowadzi kolejną czystkę, a Sparus może się znaleźć na samym szczycie listy.

Mógłbym mu zaproponować swoją lojalność, pomyślał i zaczął się zastanawiać, kogo wysłać z taką misją.

Sasheen przyglądała mu się, uważnie błędząc oczyma po jego twarzy.

- Ja umieram, Sparusie, prawda?

Przypominała małą dziewczynkę, kiedy mówiła tak słabym, łamiącym się głosem.

Patrzcie tylko. Kombinuję, jak ratować własną skórę, kiedy ona leży tutaj umierająca.

- Jeszcze jest nadzieja - zaryzykował Sparus. - Posłaliśmy po świeżą dostawę mleka.

Jej głowa opadła na poduszki.

- Więc pospieszcie się. Czuję, jak pogarsza mi się z każdym oddechem. - Przechyliła głowę na bok, patrząc, jak lekarz Klint odkręca słoje Luciana. Poziom mleka był już tak niski, że Sparus widział wewnątrz zakonserwowany skalp mężczyzny.

- Oszczędzaj mleko - powiedziała Sasheen, kiedy lekarz wkładał do słoja mały czerpak.

Klint podszedł do niej i wlał odrobinę płynu w otwarte usta. W jednej chwili jej wargi



stały się mniej blade, a policzki odzyskały kolor.

- Wyjmij go - poleciła. - Postaw obok mnie.

Klint spojrział na Sparusa, jakby ten miał cokolwiek do powiedzenia. Wyjął głowę ze słoja i umieścił ją na nocnym stoliku, tuż obok niej. Oczy Luciana były zamknięte, lecz drgały pod powiekami, jakby śnił.

- Porozmawiamy później - powiedziała łagodnie Sasheen i także zamknęła oczy.

- Tak, matrono - odparł, odwrócił się i wyszedł z komnaty, a lekarz poszedł w jego ślady.

Sparus z ulgą opuścił to pomieszczenie.

- Zachowaj jej stan dla siebie - poinstruował Klinta, gdy obaj zdejmowali maski i rękawiczki. - I nikomu nie wspominaj o truciźnie.

\*

- Ona umiera. To w najlepszym razie kwestia dni.

- Jesteś tego pewien? - spytał Romano.

Lekarz Klint starał się nie okazywać irytacji.

- Oczywiście. Posłali po królewskie mleko, ale nie sądzę, żeby udało się je sprowadzić na tyle szybko, by bardzo pomogło.

Generał Romano rozważał tę nowinę z dreszczem podniecenia. Jego wuj cały czas miał rację. Wystarczy czas i cierpliwość, a wszystkie rzeczy same przyjdą do tego, kto ich pożąda.

Spojrzął na stojącego przed nim lekarza o czerwonej twarzy.

- Twoja pomoc nie zostanie zapomniana.

- Dziękuję - odparł Klint, skłaniając głowę. - Teraz muszę już wracać, zanim ktoś zauważy moją nieobecność.

- A więc idź - wycedził Romano.

Patrzył, jak mężczyzna wspiął się na swojego zela i szturchnął nogami boki zwierzęcia, które pocwałowało w kierunku mostu Tume.

Stojący obok Romano zastępca miał minę tak samo ponurą, jak zawsze.

- Zatem już pora - powiedział ochryplym głosem Scalp.

- Na to wygląda. - Odsłonił zęby w dzikim uśmiechu. - Mam nadzieję, że ta dziwka będzie cierpiała do samego końca.

Namiet był otwarty z jednej strony i stojąc w nim z twarzą wystawioną na paskudny wiatr, patrząc na swoich ludzi, jezioro i pływające po nim miasto na wyspie, Romano czuł, że pod każdym względem odzyskuje siły, że jego wątpliwości rozpraszają się, stają się nieistotne

jak czcza gadanina. Jakże dziwne bywa czasami życie. W domu, w Q'os nie miał najmniejszej szansy na odebranie władzy matronie. A teraz był tutaj, właśnie w Khos, bliski zdobycia tronu jak nigdy dotąd.

- A co z arcygenerałem? - spytał Scalp.

- Sparus nie jest głupcem. Teraz będzie się starał zadbać o własne interesy. Kiedy ona umrze, zażadam jego lojalności i Korpusu Ekspedycyjnego. Jeśli będę miał armię, zdobędę Bar-Khos. Wtedy nikt nie ośmieli się odmówić mi prawa, bym został Świętym patriarchą.

- Jeżeli będziemy zwlekać zbyt długo, możemy stracić szansę na zdobycie miasta.

- Cicho! - wykrzyknął Romano. - Nie zniechęcaj mnie teraz. Daj mi się nacieszyć chwilę tą myślą.

- A jednak - dodał Scalp - musimy działać szybko.

- Uwierz mi, na to nic nie można poradzić. Gra toczy się o większą stawkę, nawet jeśli twój ciasny umysł tego nie pojmuje.

Romano, Święty patriarcha Mann, ocenił w myślach wysokość stawki.

- Możemy przynajmniej poczynić pewne przygotowania.

Romano westchnął. Chciał uwolnić się od tego człowieka, żeby móc odpowiednio uczcić nowinę ze swoim orszakiem.

- Świetnie. Porozmawiaj z kapitanami i niższymi oficerami. Zaproponuj im awans, jeśli opowiedzą się po naszej stronie. Każdego, kto nie odpowie natychmiast, wpisz na listę do zlikwidowania.

## Rozdział 36

# Rozstanie

Odsypiali kaca przez większą część dnia, budząc się od czasu do czasu na dobiegające z oddali odgłosy strzałów. Loczek leżała na dachówkach, które umieścili na belkach na strychu, z Ché przytulonym do niej plecami, jedną ręką obejmując go, żeby było ciepłej.

Stary wędrowiec został na zewnątrz, na dachu; przyczajony w cieniu komina obserwował cytadelę i ulice w dole.

Loczek była głodna, a także spragniona, gdyż skończyła im się woda. Jednak wyjście na zewnątrz nie wchodziło w grę. Dostatecznie się wystraszyła, kiedy usłyszeli odgłosy z pomieszczeń pod nimi: zamykanie drzwi, szczęk szklanek. Nawet nie drgnęła, siedziała cichutko jak mysz pod miotłą.

Ché poruszył się niespokojnie w blednącym świetle, które wpadało przez otwór w dachu.

- Masz pchły? - spytała.

- Czemu?

- Drapiesz się.

Znieruchomiał. Czuła na karku jego oddech.

- Niedługo trzeba będzie iść - szepnął jej do ucha.

Loczek skinęła głową. Starła się o tym nie myśleć. Tutaj, w ukryciu, czuła się bezpieczna, a przynajmniej na tyle bezpieczna, na ile mogła w tych okolicznościach.

- Boję się - przyznała.

Przycisnął ją do siebie mocniej, chociaż nie tego w tej chwili najbardziej potrzebowała. Przydałby się jej solidny niuch proszku i coś mocniejszego do popicia.

- Ty się nie boisz? - spytała, obracając lekko głowę.

- Nie.

Jakie to dziwne, pomyślała.

- Ciągle jeszcze nie powiedziałeś mi nic o sobie. O ile pamiętam, ostatniej nocy to przede wszystkim ja mówiłam.

- Między innymi mówiłaś. I nie, nie powiem. Nie jestem zbyt gadatliwy.

- Nie chcesz mi powiedzieć, prawda?

Ciężkie westchnienie.

- Tak jest lepiej, uwierz mi.

Loczek przewróciła się na plecy, z biodrem obolałym od twardych dachówek. Przez otwór w dachu widzieli wieczorną gwiazdę połyskującą na coraz ciemniejszym niebie.

Zwróciła zmęczone oczy na Ché.

- A więc dalej uważasz, że jestem piękna?

- Proszę?

- Wczoraj, kiedy byłeś pijany, tak mi powiedziałeś.

- Cóż, ważne jest tutaj słowo „pijany”.

Udała rozgniewaną i odwróciła się, by się od niego odsunąć. Poczula, jak jego ręka opada na jej ramię i przyciąga ją delikatnie z powrotem.

- Loczek, gdyby tysiąc pięknych kobiet stanęło przede mną nago, i tak to ciebie przede wszystkim bym zauważył.

- Och?

- Och.

- Więc tylko to się dla ciebie liczy? Piękny wygląd i silne ciało?

Teraz Ché zmarszczył brwi. Wkrótce jednak uśmiech złagodził wyraz jego twarzy.

- Nie - powiedział. - Nie w twoim przypadku.

Wyglądało na to, że mówił szczerze.

Z góry dobiegło szuranie i w otworze pojawiła się twarz starego wędrowca.

- Ché, pozwolisz na słowo?

Loczek patrzyła, jak młodszy mężczyzna wstał i podszedł, żeby porozmawiać z Ashem. Usiadła i otrzepała się z kurzu. Nagle pomyślała o gorącej kąpieli i ciepłym posiłku.

Dwaj mężczyźni spierali się o coś przyciszonymi głosami. Loczek czekała, przyglądając się pajęczynie, która wisiała w cieniu krokwi. Pośrodku siedział tłusty pająk czyhający na muchy.

Ché uniósł nieco głos.

- Ona może być już martwa, stary głupcze. Dasz się zabić. I po co?

- Ponieważ muszę! - syknął starszy.

Milczeli przez chwilę, obaj zirytowani. Ché zerknął na nią i udała, że patrzy gdzie indziej.

Ché wyciągnął rękę do Asha. Wędrowiec zawahał się, lecz w końcu ją przyjął. Uścisnęli sobie dłonie, ale kiedy Ash cofnął rękę, Ché chwycił go za nadgarstek.

- Więc uporządkowaliśmy nasze sprawy?

Starszy mężczyzna przyjrzał się mu uważnie.

- Myślę przynajmniej, że nie jesteśmy wrogami - powiedział.

- Zatem powinno się udać - odparł Ché, rozluźniając uścisk.

Ash zerknął jeszcze na Loczka i zniknął w mroku.

Kiedy podeszła do Ché, zobaczyła, jak wędrowiec lekkim krokiem przemyka po dachu z mieczem w dłoni. Dwaj imperialni żołnierze zaspokajali pragnienie przy cysternie na ulicy. Gdy ruszyli w dalszą drogę, Ash bezszelestnie podążył ich śladem.

Na skraju dachu zatrzymał się i spojrział w dół, na ulicę, której nie widzieli ze swojego miejsca. Ostrożnie odłożył miecz i oderwał dwie dachówki.

Trzymając je w rękach, wysunął je za krawędź dachu, najdalej jak mógł, po czym zbliżył do siebie odrobinę, coś oceniając.

Gwizdnął i w tej samej chwili puścił dachówki.

Natychmiast zaczął schodzić po dachu.

- Ash! - zawołał Ché.

Wędrowiec zatrzymał się i obejrzał.

- Co?

- Obyś znalazł spokój, starcze.

Ash przeskoczył przez krawędź dachu i zniknął.

\*

- Kim jesteś? - pytał stary kapłan, zbliżając się na cal do jego twarzy.

Przesłuchujący po raz tysięczny zadawał Bahnowi to samo pytanie. Bahn po raz tysięczny powiedział mu, kim jest.

- Bahn - jęknął, nie odrywając wzroku od podłogi. - Bahn Calvone.

Mówienie sprawiało mu ból, rana w policzku była zaogniona i opuchnięta.

- Jaka jest twoja ranga?

Bahn poczuł, jak ktoś ciągnie go za włosy, żeby spojrzeć na starego kapłana. Jego skóra była poprzecinana głębokimi zmarszczkami, chociaż nosiła też ślady po trądziku, na który musiał cierpieć w młodości.

- Porucznik. Khosyjskiej Czerwonej Gwardii.

- Tak - powiedział łagodnie kapłan, gładząc go po twarzy. Jego nieświeży oddech przyprawiał Bahna o mdłości. - Ale kim jesteś?

W ciasnym wnętrzu namiotu było gorąco. Pod przeciwległą ścianą dymił piecyk i pot wystąpił Bahnowi na czoło.

- Nie rozumiem - załkał Bahn.

Kapłan uśmiechnął się i spojrział na akolitów stojących za krzesłem, do którego był przywiązany Bahn. Akolita puścił jego włosy i głowa znowu opadła mu na pierś. Przed sobą widział ubitą ziemię. Spod opuszczonych powiek obserwował, jak kapłan odwrócił się do niego plecami i wychudzonymi rękoma sięgnął do małego stolika, na którym leżały fiołki, poskładane papiery i ostrza.

- Jesteś zdrajcą? - spytał kapłan, nie odwracając się od stolika.

Bahn poczuł nagle ogień w żołądku. Zaraz zwymiotuje, pomyślał, tu, pod nogi.

- Jesteś zdrajcą? - powtórzył tamten.

Pięść uderzyła go w tył głowy.

Bahn próbował się skoncentrować. Pot spływał mu po twarzy, mieszając się z krwią z ust.

- Nie - wychrypiał. - Nie jestem zdrajcą.

- Tak? Więc nigdy nie zdradziłbyś swojego ludu?

- Oczywiście, że nie!

Kapłan się odwrócił. W jednej ręce trzymał złożoną kartkę, w drugiej małe zagięte ostrze.

- Ależ wszyscy ludzie są zdrajcami.

Pochylił się w stronę Bahna i jego kciuk rozchylił złożoną kartkę. Bahn szarpnął się do tyłu i oddech uwiązał mu w gardle. Patrzył, jak kapłan zacisnął usta i dmuchnął na papier. Chmura drobnutkiego pyłu spowiła twarz Bahna. Spanikowany wciągnął wraz z powietrzem pył, a wtedy usta natychmiast mu zdrętwiały.

Przed oczami zatańczyły kolorowe plamy; rozbłysło światło, a potem wszystko ogarnęła ciemność.

Bahn odchylił głowę do tyłu, a jego ciało obwisło bezwładnie. Jakieś ręce podtrzymały go od tyłu.

- A teraz - dobiegł go odległy głos kapłana - powiedz mi jeszcze raz. Kim jesteś?

\*

Ché spojrział na otwór w dachu. Na zewnątrz zapadał już zmierzch i niebo przybrało odcień głębokiego fioletu. Gęste kłęby dymu wzbijały się nad płonącym miastem. Powietrze zdawało się coraz cięższe od jego woni. Zaczynało już szczypać w oczy.

Oni gdzieś tam byli, dyplomaci krążący po okolicy, wyczuwał ich obecność jako lekkie mrowienie w gruczole pulsowym, rodzaj swędzenia, od którego nie można było się uwolnić drapaniem. Było tak, odkąd słońce zaczęło zachodzić - kiedy odkrył, że zostawił sok

z dzikiego drzewa w domu - chociaż od tamtej pory to uczucie się nie nasiliło.

Na co oni czekają? - zastanawiał się Ché.

- Ogień jest coraz bliżej - oznajmił, a Loczek skinęła głową, nie patrząc mu w oczy, lecz na rękę. Siedziała naprzeciwko niego, on bawił się jej palcami, a ona jego.

Spojrzał na nią z uczuciem. Ta dziewczyna miała w sobie bezbronność, ukrytą głęboko za ciętym dowcipem i zdecydowanym zachowaniem.

- Powinniśmy już iść - powiedział i pociągnął ją lekko za rękę.

W końcu na niego popatrzyła i zauważył, że zbiera siły do czekającego ich zadania, do przebicia się ulicami, które musieli pokonać, by dotrzeć w bezpieczne miejsce. Ché pomógł jej wstać, gdy zasłoniła usta dłonią i zakasłała. Dym robił się coraz gęstszy.

Oboje stali, patrząc na miasto, z ustami otwartymi ze zdumienia.

Kilka ulic dalej na północ płonął cały rząd budynków, tworząc linię ognia, który skwierczał, strzelał iskrami i wznosił się coraz wyżej, pochłaniając ściany i meble, rozprzestrzeniając się na kolejne domy, jeszcze bliżej. Po lewej było to samo - płonące ulice; po prawej także. Wydawało się, jakby on i Loczek stali pośrodku zacieśniającego się piekła.

- Nie rozumiem. - Rozejrzała się dookoła.

Ché wdrapał się przez otwór na dach i na czworakach wspiął się po pochyłości. Kaszląc i osłaniając usta, spojrzał na południe, a w jego oczach odbijały się ognie pożaru.

- Woda! - zawołał do Loczka. - Musimy dotrzeć do najbliższej wody!

\*

Widział, że to nie będzie daleko. Widział przez kłęby dymu, gdy wyszli zza rogu.

- Tędy - wycedził Ché przez materiał, którym osłonił sobie twarz, i skręcił w stronę murów łaźni, rozglądając się na prawo i lewo. Nawet nie patrząc, wiedział, że Loczek idzie za nim.

Przebiegli przez plac z długimi stołami i ławami, od góry osłoniętymi kratownicą z drewnianych listew, z których zwieszały się papierowe latarnie rozświetlone lekko blaskiem z płonących za nimi budynków. Ich buty zadudniły o drewnianą podłogę. Przed nimi na tle pożogi odcinała się sylwetka publicznej łaźni; przez otwarty dach budynku wzbijały się kłęby pary, jakby i on płonął. Ché zauważył, że coś poruszyło się na ulicy za łaźnią, między słupami ognia, które spowijały umierające zabudowania.

- Hej! - zawołała z oburzeniem Loczek, kiedy chwycił ją i zmusił do ukrycia się za jednym ze stołów.

Puścił ją, żeby zerknąć ponad stołem. Nic. Ani śladu postaci, którą widział przed chwilą. Ché rozejrzał się dookoła; zauważył, że pióropusze dymu i strzelające iskry zbliżają

się coraz bardziej, postarał się więc zapanować nad własnym lękiem.

- Chodź! - rzucił, zerwał się i pobiegł znowu, z pistoletem w dłoni.

Z lewej strony coś huknęło. Jedna z latarni zniknęła na jego oczach.

Ché zaklął i ruszył biegiem, równocześnie starając się wypatrzeć, skąd padł strzał. Znowu rozległ się huk i wyleciał w powietrze stół, obok którego biegli. Skręcił w prawo i wybiegł z placu, przedzierając się przez płachtę wiszącą mu na drodze. Tuż przed nimi majaczyły zarysy tyłów łaźni, a nieco bliżej przysadziste chatki, z których buchała para.

- Chyba ktoś do nas strzela! - zawołała Loczek, kiedy wepchnął ją do dusznego wnętrza jednej z chat. Ledwie zdążył zatrzaskać cienkie drzwi, gdy w ścianie, na wysokości ich głów, pojawiła się dziura wielkości pięści.

Ché w jednej chwili znalazł się na ziemi.

- Pochyl głowę! - krzyknął, pociągając Loczek na podłogę. W następnym momencie chatka eksplodowała. Odłamki drewna ze ścian posypały się do mrocznego wnętrza.

- Zrób coś! - wrzasnęła do niego, leżąc zwinięta w kłębek na podłodze.

- Właśnie robię! - odkrzyknął, osłaniając się rękoma.

Czuł, jak lecące w powietrzu drzazgi wbijają mu się w skórę. Jego ciało przejęło kontrolę, próbując się ratować, nawet kosztem rąk i nóg.

Strzelanina na chwilę ustała. Na zewnątrz rozległy się głosy.

Ché podpełzł do jednej z dziur w ścianie i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Do chaty zbliżał się z tuzin postaci. Wszystkie były ubrane w ciężkie przeciwogniowe kombinezony, z całkowicie zakrytymi głowami i oczami osłoniętymi szkłem. Pochylały się niezgrabnie, by przeładować broń, którą - sądząc z rozmiaru - mogły być tylko ręczne armaty.

Ché otarł pot z twarzy. Wciągnął parne, cuchnące siarką powietrze i wyczuł w nim ślad czegoś jeszcze, jakiegoś zapachu, który wydał mu się znajomy. Zerknął za siebie. W głębi mrocznego wnętrza chaty dostrzegł kosz z praniem. Powiódł wzrokiem po podłodze, oceniając odległość.

Kimkolwiek byli, zaczęli znowu strzelać. Loczek wrzasnęła, gdy Ché podczołgał się do uchwytu w podłodze i otworzył zapadnię, odsłaniając kwadratową dziurę w trzcinowym podłożu i opadającą ukośnie do niej deskę z korbami do prania. Poczul ukłucie bólu w uchu i jeszcze jedno w plecach. Loczek wrzasnęła głośniej.

- Loczek! - krzyknął.

- Co?

- Jesteś ranna?

- Co?



- Wychodzimy!

Spojrzała na czarną, bulgoczącą wodę jeziora i zerknęła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Oszalałeś?

Ché już zdejmował plecak. Wsunął się do wody, cieplej jak do kąpieli.

- Po prostu trzymaj się mnie i wierzgaj najmocniej, jak umiesz. Myślę, że na południe od nas jest kanał. To nie może być daleko.

Widział, że była przerażona. Przyszło mu do głowy, że on także powinien się bać.

Wskoczyła do wody i wynurzyła się, parskając.

- Południe? - krzyknęła. - Skąd możesz wiedzieć, gdzie jest południe?

- Zgaduję - odpowiedział. - Jesteś gotowa? Teraz głęboki wdech. Jazda!

\*

Stary kapłan i opiekun Heelas zdjął płócienną maskę osłaniającą mu usta i nos, po czym wciągnął głęboko w płuca nocne powietrze Tume.

Co za smród, pomyślał cierpko. Przypominał mu Q'os w pełni lata, kiedy cuchnąca mgła Baala okrywa czasami całe miasto; jednak to było o wiele gorsze.

Ale przynajmniej był daleko od wewnętrznej komnaty i przyprawiającego o mdłości zapachu śmierci, bijącego od Sasheen. I nie tkwił już w głębi cytadeli. Heelas nie cierpiał przebywać w pobliżu chorych, niemal tak samo, jak bał się zamkniętych przestrzeni. Tym, co budziło w nim największy lęk, były chłodne tunele Hypermorum, gdzie chowano zmarłych. W najgorszych koszmarach śnił o tym, że sam jest martwy i zostaje tam złożony na wieczność.

Ona umiera, pomyślał raz jeszcze, przechodząc po zwodzonym moście cytadeli na centralny plac. Sasheen umiera.

Zostawił matronę w jej komnacie - samą, jeśli nie liczyć dość makabrycznej obecności Luciana przy jej łożu. Ależ świetną parę tworzą, pomyślał, zamykając za sobą z ulgą drzwi. Z trudem przychodziło mu wyobrazić ich sobie takimi, jakimi niegdyś byli: jako parę kochanków, olśnionych sobą nawzajem. Przez jakiś czas byli nierozłączni, ona i jej dziarski generał z Lagos. Sasheen wspominała nawet o dzieciach, o zbudowaniu rodzinnego gniazdka w Brule.

Heelas szedł z pochyloną głową i dłońmi ukrytymi w rękawach, ignorując ukłony mijanych kapłanów, mężczyzn i kobiet bez żadnej pozycji.

Zatrzymał się nad kanałem i spojrzał na wciąż unoszące się na wodzie kawałki trzciniowych tratw i odłamki drewna. Zauważył plusk, choć nie dostrzegł ryby, a jedynie

jaśniejszą smugę, która po niej została.

Młodszy kapłani nie będą przed nim schylać głów, kiedy ona umrze, pomyślał pośpiesznie. Będzie miał szczęście, jeśli Romano każe mu tylko obciąć nos i wyrzucić. Zawsze tak było, kiedy jednego władcę zastępował inny. Ludzi z najbliższego kręgu poprzednika należało się pozbyć, żeby zrobić miejsce dla nowych. Całe jego życie, wszystko, co wypracował, przepadnie.

- Przepraszam - powiedział ktoś, wpadając na niego.

Heelas odwrócił się zirytowany i natychmiast poczuł, że coś ostrego napiera na jego brzuch przez szatę. Za długo chodził po tym świecie, by zastanawiać się, czy może to być coś innego niż nóż.

Ujrzał tuż przed sobą zamaskowaną twarz akolity.

- Gdzie ona jest? - odezwał się głos zza maski.

- Kto? - spytał, próbując grać na zwłokę.

- Sasheen. Gdzie ona jest?

Heelas uniósł ręce.

- Skąd mam to wiedzieć? Jestem tylko kurierem.

- Opuść ręce! - syknął tamten. - Widziałem, jak szedłeś, kapłanie. A teraz przestań kłamać i odpowiedz na moje pytanie albo zabiję cię tu, gdzie stoisz.

Heelas się wyprostował.

Więc tak to się skończy, pomyślał. Nóż w brzuchu i smród zgniłych jaj w nozdrzach.

- Myślisz, że mnie wystraszysz? - powiedział. - Widzę twoje oczy, wędrowcze. I tak zamierzasz mnie zabić, więc zrób to. - Uderzył się donośnie w pierś. - Jestem gotów.

Ręka wystrzeliła i chwyciła za przód szaty, unieruchamiając go. Nóż przebił tkaninę i skórę na brzuchu. Pozostał tam, zagłębiony na grubość palca w jego ciele, a Heelas poczuł, jak ciepła krew spływa mu po włosach łonowych i po udach.

Heelas zbladł. Ból był dla niego niczym, a teraz stał się wszystkim.

Opiekun Heelas przez te wszystkie lata przeżył kilka czystek. Nauczył się, jak sobie radzić z bólem, i skorzystał z tej wiedzy, siłą woli zmuszając się do odprężenia i poddania się jego falom.

- Jeśli krzyknę, w mgnieniu oka pojawi się tu tuzin ludzi.

- Więc krzycz.

Heelas rozejrzył się dookoła. Kapłani i akolici przechodzili w tę i z powrotem przez oświetloną latarniami przestrzeń. Pod ścianą w głębi pluton egzekucyjny likwidował kilku ocalałych gwardzistów z Tume. Kolejni żołnierze krzatali się przy pobliskim magazynie,

rozładowując wóz z amunicją, z którego zabierali pudła z granatami i materiałami wybuchowymi. Mógłby ich oczywiście zawołać, ale wtedy będzie martwy jeszcze szybciej.

Jakie to ma znaczenie? Ona i tak umiera.

- Nie dostaniesz się do niej - powiedział lodowatym głosem. - Jest w Zagłębionym Pałacu. W samym sercu skały.

- Opisz mi to.

Opowiedział, przez cały czas zastanawiając się, jakie to dziwne, co gotowe są zrobić ciało i umysł, byle tylko przedłużyć życie o jeden bezcenny moment.

Ciało jest silne, pomyślał.

Ledwie dokończył tę myśl, tamten pchnął go trzykrotnie, uderzając nożem i wyciągając szybko jak atakujący wąż. Odszedł, kiedy Heelas opadł na kolana, rękoma ściskając zakrwawiony rozcięty brzuch.

- Pomocy - jęknął Heelas, lecz nikt go nie usłyszał.

Ale na pomoc było już za późno; przewrócił się w bok i runął na ziemię.

Opierając głowę na drewnianej kładce, wstrzymał oddech i spojrzał na ziarenka piasku rozsiane po niej niczym kamienie na pustyni.

Mrówka brnęła przez ten krajobraz. Patrzył, jak na moment skierowała w jego stronę czułki, gdy umierał, po czym ruszyła dalej swoją drogą.

\*

Ché pomyślał, że jest martwa, kiedy wyciągnął jej ciało z kanału i ułożył na trzcinnie. Jednak kiedy mocno nacisnął jej brzuch, Loczek zakrztusiła się, przewróciła na bok i zakasłała.

- Nic ci nie jest?

Otarła usta, przez chwilę próbując odzyskać głos.

- Tak mi się wydaje.

Ulica po drugiej stronie kanału była ryczącym piekłem. Loczek siedziała, drżąc, i patrzyła na to, a on wziął ją w objęcia i trzymał, dopóki nie zaczęła się uspokajać.

Swędzenie na karku zamieniło się teraz w regularne pulsowanie. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na budynki, w których odbijała się łuna pożaru, na wąską ulicę usianą resztkami po plądrowaniu.

Są blisko.

- Musisz już iść - powiedział, pomagając Loczkowi stanąć na drżących nogach. Ich ubrania ociekały wodą.

- A co z tobą?

- Muszę coś dokończyć, zanim będę mógł dołączyć do ciebie.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła wzdłuż opustoszałej ulicy.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją. - Tylko uważaj na siebie. - Mówiąc, to poczuł nagle ukłucie wyrzutów sumienia z powodu tego, że puszcza ją samą. - Masz - powiedział, wciskając jej w rękę pistolet.

- Nigdy w życiu nie używałam takiej broni.

- I teraz też nie będziesz musiała. Jest cały mokry. Trzeba go rozebrać i naoliwić. Jeśli będziesz miała kłopoty, po prostu wyceluj i postrasz nim. Proszę, weź to też. - Zdjął z bioder pas z amunicją i założył jej. Obserwowała go uważnie. - Z tym będziesz wyglądała bardziej wiarygodnie. Pamiętaj, używaj go tylko jako straszaka. Nie próbuj strzelać, rozumiesz?

- Oczywiście. Nie jestem idiotką.

- Więc idź już - polecił łagodnie.

Loczek stała, zmęczona i drżąca. Przesunął palcem wzdłuż jej policzka, a kiedy dotarł do podbródka, przechylił jej głowę, aby ich spojrzenia się spotkały.

Chwyciła go za palec i przytrzymała.

- Uważaj na siebie, Ché, słyszysz?

Spodobało mu się, jak wymówiła jego imię.

- Będę uważał.

Ich pocałunek był krótki i miał w sobie coś niezgrabnego; jak dwoje rozchodzących się obcych ludzi.

Cofnęła się o kilka kroków, a potem zniknęła w ciemnościach nocy.

Ché znowu został sam.

\*

Siostra Guana patrzyła z otwartymi ustami na szalejący przed nimi ogień; w jej szklistych oczach odbijały się płomienie. Kołysała się lekko, jakby do rytmu wewnętrznej muzyki.

Gdzieś w oddali huknął strzał. Z szeregu żołnierzy oderwał się oficer, by to sprawdzić.

- Gdzie on jest? - spytał niecierpliwie Guan, lustrując wzrokiem rząd otwartych straganów, jedyną część okolicy, której nie podpalili.

- Poczekaj spokojnie. Nasi ludzie go wykurzą.

- O ile nie utknęli gdzieś tam razem z nim. Mówię ci, powinniśmy już coś zobaczyć.

Guan zaczął poważnie wątpić w skuteczność ich planu. Był zbyt chaotyczny, bardziej widowiskowy niż praktyczny. Byłoby lepiej, gdyby po prostu poszli sami rozprawić się z Ché. Ale, jak to często bywało, dał się namówić siostrze na inne rozwiązanie.

Trzymali się za ręce, jak czasem im się zdarzało; robili tak, odkąd byli dziećmi. Ścisnęła jego dłoń, jakby chciała dodać mu otuchy.

Wzdłuż ulicy stał szereg żołnierzy; twarze mieli owinięte chustami, tak samo jak oni. Wszyscy wpatrywali się w puste stragany na tle słupów dymu i płomieni wzbijających się w niebo. Na ulicach w głębi drugi pierścień żołnierzy czekał w ukryciu.

- Myślisz, że on na to zasłużył? - spytał siostrę.

- A co to ma do rzeczy, czy zasłużył?

- Ale mimo wszystko. Jest jednym z nas.

Poczuł na palcach chłodne powietrze, gdy puściła jego dłoń.

- Teraz masz wątpliwości? Kiedy zdezerterował? Kiedy udowodnił, że jest zdrajcą, co właściwie mu zarzuciliśmy?

Guan wiedział, że nie ma sensu się z nią spierać. Poza tym niektóre prawdy ważyły dość, by bronić się same.

- Myślisz, że nam zrobią to samo, kiedy już będzie po wszystkim?

- Dlaczego nie mieliby zrobić? Wiemy o tym tak samo dobrze jak on.

- Tak, ale robiąc to, udowadniamy, że można nam zaufać. Tak będzie dla nas dobrze, Guan, czuję to. Oni potrzebują takich jak my, do brudnej roboty. Kimkolwiek są.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Trudno było zobaczyć coś więcej poprzez wiszącą w powietrzu szarą mgłę.

Coś wybiegło ze stajni, ciągnąc za sobą ogon płomieni. Najbliższy z żołnierzy wycelował z kuszy i strzelił.

To był płonący pies; biegnąc, skomlał i próbował gryźć ogień. Trafiony beltem zwinął się konwulsyjnie, przetoczył po ziemi i znieruchomiał.

Swan zaklęła cicho.

- Co za ludzie. Zostawili psa na pewną śmierć - powiedziała cierpko.

Nie po raz pierwszy Guan spojrzał na siostrę z pewnym podziwem, zastanawiając się, jak działa jej umysł. Może i byli bliźniętami, czasami jedno kończyło zdanie, które zaczęło drugie albo czytali sobie w myślach, ale ona miała w sobie jakąś perwersję, która jemu była obca.

Już miał jej łagodnie przypomnieć, że nie powinna martwić się o płonącego psa, skoro nie waha się palić ludzi, kiedy poczuł pulsowanie w karku, a po chwili jeszcze raz, znacznie silniejsze.

Guan przyłożył palec do szyi; Swan zrobiła to samo.

- Przygotujcie się - polecił żołnierzom stojącym naprzeciwko. - On się zaraz pokaże.

Wycelowali kusze, jego siostra wyciągnęła pistolet. Minuty mijały, pomiędzy stajni wydobyły się kłęby dymu. Pulsowanie w karku stawało się coraz szybsze.

Wciąż nie było nic widać. Kusze zaczęły się chwiać w rękach żołnierzy.

- Powinien już być na tyle blisko, żeby dało się go zobaczyć - stwierdziła Swan, unosząc pistolet w kierunku straganów.

Guan nawet nie drgnął. Coś w tym wszystkim było nie tak. Ché powinien być tuż przed nimi.

- Nie myślisz...

Odwrócił się błyskawicznie, jego siostra zrobiła to samo ułamek sekundy później. Oboje spojrzeli wzdłuż ulicy, na domy po przeciwnej stronie i ich zaciemnione okna.

Guan wyciągnął pistolet, odsuwając się równocześnie na bok.

- Swan - powiedział i oboje cofnęli się w cień ściany, najgłębiej jak się dało.

## Rozdział 37

# Sztuka Cali

Ché wiedział, że nigdy nie przestaną na niego polować. Chyba że on wcześniej rozprawi się z nimi. Dlatego śledził ich z dachów, zbliżając się do nich nawet wtedy, gdy wycofywali się w cieniu muru.

Uprzedzili żołnierzy o jego obecności, dlatego ludzie rozglądali się dookoła, kierując broń to w tę, to w tamtą stronę. Ché trzymał się nisko, po ciemnej stronie spadzistych dachów, pilnując, by nie pokazać się na tle nieba. Jeszcze więcej żołnierzy czaiło się na lewo od niego, w domach i ogrodach; to dostrzegł błysk stali, to usłyszał kasznięcie. Mógł mieć tylko nadzieję, że żaden z nich go nie zauważył.

Swan i Guan wycofywali się w kierunku świątyni na końcu ulicy, za którą widać już było jezioro. Najwyraźniej nie spodobał im się pomysł, że mogliby stać się celem Strzelca wyborowego.

Jaka szkoda, że nie miał działającej broni.

Świątynia wznosiła się przy końcu ciągu dachów. Tuż obok niej mieścił się dwupiętrowy aneks mieszkalny, teraz ciemny i opustoszały. Bliźnięta zatrzymały się, by porozmawiać z grupą żołnierzy, którzy po chwili rozeszli się wzdłuż domów. Ché słyszał z dołu, jak otwierają kopniakami drzwi i pospiesznie przeszukują pomieszczenia.

Przyczaił się i obserwował dwójkę dyplomatów, którzy odwrócili się jeszcze, by sprawdzić ulicę, okna i dachy, po czym weszli do świątyni. Drzwi zostawili otwarte.

Opuścił się z krawędzi dachu i zeskoczył na uliczkę między domami a świątynią. Zerknął w obie strony i skręcił na tyły budynku, do niewielkiego ogrodu osłoniętego niskim murem. W jednym z okien coś zamigotało; płomień świecy rozjaśnił wnętrze.

Podkraść się na drugą stronę domu, czując pod nogami miękką i śliską trzcinę; hałasujących żołnierzy zostawił z tyłu. Odgłosy strzałów na południu stały się głośniejsze, niż kiedy ostatnio zwracał na nie uwagę. Loczek powinna być gdzieś tam i zbliżać się do miejsca spotkania, a przynajmniej taką miał nadzieję.

Jakie to dziwne, pomyślał. Jestem tutaj, w Khos, w Tume, nad tym bulgoczącym jeziorem, i próbuję zabić dwoje z mojego ludu, a równocześnie liczę na to, że jeden z wrogów

wyjdzie z tego bez szwanku.

Zwrócił uwagę, jak niewłaściwe wydało mu się to słowo: wróg. Miało w sobie coś dzieciennego.

Nad jezioro zapłonęła flara. Przymknął prawe oko, żeby lepiej widzieć w ciemności, i poczekał, aż flara opadnie. W górze było okno, a w jego stronę nachylało się drzewo.

W gęstniejącej ciemności Ché wydobyl nóż i ścisnął go zębami, po czym wdrapał się po szorstkim pniu, aż dotarł do gałęzi rosnącej w stronę okna. Zobaczył tylko ciemny pokój i otwarte drzwi; z korytarza za nimi wpadało mdłe światło, którego źródło kryło się gdzieś za zakrętem.

Nie ma czasu na subtelności, uznał Ché. Trzeba wziąć się za nich szybko i zdecydowanie, i mieć nadzieję, że to on utrzyma się przy życiu. Jego stary trener walki w Q'os miał rację, pomyślał, sięgając, by otworzyć okno. Był wytrenowanym Rōshunem, czy tego chciał, czy nie. Jego religią było natarcie i atak. Odwaga, szybkość i wytrwałość.

Gdyby tylko miał przy sobie miecz, mniejsza już o pistolet. Ale miał tylko jeden, jedyny nóż.

Improwizuj, pomyślał, wsuwając się przez otwarte okno i lądując ze zwinnością kota.

Ścisnął nóż w dłoni, zauważył krzesło. Podniósł je i z całej siły grzmotnął o ścianę. Huk był wystarczająco głośny, by poruszyć nieboszczyka.

Ché szybko przeszedł nad rozrzuconymi szczątkami i, nie zatrzymując się, podniósł odłamaną nogę. Jej koniec był ostry i poszarpany. Wychodząc na korytarz, kilkoma ruchami noża poprawił czubek; kolejny kawałek odciął, zbliżając się do zakrętu.

Czekali na niego, kiedy wysunął głowę za róg - dwie postacie z pistoletami, ukryte w przeciwległych drzwiach.

Ché cofnął się, gdy pocisk odbił się rykoszetem od ściany. Odciął ostatni kawałek drewna z nogi od krzesła, ostrząc jej zakończenie, wysunął się nieco zza rogu i z całej siły cisnął nią w postać celującą z pistoletu.

Broń wystrzeliła i nagły ból przeszył jego udo. Ché zachwiał się na drugiej nodze i oparł o ścianę, aby złapać równowagę, gdy postać przewróciła się, wypadając na korytarz. To był Guan, z nogą od krzesła sterczącą z lewego policzka. Jego nogi rozpaczliwie szurały o podłogę, szukając oparcia.

Zauważył cień, który mignął w smudze światła na podłodze, i mocniej ścisnął nóż w prawej dłoni.

Rzucił nim w tej samej chwili, gdy Swan wychyliła się zza drzwi i strzeliła.

Ché odskoczył do tyłu. W głowie mu dzwoniło, z boku czaszki czuł przeszywający



ból. Swan także oberwała; przewróciła się i trzymała za rękojeść nóż, który wbił się jej głęboko w udo. Czołgała się w stronę brata.

- Och, nie - jęknęła.

Ponieważ Ché wciąż oddychał, zignorował ranę głowy i drżącymi palcami obmacywał nogę. Kula przeszła czysto przez mięsień z boku uda, omijając kość. Z poszarpanej rany sączyła się krew. Z trudem poruszał odrętwiałą kończyną.

Ché pierwszy raz w życiu został postrzelony. Sądził, że ból będzie znacznie silniejszy.

Szarpnął za rękaw tuniki, oderwał i użył jako opaski, żeby zacisnąć na udzie powyżej rany. Spróbował stanąć i syknął z bólu. Mimo ogarniających go falami mdłości starał się zachować ostrość widzenia.

Dyplomatka Swan wciągała brata do pokoju, z którego oboje wyszli. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę, próbując dosięgnąć leżący na podłodze pistolet. Ché zrobił krok w ich stronę, a wtedy Swan zostawiła pistolet i wciągnęła Guana do środka.

Z wyrazem determinacji na twarzy pokuśtykał do drzwi i spróbował się pochylić, by podnieść swój zakrwawiony nóż. Zakręciło mu się w głowie, gdy ciepła krew popłynęła mu po twarzy. But także wypełnił się krwią.

Oderwał drugi rękaw, przyłożył zwitek tkaniny do rany i mocno przycisnął. Przez chwilę obawiał się, że może zemdleć.

- Wychodź! - krzyknął, czując, jak nóż ciąży mu w dłoni.

Z wnętrza dobiegły szelesty i pomruki.

Ché się przygotował. Położył lepką dłoń na drzwiach i otworzył je jednym pchnięciem.

Pokój był opuszczony, chociaż na gzymsie nad kominkiem paliła się nierówno świeca. Ché wychylił się nieco dalej. Na podłodze połyskiwała smuga krwi. Pokuśtykał do środka, przywarł plecami do ściany i zaczął powoli przesuwając się pod nią do drugich drzwi. Zerkając przez nie, zobaczył sypialnię. Guan leżał na podłodze, z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami. Zupełnie wbrew naturze z twarzy sterczał mu drewniany kołek.

Coś skrzypnęło z tyłu.

Ché był na tyle szybki, że zdążył podłożyć rękę pod garotę, zanim zacisnęła mu się na gardle, wbijając głęboko w bok dłoni. Szarpnął się w tył z całej siły, skacząc na zdrowej nodze, i odepchnął Swan na drugą stronę pokoju. Wpadła na ciężką garderobę, która zagrzehotała wieszakami i otwartymi drzwiami, gdy oboje zmagali się w jej drewnianych objęciach.

Tuż przy uchu zasyczał mu gorący, naładowany furią oddech kobiety.

Ché obrócił nóż, podrzucając go w dłoni, i wbił w bok dyplomatki. Raz, drugi, aż Swan przesunęła się i odepchnęła go od siebie. Ché przewrócił się i oboje runęli na stół.

Swan udało się chwycić jego nóż, kiedy przetoczyli się po podłodze. Drugą ręką wciąż zaciskała garotę. Druć wbijał mu się w dłoń i kark, krew przyskała na wszystkie strony.

- Tego właśnie chcesz? - wyszczała Swan z nienawiścią. - Czy tego chcesz, ty *kush*?

Dłoń Ché była jak pozbawiony życia przedmiot oddzielający jego urywany oddech od coraz silniejszego uścisku garoty. Niemal przestał widzieć, prawie nie mógł oddychać. Sięgnął wolną ręką do tyłu i wyczuł pod palcami jej twarz. Zagiął kciuk i brutalnie wbił w jej oko. Jej uchwyt minimalnie się rozluźnił.

Ché ryknął i mimo palącego jak ogień bólu zerwał z siebie garotę.

Chwiejnie stanął na nogach i Swan także, opierając się na przewróconym krześle i chwytając gzymsu nad kominkiem. Odwrócił się w tej samej chwili, gdy rzuciła się na niego z pętlą. Koniec drutu owinał się wokół rękojeści noża i Swan wyrwała mu go z ręki. Z trudem utrzymywał się na nogach. Swan była w niewiele lepszym stanie. Jej oko zamieniło się w czarną, krwawiącą miazgę.

Cios trafił go w policzek i oszołomił. Ché otrząsnął się i zablokował kolejne uderzenie, potem jeszcze jedno. Zmienił pozycję, szukając celu, i nagle zobaczył, jak Swan prostuje się z nożem w dłoni.

Zachwiał się i cofnął, podskakując na zdrowej nodze, a ona ruszyła za nim, powłócząc ranną kończyną. Nóż balansował w jej dłoni. Srebrzysta stal połyskiwała w blasku świecy tuż przed jego brzuchem. Pokręcił głową, próbując odzyskać ostrość widzenia. Kropelki potu rozprysły się dookoła.

Ché wycofywał się przez drzwi sypialni, Swan powoli zmniejszała dystans. Nagle na niego skoczyła. Był jeszcze na tyle szybki, że zdążył odepchnąć ostrze. Zaczepił nogą o nieruchome ciało Guana i upadł do tyłu, przewracając przy tym Swan.

Wstrzymał oddech i odepchnął się od podłogi, Swan równocześnie zrobiła to samo. Udało mu się podnieść na jedno kolano i zatoczył zdrową ręką krąg, aż chwycił się łóżka. Wstał, dysząc i jęcząc z wysiłku, i spojrzał na leżące ciało Guana. Zawirowało mu w głowie, jego pole widzenia zaczęło się zawężać, aż pozostał w mroku własnego umysłu. Wyteżył wolę, starając się skupić wzrok, i w końcu zobaczył szczelinę światła otwierającą się przed nim niczym drzwi.

Przeszedł przez nie i dostrzegł Swan zbliżającą się do niego z nożem.

Desperacko uskoczył w bok, chwycił lepłą od krwi rękę i wysunął nogę, by podciąć Swan. Runęli, wrzeszcząc, na podłogę i Ché przygnoił ją całym ciężarem ciała.

Kawałek drewna przebił szyję kobiety wśród chrzęstu łamanych zębów i kości. Zadrzała raz, jakby szok dotarł do niej z opóźnieniem, po czym znieruchomiała.

Z cichym świstem powietrze uszło z jej płuc, a ciało oklapło bezwładnie.

Ché dyszał ciężko i przetoczył się na bok. Leżał kilka chwil, gdy opuściły go resztki energii, a umysł nie był w stanie zdobyć się na żadną jasną myśl.

Cały się trząsł, kiedy w końcu wstał. Spojrzał na dwójkę martwych dyplomatów. Swan leżała z twarzą przyciśniętą do twarzy brata, ich ciała rozciągały się w przeciwne strony. Wyglądali jak dwoje kochanków złączonych w pocałunku.

- Tu jestem! - rzucił z pogardą, uderzając się w pierś.

\*

W cieniu nad brzegiem wąskiego kanału Ash kończył swoje przygotowania i nasłuchiwał dobiegających z oddali odgłosów uczyty. Obserwował wysokie domy na przeciwległym brzegu, gdzie w jasno oświetlonych oknach widać było kapłanów chodzących po pokojach, które sobie przywłaszczyli. Ponad dachami pięknych budynków, na tle nocnego nieba wznosiła się skała cytadeli. Wciąż powiewała nad nią flaga Sasheen.

Otworzyło się okno i jakaś kobieta wylała do kanału zawartość nocnika. W pokoju gdzieś za nią ktoś śpiewał. Ash zachował spokój pewny, że cień zapewnia mu kryjówkę, aż w końcu kobieta cofnęła się i zamknęła okno, urywając śpiew w pół nuty.

Szybko zdjął ubranie i ułożył je w równy stosik przy broni. Tuż obok stała drewniana beczulka wypełniona czarnym prochem - mina, którą zabrał z jednego z mannijskich wozów z amunicją.

Ash dostał gęziej skórki, kiedy jego skórę owiało zimne powietrze, i żeby się choć trochę ogrzać, zaczął rozcierać sobie ramiona i nogi. W snopie światła z latarni, padającym na czarną powierzchnię kanału, widać było jego oddech.

Trzcina została tu przycięta, żeby utworzyć pionowe brzegi kanału. Dodatkowo wspierały je drewniane belki. Ash usiadł na kładce biegnącej wzdłuż brzegu i ostrożnie opuścił się do ciepłej jak zupa wody. Podziałała kojąco na napięte mięśnie i poodcieraną skórę, więc odpoczywał przez chwilę, upajając się poczuciem ulgi. Pod stopami, głęboko w otchłani krystalicznie czystej wody, widział błyski światła. Poruszał nogami, by utrzymać się na powierzchni, a przez palce u stóp obserwował ich migotanie.

Kiedy uznał, że jest gotów, wynurzył się, chwycił minę i z pluskiem wciągnął ją do kanału. Otrząsnął się z wody i sprawdził lont, który zwisał z zabezpieczonego smołą otworu w unoszącej się na powierzchni beczulce; sięgał przez kanał aż do kładki, tam owijał się wokół pancerza akolity i biegł dalej, do przymocowanej do desek ostrzem noża ciężkiej

szpuli, na którą był nawinięty.

Pociągnął za lont i pancierz z głośnym pluskiem wpadł do wody. Zatonął natychmiast, a po chwili pociągnął za sobą minę. Ash owinął sobie część lontu wokół nadgarstka i wziął kilka głębokich wdechów. Poczul na ręce szarpnięcie linki i zanurkował, dając się pociągnąć w cichą otchłań. W gorze szpula zawirowała, kiedy lont się z niej odwijał.

Oczy go piekły; zamrugał i zmusił się, by ich nie zamykać. Czuł ucisk w piersi, gdy zanurzał się coraz głębiej, cały czas zbliżając się do skały. Daleko w dole światło sączyło się przez grube szkło okien wyciętych w stromych zboczach skały, na której wznosiła się cytadela. Schodząc coraz niżej, Ash kierował się w ich stronę, ciągnąc za sobą lont, choć i lont ciągnął go w dół. Wiedział, że to działa na jego korzyść.

Przepłoszył z drogi ławicę ryb i w końcu poczuł, że lont się rozluźnił, kiedy pancierz osiadł na parapecie jednego z okien. Mina powoli opadła tuż obok. Ash odwinął linkę z nadgarstka i popłynął w dół. Zaryzykował i zerknął do środka; zobaczył jasno oświetloną komnatę z sofami i kandelabrami, kapłanów pogrążonych w rozmowie i dwóch akolitów czuwających przy drzwiach.

Z wysiłkiem przeciągnął na bok pancierz i minę, żeby mniej rzucały się w oczy. Ciśnienie niemal rozsadzało mu piersi. Energicznie młóćąc wodę, popłynął ku powierzchni; ledwie już widział migoczące gwiazdy. Droga w górę trwała dłużej niż zejście. Przypomnił sobie, jak wpadł w panikę na tonącym statku; zdawało mu się, że wszystkie wody świata spychają go w dół.

Kiedy się wynurzył, chwycił się brzegu, dysząc ciężko, chwytając powietrze w płuca, które najwyraźniej jeszcze nie działały jak trzeba. Do odetkanych nagle uszu przedarł się zgiełk miasta; Ash rozejrzał się niespokojnie i z ulgą stwierdził, że ulica nadal jest opustoszała.

Na próżno próbował wydostać się z kanału; zdał sobie sprawę, że nie wystarczy mu sił; nie mógł odetchnąć dość głęboko, by odzyskać energię.

Uspokoił się, zanurzony w wodzie. Zapanował nad oddechem i spróbował jeszcze raz. Przetoczył się po kładce i ze świstem wciągał powietrze. Usiadł, oparł ręce na kolanach i opuścił głowę między nogi. Przyglądał się małym kałużom, które powstawały tam, gdzie ściekała z niego woda jeziora.

Ktoś zaklął całkiem niedaleko. Jakieś postacie pojawiły się na ciemnym końcu ulicy; jedni załatwiali swoje potrzeby, inni czekali pogrążeni w pijackiej rozmowie.

Ash spojrział na zwieszający się do wody lont. Wystarczyło tylko, żeby go podpalił, wrzucił do kanału i uciekł.

Nagle jego uwagę przykuł nóż, wbity końcem w drewnianą kładkę. Na jego ostrzu widać było plamy krwi kapłana, którego zabił przed godziną.

Ilu ludzi już zabił, starając się dokonać zemsty? - przyszło mu nagle do głowy.

Nie potrafił sobie przypomnieć. Dawno temu stracił rachubę; odczłowieczył ich, uczynił nic niewartymi istotami bez twarzy. Dwaj słudzy obozowi, których powalił w bitwie, po prostu żeby się ich pozbyć, byli już tylko mglistym wspomnieniem, jeśli nie liczyć suchego trzasku łamanego kolana.

Zaszedł już tak daleko. Dążąc do zemsty, wspiął się na wysokie szczyty, gdzie powietrze było rozrzedzone, porzucając zakon Rōshunów, który był dla niego jedynym domem, jedynym sposobem na życie, gdzie ich kodeks i lepsza strona natury samego Asha pomagały mu zapanować nad gniewem.

Miał wrażenie, jakby cały czas wspinał się w górę, ani razu nie spoglądając za siebie, a teraz, kiedy w końcu się odwrócił, widział tylko stosy martwych ciał piętrzące się przy stromej ścieżce, którą przeszedł. Za nimi zaś zobaczył Nico, śmiejącego się tak chłopięco i tak wściekle kochanego przez matkę; jeszcze dalej, daleko za uczniem, u mglistych początków drogi, wraz z innymi giermkami śpiewał gardłowo Lin, jego syn, obok zaś, przy bielonym domostwie skąpanym w promieniach słońca, jego żona czekała na męża i syna, którzy nigdy mieli nie wrócić.

Szczyt był niemal w zasięgu ręki. Musiał tylko zapalić lont.

Sasheen zasłużyła na śmierć. Wszyscy z jej ludu zasłużyli na śmierć.

Drżącymi palcami Ash sięgnął po nóż i wyrwał go z deski.

\*

Kiedy Sasheen się obudziła, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był przyglądający się jej uważnie Lucian, i przez moment pomyślała, że znowu są kochankami i spoczywają złączeni w uścisku.

Wtedy jednak dostrzegła, że to tylko odcięta głowa stojąca na stoliku. Przypomniała sobie, jak ją zdradził, i jej serce wypełnił smutek.

- Wiesz, że nigdy tego nie chciałam - zwróciła się do niego.

Jego wargi się rozchyliły i po brodzie pociekła odrobina królewskiego mleka. Nie powiedział jednak nic, tylko patrzył.

- Nigdy nie chciałam być matroną. To było pragnienie mojej matki, nie moje.

- Wiem - rozległ się jego bulgoczący głos, a w oczach pojawiła się nienawiść.

Co zrobić, żeby to zrozumiał? Ból, który jej sprawił; utratę wiary w jedyną osobę, której w końcu zaufała. Sasheen pragnęła tego mężczyzny jak żadnego innego, a on odrzucił

ją w imię swego głupiego buntu i sławy, jakiej po nim oczekiwała.

- Ja umieram, Lucianie - powiedziała.

Wydawał się z tego zadowolony, ponieważ się uśmiechnął.

Nawet teraz był w stanie ją zranić.

- Pamiętasz czas, który spędziliśmy razem w Brule?

- Nie.

- Oczywiście, że pamiętasz. Nie przestawałeś o tym opowiadać. Mówiłeś, że powinniśmy się wycofać i tam zamieszkać. Uprawiać oliwki, żyć jak prości wieśniacy.

- Byłem. Głupcem.

- Wcale nie byłeś głupcem, Lucianie. To była jedna z tych rzeczy, które najbardziej mnie pociągały - rzekła ze smutkiem. - Tworzyliśmy dobraną parę, ty i ja.

Sasheen zobaczyła teraz, jakie mogło być jej życie, gdyby tylko znalazła w sobie siłę, by przeciwstawić się życzeniom matki, odrzucić pozycję matrony i wieść proste, wygodne życie ze swoim ukochanym. I co jej to wszystko dało? Tylko samotną śmierć w wilgotnym wnętrzu skały; kilka rys w pamięci Mannów.

- Chcę tylko... chcę tylko... - Zamknęła oczy i poczuła coś mokrego na policzkach i ból w piersi, jakby cały straszny świat ją przygniótł.

Walczyła o oddech, dysząc ciężko, aż krople potu wystąpiły jej na skórze. Jęknęła i zamrugła, próbując znowu skupić wzrok na Lucianie. Za nim, przez szybę widziała wody jeziora, niczym czarną nicość, która tylko czekała, by ją pochłonać.

- Co mam zrobić? - wydyszała zagubiona. - Nie wiem, co robić.

Jego wzrok miał siłę ciosu nożem.

- Umrzyj.

\*

Nagle flara rozjaśniła niebo nad głową Asha. Jego oczy, jakby posługując się własną wolą, skierowały się na jasno oświetloną ziemię. Ash zobaczył swój cień sięgający daleko od stóp. Zawahał się.

Przez długą chwilę, czując powolne uderzenia własnego serca, patrzył na nóż i lont, które trzymał w dłoniach. Dziwny gość, usłyszał w głowie. Nico powiedział tak kiedyś o Rōshunie Seerze.

Dlaczego teraz przyszło mu to do głowy?

Seer rzucił dla nich patyczki, zanim wyruszyli z wendetą do Q'os. Powiedział mu o wielkim wstrząsie, jaki go czeka, i o ścieżkach, którymi przyjdzie mu później podążać.

„Po wstrząsie będziesz miał przed sobą dwie drogi. Idąc jedną, nie wykonasz zadania,

choć nie zhańbisz się i wiele jeszcze będziesz miał do zrobienia... Na drugiej zwyciężysz, choć okryjesz się wielką hańbą i nic nie będzie cię już pchało dalej”.

Wielka hańba, pomyślał Ash. Nic nie będzie cię już pchało dalej.

Zamrugnął. Łzy szczypały w oczy. Opuścił rękę i nóż szczęknął o ziemię.

Flara zbladła, zabierając ze sobą jego cień.

## Rozdział 38

# Spotkanie

Loczek stała na dachu magazynu, kiedy ludzie wdrapywali się po sznurowych drabinkach do czekającego statku powietrznego. Statek był poważnie uszkodzony, miał opalony kadłub i takielunek w strzępach. Inny powoli wzbijał się w niebo, zakręcając szerokim łukiem na południe. Na jego pokładzie tłoczyli się żołnierze.

To był już drugi kurs statków, odkąd tu dotarła. Szare Kurtki i łucznicy strzegli krawędzi dachu, strzelając do imperialnych wojsk zajmujących pozycje w dole. Wzdłuż nabrzeża zbierało się coraz więcej sił nieprzyjaciela. Stało się jasne, że to będzie już ostatni rejs, zanim budynek zostanie zdobyty.

- Na co czekasz? - spytał przechodzący ochotnik, mężczyzna o wyglądzie tak wynędzniałym, że równie dobrze mógł mieć dwadzieścia lub czterdzieści lat.

- Na przyjaciela! - odpowiedziała, przekrzykując kanonadę.

- Dziewczyno, musimy ruszać... to nie jest pora na czekanie - tłumaczył, próbując pociągnąć ją do statku.

- Puść mnie! - krzyknęła mu prosto w twarz, wyrывая się z uścisku. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale w końcu zrezygnował i pobiegł do statku.

Loczek uważnie obserwowała niebo, lecz wciąż nie widziała nawet śladu statków powietrznych wroga. Podeszła kilka kroków bliżej krawędzi dachu, żeby spojrzeć na ulice i przystań, na zbliżających się Imperialnych. Nieliczni khosyjscy żołnierze jeszcze docierali do magazynu; niektórzy pędzili biegiem, inni zwartymi oddziałami wycofywali się, walcząc.

Gdzie jesteś, ty idioto?

Loczek nie wiedziała, co myśleć o tym mężczyźnie, którego wprawdzie dopiero co poznała, ale wydawał się poruszać w niej wszystkie właściwe struny. Z pewnością to, jak się kochali, wesoło i beztrąsko, choć nie bardzo namiętnie, było jedną z rzeczy najbardziej godnych zapamiętania z tych długich godzin, które ze sobą spędzili. Ale poza tym, kim on właściwie jest?

Czuła, że ten człowiek jest zagadką, i to niebezpieczną.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że już dwukrotnie w swym krótkim życiu zakochała



się właśnie w takich mężczyznach. Zaczynała przypuszczać, że ta skłonność nie jest dla niej całkiem dobra, ponieważ z perspektywy czasu obu uważała za egoistycznych sukinsynów.

Teraz jednak trwała wojna i Loczek przekonała się, że żołnierze mieli rację. Wojna stwarzała wyjątkowe okoliczności. W czasie wojny czujesz potrzebę życia pełnią, ryzykownie, bo aż nazbyt dobrze wiesz, że możesz nie doczekać następnego wschodu słońca.

Jakby na dowód tego serce zaczęło jej nagle bić szybciej, kiedy na krawędzi dachu dostrzegła jego twarz. Ché wspinał się z pomocą jakiejś ochotniczki.

- Ché! - zawołała, wybiegając mu na spotkanie. Był zalany krwią i półprzytomny. - Ché? - Uniósł głowę i starał się skupić na niej wzrok.

Zabierz mnie stąd, mówił wyraz jego twarzy.

Loczek zarzuciła sobie jego wolną rękę na ramię i pomogła ochotniczce zaprowadzić go na statek.

Jedna z małych łodzi oderwała się od dachu. Inna odpaliła rury napędu i, manewrując, zajęła wolne stanowisko. Ludzie cofnęli się, żeby zrobić jej miejsce.

- Jakiś znak od starego wędrowca? - wychrypiał.

Loczek pokręciła głową.

- Lepiej, żeby się pospieszył, gdziekolwiek jest, jeśli chce się wydostać z tej wyspy.

Młody mężczyzna wydał świszczący dźwięk, jakby się zaśmiał.

- Ten stary sukinsyn? On zawsze znajdzie jakieś wyjście. Pewnie już go tu nie ma.

\*

Ash popędził bojowego zela prosto do frontowych drzwi budynku, uderzając jego zad mieczem w pochwie.

Pochylił się w siodle, kiedy zel przedzierał się przez drzwi i załomotał po deskach podłogi holu. Usłyszał jeszcze za sobą okrzyki pościgu, kiedy wierzchołek wyniósł go na zewnątrz przez otwarte tylne drzwi.

Zwierzę parsknęło i w trzech wielkich susach pokonało podwórze. Ash mocnym kopnięciem popędził zela, który zwinnie przeskoczył płot i wylądował po drugiej stronie. Potknął się, odzyskał równowagę i pomknął przez opustoszały plac, gdy w powietrzu za nimi świsnęły bełty z kusz.

Odgłosy strzałów były coraz bliższe. Już niedaleko.

Zwierzę miało boki lśniące od potu i dyszało chrapliwie. Dobrze było jechać tak znowu, czuć wiatr na twarzy i brawurę we krwi, jak wspomnienie czasów młodości.

- Jazda! - krzyknął, gdy zel przeskoczył nad przewróconą stertą koszy i wpadł w ulicę po przeciwnej stronie placu, dudniąc podkowami po drewnianej kładce. Na końcu ulicy

widział zupełnie opustoszałą przystań z długimi pomostami i zapalonymi latarniami na wysokich słupach.

Huknęła armata, wystrzał odbił się echem wzdłuż ulicy.

Wypadli spomiędzy domów prosto na oddział imperialnych piechurów. Zel runął między nich, nie zwalniając ani na moment. Ash dostrzegł po prawej magazyn stojący przy nabrzeżu, nad jego szerokim dachem rozświetlanym błyskami wystrzałów unosił się statek powietrzny.

Ludzie pędzili po dachu w stronę statku i wspinali się po sznurowych drabinkach zwieszających się z jego kadłuba. Ten statek wydał mu się znajomy. Zmrużył oczy, przyjrzał się uważniej i dostrzegł drewnianą figurę na jego dziobie. To był sokół w locie.

Nie wierzę, powiedział w duchu.

Szarpnął wodze i skierował się w stronę budynku, popędzając zela. Z wysokości jego grzbietu spojrzął na łódź po lewej, która okrążała przystań, strzelając salwami kartaczy. Pióropusz wody wystrzelił nad powierzchnię i ochlapał kładkę, po której jechał. Ash otrząsnął głowę i rozejrzał się, szukając drogi na dach. Z boku magazynu zauważył schody, po których jeszcze wspinało się kilku ludzi. Zaczął się zastanawiać, czy Ché i dziewczyna już tu dotarli.

Nagle zel zaskrzeczał i runął do przodu.

Ash spadł z siodła i potoczył się po twardych deskach pomostu, nie wypuszczając miecza z ręki. Zerwał się na równe nogi i obejrzał na zwierzę, które stanęło dęba. Krew płynęła z rany na jego boku. Ash zobaczył zbliżających się do zela Imperialnych.

Odwrócił się i ruszył biegiem, by ratować własne życie.

\*

Straszliwie obciążony ocalonymi ludźmi statek powietrzny zaczął się poruszać; rury napędu po bokach kadłuba zaryczały głośniejsze. W dole dach magazynu był już niemal zdobyty. Kilku Khosyjczyków nie zdążyło na niego dotrzeć. Stojąc plecami do siebie, toczyli ostatnią walkę.

Jacyś ludzie jeszcze wisieli na drabinkach wzlatającego statku. Jeden z nich spadł prosto w grupę Imperialnych, którzy rzucili się na niego, okładając i dźgając jak w szale. Żołnierze wołali do swoich towarzyszy, którzy wisieli na linach, wierzgając rozpaczliwie nogami, wyciągając do nich ręce.

Ché siedział oparty plecami o reling sterburty, podczas gdy sanitariusz opatrywał mu nogę. Loczek kucnęła przy nim, zupełnie nie przejmując się zabłąkaną strzałą albo bełtem, który stuknął o kadłub. Dziewczyna objęła go ramieniem. Jej dotyk sprawiał mu przyjemność, taki ciepły i pełen życia. Nie chciał teraz patrzeć na dachy w dole.

- Zobacz! - krzyknęła nagle Loczek, wskazując dach magazynu.

Odwrócił głowę, żeby przekonać się, co zwróciło jej uwagę.

To był Ash, który stanął jak wryty, patrząc na odlatujący statek.

- O włos! - ryknął stary.

Ché podniósł się z pokładu. Odepchnął sanitariusza, który zaklął i próbował go przytrzymać.

- Nie możemy go tak zostawić - zawołał z rozpaczą Ché i rozejrzał się dookoła, szukając kogoś, do kogo mógłby krzyknąć, powiedzieć, żeby zawrócili. Ale niemal nic nie widział ponad głowami tłoczących się wokół niego ludzi, i choć serce mu pękało, wiedział, że to na nic.

Nic nie mogąc zrobić, odwrócił się i patrzył.

Byli już na tyle wysoko, że widział cały dach magazynu. Na ulicach dookoła roilo się do akolitów i żołnierzy, a sam dach był jak zalana przez nich wyspa.

Pośród nich na tle białych szat odcinała się ciemna skóra samotnego wędrowca.

Ché zobaczył, jak srebrzyście połyskuje w ciemności ostrze starego i jak Rōshun prze naprzód, wycinając sobie ścieżkę w tłumie.

- Miłosierna matko - szepnęła Loczek, chwytając drewniany wisiołek, który nosiła na szyi.

Ché ledwie słyszał cokolwiek przez ryk dysz. Statek skręcił ostro w stronę odległego brzegu i samotna postać Asha stawała się coraz mniejsza, jak punkt, który w końcu zniknął w tłumie.

\*

Instynkty Asha wzięły górę. Przez chwilę jego uwaga była tak skupiona na tym, co robił, że zupełnie stracił świadomość samego siebie pośród rzezi. Nie znał strachu, współczucia ani nawet żalu. Poruszał się swobodnie i nie czuł różnicy między ciałem, umysłem i ostrzem. Wszystkie części jego ciała działały razem, wykonując swoje zadania, powoli, lecz nieubłaganie przemieszczając się na sam skraj dachu.

Wokół niego przeciwnicy padali, brocząc krwią - bez stóp, rąk, dłoni... Padali bez głów. Padali z jelitami wylewającymi się spod zaciśniętych dłoni. Padali w milczeniu, jakby we śnie. Padali, krzycząc przeraźliwie.

Nie przestawali padać.

- Cofnąć się! - warknął Ash, zataczając krąg na skraju dachu, stopami niebezpiecznie balansując na krawędzi. - Cofnąć się! - powtórzył, potrząsając mieczem, z którego ostrza pociekła posoka.

Słuchali, przynajmniej na tyle, by się zawahać, zatrzymać na mgnienie oka. Ash wciągnął haust powietrza, gdy dołączyli do nich kolejni ludzie z kuszami i kilku z pistoletami. Otarł krew z twarzy, wypłuł ją z ust. Każda część jego ciała była skąpana we krwi.

Dyszeli ciężko i patrzyli zaczerwienionymi oczami, w których było coś graniczącego z podziwem.

Jakiś żołnierz przepchnął się do przodu; oficer, sądząc po twarzy pokrytej tatuażami.

- Kim jesteś? - spytał. W jego głosie brzmiała szczerza ciekawość.

Ash przyjrzał się zgromadzonym dookoła, mierzącym w niego z kusz i pistoletów. Wyglądali na wystraszonych, w każdym razie większość z nich. Wystraszonych i zmęczonych.

- Rzuć broń - polecił oficer. - Zrób to albo zginiesz.

Ash, stojąc w bojowej pozycji, pomyślał przez chwilę, po czym wyprostował się i opuścił miecz. Gdzieś na niebie krzyknęły przelatujące gęsi. Spojrzał w górę, lecz nie zobaczył ich przez gęste chmury. Poczul na twarzy powiew wiatru, niczym tchnienie Matki Świata. Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Powinieneś wiedzieć - powiedział, patrząc na oficera i wsuwając broń do pochwy - że prędzej sam odbiorę sobie życie. - I stojąc naprzeciwko kusz i pistoletów wycelowanych w jego pierś, zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała.

Skoczył.

## Rozdział 39

# Samotny koniec

Woda go uratowała, nie tylko łagodząc upadek, ale też pomagając mu uciec.

Upojony sukcesem po niesamowitym skoku z dachu magazynu, Ash płynął pod powierzchnią, dopóki płuca nie zaczęły go palić z braku tlenu. Kiedy się wynurzył, Imperialni posłali za nim kilka niecelnych strzałów, lecz zignorował ich i zanurkował, znowu pracując energicznie nogami.

Płynął tak, dopóki nie znalazł się poza przystanią, a potem dalej wzdłuż brzegu trzciny, aż zniknęły i ucichły gdzieś daleko w tyle wszelkie oznaki poszukiwań. Robiło się coraz ciemniej, na niebie gromadziły się gęstniejące chmury. Przez dłuższą chwilę leżał twarzą do góry i unosił się na wodzie, dopóki powoli nie minęły mdłości spowodowane wyczerpaniem.

Nad jeziorem nadal wznosiły się i opadały flary. Nie byłoby rozsądnie próbować dopłynąć do przeciwległego brzegu; snajperzy bez wątplenia obserwowali powierzchnię wody, wypatrując uciekających Khosyjczyków.

Czym się zajmujesz? - spytał sam siebie. W twoim stanie i tak pewnie wcześniej utoniesz.

Ash wolno poruszał się w wodzie i głęboko, spokojnie oddychał, aż w końcu poczuł się gotów. Obejrzał się na miasto na wyspie. Potem popatrzył na daleki południowy brzeg.

Stary wędrowiec zaczął płynąć w jego stronę.

Padał deszcz i ciężkie krople uderzały o taflę wody, a ich monotony chór znieczulił jego uszy na wszystko inne. Woda zdawała się świecić tam, gdzie zderzały się z nią krople.

Ash splunął i zaryzykował rzut oka przed siebie. Kilкома ostatnimi ruchami przepłynął obok ujścia Chilos, gdzie prąd próbował go wepchnąć. Widział ogniska po obu stronach ujścia rzeki i latarnie zawieszane na jej brzegach, rzucające światło na wodę. Ludzie przykucnęli przy ustawionych pionowo strzelbach i patrzyli na płynący nurt.

Wyteżył mięśnie i popłynął dalej, dawno już przekroczywszy granice własnej wytrzymałości. Teraz tylko siła woli zmuszała go do działania.

Brzeg był płaską, bezdrzewną równiną. Ash zmrużył oczy, próbując dostrzec

cokolwiek przez strugi deszczu, i zauważył migotanie ognia otoczonego rozjaśnionym płótnem namiotu. W pobliżu, na brzegu stały kolejne namioty. Jeźdźcy krążyli po pogrążonej w ciemności okolicy i skuleni pod pelerynami obserwowali brzeg rzeki.

Zaczynał dostawać paskudnych skurczy mięśni rąk i nóg. Płuca bolały go tak, że z trudem oddychał. Ash zdawał sobie sprawę, że utonie, jeśli zostanie w wodzie jeszcze chwilę. Skręcił w stronę brzegu, wiosłując jak pies; czuł odrętwienie w całym ciele i wiedział, że jest niemal bezużyteczne. Padający deszcz zagłuszał wszelkie dźwięki, jakie wydawał. Poczł muł pod rękoma i zaczął rozpaczliwie się po nim wyczołgiwać, przez moment pozwalając, by ogarnęła go fala ulgi. Na czworakach wypełził z wody na błotnistą plażę i leżał przez dłuższy czas, chwytając powietrze.

Kiedy w końcu podniósł się na kolana, spojrział w prawo i w lewo wzdłuż brzegu. Na wprost niego wznosiło się pionowe ziemne zbocze zwieńczone bujną trawą, a plaża przechodziła w przecinające brzeg głębokie wąwozy, którymi płynęła woda.

Usłyszał, jak coś brzęknęło w ciemności, przywarł więc do ziemi, tłumiąc kaszel.

Żołnierz stał na brzegu i patrzył przed siebie. Ash wcisnął się jeszcze głębiej w muł i poczekał, aż tamten odwrócił się i zniknął w ciemności, wołając kogoś niewidocznego.

Ash pospiesznie podczołgał się do jednego z wąwozów w brzegu. Zajrzał do niego, lecz nie zobaczył nic prócz ciemności. Poczł chłód wody przepływającej mu po dłoniach.

Kiedy zaczął ślizgać się w rynnę, muł zatykał mu usta, nozdrza i oczy. Pokrył go i wypełnił, aż w końcu człowiek zjednoczył się z mułem, stał się błotnym stworzeniem, rzeczą, która wciąż żyła i walczyła, ponieważ nie znała niczego innego.

\*

Umierała, a odór jej zatrutego ciała wystarczył, by oczy zaczęły łzawić.

Nawet mimo maski Sparus poczuł, że do ust napływa mu ślina i ma ochotę splunąć. Spojrział na ciężko dyszącą postać Sasheen, jej opuchnięte rysy, sine wargi. Spojrział na głowę Luciana, która, milcząc, stała na stole, i niemal zupełnie opróżniony słoć królewskiego mleka.

- Matrono - odezwał się cicho.

Sasheen drgnęła, jej powieki zadrżały i się uniosły. Spomiędzy rozchylonych warg wydobył się świszczący oddech. Poczekał chwilę, aż skupi na nim wzrok.

- Romano - powiedziała z westchnieniem.

- Zdecydował się wykonać ruch. Jego ludzie złożyli niższym oficerom propozycję awansu, jeśli poprą jego pretensje do tronu.

W jej oczach nagle zapłonął gniew.

- Jeszcze nie jestem martwa.

Anslan też nie był, pomyślał, kiedy poderżnęłaś gardło patriarsze w jego sypialni.

Machnęła ręką, przywołując go bliżej. Wściekłość zapierała jej dech w piersiach; matrona mówiła szeptem.

- A co z tobą, Sparusie? Czy tobie też złożył taką propozycję?

Arcygenerał zawahał się, zaskoczony jej bezpośredniością. Zrozumiał, że nie zostało jej dużo czasu na bawienie się w subtelności.

- Tak - przyznał z opuszczoną głową. - Poprosił mnie o wsparcie.

Sasheen zerknęła na głowę Luciana. Miał zamknięte oczy, lecz Sparus odnosił wrażenie, że uważnie słucha każdego ich słowa.

- Dostrzegł swoją szansę - dodał Sparus. - Jeszcze nie wskazałaś następcy.

- Nie obchodzi mnie... kto zajmie moje miejsce, tylko nie może to być Romano ani nikt z jego klanu.

- Święta matrono - spróbował Sparus, rozmyślnie używając jej tytułu. - Jeśli zakwestionujemy jego pretensje do tronu, Korpus Ekspedycyjny podzieli się na dwie części. Utkniemy tu, w Tume, walcząc między sobą. Dla dobra kampanii musimy teraz załatwić tę sprawę.

- Zapominasz się, Sparusie. Gra toczy się o coś więcej niż ta awantura w Khos. Posłuchaj mnie. Zabij Romano, jeśli będziesz mógł, ale nie ustępuj mu.

- Już byłby martwy, gdyby to było możliwe. Ale nasi dyplomaci wciąż nie wrócili.

- Sparusie! - wyrzuciła i chwyciła go za nadgarstek. Nawet przez rękawiczkę czuł, jak rozpalona jest jej dłoń. - Nie oddasz mu tej armii. Rozkazuję ci. Byłeś lojalny wobec mojej rodziny. Byliśmy przyjaciółmi, prawda? Czy to nie ja wyniosłam cię na pozycję arcygenerała? Więc teraz zrób dla mnie tę ostatnią rzecz.

Wojna domowa, pomyślał Sparus, czując nagle ogarniający go strach. Minęło piętnaście lat od ostatniego prawdziwego konfliktu w imperium Mannów. Stracił w nim ojca i brata. Obaj zginęli z jego ręki.

A teraz ona chce, żebym wywołał następną taką wojnę.

Jednak jej słowa poruszyły w nim czułą strunę. To ona mianowała go arcygenerałem, a jej rodzina wspierała go znacznie wcześniej. I w zamian nie oczekiwali od niego nic poza lojalnością. Jako frontowy dowódca nie mógłby prosić o nic więcej.

Sparus skłonił się z powagą.

- Jak sobie życzysz - szepnął, a ona puściła jego rękę i opadła na poduszki, jakby wykonała swoje zadanie.

Sasheen wiedziała, że koniec jest bliski. Jej oczy widziały coraz słabiej. Światło

latarni i cienie zlewały się w rozmytą masę, chyba że mrugnęła i świadomie postarała się skupić wzrok. Płuca walczyły o każdy płytki oddech. Czowała smród gnijącego ciała, które spadało od kości. Już niedługo, pomyślała.

- Mój synu - zaskrzeczał ktoś i dopiero po chwili zorientowała się, że to jej własny głos. Widziała go teraz, młodego Kirkusa. Dąsał się na nią; nie cierpiał tego, że musiał mieć głowę każdego ranka goloną przez służących. „Ale nie mogę tego zrobić” - powiedziała i pocałowała go w błyszczącą głowę. - Mój synu - powtórzyła.

Na moment przestała oddychać. Zamarła w bezruchu, jak sparaliżowana; i nagle jej płuca znowu wciągnęły odrobinę tlenu. Na chwilę odzyskała ostrość widzenia i zobaczyła wokół siebie komnatę Zagłębionego Pałacu; zdała sobie sprawę, że jest w niej sama.

Wszyscy opuścili mnie w chorobie, pomyślała. Już knują, jak zająć najlepsze miejsce w nowym porządku.

Teraz pozostała jej tylko głowa Luciana. Obserwował ją w milczeniu, oczami pełnymi zachwyty.

Sasheen próbowała coś powiedzieć. Musiała odkaszlnąć i zmusić słowa, by wyszły z jej ust, podobnie jak Lucian.

- Więc umieramy razem.

W pokoju pociemniało. Na chwilę zatopiła się we własnych myślach.

- Odpocznij, Lucianie - szepnęła. - Tęskniłam za tobą.

Lucian nie powiedział nic. W ciepłym świetle kryształowych latarni jego oczy nagle zaśniły.



## Rozdział 40

# Linie na piasku

Spizowe dzwony świątyni wybiły pełną godzinę, gdy Creed wylał garść wody z Chilos na swoje obolałe ciało. Słuchał plusku kropeł spadających w leniwy nurt, po czym zacisnął palce na nosie i zanurkował pod powierzchnię.

Dong... dong... dong... usłyszał, kiedy wynurzył się, wciągając głęboko w płuca powietrze.

Generał stał w jednym z kamiennych kąpielisk, zbudowanych na zachodnim brzegu rzeki, nad którym wznosiły się świątynie. Nieco dalej w dół rzeki znajdował się fort i stały obóz Hoo, kilkakrotnie większy teraz, kiedy armia wróciła z Tume wraz z licznymi uciekinierami. Ludzie obmywali się na obu brzegach, choć Creed był tu sam, na własne życzenie. Dziś potrzebował trochę czasu dla siebie.

Czuł się już lepiej niż nocą, kiedy przez chwilę trudno mu było oddychać, zakręciło mu się w głowie i dostał mdłości. Ludzie wokół zwrócili uwagę na jego złe samopoczucie. Wezwano medyków, którzy osłuchali mu serce i sprawdzili puls, zaniepokojeni tym, co usłyszeli i wyczuli.

„Odpoczywaj”, powiedzieli na tyle surowo, na ile się ośmielili. „Musisz odpocząć i odzyskać siły. Zanadto się przemęczyłeś”.

Gdybyż tylko mógł znaleźć czas na odpoczynek, pomyślał. Musiał zorganizować obronę, zanim Mannijczycy zaczną się znowu przemieszczać. Za późno, żeby ratować Tume; rezerwy z Al-Khos okopały się na północ od Wrzącego Jeziora na szczycie Suck, mając nadzieję odeprzeć wszelkie ataki na ich linie. Główne siły Imperium będą się jednak kierować na południe, w stronę Bar-Khos. Będą woleli ominąć barierę Podmuchów Wiatru, a to oznaczało, że pojawią się tutaj, przy Promie Juno. I to wkrótce.

Tymczasem trzeba będzie wzmocnić obronę Tarczy z pomocą wszystkich dostępnych ludzi.

Poza tym wciąż pozostawała do rozwiązania kwestia Michinë.

Creed poczuł, że krew mu się gotuje na samą myśl o tych malowanych arystokratach. Swoimi kłótniami doprowadzili do upadku Tume i straty wielu osób. A przynajmniej

doprowadził do tego Principari Al-Khos i niewątpliwie również jego brat Sinese, minister obrony, który tak niedawno wpadł we wściekłość z powodu nadzwyczajnych uprawnień, jakie stan wyjątkowy dawał Creedowi.

Od nich trzeba będzie zacząć, pomyślał. Teraz miał prawo aresztować każdego pod zarzutem zdrady. Mógł wysłać oddział gwardzistów do komnat ministra obrony i kazać go wyprowadzić siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba. Cała reszta może się wściekać do woli, kiedy ich osławiony kolega będzie gnął w celi, czekając na proces, jaki zostanie wytoczony jemu i jego bratu, a także wszystkim, którzy opóźnili przybycie rezerw z Bar-Khos.

Wiedział, że nadszedł już czas. Czas rozrachunku.

Serce biło mu w przyspieszonym tempie; mięśnie zaczynały się napinać, jak ostatniej nocy.

Daj spokój, mówił sobie, oddychając głęboko. Korzystaj z chwili spokoju, dopóki możesz. Oni mają rację, a ty o tym wiesz. Zanadto się forsujesz.

To była prawda, którą od czasu do czasu musiał sam sobie przypominać. Że mimo wszystko jest tylko człowiekiem.

Cóż to za dziwna rzecz, o której trzeba sobie przypominać, myślał niegdyś. Lecz teraz już nie. Creed był w końcu słynnym Lordem Protektorem Khos, mężczyzną silnym jak niedźwiedź, generałem stojącym od prawie dekady okrakiem na Lanszlaku, walczącym z Mannijczykami o każdy cal ziemi. Jak mógłby nie ulec zauroczeniu własną, coraz większą sławą, skoro wszyscy, których spotykał na ulicach, traktowali go z nabożnym podziwem i chcieli, żeby był silny, gdyż wtedy ich lęki wydawały się mniejsze. Creed zresztą nosił się jak król wojownik z dawnych czasów, ponieważ właśnie takim się widział.

Ostatecznie jednak za całym fałszem i przechwałkami nadal krył się Marsalas Creed z Wysokiego Tellu, a cała reszta to tylko pusty blichtr. Był starzejącym się mężczyzną, który farbował włosy, żeby zachować ich czarny połysk; który rzadko wątpił w siebie, ponieważ wtedy jego posągowy wizerunek zaczęłyby się kruszyć; który przez sen zgrzytał zębami tak mocno, że aby je ochronić, musiał zakładać osłonę z gumy tiq.

Jeśli był wybawcą, to tylko dlatego, że był dobry w tym, co robił.

Przez moment poczuł obecność ducha starego Foriasa, który przyglądał mu się z góry - poprzedniego Lorda Protektora Khos, starego Michinè, który głądził i kłócił się, kiedy Mannijczyki stopniowo zdobywali Tarczę. Forias umarł we śnie od trucizny krążącej w jego żyłach, zabity przez agenta Nielicznych.

To było dla twojego własnego dobra, tłumaczył mu teraz. Jak inaczej mieliśmy uratować miasto?

Wyczuł nieme oskarżenie pod swoim adresem. Odsunął je od siebie jak spór, którego nie sposób rozstrzygnąć.

Polął jeszcze trochę wody z rzeki na swoją pierś, obmywając skórę mistycznymi wodami Chilos. Ten poranek był po to, żeby cieszyć się życiem, napawać szczęśliwymi chwilami dnia. Creed położył się w rzece i po prostu pływał przez jakiś czas, spoglądając na chmury i niebo, słuchając dobiegającego z oddali śmiechu.

Szuranie butów o kamień kazało mu się odwrócić, z głową tuż ponad powierzchnią. Halahan stał przed nim z poważnym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - westchnął Creed.

- Pilna wiadomość z Bar-Khos. Od generała Tanserine. Pomyślałem, że chciałbyś ją usłyszeć jak najszybciej.

Creed poczuł mrowienie w ręce. Zwiastun złych wieści.

Wstał, czując, jak muł przeciska się między palcami stóp.

- Mur Kharnost niedługo upadnie. Tanserine prosi, żebyśmy przysłali mu wszelkie możliwe posiłki.

Nagle Creed poczuł, że trudno mu oddychać. Uniósł rękę do piersi, na której wydawał się spoczywać jakiś wielki ciężar.

Próbował coś powiedzieć, ale musiał zamilknąć i zacząć od nowa.

- Jakież wieści... o posiłkach od Ligi?

- Wciąż w drodze. Marsalasz, dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - burknął i odprawił Halahana, który właśnie zaczął zdejmować pas z mieczem, jakby chciał iść mu z pomocą. Ból jak igły przeszył jego żyły i Creed zrozumiał, że wcale nie czuje się dobrze. Nogi się pod nim ugięły.

Opadł pod wodę, ledwie zauważając ręce, które wyciągnęły się, żeby go chwycić, i słysząc zaniepokojone okrzyki docierające do niego w objęciach wody. Poczł bąbelki powietrza przesuujące się po jego twarzy, zanim całe życie skupiło się w jednym momencie silnego bólu. Potem nie czuł już nic więcej.

\*

Zgodzili się spotkać na neutralnym gruncie rankiem w dzień po śmierci Sasheen, w namiocie pośpiesznie ustawionym niedaleko mostu prowadzącego do Tume. Sami, nieuzbrojeni, Sparus i Romano stanęli twarzą w twarz w chłodnym blasku dnia.

Romano był w szampańskim nastroju. Sparus widział to w jego oczach.

Sam arcygenerał czuł tylko przejmujący smutek.

- Co z nią zrobisz? - spytał Romano z uśmiechem.

Sparus nie dopuścił, by gniew ujawnił się na jego twarzy.

Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, żeby robić z tego osobistą sprawę.

Zanim odpowiedział, powoli wziął głęboki oddech.

- Mortarus zabezpieczy jej ciało, a potem wywieziemy je do Q'os.

- Może i ty powinieneś znaleźć się na tym statku.

Arcygenerał Sparus zdjął hełm i trzymał na wysokości pasa.

- Nie masz tej armii, Romano.

Wyraz zdziwienia przemknął przez zdenerwowaną twarz młodszego mężczyzny.

- A to dlaczego?

- Ponieważ tak brzmiał ostatni rozkaz matrony dla mnie.

- Ach - odparł i zaczął spacerować tam i z powrotem. - Wiedziałem, że spróbuję pogrzebać moje szanse. Nie byłem jednak pewien, czy ty będziesz dalej wykonywał rozkazy Sasheen po jej śmierci. Skoro nie żyje, to nie ma już żadnego znaczenia. - Spojrzał pytająco na Sparusa. - Inaczej wybuchnie wojna domowa.

- Romano, jeśli chcesz ogłosić się patriarchą, to proszę bardzo. Ja nie będę stawał ci na drodze. Wracaj do Q'os ze swoimi ludźmi i zdobądź stolicę, jeśli dasz radę. W tym czasie ja zostanę pod Bar-Khos i zajmę je dla nas wszystkich.

Wyglądało na to, że Romano już się nad tym zastanawiał.

- Moje prawa do tronu będą bardziej uzasadnione, jeżeli ogłoszę je z ruin Bar-Khos. Potrzebuję korpusu ekspedycyjnego, Sparusie. Chcę go mieć.

- A zatem mamy wojnę - powiedział spokojnie Sparus. - Chyba że wymyślimy jakieś inne rozwiązanie.

Romano uniósł brwi i zatrzymał się kilka kroków od niego.

Sparus naprężył mięśnie, wyczuwając nagłą zmianę atmosfery.

Spojrzał mu prosto w oczy i zrozumiał w jednej chwili - Romano zamierzał go zabić, tu i teraz.

Żołnierski instynkt kazał mu unieść hełm i zamierzyć się nim na Romano, który rzucił się na niego, wyciągając rękę. Sparus cofnął się gwałtownie i hełm trafił młodego generała w głowę, kiedy młodszy końcami palców otarł się o policzek głównodowodzącego.

Truczna! - pomyślał, cofając się o krok i unosząc rękę do policzka. Na szczęście paznokcie przeciwnika nie rozcięły skóry.

- Straże! - ryknął Sparus, wycofując się z namiotu i mierząc młodszego mężczyznę nienawistnym wzrokiem. - Zginiesz za to - obiecał mu.

- Zobaczymy - odparł Romano, po czym odwrócił się i uciekł.

## Rozdział 41

# Kolacja z tubylcami

Kiedy rodzina Contrarè zobaczyła go idącego wzdłuż brzegu rzeki w kierunku ich chaty, od stóp do głów pokrytego zaschniętym mułem, z błędnym wzrokiem i mieczem w dłoni, porzucili wszystkie swoje zajęcia i patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami, jak na potwora z bagien, który przychodzi, by ich ograbić. Po czym w mgnieniu oka pouciekali między drzewa.

Ash nie mógł mieć nawet do nich pretensji, ponieważ wiedział, jaki widok musi sobą przedstawiać. Idąc wzdłuż brzegu rzeki Chilos, gwizdał jakąś starą melodię, żeby przynajmniej wiedzieli, że jest człowiekiem. Kiedy doszedł do małej polanki przed ich chatą z kijów i liści, zatrzymał się przy dymiącym ognisku, nad którym wisiał bulgoczący kociołek z zupą rybną. Zmęczony usiadł ze stęknieniem i zajął się potrawą.

Leśni ludzie nie wrócili, chociaż wiedział, że obserwują go zza krzaków. Usłyszał, jak ktoś z nich stuka szybko w drewno. Chwilę później podobny sygnał dobiegł gdzieś z głębi lasu.

Aby ich udobruchać, zanim zaczną sprawiać kłopoty, pogrzebał w swoich ubłoconych spodniach, szukając rzemieni sakiewki. W końcu wyłuskał z niej monetę, całego złotego orła, i unióśł tę fortunę nad głową, żeby mogli ją dobrze zobaczyć.

- To dla was - zawołał i powoli położył ją na pniaku stojącym w pobliżu na ziemi. - Ja nie zabawię tu długo. Tylko przechodzę.

Doszedł do wniosku, że to wystarczy, by zyskać trochę czasu. Poszedł na brzeg rzeki, zdjął sztywne od brudu ubranie i otarł się garścią skórolisci, używając ich szorstkiej spodniej strony; nucił przy tym piosenkę z Honshu. Następnie wyprał ubranie, teraz niemal zupełnie w strzępach, i zostawił do wyschnięcia na wietrze, sam zaś usiadł na brzegu i patrzył, jak wodne ptaki stroszą i czyszczą piórka na rzece.

Przy brzegu były przycumowane dwa czółna. Kiedy już się ubrał i był gotów do drogi, wszedł ostrożnie do jednego z nich, położył na dnie miecz i wziął wiosło. Usiadł i odepchnął się, kierując łódź w główny nurt.

- Dziękuję! - zawołał, unosząc rękę.

Wiatr szeleścił głośno w zaroślach. W górze zaskrzypiały konary drzew.

\*

Oboje obudzili się o tej samej porze i leżeli pod kocem, patrząc na siebie, brudni, o zapuchniętych oczach. Wszędzie dookoła słychać było odgłosy obozowiska.

- Dzień dobry - powiedział, uśmiechając się Ché. Loczek odpowiedziała mu uśmiechem.

Patrzył, jak przewróciła się na plecy i przeciągnęła, a potem usiadła i rozejrzała dookoła. Powąchała swoją skórę i zmarszczyła nos.

- Muszę się umyć - stwierdziła.

Pokuśtykał nad rzekę z pomocą wspierającej go Loczek. Jego rana została oczyszczona i zaszyta poprzedniej nocy, chociaż wciąż bolała na tyle, że pojękiwał. Razem umyli się nago w rzece; Loczek przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn, żołnierzy i cywilów, lecz gdy Ché posłał im piorunujące spojrzenie, starali się przynajmniej nie okazywać zainteresowania tak wyraźnie.

Słyszał o cudownych właściwościach wody z Chilos. I choć nie wierzył w takie bajdy, zanurzył się w rzece, starając się przekonać, że jest w tym ziarno prawdy. Cały czas zastanawiał się, co ma teraz ze sobą zrobić, co właściwie robi tutaj z tą dziewczyną, którą tak szybko zdążył polubić.

Później poszli na śniadanie do jednego z wojskowych namiotów, porozstawianych w obozie. Zauważył, że Loczek rozgląda się w poszukiwaniu znajomych twarzy. Rozmawiała z niektórymi, pytając o kilka osób z imienia, i ucieszyła się, kiedy usłyszała, że żyją.

Zabrali swoje drewniane miski na zewnątrz i usiedli na porośniętym trawą pagórku, by zjeść prosty posiłek z mięsa i fasoli.

- Co to takiego? - spytał Loczka, która z roztargnieniem bawiła się drewnianym amuletem zawieszonym na szyi.

- To? - spytała, dopiero teraz zdając sobie sprawę, co robi. - Mój sojusznik.

- Tak?

- Opiekuje się mną - wyjaśniła.

Ché przechylił głowę na bok. Lagosjanie mają dość dziwne wierzenia, pomyślał. Ale z drugiej strony, czy miał prawo się czepiać, samemu będąc Mannijczykiem?

- Tęsknisz? - spytał.

- Za czym?

- Za swoim domem.

Spojrzała na niego ponad miską z jedzeniem, marszcząc brwi.

- Przepraszam. To było głupie z mojej strony.

Zaskoczyło go, jak łatwo te słowa wyszły z jego ust. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przeproszał za cokolwiek.

Ché czuł się dziś nieco nieswojo. Ogarnęło go jakieś dziwne zadowolenie, jakby pierwszy raz w życiu był dokładnie tam, gdzie powinien, i cały świat wydawał się w porządku. W nocy śniła mu się matka. Mówiła o wielu rzeczach, których nie potrafił sobie przypomnieć, ale pamiętał, jak się uśmiechała, i że ciepło promieniowało z niej niczym blask słońca. Zrobiło mu się miło wokół serca. Jak wstrętny byłby świat bez takich więzi między ludźmi, pomyślał.

Nagle ocknął się i zobaczył, że Loczek przygląda mu się badawczo.

- Co z tobą? Tęsknisz? - W jej głosie było słychać irytację.

- Za domem?

- Tak.

Pokręcił głową i zdał sobie sprawę, że to prawda. Nie przejąłby się zupełnie, gdyby nigdy więcej nie miał zobaczyć Q'os.

- A gdzie jest twój dom, Ché?

Zawahał się, a wtedy kłamstwo, które sobie przygotował, uwięzło mu w gardle i nie powiedział nic. Był już zmęczony tajemnicami i brzemieniem, jakim się dla niego stały. To był dobry dzień, by zacząć wszystko od nowa.

- Ché?

Postawił swoją miskę na ziemi i otarł dłonie o kolana.

- O co chodzi? Czemu nie możesz mi powiedzieć?

- Chodzi o to... - Wtedy spojrzał jej w oczy.

Loczek jakby odczytała jego myśli, twarz jej stężała.

- Nie - powiedziała, kręcąc głową. - Nie ty.

Wciąż nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Jej twarz wykrzywił ból. Kiedy się odezwała, odniósł wrażenie, jakby jakaś niewidzialna istota próbowała ją dusić.

- Jesteś jednym z nich? Mannijczykiem?

Ché rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ktoś jej nie usłyszał. Kiedy znowu na nią popatrzył, odczuł przepaść, która powstała między nimi; to, co ich łączyło, zniknęło jak zdmuchnięta świeca.

Co ja zrobiłem?

Jej miska upadła na ziemię. Pospiesznie odeszła w kierunku wojskowego namiotu.

- Zaczekaj - zawołał za nią. - Pozwól mi wyjaśnić!

Weszła do środka. Strach ścisnął mu żołądek, gdy zobaczył grupę wybiegających z namiotu Specjalnych, a tuż za nimi Loczek.

- Wstawaj - rozkazał jeden z żołnierzy.

Ché widział tylko Loczka. Wiedział, że jeszcze zdoła ją przekonać, o ile tylko ona na niego spojrzy.

- Wstawaj, Mannijczyku - warknął drugi, czym zwrócił uwagę ludzi w pobliżu.

Żołnierz z całej siły kopnął w żebra Ché, który przewrócił się na trawę. Zobaczył jeszcze Loczka, odwróconą do niego plecami. Odchodziła pospiesznie, kryjąc twarz w dłoniach.

A wtedy wyładowali na nim całą swoją furię.



## Rozdział 42

# Odwaga martwych

Bull śnił o swoim młodszym bracie Kurtezie, chociaż we śnie Kurtez był znowu niezdarnym chłopcem, nieśmiałym i nazbyt wrażliwym, Bull zaś nadal apodyktycznym dorosłym mężczyzną.

Byli w labiryncie slumsów Bar-Khos z ich dzieciństwa, gdzie Bull nauczył się walczyć i czerpać z tego przyjemność, ścigani przez bandę niewidzialnych prześladowców, ich nawoływania i okrzyki bojowe. We śnie Bull kazał bratu biec dalej, zaś sam zatrzymał się, żeby stawić czoło nadciągającemu tłumowi, żeby własnym potężnym, pokrytym bliznami ciałem zablokować im drogę i uratować Kurteza.

Obudził się gwałtownie i zdał sobie sprawę, że leży na mokrej trawie na dnie jamy, drżąc z zimna, przemoczony padającym w nocy deszczem. Nad jamą stał żołnierz trzymając długi kij, który kołysał się lekko, kiedy wsunął go między drewnianymi belkami. Szturchnął Bulla mocno w żebra, by go obudzić.

- Nie spać! - wrzasnął, sprawiając wrażenie zirytowanego tym, że musi mu przypominać o tej ważnej życiowej zasadzie.

Bull wstał z trudem i oparł się plecami o ścianę w miejscu, gdzie woda spływała do jamy. Żołnierz zatoczył krąg dookoła jamy, trącając po kolei każdego z jeńców. Z ciemności odpowiedziały mu zaskoczone pomruki i chrząknięcia.

Bull pomyślał o swoim śnie, o twarzy brata.

Kurtez zostawił list, zanim wziął pas i powiesił się na krokwi w swoim pokoju. Napisał, że nie może dłużej żyć odrzucony przez Adrianosa. I oglądać go, jak paraduje ze swoim nowym kochankiem.

Ten sam list Bull wepchnął w usta umierającemu Adrianosowi. W czasie procesu nie wspomniano o tym. Rodzina zabrała list, kierując się swoście pojętym poczuciem wstydu.

Kolejne dźgnięcie w ramię zmusiło go do spojrzenia w górę. Strażnik obszedł jamę dookoła i wrócił do niego.

- Nie spać.

Bull był wciąż skuty. Jego poobijane i powykręcane ciało mogłoby posłużyć do

studiowania wszelkiego rodzaju urazów. A jednak coś w nim pękło. Złapał koniec kija i wyrwał go z ręki zaskoczonego mężczyzny. Chwycił go w obie dłonie i pchnął mocno, tak że drugi koniec trafił tamtego w usta. Bull uderzył go w twarz jeszcze raz i jeszcze.

Żołnierzowi noga ześlizgnęła się z krawędzi jamy i przewrócił się, padając twarzą na zamykające ich belki, aż drewno zatrzeszczało pod jego ciężarem. Bull otarł twarz z wody i starannie wycelował końcem kija. Uderzył go ostatni raz w skroń, pozbawiając przytomności.

- Chilanos! - szepnął przez ciemność i deszcz, starając się utrzymać na nogach. - Daj mi rękę, chłopie.

Lecz Chilanos milczał, a Bull przypomniał sobie, że jego towarzysz stracił mowę po ostatnim przesłuchaniu przez kapłanów.

- Bahn! - spróbował, choć sam nie wiedział po co, gdyż Bahn był równie nieobecny, jak cała reszta. - Calvone!

Tuż obok niego rozległ się szczeł łańcuchów.

- Pomóż mi, do cholery!

Zaskoczyło go, kiedy czyjaś ręka uniosła się i chwyciła go za kombinezon, po czym Bahn podniósł się na nogi.

Świetnie, pomyślał. Świetnie!

W ciemności prawie nie widział swojego starego kompana, jedynie niewyraźny zarys jego sylwetki. Bahn pochylił się i chwycił go za stopę, w końcu Bull zrozumiał, uniósł ją i oparł na jego dłoniach.

- Teraz - szepnął Bull i podskoczył na drugiej nodze, a Bahn wyteżył mięśnie i jęknął, unosząc jego ciężar.

Bahnowi udało się podnieść go o kilka stóp; ramiona mu drżały, plecami zaparł się o ścianę jamy. Bull spróbował złapać jedną z belek, lecz ręka mu się omsknęła i spadł w dół, gdy Bahna opuściły siły. Żołnierz na górze zaczął się poruszać.

- Jeszcze raz - powiedział Bull. - Dalej, sukinsynu!

Spróbowali znowu i tym razem Bulłowi udało się chwycić śliską belkę. Drewno zatrzeszczało i ugięło się lekko pod jego ciężarem. Krople deszczu go oślepiały - Wytrzymaj - syknął do Bahna, zmagając się ze skórzanymi pasami, które blokowały zamknięty właz. Musiał mrugać, żeby widzieć cokolwiek; z odległości kilku stóp patrzyła na niego niewidzącymi oczami twarz nieprzytomnego żołnierza. Paski ślizgały mu się w palcach. Zaklął i szarpnął mocniej, żeby je poluzować.

Skórzana pętla puściła i zanim się zorientował, reszta wiązania odwinęła się z belek. Zerwał je i wrzucił do jamy.

Bull pchnął właz i otworzył go z rozmachem. Zawisł na chwilę, chwytając oddech i ociekając wodą, zupełnie bez sił.

- Pchaj - szepnął do Bahna. - Na Miłosierdzie, popchnij teraz!

\*

Bahn śnił; co do tego nie miał wątpliwości.

Szli przez obóz Imperialnego Korpusu Ekspedycyjnego w strugach lodowatego deszczu. Bull przodem, w pancerzu imperialnego piechura, lekko utykając. Pozostali brnęli za nim, wspierając się wzajemnie, szeroko otwartymi oczami patrząc na równe rzędy małych namiotów, które mijali, na kulących się w nich żołnierzy.

Za nimi leżało Wrzące Jezioro i wyspa Tume, dziś jasno oświetlona. Obóz rozpościerał się wzdłuż wybrzeża, niedaleko od miejsca, gdzie most prowadził na ląd. Bahn widział ziemne umocnienia w pobliżu mostu. W ostatnich dniach słyszeli odgłosy walki, wystrzały i ludzi przejeżdżających w pośpiechu.

Początkowo mieli jeszcze nadzieję i modlili się, żeby to była misja ratunkowa, lecz nikt po nich nie przybył.

Z podsłuchanych rozmów swoich strażników wywnioskowali, że to Mannijczycy najprawdopodobniej walczą między sobą. Tak czy inaczej, dało to więźniom chwilę odpoczynku od mąk. Skończyło się bicie, regularne przesłuchania i narkotyki. Zupełnie jakby wszyscy o nich zapomnieli.

Dla Bahna był to czas na rozmyślenia, na pogodzenie się z myślą, że jest już martwy w tej piekielnej jamie i tylko czeka na to, by go pogrzebano. W ich beznadziejnej sytuacji udało mu się nawet znaleźć spokój. Przekonał się, że można stawić czoło nadchodzącej śmierci i pogodzić się z nią, a wręcz wyczekiwać jej, gdyż położy ona kres wszystkim małym doczesnym problemom.

A teraz to: sen o ucieczce za plecami żołnierzy wroga, w oślepiających strugach deszczu i w kajdanach wrzynających się w otwarte rany na skórze. Szli i szli, poprzędzani smrodem własnego brudu; przemierzali obóz nie niepokojeni przez nikogo, odprowadzani błyszczącymi oczami żołnierzy, którzy patrzyli na prowadzącego ich Bulla. Żołnierzy, którzy wyglądali na nieszczęśliwych, zmęczonych i zubożniałych.

Idący przed Bahnem człowiek imieniem Gadeon wydał dziwny płaczliwy dźwięk, zatoczył się i zaczął zbaczać z drogi. Bahn chwycił go, ślizgając się bosymi stopami w błocie, i wciągnął na powrót między nich.

- Zostań z nami, bracie - szepnął. - Zostań z nami.

- Powinniśmy wracać - powiedział gorączkowo tamten. - Ukarzą nas za to, kiedy

zobaczą, że zniknęliśmy. Znowu nas nazwą zdrajcami albo jeszcze gorzej.

Bahn poczuł wstyd, widząc człowieka tak złamanego; a potem wstyd, że coś takiego przyszło mu w ogóle do głowy.

Co oni nam zrobili? - pomyślał, słuchając jego przerażonego bełkotu. Co oni zrobili z naszymi głowami?

Gadeon zatrzymał się nagle, odwrócił do Bahna i wczepił się w niego zakrzywionymi jak szpony palcami.

- Wypuszczają nas? - spytał głośno, niemal krzyjąc. - Wypuszczają?

Ktoś syknął, uciszając go.

- Powiedz mi, Bahn! - krzyczał. - Nie pójdę dalej, jeśli oni... - Bahn zatkał mu dłonią nos i usta. Gadeon szarpał się i dusił.

Przez chwilę Bahn trzymał go mocno, pragnąc tylko, żeby się zamknął i umarł.

Ktoś złapał go za rękę i odciągnął. To był Chilanos. Popchnął Gadeona do przodu i ruszył za nim, trzymając mu rękę na ramieniu.

Bahn, potykając się, szedł za nimi.

Tak, pomyślał. Bawią się naszymi głowami. Sprawiają, że śnimy o tej nocy, a kiedy się obudzimy, będziemy znowu tkwić w tej dziurze, czekając na śmierć.

Rozejrzał się dookoła i zauważył, że zostawili obóz za sobą i wychodzą na otwartą równinę. Spowijająca ją ciemność była niczym przyjazne objęcia.

Bahn wpadł na plecy Chilanosa, który zatrzymał się nagle. Spojrzał przez strugi deszczu i zobaczył, że Gadeon także się zatrzymał, podobnie jak człowiek przed nim. Bahn ominął ich i, potykając się, szedł dalej, nie chcąc się teraz zatrzymywać. Dostrzegł ciemną sylwetkę Bulla, który uniósł rękę, nakazując milczenie. Głowa potężnego wojownika powoli przesuwała się z lewa na prawo, lustrując okolicę.

- Stać! - rozległ się głos w ciemności przed nimi, a potem odgłos stóp chlupoczących po błocie. - Zameldować się!

Stał zaszeleściła o skórę. Bull zniknął w mroku.

Dwa ostrza zderzyły się ze szczękiem. Kolejny krzyk dobiegł z lewej.

- Powiedziałem, zamelduj się!

To się dzieje naprawdę, pomyślał Bahn. To nie jest fantazja.

- Idźcie - ponaglił Bahn swoich towarzyszy w nagłym przypiływie paniki. Złapał jednego i popchnął go w ciemność. - Idźcie - powtórzył, próbując skłonić wszystkich do działania. Cała dysząca i powłócząca nogami grupa ruszyła biegiem.

W mroku minęli Bahna. Odwrócił się i ponaglił ich machnięciem ręki.

- Alarm! - wrzeszczał ktoś. - Grać na alarm!

Dyszeli ciężko, wskakując z pluskiem w koryto rzeki. Pomagali sobie nawzajem wstawać i wdrapywać się na drugi brzeg. Bahn upadł i przełknął potężny łyk mulistej wody. W deszczu rzeka wezbrała. Powstrzymując mdłości, podniósł się i wypełził na drugi brzeg.

Zawrócił po Bulla. Jego ciemna sylwetka na przeciwległym brzegu odcinała się na tle blasku obozowych ognisk. Stał plecami do nich, z mieczem w dłoni.

Ktoś próbował pociągnąć Bahna za sobą. Odwrócił się i ruszył za nim, podskakując i kulejąc. Biegli, aż ich serca były bliskie pęknięcia, i biegli dalej, niknąc w ciemnościach nocy jak widma.

## Rozdział 43

# Matka

Dym unosił się znad komina domu i znad dachu zrujnowanej szopy na jego tyłach. Do boku domu przylegała przybudówka ze spróchniałych desek, o podłodze wyłożonej słomą, która wysypywała się na błotniste podwórze, gdzie kury dziobały rozsypane ziarno. Przy brzegu ogrodzonego podwórza leniwie przechadzał się stary zel, przeżuując coś refleksyjnie i oganiając się ogonem od jesiennych much. W oddali wznosiły się południowe góry; srebrzyste wodospady połyskiwały na ich zboczach, odbijając promienie słońca.

Matka Nica wybiegła z kuchennych drzwi. Wzięła kilka polan ze stosu leżącego przy pobielonej ścianie domu i pospieszyła do dymiącej szopy, ciągnąc po ziemi brudny brzeg spódnicy. Rude włosy o głębokim połysku miała tego ranka związane z tyłu.

Ash zobaczył ją, idąc gruntową drogą, i zatrzymał się, jakby doszedł do ściany. Serce zaczęło mu bić jak młotem.

Zbliżył się do niej, kiedy wyszła z dymiącej szopy, otrzepując dłonie.

- Och! - krzyknęła Reese i wystraszona chwyciła się za serce. Odprężyła się, kiedy go rozpoznała. Spojrzała za niego, szukając Nica, i jej twarz stężała, gdy go nie zobaczyła.

- Panie Ash - wykrztusiła.

- Pani Calvone.

Widział, jak ocenia jego zaniedbany wygląd i łachmany. Niepokój powoli zakradł się na jej piękną twarz.

- Mój syn. Gdzie on jest?

Oczy Asha zamknęły się jakby samowolnie, chcąc oszczędzić mu widoku jej nieszczęścia. Zawstydzony spuścił głowę.

- Nie - wyszeptała, domyślając się.

Jak miał powiedzieć to, co był zobowiązany powiedzieć? Ash zmusił się, by przynajmniej spojrzeć jej w oczy.

- Chłopiec... - zaczął i musiał użyć całej siły woli, żeby mówić dalej. - Pani Calvone. Przykro mi. On nie żyje.

- Nie. - Potrząsała głową, trzymając dłoń na piersi; jej skóra przybrała intensywnie

czerwoną barwę.

Ash zdjął z szyi małą fiolkę popiołów i podał jej w wyciągniętych rękach. Zdawał sobie sprawę, jak żałośnie to wyglądało. Jeszcze żałośniej niż urna z popiołami, którą wziął na przechowanie Baracha. Ale tylko tyle mógł jej ofiarować, a czuł potrzebę, by oddać jej choć część syna.

- Tak... tak bardzo... mi przykro.

Reese patrzyła na fiolkę ze zgrozą, jakby trzymał w dłoniach martwo narodzony płód. W tamtej chwili naprawdę nienawidził sam siebie.

Wytrąciła mu z rąk naczynie, które potoczyło się przez podwórze, uderzyło o ścianę domu i rozprysnęło na kawałki. Reese rzuciła się na niego i z rozmachem uderzyła pięścią w twarz. Cios był silny i Ash się zachwiał, a wtedy cała jej wściekłość znalazła ujście w gradzie uderzeń i kopniaków.

- Obiecałeś! - krzyczała raz po raz. - Obiecałeś, że będziesz go chronił!

Ash nie próbował jej powstrzymać, nawet kiedy na oślep chwyciła łopatę i z całej siły grzmotnęła go metalowym ostrzem. Upadł na ziemię, unosząc ręce przed twarzą. Jak przez mgłę docierała do niego lawina słów padających z jej ust; oskarżeń, z których każde było uzasadnione, każde prawdziwe.

Ledwie widział przez krew zalewającą mu oczy. Słyszał krzyki mężczyzny; poczuł, jak chwyciły go czyjeś silne ręce. Ash zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia, i zobaczył niewyraźną twarz pochylonego nad nim Losa. Reese siedziała na ziemi pośród skłębionego stosu spódnic i szlochała niepokohamowanie, uderzając rękoma o klepisko i wydzierając z niego paznokciami pełne garście błota.

- Lepiej odejść, starcze - poradził Los, pomagając mu wstać.

Ash wstał i się zawahał. Chciał jej coś powiedzieć, w jakiś sposób złagodzić jej ból. Wiedział jednak, że nie istnieje na całym świecie nic, co mogłoby ją teraz pocieszyć.

Zostawił ją zdruzgotaną, jak rozbita gliniana fiołka.

\*

Chmury zbierały się na ciemniejącym jesiennym niebie, zapowiadając więcej deszczu. Ash mijał na drodze wozy załadowane dobytkiem i ludźmi, wędrowców z pakunkami na plecach, stada bydła pędzone przez ponurych pasterzy z fajkami w zębach. Lecz wczesnym popołudniem minął wzniesienie i zobaczył przed sobą Zatokę Szkwarów i miasto Bar-Khos.

Miał wrażenie, jakby minęły całe lata, odkąd ostatnim razem odwiedził to oblężone miasto Wolnych Portów. A przecież zaledwie kilka miesięcy temu zatrzymał się tu z „Sokołem” na tak potrzebną naprawę i spotkał po raz pierwszy Nico.

Przenikliwa morska bryza wiała przez poszarpaną linię wybrzeża, za którą falowały spienione wody zatoki. Widział Lanszlak biegnący przez zatokę i ciemne mury Tarczy spowite kłębamii dymu, wśród których pojawiały się krótkie rozbłyski armatnich wystrzałów.

Ze wszystkich miast akurat do tego wracam, pomyślał. To Nico powinien tu wracać, z kilkoma bliźniami i tuzinem historii do opowiedzenia, a nie ty.

Ash brnął zatłoczoną drogą do wschodniej bramy. Po prawej rozciągał się nieboport miasta, z furkoczącymi wiatrowskazami i rozległymi magazynami. Pół tuzina statków stało przycumowane na ziemi; powietrze z balonów było spuszczone, dookoła krzątały się ekipy mechaników.

W miarę zbliżania się do bramy ponad odgłosami z drogi coraz wyraźniej słyszał inny hałas - odległy zgiełk bitwy o Tarczę. Wszyscy to słyszeli; wszyscy, którzy próbowali się przedostać przez wąskie gardło w otwartych bramach, gdzie każdy wóz był dokładnie sprawdzany przez żołnierzy, zanim mógł wjechać do miasta.

Ash przedostał się na ulice wniesiony przez ludzką falę, bez kontroli.

\*

Zaczynało padać, kiedy skierował się do centrum miasta. Życie wydawało się toczyć normalnymi torami mimo dobiegającego z oddali huku ognia artylerii; chociaż atmosfera była bardziej napięta niż niegdyś, bardziej nerwowa. Kilkakrotnie mijał ludzi krzyczących gniewnie, kiedy nerwy im puszczały.

Za pieniądze z sakiewki kupił u ulicznego sprzedawcy papierową miseczkę ryżu, który pochłonął, ledwie się odwrócił od straganu. Przemierzył Dzielnicę Gildii, potem Dzielnicę Fryzjerów, aż w końcu wyszedł na szeroki trakt Alei Kłamstw. Ulica była mniej zatłoczona niż zwykle. Ludzie przemykali, chroniąc się pod papierowymi parasolami lub pod ociekającymi wodą szerokimi okapami dachów, ponuro obserwując przejeżdżające zakryte wozy przewożące rannych żołnierzy - a także martwych.

Na niewielkim bazarze kupił olejowany płaszcz i pleciony z trawy kapelusz o szerokim rondzie, które opadło mu aż na oczy. Ubrany odpowiednio do pogody poszukał apteki, gdyż pod naporem chmur powietrze stało się ciężkie i wróciły mu bóle głowy. Usłyszał ulgę we własnym głosie, gdy kupił świeży zapas liści dulce w sklepiku przy wąskiej bocznej uliczce, prowadzonym przez dwóch braci, którym przerwał zażartą kłótnię. Wychodząc ze sklepu, wsunął do ust jeden liść. Posmakował jego gorycz i przeżuł jeszcze kilka, lecz ból nie zelżał. Ash musiał zażyć jeszcze cztery liście, nim ból zaczął ustępować, lecz nie zastanawiał się, co to może znaczyć.

Przed sobą, przez strugi deszczu, widział Górę Prawdy wznoszącą się ponad płaskimi



dachami dzielnicy. Odwrócił się od niej i skierował w uliczki Bardello, małej enklawy muzyków, poetów i artystów, aż w końcu stanął przed drewnianym budynkiem o ciemnych okiennicach, który pochylał się niebezpiecznie nad brukowaną kocimi łbami ulicą. Do drzwi był przymocowany metalowy wspornik, a na nim wisiał drewniany szyld z foką w obroży.

Ash rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy na pewno znalazł się na właściwej ulicy. Zdziwiony pchnął drzwi i przekonał się, że są zamknięte.

- Hermes! - zawołał i załomotał w nie pięścią.

Po chwili usłyszał szuranie i odgłosy odsuwanych rygli. Drzwi uchyliły się i wysunął przez nie głowę agent Hermes, który, mrużąc oczy przyglądał mu się przez parę grubych szkieł.

- Ash! - zawołał mały człowieczek, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Ty stary psie! To naprawdę ty? - otworzył szerzej drzwi i zaprosił go do środka.

- To, co ze mnie zostało - odparł Ash. Wszedł do ciemnego, zakurzonego i pustego pomieszczenia, gdzie przy ścianach, pod szkicami przedstawiającymi zatokę, stało kilka krzeseł. - Co tu się dzieje? Czemu zamknąłeś interes?

Hermes wyglądał, jakby ktoś uderzył go w twarz; krew napłynęła do jego pulchnych policzków. Jego oczy za szklami okularów zamrugały i wypełniły się łzami. Odchrząknął i odgarnął z czoła kosmyk kręconych włosów.

- Chcesz powiedzieć... że nic nie wiesz?

- O czym mam wiedzieć?

Hermes, wyraźnie zdenerwowany, wykręcał sobie palce. Ashowi nie spodobał się sposób, w jaki agent patrzył na niego. Zupełnie jakby zobaczył ducha zmarłego człowieka, któremu jeszcze nie nikt nie powiedział, że nie żyje.

- Chodź - powiedział Hermes łagodnie... zbyt łagodnie... po czym wziął Asha za ramię i poprowadził do wewnętrznych drzwi. - Usiądź najpierw. Chodźmy usiąść przy ogniu, dobrze?

\*

Hermes lubił ptaki bardziej niż ludzi i wydawało się, że każdy pokój w jego domu był wypełniony klatkami, w których skrzeczały i trzepotały żywe stworzenia. Ash kilkakrotnie kichnął, wysłuchując tego, co agent miał mu do powiedzenia. Im dłużej słuchał, tym mocniej zaciskał palce na poręczach fotela. Hermes siedział naprzeciwko, w swoim fotelu, specjalnie przystosowanym dla człowieka jego małej postury. Ogień rzucał na niego migotliwy blask. Mimo ciepła Ash czuł chłód przenikający go do kości.

Ledwie mógł w to wszystko uwierzyć.

- Początkowo nie wiedziałem, co się dzieje - opowiadał agent. - Czekałem na nową partię pieczęci, ale nic nie nadchodziło. Żadnych pieczęci, żadnych ptaków, żadnych listów. Po jakimś czasie sam wysłałem list do Cheem, przez jednego z kurierów, których zwykle używamy. Jednak wciąż nie miałem żadnych wieści z Sato. Wtedy zacząłem się naprawdę martwić.

Zamilkł i zdjął okulary, żeby otrzeć oczy.

Przepadło, pomyślał Ash. Wszystko przepadło.

- W zeszłym tygodniu w końcu dostałem list. Wysłał go Baracha. Kazał mi zamknąć interes, dopóki nie dostanę od niego dalszych instrukcji. Pisał, że Imperialni zaatakowali Sato i spalili je. Że zabili wszystkich, których tam znaleźli. Podobno Baracha był wtedy gdzieś indziej. Kiedy wrócił, zastał same zgliszcza. Właśnie tak pisał, Ash. Tak to ujął. Same zgliszcza.

- Ktoś ocalał? - Ash usłyszał jakby z bardzo daleka własny, niesamowicie spokojny głos.

- O tym nie wspomniał. Nie sądzę. Ale Oshō... Pisał, że Oshō został zabity w walce.

Ash zamknął oczy, a wszystkie ptaki dookoła skrzeczały i tłukły się w swoich klatkach.

Ché, pomyślał. Wykorzystali to, co wiedział, żeby nas znaleźć.

Przez bardzo, bardzo długą chwilę nie był w stanie się poruszyć; nie był w stanie nawet mówić.

## Rozdział 44

# Miasteczko Zęza

Las jest światem w świecie, mawiała jego matka, Contrarè.

Kiedy wszedł chwiejnie między pierwsze drzewa, w poszarpanych łachmanach ociekających jeszcze wodą po przeprawie przez rzekę, wyczuł w powietrzu różnicę, zmianę zapachu w nozdrzach, miększe światło przenikające przez kopułę drzew, uświadomił sobie, że miała rację.

Szedł dalej, zapuszczając się coraz głębiej w Windrush, dopóki nogi były w stanie go unieść. Padł wtedy na miękki materac z liści i mchu, zasypiając głębokim snem bez snów.

Kiedy Bull się obudził, wiedział, że nie może iść dalej, dopóki nie odzyska sił. Zabrał się do urządzania obozu niedaleko szerokiego, płytkiego strumienia. Rozpalił ognisko z mokrego, dymiącego drewna i przyciągnął duży konar, żeby na nim usiąść. Jadł jagody i łapał ryby, ile mu się udało za pomocą zaostzonego kija, a nawet spróbował grzybów, które wyglądały dostatecznie znajomo dla jego oczu mieszcucha. Znalazł też mnóstwo orzechów, chociaż ciążyły mu na żołądku, jeśli zjadł za dużo.

Gdy zasypiał w te pierwsze noce na dywanie z miękkiego mchu, obserwując pomiędzy liśćmi gwiazdy połyskujące na niebie, otoczony drzewami niczym ścianami domu, miał poczucie, że świat poza lasem traci znaczenie, a jego konflikty i problemy stają się bardzo odległe. W końcu znalazł spokój w tym cichym, odosobnionym miejscu, w jakim żył lud jego matki. Zaprzagnął nigdy go nie opuszczać.

Czwartego poranka rekonwalescencji Bulla obudziło brutalne szturchnięcie w bok. Usiadł i zobaczył grupę przyglądających mu się mężczyzn Contrarè. Byli wojownikami, sądząc z twarzy pomalowanych w zielone i czarne pasy od ucha do ucha oraz długich, ciemnych włosów ozdobionych piórami kruka i kościanymi amuletami.

- *Chushon! Tekanari!* - warknął jeden z nich, znów trącając Bulla włócznią. Wydawał się najmłodszy z nich wszystkich.

Bull chwycił drzewce i wyrwał mu z rąk.

W jednej chwili poczuł tuzin grotów na brzuchu.

- *Hola!* - powiedział, unosząc rękę. Odrzucił włócznię z powrotem zaskoczonemu

wojownikowi.

- Spokojnie. Jestem jednym z was, widzicie? - Wskazał na swoją twarz, jakby to było coś oczywistego.

Tamci spojrzeli na młodego wojownika. Bull widział, że mają ochotę zabić go tu i teraz.

Młody wojownik pełnym gracji ruchem wbił grot swej włóczni w ziemię i podciągnął spodnie, pochylając się nad nim. Ostrożnie ujął w dłonie twarz Bulla i obracał ją to w tę, to w drugą stronę. Studiował jego ostre rysy i smagłą cerę. Przyjrzał się uważnie rogom wytatuowanym na skroniach, w końcu skinął głową z aprobatą.

- Zatem witaj w domu, bracie plemion - powiedział w chropowatym handlowym i pomógł mu wstać.

\*

Ash wędrował w deszczu, zagubiony i samotny. Jego myśli nie sięgały powyżej stóp; skupił się na odczuwaniu ucisku kocich łbów na podeszwach butów, gdy pozwalał, by niosły go tam, gdzie same zechcą.

Agent Hermes dawał mu pokój, proponując, by został tak długo, jak będzie potrzebował. Ash w otępieniu podziękował mu i odmówił, po czym wyszedł, zostawiając stojącego we frontowych drzwiach, zza których dobiegało skrzeczenie ptaków.

- Nie wiem, co mam teraz robić, Ash. Czy to już koniec?

Ash tylko machnął ręką w milczącym pożegnaniu.

Nie zdawał sobie sprawy, że idzie na południe, dopóki nie poczuł zapachu ryb, morskiej trawy i słonej wody. Gdy zerknął spod opadającego randa swego kapelusza, zobaczył przed sobą Morze Sargassowe i spokojniejsze wody wschodniej przystani. Niezliczone statki, które się tu schroniły, kołysały się na łagodnych falach, a mewy zawodziły, żałośnie przelatując tu i tam w strugach deszczu. Wzdłuż brzegu siedzieli na stołkach ludzie z wędkami, dla ochrony przed nieprzyjazną pogodą ubrani w poncha z kapturami. Zachowywali się spokojnie i cierpliwie, żując smołodrew albo pykając gliniane fajki.

Ashowi wydali się w tamtej chwili najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Ponad nimi majaczyła Tarcza. Lanszlak, nad którym się wznosiła, przecinał wodę, niknąc we mgle. Trwający wciąż atak niemal nie dawał się stąd zauważyć; widać było tylko pióropusze dymu i od czasu do czasu rozbłyski ognia. Nawet dźwięki były stłumione, gdyż morską bryza unosiła wszystkie odgłosy w inną stronę.

Idąc dalej przed siebie, dotarł do ruchliwego skrzyżowania, przy którym stały gospody

i kupieckie magazyny. Fantazyjne powozy próbowały przebijać się przez tłum złożony głównie z wędrownych sprzedawców, jazgotliwych prostytutek i czasami grupki wałęsających się urwisów. Przed nim zbocze wzgórza wznosiło się stromo ku enklawie Michinè i zwykłych bogaczy, z wysadzanymi drzewami alejami i marmurowymi rezydencjami odgradzonymi najeżonymi kolcami murami. Ash przypomniał sobie, że to właśnie tutaj znajduje się Kongres.

Uznał, że nie ma sensu iść tą drogą. Skierował się wzdłuż wybrzeża, ulicą omijającą łukiem podstawę wzgórza. Za rzędem obskurnych tawern i hotelików droga przechodziła w kamienisty trakt, z lewej, od strony wzgórza, ograniczony wapiennymi klifami.

Wybrzeże tutaj było wąskim, smagany wiatrem pasem skały między klifami a morzem. Wśród bajorek słonej morskiej wody, które pluskały i połyskiwały w deszczu, stały rozpadające się budy. Ash lawirował wśród ruder, od czasu do czasu następując na kraba albo pęk morskiej trawy. Prymitywne domostwa były ustawione na podwyższeniach z płaskich kamieni, często połączone drewnianymi kładkami.

Słyszał o tej dzielnicy w czasie poprzednich wizyt w mieście, chociaż nigdy tu nie był. Miejscowi nazywali to ławicami, ponieważ przy złej pogodzie całą okolicę zalewała woda. Podobno była to najbiedniejsza część miasta, gdzie ludzie lądowali wtedy, gdy nie mogli już upaść niżej. Trafiło tu wielu marynarzy bez grosza przy duszy, żeby czekać na statki szukające załogi. Oni nadali temu miejscu własną nazwę.

Zwali je Zęzą.

Ash uśmiechnął się ponuro, rozmyślając nad ironią losu.

Okolica cuchnęła ściekami i rozkładającymi się rybami. Przeciskając się między skałami, wyciągnął szyję i spojrzał na szczyt klifu. Ptaki krążyły we wstępującym prądzie ponad willami Michinè, na kruszącej się krawędzi wapiennego urwiska ciągnęły się sady. Niegdyś rezydowali tu królowie. Przez tysiąc lat mieszkali w Jasnym Pałacu z rodzinami i dworami, władając całym Khos.

Ash poślizgnął się na czymś i w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Spojrzał na kwaśne jabłko, które spadło z którejś ze zwieszających się znad urwiskiem gałęzi, teraz brązowe i rozgniecione na miazgę pod jego butem. Wiatr dmuchnął mu deszczem w twarz. Ash się wzdrygnął.

Skierował się w stronę klifu, gdzie skalisty brzeg wznosił się stromo, a chaty stały gęściej niż na dole. Kamieniste ścieżki wiły się między starymi i zdezelowanymi chałupami, wspierającymi się jedna na drugiej, przyklejonymi do skalnych zboczy aż po klif. W samych klifach, w zagłębieniach wapiennego lica, usadowiły się konstrukcje, które na pozór nie miały

prawa się utrzymać. Wysoko ponad nimi wykuto jaskinie połączone drabinami i chwiejnymi rusztowaniami.

Ash parł pod górę ścieżką wijącą się między barakami i nielicznymi piętrowymi budowlami. Kobiety, o głowach i ramionach owiniętych w szale, twarzach zaczerwienionych od wiatru, rozwieszały ubrania do wyschnięcia pod płachtami brezentu. W chałupach płakały niemowlęta. Dzieci ulicy uganiały się za psami, podskakiwały w rytm fałszywie śpiewanych piosenek albo dźwigały pod górę pękate bukłaki. Zauważył, że mężczyzn było znacznie mniej niż kobiet.

Ból głowy powracał mimo liści, którymi wciąż miał wypchane usta. Oczy spowijała mu dziwna mgła i musiał mrugać, by się od niej uwolnić. Wziął jeszcze kilka liści dulce i stał przez chwilę, dopóki nie zaczął widzieć trochę wyraźniej, chociaż ból pozostał, dżgając go w czoło do rytmu uderzeń serca. Przyprawiało go to już o mdłości.

Zatrzymał jakiegoś tubylca - starego, wygłodzonego, siwego mężczyznę z parasolem z trawy - i zapytał, gdzie mógłby znaleźć dach nad głową. Starzec patrzył na niego nieufnie, ale okazał się dość pomocny. Ash poszedł zgodnie z jego wskazówkami, wspinając się jeszcze wyżej.

\*

Tawerna o nazwie Grzęda była ruderą na wąskiej skalnej półce na klifie. Nad drzwiami kołysał się na wietrze szyld, równie stary i zdezelowany, jak cały długi i wąski budynek. Obłazący z farby obrazek przedstawiał szczura przycupniętego na wyrzuconej przez morze beczce, z przerażenia trzymającego w pyszczku własny ogon.

Dym unosił się z centralnego komina tawerny. Ze środka dobiegał głośny śmiech.

Ash pchnął drzwi prowadzące do głównej sali. Fala zacinającego deszczu wdarła się za nim do wnętrza i światło świecy w mrocznym, zadymionym pomieszczeniu zamigotało na ścianach. Kilka głów odwróciło się, by zlustrować przybysza.

- Zamknij te drzwi! - krzyknął barman, gruby, łysy mężczyzna o wytatuowanych ramionach. - Wpuszczasz zimno, człowieku!

Ash zatrzaskał za sobą rozklekotane i wypaczone drzwi, otrzepał płaszcz z wody, która zebrała się u jego stóp, wsiąkając w wyłożoną trzcina podłogę. W wąskiej sali było gorąco. W palenisku trzaskały płonące polana. Ash zdjął kapelusz i podszedł do baru, zostawiając za sobą mokry ślad.

Właściciel grał w ylang z siedzącą na stołku kobietą o znudzonej minie. Mężczyzna przesunął po planszy jeden ze swoich czarnych kamieni i podniósł wzrok na Asha.

- Co ci podać?

- Ogień Cheemu, jeśli masz.

Oczy mu rozbłysły.

- Szczęściarz z ciebie. Mam prawdopodobnie ostatnią skrzynkę w całym mieście.

Butelki były ukryte za barem, w solidnej, zamkniętej skrzyni przykutej do podłogi. Właściciel odpiął od pasa kółko z kluczami, otworzył skrzynię i z przesadnym namaszczeniem wyjął jedną butelkę. Korek zatrzeszczał, kiedy wyciągał go zębami. Zakręcił zawartością butelki, żeby aromat uniósł się do jego wielkich, owłosionych nozdrzy.

- Tylko najlepsze - zamruczał, nalewając ciekłym strumieniem maleńką porcję do szklanki, wyszczerbionej, lecz dość czystej. Już miał dolać trochę wody, kiedy Ash przytrzymał mu rękę.

- Zostaw butelkę - powiedział.

I nagle podejrzliwość.

- Butelka tego kosztuje pół orła. Wiesz, nie jest rozwodniona.

Moneta zadźwięczała na barze i wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

Właściciel oblizwał wargi. Wziął złotego orła i zważył go w dłoni. Wysunął język i dotknął nim monety.

- Bardzo dobrze - oznajmił z satysfakcją. Zostawił butelkę tam, gdzie stała, i wyjął spod baru dłutko i mały młotek. Orzeł, jak wszystkie orły, miał wybite dwie głębokie linie, które krzyżowały się, dzieląc go na ćwiartki. Przyłożył dłutko do jednej linii i raz mocno uderzył młotkiem. Moneta pękła na pół. Jedną połowę zatrzymał, drugą oddał.

Ash zakręcił szklanką, powąchał i wypił.

Smagła kobieta przyglądała mu się obrysowanymi kohlem oczami. Zauważył, że wygląda na Alhazii. W jej spojrzeniu widać było aż nadto wyraźnie fascynację jego skórą.

- Co cię sprowadza do Zęzy, obcy? - spytała. Jej głos, głęboki i silny, skojarzył mu się ze zmierzchem.

- Moje nogi - odparł; przełknął ognisty płyn i nappełnił szklankę po brzeg.

\*

Ash wynajął na noc pokój, ponurą klitkę na piętrze, ledwie mieszczącą brudne łóżko. Zostawił tam miecz i nic poza tym. Wrócił na dół, usiadł w rogu ze swoją butelką ognia Cheemu i rozpoczął powolny, lecz kuszący proces upijania się do nieprzytomności.

Przez cały długi wieczór nie odezwał się do nikogo, a sam jego wygląd mówił wszystkim, że lepiej zostawić go w spokoju. Kiedy w końcu właściciel zawołał, że zamierza zamykać, Ash wcale nie miał ochoty wracać już do pustego pokoju. Alkohol wprowadził go w melancholijny nastrój. Wiedział, że trudno mu będzie zasnąć, a potem będzie śnił o rzeczach,

o których wolałby zapomnieć.

Ash opróżnił szklanę i z hukiem odstawił ją na stół. Wziął ze sobą butelkę, zabrał z wieszaka płaszcz i kapelusz, po czym pchnięciem otworzył drzwi.

Na zewnątrz ulewa przeszła w deszcz ze śniegiem, a wiatr nasilił się i zaciął tak, że twarz piekła. Ash szedł, dopóki nie zostawił za sobą ostatnich chałup; stok kończył się urwiskiem opadającym do morza.

Usiadł na płaskim głazie, zwieszając nogi nad bijącymi o brzeg falami. Na pośladkach czuł gładką, zimną skałę. Wbił wzrok w bezkres morza, patrząc na mokry śnieg spadający jakby znikąd. W ciemnej oddali Lanszlak ciągnął się aż do kontynentu i groźnie wznosiły się wysokie czarne mury Tarczy. Od czasu do czasu ciemność rozświetlał błysk eksplozji, a chwilę później docierał jej głuchy pomruk.

Ash zastanawiał się, ile jeszcze czasu im zostało. Oczywiście wydawało mu się, że to już koniec, ale być może wyczuwał tylko swój kres.

Same zgliszcza, Ash. Same zgliszcza.

Nie mógł przestać myśleć o Sato i wszystkich tych, którzy zostali zamordowani, kiedy uderzyli Mannijczycy; przede wszystkim o nielicznych, którzy ocalili z Rewolucji Ludu - ludziach, z którymi dzielił los wygnańców.

Powinien teraz czuć wściekłość. A jednak, prawdę mówiąc, czuł tylko osamotnienie i rozpacz, kiedy zaś patrzył na ostrzeliwany w oddali mur, nastrój ten tylko się pogłębiał. Gdy miasto upadnie jak Sato, podda się także wyspa, a wtedy reszta Wolnych Portów zostanie głodem zmuszona do kapitulacji. Ciemność ostatecznie pochłonie płomień.

To dziwne, że dopiero teraz poczuł taką solidarność z tymi ludźmi; teraz, kiedy stracił wszystko za sprawą Mannijczyków, kiedy Khosyjczyków czekała nieuchronna klęska. Ale z drugiej strony, może to nie jest aż takie dziwne. Tak samo było z Nico. Nie potrafił otworzyć się przed chłopcem, zaangażować w coś, czego straty nie zniosłby jeszcze raz. Podobnie jak straty wszystkiego innego, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, odkąd los rzucił go daleko od starego kraju.

Ze wstrząsającą jasnością widział, jak zmarnował swoje życie, i nie był w stanie tego znieść.

Powinniśmy byli przyłączyć się do Nielicznych, kiedy zaczęli pisać do Oshō, rozmyślał.

Powinniśmy opowiedzieć się po którejś stronie.

Ash wznosił toast za lud Bar-Khos i wypił do dna.

Zmagając się z resztą trunku, stary Rōshun śpiewał smutne pijackie piosenki z



Honshu. Robił się coraz bardziej zmęczony, pijany i przemarznięty, ale także coraz bardziej na to znieczulony. W końcu na jego język spłynęła ostatnia kropla.

Ash przycisnął pustą butelkę do piersi.

- Zostałem sam - mówił do jej wnętrza kpiącym głosem, a szkło odpowiadało echem. - Nie mam dokąd iść. Przyślijcie pomoc. Więcej gorzały.

Udało mu się skoncentrować na chwilę i wcisnął w szyjkę korek, zważył butelkę w dłoni, po czym cisnął ją w morze jak najdalej.

Powieki same mu się zamykały. Poczł zmęczenie. Pora do łóżka.

Ash położył się na skale i zwinął w kłębek. Zachrapał.

Deszcz ze śniegiem padał coraz mocniej.

\*

W swoim śnie Ash wspinał się doliną do klasztoru Sato; stok z każdym krokiem stawał się coraz bardziej stromy.

Szedł nieprzerwanie, spieszył się, pragnąc wreszcie zobaczyć dom wśród kołyszących się na wietrze drzew mali.

Początkowo nic nie widział, nawet kiedy był już całkiem blisko. Zdjęty przerażeniem, ruszył biegiem między drzewami. W końcu zatrzymał się przed wielkim stosem dymiących popiołów.

Nie potrafił pojąć tego, co zobaczył.

Musiałem się pomylić, myślał. Jestem już stary, wszedłem nie w tę dolinę.

Czuł miękkie muśnięcia opadającego popiołu na twarzy, dziwnie zimne, i na wargach, pozbawione smaku jak lód.

Zmrużył oczy i przyjrzał się dokładniej zgliszczom.

Pośrodku kupy popiołów wyrastało samotne młode drzewko mali. Jego brązowe liście drżały poruszane podmuchami, których Ash już nie czuł. Wiatr rozwiewał popiół na jego oczach.

\*

Jakaś postać brnęła przez pluchę. Niosła naręczę wyrzuconego przez morze drewna, a co jakiś czas zatrzymywała się, żeby podnieść to gałąź leżącą na brzegu, to kawałek deski. Postać stanęła, kiedy natknęła się na leżącego na skale skulonego człowieka. Człowiek drżał i jęczał coś przez sen.

- Hm - mruknął Meer i trącił go stopą.

Śpiący jęknął głośniej i poruszył się we śnie.

- Stary, głupi wędrowiec - mruknął. - Umrzesz z wyziębienia, jeśli będziesz tu leżał w

taką noc.

Meer westchnął, odłożył swoje drewno, z wysiłkiem podniósł leżącego i zarzucił na ramię. Ułożył go sobie wygodniej, zawrócił i ruszył tam, skąd przyszedł, za skalne urwisko, dalej od ruder.

Ash uznał, że musi przestać się budzić w taki sposób, z zeszywniałym karkiem, w miejscu, którego zupełnie się nie spodziewał.

Był wczesny ranek, sądząc z bladego światła, które sączyło się gdzieś z tyłu, nadając niebieskawy odcień kłębowi dymu unoszącego się nad ogniem płonącym na niewielkim palenisku z obłych kamieni. Leżał na trzcinowej macie, przykryty swoim płaszczem, z głową opartą na jednym z butów. To była jaskinia; wykuta przez człowieka, sądząc z wyglądu. Zaokrąglone ściany zostały pokryte błękitnym jak niebo tynkiem, chociaż tynk zawilgotniał i odpadał płatami, odsłaniając nagą skałę.

Kaplica, pomyślał Ash. To wygląda jak kaplica.

Pod przeciwległą ścianą leżał ułożony w stos skromny dobytek: drewniana miseczka żebracza, płócienny worek, sękaty kij, schludnie złożony koc, plik pergaminowych kart w płóciennej oprawie, kałamarz, kilka świec, duży dzban.

Ash podczołgał się do dzbana i zajrzał do środka.

Woda.

Wypił połowę jednym wielkim haustem, rozlewając sobie trochę po tunice. Chrząknął, gdy lodowata woda wpadła do żołądka i próbowała się z niego wyrwać.

Szuranie stóp kazało mu spojrzeć za siebie.

- Ach, więc jednak żyjesz.

Każda sylaba zadudniła mu w głowie, aż skrzywił się z bólu.

Mówiącym był najwyraźniej mnich, ponieważ głowę miał gładko ogoloną, nosił czarną szatę i sandały. Mógł mieć około czterdziestu lat, lecz jego oczy lśniły młodzieńczą fascynacją.

Mnich rzucił naręczce drewna obok paleniska. Podwinął szatę, odsłaniając blade, umięśnione nogi, kucnął przy ogniu i poruszył polana kijkiem, próbując go ożywić.

Ash podpełzł do wejścia, mrużąc oczy od nadmiaru światła. Znajdował się wysoko na ścianie zbocza i patrzył na szare morze poznaczone bielą spienionych fal. Spojrzał w dół. Drabina prowadziła na wąską ścieżkę, biegnącą u podnóża klifu.

Wdychał morski wiatr i starał się uwolnić głowę od spowijającej ją mgły.

- Jak się tu dostałem? - spytał bardzo cicho.

- Hę? Przyfrunąłeś zeszłej nocy jak liść na wietrze. Muszę przyznać, że mnie

zaskoczyłeś.

W innych okolicznościach Ash mógłby docenić poczucie humoru tego człowieka. Teraz jednak zignorował go, usiadł i rozpoczął powolny, żmudny proces wkładania butów.

- Co to za miejsce? Kaplica? - dyszał ciężko, patrząc na drugi but, który wciąż czekał na swoją kolej.

- Tak - odparł mnich, rozglądając się po ponurym pomieszczeniu. - Bardzo stara, jak sądzę. Słyszałem, że kiedyś stał tu spiżowy posąg Wielkiego Błazna. Stał dokładnie tu, gdzie teraz jest palenisko. - Mnich zatarł ręce i wysunął nad ogień, by je ogrzać. - Miejscowi mówią, że składali tu ofiary i modlitwy spisane na ryżowym papierze. Jednak potem któregoś dnia posąg został skradziony i bardzo długo trwało, nim zebrali pieniądze na nowy. Ten przykuli do podłogi. Ale i tak ktoś go w końcu ukradł.

Mnich ukląkł na podłodze wyprostowany jak trzcina, z prawą ręką złożoną na lewej, w pozycji medytacji chachen.

- Kiedy wprowadziłem się tutaj zeszłej zimy, zająłem miejsce posągu. Siedzę tak każdego dnia, czekając, aż ktoś mnie ukradnie.

Ash stęknął, zebrał siły i wciągnął na stopę drugi but. Odetchnął z ulgą, chociaż buty były zimne, mokre i niezbyt wygodne; następnie spojrzął z konsternacją na oślizgłe sznurowadła. To już przerastało jego możliwości w tej chwili; uznał, że muszą poczekać.

- Tak przy okazji, mam na imię Meer.

Ash prawie go nie słyszał. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia. Przypomniał sobie, jak śpiewał na skale, jak wrzucił pustą butelkę do morza, położył się i zasnął. Ostatniej nocy mocno padało.

- Dziękuję, że zabrałeś mnie tutaj zeszłej nocy.

Meer skinął głową, jego oczy się śmiały.

- Jesteś z Honshu, nieprawdaż?

Ash skinął głową; zauważył, że mnich użył prawdziwej nazwy jego ojczyzny.

- W takim razie mam nadzieję, że kiedyś będziesz mógł opowiedzieć mi o tym kraju. Nigdy tam nie byłem, chociaż bardzo chciałbym go zobaczyć. Widzisz, jestem podróżnikiem.

- Dobrze. Kiedy będę miał czas.

- Wybierasz się gdzieś?

Ash oderwał wzrok od płomieni, zaskoczony tym pytaniem. Sam nie był pewien, jak odpowiedzieć. Co zostało dla niego w Cheem, jeśli nie ma już klasztoru ani Oshō i Kosha, i całej reszty?

- Nie wiem - odparł na głos. - Myślałem, że wrócę do Cheem, do mojego domu, jeśli

udałoby mi się znaleźć łódź, która mnie zabierze. Ale teraz... - Pokręcił głową.

Mnich przyglądał mu się spoza kłębow dymu, na jego twarzy nagle pojawiło się ożywienie.

- Cheem, powiadasz?

- Tak. Co z tego?

Nieśmiały uśmiech.

- Nic. - Pokręcił głową. - Muszę ci powiedzieć, że rozmawiali o tobie w Grzędzie dziś rano, kiedy chodziłem ze swoją miseczką. Mówili, że bogaty wędrowiec z mieczem przyszedł zapijać swoje smutki. Myśleli, że zeszłej nocy rzuciłeś się do morza.

- Przykro mi, że ich rozczarowałem.

- Martwili się po prostu o ciebie. Ludzie tacy już są. Wiesz, w pierwszej chwili sądziłem, że masz tylko kaca po pijaństwie. Ale teraz, kiedy lepiej ci się przyjrzałem, widzę, że naprawdę niedobrze z tobą. Czy coś cię dręczy, przyjacielu?

- Tak. Ciekawość innych.

- Przepraszam - powiedział Meer. - Nie chciałem wtrącać się w nie swoje sprawy.

Te słowa poruszyły w Ashu czułą strunę. Zdał sobie sprawę, że był nieuprzejmy dla swego gospodarza. Gdyby nie ten życzliwy nieznajomy, mógłby umrzeć z wyziębienia.

- Cierpię na pewną chorobę - wyznał. - Mój ojciec umarł na to samo, kiedy bóle głowy stały się tak silne, że przestał widzieć. Ze mną jest coraz gorzej.

- Rozumiem. Być może będę umiał pomóc ci na te bóle głowy. Mógłbym przyrządzić dla ciebie specjalny napój z *chee*, jeśli zechcesz.

Skinął głową, nie do końca przekonany do tego pomysłu.

- Ale jest coś jeszcze, nieprawdaż?

- Co masz na myśli?

- Coś, co gnębi twoją duszę, jak sądzę.

Ash starał się zapanować nad łomotaniem serca.

- Trudno ci o tym mówić, prawda?

Zdobył się tylko na skinienie głową. Coś w nim narastało. Coś musiało znaleźć ujście.

Ash wziął głęboki oddech, zanim zaczął mówić.

- Straciłem kogoś - powiedział w końcu. - Bliską mi osobę.

Meer przytaknął z powagą. W tamtej chwili przypominał Ashowi Pau-sina z jego rodzinnej wioski Asa, małego mnicha, który zawsze wysłuchiwał zwierzeń mieszkańców wioski, nie oceniając ich, jedynie ze współczuciem. Umiał też wydobywać słowa z głębi serca.

- Tak? - zachęcił go mnich.

- Teraz wszystko, co zostało z chłopca, to popioły rozsypane na podwórzu kurnika i w urnie, którą oddałem komuś na przechowanie. Ta urna najprawdopodobniej leży teraz obok sterty gruzu, która kiedyś była moim domem.

Meer zastanawiał się nad jego słowami. Ash nie miał pojęcia, co mu chodzi po głowie.

- Rozumiem. Uważasz, że nie masz siły dźwigać dłużej tego bólu w sercu. Myślisz, że nie warto żyć, jeśli życie ma być tak straszne.

Ash nie potrafił oderwać wzroku od spokojnego spojrzenia mnicha.

- Właśnie dlatego chcesz zapić się na śmierć.

Zastanawiał się, czy ten człowiek nie jest wróżem.

Niektórzy mają taki talent i w ogóle nie potrzebują szkolenia.

Ash patrzył, jak podszedł do wejścia jaskini i usiadł obok niego, zwieszając nogi na zewnątrz. Wiatr szarpał fałdami jego czarnej szaty.

- Fale tam, na dole. Widzisz je?

Kaszlnął, żeby oczyścić gardło.

- Jeszcze nie jestem ślepy.

- Czasami, kiedy słyszę takie rzeczy, przypominam sobie, jak bardzo fale są podobne do nas, tyle że żyją znacznie krócej. Patrzą, jak pędzą do brzegu i roztrzaskują się, w równym stopniu tworząc i niszcząc, to tak urzekające dla oczu. I widzę, że to pchająca je siła wiatru jest tym, co je ożywia. Bierze wodę z fal, aby móc przez nie przekazać swą moc. Zastanawiam się, ile to laq? Jaką drogę przebyły od jakiegoś odległego sztormu, żeby dotrzeć aż tutaj?

Ash słuchał go uważnie, na chwilę zapominając o kacu. Przez kontrast z szarym morzem oczy mnicha wydawały się intensywnie zielone. Teraz przyglądały mu się uważnie.

- Chcesz tego słuchać? Nie nudzę cię?

Pokręcił głową.

Meer znowu spoglądał na morze.

- Widzisz, patrzą, jak rozbijają się o brzeg i rozpryskują w nicość. To kres ich podróży; koniec ich istnienia. I w takich chwilach staje się dla mnie jasne, że właśnie koniec jest tym, co czyni je kompletnymi. To on nadaje im znaczenie, nadaje formę ich życiu. Co by było, gdyby po prostu gnały przez oceany świata, nigdy nie ustając? Czym jest tworzenie bez niszczenia? Czymś nijakim, nudnym i niezmiennym. Czymś tak naprawdę martwym.

Meer odchylił się do tyłu i wziął głęboki oddech, jakby wracając do rzeczywistości. Spojrzał jeszcze raz na Asha swymi przenikliwymi oczami, oceniając jego minę, jakby chciał

sprawdzić, ile z jego słów zrozumiał.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że niewystarczająco.

- Powiem ci coś - mówił dalej. - Ostatecznie śmierć jest darem życia. Wiem, trudno to docenić, kiedy tracisz tych, których tak bardzo kochałeś. Ale gdyby nie było śmierci, my nie moglibyśmy żyć. Ci, których straciłeś, wcale by nie żyli.

Ash przeniósł się przed ogień i kucnął, teraz plecami do mnicha. Słowa Meera były piękne i subtelne. Ale były tylko tym: słowami i ideami. Nie ulżyły jego cierpieniu.

- Powiem ci jeszcze jedno. Potraktuj to jako zaliczkę za wszystko, co opowiesz mi o Honshu. Kiedy odwiedziłem Niebiańskie Wyspy, widziałem, jak żyją tam ludzie. Są prawie nieśmiertelni, wiedziałeś o tym? Znają sposoby na podtrzymanie życia, nawet na oszukanie samej śmierci. Ale ja pomyślałem, że w ostatecznym rozrachunku ta długowieczność wyrządza im dużą krzywdę. Wydali mi się nieludscy. Mimo wszystkich swoich cudów i wspaniałości żyli w wielkiej nudzie i apatii. A co gorsza, nie umieli już dostrzec poezji w otaczającym ich świecie, więc zatopili się w sobie.

Ash odwrócił się powoli, unosząc brew z niedowierzaniem.

- Niebiańskie Wyspy?

- To prawda.

- Myślałem, że tylko kupcy z Zanzaharu znają do nich drogę.

Meer wzruszył ramionami.

- Może kiedy opowiesz mi o Honshu, usłyszysz więcej moich historii. Co ty na to?

Ash otworzył usta i zamknął je energicznie.

Meer mylił się, mówiąc o dzieleniu ciężaru. Ash czuł się teraz znacznie gorzej niż jeszcze przed chwilą. Jęknął, podnosząc się z podłogi, i narzucił płaszcz na ramiona.

- Dziękuję ci jeszcze raz - powiedział i wyszedł, by wrócić do swego pokoju i długiej gorącej kąpieli.

\*

Następnego popołudnia, gdy Ash w końcu zwlókł się z łóżka, wsunął do ust kilka liści i zszedł na dół, żeby się napić, bywalcy knajpy rozmawiali o wojnie.

Przy barze usiadł na stołku z połową butelki ognia Cheemu i zagrał w ylang z Samandą, smagłą kobietą Alhazii, którą widział tu poprzedniego dnia i która okazała się żoną właściciela.

Lars, właściciel, wydawał się do szaleństwa zakochany w swojej młodej żonie. Rzadko nawet narzekał na to, że odmawiała zajmowania się czymkolwiek w gospodzie.

- Spiam z tobą, to wystarczająca praca - powiedziała pewnego razu, gdy niemal

odważył się ją skrytykować, on zaś spuścił wzrok i czmychnął, mamrocząc coś do siebie.

Ash rozdrapywał ukąszenia pluskiew i słuchał plotek wymienianych dookoła. Ludzie rozmawiali o najświeższych nowinach, o tym, że matrona umarła od ran, które odniosła w bitwie o Chey-Wes.

Ash marzył, żeby to było prawdą. Ledwie ich słuchał, kiedy przeszli do rozmowy o tym, jak to imperialni najeźdźcy teraz walczą między sobą, że z obroną Tarczy nie jest dobrze i że Mur Kharnost może niedługo paść.

Ash przegrał partię ylang, nie potrafił dłużej skupić się na grze. Czuł się pijany i potrzebował spaceru, więc zabrał ze sobą butelkę i wyszedł na zewnątrz. Opadłe liście leżały na ścieżkach i w stertach przy ścianach budynków, aż chwilami trudno było przejść. Wiatr był przejmująco zimny. Wyglądało na to, że zima nadeszła wcześniej. Na skraju Ławic, tuż nad morzem, dostrzegł mnicha Meera siedzącego wśród grupki dzieci pod daszkiem na podwyższeniu. Ash zatrzymał się, opuścił butelkę ognia Cheemu i patrzył.

Mnich trzymał łupkową tabliczkę i kawałek kredy. Uczył dzieci pisać, a one śmiały się, znajdując w tym zabawę.

Patrząc na tę scenę, poczuł, że ogarnia go coś zbliżonego do spokoju. Przeszedł jeszcze kilka kroków po skale i przysiadł ze swoją butelką, wciąż mając tamtą grupę w polu słyszenia, a poza zasięgiem syczących rozbryzgów fal.

Morze miało rybacką łodzią, która usiłowała wrócić do portu; jej żagle były w strzępach, a załoga przy wiosłach walczyła z prądem. Trudna sprawa, pomyślał Ash.

Zatopił się we własnych myślach, które trzepotały jak opadające liście, pojawiały się na moment i znikwały.

Płatek śniegu osiadł mu na rzęsach. Mrugnął, pozbywając się go, i spojrział na chmury. Śnieg padał coraz gęstszy.

- Patrzcie dzieci, śnieg! - usłyszał z tyłu głos mnicha.

Dzieci natychmiast zapomniały o nauce i rzuciły się w pogoń za śniegiem, ciesząc się widokiem drobin lodu spadających z nieba.

Ash poczuł chłód wiatru na zębach, kiedy się uśmiechnął.

\*

Gdy już zapadał zmierzch, mnich podszedł do niego z długą wędką w dłoni.

- Wyglądasz na głodnego, mój smutny przyjacielu.

W odpowiedzi brzuch Asha zaburczał głośno.

- Chodź ze mną. Złapiemy trochę ryb i zjemy razem kolację.

Zgodził się i razem wyszukali płaskie miejsce tuż przy brzegu wody, gdy zaczęły się

pojawiać gwiazdy, powoli wypełniając nocne niebo swoim migotliwym blaskiem. Meer zarzucił wędkę jak najdalej i, czekając, nucił jakąś melodię.

- Myślałem, że mnisi z Khos nie jedzą mięsa ryb - odezwał się po chwili Ash, odrywając wzrok od wschodniej części nieba, gdzie właśnie wschodziły konstelacje.

Meer powoli ściągnął wędkę, po czym cisnął haczyk z ciężarkiem i spławikiem z powrotem do wody. Usiadł ponownie.

Minęła dłuższa chwila, nim się odezwał.

- Muszę ci coś wyznać. Tak naprawdę nie jestem mnichem.

Ash widział, że mówi poważnie.

- Słyszałeś już o fałszywych mnichach?

- Oczywiście. Odkąd wybuchła wojna, tylko mnichom wolno zebrać o pieniądze.

Mnich, który nie był mnichem, wypuścił głośno powietrze z płuc.

- Uważam to za wygodny sposób na życie; zawsze, kiedy tu jestem. Pasuje mi to.

- Więc czemu mi o tym mówisz?

- Bo to żadna tajemnica. Jeśli ktoś pyta mnie wprost, mówię mu. A większości ludzi tutaj nie obchodzi, kim jesteś. Pomagałem im, kiedy mogłem, nie tak, jak ci mnisi, których znajdziesz na tej wyspie, zamknięci w swoich klasztorach. Kiedy sam spędziłem kilka miesięcy w klasztorze, zauważyłem, że bardziej interesują ich dogmaty i polityka niż Droga - Meer zerknął z ukosa na Asha, jakby próbując poznać jego reakcję. - Poza tym, kiedy nadejdzie wiosna, wyruszam znowu w podróż.

- Ale słyszałem, jak mówili w Grzędzie, że codziennie czuwasz w kaplicy, pogrążony w medytacji.

- Ba. Nazywają to tak, jak sami chcą nazywać. Ja tylko siedzę w kaplicy i patrzę, jak świat się kręci.

Ash dostrzegł w tym pewną ironię. W ojczystym języku Honshu medytacyjny akt *chachen* oznaczał po prostu siedzenie w bezruchu.

Przyglądał się tamtemu i rozmyślał.

- Przychodziłem później, żeby się z tobą zobaczyć - wyznał Meer. - Rozmawiałem z kilkoma przyjaciółmi w mieście. o twojej sytuacji.

- Co robiłeś?

- Mogę zabrać cię do Cheemu, jeśli chcesz.

- Tak? Pewnie polecimy, jak liść na wietrze.

Meer posłał mu jeden ze swoich przelotnych, chłopięcych uśmiechów.

- Mam przyjaciela, który ma łódź.



Wyraz twarzy Asha mówił sam za siebie.

- Naprawdę - dodał Meer.

- Powiedz mi jedno. Czemu miałbyś zadawać sobie tyle trudu dla takiego starego wędrowca jak ja?

- Ponieważ chcemy wyruszyć z tobą. Do Sato.

Ręka Asha odruchowo sięgnęła do miecza, lecz natrafiła na pustkę. Zostawił broń w swoim pokoju.

- Kim jesteś? - spytał zimno. - Skąd wiesz o Sato?

Meer wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście otwartości.

- Jestem tym, kim powiedziałem. I odrobinę więcej. Na razie wystarczy ci wiedzieć, że jestem twoim przyjacielem, Ash. I mam kilku innych przyjaciół. Ludzi, którzy bardzo chcieliby zamienić kilka słów z zakonem Rōshunów.

- Nie ma już zakonu Rōshunów.

- Dlaczego? Bo Imperialni go zaatakowali? Tak, rozmawiałem już z kilkoma waszymi agentami w Wolnych Portach. Wszyscy mówią to samo, co ty. A jednak w Cheem mógł ktoś ocaleć. Jeżeli tak, to chcielibyśmy złożyć im pewną propozycję.

Ash stał już w pełnej gotowości, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy wstawał.

- Jesteś z Nielicznymi?

Lekkie poruszenie głową.

- Zaufaj mi... Chcemy tylko porozmawiać z twoim ludem. A w zamian mogę ci pomóc.

- Pomóc mi? W czym?

Meer zrobił krok naprzód i położył mu rękę na ramieniu. Spojrzał Ashowi prosto w oczy.

- W twojej stracie, przyjacielu.

## Rozdział 45

# Bunkier

Głęboko pod Świątynią Szeptów stara Kira, matka Sasheen, wysiadła z windy do podziemnego tunelu oświetlonego gazowymi latarniami i zobaczyła, że wszystkie wagoniki oprócz jednego już odjechały.

Wsiadła do tego, który wciąż czekał na szynach; woźnica starannie unikał jej spojrzenia, a zele parskały i sapały ze zniecierpliwieniem. Mocnym szarpnięciem sznura zadzwoniła dzwonkiem i woźnica, niewolnik o skórze białej jak ciasto z braku słonecznego światła, strzelił biczem nad zadami zeli. Ruszyli w drogę.

Głęboko w jej sercu płonął dziki ogień. Ponieważ nie miała czym zająć uwagi, poza nijakimi betonowymi ścianami i ostrymi światłami monotonnie przeplatającymi się z obszarami mroku, wypełniała czas wspomnieniami o córce, a także wnuku, młodym Kirkusie - obojgu martwych.

To właśnie Kira, z racji swojej funkcji przewodniczki Sekcji, wydała dyplomacie Ché rozkaz dotyczący tego, co należy zrobić, w razie gdyby Sasheen została pojmana lub uciekła z pola bitwy. Rozkaz, który trzeba było wydać, jak zawsze, kiedy matrona lub patriarcha wyruszali na wojnę. Rozkaz, który polecono jej wydać osobiście.

I teraz to się stało. Jej córka leżała martwa, otruta pociskiem dyplomaty.

Och, Sasheen, pomyślała i nie potrafiła uwolnić się od poczucia straty, jakie ogarnęło całe jej drobne jestestwo.

Jej ród skończy się wraz z jej śmiercią. Inni z rodziny Dubois, przyrodnia siostra Velma i jej potomstwo przejmą kontrolę nad podupadającą fortuną rodu.

Wróciła myślami do dyplomaty, który wciąż pozostawał na wolności w Khos; tego, który postrzelił jej córkę prosto w szyję. Ché, młody człowiek o nawykach Rōshuna. Dezerter, jeśli niejasny raport bliźniaków jest w jakimkolwiek stopniu wiarygodny.

Kira zastanawiała się, w jaki sposób może go zniszczyć.

Wydawało się jej, jakby całymi godzinami wagonik toczył się, kolebiąc na boki, po niekończących się torach, zawsze w dół, ku jakiemuś nieosiągalnemu celowi. Miała czas, by rozmyślać o różnych rzeczach, poczekać, aż emocje powoli przejdą w odrętwienie, a umysł

wypełni się zupełnie przypadkowymi myślami.

Zarzuciło nią, kiedy wagonik stanął, i zorientowała się, że dotarli do celu. Powietrze było tu zatęchłe, tak głęboko pod katakumbami Hypermorum.

Kira wysiadła i podeszła do ciężkich żelaznych drzwi w ścianie. Kiedy się zbliżała, z boku wyszedł kapłan, by je przed nią otworzyć. Pokłonił się nisko, kiedy przestąpiła podwyższony próg, wchodząc do małej cylindrycznej komory, o ścianach gładkich jak szkło. Kira czuła się nieco jak wewnątrz butelki. W przeciwległym końcu znajdowały się drugie żelazne drzwi.

Światło powoli przygasało, aż zapadła zupełna ciemność. Z cichym sykiem spowiła ją delikatna mgiełka pachnąca sosnami i morzem.

- Proszę podać hasło - głos wydawał się dobiegać ze wszystkich stron.

- Osiem-sześć-zero-cztery-dziewięć-dziewięć-jeden.

Wewnętrzne drzwi szczęknęły i się otworzyły. Kira weszła w jasność za nimi.

\*

Bunkier był grobowcem dla wszystkich tych, którzy zostali tu pogrzebani żywcem. Zadaniem żelaznych drzwi było w równym stopniu uwięzić ich w środku i innych utrzymać na zewnątrz.

Kapłani i niewolnicy, którzy tutaj zamieszkali, mieli nigdy więcej nie oglądać słonecznego blasku. Niektórzy dobrowolnie zdecydowali się na taką połowiczną egzystencję, lecz większość nie miała wielkiego wyboru. Suche, przefiltrowane powietrze, które wypełniało pomieszczenia, podtrzymywało atmosferę porzuconych nadziei i stłumionych na zawsze pragnień. Szmer cichych rozmów dobiegał z basenów, salonów i klatek haremu. Milczenie z bibliotek i archiwów. Śpiew z ust chłopca stojącego na piedestale w marmurowej sali; słowa pieśni wysławiały zazdrość kochanków.

Kira stanęła pod rzędem gazowych latarni, dzięki którym było tu jasno jak w dzień, otoczonych fryzami na obitych skórą ścianach ze scenami przedstawiającymi polowania w lasach. W poczekalni czuć było wilgoć, wręcz zgniliznę, mimo świeżego zapachu jej szat i skóry. Wokół stało jeszcze czterech ludzi, w różnych pozach. Był to Octas Lefall, słynny wuj Romano, który opierał się o gzyms ozdobnego kominka, rzucając jej spojrzenie znad długiego nosa. Wyglądał na zadowolonego z wieści o zgonie matrony. Reszta stała dalej, przy kontuarze, rozmawiając szeptem.

Kira odwzajemniła się Octasowi spojrzeniem zimnym jak lód. Nie da mu tej małej satysfakcji i nie okaże żadnych uczuć.

Wszyscy zamilkli, kiedy podwójne drzwi otworzyły się ze szczękiem. Pospiesznie

ustawili się w rzędzie i padli na kolana, pochylając głowy.

Fotel o wysokim oparciu zaskrzypiał, wtaczając się pchany przez przysadzistego kapłana. Siedzący na nim mężczyzna miał zamknięte oczy, ukryte za parą złożonych okularów. Był nagi pod na wpół rozchyloną jedwabną szatą, a jego starą, zwiędłą skórę pokrywały plamy wątrobowe i rzadkie, poskręcane białe włosy. Łysa głowa lekko się chwiała, kiedy fotel zatrzymał się przed nimi. Kapłan, który go przywiózł, wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Nihilis nagle otworzył oczy.

- Kira - warknął głosem, który zabrzmiał tak chropawo i matowo, jak można było oczekiwać przy jego stu trzydziestu jeden latach. - Twoja córka leży martwa w Khos. Moje kondolencje z powodu tego nieszczęścia. Oby została zapamiętana za to, co było w niej silne, a nie za swoje liczne słabości.

Kira pochyliła głowę jeszcze niżej, choćby po to, żeby ukryć ogarniającą ją wściekłość.

Zadzwoił małym dzwoneczkiem, który miał na kolanach. Końce jego palców były czarne jak węgiel.

Wszedł inny kapłan, w milczeniu przeszedł po pluszowym dywanie i podał mu kryształową szklankę wypełnioną królewskim mlekiem. Nihilis mlasnął i wypił z niej łyk. Jego twarz odzyskała kolory, plecy się wyprostowały. Szata rozchyliła się jeszcze bardziej, odsłaniając srebrne szpilki w sutkach i kolczyki w genitaliach.

Patrzyła na niego spod w półprzymkniętych powiek, nienawidząc go nie mniej niż się bojąc.

- No tak. Co teraz należy zrobić? Wygląda na to, że mamy pusty tron, na którym kogoś trzeba posadzić.

Octas Lefall pierwszy odchrząknął. Lefall, równie stary jak Kira, był tutaj w czasie Najdłuższej Nocy i później, kiedy Mann rosło w siłę.

- Mój siostrzeniec zamierza się o niego upomnieć, kiedy przejmie kontrolę nad korpusem ekspedycyjnym w Khos. Jest kandydatem silniejszym od wszystkich pozostałych i każdy tutaj o tym wie. Powinniśmy posłać wiadomość arcygenerałowi, żeby podporządkował się jego rozkazom. Niech zmiana na tronie przejdzie gładko. Niech kontynuują zdobywanie Bar-Khos.

- Twoje odczucia były łatwe do przewidzenia, Octasie. Jak zwykle. A co sądzą na ten temat pozostali?

- Poparłabym takie posunięcie - oznajmiła Chishara z Bonnes. - Im dłużej trwa wojna,

tym dłużej wszyscy ponosimy jej wielkie koszty.

Hart, z klanu Chirt, który wzbogacił się na węglu, spojrział na nią zaskoczony.

- To możliwe - powiedział głośno. - Ale są też inni, którzy mają prawo upomnieć się o tron. Mój syn jest jednym z nich. Powinien dostać tę szansę.

Lefallowi wyrwało się szydercze parsknięcie, które próbował zamaskować, przesuwając palcem wzdłuż swego długiego nosa.

- Chcesz, żebym dał zgodę uduchowionemu Romano - przemówił do niego Nihilis. - Ale to nie jest nasz sposób postępowania. Nie. Przede wszystkim musimy się przekonać, czy on nadaje się do rządzenia. Jeśli zwycięży w Khos, być może uzyska moje błogosławieństwo. Jeżeli nie, to zobaczymy, kto wyjdzie zwycięsko z walki tutaj, w Q'os, a wtedy ja zadecyduję, czy będzie odpowiedni.

- Ależ panie - odezwała się Chishara. - Jeśli pozwolimy im na spory, możemy stracić naszą szansę w Bar-Khos.

- Och, Wolne Porty upadną na pewno, nie wątp w to, Chisharo.

Kira przyłapała się na chwili nieuwagi. Zaciśnięte pięści miała opuszczone wzdłuż boków. Czuła, jak paznokcie wbijają się jej w dłonie. Ogarnęło ją ogromne rozgoryczenie, wręcz wstyd, kiedy słuchała, jak lekceważona jest jej córka wobec nich wszystkich; jak lekceważona jest ona sama.

Spójrz, jaką krzywdę wyrządziłaś naszej rodzinie, mówiła do Sasheen. Teraz jesteśmy przegrani. Nasza gwiazda spada i tracimy siłę. Ty miałaś zwyciężać, moje dziecko! Miałaś dokonywać podbojów!

Gdzieś poza nią, w innym świecie, Chishara zerknęła na Lefalla, szykując się do odpowiedzi.

- Nie chodzi tylko o to, mój panie. Są jeszcze koszty. W ubiegłym tygodniu mój annalitos poinformował mnie, że jeśli wojna potrwa jeszcze kolejny rok, będzie nas kosztowała więcej, niż możemy mieć nadzieję zyskać na wyspach przez dwadzieścia lat okupacji.

Nihilis pogroził jej palcem, niczym zuchwałemu dziecku. Istotnie, była najmłodsza z całego zgromadzenia, ledwie przekroczyła pięćdziesiątkę.

- Pokonanie Wolnych Portów ma dla nas o wiele większe znaczenie, wykraczające poza to, ile możemy zyskać na ich zbożu i rudach - zamilkł, żeby wypić kolejny łyk ze szklaneczki z mlekiem. Przez chwilę napawał się smakiem. - Tak, teraz widzę, że wszyscy jesteście zainteresowani. Kiro, powiedz im, jaki jest nasz przemyślny plan.

Wrogie twarze zwróciły się ku niej. Spojrzenia, które zarzucały jej, że jest

faworyzowana przez ich pana, ponieważ niegdyś była przez krótki czas jego kochanką.

- Oczywiście - odparła chrapliwie Kira, patrząc teraz wprost na Nihilisa. Kolana zaczynały ją boleć od klęczenia. - Plan, co muszę dodać, zaaprobowany najpierw przeze mnie i moją córkę.

Jego pomarszczona twarz rozciągnęła się w sztywnym uśmiechu, skinął głową, wyrażając milczącą aprobatę.

- Przewidujemy, że Wolne Porty upadną w ciągu roku - zwróciła się do pozostałych. - Kiedy rozprawimy się z Bar-Khos. Kiedy zaś upadną, będziemy mogli zająć się problemem Zanzaharu i Kalifatu.

Lefall przewrócił oczami. Kira postanowiła go zignorować.

Słowa płynęły z jej ust wywiczonym strumieniem.

- W tym momencie będziemy ich jedynym nabywcą prochu. Kiedy wojna się skończy, nasze zapotrzebowanie na proch zmaleje niemal do zera. Usprawiedliwimy to potrzebą czasowego skonsolidowania naszych finansów. Równocześnie wywołamy głód w Pathii lub innym z południowych krajów, żeby ceny naszego zboża poszybowały w górę. Wówczas będziemy zmuszeni, a przynajmniej tak będzie to wyglądało, podnieść nasze taryfy na zboże, które sprzedajemy do Zanzaharu, a od którego dostaw oni są uzależnieni. W ciągu roku od tego podwójnego ciosu dla ich gospodarki Zanzahar wpadnie w pogłębiający się kryzys. Sytuacja dojrzeje do tego, żeby dokonać zamachu stanu przeciwko dynastii Sharat. Sami go zaaranżujemy, wybierając głównych graczy i wysyłając naszych dyplomatów, aby ich wsparli. Zanzahar i Kalifat upadną bez jednej bitwy. Co ważniejsze, przejmemy ich monopol na handel z Niebiańskimi Wyspami. A wraz z nim jedyne znane źródło prochu.

Patrzyli na nią, mrugając, jakby mówiła w obcych językach.

- Mówisz poważnie? - zawołała Chishara, zapominając się ze zdenerwowania. - Jesteśmy bliscy wykończenia Wolnych Portów, a ty chcesz zaryzykować wszystko, co do tej pory udało nam się zdobyć? Co będzie, jeśli Kalifat przejrzy nasze prawdziwe intencje? Mogą nałożyć na nas embargo, odciąć nam dostawy prochu, jednocześnie zaopatrując w niego wszelkie powstania, jakie mogą wybuchnąć w Imperium.

- Obawiasz się, że możemy przegrać - przerwał jej Nihilis, znowu unosząc palec. - To zawsze było twoją słabością, Chisharo. Byłoby lepiej, gdybyś pomyślała o wszystkim, co możemy w ten sposób zyskać.

- A zatem to już postanowione? - spytał Lefall. - Realizujemy ten plan?

Nihilis odchylił głowę, żeby mu się dokładniej przyjrzeć. Kira patrzyła na zaskakującą czerwień warg swego pana, na czubek jego języka, na mięsiste krawędzie jego powiek.

- Czy masz dość majątku, Lefall? To znaczy tyle, żeby cię to satysfakcjonowało?

Lefall zaryzykował lekki uśmiezek.

- Nigdy nie można mieć za dużo, mój panie.

Ruchliwy język Nihilisa przez chwilę smakował powietrze.

- A zatem masz swoją odpowiedź, nieprawdaż?

## Epilog

# Przyjaciele z łodziami

To był dźwięk niepodobny do żadnego innego - ryk płonących rur statku powietrznego. Wypełniał powietrze, zagłuszając wszystko inne tak, że po chwili, gdy uszy do niego przywykły, stał się rodzajem ciszy.

Ash oparł się całym ciężarem ciała o reling, gdy statek zaczął powoli krążyć nad terenem klasztoru. Zacisnął mocniej palce, patrząc na niewielki las drzew mali o miedzianych liściach pokrytych śniegiem i surowy czarny prostokąt ruin, leżący pośrodku niczym odcisk pieczęci jakiegoś gniewnego bóstwa.

Na obrzeżach lasu, gdzie drzewa rosły nie tak gęsto, rozciągało się obozowisko płóciennych namiotów z metalowymi kominami, z których unosił się dym.

- Wszystko przypadło, mówiłeś - zauważył mnich Meer. - Pamiętasz?

Ash był w stanie tylko patrzeć ze zdumieniem.

Usłyszał stukanie laski o pokład, kiedy podszedł i przyłączył się do nich Coya.

- Podnosi mnie na duchu widok ocalonych - powiedział radośnie i odwrócił się do kapitana statku, który wraz ze swoim pilotem stał na pokładzie rufowym. Dyskutowali o tym, gdzie należałoby wylądować.

Zastukał głośno laską o pokład, starając się przekrzyczeć ryk rur.

- Szybciej, Ronson. Sprowadź nas na dół!

Ash zeskoczył na ziemię, zanim jeszcze zdążyli osiąść na śniegu, a moment później chłopcy okrętowi rzucili się z palikami i linami, by przycumować statek. Wiatr rozwiewał im włosy i ubrania.

Wokół niego górską dolina leżała ukryta pod białym kobiercem. Gdzieś odezwała się sroka, gdacząc do siebie, jakby śmiała się z nieprzyzwoitego dowcipu. Stał przez chwilę, przyglądając się zarysom namiotów w oddali. Poglądził kciukiem pochwę miecza.

Kilka pierwszych kroków stawiał niepewnie, lecz po chwili szedł ku nim wielkimi krokami, a krew zaczynała się w nim burzyć.

Gdy zbliżał się do pierwszego namiotu, o pochyłym dachu uginającym się pod ciężarem śniegu, usłyszał podniesione głosy ludzi o coś się kłócących. Ash obszedł go



dookoła, by stanąć przed wejściem. W tej samej chwili wyszedł Baracha z grymasem niezadowolenia na wytatuowanym obliczu.

Wielki Alhazii zamarł zaskoczony i na jego twarzy pojawiła się godna podziwu sekwencja emocji - zaskoczenie, gniew, dezorientacja i na koniec ulga.

- Ty stary, sukinsynu! - wykrzyknął, chwycił go za ramiona i potrząsnął, zanim Ash zdążył zareagować.

Za Barachą zobaczył Serese i Aleasa siedzących wewnątrz namiotu na prostych pryczach, z kartami w dłoniach i otwartymi ze zdumienia ustami.

- Ash! - zawołali obaj i wybiegli mu na spotkanie.

Ciepło wypełniło jego ciało, kiedy się objęli. W końcu uwolnił się z uścisku, czując się nieswojo wobec tak otwartego okazywania uczuć. Wskazał głową kikut lewej ręki Barachy, teraz owinięty skórzaną opaską.

- Goi się dobrze?

- Taa, dość dobrze. Ale swędzi jak diabli.

Tak, pomyślał Ash, przypominając sobie Oshō i jego utraconą kończynę; często drapał się po drewnianej nodze, którą jego pamięć wciąż uważała za żywe ciało.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Ash zbył ich pytania machnięciem ręki.

- Powiedz mi... - zaczął, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. - Ta urna, którą ci dałem... Jest bezpieczna?

- Oczywiście - odparł Baracha. - Dałem ją pod opiekę Aleasowi.

Aleas poszedł i wyjął urnę z popiołami spod swojej pryczy. Asha ogarnęła tak ogromna ulga, że przez chwilę drżał cały.

- Chodź - powiedział Baracha. - Musimy cię zaprowadzić do pozostałych!

\*

- Więc słyszałeś, co się stało? - spytał, oglądając się przez ramię Baracha, który szedł przodem.

- Od naszego agenta w Khos.

- Straciliśmy połowę naszych ludzi w czasie ataku. Kiedy Oshō zrozumiał, że sytuacja jest beznadziejna, kazał zejść wszystkim, którzy mogli, do strażnicy. Mannijczycy odeszli, nawet nie wiedząc, że ktoś tam był.

Ash zatrzymał się w głębokim śniegu. W nozdrzach czuł drobiny popiołu.

- Oshō. Jak zginął?

Baracha zawahał się przez chwilę, zanim na niego spojrział.

- Znaleźliśmy go przy bramie, pośród innych. Bronili się tam do końca, żeby reszta zdążyła zejść na dół.

- A Kosh?

- Jest chudszy niż był. I pije jeszcze więcej.

- On żyje?

- Chodź i zobacz.

To było więcej, niż Ash mógł się spodziewać - jeszcze jeden wilgotny namiot i Kosh, który siedząc na pryczy, rozmawiał z grupką uczniów.

Jego stary kompan otworzył szeroko usta i podbiegł do niego z oczami błyszczącymi radością.

- Żyjesz! - szepnął w języku Honshu i wyciągnął rękę, by dotknąć Asha, jakby chciał się upewnić, że istnieje naprawdę.

- Dobrze cię widzieć, stary przyjacielu - powiedział Ash, obejmując go. - Cholernie dobrze widzieć was wszystkich.

\*

W największym namiocie obozowiska ocaleni Rōshunowie hałaśliwie dawali ujście swej radości. Nawet wróż przyszedł ze swojej chatki i miło przywitał Asha.

Łącznie ocalało ich dwudziestu czterech - większość stanowili uczniowie i najmłodszy Rōshunowie w zakonie. To głównie starsi stali przy bramie i walczyli, by dać im choć trochę czasu. Ash zobaczył wśród nich Stretcha z Zielonych Wysp, przebiegłego Hulla i obu braci Nevares, którzy jak zwykle trzymali się razem.

Wiatr wył na zewnątrz, więc dorzucili dREW do płonącego pośrodku ognia. Wyjęli alkohol i dość jedzenia, by urządzić ucztę. Wyglądało na to, że są nieźle zaopatrzeni. Baracha wyjaśnił, że czekając na powrót nielicznych Rōshunów, którzy wyruszyli w pole, sprowadzili żywność z portu Cheem, żeby móc bez pośpiechu zdecydować, co dalej robić. Zdania wciąż były podzielone. Młodszy chcieli ogłosić wendetę przeciwko imperium Mann, mimo że rōshuński kodeks zabraniał tego. Inni, na przykład Baracha, uważali, że mogliby osiąść gdzie indziej i dalej zajmować się tym, co zawsze, o ile uda się znaleźć bezpieczne miejsce.

Ash zastanawiał się, ilu zostało niezdecydowanych.

Kiedy w końcu przybyli Meer i Coya, Ash pospiesznie wstał, by ich przedstawić. Meer uśmiechnął się, zaś Coya, wsparty na swojej lasce, skinął głową na powitanie.

- To przyjaciele - wyjaśnił wszystkim Ash. - Przybyli, żeby złożyć nam pewną propozycję.

Siedzący w namiocie Rōshunowie poruszyli się niespokojnie.

- A cóż to za propozycja? - spytał Aleas.

Coya już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, lecz Ash pokręcił głową.

- Nie tutaj.

I wyszedł na zewnątrz, wiedząc, że wszyscy pójdą za nim.

Ash zatrzymał się przed ruinami, odrętwiały od tysiąca przemykających mu przez głowę wrażeń. Przez chwilę po prostu patrzył na nie, na ten stos zgliszczy, który był kurhanem jego domu, jego przyjaciół.

Usłyszał, jak Rōshunowie gromadzą się za nim.

- Powiedz im - warknął Ash przez ramię.

Nie słuchał, gdy Coya zaczął przemawiać. Pochylił się i przyglądał drobinom popiołu tańczącym i wirującym na wietrze. Zamknął na moment oczy, a kiedy je otworzył, wbił rozczapierzone palce w gruz i popiół, a po chwili powoli je wyciągnął.

Ash przesunął palcami po głowie, wzdłuż twarzy, aż do nasady szyi. Dopiero wtedy odwrócił się i spojrzał na zgromadzonych.

- Skąd jesteście? - wypytywał Coya Baracha. - Gdzie pracujecie?

- Głównie z Wolnych Portów.

- Więc jesteście Mercjanami?

- Większość z nas. Ale bynajmniej nie wszyscy.

- Wyjaśnij nam raz jeszcze, czym się zajmujecie?

Coya przechylił głowę na bok i zerknął na Meera.

- Walczymy przeciwko... - zaczął mnich i nagle rozłożył ręce, jakby w geście bezradności, po czym klasnął w dłonie. - Przeciwno skupiskom siły, chyba tak mógłbym to określić.

- A Mannijczycy? - spytał z zainteresowaniem Aleas. - Walczycie z Mannijczkami?

- Oczywiście.

Potem odezwał się Kosh.

- Więc chcecie, żebyśmy dla was pracowali?

Meer wciągnął w nozdrza zapach powietrza i przez chwilę przyglądał się niebu nad ich głowami.

- Nie - odparł. - Chcemy zapytać, czy jesteście już gotowi opowiedzieć się po którejś ze stron.

- Mylisz się co do nas - przemówił cichym jak zwykle głosem stary wróż. - Rōshuni nie opowiadają się po żadnej ze stron.

- Zatem może nadeszła pora, żebyście się zmienili - rzekł Coya. - Zmienili w coś

nowego. W końcu wszystko się zmienia, czyż nie?

Ash przyglądał się uważnie Rōshunom; wiatr szarpał ich włosami i szatami, gałęzie się kołysały, syjąc śniegiem. Wszyscy czuli, że zamierza coś powiedzieć. Jeden po drugim zwrócili się ku niemu i patrzyli wyczekująco.

- Sato zostało zbudowane przez ludzi, którzy uciekli po klęsce - powiedział. - Teraz znowu jesteśmy uciekinierami.

Podszedł do przodu, żeby znaleźć się wśród nich. Spojrzał wróżowi w oczy.

- Czy znowu uciekniemy i się ukryjemy? - zwrócił się do nich z pytaniem. - A może oddamy cześć tym, którzy tu zginęli, walcząc o coś, co jest tego warte? Nawet jeśli będziemy musieli wybrać którąś stronę, nawet jeśli nie pozostaniemy dłużej Rōshunami? Coś wam powiem. Ja chciałbym, żebyśmy tak właśnie zrobili.

Powiał silniejszy podmuch wiatru i tuman drobnego popiołu zawirował nad ubitym śniegiem wokół ich stóp. Ash widział, że głowy wszystkich zwracają się ku ruinom Sato, i wiedział już, jaka będzie ich decyzja.

Wtedy odszedł, gdyż potem były już tylko słowa.

\*

Wieczorem, w namiocie, którego płócienne ściany wydymał wiatr, Rōshuni zebrani wokół ognia świętowali spotkanie starych przyjaciół, rozmawiając głośno. Ash i Kosh siedzieli wpatrzni w płomień.

Kosh wyjął butelkę ognia Cheemu, na co z gardła Asha wydobyło się pełne zaskoczenia westchnienie.

- Kupiłem go, licząc na twój powrót - wyznał w języku Honshu. - Napijmy się za dawne czasy. - Jego oczy wciąż się śmiały, poklepywał Asha od czasu do czasu. Ash widział, że jego skóra obwisła, przecinały ją głębsze niż niegdyś zmarszczki, spojrzenie było nie tak skupione, a głos bardziej głuchy. W bardzo subtelny sposób coś w Koszu pękło.

W namiocie zrobiło się cieplej od tak wielu stłoczonych ciał i płonących bierwion. Ash odprężył się w tej atmosferze niczym w gorącej kąpieli.

- Powiedz mi... - zaczął Kosh. - Matrona... Czy ty...

Ash pokręcił głową.

- To dobrze. W takim razie nie będziemy o tym więcej rozmawiać. No tak. Sądysz, że powinniśmy zaufać tym Mercjanom?

- To dobrzy ludzie. A ich propozycja jest uczciwa. Możemy im pomóc tam, w Wolnych Portach.

- Myślałem, że już widzieliśmy ostatnią z przegranych spraw - zauważył cierpko

Kosh, zerkając na Coyę i roześmianego mnicha, który na moment zapomniał o swoim alkoholu.

Daj mu trochę czasu, pomyślał Ash, aż nazbyt dobrze znając swojego starego przyjaciela.

- Powinieneś posłuchać opowieści mnicha - spróbował, patrząc na Meera. - On dużo podróżował.

- Dalej niż my? Na pewno nie.

- Mówił mi, że był na Niebiańskich Wyspach.

- Aż tam? - spytał Kosh z niechętnym uznaniem. - Stary wróż też ma ciekawą historię. Pamiętasz Ché, naszego tajemniczego zaginionego ucznia? Wróż twierdzi, że ten przyszedł do niego w noc ataku. Ocalił mu życie, pomagając się ukryć.

Ash spojrzał na niego zaskoczony.

- To dziwna historia - odparł. Pociągnął głęboki łyk i poczuł, jak fala gorąca rozlewa się w jego żołądku. Zastanawiał się, co teraz robi młody dyplomata, czy w ogóle jeszcze jest wśród żywych.

Ze zdziwieniem odkrył, że życzy mu dobrze. W końcu, po tak długim czasie, miał jasny umysł. I otwarte serce.

Ash przyglądał się zgromadzeniu Rōshunów i pomyślał o nieobecnych, tych, których stracili; ludziach, z którymi spędził pół życia w zimnych górach Cheemu.

- Myślałem, że wszyscy zginęliście.

- Tak, mieliśmy więcej szczęścia, niż na to zasłużyliśmy. Przy okazji przykro mi z powodu twojej straty. Zasmuciła mnie ta wiadomość. Chłopak zasługiwał na lepszy los.

Jeszcze jeden duży łyk.

- To jeszcze nie jest skończone - oznajmił, pochylając się tak, by Kosh mógł go lepiej słyszeć wśród radosnego zgiełku. - Być może jest pewien sposób, przyjacielu.

- Sposób?

- Na sprowadzenie Nico z powrotem.

Kosh przyglądał mu się uważnie, szukając oznak szaleństwa. Zamrugnął, nie wiedząc, co sądzić o jego słowach.

- Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Meer zna pewien sposób. Jeśli się do nich przyłączę, pokaże mi, jak to zrobić.

- I naprawdę wierzysz, że coś takiego jest możliwe?

- Nie, nie tutaj. Ale na Niebiańskich Wyspach...

- Wskrzeszanie zmarłych? Proszę cię...

Zdawał sobie sprawę, jak to musiało zabrzmieć dla jego starego przyjaciela. Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Znowu nas opuszczasz - zrozumiał z zaskoczeniem Kosh. - Po całej tej przemowie o pomocy Wolnym Portom znowu odchodzisz.

- Tylko na jakiś czas. Ale teraz będzie mi łatwiej, skoro wiem, że przynajmniej mam do czego wrócić.

Kosh nalał mu jeszcze raz, rozmyślając o jego słowach. Pokręcił energicznie głową, jakby chciał pozbyć się wszelkich myśli, po czym uniósł kubek i stuknął nim o kubek Asha, rozchlapując im na dłonie trochę ognia Cheemu.

- Z serca - powiedział.

Obaj odchyliłi się do tyłu zadowoleni z tego, że mogą w milczeniu cieszyć się swoim towarzystwem.

Meer opowiadał swoje historie przy ogniu, obok Coi i wróza. Już byli pijani. Wszyscy byli już pijani.

Baracha siedział koło swojej córki i rozmawiał z nią swobodnie. Aleas śmiał się z czegoś donośnie, spoglądając na młodego ucznia Floresa, który podzielał jego wesołość.

Ash rozsiadł się wygodnie, obserwując płomienie. Przez chwilę wydawało mu się, że usłyszał śmiech innego młodego człowieka, a przynajmniej jego wspomnienie.

Przechylił głowę na bok, mając nadzieję usłyszeć go znowu.